EX LIBRIS
CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

463147

3046

OPOWIADANIA I STUDYA

AËRA.

Rzewuski Adam

SERYA I.

Pułkownik Wilk, obrazek z niedawno upłynionéj przeszłości.
Wieczerza, ustęp z życia Mickiewicza. — Kontrasty, ustęp z życia Chopina.
Mickiewicz w Odessie i twórczość jego z tego czasu.
Dla czego panna Teresa zwała się panią pułkownikową, obrazek
z pierwszéj połowy bieżącego wieku.
Kochanowski w Paryżu, jedna chwila z życia poety.

884-3-84

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI A. CYBULSKIEGO.
Drukiem Jarosława Leitgebra.
1885.

Do Czytelnika.

Ponieważ znalazł się odważny nakładca, który, nie zwracając uwagi na przejściową, jak spodziewać się należy, stagnacyą w handlu księgarskim, podejmuje się rozproszone po rozmaitych dziennikach opowiadania moje zbierać w pojedyńcze wiązki; za powinność więc swą uważam przy ukazaniu się téj pierwszéj seryji złożyć przed czytelnikiem rodzaj literackiéj spowiedzi, któraby porozumienie między nim a mną łatwiejszem uczyniła.

W bardzo młodych leciech, bo jeszcze wtenczas, kiedy rozpatrzyłem się dopiero w niezmierzonym oceanie wiedzy, pracując o ile sił mi starczyło, zrobiłem ślub piórem dla korzyści kraju mojego pracować.

Na pole to nie popychała mnie czcza sława, gdyż w najśmielszych nawet rojeniach, jakie przywilejem młodego wieku bywają, nie odkrywałem w sobie jakiegoś wybitniejszego talentu, tylko zamiłowanie do twardéj, benedyktyńskiéj pracy, która przecież właściwie pojęta i ku właściwym skierowana celom bez pożytku dla ogółu pozostać nie powinna.

Chcąc zaś o ile możności właściwe zyski z niéj wyciągnąć, pług swój puściłem na pola dotychczas w umy-

słowéj naszéj narodowéj kulturze jalowe. Dostrzegłem mianowicie, że naród nas, acz pierwszorzędny co do zasług w plemieniu słowiańskiem, odznacza się małem stosunkowo znawstwem umysłowych dorobków swoich współbraci i dla tego wystudyowawszy języki, historyją i literaturę naszych współplemieńców, z bogactwem tego przedmiotu obznajmiać współrodaków moich postanowiłem.

Atoli po rozpatrzeniu chłodniejszém i nabraniu doświadczenia w tym kierunku, na drodze téj spotkałem przeszkodę, która mnie do prac tego rodzaju zniechęciła. Studyom podobnym, usiłowano nadawać charakter polityczny, pod sztandarem którego sumienie własne służyć mi nie dozwalało.

Zasklepiałem się więc coraz bardziéj we własnem narodowem dziedzictwie, tak bogatem i tak wiele dla szperacza przedstawiającem materyału, a że studya, odnoszące się do Historyi literatury specyalnością swoją zrobiłem, zwróciłem się do w. XII i XIII, ponieważ bogata treść tych czasów stosunkowo najmniéj u nas jest obrabiana.

Jako pierwszą próbkę w tym kierunku własnym nakładem puściłem w świat pracę: „Hieronim Wespazyan Nieczuja z Kochowa Kochowski.“ — Lubo krytyka nad zasługę może nawet wartość jéj przyznała, wszakże zaszedł tu fakt, który do wytrwania na téj drodze nie bardzo mnie mógł zachęcić.

Licząc na to, że naukowe prace rozchodzą się u nas w skromnéj stosunkowo ilości, studyum tego kazałem odbić wszystkiego trzysta egzemplarzy a po latach kilkunastu połowa ich nawet pomiędzy czytających się nie rozeszła.

Przytaczając ten fakt, nie mam wcale zamiaru dowodzić, że autor, zmuszony dla wykonania pracy podobnéj przetrząsać biblioteki i archiwa, ponieść musi koniecznie wielkie materyalne straty, ale wskazuję nato-

miast na inne zjawisko, stokroć dla piszącego boleśniejsze, to jest przekonanie się, że praca jego idzie na marne, bo ją czyta jedynie małe kółko specyalistów a do ogółu przystępu ona nie znajduje.

Uczeni zawsze mają możność dotrzeć do prawdy, a ponieważ mnie nie o nich, ale o ogół wykształcony chodziło, w zamiarach więc swoich doznałem gorzkiego i niemiłego rozczarowania.

Zawód atoli przy szczerych chęciach nie zniechęca, zmusza tylko jedynie do szukania dróg nowych.

Ponieważ w ostatnich dwóch dziesiątkach lat wszechwładnie rozwielmożniła się u nas powieść i romans, ponieważ one całą falangę czytających przyciągnęły do siebie, trzeba więc było dla uskutecznienia swoich zamiarów z tą formą literacką wejść w pertraktacye i na mocy jéj czytelników sobie uzyskać.

Tu jednak zachodził wzgląd, który przy rzuceniu się w ten całkiem nowy dla mnie kierunek wielkiego rozmysłu wymagał.

Powieść, romans — mogą być tylko i powinny być rezultatem wielkiego poetycznego daru i wykwitem prawdziwego w tym kierunku talentu, a pobyt w jednem z centrów cywilizacyi zachodniéj, do jakiego mnie los z kraju przerzucił, nauczył mnie ile to prac w tym kierunku idzie na marne, ile mózgów, ile tysięcy centnarów arkuszy, ile wysiłków pras drukarskich zużywa się po to jedynie, żeby utwory z takim ekspensem umysłowych i materyalnych kapitałów na światło dzienne wypchnięte, rozpryskiwały się na niem zaraz jako bańki mydlane i bez powrotnie a bez pożytku ginęły w fali zapomnienia.

Niezawodnie że majstrowie podobnych wytworów mogą osiągać osobiste materyalne zyski, że czytająca ich publiczność ma chwilową rozrywkę, ale mnie nie o to chodziło. Chciałem być narodowi mojemu pożytecznym

a nie czując w sobie prawdziwych romansopisarskich zdolności, nie chciałem chwilowo bawić tłumu, aby potem, jak Horacy powiada, prace swe dawać na tutki do pieprzu.

Postanowiłem więc z formą lżejszą połączyć studya prawdziwe i w tym kierunku od lat kilku już pracuję. Fantazyować na obranym temacie dozwalam sobie tylko wtedy, kiedy pozytywnych źródeł brakuje a za główne zadanie kładę wystudyowanie sumienne charakteru danéj epoki, tudzież osobistości, które uwadze publicznéj chcę rekomendować.

Krytyka, która wogóle co do pierwszych prób w tym kierunku dość pochlebnie się wyrazila, nie zaniedbała także acz przez usta niechętne dodać, że „nie wiadomo czy to jest powieść, czy to jest historya.“

Nagana podobna wcale mnie nie zraża, bo jakkolwiek nie jestem wcale zwolennikiem zasady, aby przez powieść nauczać historyi, pragnę jednak, aby czytający ogół na wybitniejsze epoki lub jednostki pilniejszą zwracał uwagę, aby w charakter ich wnikał i pochwycony opowiadaniem, zżywał się z chwilami lub osobami, pamięć których i znajomość powinna być obowiązkiem naszego narodowego sumienia.

Chociaż nad robotami takiemi praca jest wielce ciężka i krwawa i nie wybiegają one z głowy jak Jowiszowa Minerwa, ale długich studyów i przygotowań wymagają, nie żal mi jednak pracy, skoro widzę że próbki podobne chętnie są czytane, że je rozmaite dzienniki z ochotą przedrukowują, a umysł narodowy do zbyt poważnéj pracy nieusposobiony, przyjmuje naukę i zapoznaje się z przeszłością, która dla nas wszystkich drogą być powinna, w téj niezdecydowanéj, jak się krytyka wyraża formie. To było celem moim i dla tego wydawcy, który kosztownego nakładu podjąć się nie wachał, z przyjemnością

powierzam uporządkowaną pierwszą seryą takich opowiadań.

Chcąc o ile możności w zbiorowém tem wydawnictwie jednaki charakter zatrzymać, chciałem wydawcy ofiarować jedynie opowiadania z charakterem powieściowym lub nowelistycznym. Że wszakże i poważniejszych studyów się on domagał, do téj więc pierwszéj wiązanki łączę jedno z nich tylko, innych bowiem nie wszędzie czytać by dozwolono, o co wydawcy chodziło, a zresztą przyjęcie przychylne pierwszego tego zbiorku, ośmieli mnie może do przeplecenia następnych rzeczami więcéj poważnemi.

Paryż dnia 15 Listopada 1884 roku.

Aër.

PUŁKOWNIK WILK.

OBRAZEK Z NIEDAWNÉJ PRZESZŁOŚCI.

Dawno to już było, bo więcéj jak przed czterdziestu laty, Na poddaszu jednéj z najciaśniejszych ulic, jakie sygzakowato się wiły, koło ponurego podówczas i odrapanego kościoła Notre Dame de Paris, odbywała się szczególna scena. Na ceglanej posadzce obok kominka, na którym dogasały tlejące głownie, stał duży rondel napełniony jakimś płynem, gęsta z niego para buchała, a obok z jednéj strony przykucnąwszy, z łyżką w ręku, siedział stary z ogromnymi wąsami mężczyzna; z drugiéj wsparty na przednich łapach duży, czarny pies kudłaty.

Mężczyzny wytarty, ale czysty i pod samą szyję zapięty surdut, wysoki a obcisły krawat sukienny, krótko ostrzyżone włosy, a szczególniéj duże krzaczaste brwi, marsowo się ściągające, wskazywały w nim żołnierza; pies stanowił jeden z piękniejszych okazów rasy Terre Neuve ale wychudły był jakiś, zbiedzony, i wierzchnia jego warga, od czasu do czasu, prawdopodobnie pod wpływem aromatu, wychodzącego z rondla drgająca, przecięta była i krwią jeszcze broczyła. Nieopodal stała polewana miska, napełniona wodą zafarbowaną krwią, wśród któréj zbroczony, brudny gałgan przeglądał.

Stancyjka mała była, ciasna, jedno okno w długiéj niszy umieszczone nie oświecało jéj bardzo obficie, a ubogie mebelki przedstawiały się więcéj jak skromnie. W kącie wysokie żelazne łóżko kilimkiem przykryte a nad niem na dwóch skrzyżowanych szablach, okrągły obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj malowany na blasze, kilka stołków wyplatanych słomą i stół

niewielki, na którym, obok którego i pod którym mnóstwo starych, parasolowych szkieletów, drutów, kawałków materyi, dlutek, pilników, okruszyn chleba i tytoniu, i innych rozmaitych rupieci.

Mężczyzna w rądelku łyżką zakręcił, opar z niego wydobył się gęstszy, a pewno więcéj nęcący, bo pies cicho zapiszczał i wielką swą mordę do naczynia schylał.

— Wara.... czekaj błaźnie — zawołał surowym głosem mężczyzna.

Pies uszy opuścił i z pokorą w oczach i ruchach głowę na przednich łapach położył.

To jego posłuszeństwo rozbroiło widać mężczyznę, bo zupełnie już łagodnym zaczął wołać nań głosem:

— Burek, Burek!

Pies przywarował na łapach, w mówiącego się wpatrzył, ale w oczach jego nie widać było, żeby te wyrazy były dlań przystępne.

Mężczyzna zniecierpliwił się, gdyż mu brwi ściągnęły się, wstał z klączków i rozprostował się. Przy tym ruchu wyszedł na jaw wzrost jego prawdziwie topolowy, pierś wypukła i szeroka jak ława. — Zdrowie jednak nie musiało w zupełności odpowiadać tym zewnętrzym pozorom, podnosząc się bowiem, syknął boleśnie, a twarz jego się zmarszczyła, jakby pod wpływem dolegliwego cierpienia.

— Cóż ty ośle jakiś — wołał — nie rozumiesz, kiedy na ciebie poczciwie, Burek, wołają? — Chcę, żebyś był Burkiem, polskim psem — rozumiesz. Nie potrzebuję Francuza.

I przy tych słowach groźnie nogą tupnął.

Pies przyczaił się i stwożony cały do nóg jego się czołgał.

— Wstydź się — wołał mężczyzna — taka wielka bestya, jak ty, tchórzom być nie powinna. Mój Burek, gdybyś ty jego widział w puszczach Białowieży, brał pojedynkiem wilka, na kark dzikowi się rzucał. Nikogo, nawet pana swego się nie bał i tylko czuł respekt przed moją Marcysią. Och, Marcysia, powtórzył jakby do siebie mężczyzna — co ona teraz tam robi?

I westchnął, zamyślił się chwilę. Pies tymczasem, jakby tę admonicyę zrozumiał, przysunął się do niego, głowę mu na kolanie oparł i z umizgiem w oczy się wpatrywał.

— Burek, mój Burek — mówił doń mężczyzna głosem miękkim — będziesz Burkiem u mnie i kwita. Ale pokaż no mnie kochanku, twoją buzię.

To mówiąc psu paszczękę otworzył i pilnie ją opatrywał. — No, rzekł śmiejąc się, — zębów już ci nie zwrócę, a czterech ci brakuje, ale zostały ci jeszcze kły dobre, poradzisz sobie z nimi. Daj Boże, żebym ci tylko tyle mógł nastarczyć, wiele one zemleć zdołają. Rozcięta warga . . . . głupstwo! Po tej jednej kąpieli jaką ci zrobiłem, zgoi się niebawem. Ale, po tem o tem, tymczasem myślmy o śniadaniu.

To mówiąc psa, który mu się łasił, odsunął, a do rądelka się zbliżył. Zupa wystygła już widać, bo tylko zaledwie widzialną parę z siebie wydawała, ale za to aromat jéj tem był silniejszy.

— Ależ pachnie, jak mi Bóg miły, — mówił mężczyzna. — — Aż mnie chętka bierze jej spróbować. Czekaj mój gościu.

Rądel postawił na stole, otworzył szafkę w murze, — szafek ukrytych w mieszkaniach francuzkich jest tyle. Wyjął z niéj dwie żółte polewane miski, duży dzban takiż i dwie łyżki blaszane. Jedną z nich z rądla zaczerpnął i do ust ją swoich przyłożył.

— Dobre, jak Boga kocham doskonałe! . . . To coś taki rosół jak moja Marcysia robiła. Niech się Francuzi z swojem pot au feu schowają. Przepyszne . . . . czekaj podzielimy się.

W obiedwie miski nalał po brzegi, a rądel był tak obszerny, że jeszcze drugie tyle we wnętrzu jego pozostało. Jednę z misek postawiwszy psu na ziemi, drugą przed siebie przysunął i dobywszy kawał chleba z szafy, smacznie zajadać począł.

Przez długą chwilę tylko szczękanie łyżki o miskę i chłeptania psa słychać było. Jakby na komendę odgłosy te ustały razem. — Ależ to odkrycie, niech cię nie znam, — mówił mężczyzna. — Ho, ho, wiele ci mój Burku zawdzięczać będę. Nalał z dzbanka szklankę wody i wychylił ją zakąsiwszy chlebem.

— Czekaj — mówił daléj, — nie koniec balu — i znowu z rądla niewyczerpanego dwie miski się napełniły.

Zabrano się do jedzenia obustronnie znowu, ale teraz nie szło ono już z takim pospiechem, widać pierwszy apetyt spędzony już został. — A to prawdziwa surpryza — mówił mężczyzna, kraciastą chustką ocierając usta, kiedy pies tymczasem leniwo, nasycony, miskę wylizywał.

— Dziesięć centymów rognures de viande, liczył półgłosem, dziesięć kasza, pięć kapusta, dziesięć chleb, tout fait trzydzieści pięć centymów. Siedem sous jak mi Bóg

miły, i to za nas obydwóch. Ho, ho, a toż dziw szczególny, z przybyciem towarzysza ekspens mój zamiast się zwiększać, zmniejsza się widocznie. A toż widoczne błogosławieństwo Boże i prędka możność dojścia do moich celów. Czekaj stary, policzmy wszystko porządnie. Takie doskonałe dwa r e p a s, będzie to już po Baltazarowemu, a kosztować będą tylko siedemdziesiąt centymów. Mieszkanie, światło i szuwaks do butów, trzydzieści centymów, tytoń, hulanka z kolegami, bielizna, stroje i i m p r é v u s pięćdziesiąt, to uczyni półtora franka, a więc z mojéj gaży zostaje mi całe pół franka codzień, całe dziesięć s o u s.

Czy się tylko nie mylę, ale tak jest, nie ulega wątpliwości. Za reperacyę parasolów zarobię dziennie franka, choćby najstraszniejsze przypuszczać reumatyzmy, to czyni półtora franka, czyli miesięcznie okrągłe czterdzieści pięć franków. Że zaś moja Marcysia wraz z Marynką na zagospodarowanie się tutaj i na przyjazd, choćby im nawet czasami trzeba było przejść trochę piechotą, będą potrzebowały pięćset franków, więc . . . . Oh s a c r é - n o m - d e - n o m, to ażby dziesięć miesięcy czekać potrzeba? Niech — że cię kaczki zdepcą. Dziesięć miesięcy, toć to rok prawie okrągły. Hola, obrachujmy moje kapitały!

To mówiąc, mężczyzna dobył z bocznéj kieszeni surduta mały kluczyk, otworzył nim szufladkę stolika i wyjął ztamtąd blaszaną skarbonkę w rodzaju tych, w jakich dzieci zwykły składać swoje oszczędności.

Nacisnął sprężynę, wieczko odskoczyło i wysypało się z niéj kilka grubych monet srebrnych, między któremi tylko jedna maleńka złota świeciła.

Zaczął liczyć, powtarzał rachunek po kilka razy, ale pieniędzy nie przybywało i za każdym razem okazywało się tylko pięćdziesiąt siedem franków.

— Tylko pięćdziesiąt siedm, — rzekł z westchnieniem, — a jednak w zeszłym tygodniu blisko sto już ich było. Ha, trudnoż było się oprzeć, kiedym go bosego i obdartego zobaczył . . . . Pięćdziesiąt siedem, — powtórzył, — a więc dziesięć miesięcy, rok mało bez czego . . . . Boże mój Boże, jakże to długo . . . . czyż ja doczekam? . . . .

— No, ale trudno, — dodał po pewnym namyśle — rok, nie wiek, mazgaić się nie ma po co. W każdym razie będę się uważał za cztery litery, jeżeli choćby grosz z tego rachunku,

jaki zrobiłem, pójdzie na stronę. Trudno, muszę je mieć przy sobie, i one przy mnie być muszą.

W téj chwili lekko i nieśmiało zapukano do drzwi. Pies, leżący obok swego pana, uszy podniósł i szerść najeżył, gospodarz zgarnął pieniądze, wsypał je do skarbonki, schował do stolika i zawołał.

— Entrez.

Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna młody, zaledwie dwudziesto kilko letni, ale dziwnie jakoś chorobliwie wyglądający i w stroju więcéj jak niepoczesnym.

— Widzki, kochany porucznik! — zawołał szczerym i serdecznym tonem gospodarz i z rozjaśnionemi oczyma, a rozpogodzoną twarzą pospieszył do przybywającego, rękę mu na powitanie wyciągając.

— Gdzieżeś się tak długo obracał? — mówił daléj — a toż kopę lat jak cię nie widziałem. Cóż słychać u ciebie, jak się miewasz i co porabiasz?

Przybyły z głębokim ukłonem i nieśmiałością widoczną z lekka dotknął podanéj dłoni i cicho odpowiedział.

— Dobrze, panie pułkowniku, ot idzie tam jakoś, ale ta tęsknota za krajem chyba mnie zamęczy. Ale jakże pańskie zdrowie panie pułkowniku?

— Moje, jak widzisz, krzepko się trzymam, a choć czasami reumatyzm na łoże mnie powala i te przeklęte granaty z pod Borodina za każdą zmianą pogody dają się we znaki, ale zawsze jest dobrze i gdyby tak nas cudem jakimś pod Więżownę przewieziono, to znowu byśmy tam z Kuszlem tak, jak dawniéj się popisywali.

— Gdybyż to pod Więzowną — tęsknym tonem odpowiedział młodzieniec — ale czyż my kiedy tam wrócim? Doprawdy nadzieję się już traci, a to co się działo, snem się już tylko jakimś wydaje.

— Cóżeś ty u stotysięcy! tak zbabiał — zawołał ten, co go pułkownikiem nazywano. — Czuj duch! to była zawsze moja komenda, a pamiętaj, że ona nietylko dla okazu służyła . . . . Ale cóż teraz porabiasz?

— Ano nic, byłem u ślusarza tego, do którego mnie pan pułkownik zaprowadził, odprawił mnie i powiedział, że do pilnika siły nie mam.

— Szelma, — wycedził przez zęby pułkownik — a gdyby widział, jakieśmy z pod Więżownéj pod Ostrołęką marsz w trzy

dni odbyli, jak stare chłopy ze znużenia padały a mój młodziutki porucznik wszystkich przetrzymał, myślałby inaczéj.

Pies, który przez ten czas w przybyłego pilnie się wpatrywał, przybliżył się doń i łasić mu się zaczął. Porucznik pogłaskał go i zapytał.

— A cóż to za nowy towarzysz?

— A prawda — odpowiedział pułkownik — jeszcze was nie zaznajomiłem. Wyobraź sobie, znajda, ale skarb ukryty, charakter nie francuzkiego ale prawdziwego psa. polskiego. Cudem wlazł mi w ręce i zda mi się że szczęście z sobą przynosi.

Pies ogonem kręcił, jakby słowa te zrozumiał, a przybyły po grzbiecie go gładził.

Ale, siadajże — zawołał gospodarz — a opowiem ci zaraz, jak do jego posiadania przyszedłem.

Wysunął dwa krzesła, miski postawił w zastygłym kominku, usiedli obaj i pies przy nich się ułożył.

– Dziś, kiedym wyszedł rano — mówił gospodarz — aby się ogrzać jesiennem słońcem, i kiedym przechodził przez plac koło ratusza, wpada na mnie gromada hałaśliwych gamenów, z krzykiem i hałasem pędząc przed sobą i nogami popychając ot to psisko. On skulił się biedaczysko, ogon pod siebie podgiął i od czasu do czasu pokazywał im tylko pokrwawioną już widać uderzeniem paszczękę. Żal mi się nieboraka zrobiło, boć to przecież stworzenie Boże. Chciałem mu iść na pomoc, gdy w tem nadbiegł sierżant i gołym pałaszem na nieszczęśliwego się zamierzył.

— Stój — krzyknąłem głosem komendy.

I puścił szablę i zapytał:

— Jakim prawem pan w obronie psa tego stajesz?

— Za cóż go ścigacie?

— To pies wściekły.

— Nieprawda, to pies mój, i ja za niego odpowiadam.

Psisko wystraszone, jakby przeczuwając opiekę, do nóg się moich przycisnęło. Nie uwierzył może policyant w prawdę słów moich, ale tyle było pewności w moim tonie, że spierać się nie ważył, a czerwona wstążeczka w mojéj klapie, którą dostrzegł, ostatecznie go widać skonwinkowała. Pies na mój głos za mną poszedł, ciżba się rozproszyła, i tu dopiero w domu obmywszy go, przekonałem się, że mu cztery zęby wybito i w kilku miejscach skaleczono, ale to nic, to się wygoi. Burek, nie prawdaż?

Pies rękę jego polizał i głowę swą na jego kolanie oparł.

— Burek się nazywa; pies francuzki? — zapytał ze zdziwieniem porucznik.

— Musi być Burek na pamiątkę mojego, — odparł pułkownik. — Wiesz że u mnie wszystko podług rozkazu.

— Ale nie w tem wartość jego, — mówił daléj. — Oto wiesz, czego mnie on zaraz na wstępie nauczył? . . . . Widziałem że psisko było wychudzone i prawdopodobnie głodne. Wziąłem koszyk i poszedłem z nim do rzeźnika. Tam kupiłem blizko dwa funty okrawków mięsnych, daléj trochę kaszy i leguminy i spryczyłem zupę, ale to, powiadam ci, zupę, któréj gdybyś skosztował, cały tydzień byś palce oblizywał. Najedliśmy się po królewsku, a wiesz wiele nas ta uczta kosztowała? oto wszystkiego siedem s o u s. Ja, co ich piętnaście dawniej za niegodziwy obiad płaciłem, teraz wraz z moim towarzyszem będę jadał jeszcze smaczniéj w domu, i ogromne oszczędności zrobię.

Porucznik smutno jakoś się uśmiechnął.

— Co, śmiejesz się? — podchwycił stary. — Ale nie masz pojęcia, jakie to było pyszne, szkoda, że trochę wcześniéj nie przyszedłeś.

Młody człowiek nic się nie odezwał, tylko w mimowolną popadł zadumę.

— Ale, możeś ty głodny? — mówił stary — strasznie jakąś bolesną robisz minę.

Zapytany zaczerwinił się jak róża, ale zaraz dodać pospieszył.

— Gdzież tam! wracam dopiero ze śniadania, a że mam właśnie chwilę wolną, do pana pułkownika wstąpiłem.

Stary zmarszczył brwi silnie i gniewnym głosem zawołał:

— Kłamiesz! . . . gadaj mi prawdę. Ty nic nie jadłeś?

Porucznik zarumienił się jeszcze więcéj, ale ekskuzować się i zapewniać o prawdzie słów swoich nie przestawał.

— Słuchaj, ty smyku, — zawołał stary, biorąc go za ucho. A czy ty nie wiesz, że do ciedie gada pułkownik? . . . A subordynacya wojskowa? . . . a m o r e s, a prawda jak na spowiedzi. Poruczniku Lubowidzki, zaraz mi tu gadaj szczerą prawdę pod słowem honoru żołnierza polskiego, albo pod sąd i kulą w leb!

— Ależ jadłem, jadłem z pewnością, — bąkał przybyły.

— Na honor mi zaręczasz? zapytał stary.

Porucznik nic się nie odezwał i zmieszany stanął.

— A widzisz? — mówił coraz głośniéj pułkownik, chodząc

szerokiemi krokami po izbie. — Nie jadłeś, widzę, że nie jadłeś i to może dni kilka. Ot tak z wami młodymi, zamiast wyznać prawdę, to licho wie gdzie łazi, to się utaja, to radby się sianem wykręcić. Młokosie jakiś, a nie uczyłem cię subordynacyi, posłuszeństwa, prawdy przed zwierzchnikiem? Tfu, na djabła poszły moje nauki. Albo wy wiecie co to wojsko, albo wy rozumiecie co to komenda? Lalki, masło maślane . . . i cóż ten biedny kraj poradzi, jak takich obrońców mieć będzie?

— Dla czegoż aż kraj ma odpowiadać, — wybąknął nieśmiało przybyły, — gdybym ja rzeczywiście śniadania nie jadł? . . .

— A tak, a tak to wam smarkaczom się zdaje, że to nie?... Czy ty myślisz, rzekł zatrzymując się przed nim, — że pułkownik jest tylko na to, żeby cię uczył, jak bić się walecznie? Nie, on czuwa także nad tem, żebyś w zasadzkę nie polazł, żeby cię wróg za kołnierz w łyka nie pociągnął, lub bagnetem nie naszpikował. On cię wszędzie od niebezpieczeństw broni i choć wojna ustała, kiedy mrzesz z głodu, powinieneś przyjść do niego i powiedzieć: „Panie pułkowniku, nie mam furażu.“ My tu wszyscy nie długo siedzim, to armistycyum, to przerwa chwilowa, tylko czekać jak czy z Francuzami, czy sami znowu na wroga uderzym. Kto zaś równie dzielnie bił się jak ty, gdyby z głodu umarł i na apel się nie stawił, popełniłby wielki akt niesubordynacyi wojskowéj. Zły jesteś uczeń, zły podkomendny, kiedym tak prostéj rzeczy jak karności wojskowéj, nie mógł cię dotąd nauczyć.

To mówiąc, trzęsącemi się od gniewu rękami, otworzył szuflądkę w stoliku i tam coś prędko przerzucał, porucznik zaś skonfundowany milczał jak trusia.

— I to nie dziś pewnie tylko — powtarzam, — gderał daléj stary — ale pewnie od kilku dni nie jadłeś. Rzecz prosta, ślusarz cię odprawił i zkądże szeląg dostaniesz? Fe . . . mrże to z głodu, a tam gdzie trzeba nie przyjdzie. Gdybym wiedział, że takich żołnierzy dostanę, wolałbym stokroć, żeby mi granat pod Borodinem nie nogi, ale łeb roztrzaskał. . . Fe, wstydź się, wstydź młokosie!

— Ależ panie pułkowniku, — tłomaczył się porucznik, — zkądże gniew taki? Jeżelim nawet dzisiaj, a wcale nie kilka dni, jak rzeczywista rzecz, śniadania nie jadł. . .

— A tak, tak . . . znam ja już was, — mówił daléj stary. Spotkasz jednego, jak chodzi po mrozie z palcami, które mu

z butów wylazły i zapytasz: cóż to bosy jesteś? Powie ci z najlepszą miną: przyniósł mi dziś rano szewc buty, które były za ciasne, więc mi je za godzinę odda, a ja tak tymczasem wybiegłem. Drugi chodzi patrząc w niebo z zaschniętemi usty. Powiesz mu: tyś głodny; on się ofuknie i odpowie, że po śniadaniu sutem przechadzki używa. A tymczasem jeden nietylko nie ma na buty, ale nawet na dratwę, a drugi trzy dni nic nie jadł i rano o swoich siłach podnieść się nie może. Tak, tak, znam ja was . . . kłamcy jesteście, jakbyście nie Polakami ale cyganami byli. . . Fe, wstyd mi za was! . .

To powiedziawszy odsapnął i splunął.

Porucznik nic nie mówił.

— Na masz, — mówił mu w rękę coś wtykając, masz dziesięć franków i przedewszystkiem pożyw się dobrze, bo widzę, że wyglądasz jak Łazarz.

— Jako, żywo nigdy nie wezmę! — zawołał odskakując jak oparzony porucznik, a krew mu do głowy uderzyła.

— Nie daję ci jałmużny, ale pożyczam, — mówił daléj stary. — Jak zarobisz, to mi oddasz.

— Nie wiem, kiedy zarobię i czy zarobię? — odparł głucho młodzieniec, — a jałmużny nigdy nie brałem i brać nie będę.

— To nie jałmużna, to grosz od starszego młodemu należny, to pieniądz od wszelkich potrzeb mi zbywający, który bez użytku w szufladzie mojéj walać się będzie.

— A Marcysia, a pani pułkownikowa? — poprawił się porucznik. Staremu łza w oku się zakręciła, ale brwi zmarszczył i krótko wyrzekł:

— Marcysia nie przyjechałaby do mnie, gdyby się dowiedziała, żem groszem odmówionym głodnemu przyjazd jéj ułatwił.

Zaczęły się znowu certacye, które zapewne do niczegoby nie doprowadziły, gdyby pułkownik wychodząc z praw swego starszeństwa, porucznika nie sfukał, nie złajał i do posłuszeństwa nie zmusił. Ten więc ofiarowany mu dar przyjął, ale w duszy obrachowywał już możliwość oddania zaciągniętego długu.

Rozmowa tymczasem potoczyła się o czem innem — o Polsce o ostatnich bitwach, o wiadomościach z kraju, a stary wesół był i szczęśliwy, jak każdy, kto spełnił dobry uczynek i przeszłość niedawną na pamięć przywodzi.

— Słuchaj Widzki — rzekł wreszcie stary, a czy nie gnie-

wasz się za to, że cię nie twojem nazwiskiem Lubowidzki, ale Widzki nazywam?

— Gdzie zaś! — odpowiedział zapytany. — Wszystko co od pułkownika odnośnie do mnie wychodzi, wielce szanuję i cenię, bo wiem, że mnie pułkownik kochasz jak ojciec.

— Bo też nie ma śmieśniejszych nazwisk jak długie. Lubo-widz-ki, mój Boże, jakież to długie. Wilk naprzykład to co innego, to mi to miano. Zresztą w głowie mi się pomieścić nie może; jak taki zacny chłopak, jak ty, może się tak samo jak człowiek wielce nie miłéj pamięci nazywać? Oj, gdyby go Łubieńscy nie wykradli, byłoby mu ciepło. No, ale ja tu cię zatrzymuję głupstwami, a tyś tymczasem głodny. Ruszajże co prędzéj i przedewszystkiem wytnij porządnego b o e u f a.

Porucznik chciał jeszcze dłużéj pozostać, ale pułkownik go wyprawił, tłomacząc się, że sam do roboty zabrać się musi.

* * *

Kto był pułkownik Wilk? — Był z rzędu tych licznych u nas na początku XIX wieku ludzi, których Opatrzność zesłała jakby umyślnie, dogadzając najpilniejszéj potrzebie znojów wojennych. Nie byli oni silni głową, lecz sercem, nie potęgą inteligencyi, ale mocą ramion, żelaznem wytrwaniem i nieustraszonem męztwem się odznaczali. Ojczyzna była ich bóstwem jedynem, a obok niego stawało drugie, w potędze mu równe, — honor. Na ich usługi oddali wszystko co mieli, a gdy ostatni jakby jakich Bayardowskich rycerzy do szczytu bohaterstwa ich podniósł, czemuż równych usług nie otrzymało pierwsze ich bóstwo? Nie było ogniska, któreby te rozbiegłe promienie w jedno światło skupiły, nie było głowy, któraby ich porywami kierowała, nie było siły, któraby pojedyńczych olbrzymów w jeden olbrzym-naród zamieniła. Zwracali się wszyscy do zachodniego boga wojny, a ten ubóstwiany ich mały kapral najmniéj może, ze wszystkiego pojmował, co to jest Ojczyzna. Rzucał tych walecznych po libijskich piaskach, po szczytach Sierry, po antypodach; rozstrzeliwał, rozpraszał, rozdrabniał i po nad ich Ojczyznę wóz swój tryumfalny wyżéj postawiwszy, przykuł ich do siebie uczuciem honoru, zmuszając pierwszego, ważniejszego uczucia się wyrzec, lub przynajmniéj kazał zejść mu z pierwszego planu.

Wilk w młodzieńczym, ba w dziecinnym jeszcze wieku, zaciągnął się pod sztandary Napoleona i, wziąwszy udział w nie-

zliczonéj ilości bitew, piekąc się na słońcu Włoch i Afryki, marznąc na śniegach północy, w bitwie pod Borodino legł między trupami, mając obie nogi przez granat pęknięty strzaskane. Chłopi miejscowi uratowali go od śmierci i pieczołowitością taką, na jaką zdobyć się mogli, przy życiu utrzymali. Po długiéj wojnie wracał do kraju ze stopniem pułkownika, z krzyżem legii honorowéj, z ciałem pokłutem jak przetak i ze zniszczonem zdrowiem. W kraju czekać go musiała bieda, boć żadnego majątku nie posiadał, a nie był sam, bo kiedyś jeszcze przed austryacką kampanią, kiedy księstwo warszawskie ustanowione zostało i kiedy myślał, że tylko w kraju i dla kraju służyć będzie, ożenił się z ukochaną Marcysią i był już ojcem równie a może więcéj ukochanéj Marynki. Do służby wojskowéj znowu wstąpić nie mógł, bo mu zdrowie na to nie pozwalało, a do czego innego, ani odpowiedniego wykształcenia ani zdolności nie posiadał.

Ale czyż w kraju tak w chleb bogatym jak Polska, bez względu na wyczerpanie go przez Napoleona, może zabraknąć jego kęsa dla którego z polskich dzieci?

Wilk osiadł w Warszawie, koledzy pospieszyli mu z pomocą, a żona jego rozwinęła czynność niezwykłą, i szyjąc a haftując zupełnie zaspakajała skromne potrzeby domowe.

Jedna rzecz tylko Wilkowi dolegała. Nudziło go miasto, nudziły go spokój i bezczynność. Ale i to wkrótce stósownie do jego woli się zmieniło. Za Aleksandra I pierwsze lata istnienia konstytucyjnego królestwa były miodowym miesiącem pożycia między Polską a Rosyą. Polakom więc, a zwłaszcza dawnym żołnierzom dobrze się działo, to też i o Wilku nie zapomniano.

Dano mu miejsce nadleśnego przy jednym z oddziałów puszczy Białowieżskiéj, a pensya dobra, dworek obszerny i wygodny, tłuste grunta koło niego, aż nadto wystarczający byt materyalny mu zapewniały.

Po nad te okoliczności możność przebywania z piękną, polską naturą, łowy, a przedewszystkiem gromada gajowych i leśników, których w istny pułk zamienił i po wojskowemu ich ćwiczył, sprawiały mu największą satysfakcyą. Odmłodniał więc, wyprostował się, o ranach i reumatyzmie zapomniał, a znowu jak dawniéj hałasował, rozkazy wydawał, stał się czynnym i ruchliwym.

Jeźli zaś czasem wskutek zmiennéj pogody, lub zbytniego

zmęczenia połamane kości bólem mu załupały, a reumatyzm muskuły targał, poczciwa Marcysia sadzała go przy ciepłym kominku, kwiat bzowy mu grzała i przez kilka dni nie wypuszczała do lasu.

I było wszystko dobrze.

Niestety, w kraju, który byt swój polityczny stracił, żaden jego obywatel spokojnym pozostać nie może, dopóki niepodległość, ta najpierwsza potrzeba narodowego organizmu zabezpieczona nie zostanie. Zaprzysiężoną traktatami konstytucyą coraz więcéj gwałcono, a prowincyi, gdzie nasz pułkownik przebywał, nietylko że z królestwem łączyć nie chciano, ale owszem coraz wyraźniéj je odrywano. Naród wrzał, kipiał wewnętrznie, burzył się, młodzież ze wściekłością zaciskała pięści i spiski knuła, ale starsi wstrzymywali i łagodzili, licząc na tego, którego oswobodzicielem ludów Europy nazywano. Aliści skoro tylko po śmierci jego urzeczywistnienia nadziei nie ujrzano, spokojne dotąd stósunki zamieniły się na waśń i do rozprawienia bronią się rzucono.

Nasz pułkownik na pierwszą wieść o zaszłych wypadkach, nie czekając na odezwę, wydaną późniéj do starych wojskowych, uściskał płaczącą swą Marcysię, pożegnał wyrazem do: „widzenia“ swoich gajowych i milczkiem pomiędzy stróżującemi na Litwie wojskami do Warszawy się przekradał.

Tu jednak, ówczesny dyktator Chłopicki, dobry jego znajomy, gdyż obaj razem nie jedną kampanią odbyli, przyjął go dość kwaśno i zganił jego pospiech zbytni. Zapewniał go, że do wojny przyjść nie może, że wojna między Królestwem Polskiem a Rosyą jest niemożliwą, że wszystko skończy się na układach i że takowe w Petersburgu książe Lubecki prowadzi.

Wilk nie statysta, ani polityk, ale żołnierz, rozumował daleko prościéj. Według niego, kiedy zbrojne wojskowe powstanie wybuchło i kiedy dotychczasowych władzców z królestwa wypędzono, wojna nie tylko będzie, ale już jest, i gdyby nawet późniéj w układach miano zbawienia szukać, to te będą stokroć łatwiejsze, jeżeli się tego nieprzyjaciela choć razy kilka porządnie przetrzepie.

Argumenta te atoli do przekonania dyktatora nie trafiały. Na żądanie Wilka wejścia w czynną służbę cierpko odpowiedział, że ma dosyć inwalidów i oświadczył, że jeśli sobie życzy zająć się formowaniem nowych kadrów, niech się uda do komisyi, bo

ona się tem zajmuje, a respective do członka Barzykowskiego.

Z komisyi jako napoleońskiego pułkownika odsyłano go znowu do dyktatora i tak wodzono kilka dni od Annasza do Kaifasza.

Wilk wreszcie zły i zniecierpliwiony, klnąc na czem świat stoi, zabrał się ze stolicy i do domu powrócił.

Tu niedługo trzeba było czekać, aby się przekonać, że nadzieje pokładane przez Chłopickiego na układach były mylne. Książę Lubecki nic nie wskórawszy w Petersburgu, nie raczył nawet wrócić do kraju i tylko zdawać sprawę z jego misyi jechał hr. Jezierski, a nie krępował się on tem, że powinien tę sprawę jedynie rządowi uczynić, ale owszem jadąc, wszędzie po drodze najdziksze wieści rozsiewał. Prawił, jakie to siły cesarz Mikołaj na zgniecenie Polski przygotował, jakiemby szaleństwem było chcieć się z niemi mierzyć, jak o żadnych układach ani chce monarcha słuchać, a tylko żąda, żeby Polacy poddali się bezwarunkowo. Wyprzeć się więc powstania, zostawić je własnemu losowi i zdać się na łaskę i niełaskę Rosyi, było według niego jedynem ocaleniem i ratunkiem. Wszystkie te gawędy i z dodatkami powtarzane opowieści doszły do uszu Wilka, który teraz zewsząd chciwie wszystkiego nasłuchiwał. Oburzył się na to stary żołnierz, zapłonął wstydem, posądził cały kraj o zupełną zatratę honoru, i mając to przekonanie, że nietylko dyktator, rząd, ale i cała stolica tak działać będą, jak Jezierski doradza, postanowił nikogo już nie radzić się i nie pytać, a zrobić to, co mu w tej chwili sumienie wskazywało, jako jego obowiązek.

Strzelców swych, gajowych i leśnych zebrał, opowiedział za co i o co bój toczyć się będzie i oświadczył, że oni z nim ich pułkownikiem i nadleśnym iść na pomoc krajowi muszą.

Nikt się nie spierał, nikt nie kontradyktował, bo w tej gromadce była karność wojskowa, zebrano więc tylko flinty wszelkie, jakie pod ręką miano, ściągniono ich trochę z okolicznych szlacheckich dworków i tym sposobem powstał pierwszy partyzancki oddział na Litwie, a właściwie na Rusi w Grodzińskiéj gubernii.

Jak się oddział ten bił, jak na przemiany to rósł, to topniał, ale zawsze się trzymał i jakie krzywdy wrogowi wyrządzał, to już należy do dziejów.

W pamiętnikach do epoki téj odnoszących się, dużo pod

tym względem szczegółów zebrać można, chociaż dokładniéj one występują dopiero wtenczas, kiedy oddział Wilka niejednokrotnie z oddziałem Kuszla się łączył. Jako charakterystyczny szczegół tylko zanotować należy, że oddział tego partyzanta, odznaczający się nieporównaną karnością, bał się swego dowódzcy jak ognia, a przytem kochał go, jak ojca.

Wskutek niewygód życia obozowego, a zwłaszcza w sposób partyzancki prowadzonego boju, Wilk często na zdrowiu zapadał i jego rany dawne, lub reumatyzmy, srogie mu dolegliwości sprawiały. Choć siłą woli i charakteru umiał panować nad nimi, mimo to często podkomendni ten stan zdrowia wodza dostrzegłszy, na koń mu wsiąść nie dozwalali, ale w marszach, kontrmarszach i rejteradach na ramionach go swoich dźwigali.

Szczególniejsze także było postępowanie jego z nieprzyjacielem. Z zasady nie lubił brać niewolnika, boć zresztą dla partyzanckiego oddziału ciężar to prawdziwy. Że jednak, zwłaszcza po bitwach, pod Dębem i Iganiami między wojskiem rosyjskiem panował popłoch nie do opisania, że za spotkaniem się z naszymi, uciekali oni tłumami, broń rzucali i na łaskę i niełaskę się zdawali, trudno więc było bezbronnych mordować. Nie zgadzało się to z charakterem narodowym. Pułkownik Wilk, nabrawszy jeńców, stawił ich w szereg i miał do nich przemowę językiem, który był mieszaniną rosyjskiego, rusińskiego i polskiego, a za każdym jéj peryodem pytał się: c z y p o n i m i a j e s z? Że zaś do wymownych nie należał wcale, śmiało przypuszczać można, że choć słuchający na zapytanie takie kłaniali się głęboko i odpowiadali t o c z n o t a k, to jednak o co chodzi, zapewne nie wiedzieli.

Wilk, jakeśmy to już wspominali, na pobojowisku między trupami pod Bordinem pozostawszy, uratowanie swego życia zawdzięczał okolicznym wieśniakom i w czasie pobytu między niemi przyszedł do przekonania, że w gruncie dobry to naród, mający poczciwe instynkta, ale strasznie zahukany.

Nauczyć ich poczucia godności ludzkiéj i z tego zwierzęcego stanu do człowieczeństwa podnieść, było według niego obowiązkiem Polski. Dla tego wielce mu do przekonania przypadł aksyomat, wymyślony przez Lelewela: „za naszą wolność i waszą“ i prokłamacyi w tym duchu drukowanych zawsze całą furę ze sobą woził. Wykazawszy więc jeńcom, że nie wrogami ale przyjaciołmi naszymi być powinni, żądał żołnierskiego słowa honoru, że jeniec wypuszczony przeciw Polakom bić się

nie będzie, ale owszem pojęcia swobody po Rosyi ma roznosić.

Chociaż słuchacze nie mieli właściwie pojęcia, co to jest ten honor, a nawet i wyraz sam pierwszy raz o ich uszy się obijał, ale, że uwolnienie ich od zgodzenia się na to zależało, chętnie więc słowo dawali.

Rozdawano im wtenczas po kieliszku wódki i po parę złotówek, stósownie do stanu kasy, wkładano każdemu w raniec kilka proklamacyi, i jako nowych apostołów swobody wyprawiano do Rosyi.

Tam oni jednak wracać wcale nie myśleli, ale owszem, z pierwszym lepszym oddziałem się łączyli.

Porucznik Lubowidzki, któregośmy u pułkownika poznali, i który z drobnéj szlachty okolicznéj pochodząc, zaciągnął się pierwszy do jego oddziału, jako chłopak więcéj od innych towarzyszów swoich inteligentny, stał się prawą ręką swego komendanta. Ten nie wierzył w skuteczność téj propagandy i wiele uwag pod tym względem zwierzchnikowi swemu czynił. Wilk go zawsze jednak sfukał i zakończył argumentem, że porucznik nie zna tak dobrze jak on Rosyan.

Zdarzało się bardzo często, że nie jeden z tych, co się na ten święty honor zaklął, wpadł powtórnie w ręce naszych żołnierzy. Gniew i wściekłość niemal Wilka nie miały wtedy granic i lakonicznie na rozstrzelanie takiego więźnia skazywał. Kiedy jednak winny czy winni, jeźli ich było więcéj, przed front wystąpili, kiedy ognia do nich tylko zakomenderować było potrzeba, wtedy gniew Wilka ucichał, odezwa do więźniów stawała się dłuższa i serdeczniejsza, dla dobitności wymyślaniami przeplatana, zdwajano im liczbę wręczanych proklamacyi i znowu wolno puszczano.

Wilk usposobieniem swojem niejako odzwierciedlał w sobie charakter swego narodu, co przemożny i bohaterski bój z dziwną szlachetnością prowadził. Od wypuszczenia z Warszawy Konstantego aż do ostatnich strzałów pod Wolą, wszędzie się ta wzniosła rycerskość, niemal galanterya prawie odbija. Jakże to dziwnie wygląda w porównaniu z manifestami Mikołaja, a szczególniéj z tym, który do mieszkańców Litwy był wydany, i którego tak dosłownie późniéj dotrzymano.

Lubowidzki doradzał pułkownikowi, żeby idąc wzorem Dembińskiego, jeńców w polskie mundury ubierał i między polskie szeregi wcielał. Wilk na propozycyą podobną się oburzał, a racye jego, choć zapewne nie wyrozumowane, z tegoż samego in-

stynktu narodowego pochodziły. Sprawa nasza wzniosła i czysta, mawiał: Do roboty uczciwéj można używać tylko tego coby o celu dążności naszéj dokładne miał pojęcie.

Kiedy różowe nadzieje smutno się zakończyły, Wilk, wraz z innymi wygnańcami znalazł się na obczyźnie i przedewszystkiem do Francyi spieszył, boć Francuzi przez wspólność bojów pod jednym sztandarem toczonych, byli mu braćmi niejako.

Rzeczywiście uzyskał tu odrazu warunki, jakie gdzieindziéj do uzyskania były niepodobne. Jako kawaler legii honorowéj miał tu pobyt bezpieczny i pewny, a nadto naznaczono mu żołdu miesięcznego sześćdziesiąt franków. Nie było to zapewne wiele, i nie odpowiadało wcale jego wojskowemu stopniowi, ale, że Paryż podówczas był miastem bardzo tanicm, a potrzeby starego żołnierza, jak można sobie wyobrazić najskromniejsze, mógł więc być z tą pensyą o siebie bezpieczny.

Ale natomiast rodziła się nowa potrzeba.

Wilk, jak większość emigracyi ówczesnéj, pewny był, że pobyt jego tutaj tylko chwilowy i emigranci, bądź znowu jako żołnierze, bądź jak tryumfatorzy niedługo wrócą do kraju.

Że jednak sam był schorowanym i za swoją Marcysią i Marynką tęsknił, postanowił ją bądź co bądź do siebie sprowadzić.

O to, z czego żyć będą w Paryżu ani na chwilę się nie zatroszczył, bo myślał że zaradna ta kobieta poradzi sobie tutaj tak samo, jak już kiedyś poradziła w Warszawie. Przyjazd ich jednak wymagał pewnego kapitału, i nagromadzenie go stało się w obecnéj chwili głównym Wilka celem. Dla niego wyrzekł się wina, dla niego robił wszelkie możliwe oszczędności, odmawiając sobie wszystkiego i oprócz tego postanowił przez jakikolwiek zarobek dochody swe zwiększać.

Rzemiosło nastręczało się jako jedyny resurs, ale do jakiegoż rzemiosła zdolny był stary sterany żołnierz, który całe swe życie jedynie wojaczką się zabawiał?

Ta żołnierska jednak, a późniéj myśliwska jego praktyka dały mu pewien fach w ręce. Wilk uważał siebie za wcale dobrego rusznikarza i jak to się tam na Litwie mówi, utrzymywał, że jest skończony b i c m a c h e r (Büchsenmacher). Kwalifikacya ta atoli istniała tylko w jego imaginacyi. Zamek od strzelby odkręcić, lufy wyczyścić, sprężyny cyngla zakarbować, kulę ulać, bagnet lub tasak potoczyć, ot było wszystko. Odpowiedni fabrykanci, do których się udawał, odpowiedzieli mu, że taka umiejętność nie jest umiejętnością żadną, a za stary już jest, żeby

się miał rzemiosła uczyć. Wilk rozgniewany za wygraną nie dał i postanowił koniecznie pilnikiem i dłutkiem na życie zarabiać. Wziął się więc do reperacyi parasolów — boć to także robota około metalu. Jednak profesya ta bardzo małe dochody mu przynosiła, a okazye do wydawania ciężko uciułanego grosza, jak to już widzieliśmy, nastręczały się często.

* * *

Od spotkania Wilka z Burkiem kilka lat upłynęło, a zamiary pułkownika, dla których ośm miesięcy ciężkie do wytrwania mu się wydawały, mimo znacznie dłuższego czasu w urzeczywistnienie nie przeszły.

Były chwile, że uzbierany kapitał dochodził olbrzymiéj sumy trzysta franków, ale doszedłszy do tego szczytu zwykle topniał, schodził do stu, albo i niżéj franków i trzeba było rozpoczynać na nowo.

Nadto, sposób życia, jaki z powodu spotkania się z Burkiem pułkownikowi wielkim losem na loteryi się wydał, dawał skutki pożądane dla Burka, ale nie dla Wilka. Burek potłuścial, zaokrąglił się, sierść jego nabrała połysku, a oczy téj zwykłéj u psów dobrze żywionych nonszalancyi. Do polskiego nazwiska przywykł i widocznie było mu z niem dobrze.

Ale zupa przygotowywana na mięsnych okrawkach, bez względu że do niéj mieszano coraz inne jarzyny, że pułkownik wykrył nawet sklepik, gdzie podobnéj do polskiéj kaszy perłowéj dostał, nie szła mu jakoś na zdrowie. Wychudł, wymizerniał a reumatyzm, który coraz gwałtowniéj uczuwać się dawał, często kładł go do łóżka, i zarobek z naprawionych parasolów z budżetu wykreślony być musiał.

Jeszcze, jakby na nieszczęście Lubowicki, jako czeladnik ślusarski wyjechał do Montpellier, pułkownika odwiedzali znajomi, ale wizyty te nie przynosiły mu ulgi, ale raczéj troskę. Prawda, że Burek oczekiwanie przeszedł, że rano z koszykiem włożonym mu na szyję sam szedł do rzeźnika, a późniéj po leguminy do f r u i t i è r e, że go w cyrkule już znano i wiedziano, co w koszyk na jego karku włożyć należy — ale na załatwieniu sprawunków się kończyło.

W domu Burek oszczekiwał obcych, witał rzucaniem się na piersi i kręceniem ogona Polaków i ciężarem ciała swojego za-

trzaskiwał drzwi, jeśli kto wchodząc otwarte je zostawiał — ale po za te funkcye wybiedz już nie umiał.

Dla pana jego przyszła jeszcze inna zmartwienia przyczyna. Emigracya w swem łonie podzieliła się na dwa obozy wybitne i wrogie, które gwałtownie jeden przeciwko drugiemu wystąpiły.

Kiełkująca już w czasie powstania myśl, że przyczyną upadku sprawy było oddanie jéj w ręce arystokracyi, skrystalizowana przez Mochnackiego i Sołtyka, wydała bujne żniwo. Zaczęto twierdzić, że powstanie upadło dla tego, że w początku Lubecki się niem zaopiekował, że późniéj Czartoryski był najwybitniejszą w rządzie jednostką. Poczęły się szperania, wyszukujące win nawet tam, gdzie ich nie było i partya tak zwana demokratyczna, coraz się wyróżniając, nienawiścią, szyderstwem i wzgardą miotała na przeciwników.

Wilk do partyi téj przystał duszą i sercem.

Dla czego? Czyżby przekonania demokratyczne były w sercu jego złożone? Wcale nie. Ogólnie biorąc, można powiedzieć, że w téj formie, w jakiéj się przekonania te pojawiały, były one nowością dla Polaka, a tem więcéj dla człowieka, który całe swe życie nie zwykł był rozumować, tylko nadstawiając pierś swą żołnierską, słuchał ciągle komendy i rozkazów starszych.

Ale z drugiéj strony nikt z Polaków, a przynajmniéj nikt na emigracyi nie wątpił, że bój niebawem się ponowi, partya więc, która błędy dawne widziała, stanowczo się ich wyrzekała i do czynu innemi miała kroczyć drogami, i dla tego na pierwszy rzut, dla tęskniących za krajem wygnańców najwięcéj dawała gwarancyi.

Nadto, pułkownik Wilk sam osobiście ze strony Chłopickiego miał dowód niewiary w sprawę narodową. Pamiętał to, a może i osobista uraza, jakiéj doznał, tem silniéj w pamięci mu tkwiła. Ludzie najtrudniéj zapominają tego, co osobiście ich dotyczy.

Pomijając te sprawy publicznej niejako natury, ciężkie także dolegliwości osobiste spadły na naszego pułkownika.

Chorobą złamany, większą część dnia przepędzać musiał w łóżku, a rzadkim był wypadek, żeby odźwierny długim jego niepokazywaniem się zaniepokojony, nabrał ochoty wdrapywać się aż na szóste pięterko. Przyszedłszy, zapytał o zdrowie, rzucił parę obojętnych i stereotypowych życzeń, i niedowiedziawszy się nawet, czy choremu czego nie potrzeba, z usposobieniem obcego i nieprzychylnego dla biednych, odchodził. — Pułkownik przebywał więc tylko ze swoim Burkiem, a łatwo

pojąć, jak dla Polaka, przywykłego do gwarnego obozu, życie to było ciężkie.

Niemożność sprowadzenia do siebie żony i córki stawała się też troską coraz dolegliwszą, a że listy do emigrantów nie dochodziły, przez lata więc całe, jeśli nie zdarzyła się jaka przypadkowa okazya, nie było wiadomości — i biedny Wilk, to chorobę, to nawet śmierć swojej ukochanéj Marcysi i Marynki przypuszczał.

Łatwo pojąć, jak dla kochającego szczerze serca chwile podobne były zabójcze, a jeśli do tego dodamy tęsknotę za krajem, dolegliwości fizyczne i samotność, zrozumiemy łatwo i wybaczymy myśli samobójstwa, jakie staremu żołnierzowi od czasu do czasu chodziły po głowie.

— Trzeba raz skończyć tę nieprowadzącą do niczego mękę, mówił do siebie, utkwiwszy oczy w zakurzony sufit swéj izdebki. Ale jak?.... zastrzelić się? Nie mam pistoletu, nie mam żadnéj broni palnéj. Trzeba kupować, trzeba nadwerężać grosz uskładany, któryby Marcysi mojéj się przydał. Skoczyć z mostu do Sekwany byłoby prostsze.

Burek, który w tym czasie chrapiąc, spał u nóg łóżka, zawarczał.

— Ha, ha, — zaśmiał się Wilk. — Ostrzega bestya, żeby mnie z wody wyciągnął. A cóż? wszak to wodołaz, ratować tonących, to jego rzemiosło.

Burek jednak widać nie bratał się wcale z myślami swojego pana, ale musiał zawarczeć, usłyszawszy kogoś na schodach, bo w tejże chwili do drzwi izdebki zapukano.

— Entrez — zawołał pułkownik, trochę tą niespodziewaną wizytą zdziwiony. Drzwi się powoli otworzyły i do stancyjki wsunęła się cichutko figurka mała, trochę pękata, zarumieniona, łysa i uśmiechnięta.

Był to dobrze na całéj emigracyi znany pan Filip.

Nazwiska jego nie wymieniano prawie nigdy i my go więc wymieniać nie mamy potrzeby, zwłaszcza, że stanowczo namby się to nie opłaciło. Przekazać pamięci należy tylko imiona, do jakich wspomnienie jakichkolwiek zasług się wiąże, a pan Filip nigdy i nigdzie żadnych nie położył. W Polsce trochę literat, trochę urzędnik, żołnierzem stał się, kiedy mu się zdawała wygrana pewną, ale tak zręcznie lawirować umiał, że prochu nigdy nie wąchał, woń jego niekorzystnie mu bowiem na nerwy działała. Dla czego i po co znalazł się na emigracyi, trudno to

także wiedzieć, ale wciskał się wszędzie, kłaniał się wszystkim, ze wszystkiemi partyami przestawał, i gdy większość biedaków z głodu przymierała, jemu brzuszek się zaokrąglał i róże na policzkach kwitły. Zawsze starannie ubrany, zawsze wypogodzony, nie miał stałego zajęcia, a jednak życie nie musiało być dlań bardzo ciężkie, bo w każdéj okazyi, przy każdem spotkaniu i humor okazywał dobry i zawsze z zadowoleniem się uśmiechał.

U Wilka nie bywał on prawie nigdy, bo dziwnie ci ludzie nie kwadrowali ze sobą, to też niezmiernie pułkownik się zdziwił jego przybyciu.

— Do nóg upadam pana pułkownika, — zaczął przybyły od progu. — He, he he,... to jeszcze w łóżeczku. Racya, racya, zdrowieczko kochane szanować trzeba; czego nie zaszanujesz tego i nie masz.

— Djabłaż tam, — zawołał zniecierpliwiony pułkownik, — trudno szanować to czego się nie ma. Reumatyzmy od tygodnia do łóżka mnie przykuły, a rany w nogach dokuczają strasznie. Ale, siadajże, panie Filipie.

Przybyły do łóżka chciał się przybliżyć, ale Burek podniósłszy głowę, resztki białych zębów, jakich mu nie wybito, pokazał.

— O sobaczka.... sobaczka taki ładny, a taki zły! Jakoś nie bardzo po przyjacielsku mnie wita.

— Burek, leżeć, — zawołał gospodarz i na krzesło przy łóżku wskazał. — Cóż takiego rzadkiego gościa do mnie sprowadza?.... zapytał, wchodząc od razu in medias res.

— Ot — przechodziło się, — mówił ręce składając Filip, — tom o szanowne zdrowieczko zacnego pułkownika chciał się dowiedzieć.... A ot źle jak widzę..... i reumatyzmy trapią, i rany dokuczają, a może doktora? tobym go sprowadził.....

— Dziękuję..... odwiedza mnie poczciwy Korabiewicz, ale cóż nie Pan Bóg on, zdrowia i młodości nie wróci.

— To źle, bardzo źle, ależ przecie nic ci tu, panie pułkowniku nie brakuje?....

— Chwalić Boga, — mruknął Wilk z tłumionem westchnieniem, — i gdyby jeszcze była tu moja baba; — tobym już zupełnie był spokojny.

— He, he, he, wolne żarty — zaśmiał się Filip. — pani pułkownikowa dobrodziejka niezawodnie sama na przybycie mężulka oczekuje.

— Oh, oczekuje, ale Bóg wie, czy się dorzeka. Nieszczęście jakieś zaciężyło nad nami, kto wie, czy swoich kości tu, na obcéj ziemi, nie wypadnie nam złożyć.

— Cóż znowu?.... — rzekł, uśmiechając się Filip. — Niech bawią ci tu, którym dobrze, a kto tęskni i rwie się do swoich, wrócić przecie może.

— Jakto wrócić? — zapytał gwałtownie pułkownik i szarpnął się tak silnie, że aż usiadł na łóżku.

— A no, nie wiem ja, czy to pewne, ale mówiono mi, że jakoby cesarz Mikołaj miał udzielić emigrantom amnestyą.

— Co? amnestyą - zawołał znowu Wilk, — czyż waść sądzisz panie Filipie, że znalazłby się między nami ktokolwiek, coby z tego korzystał?

— A cóżby im przeszkodziło, gdyby chęciom nic na zawadzie nie stało? — zrobił uwagę, niby dobrodusznie Filip.

— Więc to mówisz ty? — zawołał pułkownik, — ty coś piosneczki nam układał i artykuły pisał?

— No, — a cóż to znowu tak złego, mój dobrodzieju?

— Co złego?.... pytasz?.... i z niesłychanym ogniem wypalił replikę w któréj racye emigracyi i tępemu nawet umysłowi jakby łopatą w głowę włożył.

— Dziwny bo człowiek, pułkowniku jesteś — mówił pan Filip, kręcąc wielkiemi palcami rąk splecionych młynka. Więc tobie się zdaje, że marnować się tutaj jest korzystniejsza, aniżeli u siebie zagon ojczysty uprawiać? Więc sądzisz, że z łaski takiéj nie trzebaby korzystać? O wiesz co, żeś śmieszny dobrodzieju!

— Nie wiem, kto z nas śmieszniejszy. Ale co tam rozprawiać? — Jedź sobie kiedy chcesz, ja wytrwam na stanowisku.

— Praca i bez nagrody i bez korzyści — bąknął pan Filip.

— Tak sądzisz? — przerwał z żywością pułkownik. — Więc ruszaj, nie wstrzymuję cię.

— Piękne stanowisko chorzeć na łóżku, jak Hiob i co chwila głodnéj śmierci wyglądać.

— Kto ci dał prawo naigrawać się ze mnie — zawołał już w pasyi pułkownik. — Wiedz o tem, że na mojem łożu boleści większy jestem aniżeli mocarze świata. Stoi koło mnie z jednéj strony słuszność, z drugiéj dopełniony obowiązek, i mimo ran moich, przez kij przesadzę każdego, ktoby drwić i szydzić ze mnie sobie pozwalał. — Rozumiesz waść? zawołał i ściśnię-

tym kułakiem tak gwałtownie do gościa wymierzył, że ten cofnął się i nastąpił na Burka, który warknął złowieszczo.

— A zawsześ gorączka — rzekł, mitygując się — ot gada się, aby się gadało, przypuszcza się i to i owo, a każdemu przecież wolno o każdéj rzeczy myśleć, co mu się podoba.

— Nieprawda — zawołał, coraz więcéj unosząc się pułkownik — ja wiem, że ty włóczysz się po arystokratach, po rozmaitych kątach, kto wie, musiałeś tam coś przewąchać, bez kozery nie przychodzisz. Słuchaj, jeżeli pokusisz jakiego głupca, ciężki za to zdasz przed Panem Bogiem rachunek.

— A zawsze podejrzliwy, a zawsze posądzający — mówił, mając się ku wyjściu przybyły, — a cóżbym ja wiedział oprócz wieści, jakie sobie powtarzają ludzie, a że na rzeczy można się patrzeć i tak i owak, przeto ja trochę inaczéj sądzę i twój pułkowniku upor....

— Nie upor, wrzasnął już prawie pułkownik, ale obowiązek. Dziś, gdy nie mamy rządu, nie mamy sejmu, a przedewszystkiem bagnetów, tylko tym uporem sprawa nasza stoi. Biada i jéj i nam, gdyby się upor ten, jak go Waść, panie Filipie, zowiesz, miał złamać, lub tylko osłabnąć...

— At, wodę warzyć, woda będzie — mruknął, ściskając Wilka Filip i do drzwi prędko się cofnął.

— Wszystko, co kraju dotyczy, wołał za nim grzmiącym głosem gospodarz, nie woda to, ale krew gorąca, serdeczna, Sacré — nom — de — nom.....

Ale gościa już nie było. Burek tylko, jakby to wzburzenie pana swego rozumiejąc, poskoczył do drzwi, otworzył paszczękę, jakby chciał grubym swym głosem szczeknąć, ale niepewny, oglądał się to na pułkownika, który teraz z bólu już krzywił się i sykał, to na drzwi, jeszcze się wahające.

Stary pies francuzki przywykł już do dźwięków naszéj mowy i każdego, kto nią przemawiał za przyjaciela domu uważał, teraz zaś wzburzenie jego pana w psiéj jego głowie musiało jakieś wątpliwości zrodzić.

* * *

Faktem jest, że czy to w naturze, czy w organiźmie politycznym lub społecznym jedne i też same przyczyny wywołują odpowiednie zjawiska i sprowadzają odpowiednie skutki. Każdy kto uprzytomni sobie epokę przed pamiętnemi laty 1846 i 1848

roku spostrzeże łatwo, że wyglądała ona tak jak parny dzień letni przed gradową i gromami brzemienną burzą. Zmora jakaś dusiła wtety piersi wszystkich, oddychało się ciężko i ponad życiem wlokącem się jakoś leniwie i ospało wisiało ciemne jak noc i jak ołów gniotące niebo.

Każdy czuł, że zmiana zajść musi, bo faktem było, że w warunkach dotychczasowych wyżyć nie było podobna. Rozumie się, tem więcéj dolegliwość tę uczuwały ludy, im więcéj pod względem politycznym lub społecznym wyrobiony był ich organizm. Francya, która katastrofy podobne przechodziła już niejednokrotnie, najwięcéj do jakiejś niespodzianki, do jakiegoś wybuchu, do jakiejś gwałtownéj burzy, była przygotowana. Zamieszkali w łonie jéj Polacy tychże samych doznawali wrażeń, bo od chwili upadku swéj ojczyzny, moralnemi węzły z tym narodem zachodnim związani, mieli wiele celów, wiele pragnień wspólnych. Nadto, narodowi ich poeci do czynu ich zwali i wielkie posłannictwo ludzkościowe krajowi swemu wróżyli. Ta ostatnia okoliczność była zarazem powodem, że w dążnościach wspólnych były także pewne różnice i kiedy Francuzi w podobnéj chwili przejściowéj, w chwili niejako wyczekiwania, tępieli i kamienieli jak głazy, zda się zasypiali przed burzą, aby snem tym energią ukrzepić; Polacy przeciwnie ożywiali się, krzątali, nabierali nadziei, jakby przebiegające jeszcze rzadko elektryczne prądy do życia, do czynu ich pchały.

Najruchliwsza część emigracyi, ta, co się w towarzystwo demokratyczne związała, najpierwéj uległa temu prądowi. Rzucano się na wszystkie strony, wszędzie zawiązywano stosunki, do kraju posyłano emisaryuszów, bo jeszcze wtenczas świeciła wśród emigracyi zasada, że ona sama jako przewodnik wystąpi.

Wilk tem wszystkiem interesował się żywo, ale udział w czynnościach tylko przez połowę mógł przyjmować. Ostatnie lata były mu z jednéj strony pomyślne, gdyż marzoną przez siebie sumkę z wyjątkiem brakujących jeszcze pięćdziesięciu franków uciułał; ale natomiast choroba jego wzmagała się coraz gwałtowniéj i już ostatniego lata, rzadko tylko mógł z izdebki swojéj na słońce i na powietrze wychodzić.

Z nastaniem jesieni do reumatyzmów przyłączyły się jakieś nerwowe bóle, a paraliż powoli pojawiać się począł i szedł od dołu ku górze.

Doktór Korabiewicz, który go leczył, mocno o swego pa-

cyenta się lękał i nie mówiąc o tem nikomu, sam obawiał się nie żartem aby serce zaatakowane nie zostało.

Burek poczciwy był jak dawniéj głównem pułkownika towarzystwem, ale Wilk o swym stanie niebezpiecznym nie wiedział, a owszem pełen był jak najlepszéj otuchy, raz z powodu zupełnéj pewności, że wreszcie droga Marcysia z Marychną zjadą do niego, a jeszcze więcéj z powodu robót, jakie towarzystwo demokratyczne na wszystkie strony rozpoczęło, i z powodu nadziei które coraz wyraźniejszemi się stawały.

Do ożywienia starego przyczyniało się i to także, że kochany jego porucznik Lubowidzki z Montpelier od pewnego czasu powrócił i osiadł w Paryżu, czekając, rychło dadzą się jego młodość, siły i poświęcenie zużytkować na nowo. Jako czeladnik ślusarski cały dzień bywał zajęty, ale wieczorem zawsze na długie pogawędki do pułkownika przychodził.

Rozmawiali często o polowaniach w puszczy Białowieżskiéj, o pani pułkownikowéj i jéj prędkim przyjeździe, o wypadkach kampanii ostatniéj, ale częściéj o przyszłych nadziejach.

Właśnie jednego wieczora gawędzili długo na ten temat i najpewniejszą przyszłość przed sobą widzieli, kiedy pułkownik spostrzegłszy późną już bardzo porę, nagle zmienił zupełnie rozmowę.

— Jednak dziwnie to się dzieje mój Widzki, — rzekł. — Ot, jutro odbieram moją dwutygodniową gażę, zapłacę dziesięć franków długu rzeźnikowi i za mieszkanie i tylko mi już jednego ludwika będzie brakować do funduszu potrzebnego na drogę moich niewiast. Pojutrze wyjeżdża jeden bardzo zacny kupiec do Polski, który pieniądze mojéj babie podjął się doręczyć i rozumie się cyfra brakująca jest już niczem, gdyż w ostatnim razie sama ona sobie już tam na miejscu poradzi. Za kilka więc tygodni mogę je mieć koło siebie na pewno. A jednak szczególne to doprawdy. Tyle lat na to czekałem, takiemi ofiarami do tego przyszedłem, i ot dzisiaj może to zbyteczne, bo może ja niedługo sam w szeregach rodzinnych do ojczyzny wrócę.

— Naturalnie, — odpowiedział uśmiechając się z pewnem niedowierzaniem Lubowidzki. — Juścić samo z siebie się rozumie, że nie kto inny, tylko pułkownik nad nami obejmie komendę. Ale teraz jesień, do roboty pewnie nie przyjdzie wcześniéj jak na wiosnę. Tutaj nad tobą trzeba opieki, czuwania, to też może Pan Bóg umyślnie pozwolił urzeczywistnić się twym

życzeniom, żeby przy kobiecym starunku zdrowie prędzéj na usługi ojczyzny powróciło.

— A cóż to zatracony ty raku jakiś (był to przydomek, wzięty zapewne z jakiéjś ludowéj gwary, którym pułkownik czasem swego porucznika tytułował). Cóż to, ty myślisz, żem ja już szpitalnik jaki i że skoro trąbka zagra z łoża się nie podźwignę?

I zaczął wąsa kręcić i w łóżku się prostować, ale coś mu widać w kościach strzyknęło gwałtownie, bo z bólu zaklął po cichu i zębami zgrzytnął.

Lubowidzki, nachyliwszy się, pocałował go w ramię na pożegnanie i do siebie pospieszył.

Zobaczyli się atoli ze sobą prędzéj, aniżeli to było w zwyczaju.

Na drugi dzień, kiedy Korabiewicz w czasie wizyty rannéj przy łóżku chorego jakoś głęboko zadumany siedział, a pułkownik mu na bóle ciężkie się skarżył, otworzyły się drzwi izdebki bez pukania i wbiegł do niéj Lubowidzki, uśmiechnięty, ożywiony i wesoły.

Burek, który go do najserdeczniejszych swoich zaliczał przyjaciół, spiął mu się już łapami na piersiach i ogonem radośnie na powitanie wywijał.

— A cóż to tak rano? nie w warsztacie? — zapytał gospodarz. — Więc cię może znowu Francuz oddalił i na bruk wyrzucił?

— Ho, ho! nie on mnie oddala, ale ja go sam żegnam, — zawołał wesoło jakoś porucznik. — Niech będą zdrowe pilniki i klucze, daj Boże tylko, aby na zawsze.

— Cóż to takiego znowu? . . . gadajże prędzéj.

Lubowidzki spojrzał na poważnie zadumanego doktora, ale nie z obawą jakąś, zanadto bowiem poczciwy lekarz w całéj emigracyi był znany i zanadto brał udział we wszystkich jéj robotach, żeby przed nim z czegokolwiek sekret robiono.

— A tak kochany mój wodzu, — mówił Lubowidzki, — jadę do kraju.

— Po co?

— Władza każe . . . . wysyła mnie w Poznańskie, a jestem pewny, że obowiązek, jaki na mnie wkłada, nie przejdzie sił moich.

— Jakto? więc tak gwałtownie ma się wszystko zacząć? — zapytał Wilk z niepokojem.

— Jeszcze nie teraz. Ja tymczasem mam tam naznaczoną może bardzo długą robotę.

— Hm, — mruknął pułkownik i zamyślił się głęboko, tudzież o bliższe szczegóły wybadywał.

— I kiedyż jedziesz? — zapytał po chwili.

— Nie wiem . . . . dziś może jeszcze, jutro, pojutrze . . . . Mają mi na drogę wypłacić trzysta franków, a w kasie tymczasem nie ma pieniędzy, ale niebawem się znajdą.

— Doktorze, — rzekł Wilk, dobywając z pod poduszki mały kluczyk, — bądź łaskaw pójść do stolika, tam w szufladce jest blaszana puszka z pieniędzmi, odrachuj z niéj dla Lubowidzkiego trzysta franków.

— Ależ to pieniądze pułkownikowéj, — zaprotestował silnie Lubowidzki, — ja ich nie wezmę, władza pieniądze znajdzie bez wątpienia . . . . któżby odważył się zabierać grosz z takim trudem zebrany, który ma posłużyć na sprowadzenie tutaj naturalnych twoich opiekunek.

— Głupiś, — rzekł szortko pułkownik, — ojczyzna pierwsza, aniżeli te twoje opiekunki.

Doktor tymczasem nic nie mówiąc, zastosował się do polecenia, wskazaną sumę odliczył, przystąpił do zmięszanego Lubowidzkiego i w rękę mu ją włożył.

— Ależ to niepodobna, — wołał ten rękę cofając. — Ja tych pieniędzy nie wezmę . . . . przecież na trzysta franków kasa się nasza zdobędzie.

— Weźmiesz! . . . — zawołał głosem komendy pułkownik. — A cóż to, bunt, niesubordynacya do stu kartaczy! . . . to taki z waści żołnierz, taki mój wychowaniec? . . . Weźmiesz i zaraz mi ztąd do władzy iść, zameldować, że są pieniądze na drogę i dzisiaj wyjechać . . . . Rozumiesz? . . . .

Porucznik stał z rozwartą dłonią wahający się i niepewny.

— Weź — rzekł mu głuchym i ponurym jakimś głosem milczący doktor i dłoń mu z pieniędzmi zamknął.

Zapanowała chwila milczenia.

Chorym widocznie jakieś głębokie wzruszenie miotało, bo krzaczyste brwi jego ściągnęły się w jednę linią i z oczu pomimo naciskania ich powiekami, dwie grube łzy po wychudzonéj twarzy spłynęły.

— Synu mój — rzekł drżącym głosem. — Chodź, pobłogosławię cię.

Lubowidzki zaszlochał i na kolana do łóżka starego przypadł, głowę swą na jego piersi opierając.

Stary drżał, ale walczył ze sobą i wola chwilowe wzruszenia przytłumiła. Pocałował go w głowę i po cichu nad nią krzyżyk zakreślił.

— Idź, mój synu — rzekł drżącym jeszcze, ale silniejszym już głosem — idź — gdzie święta powinność cię woła. Obyś dobréj nowiny był posłem i oby w ślady twoje wszyscy biedni tułacze do rodzinnéj pociągnęli ziemi. Że ja między nimi będę wierz mi, chyba mi wprzódy żółtym piaskiem oczy tutaj zasypią. Honor, męzkość, gotowość na śmierć, oto twój rozkaz dzienny, a dobro i przyszłość kraju, twój cel jedyny.

I znowu zamilkł, bo mu coś jak łkanie głos zatamowało.

Lubowidzki płakał jak dziecko, a Burek przytulony do niego lizał mu opuszczone jego ręce.

Doktor we framugę okna się usunął, a twarz mu nerwowo drgała i gdyby nie cień, jaki tu na nią padał, możnaby było także nie jednę łzę na twarzy jego dojrzeć.

— No, dość tego — zawołał Wilk głosem już pewnym. — A toż pięknych będzie miał kraj obrońców, jeżeli oni w dniu, kiedy do czynu przystąpić trzeba, zamiast w pospiechu ze skóry wyskoczyć, płaczą jak baby i łzami się zalewają. Dość powtarzam, zameldować się natychmiast i jak najprędzéj na wskazaną placówkę spieszyć.

Rękę porucznika uścisnął jeszcze raz, brwi zmarszczył i na drzwi mu wskazał.

Kiedy ten ostatni na środku był stancyjki, zatrzymał się mimowoli i byłby niezawodnie do łóżka wrócił bo i pułkownik także instynktowo rękę doń wyciągał, ale zmiarkował się stary, rękę cofnął i krzyknął.

— Ruszaj! Doktorze, wyprowadź że tego mazgaja!

Doktor posłuszny wziął kapelusz i z Lubowidzkim wyszli. Schodzili po schodach milcząc.

Kiedy znaleźli się na kurytarzu dolnym, jaśniéj oświeconym, Lubowidzki się zatrzymał.

Nie, ja nie mogę tych pieniędzy przyjąć — rzekł — to byłby grzech, to byłaby zbrodnia.

— Możesz i przyjmiesz, — rzekł sucho doktor.

— A za cóż żona jego przyjedzie? — zapytał.

— Żona nie potrzebuje przyjeżdżać, boby się spóźniła.

— Jakto?

— Pułkownik najwyżéj dwa dni pożyje.

Lubowidzki drgnął cały, później schwycił doktora za klapy surduta i wstrząsnął nim silnie.

— Doktorze, ty się mylisz! . . .

— Nie, była głucha odpowiedź.

Ręce porucznikowi opadły, westchnął głęboko i rzekł jakby do siebie.

— A więc tem więcéj nie. Kraj sierocego grosza wdów i sierót na swoje potrzeby przyjmować nie może.

Te trzysta franków, to może cały ich majątek. Na, masz, weź doktorze to złoto, bo ono dłonie mi pali.

— Człowieku krótkowidzący, człowieku małéj wiary — rzekł doktor wstrząsając głową. — Kto ci dał prawo ubliżać naszym Polkom? Więc sądzisz, że ta, która dla ojczyzny oddała swego opiekuna, męża, ojca swych dzieci, marnego kruszcu na ołtarz jéj pożałuje? Wierzaj mi są trudy i trudy. Ten pieniądz dla tego taki cenny, że na każdéj jego sztuce zaschnięty pot krwawy złamanego starca, który na inny los zasłużył, że na każdéj monecie jak w lusterku widne jego dni głodne, jego zimne, nieprzespane noce. Ten pieniądz, mówisz, to może jedyne wiano wdowy i sieroty, śmiało więc nieś go tam, gdzie wszystkie usiłowania nasze iść powinny, a może właśnie fundusze takie szalę przeznaczenia na naszą stronę nachylą . . . .

Lubowidzki nic nie mówił, ale drżał cały, a złoto konwulsyjnie ściskał w swéj dłoni.

— A gdzież energia, gdzie siła, gdzie wola? — rzekł mu głuchym, lecz surowym głosem lekarz. — Jeśliś tak usposobiony, powstrzymaj kroki na drodze, którą bieżysz, a drżysz jak liść i jak dziecię płaczesz. Pamiętaj, że dla kraju potrzeba mężów z sercem jak wulkan, a ramieniem stalowem . . . .

Lubowidzki ze stanu tego ocknął się i westchnął głęboko.

— Ty się mylisz, panie mój drogi, — po długiem milczeniu zapytał.

— Niestety . . . . nie . . . . paraliż do serca idzie, za dwa dni będzie po wszystkiem.

Lekarz się nie mylił, poświadczyć to mogą ci, którzy za trzy dni po téj rozmowie rzucali polskim obyczajem grudkami obcego żółtego piasku na tętniące głucho wieko ubogiéj trumny pułkownika Wilka.

UJK Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach

WIECZERZA.

USTĘP Z ŻYCIA MICKIEWICZA.

Zaledwie emigracya polska z 1831 r. we Francyi stanęła, zaledwie pewniejszą gościnność i trwalszy grunt pod nogami swemi poczuła, najpierwszą potrzebą, o jakiéj pomyślała przed innemi, była potrzeba duchowa, potrzeba wylania myśli swej na papier i zakomunikowania jej za pomocą druku rodakom.

Kwiat, czoło, inteligencye narodu tu się znajdowały, każdy mówić pragnął, i mówić miał o czem, a niecierpliwość serce paliła, bo zdawało się, że lada chwila działać wypadnie, że powrót tryumfalny po działaniu nastąpi, byle tylko co prędzéj mówić, byle uczyć, byle strzedz przed powtórzeniem popełnionych już błędów.

W obec takiego gorączkowego niejako usposobienia, w obec uczucia potrzeby jak najszybszéj pracy dla sprawy ojczystej cóż znaczył głodny żołądek, cóż brak dachu nad głową i co niepewność jutra? Pisać, drukować i mówić ciągle o kraju stało się przykazaniem codziennem.

Pod wpływem tej dążności zaraz już 1831 roku Straszewicz ogłasza prospekt na wydawnictwo swoich: les Polonais et les Polonaises, Eustachy Januszkiewicz rozpoczyna dzienniczek Pielgrzym, Mochnacki i Podczaszyński Pamiętnik i t. d. bez końca.

Poważniejsze po nad te dziennikarskie próby, bo już ściśle wydawniczem przedsiębiorstwem, był zamiar Aleksandra Jełowickiego, posła hajsyńskiego, polegający na tem, aby nabywać

najcenniejsze rękopisy autorów polskich współczesnych i te w Paryżu drukiem ogłaszać.

Początek wróżył jak najlepszą i najświetniejszą przyszłość zamiarowi, bo pierwszym rękopisem, do wydawnictwa nabytym, był nieśmiertelny pan Tadeusz.

Wszakże przy najlepszych nawet chęciach i przy dosyć silnie zamanifestowanem poparciu z kraju, wszystkie te redaktorsko-wydawnicze projekta trafiały na liczne przeszkody. Stosunek z drukarzami Francuzami do przyjemnych nie należał, o zecerów polskich było trudno, a ci z Polaków, którzy kunsztu tego się wyuczyli, niechętnie szli na służbę do obcego zwierzchnika i niechętnie między obcymi przestawali robotnikami.

Jako pierwszy środek zaradzenia tym licznym niedogodnościom nastręczała się koniecznie myśl złączenia sił rozstrzelonych i wytworzenia przedsiębiorstwa, któreby już wyłącznie polski nosiło charakter.

Inicyatywę do tego dał Aleksander Jełowicki i dn. 6 Lipca 1835 r. zawarł z Eustachym Januszkiewiczem umowę, na podstawie której wydawnicze jego zamiary łączyły się do spółki i firma Alexandre Jełowicki et Comp. miała założyć drukarnię i księgarnię.

Jełowicki wnosił 15,000 franków gotówki, tudzież na własność wspólną oddawał wszystkie swoje dotychczasowe nakłady; Januszkiewicz w ratach podobny kapitał wnieść się zobowiązywał i brał na siebie administracyę zakładu, przewodniczenie w komitecie, rozpatrującym rękopisy i całą część handlową.

Rozumie się, ponieważ przedsiębiorstwo miało objąć: drukarstwo, broszurowanie, introligatorstwo i odlewnię czcionek, kapitał zakładowy był mniej jak wystarczający, i z pomocą, jak zwykle na emigracyi, pospieszył ks. Adam Czartoryski, którego wychodźtwo szarpało często, ale który mimo to worka swego nigdy na potrzeby polskie nie żałował.

Tu, pomoc jego ułatwiła jeszcze ta okoliczność, że na krótko przed listopadem 1830 r. ks. Adam postanowił odnowić tradycye swego ojca, generała Ziem Podolskich, i myślał o założeniu w Puławach drukarni wydawniczéj.

W tym celu zakupiono już w Paryżu czcionki, ale wojna sprowadzenie ich wstrzymała. Teraz więc oddano je do rozporządzenia zawiązującéj się spółce, warunki spłaty jak najwygodniejsze jéj wyznaczając.

Takim sposobem, pod Nr. 17 ulicy de Marais, jednéj z najciaśniejszych i najbrudniejszych w cyrkule St. Germain, powstał zakład noszący nazwę: Imprimerie et librairie, polonaise, wypisaną łokciowemi literami na drugim froncie, od ulicy de Seine, gdzie było wejście do biura.

W dwóch szopach, czy wozowniach, znajdujących się w podwórzu, mieściły się dwie ręczne prasy drukarskie, kaszty zecerskie, warsztat broszur, warsztat introligatorski, składy farby drukarskiéj i papieru.

Przy długim stole, znajdującym się tutaj, pod największem oknem, stały wązkie drewniane ławeczki, na których obok Januszkiewicza do oceniania nadesłanych rękopisów zasiadali ludzie tacy, jak: Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Ludwik i Cezary Platerowie, Jełowicki, Ropelewski, Rettel i któż ich policzy?

Jedynym zbytkownym meblem w tych dwóch obszernych rajtszulach, były dwie sofki włosieniem kryte. Na nich pozwalano zwykle nocować tym, którzy nie mieli gdzie głowy przytulić, a gdyby materace ich mówić umiały, powiedziałyby nam wiele imion takich, których potrzeby i niedostatku nigdy kraj nie przypuszczał.

Z wyjątkiem introligatora i odlewnika czcionek, którzy byli Francuzi, reszta pracowników w zakładzie zrekrutowała się z samych Polaków.

W domu do ulicy de Seine przytykającym zamieszkali dwaj bracia: Aleksander i Edward Jełowiccy, tudzież Eustachy i Romuald Januszkiewiczowie, daléj zecerzy, chłopcy do posyłek i zwierzchnik tej całéj roboczej gromady, starszy zecer (contremaitre). Pawłowicz, jasny blondyn z charakterem łagodnym, spokojnym i przeważnie milczącym, którego wiara białym robakiem nazywała.

Na kucharza nawet tej zaimprowizowanéj kolonii wynaleziono starego wiarusa, napoleonistę, który włócząc się po całym świecie z małym kapralem, ojczystego swojego języka zapomniał, a żadnego obcego się nie nauczył i mówił dziwną mięszaniną, w któréj już nie wiem z jakiej racyi, nawet i łaciny nie brakowało. Szczególniej do niektórych wyrazów się przywiązywał i nadawszy im znaczenie zupełnie inne, aniżeli pospolicie im przyznawano, żadną miarą od tego oduczyć się nie chciał. Tak naprzykład herbaty, pomimo ciągłych napomnień, nie nazwał nigdy herbatą, ale zawsze ją chrzcił wyrazem halabarda.

W tem wielkiem, wspólnem dziele, nie w chęci bogacenia się i zysku, ale w chęci służenia krajowi podjętem, niespodziewane przyszło powodzenie. Książeczka każda, z pod prasy tu wyszła, a nosząca na karcie tytułowéj orła jagiellońskiego, połączonego z litewską pogonią, biegła na wschód daleko, pukała do polskich dworków, a gościnne drzwi otwierały się dla niéj wszędzie i witały ją jako posła od braci tułaczy, jako zwiastunkę lepszéj a niezawodnéj nadziei.

W roku 1839 Aleksander Jełowicki przejęty powołaniem duchownem, wycofał się ze spółki i wstąpiwszy do seminaryum w Wersalu, prowadzenie całego interesu wydawniczego Januszkiewiczowi powierzył. Zapał w pracy mimo to i powodzenie na zewnątrz nie ustały, owszem, nie tylko z emigracyi, ale i z kraju nowe do druku przysyłano prace.

* * *

Dzień 23 grudnia 1840 r. po długich deszczach i zimowych słotach, zapowiadał się pogodnie i sucho. Chociaż słońce jeszcze nie zeszło, jednak jaśniejące w stronie wschodu niebo i szron pokrywający kamienie ulicy, kazały spodziewać się pięknego dnia zimowego.

W oknach wychodzących na ulicę de Seine, gdzie się znajdowały biura drukarni, jaśniało niepewne światełko małéj lampki blednące w miarę tego, jak dzień na niebie się pojawiał. Przy lampce tej, zgięty nad stolikiem siedział przy korektach Romuald Januszkiewicz a brat jego Eustachy z zgromną szczotką uwijał się po kątach, wymiatając kurze i sprzątając księgarnię. Skoro kupa śmieci przy drzwiach się zebrała, otworzył podwoje i w grubym swoim, wełnianym gilet de chasse zaczął zamiatać ulicę. utrzymanie w czystości połowy któréj do obowiązków gospodarza domu należało.

Januszkiewicz Enstachy w kraju zajmował się interesami tak nazwanéj massy radziwiłłowskiéj, to jest sukcesyi po śp. Dominiku Radziwile, spadłéj na córkę jego księżnę Stefanią, wydaną przez cesarza Mikołaja za hr. Wittgensteina. W interesach tych skomplikowanych dowiódł ogromnéj bystrości i choć, w czasie prowadzenia ich pobierał pensyi rocznej tylko 1000 rs. i zapewnione miał koszta podróży, jakie odbywać często potrzebował, jednak po zlikwidowaniu i uporządkowaniu wszystkiego,

miał zagwarantowane honoraryum, wynoszące milion złotych, suma na owe czasy ogromna.

Nadzieja tak olbrzymiéj fortuny nie usunęła go z drogi narodowego obowiązku i rozpocząwszy od wywołania zbrojnego ruchu w Oszmianie, aż do ostatnich chwil jego walczył pod Różyckim. Kiedy emigrować musiał, rodzina hr. Wittgensteinów dotkliwie uczuła brak tak zdolnego i gorliwego urzędnika i wyjednano dlań zupełną amnestyą, robione dawniéj obietnice nietylko zapewniano, ale zwiększono, byleby tylko do kraju go ściągnąć.

Januszkiewicz wołał z miotłą uwijać się po ulicy, wołał to jako korektor, to jako rachmistrz, to jako subjekt sklepowy, jak wół w jarzmie od świtu do nocy pracować, aniżeli przyjąć te świetne propozycye. Dla czego? Niech własne jego słowa zawarte w odpowiedzi na robione propozycye wyjaśnią:

„Emigracyi przeznaczeniem jest, pisał on, zamordować się za sprawę i nic więcéj; czyż podobna myśleć, aby ona wracała do kraju dyliżansami, albo okrętami, jak pieprz, albo śledzie holenderskie? Z bronią wyszła z ojczyzny; z bronią jéj tylko będzie wolno wrócić. Mam coś droższego nad majątek i tego czegoś stracić mi nie wolno?“

Kiedy, umiotłszy ulice, do księgarni wrócił, brat jego zdmuchnąwszy lampkę, gdyż już dzień był jasny, z wyrzutem się ozwał:

— Ej Eustachy, pamiętaj, że się zaziębisz. Któż widział bez czapki na mróz wychodzić?

— Dobry sobie, mruknął Eustachy — ja się mam zaziębić w ciepłym kaftanie i wtedy, kiedy termometr na zerze stanął. A cóżbyś powiedział o biednym naszym bracie Adolfie, który teraz, w głębi Syberyi może czterdzieści stopni mrozu wytrzymuje?

Romuald zamilkł i obadwaj bracia smutno westchnęli.

Do biura wsuwać się zaczęli zecerzy i inni robotnicy, a snać nie było tu różnicy pomiędzy panem i sługą, bo wszyscy sobie nawzajem ręce podawali i wszyscy dobrego dnia sobie życzyli.

Niedługo drzwi się otworzyły i pokazała się w nich biała czapka kucharza, który dźwigał w ręku ogromny, parujący dzban cynowy, a za nim nieduży wyrostek na okrągło wyciętem denku niósł gromadę białych fajansowych kubków.

— Buongiorno, signori — wołał z progu — voila ego apporte halabarda i mliczko.

Wesołe śmiechy wybiegły ze zgromadzenia i kiedy jedni pod dzban kubki nadstawiali, drudzy, po raz już tysiączny niezawodnie, przekonywali starego, że się nie mówi halabarda, ale herbata.

Odcinał się on jak mógł swoim różnojęzycznym żargonem, aż zniecierpliwiony Pawłowicz machnął ręką i rzekł przez zęby:

— L a i s s e z — l e, i l n e l' a p p r e n d r a j a m a i s.

— G a r d e z, s i g n o r i — wybuchnął wiarus — ot nawet i d e r w e i s s e V u r m, czy d e r w e i s s e K r e b s ze mnie się m o k u j e. E g o s e m p e r w i e m, jak mówić f a l l a i t...

Sprzeczka się wzmagała, ale Eustachy zawołał:

— Zgoda chłopcy, kończyć śniadanie i marsz do roboty.

Przez chwilę słychać było tylko wciąganie głośne napoju i tarcie szczękami ogromnych kawałów chleba, jakie każdy w ręku swym trzymał.

Kiedy większość, postawiwszy kubki, już do roboty pospieszyła i kiedy tylko h o n o r a t i o r e s się pozostali, Eustachy Januszkiewicz ozwał się mimochodem:

— Tak mi od wczorajszego dnia jedna myśl po głowie się kręci i tak nie wiem, jak się do niéj zabrać, że doprawdy was się poradzić muszę.

— Cóż to takiego? — zapytał jeden z obecnych.

— Wiecie przecież, że za tydzień imieniny naszego Adama i pamiętacie zapewne, jaką fetę duchową cztery lata temu on nam sprawił, kiedyśmy mu wieczerzę dali. Improwizacye, jakie nam wtenczas wypowiedział, więcéj, aniżeli wszystkie najlepsze wieści, ducha nam skrzepiły. Dziś zaś szczególniéj, nie tylko w kółku jemu blizkich, ale w jak największem gronie powinien on być uczczony, bo wszak otwarcie jego kursu literatury słowiańskiéj jest wypadkiem europejskiego znaczenia. Cały świat, do C o l l è g e d e F r a n c e się ciśnie i niedługo kraj nasz przez usta swojego proroka stanie się mistrzem świata.

— Aj te kursa jego — przerwał Romuald Januszkiewicz — otóż rzecz która mnie do prawdziwéj rozpaczy doprowadza.

— Dla czego?

— A no byłem pewny, że on je czytać będzie i rodaków którzy stenografa szukali, zapewniłem, że Mickiewicz je spisuje. Tymczasem oprócz pierwszéj lekcyi, którą miał spisaną, resztę ma improwizować, czyż więc można pozwolić, aby te drogie perły się marnowały?

— O to się nie lękaj — odparł Eustachy — pierwsza prelekcya rzeczywiście napisana była, a teraz stenografa wyszukał Niedźwiedź (Leonard Niedźwiedzki), koszt zaś na jego opłatę łoży Władysław Zamojski.

— No, ale cóż z tym twoim projektem? — przerwał Edward Jełowicki.

— Trzebaby przecież te imieniny godnie obejść i jego na zezwolenie o to uprosić.

— Cóż łatwiejszego — wszyscy rodacy z zapałem na składkę przystaną — a ty, ponieważ go znasz bardzo blizko, z zaproszeniem się wybierz.

— Ba! — właśnie też dla tego, że poznaję go coraz lepiéj i coraz więcéj jego wielkość i potęgę oceniam, w obec niego robię się trusią, która tylko milczy, patrzy i uwielbia, ale która...

— A cóż to, wy dzieciuchy, jeszcze nie przy robocie? — ozwał się z sieni jakiś głos nosowy, mający dźwięk rozbitego garnka i zarazem dziwnie powoli wymawiający każdą sylabę. Za tym głosem oryginalnym wtoczyła się raczéj, ale nie weszła, jeszcze oryginalniejsza figura.

Był to mężczyzna więcéj jak małego wzrostu, z mocno wydatnym brzuszkiem, z twarzą rumianą, pucułowatą, jak księżyc w pełni, z ogromnemi otwartemi i uśmiechniętemi usty i zaledwie widocznym nad niemi maleńkim noskiem. Twarz zarumieniona widać od mroźnego wiatru, miała barwę buraka i tem silniéj jeszcze tą swoją czerwonością raziła, że na tył głowy zasadzona i aż na uszy zaciśnięta jasno-żółta, wytarta, bobrowa czapka, jak w ramki ubierała okrągłe liczko. Długa, aż do stóp prawie się zwieszająca, futrzana algierka, przy wejściu się otworzyła na przodzie, dając swobodę brzuszkowi, a z długich, opuszczonych rękawów rąk wcale widać nie było, tylko z jednego kij gruby sękaty, wyzierał.

Na wejście téj figury wszyscy z miejsc się ruszyli, wszyscy się zaśmiali radośnie i jedni: A pan Franciszek, drudzy — a pan radzca — wołali.

Przybyłym był pan Franciszek Grzymała, osobistość, z którą wszystkie stronnictwa, wszystkie osobistości emigracyjne tak silnie się splotły, że w opowiadaniach naszych nieraz się on jeszcze pokaże. Nie każdy z Polaków przebywających w Paryżu znał Mickiewicza, ale każdy, nie tylko w znajomości, ale w pewnego rodzaju specyalnéj zażyłości był z panem radzcą, i dla tego, czytelnik pozwoli, że o nim parę szczegółów zamieścim.

Miał racyę, jak to zwykł był czynić Grzymała, emigrantów dzieciuchami nazywać, bo w r. 1812 był on już oficerem, a 1814 zesłany został na Kaukaz. Uzyskawszy ztamtąd powrót, za staraniem ks. Czartoryskiego wybrany został na radzcę z województwa augustowskiego i tytuł ten aż do śmierci mu pozostał. Oprócz tego zajmował się literaturą, był współpracownikiem, lub redaktorem nielicznych pism, jakie wtenczas w Warszawie istniały, pisywał artykuły krytyczne, a przedewszystkiem wierszyki okolicznościowe à la Molski. Na tak zwaną przez klasyków smorgońską szkołę poetów, jaka w grodzie Gedymina się wylęgła i całą Polskę ciągnęła ku sobie, nie był zagniewany bardzo, ale też z drugiéj strony nie zrozumiał niezawodnie nigdy, na czem różnica między romantyzmem a klasycyzmem polegała i między temi dwoma kierunkami całe życie się wahał.

Choć karyerę swą wojskową wcześnie rozpoczął, o jego jednak bohaterskich czynach za księztwa Warszawskiego milczy historya, a kiedy listopadowe powstanie wybuchło, nie miał ochoty wąchać prochu, ale przekładał nad to perorowanie w klubach i u Honoratki. Choć swada jego była podobno arcynudna, on jednak miał siebie za wielkiego oratora. Kiedy prawie pod murami Warszawy odbywała się bitwa grochowska i kiedy każdy młodzieniec, a cóż dopiero były wojskowy, na plac boju spieszyć musiał, wtedy nosa ze stolicy wysunął także pan radzca, ale podobno Bellona nie była mu przychylną... gdyż wkrótce bez wieńców do Warszawy powrócił. Nie darowała mu tego emigracyjna wiara i jak to u nas i w biedzie humoru nie brakło, pokomponowano na niego gromadę wierszydeł, między któremi głównie dowcipy doktora Falińskiego figurowały. Przytaczamy z nich jeden tylko tak opisujący wojenne pana radzcy czyny:

Pod Grochowem grzmią działa,
Z proklamacyą Grzymała
Dodać ducha na przedzie
Na pstréj szkapie w tył jedzie.
„Héj! do pochew pałasze!
Lepiejbyście słuchali
Jakie zdanie jest nasze
Cośmy w klubie spisali.“
Pędzi adjutant przez pola,
Wśród gradu kul i spiżu,
Taka jest wodza wola;
Przyłożyć krzyż na krzyżu.“

Pan radzca za owe rymotwórcze próbki nie gniewał się wcale, a nawet autorowi wytykał błędy wersyfikacyi i sam mścił się takąż samą bronią. Humor jego żadnemu nigdy nie ulegał zaćmieniu i za to właśnie wszyscy żartowali z niego, śmieli się, ale go lubili. Dostatków żadnych nie posiadał, i jeśli za zasadę brał, że ma prawo od każdego z emigrantów franka pożyczyć, nie mając wcale zamiaru oddania go; to z drugiéj strony biednemu ostatnie oddał, chodził za nim, szukał mu zajęcia i pracy, rad udzielał, a że wiele miał znajomości, często więc jego pomoc bywała skuteczną. Sam za specyalność swą wybrał komponowanie mów i wierszy okolicznościowych i niechno tylko kto z emigrantów niebezpiecznie się rozchorował, już on zaraz do niego z raptularzem się zjawiał, żeby z ust chorego szczegóły potrzebne do przyszłéj mowy pogrzebowéj pozbierać.

Właściwie powiedziawszy, nie robił nic, a jednak żył, na biedę nie narzekał i dożył aż do roku 1871. Honor Francyi cenił na równi z honorem własnego kraju i kiedy dowiedział się o kapitulacyi Francuzów, ze zgrozy nagle życia dokonał.

Jak z téj krótkiéj wzmianki widzieć można łatwo, nie położył pan radzca wielkich zasług dla kraju, nie celował nad innymi talentem, i znalazłszy się na obczyznie, nie myślał o tem, aby własną pracą potrzeby swe zaspokoić. W każdem innem społeczeństwie nazwanoby go po prostu pieczeniarzem, a jednak emigracya nawet, która surowiéj aniżeli kraj ludzi sądziła, nie dała mu tego tytułu. Serce poczciwe w Polsce znaczy wiele, a jeszcze może więcéj humor i gadulstwo. Charakterystyczny ten rys życia naszego chrońmy i cenmy tak jak na to zasługuje i pamiętajmy na przestrogę Wojskiego:

Polskę oniemić, jestto Polskę zniemczyć.

Że pan radzca i przez maluczkich nawet był kochany, dowodziło i to, że kiedy go zarządzający drukarnią serdecznie i z humorem witali, zjawił się także i stary wiarus w swojéj białéj kucharskiéj szlafmycy i przybyłego na halabardę namawiał.

— Cóż to, mości dobrodzieju, — rzekł radzca, — Chińczyk jestem, czy jakiś wschodni barbarzyniec, żebym gorącemi ziółkami żołądek sobie zalewał? Daj mi Janie kieliszek gorzałki.

— Brawe rajca, — zawołał w ręce klaskając, — maitre de cuisine. — Bon camerade! ego sempre takoż!

Kiedy Grzymała wódkę wychylił, staropolskim obyczajem

skrzywił się, i w kąt splunąwszy, chlebem zagryzać ją począł, wytoczyła się przed nim sprawa kłopotliwa, w jaki sposób wziąść się do rzeczy, żeby Mickiewicza na składkowy obiadek zaprosić.

— Dobrzeście zrobili dzieciuchy, — mówił radzca, długim rękawem obcierając przystrzyżone wąsy, żeście się w téj sprawie do mnie udali. Tobie, panie Eustachy, chwali się, że masz taki respekt i taką s a n c t a m p i e t a t e m przed nim. Do synów Apolina zawsze z dreszczem zbliżać się trzeba. Ale ja jestem bratem jego po Muzie i ja mu chętnie tę missywę poniosę.

Romuald Januszkiewicz, natura swobodna, wesoła i otwarta, na oświadczenie to wybuchnął śmiechem.

— Czegoż się śmiejesz smarkaczu? — zawołał radzca, wskazujący palec prawéj ręki wznosząc w górę, co było u niego urzędowym giestem, towarzyszącym wszystkim mówkom, lub przyjacielskim reprymendom. — Zdaje się wam, że jestem niższym wieszczem, jak wasz Mickiewicz. Nie sprzeczam się o to, bo sprawę tę p o s t e r i t a s rozsądzi. Ale choćbym był nawet niższym, zawsze wieszczem jestem, i kiedy wy do niego zbliżacie się jak do króla, ja z nim gadam jak z bratem i jak z kamratem. Mnie nadto musi on konsyderować jak ojca, bo to ja pierwszy, pisząc w Astrei rozbiór jego ballad, gościniec mu do sławy otworzyłem.

Znający Grzymałę wiedzieli o jego zarozumiałości w tym względzie i sporu już z tego powodu nie toczyli, i po rozprawach, żartach i dowcipach stanęło na tem, że Grzymała miał się do wieszcza wybrać i w imieniu jego rodaków a wielbicieli, na ucztę wspólną w dniu jego imienin zaprosić.

* * *

Pan radzca, kiedy rano z domu się wybrał, cały dzień poświęcał już zwykle na obchodzenie różnych kominków, i teraz więc spełnienie swéj misyi aż do wieczora przewlókł i nad zachodem już słońca ku mieszkaniu Mickiewicza się skierował.

Przypadek usłużył mu i tutaj, bo kiedy rozpuściwszy na wiatr poły swéj algierki, prędko po samotnym trotuarze dreptał, dostrzegł z dala idącego naprzeciw mężczyznę, który opuściwszy w tył głowę, w rękach skrzyżowanych na grzbiecie ciągnął za sobą z brzękiem laskę grubą, w żelazo okutą. Postawa jego pochylona nieco, bujne włosy z pod kapelusza na kołnierz spa-

dające i ruch prawego ramienia ku przodowi, co było charakterystyczną cechą Mickiewicza, dowiodły, że to był on sam we własnéj osobie.

Pan radzca zatrzymał się więc, rozkraczył nogi szeroko, wskazujący palec prawéj ręki podniósł do góry i rozpuściwszy na wiatr poły swéj algierki, najbardziéj nosowym, na jaki mógł się zdobyć tonem, wyskandował z powagą;

— Zkąd Li-twini wra-cają?

Mickiewicz na głos ten podniósł opuszczoną głowę, a duże oczy jego błądziły chwilę zdziwione, jakby zawracając do rzeczywistości myśl, która gdzieś w dalekie pobiegła światy. Prędko jednak oprzytomniał i zaraz na usta jego wybiegł ten poczciwy serdeczny uśmiech, który w fizyonomii jego był najlepszym dowodem kochającéj, gołębiéj natury. Lubił on także Grzymałę, a choć czasami żartować sobie z niego pozwalał, były to żarty poczciwe i kochające, zdawało się bowiem, że w tym wielkim człowieku, ani kropli żółci nie było.

Wyciągnął do ziomka prawicę, a ten uścisnąwszy ją daléj deklamatorskim tonem prawił.

— Góra z górą się nie zejdzie, ale wieszcz z wieszczem zawsze. Idę do ciebie, Adamie, z poselstwem, a, acz pogodna a u r a nam świeci, s u b J o v e traktować takim dostojnikom nie wypada. Proszę, zajdźmy na a r a n a (w emigranckim języku — sledź, h a r e n g) i lampeczkę wina.

Mickiewicz znał dobrze Radzcę z téj strony, że jeżeli on zaprasza na cześć jaką, to zawsze zaproszony rachunki płacić musi, uśmiechnąwszy się więc na tę propozycyą powiedział:

— Na a r a n a zajść nie możemy, mam bowiem dwa franki w kieszeni i wybrałem się za kupnem funta świec, gdyż inaczéj w domu moim zaćmienie nastąpi.

— O człowieku małéj wiary, perorował daléj pan Radzca, aż funt świec chcesz kupować? Ażaż nie wierzysz, że jutro wszyscy do kraju wrócić możemy?

— I cóż wtenczas poczniesz z zakupionym całym funtem? Czyż nie będzie to grosz wyrzucony na marne? Wierzaj mi, nie kupuj nigdy więcéj jak jedną świecę i nie zamykaj podwoi twoich nadziejom.

Mickiewicz szczerze śmiać się począł, i wziąwszy Radzcę za jeden z jego wiszących rękawów algierki, wszedł z nim do jednéj z sąsiednich kawiarni.

Zabawili tu dosyć długo, a rozmowa ich ożywiona była,

i często serdecznym przerywana śmiechem, bo i Mickiewiczowi wesołości nie brakło, skoro w towarzystwie się znalazł, a jovialitates Radzcy iskrzący w nim także ożywiły dowcip.

Jakkolwiek wszystko, co się do naszego narodowego gieniusza odnosi, interesującem być powinno, jednak powtarzanie owéj rozmowy, zanadtoby nas odprowadziło od naszego przedmiotu. Powiemy więc tylko o jéj rezultacie. Mickiewicz nigdy nie odmawiał sposobności znalezienia się w kółku dawnych znajomych, życzliwych i przyjaciół i w każdem zaproszeniu takiem nie przypuszczał jakiéjś owacyi, ale jedynie swobodną pogadankę. Jeśli zaś pod wpływem wrażeń wielki duch jego uciekał z towarzyskiego poziomu i dumną myślą do podwojów przyszłości kołatał, działo się to już za sprawą tego gieniusza jaki nosił w swéj piersi.

Jutrzejszego atoli zaproszenia przyjąć nie mógł, gdyż dawał bardzo wystarczające racye, o dobroci jego serca świadczące.

— Wam ciągle się jeszcze zdaje, — powiadał, — że wszystkie nasze dzisiejsze zebrania są jedynie dalszym ciągiem naszych wileńskich, kawalerskich i studenckich zabaw. Tymczasem tempora mutata, przynajmniéj co do mnie. Jestem nietylko mężem ale i ojcem rodziny. W dniu tak ważnym jak Wigilia Bożego Narodzenia, jak zresztą dzień imienin moich, nie mogę saméj Celinki w domu zostawić. Wy zaś, o ile widzę, wcale o zaproszeniu jéj nie myślicie.

Radzca zaprotestował i zapewne chciał już udzieloną sobie plenipotencyą przekroczyć, ale Mickiewicz mu przerwał.

— Czekaj, — rzekł, — choćbyście nawet program zmienili, jest już teraz za późno. Tutejszy klub polski jutro wilią na sposób polski urządza i przyrzekłem tam być z żoną i Marynią. Za wasze więc serdeczne chęci dzięki wam największe, ale widzisz Radzco, korzystać z nich nie mogę, bo jestem skrępowany słowem. . .

— Diable! — zawołał Radzca, — nie miałem w życiu żadnéj misyi, z któréjbym się przyzwoicie nie wywiązał, przeto i tu wieszczu, choćbyś pękł, zadość uczynić mi musisz.

— Dajże radę jak zrobić?

— Na następny dzień odłożyć.

— Va, — rzekł po namyśle Mickiewicz, i podawszy mu rękę do wyjścia się zabierał.

* * *

Ponieważ u żywotopisów Mickiewicza wilia Bożego Narodzenia w klubie polskim jest pomijana, albo też mieszana z wieczorem, na który Radzca Grzymała niósł zaprosiny, przeto i o niéj mimochodem może kilka słów nie zawadzi.

Klub polski w Paryżu mieścił się podówczas na Rue Godot de Mauroy, a podług statutów stowarzyszenia, damy do udziału w zebraniach dopuszczone nie były. Tego dnia jednak, na wyraźne Polek żądanie, wyjątek uczyniono, a to dla tego, że choć wilia miała być wspólnym składkowym obiadem, jednak największéj wagi mu dodawała okoliczność, że Mickiewicz na niéj będzie obecny.

Jaki zaś był w emigracyi wtenczas zapał dla niego, trudno opisać. Pierwsze zarzuty czynione mu dawniéj przez półgłówków za to, że nie brał udziału w listopadowem powstaniu dawno już przebrzmiały, dziennik Pszonka nie wychodził podówczas, a podobni pamfleciści, jak Gołębiowski, jeszcze głowy nie podnieśli. Tadeusz, a jeszcze bardziéj III część Dziadów były na ustach wszystkich, ogólnie miano to przekonanie, że to mistrz nad mistrze, prorok narodowy i wcielony geniusz całéj Polski. Otwarcie katedry w Collège de France i oddanie jéj Mickiewiczowi, do aureoli, opromieniającéj czoło poety, dodały jeszcze praktyczną niejako otuchę i za śmiałe może rachuby na przyszłość. Katedra literatur słowiańskich według przekonań polskiéj gromadki miała ludom zachodnim, a szczególniéj najdzielniejszemu z nich, francuzkiemu, odkryć serce nieznanego dotąd słowiańskiego olbrzyma, miała zainteresować je przyszłością tego wielkiego plemienia, miała obudzić współczucie dla dochodzących z tych stron jęków boleści. Polska ze wszystkich Słowian najwięcéj oddała zasług cywilizacyi zachodniéj, słuszna więc, żeby mąż wzięty z jéj łona tłómaczem Słowiańszczyzny był obrany przed światem. Atoli pewności w tym względzie długo nie było, bo w rządzie przemagały rozmaite kierunki i na wierzch wyprowadzano rozmaite racye stanu. Wreszcie niepewność, dzięki gorliwéj pracy ludzi najwięcéj wpływowych, skończyła się znakomitym dla narodu polskiego tryumfem. Na katedrze téj zasiadł nietylko Polak, ale największy z Polaków,

piewca narodowy, mistz harmonii i słowa, pan wybranym tylko znanych światów, pośrednik między cierpiącą ojczyzną a niebem...

Czyż wśród położenia takiego Polki nasze mogły obojętne pozostać, czyż one, żony i matki walecznych, które z tułaczami wygnanie dzieliły, mogły nie oddać hołdu Mickiewiczowi? Niepodobna. Gdyby nietylko zacofane klubowe statuty, ale nawet mury forteczne na drodze im stawały, oneby te mury zburzyły...

To też stary Niemcewicz, który był klubu prezydentem, ze zgrozą ujrzał, jak po posadzkach powierzonych pieczy jego sal, falbany szeleszczą, ale rewolucyjnemu krokowi temu nie umiał położyć tamy.

Pań było więc na wilii bardzo wiele i wymieniamy tylko nazwiska najwięcej znajome: pani Ludwikowa Platerowa z córkami, pani Reitzenheim, p. Olszewska i t. d. Królową jednak w ich gronie była pani Celina Mickiewicz, raz dla wdzięków, jakie ją zdobiły, a powtóre, że ona to była wybraną, małżonką i powiernicą tego, przed którym dziś wszystkie czoła polskie w pokorze się chyliły.

Pani Mickiewiczowa przyprowadziła ze sobą prześliczną swą córeczkę, Marynię, w kostyum szwajcarskiéj wieśniaczki strojną, co było prostem wspomnieniem dłuższego pobytu w Lausannie i otoczenia w jakiem dzieweczka wzrastała. Malowniczy ten i barwny strój pięknie zgadzał się z jéj rumianą twarzyczką, choć zgadzałby się niezawodnie i każdy inny, gdyż piękne to dziecię wszędzie zachwyt wzbudzało powszechny. Wiadomo, jak stary Niemcewicz stale był zakochany w Maryni i jaki piękny, a zarazem figlarny wiersz do niéj napisał. To też teraz zapomniał o niewieścim najeździe, jaki mu wprzódy dolegał i cały był tylko młodym swym gościem zajęty.

Wieczerza przez polskich kucharzy przygotowana była z najsurowszem przestrzeganiem gustów polskich, a r e s p e c t i v e litewskich i jak nie zaniedbano koniecznéj liczby półmisków, tak nawet wino zastąpiono wydobytym zkądsiś, a może umyślnie z kraju sprowadzonym miodem litewskim.

Zrozumieć łatwo, że w otoczeniu takiem i w takich warunkach wszyscy szczęśliwi byli niezmiernie i niejeden zapominał, że się znajduje na ziemi wygnania — owszem, wyobrażał sobie, że ten opłatek, którym się przed wieczerzą przełamał, z jego pszenicy i w jego parafii zrobiony, że tam gdzieś w drugim domku uczłuje jego czeladka i że tylko czekać, rychło zajdą przed ganek sanki, które go na ranną pasterkę powiozą.

Jeśli wszyscy byli szczęśliwi, najszczęśliwszym być musiał poeta. Wynikało to raz z jego sercowéj organizacyi, a powtóre z tego otoczenia przez kółko życzliwych, z tego, że widział przed sobą ukochaną swą żonę i pierworodne dziecię. W takich chwilach o bólach nagromadzonych w duszy się zapomina, a żyje się rozgwarem towarzystwa i uczty. To téż obecni zapewniają, że nigdy go takim wesołym, takim dowcipnym i ożywionym nie widziano.

Przy końcu wieczerzy rozpoczęły się toasty. Pierwszy kielich na cześć Mickiewicza podniósł sędziwy Ursyn, a wiadomo, jak ten starzec stojący na przełomie starych i nowych pojęć poetycznych, umiał zrozumieć drogi przez Adama wskazane, jak sercem i myślą z niemi się zbratał. To téż krótka przemowa jego była hołdem wielkiemu i prawdziwemu mistrzowi poezyi oddanym, była podzięką Polaka i błogosławieństwem starca. Komplimentów dla pięknéj Maryni nie zabrakło w niéj także, aż dwie grube łzy, zwisłe na sinych powiekach, do zakończenia go zmusiły.

Mickiewicz za cześć jemu oddaną dziękował z właściwą sobie skromnością. Zasługi swoje, jako poety, o ile mógł zniżał i kiedy przyszło do oddania hołdu staremu kasztelanowi, dziękując mu za błogosławieństwo udzielone jego dziecku, dowcipnym zwrotem przyznał, że chyba w tem tylko od Niemcewicza jest wyższy, że się w tak wczesnym wieku potomstwa już umiał dochować.

Był to zwrot zręczny i do nastroju, a radości towarzyskiéj stósowny; zebrane jednak przy wieczerzy Polki z przemówienia wieszcza nie były w zupełności zadowolone. Jedna z uczestniczek jeszcze dziś nam opowiadała, że spodziewały się improwizacyi natchnionych, zachwytów niebiańskich, otwierania niebios i sprowadzania aniołów na ziemię, a usłyszały towarzyską zręczność i dowcip, szlacheckim nawet zakrojem powleczone.

Dziwni są ludzie. Dla nich kapłan szat świątecznych nigdy zdejmować nie powinien, dla nich wieszcz powinien się wyrzec przyjemności rodzinnych i towarzyskich, powinien, jak pelikan wiecznie rozdzierać piersi własne, aby wytoczywszy serdeczną krew swoją, nakarmić tłuszczę, która już na drugi dzień wiedzieć nie będzie o świętości pokarmu. Wieleż razy Mickiewicz na towarzyskich zebraniach wszystkich obecnych geniuszem swym obejmował i w niebo unosił, a czyż pozostało z tego choć jedno zanotowane słowo, czyż nie uroniono tych skarbów, poprzestając

na zachowaniu bladego wrażenia, które wraz ze śmiercią współczesnych wielkiego poety znijdzie do grobu?

Niebezpiecznie jest być wielkością, bo nie na zwykłą, ale na wielką miarę mierzy się wszystko, co od nich pochodzi. Pod wpływem to tego usposobienia także pierwszy z Francuzów Leon Faucher mówiąc i pisząc w Courrier Français o pierwszych Mickiewicza prelekcyach, wyrażał się, że więcéj od niego oczekiwał. Sąd zupełnie mylny — w zakresie takim, jak były prelekcye o Słowiańszczyznie w pierwszym ich peryodzie, nic większego stworzyć nie można było. Że Eustachy Januszkiewicz, i ci z towarzyszów jego, którzy pierwsi projekt koleżeńskiéj dla Adama uczty podali, nie znajdowali się w klubie na polskiéj wilii, nic to dziwnego, bo o godnem przyjęciu w dniu jutrzejszym gościa swego rozmyślali. Nie była to wprawdzie sprawa tak trudna, żeby się nad nią zbytnio mozolić; ale Januszkiewicz, jak w ogóle wszyscy Litwini, sumienny był aż do drobiazgowości.

Nie była zaś sprawa ta trudną dla tego, że naprzód kwestya lokalu była prawie załatwiona. Wiedziano o tem powszechnie, że Mickiewicz z zasady nie lubił wszystkich wynajmowanych sal publicznych, wszelkich hotelów i restauracyi. Gust ten podzielała i reszta bliższych jemu, boć w rzeczy saméj, każdy zakład podobny jest rodzajem karczmy, a służba obca i niedyskretna, ciekawie zwykła obserwować bankietujących.

Bracia Januszkiewicz, z powodu zwiększania się ich drukarskiego i księgarskiego zakładu, mieli już wynajęty lokal oddzielny w pobliżu na ulicy L'Echaudé de S. Germain, pod nr. 9. Wprawdzie mieszkanie to jeszcze umeblowanem nie było, ale temci lepiéj, wniesie się bowiem stół, krzesła i rozmaite graty domowe miejsca napróżno zawalać nie będą.

Daléj co do kuchni, ludzie przeważnie bezżenni musieli się zdać na restauratora, a potrawy pobliskiéj, skromnéj kawiarni Café Procop uznaniem między wymyślnymi nawet rodakami się cieszyły. Resztę przysmaków litewskich czy polskich miał przysposobić stary Jan, przy udziale i pod dyspozycyą samego pana Eustachego, który w tym celu wynalazł nawet jakąś odwieczną kucharską książkę i ją, jak niegdyś Wojski wertował. Kto wie, może to był nawet „kucharz doskonały."

Większy stósunkowo kłopot był w ułożeniu listy, mających być zaproszonymi osób. Tych liczbę, po długich naradach ograniczono na czterdzieści, a pomiędzy imionami więcej znanemi położono: Juliusza Słowackiego, Ropelewskiego, gitarzystę Szcze-

panowskiego, trzech Platerów: Ludwika, Cezarego i Władysława, Barzykowskiego, Kołyskę, Parczewskiego, Koźmiana Jana, Wrotnowskiego, Kazimirskiego, Kątskich, ojca i syna, Fontany Larysza i t. d. Naturalnie pan Radca Grzymała musiał także być między nimi.

Powszechnie żałowano, że Chopin, ów duch bratni Adama, nie znajdował się w Paryżu, ale na nieobecność rady nie było. Obyczajem francuzkim, przez wszystkie już emigracyjne towarzystwa przyjętym, potrzeba było także wybrać przewodniczącego uroczystości i co do tego punktu debaty długie bardzo były, boć każdemu wiadomo, jak wszelkie godności narodowi naszemu schlebiają i, jak ostrożnym być należało, żeby kogo z obecnych pominięciem go nie urazić.

Po długich sporach trafiono na bardzo dowcipny sposób załatwienia téj sprawy. Bawił podówczas w Paryżu uczony Włoch Ottavi, Mickiewiczowi jeszcze z Rzymu znany, którego poeta nasz bardzo szanował i za jego pobytu w stolicy Francyi, często nawiedzał. O ile pretensya do zaszczytów jest nam wrodzoną, o tyle znowu chętnie cudzoziemcom dank przed sobą dawany i tu więc wybór był słuszny i przez wszystkich musiał być akceptowany.

O godzinie szóstéj po południu w dniu naznaczonym i na wskazanem miejscu zaczęli się zbierać zaproszeni, i na pochwałę ich wyznać trzeba, że żadnego z nich nie brakło.

Romuald Januszkiewicz bawił gości i przybywających przyjmował, kiedy Eustachy kręcił się jeszcze w jadalnym pokoju ze swą drukarską czeladzią i ostatnie spojrzenie dla zapewnienia się, czy wszystko w porządku, rzucał naokół.

Fontana w pierwszym pokoju siadł do postawionego tu fortepianu i odegrał jednego mazurka Chopina, a zaledwie jego ostatnie akordy w powietrzu przebrzmiały, Eustachy wszystkich do stołu zaprosił.

Usadzanie trwało nie długo, gdyż wszyscy skinieniu gospodarza byli posłuszni i po prawicy Ottaviego, zajmującego miejsce honorowe, zasiadł Mickiewicz, po lewéj kasztelan Ludwik Plater.

Do okoliczności, która silnie i bardzo korzystnie na Mickiewicza podziałała, należało także to, że między zaproszonymi znajdował się Kaszyc, marszałek województwa nowogrodzkiego, że ten mu rękę podał, żeby go do stołu prowadzić i sam miejsce obok niego zajął.

W drugim końcu stołu mimowolnie ku sobie oczy ciągnęła twarz zagadkowa, smagławo-blada i nieruchoma, jak marmur, wśród której tylko wielkie, czarne, wyraziste błyszczały oczy, to strzelając iskier tysiącem, to powlekając się jakąś mgłą smutku i zadumy. Włos kruczy nie „sypał się mu jak dawniéj czarnym i gęstym pierścieniem," ale owszem, ostrzyżony krótko, w pewnym nieładzie nad czołem się ułożył. Snać, nie było już przy nim „dziewic, któreby go co dnia dłonią utrefiły gładką! Za to, jak dawniéj: pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem i w czarnych oczach życie trawił płomień gorączkowy."

Kiedy inni śmiali się do siebie cicho, lub półgłosem kończyli rozpoczęte dawniéj rozmowy, on jeden do sąsiadów dotąd słowa nie wyrzekł i tylko czasem muskał wąziutki swój i jakby u młodzieniaszka dopiero zasypujący się czarny wąsik.

Był to Juliusz Słowacki. W wileńskich czasach jeszcze zwano go Asmodeuszkiem, a ów chłopięcy charakter i teraz na twarzy jego pozostał, cera tylko nabrała większéj śniadości, może pod wpływem promieni słońca południa i wschodu, z których to okolic powrócił nie dawno. Coś tajemniczego otaczało go, jakby owa cisza głębi piramid, gdzie szukał „bulata na pogrzebanie polskiéj zemsty," jakby owa samotność wśród ruin grobu Agamnenona, gdzie ciskał przekleństwa na naszą słabość i płakał nad losem, co nam Leonidasa pozazdrościł.

Wpatrzywszy się w tę twarz piękną i dumną zarazem, dziwnego doznawało się uczucia. W jednéj i téj saméj chwili onieśmielała ona do siebie i ciągnęła jakimś czarem, który podług podań posiadać mają przepaści. Szeroki kołnierz od koszuli, podwiązany wązką, czarną krawatką, zginał się w fantastycznych formach i mimowoli przypominał portrety Byrona.

Jakiż był kontrast wyraźny między owym, ubóstwianym przez Krasińskiego Julem, a między siedzącym prawie naprzeciw niego Adamem?

I ten ostatni piękny był i to pięknością męzką, wyrazistą, rysami wydatnymi, wspaniale zasklepionem czołem, włosami w tył spadającymi jakby lwia grzywa, połyskiem siwych oczu, w których czasem zaduma, ale częściej uśmiech dobrotliwy błyskał. Do pierwszego przystępowałeś miotany jakąś grozą i tajemniczością; przed drugim upadłbyś na kolana z uwielbieniem, ale i z obawą zarazem, będąc pewnym, że cię do serca bratniego przyciśnie.

Pierwsze dania, jak zwykle, przechodziły już wśród milcze-

nia, już wśród wesołej, pomiędzy najbliższymi sąsiadami zawiązującéj się gawędki, a siedzący przy dalszym końcu stołu swobodniejsi byli, bo nie mając między sobą cudzoziemca, jakim wyżej był Ottavi, po polsku rozmawiać mogli.

Kiedy wieczerza ku końcowi się miała i kiedy zbliżała się pora toastów, powstał prezydujący i długą mowę do uroczystującego i zaproszonego tu Adama zwrócił. Podnosił jego zasługi głównie jako wieszcza — katolika i wysoko go sławiąc na powszechnodziejowym Parnasie, przypominał mu pobyt w Rzymie i symboliczne oraz historyozoficzne znaczenie tego wieczystego miasta tłomaczył.

Mowa Włocha pełna była treści, uczucia i umiejętnie ułożona, ale kiedy na twarzy Mickiewicza znać było głębokie wrażenie, jakie ona przez wywoływanie rozmaitych wspomnień w nim sprawiła, po drugiéj stronie stołu inaczéj ją pojęto. Włoch mówił po francuzku, a francuzczyzna jego wcale poprawnością się nie odznaczała, akcent miał fatalny, jak wszyscy Włosi Ponad to słuchaczom zabawniejszem jeszcze się wydało ciągłe przekręcanie nazwiska wieszcza, do którego mówca perorę swą zwracał. Zamiast posiłkować się wyłącznie samym imieniem, kiedy wymawianie nazwiska takie mu trudności sprawiało, owszem powracał ciągle do niego i naprzemiany to Mikiwis, to Mikewiks je wygłaszał. Polacy, którzy długie lata przebyli we Francyi przywykli już do tego, że obcy ich nazwiska przekręcać muszą i że nic ich od tego nie odwiedzie ale wtedy więcéj to jeszcze jak dzisiaj raziło nieprzywykłe do tego uszy.

Uśmiechano się więc do siebie, cicho do ucha wymieniano szepty, a niektórzy wcale już pokrywszy głowy za plecy sąsiadów, się śmieli. Muzyk Szczepanowski, jako to całe życie był figlarz i łatwo się pierwszym powodował humorem, najtrudniej siebie poskramiał i, kiedy Włoch, kończąc swą mowę Vive Mikiwis! — zawołał, nie wytrzymał i głośnym parsknął śmiechem. Opamiętał się sam przecież prędko i, aby zatrzeć niekorzystne wrażenie, schwycił leżącą po za nim gitarę i w struny jéj uderzył. Melodya mazurka Dąbrowskiego z nich się dobyła, a wszyscy, jakby iskrą elektryczną tknięci, w stronę wychodzących dźwięków oczy zwrócili i, wydawszy głuche westchnienie, cali w téj ulubionéj melodyi utonęli.

Szczepanowski był to mistrz nielada i przypadkiem chwyciwszy ten motyw, snuł na tle jego najrozmaitsze waryacye. To

tryumfalnym hymnem serce słuchaczów w górę podnosił, to jękami żalu, bólu i skargi nerwy ich targał, to błagalną modlitwę wznosił do nieba, to wrzawę i rozgwar bitwy naśladował, a wszystko opierało się na jednéj i téj saméj nucie, na tak wsiąkłéj w krew polską pieśni: „Jeszcze nie zginęła“. — Nie jednemu z biesiadników, szczególniéj starym żołnierzom, bladość i zimny pot na skronie wystąpiły, innym krew uderzyła do głowy, a było najwięcéj takich, którzy łzę rozrzewnienia ukradkiem ocierali.

Mickiewicz zaraz po kilku pierwszych akordach mimowolnie przysunął się do stołu, oparł na nim łokcie i w dłonie twarz swą zanurzył. Dopiero kiedy muzyk na końcu wzniosły hymn tryumfu zanucił, oderwał ręce od czoła, oczy świeciły mu jak iskry, twarz cała dziwnie wypogodzona była i po trzykroć:

— Brawo, brawo, brawo! zawołał

Oklaski się sypnęły, muzyk instrument na dół opuścił i znowu ogólne zapanowało milczenie.

W tem na drugim końcu stołu podnosi się Juliusz, dłonie swe wspiera na białym obrusie i w najtrudniejszéj formie poetycznéj, w oktawie, dźwięcznym swym i srebrnym głosem improwizować zaczyna:

Nie rozpoczął jak każe obyczaj od złożenia czci fetowanemu dzisiaj Adamowi — nie — on tryumf jego inaczéj i z większym przygotował artyzmem. Zaczął od siebie, odmalował wewnętrzne trawiące go ognie, ucieleścił i unaocznił niejako pragnienia swe, jakie piastuje w głębi serca dla kraju i dla sztuki, nie zapomniał i o goryczy, jakiéj w życiu doznawał i chłodzie, z jakim go przyjęto i o cierpieniach, jakie z tego powodu przechodziła płomienista jego dusza. Było tam trochę skarg i jęków, boć z tem się Słowacki nie rozstawał nigdy, ale ponad tem wszystkiem górowało to głębokie przeświadczenie, że siebie za poetę uważa, że nie jest na Parnasie intruzem, ale że należy mu tam zaszczytne prawo obywatelstwa. Dopiero, zakreśliwszy własne stanowisko i własną wartość, Adama za największego wieszcza słowiańskiego uznał i przed nim z pokorą czołem uderzył. Treść téj części długiéj jego improwizacyi sprowadzić się dawała do téj strofy, którą późniéj w Beniowskim umieścił;

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
W ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,

A w ustach słowo, co jak piorun błyska,
Tak mówiąc – ja syn pieśni, syn królewski,
Padłem.....

Słowacki mówił wolno, wyrazy z trudnością z ust mu się dobywały, a szczytne, ale za zbyt ciemne przenośnie, jakiemi zawsze się rad osługiwał, oraz język ten jego, barwny, mieniący się, perłami i dyamentami dziany, nie dozwalał ująć w pierwszéj chwili myśli jego słuchaczom. Ztąd wynikała pewna obojętność, ztąd niezawodnie poszło, że nikt tych słów, które tak wolno wypowiadał, nie zapisał.

Tymczasem głos mu drżał coraz więcéj, wewnętrzne wzruszenie coraz silniejszem się stawało, oczy pałały gorączkowym jakimś blaskim, a czoło pot kroplisty okrywał. Najbliższy sąsiad, Szembek, szklankę mu z wodą podsunął. Poeta podziękował skinieniem, i jakby wyczerpany, na krzesło się opuścił.

Wszyscy w niemem jakiemś zdziwieniu i osłupieniu pozostali, i mieli taką minę, jak gromada ludzi, przed któremiby nagle kto gromadę gwiazd niebieskich rozsypał.

Słowacki znowu się podniósł i widocznie przez tę krótką chwilę do pewnéj równowagi duchowéj przyszedłszy, z humorem już pewnym i swobodą zrobił ogólne zastosowanie tego co dotychczas powiedział i zakreślił stosunek swój do Mickiewicza.

„Tyś wielki, mówił mniéj więcéj, ale przypomnij sobie grzybobranie, któreś tak cudownie opisał i idź za przykładem Wojskiego. On do kosza nietylko jadalne wkładał grzyby, ale i muchomory, i ty więc tak względem braci swych po piórze postępuj.“

Dopiero, ponieważ porównanie to stawało się zupełnie dla obcych przystępne, i ponieważ hołd dla Mickiewicza jeszcze wyraźniéj się w nim zarysował, gruchnęły rzęsiste oklaski, a na usta Juliusza dawno tam niewidziany gość, uśmiech serdeczny i przyjacielski zawitał.

Ale prędko zapomniano o Słowackim, bo kiedy spojrzano na Adama, wszyscy zadrgnęli, bo ci, którzy dawniejsze jego, wileńskie pamiętali czasy, zrozumieli po wyrazie jego twarzy, że chwila natchnienia i to natchnienia wielkiego zstępuje do jego duszy.

Trudno, nie spotykając w życiu ludzi wielkich, — trudno, powiadamy pojąć, jak wewnętrzna siła rozpierająca ich łono na zewnątrz w rysach oblicza się wybija, jak zwykłego człowieka podnosi na piedestał anioła, proroka, świętego.

Nie masz jednak na świecie człowieka, któryby choć w pewnych momentach życia do uczuć wyższych, szlachetniejszych, wzniosłych się nie podnosił. Niech chwile takie wyobraźnią swą do nieskończoności rozciągnie, niech je do najwyższéj podniesie potęgi, a zrobi sobie, acz słabe wyobrażenie wpływów, jakie musiał Mickiewicz na otoczenie wywierać.

Ponieważ jednak wszystkie te sprawy jedynie opowiadań, szperań, porównań, dochodzeń i własnéj wewnętrznéj pracy naszéj są rezultatem, zamiast więc spisywania ich szczegółowego, aby nas o przesadę nie posądzono, wolimy przytoczyć maleńki ustęp z listu Eustachego Januszkiewicza, opisującego tę chwilę Bronisławowi Zaleskiemu. „W tem widzimy, powstaje Adam, powiada on. Twarz jego przybrała anielską postać; dziwna, niepojęta światłość otoczyła jego skronie: powstali mimowoli wszyscy jakby na zjawienie się bóstwa, przychodzącego odwiedzić śmiertelnych.“

Kto w wielkość, a zarazem prawdę tych prostych słów odpowiednio wniknie, ten pojmie, że nigdy nie przeszedł i nie przechodzi czas, kiedy po ziemi chadzali prorocy.

Adam podniósł pełen kielich do góry i wspaniałym, gwałtownie jak lawa buchającym i jak kaskada spadającym prześlicznym wierszem podziękował za serdeczne uczucia wszystkim obecnym.

Później, spełniwszy ten kielich, przeszedł ztąd do symbolu ofiary, bez któréj nie masz ani wiary, ani miłości. Za pomocą tych on drogę swoją spełnia, za pomocą nich także do szczęśliwości dojdzie ojczyzna.

Odpowiadając Juliuszowi, powtórzył słowa, które powtarzał już dawniéj, że poezya jego to cudnie piękna świątynia, w któréj atoli bóstwa miłości nie masz. Zaklinał go, żeby je tam wprowadził i w wielkim postawił ołtarzu. Tłumaczył, że naród go jedynie z tego powodu chłodno dotąd przyjmował i nadal względem niego innym nie będzie, jeśli poeta dumy swéj własnéj na ołtarzu ojczyzny nie złoży, jeżeli nie dla niéj ale dla siebie będzie pracował, jeśli z siebie, a nie w niéj i przez nią tworzyć nie zacznie. Nie ten poeta, twierdził, kto w sztuce składania wierszy się ćwiczy, ale który mimowolnie za powołaniem kapłaństwa swego idzie. O sobie miał wtedy prowiedzieć:

Ja myśli nie dobieram i rymów nie składam;
Takem wszystko napisał, jak dziś do was gadam.

O wzięcie zasad tych do serca, Słowackiego więcéj, aniżeli kogo innego prosił, bo wartość jego oceniał i przypominał mu, że matce jego przepowiadał wielką i świetną przyszłość jej syna skoro mu pierwsze, dziecinne jeszcze próby Juliusza pokazała.

Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga
Tutaj (wskazał na serce) szukać natchnienia —
I dążyć (wskazując niebo) — do Boga!

Nie zapomniał wspomnieć i o trudnem powołaniu, jakie nastręcza dana mu katedra, z żalem nadmienił o zawistnych czy niechętnych, którzy mu odwagę odebrać chcieli i o nieudolność posądzali. Jego, mówił, ani obcy język, ani największe nie przestraszają trudności — bo Bóg w sercu jego złożył słowa prawdy i dla tego on mocen, jak dawni apostołowie, we wszystkich wygłaszać je językach.

Improwizacya równie szybko, jak rwący górski potok płynąca, trwała więcéj jak półgodziny, a wszyscy obecni na ustach wieszcza zawisłszy, stali w osłupieniu jakiemś i skamienieniu, doznając wrażenia, jakby kto im niebiosa, przyszłość, los kraju odkrywał.

Dopiero gdy brzęk słów już ustał, kiedy wieszcz ostatnim rymem zamknął poprzedni, wszyscy łzami się zalali, wszyscy na kolana przed Adamem padać poczęli, wszyscy ściskali się i całowali w niepojętem uniesieniu — a on blady, ale poważny jak posąg, stał w pośród nich, zdawał się im błogosławić i wiedział że to on a nie kto inny tego cudu dokonał.

Ropelewski, który niezliczonemi swemi pracami dowiódł, że piękno prawdziwie rozumiał i pojmował, który, gdyby mu los był dozwolił, stałby się niezawodnie największym estetykiem i krytykiem polskim, zemdlał pod wrażeniem, a kiedy go otrzeźwiono, nie mógł nerwowego uspokoić dreszczu.

Ludwik Plater mdlał co chwila, a kiedy go zalzawionego i z potarganemi włosami zawieziono do domu, przestraszona żona i córka wybiegły na przeciw myśląc, że chory, a on pod świeżem wrażeniem umiał tak wszystko powtórzyć, że i kobiety czarom opowiadania uległszy, płakały i modliły się aż do rana. Przez dni kilka uczestnicy téj wieczerzy, skoro spotkali się z sobą i na siebie spojrzeli, rzucali się w objęcia i nic nie mówiąc rzewne, ale słodkie łzy lali. Dziś, kiedy o szczegóły tego dnia pamiętnego zapytasz którego ze świadków naocznych, we-

stchnie głęboko, łzy w oczach mu się zakręcą, pomilczy, machnie ręką i wyszepcze:

— Et — to się wypowiedzieć, ani opowiedzieć nie da.

Po sprawieniu tego cudu, którzy współcześni rzeczywiście jako prawdziwy cud wspominają, a który dziś odtworzyć jest prostem niepodobieństwem, sami tylko czarodzieje najprędzéj do siebie wrócili i najmniéj poruszonymi byli.

Mickiewicz i Słowacki tak długo stroniący od siebie, wzięli się pod ręce i długo, długo chodzili ze sobą „jak dwaj bracia," jak się Juliusz w liście do matki wyraża i gwarzyli o Wilnie, o kraju i o projektach na przyszłość.

Niesprawiedliwibyśmy byli, gdybyśmy zapomnieli, że i trzeci wieszcz w gronie tem się znajdujący, choć na niego w czasie tego wszystkiego nikt nie zwracał uwagi, nie dał się zbyt wrażeniom unieść i równie, jak dwaj pierwsi, prędko się uspokoił.

Kiedy Mickiewicz ze Słowackim w przechadzce swéj, doszedłszy do ściany, zawracali, zastąpił im drogę pan Franciszek Grzymała i rozkraczywszy nogi, a podnosząc wskazujący palec prawéj ręki do góry, zawołał:

— Ah sapristi! Toście się dzisiaj popisali — ale czekajcie i ja zaimprowizować potrafię.

Mickiewicz uśmiechnął się dobrotliwie, wyciągnął rękę do Radzcy i niezmiernie serdecznem rzekł głosem:

— Poczciwy pan Franciszek!

Słowacki był mniéj pobłażający, bo rzucił tylko na okrągłą figurkę pana Franciszka bystrym wzrokiem, a we wzroku tym, coś, jakby ironija się przebijało.

* * *

Wieczór ten tak był wielki, że z saméj natury rzeczy rodziła się myśl, aby na zyskanem wrażeniu nie poprzestać, ale pozostawić także jakąś widomą jego zmysłową pamiątkę.

Zaledwie więc Mickiewicz zebranie opuścił, Eustachy Januszkiewicz zaproponował zebranie sumki, za którąby można jakiś przedmiot zakupić i ten na pamiątkę dnia tego poecie i jego rodzinie ofiarować.

Propozycyą tę ogólnie przyjęto, a Kołysko, idąc za zasadą prostéj słuszności, zwrócił uwagę, że jeśli dar jakiś ma się ofiarować Mickiewiczowi, nie można także żadną miarą pomijać Słowackiego. Nie dla tego wcale, żeby jego improwizacyę na równi

z Mickiewiczowską stawiać, ale choćby dla tego, że właśnie Juliusz do owego wylewu poezyi dał początek, a znakomity talent jego ze wszech miar na uznanie ziomków zasługuje. Jeśli zachowywanie zwyczajnych form grzeczności wymagalnem jest w zwyczajnych towarzystkich stosunkach, to więcéj jeszcze zwracać na nie należy uwagi, kiedy chodzi o vatum iritabile genus.

Obecni, rozumowanie to za zupełnie racyonalne uznali i w zasadzie postanowiono, że obydwaj poeci mają być obdarowani.

Do najtrudniejszych niezawodnie przedsięwzięć na emigracyi należały te, w których o pieniądze chodziło. Każda składka robiła już szczerbę w skromniutkim budżecie codziennego życia jednostki i koniecznie z małych datków rosnąć powoli musiała. Tu jednak i ta nie istniała przeszkoda.

Zamożny stosunkowo marszałek Kaszyc sypnął hojnie groszem, szczęśliwy, że jeden z jego nowogrodzkich Rymwidów, szlachetne Poraitów plemię, wyrósł na człowieka europejskiego znaczenia.

Przykład działa najlepiéj, to też choć wielu uczestników uczty już się rozeszło, summa zebrała się dosyć pokaźna. Że jednak niepodobna było w zbieraniu składki pominąć nieobecnych wielbicieli Mickiewicza, ostateczną więc decyzyą, tak co do rodzaju podarunku, jak i co do terminu jego wręczenia, odłożono na późniéj.

Wszelka odwłoka zwykle niekorzystną bywa, a tu ona stała się fatalną, o Słowackim bowiem zapomniano zupełnie.

Dar dla Mickiewicza przeznaczony cenny był tak pod względem wartości jak i pod względem artystycznego wykonania.

Był to srebrny puhar, którego podstawy stanowiły trzy gracye, trzymające czarę w rękach wzniesionych do góry. Na pokrywie lew, oparty na tarczy z napisem:

Adamowi Mickiewiczowi, na pamiątkę dnia 25 grudnia 1840 r. Daléj naokoło lwa, na pokrywie napisy: Walenrod, Dziady, Grażyna, Pan Tadeusz. Sonety, Księgi Pielgrzymstwa, Ballady, Katedra słowiańska, W otoku wiersz:

Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki
Między teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki.

Nietakt, odnośnie do Słowackiego, posunięto tak daleko, że ułożono, aby puhar ten nie kto inny, tylko on Adamowi ofiarował.

Słowacki więcéj drażliwym, niż każdy inny był człowiekiem. O postanowieniu dania i jemu upominku wiedział dobrze, gdyż mu zaraz o tem doniósł wielki jego wielbiciel i przyjaciel Loman; dawny sekretarz generała Paca, a obecnie buchhalter w drukarni.

Czy projekt ten go wielce ucieszył, utrzymywać trudno, jeśli jednak później zupełnie o nim zapomniano, musiało go to naturalnie zaboleć.

Dla tego propozycyi wręczenia puhara wręcz odmówił, wyraził się, że nie chce uznać się za Mickiewiczowskiego wasala, a ponieważ przynoszący to zaproszenie, usłyszawszy odmowę, zirytowali się także, wymieniono więc nawzajem wiele słów szorstkich i przykrych, których rezultatem było, że dwie te poetyczne gwiazdy nie zeszły się już na drodze twórczości, a spotkały się dopiero w mistycznéj doktrynie.

Januszkiewicz Eustachy, którego listy znaleziono w papierach Bronisława Zaleskiego i inne udzielone nam łaskawie przez Władysława Mickiewicza, główne tło opowiadania tego stanowią, podaje, że właśnie Słowacki puhar ów wręczył.

Jestto pomyłka, poświadczona przez ustne opowiadanie uczestników uczty, które, o tyle, o ile to było możliwe, sprawdzaliśmy jedne drugiemi Najwięcéj stosunkowo zawdzięczamy p. Leonardowi Niedźwiedzkiemu, który chwalebnym obyczajem, wszystkie ważniejsze fakta zaszłe w emigracyi na świeżo notował, i te jego notatki rozjaśniły nam wiele wątpliwości.

Nie — Słowacki na uroczystości wręczenia puharu nie był obecny, a później wylewając z powodu téj przykrości gorycz zebraną w jego sercu, wypowiedział w Beniowskim, że na uczcie „serca rwał kawały i w twarz Mickiewiczowi ciskał,“ a w dzienniku Trzeci Maj napisał zgryźliwy artykuł, gdzie improwizatorów wyszydził. To przyczyniło się do rozpowszechnienia mylnych o całem tem zdarzeniu podań, i za główną zasługę opowiadania naszego podajemy to, że wypadki, tak jak one miały rzeczywiście miejsce, przytaczamy.

* * *

Mickiewicz o niczem nie wiedząc, zaproszony, stawił się dnia 1 stycznia 1841 r. u Januszkiewiczów.

Tu znalazł zebranie daleko liczniejsze, jak poprzednio, przybyli jeszcze bowiem do poprzednich: Stefan Witwicki, Bohdan Zaleski, Stefan Zan, Mierosławski, Nabielak i inni.

Puhar wręczał trzeci wieszcz: pan Radzca Grzymała.

Powierzenie jemu téj misyi na pierwszy rzut oka mogło się wydawać nie stosownem, a jednak, była przyczyna po temu. Widzieliśmy już wyżéj, że pan Franciszek improwizatorskiego daru dwom poetom pozazdrościł i sam także na tem polu postanowił sił swoich sprobować.

Otóż, trzymając dar w swém ręku, zakłopotany jedynie tem, że wskazującego palca prawéj ręki nie może podnieść do góry, uroczystym tonem i z przesadną deklamacyą począł wypowiadać wiersz, w klasycznym, poważnym stylu wyciosany.

Pierwsza strofa, różniąca się niezmierną rozmaitością rymu i rytmu poszła wybornie i w okół „niech żyje pan Radzca“ wołano. Z drugą atoli było już gorzéj, do pierwszego wiersza ani rusz jakoś drugi szluzować się nie chciał i już szyderskie uśmiechy wybiegały na twarze obecnych, ale pana Franciszka nie tak łatwo było zjeść w kaszy.

Z najzimniejszą krwią postawił na stole trzymany w ręku puhar, odpiął czarny redegot i z bocznéj jego kieszeni wyjął skrypt, grubemi zapisany literami, gdzie właśnie owa pseudo-improwizacya się mieściła.

Śmiechy dały się słyszeć w około, ale Mickiewicz, nie tracący nic ze swojéj powagi, zmarszczył brwi groźnie i wśród ciszy, jaka natychmiast zapanowała, pan radzca bez przeszkody i w tymże samym tonie napisany wiersz do końca przeczytał.

Mimo to wszystko, sytuacya z natury rzeczy stała się trochę komiczną i ambarasującą, znakomitą też dywersyą zrobił Zan, gromkim a dźwięcznym głosem rozpoczynając pierwszą strofę filareckiéj pieśni:

Hej użyjmy żywota!

Oblicze Mickiewicza rozpogodziło się, rozjaśniło, i on, który nigdy prawie nie zwykł był śpiewać, zawtórował mimowolnie téj pełnéj wspomnień nucie i chór wspaniały, a nieznany Francuzom, obił się o uszy dalszych nawet sąsiadów.

Kiedy ostatni ton pieśni rozbrzmiewał i ostatnie jéj echo tonęło w przestrzeni, podniósł się kasztelan Plater i z żywością a ogniem, jakiego niktby w nim nie przypuszczał, deklamować zaczął: Odę do młodości. i

Mickiewicz ożywiony był, przejęty, i znowu cudowne błysk poczęły mu przebiegać po twarzy.

Przerwał deklamacyą Platerowi, zawołał o puchar, napełnił go winem i wychyliwszy do dna, stanął przy fortepianie i improwizować począł.

Nazwał siebie z góry prorokiem, i uderzając w ton, który daleko więcéj jak uwielbienie dla sztuki słuchaczów zachwycił, zaczął mówić o kraju — o jego wielkiéj przeszłości i stanie obecnym, o tem, czém on w przyszłości będzie i być musi.

Słowa jego, zawsze tak jasne i tak zrozumiałe, nawet dla umysłów prostaczków, tu stawały się zawiłe, ubierały się w obrazy, których znaczenie słuchaczom w pierwszéj chwili trudnem do ujęcia było, brały formę rozmowy raczéj z aniołami, aniżeli z ludźmi.

Słuchacze wszyscy dech, zda się, zaparli w sobie, a obok uszanowania, jakie ich zawsze w obec tworzącego mistrza na kolana rzucało, drżeli oczekiwaniem znalezienia w tym przepowiadanym losie słowa, któreby ziszczenia się szczęścia na zbyt odległe czasy nie odkładało.

Było więc tam powiedziane między innemi, że kraj będzie miał swego króla, swoich kapłanów, swoich hetmanów i swoich rycerzy.

Na wyraz król, wśród ogólnego milczenia ozwał się Nabielak:

— Nie przesądzajmy przyszłości!

Wieszcz drgnął, potarł ręką czoło, błędnem okiem powiódł po przytomnych, jakby dziwił się, że go z innego świata napowrót na ziemię sprowadzają.

Tymczasem za danem hasłem w zebraniu potoczyły się zawzięte polityczne spory. Jedni dowodzili, że króla nie trzeba, inni widzieli w tem jakieś aluzye do ks. Adama Czartoryskiego i na pole namiętnéj dyskusyi się puścili.

Grzymała wtedy uderzył silnie w stół pięścią, i zwróciwszy przez to uwagę obecnych, zaimprowizował teraz już prawdziwie następującą strofę:

Iskrę poezyi pożyczywszy z nieba,
Wieszcz górnie śpiewał usty natchnionemi;
Ale rzekł w końcu: króla nam potrzeba!
A ja wam mówię: trzeba naprzód ziemi,
Trzeba wolności i pomocy Boga
Aby zmódz wroga;
A gdy staniemy u kresu zawodu,
Zapytać woli narodu.

Przyszła więc kreska i na Matyska i pan radzca rzeczywiście i naprawdę zaimprowizował.

Nie o to jednak chodziło. Trzeba było, aby zerwaną nić myśli poety nawiązać na nowo, żeby go wyprawić napowrót w tę krainę cudów, gdzie przyszłość przed jego oczami się otwierała.

Mierosławski wziął to zadanie na siebie, w improwizacyi gorącéj, namiętnéj, silnéj w wyrazy i słowa, zaklinał mistrza, żeby przerwany przedmiot daléj prowadził, ale wszystkie zaklęcia były już próżne; wieszcz wyszedł już z téj nadziemskiéj i nadprzyrodzonéj kolei.

Późniéj skarżył się wieszcz przed przyjaciołmi, że mu tok myśli jego przerwano, zdawało mu się bowiem, że odgadłby był wtedy to, co jeszcze dotąd nieprzebita zasłona przyszłości pokrywała.

Gdyby Słowacki znajdował się tu wtenczas, możeby nie dopuścił zamieniania proroctwa na niepotrzebne polityczne spory, a co pewna, węzeł serdeczności, nawiązany z Mickiewiczem tydzień temu, byłby na przyszłość przechował, nie dałby się wyobraźni swojéj zbłąkać, mając za przewodnika mistrza nad mistrze, a i Mickiewicz byłby go także w swych prelekcyach nie pominął i byłby wyjaśnił zapewne niektóre miejsca w poetycznéj spuściźnie Juliusza, które bez takiego interpretatora pozostaną na zawsze może nieodcyfrowanymi hieroglifami.

Byłby zaś przedewszystkiem dumny Juliusz przekonał się, że jego ironiczne spojrzenie Grzymale rzucone nie miało racyi bytu, gdyż i on improwizować potrafił.

KONTRASTY.

USTĘP Z ŻYCIA CHOPINA.

W przeciągu czasu od r. 1835, aż do chwili, w któréj wybuchnął orkan rewolucyi 1848 roku i w ciche dotąd ogniska wniósł niepokój i trwogę, słynął w Paryżu z gościnności i gromadzenia wszystkiego, co po nad tłumy się wybiło, salon hr. de Collin-Maillard.

Lubo przyjęcia były tu mniéj wystawne, aniżeli w innych, jemu podobnych, w jakie obfituje arystokratyczna dzielnica Paryża, Faubourg Saint Germain, jednak starano się na zebrania tutejsze wciskać, wszystkich bowiem czarowały uprzejmość i dowcip gospodyni, wysokie stosunki gospodarza, oraz okoliczność, że wszystko, co zasłynęło talentem, pięknością lub zasługą, przez woskowane posadzki tego salonu, choć razy kilka przesunąć się musiało, a niektórzy już artyści lub literaci szli tutaj, jak do własnéj rodziny.

Choć zbierało się tutaj towarzystwo całkiem międzynarodowe, jednak nie wszystkie narodowości miały do salonu przystęp; że zaś ze wszystkich narodów Polacy byli wtenczas ulubieńcami Francyi, i w salonach więc hr. Collin-Maillar do stałych zaliczali się gości.

Gospodarze z letniéj na wieś lub do wód wycieczki powracali zawsze regularnie w pierwszych dniach października, a piętnastego tegoż miesiąca otwierały się po raz pierwszy ich salony i już aż do ostatnich dni maja po dwa razy na tydzień przyjmowały licznych gości.

Szerokie schody, ubrane licznemi egzotycznemi krzewami, prosto z peronu prowadziły na pierwsze piętro do wielkiego we-

stybulu, zkąd kamerdyner anonsował i wprowadzał gości przybywających do okrągłéj sali. Tu przy wejściu trzymał się stale gospodarz, aby witać miłych przybyszów, a w głębi na nizkiéj kanapce siedziała gospodyni, nie zaniedbująca nigdy kiwnąć na wchodzącego wachlarzem i każdemu jakieś miłe słówko powiedzieć.

Przez pierwszą godzinę od czasu otwarcia podwojów panował pewien nieład, wynikający z wzajemnych powitań, z zamienionych na prędce słów, z opowiadanych półgłosem bieżących nowinek, a ani gospodarz, ani gospodyni nie schodzili wtedy ze swoich stanowisk. Późniéj już każdy robił, co mu się podobało i liczba gości, która nieraz do kilkuset dochodziła, albo pozostawała w sali głównéj lub, dobrawszy podług swojego gustu towarzystwo, rozpływała się po mniejszych salonikach, ciągnących się w amfiladzie, po obudwu stronach sali okrągłéj i zakończonych zimowym, szkłem przykrytym ogrodem.

W sali głównéj tymczasem, na maleńkiéj estradzie, bądź poeta jakiś deklamował swój utwór, bądź przy Plegelowskim fortepianie mieniali się kolejno Liszt z Meyerbeerem, bądź odzywały się słowicze głosy Nourrit, Lablache'a, Catalani lub Molibran.

W sąsiednich salonach nieraz w odosobnionym kątku kreślił coś ołówkiem Delacroix, nieraz Heine, słuchając humorystycznych opowiadań Niemcewicza grzejącego się przy kominku, dziwił się, jak dowcip może egzystować bez jadu, a za ogromnemi pomarańczowemi drzewami młodzież do uszka pięknéj dziewicy szeptała pełne zachwytu słowa, lub oswobodzona od argusowego stróża mężatka, zpoza wachlarza rzucała pełne znaczenia, acz i pojedyńcze wyrazy do swego interlokutora.

Na małéj, z japońskiéj trzciny plecionéj kanapce, ukryci poza olbrzymiemi bukietami kwitnących azaliji siedzieli dwaj mężczyźni cicho coś ze sobą mówiąc nieznanym większości towarzystwa oderwane polskim językiem.

Obaj byli bardzo starannie i elegancko ubrani, a choć obaj przystojni, jednak na pierwszy rzut oka mocno się od siebie różnili. Jeden krępy był, rozrosły, drugi szczupły i wiotki, jak trzcina. Pierwszy szatyn kędzierzawy i siwiejący już trochę, włos miał krótko ostrzyżony i podczesany w górę; drugiego jasna fryzura starannie i misternie ułożona była, jakby u najpierwszéj elegantki. Pierwszego cera smagła piętno zdrowia nosiła na sobie; drugiego twarz miała barwę liliji z odcieniem alabastrowym i niemal przezroczystym. Pierwszego wąs suty

a wymuskany z kokieteryą podniesiony był do góry; drugi nie miał czy też nie nosił zarostu i tylko delikatne jak puszek maleńkie faworyty zaledwie na bladéj twarzy dostrzegać się dawały. Pierwszy oko miał czarne, biegające a żywe, drugi niebieskie, duże i wypukłe, ale poruszające się wolno, pod pięknie zarysowaną arkadą powieki, zelzawione, jakby tęskniące i marzycielskie. Na pierwszego ustach igrał uśmiech swobody, swawolny niemal; drugi także się uśmiechał, słodko prawda, pociągająco, ale melancholijnie.

Pierwszym był, hr. Albert Grzymała, drugi, znacznie od niego młodszy, Fryderyk Chopin.

Więc czegożbyś się miał lękać? — mówił w dalszym ciągu rozmowy Grzymała, — przecież tutaj nic ci chyba nie grozi?

— Tak, zapewne, — odpowiedział łagodnie uśmiechając się Chopin, — jednak dziwny jakiś a szczególny niepokój miotał dziś dzień cały moją duszę. Tęsknota wyżerała serce, myśl leciała gdzieś ciągle, coraz daléj i daléj, i na próżno starałem się do bieżącéj uwięzić ją chwili, napróżno po kilkakroć brałem w rękę książkę. Rzuciłem ją, bo lubo oczy biegły po kartkach, umysł był gdzieindziéj. Otworzyłem fortepian, ale pierwsze jego dźwięki zabrzmiały jak wycia pokutników w polskich kominach, akordy zaś nie układały się w żadną melodyę, tylko szarpały nerwy i dreszcz wywoływały w całem ciele. Powiadam ci, strasznie cierpiałem, a żaden z was tego nie przeczuł, żaden nie przyszedł uspokoić dziwaka, co z wiekiem zamiast mężnieć, coraz niedołężniejszym się staje i niebawem zapewne bez nianki kroku nawet w życiu zrobić nie zdoła.

— Nie turbuj się, — była odpowiedź Grzymały, przyjdą dni pogodne, a z nimi wróci dawny humor naszego Fryderyka, — humor który nas nieraz aż do łez rozśmieszał. Słoty jesienne i lejący dziś od rana deszcz nieustanny były jedynem twego usposobienia powodem. System twój nerwowy, wrażliwy a natężony jak struny arfy eolskiéj, zgadza się z naturą i kiedy ona płacze i tobie zaraz na płacz się zbiera.

Chopin zadumał się przez małą chwilę, późniéj kładąc na kolanie jednę na drugiéj drobne, białe i wypieszczone swe ręce, rzekł z westchnieniem.

— A jednak to smutna rzecz, mieć takie zdrowie i taki, jak powiadasz, system nerwowy.

— Może, — gdyby poszukać głębiéj, — mówił z figlarnym

uśmiechem Grzymała; - toby się jeszcze i jakie sercowe rany wykryły, które do fizycznych, moralne jeszcze dodają przyczyny.

Chopin bystro spojrzał na mówiącego, a usta jego z wyrazem jakiejś przykrości się ściągnęły.

— Rany sercowe? — rzekł, zapewne mam ich wiele i zawsze krwawiących, bodajby dla tego, że jestem Polakiem. Jeśli jednak myślisz, że pozostały one jako skutek pocisków oczu kobiecych, to się bardzo mylisz.

— A piękna Marynia? — zapytał Grzymała. — Więc doprawdy nie trapi cię:

Że panna kornéj córki pełniąc obowiązek
Zezwoliła z ochotą na hrabiowski związek?

— Lepiéj się stało tak, jak się stało, — była odpowiedź. — Ja i Marya nie byliśmy, pokazuje się, dla siebie stworzeni. Kobieta, która tak łatwo przyżeczenie łamie, niezdolna jest do uczucia prawdziwéj miłości i jak jéj się zdawać musiało, że mnie kocha, tak i ja się myliłem i przyjaźń, a przyzwyczajenie brałem za miłość.

— Ale! . . . udajesz zucha, mój Fryderyku, co ci także pochwalić należy, wszakże kochać ją musiałeś, bo inaczéj ty, który nic udawać, do niczego zmusić się nie możesz, nie zostałbyś przecie jej narzeczonym?

— A jednak klnę ci się honorem, że mnie wieść o jej zamążpójściu dotknęła tyle, wieleby obeszło wiarołomstwo każdéj, bodajby obojętnej osoby. Tak jest, z pewnością nie kochałem jej, a jednak miłości nieudawałem i gdyby los, wzajemnie danych nam przyrzeczeń dotrzymać nam pozwolił, byłbym niezawodnie przykładnym i wiernym małżonkiem. Znałem ją jeszcze w dzieciństwie, charakter jej miękki był, spokojny, cichy i jak mój łagodny. Nie widziałem jej długo, a kiedym ujrzał dziewicę już dorosłą, uderzyła mnie jej szczególna piękność; połączyła się z nią owa sympatya, jaka tak prędko i tak silnie wiąże ludzi naszej narodowości, kiedy się z sobą wśród obcych spotkają. Więcej może nad to, stanowiła okoliczność, iż mi się zdawało, że marzenia moje pojmuje, że to, co zdaje mi się z taką jasnością w dźwiękach wypowiadam, a na co ludzie jak barany patrzą, ona bez trudu rozumiała i wszelkie posiadała kwalifikacye, aby być duszą bratnią czy też siostrzaną dla mojej. Nadto, z nią razem opuściłbym tę zaduszną zachodnią stolicę, uwolniłbym się od owej ciągłej salonowej pańszczyzny, uciekłbym da-

leko od oklasków głupiej gawiedzi, a osiadł na rodzinnej niwie, odetchnął wonią łąk polskich, pługiem własną przewracał skibę, siał hreczkę, uczył serdeczny lud mazurski i z nim razem śpiewał nasze cudne „Święty Boże.“

Dobrzeby tak było . . . . a jednak kiedy nie jest, może to nawet jeszcze i lepiéj. Obojętność, z jaką oddanie przez nią ręki innemu przyjąłem, dowiodła mi, że nie miałem dla niej miłości, a bez miłości czyżby możliwe było rozkoszne pożycie?

Nie — mężem dobrym nigdy nie będę, bom już kobiety pokochać niezdolny.

— Cha, cha, cha, zaśmiał się Grzymała, — to mi się podoba. Ale powiedzże mi, czy to nienawiść i pogarda dla niestałości kobiet postanowienie takie w tobie zrobiła, czy myślisz, że twoje serce wyschło już aż do dna?

Chopin także się uśmiechnął i, jakby wracając się do dawnej swobody, w czasie któréj, tak mu było zawsze do twarzy uderzył poufale Grzymałę po ramieniu i mówił:

— Zapewne, tobie, staremu bałamuntowi, który dla znikomej rozkoszy przelatujesz ustawicznie z kwiatka na kwiatek, trudno postanowienie podobne pojąć, boby ci inaczéj życie obmierzło zupełnie. Ja w tym względzie jestem trochę inny. Serce moje niezawodnie wyschło dzisiaj do głębi, ale był czas, że pełne ono było po brzegi skarbów uczucia. Och, — ja kochałem, i jak kochałem, a choć nieraz opowiadałem ci o tem, dziś jeszcze, kiedy pomyślę jak „mój anioł pokoju“ wyglądał, na jakie męki skazało mnie moje z nim rozłączenie, kiedy przypomnę z jakiem drzeniem rozkosznem i strasznem zarazem odbierałem listy Matuszyńskiego, w których mi o nim donosił, to staje mi przed oczyma obraz szczęścia, jakie już dawno minęło i jakie nigdy nie wróci. Niestety i ten anioł, była to tylko zwykła Konstancya, zwykła kobieta, i ona także o towarzyszu lat młodości zapomniała i ona oddała rękę innemu. Winić jej jednak nie śmiem. Nie wszystkim sercom dała natura taką, jak mnie wytrwałość i stałość i są ludzie, dla których potrzeba ciągle mieć przed oczyma przedmiot ukochany, aby miłość dla niego zachować. Czy wszystkie kobiety takie, rozstrzygać nie chcę, alem już nie ciekawy i w sercu mojem nie masz dla nich miejsca. Prawdziwie kocha się raz w życiu, a ja ospę tę przebyłem i od choroby co się zwie miłością wolny jestem na wieki.

— Nie mów hop, aż przeskoczysz — odrzekł mu Grzymała i pamiętaj, że Romeo wtedy zaczarowany został okiem córki Ka-

puleta, kiedy z rozpaczą w sercu jak cień z powodu wiarołomstwa Rozalindy się błąkał.

Romeo i po Julji pociechę by znalazł, gdyby się inaczej złożyły wypadki, a wiesz dla czego? Romeo szukał tylko rozkoszy i zabawy, bo mu w sercu nie ryl się robak tęsknoty, bo szaty żałobnej po ojczyźnie swej na plecy nie włożył. I choć ty mógłbyś być wybranym Merkuciem, złego jednak dostałeś towarzysza, co ponury jak noce jesienne, a przyszłości nieświadom, rozbił namiot włóczęgi w mieście, przez które miał tylko przejeżdżać, schnie tu i więdnieje, dziwiąc się dla czego mu na paszporcie passant par Paris napisali, kiedy rozsądniej było passant par la vie w drodze do wieczności go nazwać.

I zamyślił się smutno.

Grzymała przez czas jakiś mu nie odpowiadał, ale ze smutnych myśli otrząsnął się i rzekł:

— Et, majaczysz bratku, — najmędrzej to nasz Mickiewicz powiedział: — babska rzecz narzekać, a polska, bić się i wierzyć. Zapewne my wszyscy jesteśmy passants....

Chopin na słowa te nic nie odpowiedział, może nie sądził, żeby nadzieje podobne miały jakąś rzeczywistą podstawę i dłuższe milczenie zapanowało. Z sali głównej tymczasem dolatywał słynny śpiew: La ci darem la mano, wykonywany z nieporównanym artyzmem przez Malibran.

Chopin, który na muzykę, a szczególniej na śpiew był wielce wrażliwy, teraz nie odczuwał owych melodyi, poruszających dusze słuchaczy, ale w wewnętrznej jakiejś tonąc zadumie, szedł za promykiem własnych swych myśli.

— Dziwna rzecz, — mówił po długiem milczeniu, — wiesz, jak namiętnie lubię kwiaty, a jednak zawsze wstręt pewien wzbudzały we mnie te, które żadnej woni z siebie nie ronią. Zdawało mi się zawsze, mając je przed sobą, że jestem wśród zimnych, jak lód kokietek, które tem grubszą warstwę różu i bielidła kładą na twarz swoją piękną im więcej pragną próżnię swego serca i jego strupieszałość zasłonić. Dziś jednak wbrew nałogom swoim, bardzo mi tu dobrze między temi azalijami, szczególniej zaś woń, która mnie aż do tej skrytki, jakby przekleństwem jakiemś prześladowała, tutaj ustała zupełnie.

— Cóż to za woń? — zapytał Grzymała.

— Wiesz dobrze — mówił Chopin — że najulubieńszym kwiatkiem moim był zawsze fijołek. Pan Bóg wie, może w dziecinnych moich marzeniach tkwiło skryte życienie, abym na pol-

skiej łące stał się fijołkiem. Może pragnąłem, żeby mnie nikt ukrytego wśród trawy nie dostrzegł, zgodziłbym się nawet, żeby mnie brutalna zdeptała stopa, byle tylko najwyższy codzień świeżą rosą mnie napoił, a lud mój by czuł woń, jaką niewidzialny i na dziwowisko tłumom nie podany, siałbym naokoło siebie, jak pająk z narodowéj przeszłości i narodowych motywów wysnuwając przędzę, mającą za zadanie nauczyć Polaków, że nie trzeba im na zewnątrz szukać u obcych treści, bo swoją własną mają tak bogatą, że im jej przez wszystkie wieki wystarczy.

Z tego względu woń fijołka była zawsze dla mnie droga, bo mi się zdawało, że ponieważ z głębi serca pochodzi, więc zawsze prawdziwe są te zapachy. Dziś jednak zaszło ze mną zjawisko szczególne. W jesieni fijołków nie ma, zdawałoby się więc, że jeśli zapach ich do spragnionego powonienia zaleci, będzie to uczta i przyjemność, jakiej równéj wymarzyć trudno. A jednak, kiedym o przyjęciu dzisiaj u hr. Collin Maillard sobie przypomniał i kiedym dla wyjścia ze szczególnego rozdraźnienia swego tutaj pospieszył, zaledwie siadłem do powozu, woń fijołków do mnie zaleciała, a nie zrobiła mi wrażenia przyjemnego — owszem przykre.

— Chciałem przed nią uciec, skryć się, ale za każdem odetchnieniem zapach ten do piersi mojej się wdzierał. Myślałem zrazu, że galant cocher sztuczną jakąś wonią woatiurę swoją nasycił i że niebawem z tego balsamicznego empireum się wyzwolę, ale stało się zupełnie inaczej. Kiedy na miejsce przybyłem i kiedy szedłem po schodach, nie tylko że woń ta szczególna nie ustępowała, ale owszem za każdym krokiem potęgowała się i rosła. Strach objął mój umysł, wziąłem to za jakąś nieszczęśliwą przepowiednię i szczerze chciałem dać drapaka do domu, ale było już za późno. Kamerdyner drzwi otworzył i kłaniając się powtarzał: On vous bien attend M. Chopin, rejterować więc w takich wurunkach byłoby tchórzostwem, to też uśmiechnąłem się na swoję skłonność do przesądów i śmiało na salony wkroczyłem. Woń ta jednak szczególna nie opuszczała mnie, dopóki tu między temi azaljami kątka nie znalazłem i dopóki mnie ty tutaj nie spotkałeś.

— Viola odorata — mówił Grzymała — chcąc jakimś żartem przywidzenia te dziecinne skończyć, modestiae . . . .

Ale Chopin porwał się z miejsca i zapominając o wszystkiem, z uniesieniem zawołał:

— To on, jak matkę kocham on . . . . wielki Meyerbeer, czy też, jak go ten łobuz Heine nazywa Bär-Mayer. Chodźmy bliżéj, żeby żadnej nuty nie uronić.

I poszli do sali okrągłéj.

* * *

Jeśli Chopin z koncertami występował niechętnie, wielki tłum bowiem zawsze go zrażał, to owo swoje odgradzanie się od oklasków ciżby i od zebrań licznych, w których zwykle bywa wielu wezwanych, ale mało wybranych, posuwał tak daleko, że w salonach prywatnych nie często z grą się swoją popisywał. Acz z pochodzenia plebejusz, boć ze średnich warstw narodu i z mięszaniny krwi francuzkiej z polską zrodzony, osobą swoją zadawał on kłam teoryom, jakoby pewne usposobienia w kolebce i od ojców się dziedziczyły. Chopin z usposobienia swojego był prawdziwym arystokratą, w czystem, platońskiem pojmowaniu tego wyrazu. Hojnie szafujący groszem, jakby pan, na którego wydatki tysiące pługów orze w rodzinnéj wiosce, smakował on jedynie par excellence w towarzystwie doborowem. Jak suknia jego skrajana była zawsze z najprzedniejszego materyału, uszyta rękami najznakomitszego krawieckiego artysty, tak i umysł równie w rzeczach sztuki, stosunków towarzyskich i pojęć społecznych zwijał się jak delikatny kwiatek czułka swe za najlżejszem szorstkiem dotknięciem. W manierach wykwintny, w sposobach wyrażania się elegancki, zdawał się z takiegoż samego miękkiego aksamitu mieć ciało i duszę, z jakim ślizgał się wiotkiemi swojemi palcami po klawiszach fortepianu i delikatne, ale idące do najskrytszych serca tajników melodye zeń wydobywał.

Ten wzgląd skłaniał go, że jakkolwiek teraz już u szczytu sławy i powodzenia swego stojący nieczęsto do popisu stawał. Lubił grać dla siebie i dla Polski, ale rzadko dla tłumu, i potrzeba było, żeby piękne a dobrze znane panie wiankiem go otoczyły, żeby jak się to raz zdarzyło, tak ceniony przez niego Liszt pod fortepian właził, by pedały zastępować, żeby zapomniał o otoczeniu a wzniosłemu dawszy się unieść porywowi, przed liczniejszem produkował się towarzystwem.

Tego wieczora, o którym opowiadamy, a który miał miejsce w końcu października r. 1838, może pod wpływem wewnętrznego jakiegoś zaniespokojenia, może w skutek tego, że większość gościnne progi już opuściła i zostali tylko najzaufańsi,

Chopin nieproszony i niepytany przy fortepianie się znalazł. Uderzył z niezwykłą siłą w klawisze i burza dźwięków, jakby odzwierciedlenie się wewnętrznego niepokoju artysty uderzyła uszy obecnych.

Cisza uroczysta i święta zapanowała w salonie, każdy dech niemal w sobie zaparł, miłośnicy bowiem muzyki a wielbiciele polskiego artysty, poznali, że mistrz uderzył pierwsze akordy jednego z preludyów w ostatnim czasie skomponowanngo, który dla śmiertelników zdawał się być najeżony mnóstwem nieprzystępnych prawdziwie trudności. Mistrz jednak niedługo pozostał tłómaczem własnego arcydzieła. Bogata jego, jak lawina z duszy lejąca się fantazya, kiedy ją raz rozbudzono, popędziła szalonym biegiem, a nie zważał on już na to, co kiedyś sam tworzył i co tkwiło niezatarte w jego pamięci, ale puścił się na pole improwizacyi, a przeniósłszy się zapewne duszą po nad brzegi Wisły, płakał tam razem z mazowiecką sierotą, tryumfalnym hymnem skrzydlatych polskich husarzów hardo uderzał w niebo, szeptał wiosennym nadziei szelestem, kwilił głosem jaskółki pławiącej się w złotych falach rzeki, łkał wzniosłą modlitwę, co jak jęk prześladowanego klęskami ludu, nie z prośbą już i skargą, ale z boleśnym wyrzutem kołatała do Przedwiecznego podwojów. Czasami wśród tej perłowej kaskady tonów przemknęła wspaniała a posuwista poloneza melodya, jakby powołanie się na dawną sławę i znaczenie, to znowu walczyk swawolny chychotem ironiji nad tą przodków powagą się zaśmiał, zadudnila mazurska basetla, jakby dowód sił żywotnych, jakie jeszcze w piersi tego zamordowanego ludu kołaczą, a ponad wszystkiem unosiła się jakaś skarga smętna, jakiś jęk żałobny, jakiś protest przeciw rozuzdanéj na nas nieprawości.

Polacy, którzy dnia tego w pałacu hr. Collin-Maillard zebrani byli liczniej niż zwykle drżeli wszyscy jak osikowe liście i choć muzyki tej słowy swemi nie zdołaliby wypowiedzieć, rozumieli, że to własna ich przeszłość, ich dzisiejsza dola, ich nadzieje i pragnienia na przyszłość leją się w tej cudnéj melodyi dźwięków, do której klucz znajduje się gdzieś tylko w niebie, w pozaświatowych sferach wiekuistej harmoniji, gdzie krążą prototypy wszelkiego piękna i gdzie zaglądać od chwili do chwili, dozwolonem jest tylko prawdziwym wybrańcom.

Dziwna rzecz jeśli Chopin kompozycye swoje w pismo ujmował, poprawkom i zmianom końca zwykle nie było i on, mistrz i twórca prawdziwy, gwoli poczuciu doskonałości, jakie w duszy

piastował, rad był, aby rozdział, jaki zwykł istnieć między pomysłem a wykonaniem zatrzeć się mógł jak najwięcéj, aby zmysłowa forma myśl jego w całej doskonałości oddać zdołała. Któż, chociażby z wieści nie wie o bólach porodu, jakie uczuwa każdy prawdziwy artysta, a u Chopina były one większe, niż u każdego innego, duch jego bowiem pławił się w najwyższych szczytach poezyi, a poczucie wykończenia, precyzyi i sumienności do drobnostkowości się prawie posuwało.

Inaczej atoli działo się kiedy improwizował. Wiedział on wtedy, że równie idealnéj sztuki jak muzyka nikt w notatkę nie ujmie, zapominał więc o świecie i słuchaczach i dawał się powodować cały siłom wewnętrznym uczucia, które rozbite na całą gamę tonów perliły się blaskiem brylantów, migotały kolorami tęczy, szeleściły szeptem miłości, nabrzmiewały bólem i płaczem.

Nie, — rzeczy takich opowiedzieć się nie da, a jeśli zapytacie tych, którzy z mistrzem obcowali, tych którzy tradycye wykonania jego święcie przechowali, to oni was objaśnią, jakie uczucia wstrząsały słuchaczami w chwilach niezbyt często powtarzających się improwizacyi chopinowskich. Kobiety wtedy zalewały się łzami, choć płacz ten, jak słodki balsam uczucie ich pieścił, mężczyzni drżeli pod wpływem niepojętego jakiegoś uroku, a ci, których grubych nerwów nigdy nic poruszyć nie mogło, zapadali w głęboką zadumę, czując, że jakaś siła niezwykła z warunków powszedniego życia ich wypchnęła i prowadzi nad brzegi przepaści, na dnie której niewiadomo, czy karki skręcić im przyjdzie, czy do wieczystej przenieść się szczęśliwości.

Tak samo było i tego wieczora. Wszystko, co jeszcze salonu nie opuściło, zebrało się w jedną gromadkę i ruszyć się nie śmiało, a kiedy kobiety w czasie pojawiającego się w akordzie t e m p o r u b a t o ciche wydawały westchnienia i do załzawionych swych oczu niosły chusteczki, wstrzymywały je nagle, kiedy p i a n i s s i m o, jakie tylko Chopin umiał dobyć, muskając lekko klawisze, zaledwie dosłyszanemi dźwiękami poruszyło powietrze.

Mistrz był w zapale, twarz jego, nie można powiedzieć, żeby zbladła więcéj, ale przezroczą prawie się stała, oczy błyszczące wzniosły się w górę a duch krążył w sferach takim tylko ludziom jak on przystępnych.

Nagle woń fijołków, na którą przed chwilą się skarzył, uderzyła znowu silniej jego powonienie, natężone jego nerwy drgnęły

a współcześnie na twarzy uczuł obslizgujące się promienie chciwie utkwionych w niego oczu. Lekki rumieniec na policzki mu wystąpił i w pierwszej chwili nie miał odwagi spojrzeć w stronę, zkąd wytężony ten wzrok pochodził. Muzyczne natchnienie atoli rozpływało się w przestworzu, poczucie rzeczywistości wracało i artysta spojrzał, dostrzegł, że poza gronem strojnych kobiet, siedzących na krzesłach i wiankiem otaczających fortepian, stała jakaś nieznana mu niewiasta, która czarne, wielkie, pełne wyrazu oczy utkwiła w twarzy artysty i nie spuszczała ich ani na chwilkę.

Chopin nie widział jéj nigdy w życiu, a przy pierwszem spojrzeniu na nią cała jej postać zrobiła na nim jakieś niemiłe wrażenie.

Mogła ona mieć lat trzydzieści kilka i może artystę, szukającego wszędzie form delikatnych a drobnych, uderzyła jej postać sama, zdradzająca pewną jakby męzką muskularność i nawet skłonność do otyłości. Twarz jej smagława i w oliwkowy prawie przechodząca kolor, nie była piękna, ale niezmiernie wyrazista, choć i w niej łatwiej było doszukać się śladów męzkości aniżeli prawdziwie niewieściego wdzięku. Kto jednak w fizyognomiach czytać umie, nie pominąłby tej twarzy obojętnie. Prawda, że usta z wargami, trochę zanadto grubemi, zdradzać się zdawały zmysłowość, że pięknie zarysowany nos, o ruchomych skrzydłach rozdętych teraz pod wpływem wrażenia, wskazywał silnie namiętności; ale czoło sklepione było wspaniale, a prześliczne czarne oczy miały w sobie tyle ognia, a zarazem tyle mądrości, że jakby jakaś tajemnicza przepaść ciągnęły ku sobie. Nad czołem piętrzyły się bujne krucze loki niesplecione w warkocz, ale świecącym podjęte grzebieniem, a sukni nie miała wyciętéj balowo, jak u innych zebranych tu niewiast, ale przeciwnie, gors był przykryty zarzuconą fantastycznie na ramię grecką tuniką.

Kobietą tą była Amantyna, Lucylla, Aurora Dudevant, znana już wtenczas powszechnie całemu światu pod imieniem Jerzego Sand.

Chopin, choć nie wiedział kto była ona, pod wpływem jej wzroku przerwał swą muzykę i ręce od klawiszów odjąwszy, nieruchomy pozostał.

Słuchacze nie wiedzieli jak mu dziękować za tę chwilę prawdziwie boskiej rozkoszy i wbrew powszechnie przyjętym zwyczajom nie tłomaczono zachwytu swego przez grzmotne okla-

ski, ale owszem, jak najuroczystsza wszędzie zapanowała cisza.

Pani Dudevant ozwała się wtedy głosem wdzięcznym, silnym i zarazem przejmującym w te słowa:

— On ne saurait rendre hommage à un maître pareil sans s'incliner devant le pays qui l'a produit. Vive la Pologne!

Wtedy dopiero oklaski jak burza zagrzmiały, a vive la Pologne, w towarzystwie, które tak rzadko uczucia swe zwykło objawiać w równie manifestacyjny i hałaśliwy sposób, po stokroć razy się powtórzyło.

Chopin jednakże wśród tych owacyi zniknął nagle, choć niezawodnie ten hołd ojczyźnie jego oddany, był mu miłym, boć żaden może artysta nie tworzył tak ciągle z ideałem Polski w duszy i wszystkiego tak z narodowych nie wysnuwał motywów.

Wrzawa atoli, i oklaski podrażniły rozigrane jego nerwy, a co więcej, prześladująca go woń fijołków znowu mu silniej uczuć się dała. Skrył się więc prędko poza azaljie, na plecioną z trzciny kanapkę, w tenże sam kącik, gdzie już przed chwilą do równowagi i uspokojenia umysłowego przychodził.

Lecz nie pozostał tu sam długo. Niebawem taż sama niewiasta, która takie szczególniejsze na nim wywarła wrażenie, ukazała się wsparta na ramieniu chopinowego przyjaciela, Liszta, jakby zbiega muzyka szukając. Artysta polski myślał w pierwszej chwili, że przez krzewy azaliji go nie dojrzą i samotności jego nie zakłócą, ale Liszt znać umyślnie go tropił, bo dostrzegłszy zdala, szedł już prosto ze swą towarzyszką wązką uliczką pomiędzy doniczkami.

Zaledwie Chopin powstać tylko zdołał, oni już byli oboje koło niego i już Liszt prezentacyę jego rozpoczął, a pani Dudevant obsypywała go komplimentami i grzecznościami, a zarazem zabierając miejsce na kanapce, na której siedział dotąd artysta, zdawała się przez to wyraźnie wskazywać, że nie myśli poprzestać na zapoznaniu się ceremonialnem i chwilowem, ale owszem chce, aby znajomości tej trwalsze założyć można podstawy, i nie troszcząc się wcale o cavaliere servante, który ją tu przyprowadził, wskazała Chopinowi miejsce obok siebie.

Chopin zawahał się trochę, bo kanapka była dosyć wązka, a nadto grzeczność sama nie pozwalała zapomnieć, że jest tu ich troje.

Pani Dudevant dostrzegła to jego wahanie, gdyż uśmiechnęła się swobodnie i rzekła:

— Czyż jestem rzeczywiście tak grubą babą, że już przy mnie nie ma miejsca na ławce, która przecież dla dwóch widocznie zrobiona osób?

Zresztą trudność istniećby mogła tylko wtedy, gdyby polski artysta odpowiednią do swego gieniuszu miał tuszę, że jednak wygląda jak filigranowa laleczka i zupełny kontrast ze mną stanowi, przeto powinno nam tu być zupełnie wygodnie. Pan Liszt zaś, który był tyle łaskaw, że ułatwił mi znajomość ze swoim przyjacielem, znajomość, której tak pragnęłam, wybaczy nam, że o miejscu dla niego zapomnieliśmy i z całem bezpieczeństwem samych nas ze sobą zostawi.

Chopin zajął więc wskazane miejsce. Liszt zaś skłonił się głęboko i prędko oddalił się z uśmiechem złośliwym na ustach. Nie można go było jednak posądzić o jakąś ukrytą intencyą, uśmiech ten bowiem był już nieoddzielny od jego fizyognomiji.

Zbliżenie dopiero Chopina do pani Dudevant przekonało go gdzie było źródło owej woni fijołków, która go tak prześladowała bez przerwy. Ona to właśnie była zlana jakimś szczególnie silnym wyskokiem tego kwiatu, który zawsze tak mu miły, teraz nielitościwie szarpał jego nerwy. W ruchliwym jego umyśle przyszło zaraz tłomaczenie, że ona to musiała wonie te rozlać, ale zarazem stanęło przed nim pytanie, czemuż tę woń czuł jadąc tutaj, czemu ją spotkał na schodach? Chopin był mocno przesądnym i przedewszystkiem wierzył we wszelkie przeczucia. Czy błądzi ten, kto tak jak on postępuje, czy może ten co z nich drwi i szydzi? — Któż zgadnie? On jednak temu szczególnemu wypadkowi znaczenie wyjątkowe przypisywał, a nie wiedział, czy ono ma być szczęścia, czy też przykrości zwiastunem.

Na rozmyślanie jednak podobne czasu nie było, bo sąsiadka jego chciała korzystać prędko ze znajomości zabranéj i żywą rozpoczęła rozmowę.

Przedmiot jéj wybrała umiejętnie, a raczéj nawiązała ją tylko do słów, jakie wyrzekła po ustaniu chopinowskiego koncertu i mówiła daléj o Polsce, a przypuszczamy, że przedmiot ten płynął jéj wprost z serca, i nie był kobiecą zręcznością, co słowy o ojczyznie starałaby się zjednać przychylność artysty, który snać wielce tę Polskę umiłował, kiedy tak cudnie grał na jéj motywach.

Nie — George Sand była wielką, a co rzadziéj się zdarza, była stałą nietylko przyjaciółką ale wielbicielką polskiego narodu. Kiedy powstanie listopadowe wybuchło, ona najgłośniéj i z serca pochwały jego śpiewała i skarżyła się, że nie jest milionerką, aby te miliony na polską ofiarować wojnę, że nie jest mężem stanu i władzcą Francyi, żeby tę Francyą, jak jednego męża na obronę siostry północnéj posłać, że nie jest wreszcie mężczyzną, żeby nie mogąc nic innego, broń przynajmniéj chwycić i pobiedz z walecznymi, po to, aby jeśli nie zwyciężyć, to przynajmniéj poledz.

Bez względu, że owa ogromna dla ojczyzny Chopina sympatya wielce go za serce chwytała, nie był on jednak mimo to w stanie przezwyciężyć w sobie szczególnego wstrętu, jaki do téj kobiety uczuwał. Zkąd on jednak mógł pochodzić? Wszak gieniusze przyciągają się i lgną do siebie, a jeśli Chopin był gieniuszem, był nim także, acz w innym zakresie i w innych wymiarach Jerzy Sand. Pani Dudevant jako autorka, stała już wtenczas bardzo wysoko, a „Indyana“ i „Lelia“ jak oryginalnemu jéj talentowi nowego dodawały blasku, tak zarazem oczyszczały ją choć w części z win, jakie jéj surowsi przestrzegacze obyczajów zarzucali.

Talent i potęgę Jerzego Sanda uznawała już wtenczas nietylko Francya, ale uznawać ją począł także świat cały, czyż więc pochwała z ust takich i uznanie nie wychodziły na korzyść i na zaszczyt rzuconemu pomiędzy obcych artyście? Przyjaciel jego Liszt, który z widoku nie spuszczał nigdy strony materyalnéj, jaką sztuka także przedstawia, na znajomości téj wielkie dla Chopina budował nadzieje, polski jednak artysta, dla którego materyalna strona życia nie zdawała się nawet istnieć, zapewne o tem nie pomyślał, a natomiast poznanie sławnej kobiety zaciekawiać go już było powinno.

Czyżby więc rzeczywiście powodem owego wstrętu były te kontrasty, o jakich pani Dudevant, myśląc tylko o fizycznéj stronie żartem wspomniała? Zępewne kontrast ten jeszcze wyraźniejszym się stawał przy większem zbliżeniu, a odbijał się nawet na takich drobnostkach, jak toaleta. Chopin ubrany był ze starannością, przechodzącą nawet zwykłą miarę i zbliżającą się do elegancyi, niemal do żurnalowéj ryciny: w stroju zaś pani Dudevant zdradzało się pewne zaniedbanie, fantastyczność i pogoń za oryginalnością. Jeśli zaś zwrócimy uwagę, że elegancya i kokieterya kobiet zwykle bywają udziałem, i że tu role były zmie-

nione, zgodzić się musimy, że kontrast ten wybitniéj się zarysowywał.

Jeśli jednak silne były kontrasty zewnętrzne, o ileż większe od nich stawały się wewnętrzne, z zapatrywania się na życie wynikające.

Pani Dudevant była protektorką demokratycznéj, a nawet rewolucyjnéj idei; Chopin, jakkolwiek w polityczne nie zabawiał się doktrynerstwo i jakkolwiek równości i wolności pragnął dla wszystkich warstw społecznych, czuł, że we wszystkich sferach wyżyćby nie mógł, a ludowe zebrania i propaganda demokratyczna przejmowały go takimże samym dreszczem, jak jego przyjaciela Heinego, z tą tylko różnicą, że kiedy ostatni się skarżył, iż mu od dymu fajczanego głowa się zawraca, a z powodu uścisku demokratów wiele na mydło musi wydawać, — Chopin, wprost w takiéj atmosferze i wśród takiego otoczenia, skonałby. Są istoty, którym odpowiedniego trzeba kółka, i muszą one do niego dążyć, pod grozą zatraty.

Następnie, życie pani Sand powszechnie znane całemu światu, jéj zerwanie z mężem, jéj długie pożycie z Juliuszem Sandeau, z Mussetem nie godziło się z stycznemi pojęciami Chopina. Wychowany w kraju, gdzie moralność rodzinna tak krzepkie zapuściła korzenie, lękał się on kobiety, co obowiązki swe zdeptała, co szydząc z opiniji świata, nie zasady ale własne sumienie na sądzenie go sobie wybrała. Nie wierzył w to, że bywa nieprzemożona siła temperamentu, że istnieją istoty, dla których trzeba silnych wrażeń, że kto wielkim zabłysnął talentem, ten mniéj surowo niż inni, pospolici ludzie, powinien być oceniony. Nie — on wyznawał, że im komu więcéj dano, tem też więcéj od niego żądać się ma prawo.

Spowiedź publiczna niejako, którą pani Dudevant w powieściach swych z zajść wydarzonych w jéj życiu odbyła, u wielu uzyskała uznanie, oceniono bowiem jéj serce i uwierzono, że nie rozpusta wcale, ale uczucie prawdziwe po tych dziwnych szlakach ją wiodło. Okoliczność ta jednak w umyśle Chopina nie mogła dla niéj uzyskać łaski. Owszem, za tem większą winę uważał on jéj wyciąganie tych tajemnic na rynek, dozwalanie szperania masom w skrytościach, jakie dla nikogo przystępne być nie powinny.

Dążność także do wyemancypowania kobiety, do postawienia jéj z mężczyzną na równi, acz odpowiadała poczuciu sprawiedliwości, jakie w sumieniu Chopina było złożone, nie pory-

wała go atoli, wyrosły bowiem na polskim gruncie, widział on matki, żony, siostry, kochanki, szanowane zawsze, a ubóstwiane niekiedy. Kobietę, przyjaciółkę i towarzyszkę wspólnéj pracy znał, ale nie widział niewolnicy, cały więc hałas w sprawie téj podniesiony wydawał mu się czczą deklamacyą, któréj najważniejszego do istnienia nie brakło pierwiastku — bo prawdy.

Nawet styl, nawet język, nawet artyzm Jerzego Sanda, choć go czarował czasami, ale też szorstkością, realizmem zrażał nie rzadko. — Trudno, on nie był téjże saméj sfery artystą i bez względu na idealny pogląd, w strojeniu się męzkiem Jerzego Sanda, jakie mu znane było z tradycyi, nie dostrzegał on polityczności, a raczéj awanturniczość i nie wiele brakło do tego, aby krzyknął na nią słowy Alfreda Musseta: „Honte à toi, femme à l'oeil sombre!“

Po kilku ogólnéj treści poglądach na stanowisko w świecie narodu polskiego, na jego ostatnie klęski i niezatracalne prawa, przeszła pani Dudevant do rzeczy więcéj osobistych, mówiąc:

— Że mnie te wszystkie sprawy równym zapałem przejmują, wynika to zapewne najpierwéj ze zrozumienia, po któréj stronie sprawiedliwość leży, ale może także i z tego, że przez krew nawet jestem z Polską zbliżona i w pewnéj części rodaczką pańską mogę się nazwać.

— Pani? — zapytał zdziwiony Chopin.

— Ależ tak jest, chociaż nie widzę, żeby to pana zbytnią napełniało radością. Król wasz, August Mocny, jest pradziadem moim w linii macierzystéj, syn bowiem jego i Aurory Koenigsmark, Maurycy Saski, z aktorką Rinteau (panną Verrières) miał córkę Maryą Aurorę, wydaną naprzód za hrabiego Horna, syna naturalnego Ludwika XVgo, a późniéj za mojego ojca, Dupin de Francueil. Jeśli więc do arystokracyi zapragnęłabym się zaliczać, mam do tego najzupełniejsze prawo, jako pochodząca ze krwi monarszéj.

Chopin uśmiechnął się lekko a złośliwie, ale pani Duderant nie dostrzegła tego i mówiła daléj:

— Ponad arystokratyczne jednak tradycye milsze dla mnie wspomnienia mojéj babki, która wyrosła wśród tego poczciwego, ofiarnego, serdecznggo ludu naszéj stolicy, co w ciężkim trudzie kawałek chleba zdobywając, umiał burzyć ciemnice niewoli i walczyć za wolność narodów. Arystokracya zaś zstępuje, jeśli nie zstąpiła już do grobu, a lud sztandar przyszłości światu przynosi. Któż czepiałby się ruin i w nich dobrowolnie się zagrze-

bywał, kiedy przed nim stoją wielkie obowiązki do spełnienia i wielkie szczęście do osiągnięcia?

Chopin z zasady nie mieszał się nigdy w dysputy tak polityczne, jak i religijne, i wolał zawsze milczeniem pominąć sprawy, któreby wywołane naprożno, mogły przekonanie jego razić. Teraz jednak mimochodem wyrzekł:

— Jak w naturze, tak tem bardziéj w świecie społecznym, nic od razu nie ginie, ale owszem, ci co grzeszyli z grzechów się poprawiają, ci co nic nie umieli, uczą się, a ci co dawniéj stali wysoko, podają rękę umieszczonym nizko i wprowadzają ich na własne wyniosłe stopnie. Miłość tylko zdolna skutecznie wielkie przepaści wypełnić i miłość jedynie do celu wiedzie.

— Walka półśrodkami, — rzekła Sand, — niepraktyczna jest, a o miłości mowy tam być nie może, gdzie tylko musi istnieć nienawiść.

Na spory atoli podobne czasu już nie było z powodu zbytnio spóźnionéj pory. Wszyscy już prawie salon gościnny opuścili, a poza krzakami azalji przechadzali się hr. Albert Grzymała z Lisztem, jakby chcąc dać poznać rozmawiającym, że powinni razem z innymi odchodzić.

— Wypędzają nas, — rzekła wstając pani Dudevant w téj właśnie chwili, kiedyśmy in medias res wkroczyli. — Liczę jednak na to, że rozpoczętą rozmowę raczy pan dokończyć u mnie, a więc au plaisir de vous revoir M. Chopin.

— Gdyby chodziło jedynie o kończenie rozmowy téj, — odpowiedział również wstawszy artysta, — niezawodnie bym zdezerterował, w kwestyach politycznych bowiem i społecznych jestem wielki ignorant. . .

— I rażą one pana, drażnią, szczególnie jeśli tak szorstko są stawiane, jak ja to czynię. . . A więc. . . będziemy mówili o sztuce, bo wszak i wir sind in Arkadien geboren.

Chopin skłonił się głęboko i szli już żegnać gospodarzy, Pani Dudevant Liszt podał ramię, a Chopina odprowadzał Grzymala.

— Powiedz, czyż nie ciekawa i nie zastanawiająca kobieta? zapytał ten, kiedy byli na schodach.

— Wcale nie ciekawa, — była odpowiedź, — a przedewszystkiem wielce niesmaczna. Szereg cudzołóztw za tytuł do arystokratycznego pochodzenia swego podaje, a dla przeprowadzenia demokratycznych swych ideałów, gotowa gilotynę na nowo odbudować.

— Dziwny boś ty człowiek, mój Fryderyku, — rzekł na to Grzymała, — ręczę, że potomkowie królów jerozolimskich liberalniejsi są od ciebie, a już dla namiętności ludzkich nieubłagany jesteś i rozwój demokratycznéj idei jest dla ciebie martwą literą.

— Pojmuję rozwój przez poświęcenie, bohaterstwo i cnotę, ale nigdy przez nienawiść i zbrodnią. Ale dosyć o tem, są to przedmioty, które za wysokie są dla mojéj kompetencyi.

Grzymała zamilkł. Chopin był bowiem pewnego rodzaju tyranem i, jeśli w jakimkolwiek względzie się zaciął, nie było siły, którąby z niego choć jedno słowo dobyła, a żadna perswazya nie była w stanie złamać jego uporu.

* * *

Dziwnie to rzeczy składają się na świecie. — Chopin względem pani Dudevant wstręt jakiś wewnętrzny uczuwał, a jednak w domu jéj stawał się coraz częstszym gościem. Może ciągnęły go tam jéj poglądy na sztukę, pełne krwi, życia, pulsów, kiedy jego twórczość w sferach idealnych się rozpływała, może zachwycała go bezczelna prawie śmiałość téj kobiety, która opinią powszechną, dotychczas uznane prawa moralności, sąd episierów wyhodowanych pod królem bourgeois, zuchwalemi deptała nogami i drwiła ze świata, co na nowe nie mogąc się zdobyć idee, żył w pół we śnie, w pół na jawie, żywiąc się zapasami dawniejszemi, jak litewski niedźwiedź w zimowym swoim mateczniku. On z powodu twórczości swéj w sferach idealnych krążący, zapomniał o brudnéj ziemi i nie chciał o niéj wiedzieć; ona za punkt wyjścia ziemię zawsze brała i starała się zbite jéj a błotniste warstwy promieniami idealnego światła rozgrzać i oświecić.

Nadto dwoje dziatek pani Dudevant, synek Maurice, i córeczka Solange, szczególniej umiłowały Monsieur Fritz, którego także czasem notre petit polonais nazywały, i skoro się między niemi zjawił, ściskały go za szyję, drapały mu się na kolana i szukały po kieszeniach jego cukierków. Cechą jest każdego artysty, że na wzór Chrystusa Pana, radby się złotowłosemi główkami dzieciaków otaczać, wzrokiem swoim w niewinnych ich oczach tonąć i na żywym okazie odgadywać tę tajemnicę czystości, która — bądź, co bądź — jest jednym ze sztuki pierwiastków. Gust zaś ten tem więcej właściwy był

tak charakterowi twórczości Chopina, jak i jego wspomnieniom wyniesionym z rodzinnego domu.

Przyjeciele także, a głównie Liszt i Grzymała, często go w te progi ciągnęli, a każdy z nich inny miał do tego powód. Rodak rad by był Chopina ożywić, ze światem go pobratać, do przyłożenia ust do czary rozkoszy skłonić, a sam stosunkom z kobietami w życiu swem ważne naznaczając miejsce, wierzył, że środki takie praktycznie i ekscytująco, a więc zbawiennie działają. Lisztowi o inne chodziło względy. — George Sand w rozlicznych revues francuzkich i prasie codziennej była powagą, a głos jej znaczył stokroć więcej, aniżeli wszystkie razem wzięte opinie uczonych pedantów. Podług przekonania więc jego, młody wirtuoz nie powinien przyjaźnią taką i poparciem pogardzać, ale owszem wszelkie z niego możliwe wyciągać zyski.

Które z tych wpływów działały najwięcéj, trudno odgadnąć i trzeba chyba przyznać że wszystkie. Chopin bowiem mimo zaakcentowanego wstrętu do tej kobiety, jaki przy pierwszem z nią spotkaniu uczuł i z jakiego w listach do swoich się spowiadał, bywał codziennym gościem w jéj domu i całe nieraz spędzał tutaj wieczory.

Jakżeż w stosunku do niego zachowywała się ona? Czy, jak utrzymują pozostałe o tym stosunku tradycye, ciągnęła go ułudnie w swe sieci i gwoli zmysłowym jedynie zachciankom zagięła parol na tę kruchą istotę, dla której wszelki wybuch namiętny mógł być zabójczym?

— Gdzie tam.

Nie rozumie ten natury kobiecej w ogóle, a nie wczytał się snać w wywnętrzenia autorki „Indyany“, ktoby tak sądził. Była to natura niezawodnie niecodzienna, a jeżeli czego, to charakteru wzniosłości nigdy jej nie brakowało. Męża swojego, pułkownika Dudevant porzuciła, gdyż zanadto on garnizonem trącił i za zbyt nielitościwie przypominał jej potrzeby codziennego, nizkiego, ziemskiego żywota. Losy swe następnie do utalentowanego romansopisarza Juliusza Sandeau przywiązała, a był to stosunek, który zdawał się trwałe przedstawiać podstawy. Oprócz wspólnej pracy atoli, wspólnego gonienia za ideałami i wspólnej kameraderyi w szalonem życiu paryzkiem, trwalsze między nimi wiązadło się nie znalazło. Sandeau, młodszy od niej, pił chciwie z kielicha rozkoszy, ale sam pierwszy zaczął zwracać uwagę na niewłaściwość ich stosunku i objawiać wykraczające poza zakres bohemii rodzinne instynkta. Równie by-

stra, jak George Sand kobieta, dostrzegła to prędko, a sama, w skutek wyjątkowego swego położenia, na wyrzucenie z pośród zwykłych ram społecznych skazana, nie chiała tam ciągnąć tego, który jej szaleństw był pierwszym towarzyszem, a może nawet głównym powodem. Nie dla swego więc, a dla jego szczęścia, potargała łączące ich węzły, a kiedy serce jej krwawo się broczyło, świat nie widział ofiary, tylko przypuszczał rozpustę i gonienie za nowością.

W liczbie talentów, jakich podówczas we Francyi nie brakło, istniało zepsute dziecko sztuki, młodzieniec nie zdrowem mlekiem ziemskich matek, ale ambrozyą muz wykarmiony, Alfred Musset, który zbrodniczo marnował iskrę Prometeuszowego ognia, w jaką go, łaskawa na kraj Franków, Opatrzność sowicie zaopatrzyła. Pragnął czynu, a ojczyzna jego ruiny napoleońskiéj opłakująca potęgi, okazyi do niego dać mu nie umiała, wiarą swą w zapał krzyżowców trafiał, a sceptycyzm i ironię za zasadę życia postawił; całą piękność uczucia widział i rozumiał a do zwierzęcego szału go ściągał i w tym rozłamie ducha, nie wiedząc w jaką skierować się stronę, on który mógł nowe szlaki dla ludzkości wytknąć, uczepił się rozpaczliwie zwojów płaszcza bajronowskiego i w wieszczu albiońskim zmysłową tylko stronę posłannictwa jego widząc, wylał się cały na orgie i nadużycia, chciał w zwątpieniu duchowem, jak główny bohater jego Rolla samobójstwo fizyczne i moralne na sobie popełnić.

W tym stanie dojrzała go George Sand i naprzeciw niego pobiegła, ale grzeszyłby ten, ktoby, sądził że resztki sił przeżytego młodzieńca chciała ona na swoją korzyść wyzyskać. Nie — opasawszy go czarem uroku, jaki nań od razu wywrzeć zdołała, chciała go nad przepaścią zatrzymać, chciała go w jednych, choć nie sakramentalnych zakuć więzach, obudzić w nim godność ludzką i rozdmuchać zagasłe pojęcie odpowiedzialności za dane z góry dary. — Niestety — przyszła za późno. Ciało młodzieńca nadużyciami stargane, niemogło zepsutych swych soków żywotnych odrodzić, a natura, nadużycia te w nałóg zamieniwszy, nie dozwalała już nad niemi zapanować innym dążnościom. Ile walk, ile upokorzeń w przeprowadzeniu zadania swego w obec téj kapryśnéj natury kobieta ta spotkała, to chyba jéj tylko, a może Lelii wiadomo. Jednak upokorzeń wszystkich znieść w stanie nie była, a zwątpiwszy o możności regeneracyi, wielkiego zadania swego się wyrzekła.

Kiedy Musset, jedna z chwał Francyi, tonął w osłupieniu

i wyczerpaniu zmysłowem, naród opuszczenie go przez Jerzego Sand, za przyczynę tego upadku podawał, a nie wiedział, ile było ze strony kobiety wysiłku dla powstrzymania téj lawiny dążącéj do przepaści i jaka rozpacz w sercu, kiedy po kilku latach daremnéj pracy, naga, nielitościwa niemożność okazała się jako jedynye wyjście z tego trudnego położenia. Dudevant wierzyła, że szczere pragnienie i chęci nie starczą za uczynek, i że istnieją niezłomne prawa moralności, których targać i przekraczać bezkarnie nie można. Jednostka, bunt przeciw nim podnosząca, starta zostaje jako ziarno gorczyczne, jeśli nowych, a wyższych prawd moralnych nie stawia.

Po téj ostatniéj katastrofie, usposobienie ducha Jerzego Sanda dałoby się chyba skutecznie porównać, ze stanem takich figur, jak Manfred lub Lara. Próżnia wewnętrzna trapiła ją i gryzła, a celu żadnego nie widziała przed oczyma, bo zamiary jéj pękły jak bańka mydlana, zostawiając po sobie krople brudnego płynu. Mężczyzna w takiem położeniu, podobny bywa do owéj bestyi, która krąży do koła quercus quem devoret i, jeżeli istota jego nie jest ze stali charakteru kuta, łatwo popadnie w zwątpienie, w rozpacz, w negacyą i pozwoli rozpasać się nad sobą namiętnościom. Inne jest jednak położenie kobiety. Namiętności jéj, choćbyśmy mieli nawet zaprzeczyć prawdzie szekspirowskich spostrzeżeń, słabsze są od męzkich, a do równowagi przyprowadzić ją zawsze zdoła, silniéj niż u mężczyzny rozwinięta, praktyczność. Spojrzawszy na życie, dostrzeże ona od razu obowiązki i, jeśli nie jest zupełnie upadłą istotą, to je za kompas przyszłego swojego życia wybierze.

George Sand po zerwaniu z Mussetem przypomniała sobie, że miała dwoje dzieci, a czyż mogą być dla kobiety wznioślejsze obowiązki, niż obowiązki matki? — Zerwała więc ze wszystkiemi ułudami, zerwała z dążnością swą kierowania zbłąkanych na drogę poprawy i nad miłością po szatańsku się zaśmiawszy, a w Lettres du Voyager przekleństwo mężczyznom rzuciwszy, postanowiła poświęcić się wychowaniu dzieci i poparciu piórem demokratycznéj idei, w któréj zwycięztwie szczęście ludzkości widziała.

W takich warunkach poznała Chopina.

Czy osoba jego, podobnie jak w nim, uczucie wstrętu w niéj wzbudzała? — Nie —, bo najprzód Chopin drobną swą a chorobliwą figurką, bezbronne przypominał dziecię, jego pełne idealizmu na świat poglądy, zdawały się nie pojmować burz, jakie

tam czasami szaleją, a zresztą natura jego cała była już taka, że za pierwszem spojrzeniem uczucie sympatyi w każdym człowieku rodzić się dlań musiało. George Sand uczuciem tem daleko mocniéj jeszcze owładniętą została, że sama z natury silna, przedsiębiercza, posiadając wrodzone wszystkim kobietom macierzyńskie instynkta, gotowa była zawsze udzielić podpory tym, którzyby jéj zapotrzebowali.

Sztuka nadto, jakiéj przedstawicielem był Chopin, budziła w duszy Sanda całą gamę uczuć nowych dla francuzkiego geniuszu, skłaniającego się z charakteru swojego ku realizmowi i praktyczności. W obcowaniu ich, słowa nietyle znaczyły co dźwięki, a po promieniu polonezowéj melodyi, nowe pojęcia wsuwały się do duszy wrażliwéj Francuzki.

W muzyce też jego tak zasmakowała, że na zebrania, które się odbywały w mieszkaniu Chopina na Chaussé d'Antin, wprosiła się jako gość stały, w wyłącznie dotąd męzkie grono. Wszystko, na co artystyczny świat paryski zdobyć się mógł wtedy, gromadziło się u uprzejmego gospodarza, co zwykle w uproszeniu o grę przed ludźmi tak trudny, tu, idąc za wrodzonym mu instynktem gościnności polskiéj, cały wieczór prawie nie odchodził od fortepianu.

Chopin z natury swojéj marzyciel, nie lubił nigdy zbyt jaskrawego oświetlenia i w salonie też jego panował zawsze półcień zupełny, a zamiast żyrandola, któren dla parady tylko u sufitu wisiał, stawiano na pulpicie fortepianu dwie świece woskowe, przykryte zielonemi umbrelkami. Wśród słabego tego światła, przesuwały się zwolna figury najznakomitszych mistrzów ówczesnych, a kiedy Chopin grał, cisza panowała, jak gdyby w kościele.

W innym kącie salonu, w miejscu, gdzie koniec długiego fortepianu do ściany przytykał, na fotelu siedziała tam zawsze milcząca postać niewieścia. Gdyby znalazł się ktoś niedyskretny i podniósł którąkolwiek z umbrelek, byłby zobaczył, że na powiekach téj, co z taką pewnością pędzla malowała najsroższe bóle, pod wrażeniem muzyki Chopina dwie wielkie łzy się perliły.

W stosunku tym ustawicznym, w Chopinie zacierał się powoli wstręt, jaki do kobiety téj z początku uczuwał, a na miejsce jego rodziło się uczucie sympatyi.

Oprócz względów czysto artystycznéj natury, zachodziły jeszcze i inne zbliżenia się powody. Zdrowie Chopina z każdym dniem szwankowało, a sposób życia, jaki prowadził, bynajmniéj

do utrzymania go w dobrym stanie się nie przyczyniał. Nie popełniał on nadużyć, gdyż do tego prawdziwie jego niewieścia natura nie była zdolną, ale odznaczał się niesłychaną niedbałością. Przez dzień cały lekcye fortepianu, którym opędzić się nie mógł, a które nad wyraz go nużyły, bo je z niesłychaną prowadził sumiennością, później przyjęcia i wizyty po najpierwszych domach, a w końcu noce bezsenne, trawione nad fortepianem, lub nad partyturami.

Nie brakło i innych jeszcze okazyi. Jeżeli przybyły jakiś Polak do Paryża zawitał, Chopina odwiedził i listy od rodziny mu przywiózł, artysta nasz, jakby świeżo woń kraju na nim czując, rozstawać się już z nim nie chciał, ale rozsyłał zawiadomienia, że lekcyi mieć nie może, zbierał wszystkich swoich przyjaciół, najmował gromadę powozów i czereda cała udawała się na wycieczki poza rogatki, jadała po najwspanialszych restauracyach i zapełniała loże w teatrach. Rówieśnicy Chopina zdrowi byli i młodzi, więc też okazyjki podobne przyjemne dla nich bywały i strumieni szampana nigdy dla nich nie było za wiele, a późne w noc czuwanie żadnych nie przedstawiało trudności. Amfitryon ochoczéj gromadki złoto sypał obficie, ale gdybyż tylko złoto i gdyby z niem zdrowie jego na hazard nie biegło? Czasami szczerze kochający go towarzysze dostrzegli w nim wyczerpanie, przestraszyli się kaszlem suchym i czerwonemi na chustce piętnami, wiankiem więc Fryderyka otaczali i na klęczkach prosili, żeby do domu powrócił, żeby się w łóżko położył. Ale prośby zawsze były próżne. Wszak złoto Fryderyk miał dla każdego żebraka, a przyjaciołom swym chciał do niego dodać jeszcze swoje towarzystwo i wytrwanie w zabawie.

Te względy sprawiły, iż już w końcu r. 1838 lekarze głośno o niedobrym stanie chorego wyrażać się zaczęli i przyjaciołom jego o możliwości blizkich suchot opowiadali, jako jedyny środek podając przeniesienie się do bardziéj południowego klimatu, zaprzestanie zbytniéj pracy, a przedewszystkiem surowe uregulowanie życia.

Na miejsce pobytu zalecano Majorkę, ale Chopin o wyjeździe nie chciał słuchać, przerażała go zaś głównie w nieznanym kraju samotność, brak towarzyszów, znajomych i niezaradność w podróży, jaka była cechą jego charakteru.

Tymczasem oprócz plucia krwią, gardło silnie zaatakowane zostało i trzeba się było w łóżko położyć. Przyjaciele przestraszyli się, a między nimi przestraszyła się może najwięcej Pani

Dudevant. Macierzyńskie uczucie miała ona oddawna dla Chopina i to uczucie kazało jéj ratować go co najrychléj, ani chwili nie zwlekając.

I dla niéj jednak podróż ta, mnóstwo przedstawiała niedogodności. Z wydawcami miała porobione zobowiązania, z których tylko bardzo usilną pracą wywiązać się było można; nieubłagany redaktor Revue des deux mondes gwałtu krzyczał o nowy romans, a dzieci jéj także nie były bardzo zdrowe, zostawić ich na obcéj opiece nie można było a na daleką podróż skazywać trudno.

Przeszkody te atoli, w obec jasno zrozumianego obowiązku i nieubłaganéj konieczności ustąpić musiały i pani Dudevant prosiła Grzymały, aby Chopina do podróży na Majorkę przygotował, pokazując mu gotowe już paszporta i listy polecające do konsulów francuzkich w Hiszpanii i na wyspach Balearskich. Kobiecym swym jednak instynktem zgadując, że Chopin opór pewien okazać może, przed Grzymałą nawet popełniła kłamstwo i powiedziała mu, że podróż tę przedsiębierze dla syna swego, Maurycego, któremu lekarze pobyt tam nakazali, a panu Chopinowi także wygodniéj być powinno, dodawała, jeśli w drodze będzie miał znajomych i w razie potrzeby opiekę.

Kiedy potrzebę korzystania z téj sposobności Grzymała Chopinowi przedstawił, artysta najprzód na łóżku się poruszył, twarzą obrócił się do ściany i przez długi czas zachowywał milczenie.

— No i cóż Fryderyku? — rzekł niecierpliwie Grzymała. — Więc trzeba zaraz kazać co prędzéj walizy pakować?

— Sam, na Majorkę, — odpowiedział Chopin, — możebym pojechał, ale z nią, nie pojadę stanowczo.

— A toż znowu dla czego?

— Bo..... bo, ja jéj się boję.

— Cha, cha, cha, — zaśmiał się Grzymała, — a to całe szczęście, że acana przy wybuchu listopadowego powstania gwałtem w Wiedniu zatrzymano i do Polski nie puszczono, bo z taką odwagą jak twoja, wcalebyś zaszczytu walecznéj naszéj armii nie przyniósł.

Chopin usiadł na łóżku, na kolanach oparł wychudłe łokcie i kryjąc twarz w dłonie, przez pewien czas nic nie mówił. Wreszcie spojrzał na przyjaciela, a oczy jego były rozognione i rzekł:

— Nie śmiéj się, bo ja się rzeczywiście boję, a strach mój nie jest bez racyi. Wprzódy nie podobała mi się ona, nienawidziłem jéj prawie, a teraz już ją szanuję, kto więc zgadnie do czego dojść może?

— Do czegoż więcéj, jak najwyżéj do tego, że się w niéj zakochasz, a to, wierzaj mi, nie będzie miało żadnego złego skutku, oprócz, że zaprzeczysz własnym twoim, wyrzeczonym kiedyś słowom, żeś się już zakochać niezdolny. Próżność osobista będzie ukarana i voilà tout.

Chopin znowu długo milczał, a jeden policzek jego, jak to często się zdarza u chorych piersiowych, zapłonił się mocno.

— Każ pakować rzeczy — rzekł w końcu sucho, — i po paszport poszlij. Jutro do drogi będę gotów.

To nagła decyzya, acz zgadzała się z życzeniem Grzymały, niemniéj przeto zdziwiła go dosyć i, jakby chcąc wybadać przyjaciela, zapytał:

— Czy może przez to chcesz prawdy słów swoich dowieść i przykładem wykazać, że niema pokusy, coby zdolna była próżne twe, jak się wyraziłeś serce zapełnić?

— Nie pytaj i nie badaj, — rzekł sucho Chopin, — i niech ci to wystarcza, że się do życzeń waszych stósuję. Jeśli obawy moje są słuszne, to musi nastąpić walka, a walka choćby dla tego jest ponętną, żeby wam dowieść raz jeszcze, że nie jestem mazgajem, jak się wam zdaje, i że cało wyjdę z tego ognia, w którym osławiony Musset się spalił.

Grzymała chciał sprawę tę poddać dyskusyi, ocenić niebezpieczeństwa i szanse, ale Chopin, jak to się często u niego zdarzało otoczył się wałem upartego milczenia i, oprócz objaśnień, tyczących się drogi, poleceń co zrobić z mieszkaniem, jak postępować z muzyki jego wydawcami, nie chciał już więcéj wracać do przedmiotu, który wyraźnie był dla niego drażliwy.

* * *

Dziwny to kraj owe Balearskie wyspy, a jeszcze dziwniejsza, zamieszkująca je hiszpańska ludność. Kiedy w północnéj a nawet środkowéj Europie śniegi już leżą i kiedy w naszéj Polsce od wioski do wioski mknie się ochoczym kuligiem, tam bujnym kwieciem pokrywają się gaje mirtowe i oleandrowe, grube kaktusy pąsowemi wabią bukietami, migdał i cytryna dokoła woń uroczą roznoszą, a śród tej natury strojnéj, jakby w największym

wiosny rozwoju, nagle spadają potopowe deszcze, wilgotna mgła po ziemi się ściele, a takie zimno przejmujące zastępuje odrazu dzienne upały, że mieszkaniec lądu do równie nagłych zmian temperatury nie przywykły, ogrzać się nie jest w stanie, zwłaszcza jeśli od oceanu dmą wichry gwałtowne.

A owiż Hiszpanie, smagli i bujni jak palmy. Zdają się oni przechowywać, ginący już na lądzie, typ hidalga, a czarnookie niewiasty, łączące wdzięk iberyjski z maurytańskim, stworzone są jakby tylko do wiecznego słuchania serenady, do szeptania nieustannie zwrotki miłosnéj. To też dźwięki bolero i fandango dolatują tu zdala, a gdzieniegdzie słychać trzask kastanietów.

Pierwsze to jednak wrażenie prędko się ulatnia, kiedy się bliżéj wpatrzy w obyczaje tego napozór poetycznego ludu. Przesądni do zabobonu, do głupoty, próżniacy do najstraszniejszego niedbalstwa, chciwi i łakomi na cudzą kieszeń, na cudzoziemców i gości patrzą zarazem jak na wrogów i jak na przedmiot do wyzyskiwania. Przemysł ich główny i jedyne zajęcie także nic poetycznego w sobie nie zawiera, trudniąc się bowiem głównie chowem szczeciniastéj trzody, ją po nad wszystko umiłowali i ją cenią daleko wyżéj od swego bliźniego.

Chopinowi wielce zaszkodziła podróż morska i rozliczne szykany i formalności na komorach hiszpańskich, i gdyby przyszło zatrzymać się w gospodach Palmy, nie mających najpierwotniejszych wygód, położenie jego byłoby straszne. Ale była przy nim gorliwa opiekunka, pani Dudevant, i ta, kiedy do stolicy Majorki przybyli, miała już tu willę całkowicie umeblowaną i urządzoną, najętą za pośrednictwem francuzkiego konsula od bogatego hiszpana Gomeza.

Chopin musiał od razu położyć się w łóżko; coraz więcéj bowiem krwi tracił, wycieńczenie i osłabienie się zwiększało, a lekarza, któryby mógł z ratunkiem pospieszyć, nie było. Na domiar nieszczęścia, tak do sąsiadów, jak i do właściciela domu doszły wieści, że Frank do Palmy przybyły jest suchotnikiem. Suchoty w kraju tym uważają się za chorobę najwięcéj zaraźliwą, zgroza też powszechna powstała, wszyscy jak od zapowietrzonych od przybyłych się odsunęli, a szlachetny Gomez, nakazał im stanowczo zajęty dom opuścić. Nie pomogły wszelkie błagania, prośby, zwiększanie zapłaty i wstawianie się konsula francuzkiego. Właściciel zapowiedział, że jeśli w przeciągu trzech

dni goście jego, najętego domu nie opuszczą, wszystkich lokatorów na ulicę wyrzuci.

Położenie więc było, bez wyjścia, gdyby szczęśliwym trafem nie udało się znaleźć schronienia w opuszczonym, a w wysokich położonym górach klasztorze Kartuzów, zwanym Valdemosa.

Na nowéj téj kwaterze życie ciężkie było wielce, a cała surowa, praktyczna jego strona spadła na Jerzego Sanda. Kobieta ta, która dla możności kształcenia swego syna, nauczyła się po łacinie i po grecku, oprócz lekcyi jakie udzielała dzieciom, musiała jeszcze co ranek, z koszykiem na ramieniu chodzić o parę wiorst po zakup żywności w stolicy, później brać się do kucharstwa i czuwać nad chorym Chopinem. Przy łóżku jego zostawała noc całą i w chwili, kiedy chory zasypiał, chwytała za pióro, aby o tyle przynajmniéj, o ile będzie można, literackie swe zobowiązania wypełnić.

Oprócz opisu Majorki, wyszła wtenczas z pod pióra jéj dziwaczna, pełna pytań bez rozwiązania, tchnąca burzami równikowemi, szalonym wichrem oceanu, samotnością klasztoru, zmęczeniem i wyczerpaniem sił żywotnych powieść — „Spirydyon.“

Chory, otoczony pieczołowitem jéj staraniem, powoli przychodzić do siebie począł, siły jego wzrastały i powoli powstając z łóżka, dostrzegł, że mu braknie najważniejszego żywiołu, — fortepianu. Pani Dudevant pomna o téj potrzebie, kazała władować na okręt fisharmonikę szafkową; ta jednak przez czas morskiéj podróży i przez nieostrożne przerzucanie jéj na debarkaderach tak się rozstroiła, że kiedy Chopin poraz pierwszy blat jéj otworzył i na klawiszach położył wychudłe swe palce, tony jakie z pod nich wybiegły, tak szarpnęły jego nerwami, iż wbrew eleganckim obyczajom swoim, blat z łoskotem i trzaskiem opuścił, kopnął nogą niewdzięczny instrument i sam, pogrążywszy się w fotelu przez całe pół dnia milczący pozostał.

Pani Dudevant widziała to, zaraz też do Pleyela wysłała listy, aby bez względu na koszta, wysłał na Majorkę duży, ogoniasty fortepian. Długo czekać na niego było potrzeba, a kiedy wreszcie przyszedł, musiano strasznie zań opłacać się hiszpańskim celnikom. Cóż jednak znaczyły wydatki i koszta, w porównaniu z radością, jaką uczuli wszyscy mieszkańcy pustelni, widząc rozpromienionego Chopina.

Artysta rozprostował się, rozjaśnił, nabrał rumieńców, chromatycznemi gamami klawiaturę przebiegał, a w uniesieniu rado-

ści ściskał dzieci, które się cieszyły że Monsiur Fritz taki wesoły, i całował ręce swej opiekunki.

Ta radość i owo krzątanie się ciągłe, wyczerpały prędko siły rekonwalescenta i, wcześnie poszedłszy do łóżka, snem spokojnym i jak u dziecka szczęśliwym zasnął.

Pani Dudevant dzieci do łóżeczek układłszy, ciemną umbrelką osłoniła od strony łóżka Chopinowego świecę i do rękopisów swoich się zabrała. Cisza zaległa dokoła, pióro jéj, szybko poruszając się po papierze, skrzypiało, wiatr wył po kominach a w chwilach, kiedy jakby wysiłkiem swym zmęczony ustawał, wśród nocnéj ciszy słychać było spokojny i regularny oddech spiącego.

George Sand rzuciła pióro, na palcach przybliżyła się do łóżka i długo w tę regularną, ale cierpieniem wymizerowaną twarz się wpatrywała. Po chwili złożyła ręce i, wznosząc do nieba oczy, ta o któréj powiadano, że żadnéj wiary nie miała, szeptała gorącą jakąś modlitwę:

— Boże! — kończyła półgłosem, — jeżeli losami ludzkości się zajmujesz, spraw, niech ta czysta dusza siły ciała odzyska, niech od nieszczęść, a nędzy ziemskiéj twórczością swoją ludzi odrywa, niech im otwiera niebo rozkoszy i ciężką ziemską słodzi pielgrzymkę. Jeśli trudów mych mało, zdwój je, o Panie a nie zaszemrzę ani na chwilę, owszem szczęśliwa będą, jeśli praca moja zachowa geniusza nieszczęśliwéj Polsce, która teraz geniuszami swemi jedynie prawa swe do bytu zatwierdzi, jeśli wybrane to przez palec Twój dziecię, skrzepi się i całemu światu karm ideałów rozdzieli.

Chopina twarz we śnie drgnęła, poruszył się niespokojnie jakby na twarzy swéj czuł ten wzrok w niego utkwiony, skrzyżował ręce na piersi, później oczy otworzył i, oprzytomniając się powoli, wzrokiem swoim w czarnych oczach pani Dudevant utonął.

— Aniele mój, — mówił wolno i cicho — ktoś ty jest i dla czego opiekuńczemi skrzydłami, narażając się na największe trudy, mnie osłaniasz?

— Daruj, byłem względem ciebie niesprawiedliwym, raziły mnie wybujałe namiętności, jakie grały w twem łonie i w twoich pismach, z zasady nie lubię i lękam się aniołów burzących, i tylko uwielbiam anioły kochające. Sąd mój jednak o tobie był mylny. Kobieta, która tak jak ty, poświęcenie rozumie, jest du-

chem czystym, jakie na ukojenie nędz tego świata zesłały niebiosa.

— Jeśli spotkasz kobietę, — mówiła cicho pani Dudevant, która się poświęcać nie umie, i któréj natura nie popycha w tym kierunku odwróć się od niéj, bo to nie kobieta, lecz szatan. My źródło macierzyństwa od urodzenia w naturze swej nosimy i nie masz tak wielkich wysiłków, któreby źródło to wyczerpać zdołały. Czy to jest kara, czy łaska Najwyższego? — Ja nie chcę rozstrzygać, wiem tylko, że bez téj aureoli na czole, życie nasze byłoby potępieniem.

— Dla czegoż — mówił Chopin daléj, — tyle grzechów na duszę twą czystą włożono, dla czegoż rzucałaś święte obowiązki rodzinne, aby biedz za znikomą rozkoszą, dla czegoż wbrew temu powołaniu do poświęcenia, protest i bunt przeciwko uznanym prawom kobiety zakładałaś? Nad kolebką moją, kiedy byłem dzieckiem, zwieszało się święte matki oblicze, kiedym wyrósł na młodziana, patrzyły do mnie pogodnie oczy sióstr moich. a w około mnie zbierał się szereg polskich dziewic, od których woń czystości jak od białych lilii zalatywała. Czemuż ciebie nie mógłem otoczyć aureolą podobną, czemuż do imienia i działalności twojéj przyłączyły się rozlicznych grzechów wspomnienia?

Sand uśmiechnęła się smutno i ująwszy wyciągniętą dłoń Chopina, mówiła.

— Pozujesz na spowiednika, mój Fryderyku, — a wierzaj mi, powołanie to nieciekawe i nieprzyjemne. Przecież, ponieważ życie moje rozsnuwa się na widoku wszystkich, a sumienie moje spokojne, więc zapytam cię, cobyś mi mógł zarzucić?

— Porzuciłam męża, to prawda, złamałam święte przed ołtarzem czynione przysięgi, ale czemuż mnie, w klasztornéj niewiadości wychowanéj dziewczynie, narzucono towarzysza, o którym powiedziano, że wszystkie potrzeby mojego serca zaspokoi. Byłam dzieckiem, wierzyłam więc, że ludzie starsi, rozumniejsi i doświadczeńsi są odemnie.

Czemuż tak srogo mnie zawiedli, czemuż za męża dali mi takiego, co albo wcale serca nie posiadał, albo wszystkie drogi do niego tak szczelnie zamknął, że pomimo największych wysiłków, przystęp doń był niemożliwy. Zrobiłem. to co mi dyktowało sumienie. Rzuciłam go, ale zabrałam owoc naszych stósunków, aby go na pożytecznych członków społeczeństwa wychować i ustrzedz, jeżeli można, od doznania mojego losu.

— Zarzucisz mi może — mówiła daléj po pewnym prze-

stanku — żem, zapomniawszy o stanowisku kobiety, piórem, jedyną słabéj méj dłoni przystępną bronią, walczyła na polu wyrządzonych od tylu wieków krzywd społecznych. Może myślisz, że szatan pychy opanował mój umysł, ale mylisz się, wierzyłam w swój talent i zdawało mi się, że przeciw krzywdom wystąpić należy.

— Powiesz daléj, że wrażeń zmysłowych chciwa, sama się oddawałam mężczyznom? Kurtyzanką nie byłam nigdy, bom za miłość swą pieniędzy nie brała, a owszém, ciężkiem, obrączkowem złotem mojego serca za uczucie płaciłam.

— Myślałam że i téj ofiary potrzeba, dla uratowania tych, których uratować pragnęłam, a wy, którzyście z kobiety zabawkę swoich zachceń zrobili, wynaleźliście aksyomat, że przyjaźń między mężczyzną a kobietą potępienia jest godną.

Chopin dłoń pani Dudevant ścisnął spazmatycznie, oczy jego okrągło otwarte wpatrywały się w nią, jak w tęczę, twarz jego drgała nerwowo, a z siłą u schorowanego niezwykłą przyciągał ją coraz bliżéj ku sobie.

— Pani, zawołał wreszcie z gwałtownym wybuchem, — ja ciebie kocham, a dla czego i jak, sam pojąć nie jestem w stanie. Kochałem raz w życiu, kochałem mego anioła pokoju, ale nie tak, jak ciebie.

— Tam miałem ja płaszczem swojéj męzkiéj otoczyć ją opieki, dać podporę wiotkim ramionom, które przedmiotu, na którym zacisnąć by się mogły, szukały, miałem przez życie pod moją strażą ją przeprowadzić. Z tobą co innego, do ciebie, jak do matki, jak do opiekunki się cisnę, ciebie się chwytam jak dębu silnego a współcześnie pragnienie pożądliwości usta me pali. Chciałbym, aby oko twe na mnie tylko patrzyło, abyś innego, oprócz mnie, nigdy nie widziała mężczyzny.

Ręka pani Duderant drżała, ale wola jéj była silna. To też choć wyznanie to szczególną napełniło ją radością, zapanowała nad sobą i spokojnym na pozór mówiła głosem:

— Dziecię swawolne..... nie igraj z uczuciem, co jak miecz zabija i jak ogień pali. Ty możesz być synem moim, i wierzaj mi, że jak matka troskliwa zawsze do ciebie pospieszę, ale ja nie mogę być twoją kochanką. Dla mnie rozkosze miłości ustały, a acz nie taję, że niewysłowionym czarem ciągniesz mnie ku sobie, ale znajdę dość siły, aby mu się oprzeć i miłość z programu mego stanowczo wykreśliwszy, pozostanę tylko matką i nauczycielką.

Chopin porwał się na łożu, oczy jego gorączkowym zaświeciły blaskiem, otwarta koszula ukazywała pierś wychudłą, synapizmami poznaczoną, a cały drżący był i wzruszony. I wyciągnąwszy ręce wołał:

— Ktoś ty jest kobieto, ja nie wiem, wiem tylko, że cały do ciebie należę, że od mrugnienia powiek twoich życie moje, cała przyszłość moja zawisła, że póty tchnienie w piersi swéj będę uczuwał, dopóki mnie z progu swego nie spędzisz. O, chodź, chodź w moje ramiona; ja ci dowiodę, jakie skarby uczucia złożył Bóg w serca tych, których wy chłodnymi, północnymi zwiecie ludźmi; ja cię prawdziwéj nauczę miłości.

Powszechne jest mniemanie, że kobieta więcéj niż mężczyzna panem siebie być potrafi, prawdą atoli twierdzenie podobne może być dopóty, dopóki na grę narażone nie zostanie jéj uczucie. Jego baryery raz złamane, a unosi już ono za sobą obowiązek, wolą, charakter, nawet sumienie. Tu nadto inna zachodziła okoliczność. Chopin wzruszony był i rozegzaltowany do najwyższego stopnia, ręce jego drżały, oczy gorączkowo pałały, a na twarz wystąpił mu złowieszczy rumieniec, zwykły krwotoków zwiastun i poprzednik. George Sand, przybierającemu w jéj serce uczuciu możeby jeszcze oparła się skutecznie, ale jako opiekunka, jako garda-malade sumienna, niemogła narażać chorego na niebezpieczny kryzys. Przysunęła się więc do niego, rozpaloną jego głowę złożyła na swéj piersi i twarz swą do jego twarzy zbliżyła.

On kolejno czoło jéj, twarz i usta całował, niespokojną swą ręką grzebień podtrzymujący sploty kruczych jéj włosów odrzucił, i okrywszy się niemi jak namiotem, wysiloną swą głową spoczął na jéj łonie. Ona pocałunkom się nie broniła, owszém, oddawała je z lichwą, miękką dłoną policzki jego głaskała i ramieniem otoczyła głowę, starając się uspokoić chorego.

Starania jéj nie były bez skutku, bo sen dobroczynny skleił jego powieki a usta w śnie tym uśmiechały się szczęśliwie, jakby rade, że największe i najgorętsze pragnienie spełnione zostało.

Kiedy Chopin zasnął już twardo, pani Dudevant lekko się podniosła, głowę artysty na poduszkach złożyła, wpatrywała się w nią czas jakiś, późniéj nachyliła się, ucałowała białe jego czoło i, osuwając się przy łóżku na kolana, długo z ukrytą w dłoniach twarzą pozostała.

— Boże, — szepnęła, podnosząc się nareszcie, czyż i ten

kielich rozkoszy, albo raczéj goryczy wychylić jeszcze trzeba? — Cha, cha, cha — zaśmiała się dziko — żeby potomność więcéj jeden kamień na pamięć moją rzucić mogła!...

Zamilkła. Dopalająca świeca skwierczała w lichtarzu.

— Cóż mi tam ludzie, sądy — rzekła. Czy żem dawno nie zerwała z niemi?

Świeca błysnęła jaśniéj, dopalony knot jéj utonął w roztopionym tłuszczu i wysoką, sklepioną komnatę pobożnego jakiegoś kartuza ciemność zaległa, a wicher ze zdwojoną gwałtownością zawył w kominie.

* * *

Szczęście, bez względu na to, jakiéj jest natury, w upojeniu a zadosyćuczynieniu długim pragnieniom, ubezwładnia, rozmiękcza, niewieści i trzeźwéj pracy a usilności przyrodzonym bywa wrogiem. Dzieje się jednak czasami i inaczéj, i inaczéj się też działo w klasztorze w Valdemosa.

Zdrowie Chopinowi szybko wracało, długie więc godziny przy fortepianie trawił, a nie mniéj czasu poświęcał poprawianiu swych kompozycyi muzycznych, za punkt honoru sobie kładąc, aby z próżnemi rękami nie wrócić do Europy. Podobnież i George Sand, odrzuciła na bok Spirydyona, który ją gniewał, bo bohater téj powieści nie umiał szczęścia odszukać, a ona już je miała i natomiast zasiadła do trzeźwego, a pełnego opisu Majorki (L'hiver en Mayorque).

Jak jedno wszakże tak i drugie nie mogło pracować razem, oczy ich bowiem ku sobie się wtedy zwracały, zrastały się jak magnes z żelazem i tonęły jedne w drugich wzajemnie. Dla tego więc, aby praca szła raźniéj, sąsiadowali w dwóch obok siebie położonych celach. Sand zatopiwszy się w pracy, zapomniała o otaczającym ją świecie, ale Chopinowi zwykle bezwładnie opadały ręce, skoro poczuł, że w sąsiednim pokoju towarzyszki jego nie ma.

A była to szczególnie wrażliwa natura tego natchnionego artysty, wrażliwa do tego stopnia, iż Sand wychowana w pojęciach francuzkich, często nie była w stanie go pojąć.

Żyjący do dnia dzisiejszego serdeczny Chopina przyjaciel, malarz, J. Kwiatkowski, zawdzięcza wrażliwości owéj, jeden z najpiękniejszych swoich obrazów, akwarelę przedstawiającą Chopinowskiego poloneza. Muzyk nasz poloneza swego spisał późnym

wieczorem i w samotności na fortepianie podług gotowych już nut go przegrał.

Któż dziś nie zna potęgi tych polonezów, a musiała ona być wielka, kiedy samemu kompozytorowi, skoro grał ową kompozycyą, o której mówim, nagle wystąpiły przed oczy postaci starych, brodatych hetmanów, złotoskrzydłych husarzów i prababek w sztywnych robronach. Trzymali się oni z powagą za ręce, z melancholijnym na ustach uśmiechem, a ze śladami grobowej pleśni na czole, szli prosto naprzeciw artysty, szczęśliwi, że ich zrozumiał, odgadnął i pojął, ale zarazem skarżący się, że ten spoczynek grobowy zamącił i potęgą geniuszu swego dla wydania świadectwa o dawnéj potędze Polski na ziemię powołał.

Artyście na ten widok w pierwszéj chwili zdawało się, że świętokradztwo, gwałcąc ten ich spokój, popełnił, zmieszał się więc, przestraszył, a włos mu się zjeżył na głowie. Zamknął oczy, by tych wielkich a poważnych postaci nie widzieć, ale one snuły się ciągle przed oczyma jego duszy.

Wstał z miejsca i do sypialni swojéj podążył, a owe cienie kręcąc się wężowo w kroki jego wstępowały. Tymczasem północ już dawno wybiła, cisza zaległa całe miasto i rzekłbyś, że słychać było chrzęst zbroi, falowanie końskich na hełmach buńczuków, szelest brokartu i złotogłowu.

Chopin zrozpaczony zadzwonił, a gdy weszła zaspana jego konsierżka (concierge), prosił, czyby nie mogła na noc męża mu swego przysłać, bo go strachy prześladują i spać mu nie dają. Stara kobieta pokiwała litościwie głową, zeszła na dół i niebawem z materacem na plecach i poduszką pod pachą zjawił się uwryer, vigoureux et bien campé gaillard, który nietylko z cieniami wojewodów, ale nawet w potrzebie z samym djablem gotówby był stanąć w zapasy. Że jednak strachów owych nie widział, legł więc spokojnie na swym materacu i snem twardym zachrapał.

Polonez tymczasem nie ustawał, ale owszém, po wszystkich krążył komnatach, z niesmakiem tylko i niezadowoleniem pewnem usuwając się od kąta, zkąd chrapanie robotnika dochodziło. Chopina zabolało, że onym tym duchom takie towarzystwo sprowadził, rozbudził więc swego towarzysza, kazał mu wracać do siebie, a sam, nie chcąc z duchami pozostać, schwycił za kapelusz, pobiegł na miasto i na nocleg do przyjaciela swego Fontany się zaprosił.

Kwiatkowski przyszedłszy rano, aby przyjaciela odwiedzić,

wysłuchać musiał opowiadania odźwiernéj, jakie to z pana Chopina jest dziecko, a pospieszywszy do Fontany, więcéj jeszcze szczegółów o owych nocnych widmach się dowiedział, wysłuchał na fortepianie skomponowanego poloneza i wróciwszy do domu, naszkicował obraz, który acz jest prostem odbiciem faktu, niemniéj jedną z piękniejszych kompozycyi w sztuce polskiéj pozostanie. Na pierwszym planie Chopin gra poloneza, a otaczają go i wsłuchują się w grę jego wszystkie warstwy współczesnéj Polski. Daléj we mgłach niepewnych, pomiędzy niebem a ziemią w poważnym polonezowym takcie kroczą duchy naszych przodków.

Pani Dudevant, lubo wiedziała o téj duchowéj potrzebie Chopina, że ciągle ją pragnie mieć, choćby w pewnéj odległości od siebie, nie mogła atoli zawsze żądaniu temu dogodzić, bo obowiązki, bądź matki, bądź jeszcze więcéj gospodyni, na to jéj nie pozwalały.

Razu jednego, przed wieczorem, zabrawszy dzieci, aby mogły użyć przechadzki, wybrała się po sprawunki do miasta, nic o tem nie mówiąc Chopinowi, spodziewała się bowiem przed wieczorem wrócić.

On zajęty był korygowaniem świeżo napisanéj ballady. Nie dostrzegł też tego że się sam znajduje, od stołu przeszedł do fortepianu, aby ukończone dzieło spróbować i pierwsze akordy uderzył.

Któż nie zna balad Chopina? Nie są to te utwory spokojne, łagodne i ciche które z ust ludu naszego wyjąwszy Mickiewicz w słowa zaklinał. Prędzejby je porównać można z Bürgerem i twórczością niemiecką, gdzie legenda, groźna, naciskająca, zawisła nad rodem człowieczym, jak fatum nieubłagane, a najwięcéj może cech podobnych zawiera ta (opus 38), którą Chopin wykonywał w téj chwili. Twardy jakiś feodalizm, do którego niewiadomo, jakiemi drogami przyszedł artysta, przytłaczał w niéj ducha ludzkiego, zabobonność wzniecała przestrach i trwogę, trucizna, grób, szkielet, widma zarysowywały się na tle tajemniczości. Melodya, z razu hasająca swobodnie i pryskająca, jakby wtajemniczając się w młode siły, staje się nagle poważną, więcéj tkliwą niż namiętną, wygina się w powabne kształty i rozsypuje w kroplisty deszcz melismów. Późniéj szyderstwo jak zgrzyt żelaza po szkle przebiega, ale serce za zbyt jeszcze mężne, aby się we łzy rozpływać, również jak owo rozigrane uczucie staje się kapryśnem, przedrzeźniającem, nawet rubasznem. Równowaga atoli nie długa, smętność coraz bardziéj przeważa, chmury

się gromadzą, burza najprzód z dala huczy złowrogo, ale zbliża się coraz bardziéj, pioruny wysyła jeden za drugim, szaleje, wścieka się, a łez już w instrumencie zabrakło, melodya rwie się, jęczy, łkania tylko słychać, a wśród rozpaczliwych miotań tylko czekać, kiedy przekleństwo jak błyskawica z chmury wypadnie.

Tymczasem noc już zapadła, światła nikt na pulpit nie przyniósł, artysta na nuty nie patrzy, a siłą twórczości swéj porwany, szarpie struny fortepianu, potępieńców jęki z nich dobywa.

Wiatr po szybach zabrzęczał, wicher od oceanu przebiegł po dachach klasztornych, Chopin rzucił okiem dokoła, dojrzał, że sam się znajduje, strach niewypowiedziany go opanował, ale twórczością swą, jakby fatalizmem jakimś zaklęty w dźwiękach, tłómaczył widma jakie mu się snuły przed oczyma.

Oto więc mnichy żałobne, w trumnach zamiast łoża śpiący, z trumien tych wstają, czarne doły, zastępujące oczy w ich szarych czaszkach, zarzewiem fosforu błyszczą, zęby pozbawione dziąseł zgrzytają piekielnie, łączą się w szereg, Chrystusa z rozpiętemi na krzyżu członkami podnoszą z jednéj, a hiszpańską inkwizytorską chorągiew z drugiéj strony. Miserere grobowe odbiło się o ponure sklepienia klasztorne, brama wieczności otwarta im na ścieżaj, ale oni ku niéj się nie kierują, tylko całym tłumem idą na tego nieproszonego w progach ich gościa, co ich z pod ciężkich głosów podziemiów klasztornych wywołuje.

Melodya pobożnego acz żałobnego hymnu ustała, fortepian brzmi zaledwie dosłyszanem pianissimo drżącem w miarę zbliżania się tego pogrzebowego korowodu i w miarę rozigranych nerwów artysty.

Na dworze żałośnie huknęła sowa i z trzaskiem załopotała skrzydłami w szerokie szyby okien gotyckich, oprawionych w ołów.

Chopin jęknął boleśnie i ręce z klawiszów opuścił.

Na dworze deszcz pluskał, jakby płacząc, wicher po dachach tańcował a odrywające się od kominów tynki toczyły się z głuchym hałasem, jakby grudy ziemi, spadające na wieko trumny.

Chopin podniósł się przestraszony i:

— Auroro, Auroro! — zawołał.

Echo przeraźliwe odpowiedziało mu z pod sklepień i zdało mu się, że usłyszał śmiech jakiś szatański, zachwiał się, zatoczył i padł zemdlony na ziemię.

Szczęściem, opiekunka jego wraz ze służącą Franciszką,

którą z Paryża zabrali i z dziećmi powróciła niebawem i lubo wszyscy, idąc po ulewnym deszczu, przemoczeni byli do nitki, a na górskich ścieżkach zabłocili się po kolana, Sand jednak dzieci powierzyła służącéj a sama, usadowiwszy w fotelu Chopina, zajęła się jego trzeźwieniem.

Kiedy przyszedł do siebie, zmieniła na prędce suknie i u nóg jego, na małym stoleczku usiadłszy, prosiła, aby opowiedział wszystko co zaszło.

Jeśli marzenia Chopina tylko w czarującéj muzyce jego ujmować się dawały, to opowiadane w słowach przybierały rzeczywiście formę majaczeń i przywidzeń. Sand, któréj umysł, bodajby z samych już powodów rasowych, skłaniał się więcéj ku trzeźwości i praktyczności, nie była w stanie pojąć takiego rozegzaltowania i litościwie kiwając głową i z pewną ironią wpatrzywszy się w opowiadacza, rzekła:

— Oj, dziecię, dziecię. Czyż ten, kto takie jak ty arcydzieła tworzy, może się dawać powodować strachom, mogącym znaleść przystęp do umysłów przesądnych?

— Droga moja, — odpowiedział on na to, — tajemnic twórczości tłomaczyć ci nie potrzebuję, boć ty sama często do owego Szyllerowskiego, zaczarowanego kraju poetów zachodzisz.

— Trzeba tam chodzić, by wrażeń nazbierać, a później zimnym umysłem, w całéj pełni samowiedzy ugrupować je i uporządkować, jednym siły większéj nadać i blask ich podnieść, drugie, jako na nic niezdolne — precz odrzucić.

— Więc ty tak zawsze na chłodno tworzysz Auroro?

— Trzeba tak — rzekła — bo ponieważ celem twórczości jest prawda, nie można od niéj się oddalać.

— A czyż prawda na ziemi tylko gości i czyż z ziemskiego koła a nie z nieba raczéj przychodzi?

Sand znowu z pewną ironią się uśmiechnęła, ale nic nie rzekła, tylko na stoleczku uklękła, podniosła się, objęła Chopina i składając na czole jego pocałunek, z tymże samym uśmiechem na ustach, powiedziała:

— Nieodrodnym jesteś synem pokolenia twego, a te twoje blond pukle jużby cię zdradziły, gdyby nie zdradzała jeszcze silniéj skłonność do marzycielstwa.

— Czyżbyś przez to nas za niższych od narodu swego uważała?

— W chęciach i pragnieniach niższymi zapewne nie jesteście, ale po uczynkach, jak po owocach drzewa, poznaje się

ludzi. Politycznie gdzieżeście ze swojem marzycielstwem doszli? I proszę, niech drogi mój Fryderyk nie zawsze w niebie przesiaduje, ale czasem i o ziemi pamięta.

Jedną z oryginalnych cech charakteru Chopina była nadzwyczajna, przesadzona niemal skromność. Jednakże jeźli nie zabolał go ten zarzut jemu i narodowi jego zrobiony, to mimowoli poczuł on w słowach Sanda ton pewnéj protekcyi, pewnego uczucia wyższości i mocno go to dotknęło, silniejszem bowiem uczuciem po nad skromność była u niego duma i potrzeba szanowania godności osobistéj.

Po tych słowach też po raz pierwszy zadumał się nad swoim do téj kobiety stosunkiem i po raz pierwszy dostrzegł, że jest on inny, niż pospolicie bywa na świecie.

Powszechnie mężczyzna bywa protektorem, podporą, przewodnikiem i kierownikiem słabszéj od siebie kobiety; tu zaś było inaczéj. Pomijając już przykrość, z jaką spostrzeżenie to duma jego odczuć musiała, przyszło mu na myśl jeszcze straszniejsze pytanie: Czy ta, która ten płaszcz opieki nad nim roztoczyła, posiadać będzie tyle szlachetności, żeby nigdy téj wyższości przypadkowéj poczuć mu nie dała, żeby nigdy nie sformułowała z niéj zarzutu i nie zrobiła mu wymówki?

Pytanie zapewne bolesne, a zastanowienia godne, ale już to jest wszystkim zakochanym wspólne, że niezdolni są przedmiotu swych uczuć o jakąbądź wadę posądzać.

— O czém się tak zadumałeś, Fryderyku? — pytała, ściskając rękę jego pani Dudevant.

On westchnął smutno, ale ton serdeczny, w jakim zrobione było zapytanie, tudzież owe ciepłe a takie przyjacielskie dotknięcie miękkiéj jéj dłoni uspokoiły go zupełnie.

— Auroro... wszak prawda, ty nigdy mnie nie opuścisz? — wyszeptał.

Ona utkwiła w niego czarne swe oczy, a znowu ten sam szyderczy uśmiech na ustach jéj zaigrał.

— Opuścić ciebie, tutaj? — rzekła. — W tych ruinach, wszak to byłoby na śmierć cię skazywać, a zresztą, czyż myślisz, żebym była zdolna wymieniać cię na karlistowskiego z Majorki Hiszpana?

Chopin z wyrazem nieukontentowania skrzywił swe usta.

— Gdybym lękał się opuszczenia mnie tutaj, nie miłość, ale uczucie brudnego egoizmu mogłoby przez usta moje przemawiać. Mogłabyś pomyśleć, że fizycznie cierpieniem znęka

lękam się, abym na łasce niegodziwych Hiszpanów nie pozostał bez łyżki ciepłéj strawy i dachu nad głową. Nie, nie o to Auroro mi chodzi. Ja chcę, ja żądam, ja pragnę, żebyś nigdy nie opuszczała mnie w życiu, bo pamiętaj, że opuszczenie przez ciebie będzie dla mnie wyrokiem śmierci, pamiętaj, że jeźli w postępowaniu twojem dotychczasowem było więcéj pozorów niż winy rzeczywistéj, to zamordowanie mnie przez odtrącenie z twéj strony byłoby zbrodnią...

I głos w gardle mu zasechł, a oczy świeciły gorączkowo.

— Ach, jak ja ciebie bardzo, jak ogromnie kocham, — dodał.

Ona na te słowa zadumała się głęboko, a ponieważ i Chopin wewnętrznym wysiłkiem złamany, począł zapominać o otaczającym go świecie, a gdzieś się w przestrzeń zapatrzył, zwróciła przeto oczy na niego i poczęła obserwować go pilnie.

Wzrok jéj migotliwy był jakiś i zmienny, a usta szyderczo ściągnięte, tudzież na czole lekka chmurka smutku się zarysowała.

Czyby owo zaklęcie przestraszyło ją i czyby w duszy swéj czuła, że ze wszech miar usprawiedliwionym tym żądaniom odpowiedzieć nie będzie w możności? — Może. — Któż zgadnie tajniki serca ludzkiego, a szczególniéj niewieściego, owéj ciemnéj podług psychologów przepaści?

Milczenie panowało czas długi, wreszcie Chopin pierwszy obudził się z zadumy i ująwszy dłoń Sanda, miękkim rzekł głosem:

— Więc nie odpowiadasz mi nic, Auroro?

Ona znowu się uśmiechnęła.

— O dalekiéj mówisz przyszłości — rzekła — a czyż my, znikome istoty na tym padole płaczu mamy prawo badać zbyt odległą przyszłość? Jeśli filozofia Augustowego poety zawarta w słowach carpe horam, może mieć jakie zastósowanie w życiu, toć przedewszystkiem trzeba ją aplikować w miłości. Chopin westchnął i zamilkł, a snać umysł jego nie dawał się obałamucić sofizmatami, bo smutne przeczucia go opanowały.

* * *

Może ta pełna przykrości, a jednak zbawcza zima na Fajorce, może starania francuzkich lekarzy za powrotem do Fran-

cyi, a najpewniéj młodość, która jest niezrównaną potęgą, w zupełności przywróciły zdrowie Chopinowi.

Okazało się, że to co uczeni lekarze za suchoty gardłowe i galopujące brali, było prostem zapaleniem gardła. Siły jego wzrosły, rumieniec zdrowia na policzki powrócił, ochota do pracy wraz z nim się pojawiła, z szeregu uczniów, kołacących do drzwi mistrza, wielu naukę przyrzeczono, a wydawcy, którzy na kompozycyach Chopina dobre zaczęli robić interesa, zacierali z uciechy ręce, widząc, że artysta długo jeszcze dla ich pras litograficznych roboty będzie w stanie dostarczać.

Przy ogólnem tem polepszeniu spodziewać się należało, że swoboda i wesoły humor Chopina, jakie mu były wrodzone, jakiemi jako młodzieniec odznaczał się w Warszawie, w Wiedniu, w początku pobytu swojego w Paryżu, póki choroba sił jego żywotnych nie podcięła, — powrócą także. Niestety, w tym względzie znalazła się teraz przeszkoda, która nie istniała dawniéj, a teraz niby jakiś rodzaj niewolniczego łańcucha, jaki włożono na swobodne dotąd ciało, dawała mu się uczuwać boleśnie. Mówimy tu o stosunku z George Sandem, który trwał ciągle, a nie same róże tylko w nim kwitły, owszém, nierzadko i cierń ostrze swe uczuwać dawały.

Chopin zerwania więzów tych serdecznych nie dopuszczając, życie urządził tak, żeby ani na chwilę nie rozstawać się z ukochanym przedmiotem i ciągle z nim pod jednym przebywać dachem. Lata spędzono w Nohant, pięknéj posiadłości wiejskiéj, należącéj do pani Dudevant, położonéj dans la Vallée Noire między Chatoroux i la Chatre.

Była to miejscowość urocza, a pierwsza właścicielka, która ją nabyła, wymyślna aktorka Rintsau, kochanka Maurycego Saskiego, umiała prawdziwie pańską urządzić tu rezydencyą, obfitującą we wszystko czego kapryśna, a do zbytków przyzwyczajona kobieta domagać się może.

W wiejskiém tem zaciszu bywały chwile urocze, a żywotopisarze, tak Jerzego Sanda jak i Chopina opowiadają o wielkich ucztach duchowych, jakie tu dawano, — o fortepianach wynoszonych na otaczające zamek wzgórki, o koncertach urządzanych na nich przez najpierwsze siły artystyczne, o słowiczych pieniach najpierwszych śpiewaków i śpiewaczek i o echu, bogini czarnéj doliny, które do tych wszystkich melodyi pomoc swoją łączyło. A lubo chłodna, ale prawdomówna krytyka wykazała, że nigdy uroczystości podobne miejsca tu nie miewały, a naj-

przedniejsi artyści, których w opisowym obrazie wszystkich razem łączono, byli pod owe czasy w rozmaitych gniewach i nieprzyjaźniach, niemniéj przeto wszystko, co ceniło geniusz Chopina i talent George Sanda, pomimo ośmiodniowéj od Paryża odległości, często tu w gości spieszyło, a Chopin przybyłych braci po duchu spotykając, używał rozkoszy płynących z usposobień przypadającego do jego ducha towarzystwa.

Gościnne te atoli najazdy miały w sobie także i odwrotną stronę medalu. Oprócz mieszkańców artystycznych wyżyn zjeżdżali do Nohant jakby do swego jenerała, najwybitniejsi paryzcy demagodzy, filozofowie, ateusze i rewolucyoniści: Rollinat, Leroux, Manuel, Paney i wielu innych.

Towarzystwo ich nie mogło do smaku przypadać Chopinowi, ale życie na wsi tak się już układa, że bądź przy stole, bądź na przechadzkach, trudno się nie spotkać z gościem, któregoby się uniknąć pragnęło, w ludzkiéj zaś naturze jest już ta nieszczęśliwa manija, że się z własnych przekonań zwykło robić paradę, że się je stara innym narzucać, a jeśli się spotka opór, tém srożéj i nielitościwiéj przekonania przeciwne na szyderstwo i drwiny się wystawia. Kto widział w towarzystwie tem Chopina, jego, który o religii, polityce, sprawach społecznych mówić nie lubił, kiedy mu umyślnie przesadzone i skrajne twierdzenia wypowiadano, kiedy o jego zdanie wprost, kategorycznie się domagano i kiedy późniéj zeń drwiono, cierpiałby z nim razem, widząc jak boleśnie rysy jego się wykrzywiają, jak oko łzą nabiega, ręce drżą, a wzrok niespokojny co prędszego uwolnienia się od tych bluźnierczych rozmów szuka.

W tym czasie także w Paryżu na stałe osiadł mieszkanie Mickiewicz, a choć Chopina wprzódy nie znał, zaledwie spotkali się ze sobą, przylgnęli sercem jak dwoje dzieci jednéj matki, jak dwóch śpiewaków, co nutę pieśni ludu polskiego podsłuchać zdołali.

Mickiewicz zbliżył się także z George Sandem, raz dla tego że kobieta ta podówczas na świeczniku powodzenia stała, a powtóre, że przez nią chciał on uzyskać nie sławę, gdyż téj syt był, ale materyalne korzyści na deskach teatrów francuzkich.

Stosunek raz zawiązany trwał ciągle i Mickiewicz Nohant odwiedzał, bez względu że duch jego innego począł nabierać kierunku i w mistycyzmie się rozpływać, wtenczas właśnie kiedy George Sand w największéj tonęła niewiarze.

Chopin, w stosunkach kwestyi społecznych pewną dozę pra-

ktyczności posiadający, daleki był aby dać się pociągnąć w głębie mistycyzmu na emigracyi się rozszerzającego, ale z tego kierunku narodowego ducha, który tęsknotą i rozpaczą nękany wchodził na błędne nawet drogi, nie drwił, nie szydził, ale z bólem w sercu nieraz go rozważał.

Inaczéj zapatrywała się na to pani Dudevant a już wprost w sposób niedelikatny rozprawiali o tem ludzie, specyalnie jéj towarzystwo tworzący.

Raz po świeżym odjeździe Mickiewicza, zebrani przy stole drwić zaczęli w obec Chopina, nietylko z ludzi pojedyńczych, ale wprost z charakteru narodowego polskiego ducha. Chopin, mimo silnego postanowienia nie mięszania się w tego rodzaju rozprawy, kilka razy bryznął im słowem szorstkiem i jak sztylet ramiącem, łzy do oczu mu nabiegały i wewnętrznego wzruszenia opanować nie był w stanie.

Błagalne spojrzenia zwracał w stronę gospodyni, boć zdawało mu się, że delikatność niewieścia każe jej wzbronić naigrawania się, które tak boleśnie raziło serce tego, który jéj wszystko oddał i poświęcił.

Tymczasem ona na to nietylko nie zdawała się zważać, ale owszem, w jakieś uniesienie i ekscytacyę popadłszy, dolewała oliwy do ognia i ilekroć rozmowa upadała, podnosiła ją i ożywiała na nowo.

Chopinowi jasno teraz przed oczyma stanęło jego sieroctwo, jego samotność w tym kraju wśród obcych pojęć i obcych ludzi ból straszny serce jego brał w kręgi i czuł on, że silny kryzys nerwowy się zbliża.

Uczuciem wrodzonej dolikatności wiedziony, wstał od stołu, aby się udać do swego pokoju, a choć chciał towarzystwu ekskuzę jakąś wypowiedzieć, siły mu na to nie starczyło i odszedł milczący.

Zebrani, to jego szorstkie na pozór ustąpienie wzięli za rodzaj obelgi, a gospodyni nie z żalu wcale, ale z pewnego rodzaju wstydu i złości się zapłoniła, gniew zaś jej jeszcze stał się tem większy, kiedy Leronx zaczął debitować długą perorę o potrzebie zachowywania form grzeczności, i dowodzić o tem, że takich, którzy zbyt krzyczące wykroczenia przeciwko nim popełniają, należałoby karcić przykładnie.

Biedny Chopin tymczasem zaledwie zawlókł się do szezlongu w swoim pokoju i upadł na niego wycieńczony, wzbu-

rzone nerwy jak harfa wichrami miotana zabrzmiały, a potok łez z oczu mu się polał.

W chwilach podobnych, jakie już nieraz w czasie znajomości swej z Sandem przechodził, zjawiała się zwykle ona, głowę jego brała w swe ramiona, a oparłszy ją na piersi, łzy płynące miękką dłonią ocierała, pocałunkami rozgrzewała twarz wybladłą i niewieścią swą pieczołowitością a staraniem, równowagę nerwową sprowadzała.

Z początku Chopin co chwila wyglądał jej przyjścia, ale drzwi się nie otwierały i raz tylko zjawiła się służąca, Françoise, którą Chopin zarzucał ciągłemi podarkami i która zdawała się mieć wiele dla niego sympatyi, gdyż pokazując drobne swe i białe ząbki, zwała go zawsze Nout p'tit monsieur. Teraz i ona mu nie rzekła ani słowa, postawiła tylko na stoliku szklankę wody zaprawionej kwiatem pomarańczowym i wyszła w milczeniu. Znać wiatr nieprzychylny dla gościa wiał już w całym domu, a wiadomo, że najpierwej zwykle wietrzą go słudzy.

Dopiero przed obiadem do pokoju chorego weszła pani Dudevant, ale chmurna była jak Junona.

— Czy ci lepiéj, Fryderyku? — zapytała chłodno, — i czy możesz zejść na dół na obiad?

On pod mrożącą intonacyą głosu tego zadrżał, ale o własnej pomny godności do prośb zniżyć się nie chciał i krótko odpowiedział:

— Dziękuję, — apetytu nie mam, a nazbyt jeszcze jestem cierpiącym, żeby nowe wytrzymywać pociski.

— Wstydź się, — mówiła ona, — geniusz równy tobie potęgą w każdym kierunku być powinien. Czyż uchodzi kaprysić jak dziecię, czyż wolno gniewy jakieś stroić i wspólnego obiadu odmawiać? Jeżeli cię słowa dzisiejsze o Polsce i przyjaciołach twych zabolały, to jako dobry patryota wdzięczny być za nie tylko powinieneś. Marzycielstwem, poezyą, łzami, nie odbudujecie waszej ojczyzny. Trzeba hartu, trzeba woli, a przedewszystkiem trzeba odnowienia pojęć społecznych, trzeba rewolucyi i krwi, jeżeli inaczej być nie może.

— Nie mówmy o tem, — rzekł Chopin niecierpliwie. — Na tem polu pojęcia nasze nigdy się nie zejdą. Choć wręcz inaczéj, niż ty sądzisz Auroro, ja także pracuję dla Polski, a mam to mocne przekonanie, że praca moja w narodzie nie pójdzie na marne.

— Dobrze to, — przerwała złośliwie, ściągając usta pani Dudevant. — Z błędów najtrudniej ludzi wyprowadzać, postępuj więc, jak ci się podoba. Zdaje mi się jednak że jako wzór elegancyi i kwiatek na najpierwszych salonach książęcych, a nawet monarszych wyrosły, nie powinieneś zapominać pracowicie zdobytej tam nauki i nie należy ci się wyzuwać ze wszystkich względów przyzwoitości, skoro wchodzisz pod dach prostej wieśniaczki i wnuczki ptasznika Delaborde.

— Więc wyrzuty? — zawołał Chopin, a łagodne zwykle niebieskie jego oczy błysnęły fosforycznym blaskiem.

— Nie wyrzuty wcale, — była chłodna odpowiedź, — tylko nauka dla kapryśnego dzieciaka, który zawziął się dzieckiem nie przestawać być do śmierci.

— Dziecko więc, — rzekł Chopin żywo, — nie będzie robiło więcej trudu zbyt troskliwej swej guwernantce i za surową jej ferulę podziękuje.

— Będąc z zasady zwolenniczką wolności narodowej i towarzyskiej, — odpowiedziała syczącym głosem pani Dudevant, — nie mam prawa gwałcić jej i tłumić w pojedyńczej jednostce.

I przy tych słowach, nie oglądając się nawet, jakie po nich nastąpiło wrażenie, wyszła natychmiast.

Więc było to rzucenie obelgi w twarz, proste wypowiedzenie gościnności pod dachem, który na wieki wspólnym miał pozostać.

Chopinowi gorąca krew uderzyła do twarzy, w oczach mu pociemniało, a rozigrane nerwy drżały jak pajęczyna. Zeszkoczył z szeslonga i pobiegł ku drzwiom, aby zapewne koni pocztowych zażądać. Atoli w połowie komnaty siły go opuściły, załamał ręce, jęknął boleśnie, i blady jak śmierć, upadł bezwładnie na fotel.

W takim stanie osłupienia przesiedział długie godziny, a ciemność nocy otoczyła go dokoła.

Nagle ktoś u stóp jego na niskim usiadł taborecie, dłoń jego zwieszoną ujął w rozpalone ręce, również gorącą twarz do niej przyłożył, ciepłe łzy spadać na nią zaczęły, a po chwili głos drżący się ozwał:

— Fryderyku mój, Fryderyku, — daruj, — jam taka szalona, i natychmiast szlochania słowa te przerwały.

Zaczęły się wymówki, łkania, przeprosiny, pocałunkami i łzami przeplatane i on przy tej namiętnej piersi ze sztywności swojej rozmarzał, gniewy jego opadały i miękły, a godzina

czasu nie upłynęła, jak stali się znowu dwojgiem kochanków, złączonych w jednem westchnieniu i w jednym uścisku.

Jeżeli tak zdarzało się w Nohant, nie lepiej także działo się w Paryżu, gdzie oboje na większą część roku zjeżdżali.

Kiedy jeszcze o możliwości nieporozumień, a tem więcej rozstania, przypuszczenia nawet być nie mogło, najęto wspólne mieszkanie na place Pigalle, a później z nałogu już może więcej aniżeli z konieczności, razem także zamieszkano na rue St. Lazare i później na Square d'Orléans. Każde z nich miało swój oddzielny apartament do pracy, a tylko salon, pokój jadalny i kuchnia były wspólne.

Jeżeli na wsi towarzystwo pani Dudevant raziło nieraz Chopina, to tu działo się zupełnie przeciwnie. Artysta nie mógł się pozbyć swoich gustów, które mu już w naturę przeszły, nie mógł zaprzestać obcowania z ludźmi najwyższego świata i najwyższéj arystokracyi. Jeżeliby zaś dla ukochanej swojej uczynił ofiarę z tych nawyknień, nie dozwalały tego wprost stosunki życiowe, lekcye, miłość, jaką go otaczali ziomkowie i liczne jego głównie w sferach arystokratycznych rekrutujące się wielbicielki, które do mistrza jak do cudownego cisnęły się obrazu.

Jeżeli pominiemy już Francuzki, to było także i wiele Polek, które go wyłącznie dla siebie zasekwestrować chciały.

Dom ks. Adamostwa Czartoryskich, ks. Marcelina Czartoryska, hr. Delfina Potocka, siostra jej, ks. Beauveau (z domu hr. Komar), Platerowie i t. d., nietylko ciągnęli do siebie Chopina, ale pomnąc urocze u niego wyprawiane wieczorki, pragnęli obyczaj ich odnowić. Artysta odmawiać nie był w stanie, bo nie dozwalała najprzód wrodzona mu grzeczność, a powtóre i sam on w tem towarzystwie czuł się szczęśliwym i żył życiem, które najwyborniej przypadało do jego usposobień.

Na zebrania takie nierzadko zjawiała się współlokatorka a każde ukazanie się jéj chłód jakiś na całe towarzystwo rzucało.

Kobiety wielkiego świata nie cierpiały téj, do któréj wysokości wznieść się nie umiejąc, nie znajdowały dla niej innego nazwiska, jak: emancypantka, bas-bleu, że pominiemy nazwy daleko bardziéj krzywdzące, a odnoszące się do sposobu jéj życia.

Męzkie zawiści nigdy kobiecym nie wyrównywają, to też i George Sand odpłacała swym rywalkom równą miarką, a lubo z natury i wychowania grzeczną być umiała, jednak wchodząc nieraz do salonu, a widząc Chopina otoczonego wieńcami tych

kwiatów żywych, wpadała w gniew jakiś niepohamowany i na prawo i lewo rozrzucała złośliwe i jadowite pociski.

Naturalnie w wypadkach takich zaraz cała swoboda towarzyska znikała, na miejsce jéj zapanowywał przymus a Chopin, który z mlekiem wyssał instynkta polskiéj gościnności, drżał cały z uniesienia i gniewu.

Czy ze strony Aurory Dudevant była to zazdrość? — Trudno przypuszczać; uczucie jéj bowiem coraz więcej dla Fryderyka stygło i coraz wyraźniej dawał się jéj uczuwać ciężar łańcucha, w jaki dobrowolnie sama się wplątała.

Po każdem takiem przejściu następowały wymówki, gniewy, żale i łzy, i wszystko znowu jak dawniej na pocałunkach na zgodzie się kończyło, na to tylko, aby przy zdarzonej sposobności recydywa tem gwałtowniejszą była.

W Paryżu także działały destruktywne wpływy, na jakie w Nohant kochankowie nie byli narażeni, a jakie tu głównie ujawniały się ze strony zamieszkujących w Paryżu Polaków.

Żałowali oni, że Chopin tak wyłącznie dawniej im oddany, teraz inne oprócz koleżeństwa i kamaraderyi na ołtarzu swym postawił bóstwo i za straconego prawie dla nich uważany być może. Silniejszymi zaś niezawodnie nad ten wzgląd były wyniesione z Polski, a stanowiące zapatrywanie się na życie familijne tradycye. Stosunek Chopina z Aurorą Dudevant, jako nieuświęcony ani przez kościół, ani przez prawo, wydawał się im zupełnie nie — regularnym i boleli nad tem, że największy z polskich muzyków, w takie fałszywe popadł położenie.

Chopin nie mógł nie przyznawać im racyi, bo i on takież same przekonania w sumieniu swem nosił, tak jednak umiejętnie unikał wszelkich w tym względzie eksplikacyi, że wielu było bardzo serdecznych jego przyjaciół, w rozmowie z którymi ani razu w życiu całem nazwisko pani Dudevant na ustach mu się nie pojawiło.

Jeżeli owo tolerowanie ze strony prawdziwie życzliwych mogło uchodzić za pewien rodzaj słabości, to była to jednak słabość, którą trudno ganić, bo znano drażliwy charakter artysty i nie chciano mu przykrości wyrządzać. Gniewy jednak na Sand rosły, a ona zbyt była bystra, żeby tego dojrzeć nie miała i do kwasów wewnętrznych między nimi przybywała jeszcze pewna nieprzyjaźń z zewnątrz.

Przykre to położenie skomplikowało się jeszcze więcéj, kiedy z Warszawy odwiedzić brata przyjechała siostra Chopina.

Znajomość między nią, a Aurorą Dudevant była nieuniknioną, a jednak dla obu stron nie musiała ona mieć wrażeń przyjemnych, zwłaszcza, jeżeli przypomnimy sobie jak to często u nas w Polsce siostry uczucia żalu i smutku doznają, kiedy ich bracia pojmują małżonki. To zaś nie było małżeństwo, a coś w stosunkach polskich zupełnie nieznanego.

Ilekroć wszelako w skutek tych wszystkich przyczyn wybuchła silniejsza sprzeczka i ilekroć oboje targali niecierpliwie łańcuch, który ich razem związał tak silnie, wspomnienie najpierwszéj miłości i wzajemnych poświęceń rozpromieniało zachmurzony horyzont. Jéj namiętność do tego natchnionego króla tonów wracała z dawniejszą siłą, a on uwierzywszy, że bez niéj życia dlań nie ma, chwytał się jéj, jak słaby bluszcz wyniosłéj topoli.

Przeciwności jednak wszelkie łatwo znosi się w szczęściu, ale w wymownych a namiętnych skargach wybuchają one gwałtownie, skoro inne, jeszcze zewnętrzne dołączy się do nich cierpienie.

W roku 1844 spadły na Chopina dwa ciężkie ciosy. Umarł ukochany jego ojciec, a głucha wieść krążyła, że i jego dni ostatnie zatruły wieści o więzach, w jakie wpadł jego jedynak. Niebawem zaś po nim poszedł największy Fryderyka przyjaciel i długi towarzysz mieszkania jego w Paryżu, doktór Matuszyński.

Artysta przygnębiony tymi dwoma nieszczęściami upadł na łoże boleści, a wprawdzie George Sand, jako gorliwa opiekunka w chorobie znowu przy nim stanęła, ale nie był to już zapał polegający na upartéj chęci wyrwania ze szponów śmierci kochanka, tylko chłodny raczéj i w imię dawnych wspomnień nakazany obowiązek.

Jakże wymownie o takiem usposobieniu jéj ducha świadczą uwagi, z powodu śmierci Matuszyńskiego umieszczone w liście do jednego z przyjaciół: „Dogmat katolicki, — pisze ona, — ubiera śmierć w ogromną grozę. Chopin zamiast wymarzać dla dusz czystych przyjaciół świat lepszy, miewa tylko przerażające widzenia i ja muszę przepędzać całe noce w pokoju przytykającym do jego sypialni, zmuszona odrywać się po sto razy od mojéj pracy, aby odpędzać widma i zażegnać jego bezsenność. Dla czegoż dziwny zbieg okoliczności zmusza nas, abyśmy przez cały przeciąg lat ośmiu nie rozstawali się ze sobą?“

Lubo słów tych zapewne nigdy otwarcie mu nie wypowiadała, jednak, czyż kochające prawdziwie serce nie ma jasnowi-

dzeń i czyż nie czuje, kiedy węzły, co największą życia miały się stać rozkoszą, dla jednéj ze stron zamieniają się w ciężkie kajdany? W chorobie swojéj widział Chopin to dobrze, a przekonany, że życie jego trwa dopóty, dopóki stosunek ten istnieje, błagał nieraz Boga w skrytości, aby uprzedzając mękę rozstania, śmierć na niego zesłał.

Obok tych walk wewnętrznych, jakie w skrytości serc swych odbywały obie strony, i z jakich w pewnych chwilach oboje skarżyli się przed innymi, nad Sand działały jeszcze magnetycznie zewnętrzne wpływy, nadchodzących wstrząśnień społecznych, które na wiecznie czynnym, a wrażliwym jéj umyśle odbić się musiały.

Wulkan, jakim wybuchnąć miała ludzkość w pamiętnym roku 1848, wrzał już głuchemi grzmotami pod ziemią, a gdzieniegdzie pojedyncze jego eksplozye straszne przepowiadały wstrząśnienia. Francya cała była jakby w malignie, a kiedy większość jéj dzieci instynktowo gwałtowne jakieś przeczuwała przejście, nie brakło i takich, którzy do rewolucyi gromadzili materyały.

Usposobienie, i ówczesne wybitne stanowisko George Sanda, z całą słusznością przypuszczać zawsze kazały, że jeśli nie spiskami, to pośrednio w sprawę tę musiała być ta oryginalna kobieta wmieszana, a publikowana niedawno korespondencya jéj z Ludwikiem Blanc przypuszczenie to potwierdziła.

Czyż więc w podobnéj atmosferze, kobieta pojmująca całą doniosłość czynu, a aspiracyami swemi i bujną fantazyą poza dalekie wybiegająca szranki, mogła cierpliwie, jak szarytka przy łożu chorego pozostać, a kiedy z łoża tego on powstał, mieć ucho czułe na jego sercowe cierpienia i na wstręt do wszelkich rewolucyi i wstrząśnień? — Nie, takby zapewne postąpiła każda kobieta zakochana, ale Aurora Dudevant była bardzo mało kobietą, a zakochanie jéj zwykle nie bywało produktem serca, ale raczéj wytworem bujnéj jéj imaginacyi, tudzież pragnącéj gwałtownych wrażeń fantazyi.

W miarę, jak czas się posuwał, dorastały także jéj dzieci, a kiedy Maurycy na polu literackiem i społecznem sił swoich próbował, Solange wyrosła na dziewicę i już zaczęli aspiranci o rękę jéj się zjawiać.

Petit monsir Fritz wiecznie razem z ich mamaeu i wspólnem życiem złączony inaczéj im się musiał teraz wydawać, aniżeli na Majorce, a stosunek tych wszystkich osób coraz drażliwszym i nienaturalniejszym się stawał.

Aurora Dudevant także, bez względu na pojęcie, jakie o moralności miała, nie była pozbawiona bynajmniéj szlachetnie pojętych instynktów macierzyństwa, a każdéj niewieście trudno się przed własnemi dziećmi rumienić, zwłaszcza, jeżeli syn Maurycy pokilkakroć eksplikacye chciał rozpocząć.

Ten wzgląd był tak silny, że jeśli George Sand pod przeważnością jego zdecydowała się, że nie masz dla niéj innego wyjścia, jak zupełne zerwanie i, że zerwanie to przyprowadziła do skutku, zaprawdę usprawiedliwić by ją trzeba.

Wzięła się jednak do tego w sposób tak mało delikatny i tak mało szlachetny, że na pamięć swoją ciężką plamę rzuciła i tym nawet, którzy ją zawsze wielbili, kazała uwierzyć, iż nie kochające i czułe serce kobiece, ale wprost rozigrane zmysły były wszystkich jéj uczynków motywem.

Ze stosunku z Juliuszem Sandeau, z Mussetem, spowiadała się w powieściach swych pobieżnie, a usprawiedliwienie tego, co się stało pod uwagę poddając, była historykiem przeszłości własnéj, i mniejsza już czy żal prawdziwy, czy tylko chłodna reflekcya piórem jéj kierowały.

Z Chopinem postąpiła inaczéj, w powieści bowiem Lucrecia Floriani, na światło publiczne ukazując dzieje wzajemnego ich stosunku, na niego całą winę zwalała, sama jako ofiara i męczennica się drapując, nie wahała się nawet bohaterce opowiadania tego śmierci zadać, byle dotychczasowemu kochankowi swojemu zgubne skutki dalszego trwania ich stósunku wykazać.

Że w opowiadaniu tem bohaterka, owa Lukrecya, przedstawiona jest jako kobieta od kochanka swego starsza, jako zbyt wdziękami nie uposażona i za jedną zasługę posiadająca talent i zdolność do macierzyńskiego poświęcenia, — wszystko to prawda Gorge Sand bowiem taką była. Nieprawdą zaś jest, aby Chopin, który się tutaj Karolem nazywa, arystokratą był ze krwi i pochodzenia, aby innego ideału prócz kaprysów i nerwów swych w duszy nie piastował, aby zazdrością i podejrzliwością kochankę swą trapił i o śmierć ją przyprawiał. Nieprawdą jest, że on pierwszy jéj szukał i nieprawdą, że on, a nie ona niedelikatnością swą węzły tego łańcucha stargała.

W początku r. 1847. Lukrecya Floriani zupełnie skończona, drukować się zaczęła, a pojedyńcze jéj arkusze, jako korekty do poprawienia z drukarni pani Dudevant przysyłane, znajdowały się zawsze na biórku Chopina, a on, który każdym utworem towarzyszki swéj się interesował, i tę nowość czytał także, a choć

ów Karol w nim pewne podejrzenie budził, za nadto jednak był szlachetny, żeby był w stanie zrozumieć cel w jakim typ ten został stworzony, i że to ma być jego własna karykatura.

Prawda, że Chopin posiadał arystokratyczne nawyknienia, że jak Karol rozpaczał po stracie matki, tak on czuł bez ustanku upadek ojczyzny: ale kiedy ostatniego dążności i cele nie miały żadnego wyraźnego koloru, jego na drogach żywota prowadził świetlany geniusz, który się nigdy nie myli i po manowcach nie błądzi.

Nie mniéj przeto powieść ta wewnętrzną mękę mu sprawiała, a chłód wiejący pod wspólnym dachem, ziębił go, mroził i do życia zniechęcał.

Pomiędzy uczennicami Chopina, a zarazem najgorliwszemi jego wielbicielkami, liczyły się podówczas dwie Szkotki, misses Stirling, które codzień prawie błagały mistrza, aby wraz z niemi na krótką wycieczkę do zjednoczonego królestwa Wielkiéj Brytanii się wybrał.

Chopina brała nieraz ochota do wprowadzenia w czyn tego zamiaru, i jeżeli chęć zobaczenia nowych krajów i ludzi grała w zamiarze tym jaką rolę, to daleko więcéj chwytał się on myśli, że oddalenie chwilowe wpłynie korzystnie na chłód w stosunku jego serdecznym, nie z jego winy wiejący. O zerwaniu jednak stanowczem nie pomyślał ani na chwilę, a tylko wyjazdu chciał użyć jako środka, któryby zelektryzował uczucie, stępiałe przez ciągłe wspólne obcowanie.

Tymczasem wypadki złożyły się inaczéj.

George Sand już z charakteru swego z błyskawiczną szybkością przeprowadzić zawsze chciała to, co już w sofistycznem swem rozumowaniu za konieczność uznała. Była przekonania, że pierwsze już kartki jéj powieści oczy Chopina na jego stosunek względem niéj otworzą; tymczasem Chopin w szlachetnéj swéj naturze dyplomacyi takiéj nie pojmując, niczego nie zdawał się domyślać.

Skoro umysł ludzki raz wejdzie na mylną, a tembardziéj występną drogę, wtedy podobny górskiemu urwisku, szalenie do przepaści pędzi.

Pani Dudevant w usposobieniu podobnem nie czekała już na wrażenie, jakie koniec powieści wywrze na umyśle artysty, ale do ukutego w ten sposób pioruna, dołączyła jeszcze środek prawdziwie po machiawelsku uknuty.

Kiedy ostatni arkusz z drukarni odebrała, zawezwała syna swego Maurycego i długą z nim miała naradę.

Charakterystyczną cechą narodową Francuzów jest, że jeśli po pewnéj perswasyi dadzą się oni nakłonić do jakiegoś nieuczciwego czynu, to w pierwszéj chwili zawsze przez jakiś szczególny instynkt w naturze ich złożony, mają zupełną jasność tego, co jest szlachetne a co nieszlachetne. Darem tym dałoby się wytłómaczyć wiele faktów w ich dziejach.

Młody Maurycy długo opierał się namowom matki długo wiódł z nią spór i najprzód chciał ją od zamiaru odwrócić, późniéj żądał już tylko, żeby komu innemu misyę, którą nań wkładała, powierzyła, a wreszcie uległ.

Wbrew obyczajowi swojemu nieśmiały i nawet drżący wszedł do saloniku Chopina i zastał go tu porządkującego listy z Polski.

— Bonjour monsieur Frédéric! rzekł wchodząc.

Chopin uprzejmie na powitanie jego odpowiedział i w fotel go posadził.

— Mama — mówił daléj Maurycy — przysyła panu ostatni arkusz swojéj powieści i prosi żebyś powiedział jakie jest twoje zdanie co do zakończenia?

— Czyż to tak pilne? — rzekł Chopin — arkusz jeszcze wilgotny na bok odkładając.

— Jeżeli kto, to pan, artysta — odpowiedział młodzieniec z nieśmiałym uśmiechem — znać powinieneś niecierpliwość autorską. Że zaś mama pisaniem listów obecnie jest zajęta, mnie więc uprosiła, żebym opinią pańską jak najprędzéj jéj przyniósł.

Milczenie zapanowało, Chopin bowiem żądaniu był posłuszny i do czytania natychmiast się zabrał.

Na wyrazistéj jego twarzy malowało się niezadowolenie i niesmak, ale myliłby się, ktoby sądził, że już na rzeczywistą intencyą autorki wpada. Nie, w sztuce symetryą ład i prawdę za konieczność uznając, nie rad był iż wbrew możliwości, a jedynie siłą dyalektyki śmierć Lukrecyi jako konieczność przedstawić tu chciano. Skończył czytanie, podparł czoło dłonią i głęboko się zamyślił.

Maurycy Dudevant, prawdopodobnie jak najprędzéj fałszywe swe położenie zakończyć pragnąc, i chcąc wywiązać się z drugiéj połowy delikatnéj swéj misyi, jakby za nauczycielem wyrecytował następujący frazes:

— Monsieur Chopin, savez vous que c'est vous qu'on a peint sous le nom du prince Karol.

Słowa podobne i to z ust syna téj, którą artysta nasz uwielbiał, musiały być czemś podobnem do uderzenia gromu z pogodnego nieba. Chopin jednak, któremu zmartwienie lub nieszczęście tak łatwo siły żywotne podcinało, teraz pod ciosem tym nie zachwiał się, nie upadł. Godność osobista była w nim obrażona i ta mu dodawała siły aby przeciwko nieuczciwym atakom się bronić.

Zmarszczył brwi jak Jowisz olimpijski, czyste zawsze a gładkie jak kryształowa fala jeziora czoło jego, pofaldowało się w grube bruzdy, zbladł cały jak kreda, ale pewnym odpowiedział głosem:

— Idź Pan. Sam zaraz odpowiedź zaniosę.

George Sand sama w późniejszych wspomnieniach, jak i ci, którzyby ją chcieli z plamy każdéj wymyć, zaprzeczyli temu nielitościwemu postępkowi. Jesteśmy nawet pewni, że później, kiedy żal serce jéj zalał, a serce téj dziwnéj kobiety, skłonne zawsze do szlachetnych popędów, z rozwagą zatrzymało się nad tym smutnym faktem, musiała ona pojąć całą jego okropność, i musiała wmawiać w siebie, że do popełnienia czegoś podobnego nigdy nie była zdolną. A jednak cóż począć przeciwko świadectwom, jakie ciekawy do dzisiejszego dnia jeszcze znajdzie w ustach ludzi dotąd żyjących.

* * *

Czy syn z misyi swéj zdawał sprawę, i czy sam rezultat jéj właściwie rozumiał, trudno wiedzieć, bo kiedy w półgodziny może wszedł Chopin do gabinetu pani Dudevant, nie powitała go ona nawet lekkiem skinieniem głowy, a tylko czarne swe oczy w niego utkwiła, a na czole jéj, jak u gniewnéj Junony zawisła chmura smutna, a może prędzéj gniewu i tajonéj niecierpliwości.

Każdy inny mężczyzna w podobnem położeniu, w najdraźliwszą strunę honoru swego dotknięty, byłby niezawodnie wybuchnął gwałtownie, ale słodki charakter Chopina przyczynę wszelkiego nieszczęścia w sobie wyszukiwał, a dla bliźnich niósł przebaczenie i zmiłowanie.

Nie zważając więc na niezachęcające wcale przyjęcie, siadł na stojącem obok biórka krześle, bo drżące nogi posługi mu odmawiały.

— Auroro, — rzekł głosem łez i rozdzierającego żalu pełnym, — a więc chwila rozstania naszego, a prawdopodobnie i śmierci mojéj nadeszła. Nie lękaj się. Lukrecya Floriani długo jeszcze na pożytek narodu swego pożyje, tylko ten Karól, którego nieuczciwie zwykłym niedołęgą zrobiłaś, dotrawi się niebawem w ogniu, jaki mu w żyły wszczepiłaś.

Odetchnął, bo mu powietrza brakło, a George Sand uparcie, jak w kamień zaklęta milczała.

— Żem ci się naprzykrzył, — ciągnął daléj, — nie mam o to żalu do ciebie. Jeżeli ciągle nowości pragnąca, rzucisz mnie o ziemię, jak zepsute cacko, które miejsca innemu ustąpić powinno, nie popełnisz przez to grzechu wielkiego, bo i tak pielgrzymka moja ziemska niedługa. Za jedno tylko żal wieczny do ciebie, aż za grób poniosę.

Tu zamilkł na chwilę.

— Czemu — mówił po przestanku daléj — kiedy się serce twoje odwróciło już odemnie, otwarcie, z podniesioną przyłbicą nie wystąpiłaś i nie zażądałaś, żebym zeszedł z twojéj drogi? — Czyżeś niewiedziała, że jestem synem narodu co dyplomacyi, i podstępów nie świadom, otwartość za główną zasadę położył i wprzódy zginął, zanim téj wady, czy zalety się wyuczył? Czyż sercem swem w długoletnim naszem obcowaniu nie poznałaś, że do mnie najskuteczniéjsza taka droga? Czyż miałaś prawo, dla zadania tem większéj męki, dziecię swe własne do tego niecnego używać postępku? . . . .

— Jeżeli wieczność istnieje, — przerwała George Sand ponurym głosem, — to tam, a nie tutaj. To, co się stało, stać się musiało i chwili rozłąki naszéj nie przedłużajmy, do niczego nie wiodącemi żalami.

W tonie jéj taka szczególna była oschłość, że Chopin zdumiał się i z zadziwieniem wpatrywał się w nią, żeby dojść czy się nie myli, czy to rzeczywiście taż sama Aurora, która w uściskach swoich wieczność mu obiecywała.

— Umarłbym, — rzekł głucho, — jak i teraz umrę niebawem, bo tu, — rzekł wskazując na czoło, rozsiadł się polip strapienia i splotami mózg mi uciska. Tu, dodał rękę przenosząc na piersi, — gore ogień, na ugaszenie którego nie ma sposobu ni środka. Ale umarłbym, żałując świata i ludzi . . . . . umarłbym, nie złorzecząc nikomu.

Przy tych słowach głos mu w piersiach zachrypnął, zam-

knęły się oczy, ręce bezwładnie na kolana upadły i oparty o poręcz krzesła, trupem się już rzeczywiście wydawał.

Pani Dudevant na widok ten doznawała dwóch uczuć wręcz sobie przeciwnych. Pierwsze jakie przez wrażliwy mózg jéj się przemknęło, był to rodzaj wstrętu, jakiego doznają natury całą pełnią sił żyjące na widok tych, których ostatnia godzina jest niedaleka. W ślad jednak za tem poszło drugie, szlachetniejsze. Ważność popełnionéj niesprawiedliwości uczuła ona boleśnie i ten obok niéj mężczyzna wyczerpany, przedstawił się jéj, jako jéj ofiara, a w serce ukłuł ją wyrzut bolesny. Wtedy, zapominając o swojem postanowieniu, o potrzebie stanowczego zerwania, a idąc jedynie za instynktem kobiecego serca, porwała się z fotelu, w ramiona swe głowę Chopina objęła, pocałunkami zimną twarz jego okrywać poczęła i nie przestawała wołać łzami, nabrzmiałym głosem.

— Fryderyku! mój Fryderyku! daruj mi, ja ciebie kocham, ja ciebie nigdy nie opuszczę.

W téj chwili drzwi się otwarły i do komnaty wszedł rzeźbiarz Clésinger, dziś także już nie żyjący, a który wtedy właśnie zaślubił córkę pani Dudevant, Solange.

Clésinger była to natura na wskroś artystyczna, ale zarazem gwałtowna i namiętna. Miesiąc miodowy trwał u niego bardzo krótko i zaraz pomiędzy nim a młodą jego małżonką nieporozumienia rodzić się poczęły a obie strony zwykłe ze skargami biegły do matki.

Zięć silnie był własnemi sprawami zatrudniony, a niemniéj w takiemże samem położeniu znajdowała się jego świekra, i między dwojgiem tych, tak blizko z sobą zpowinowaconych ludzi zaszła wtedy scena przykra, gorsząca, brutalna, któréj Chopin świadkiem być musiał, a od opowiadania któréj niech czytelnik nas zwolni, zwłaszcza, że chodzi tu już o osoby, z któremi przedmiot niniejszego obrazka nic wspólnego nie ma.

Łatwo jednak zrozumieć, jak kłótnia w najnamiętniejszym trzymana tonie, podziałać musiała na tego, dla którego wykwint delikatności życia i form był niezbędną potrzebą.

Namiętności wielkie i on rozumiał i jemu one nieraz duszę szarpały a w utworach swych pełnemi piersiami je wylewał; ale, jeśli dochodził do jęku, a nawet szyderstwa, nigdy nie spadł do pospolitości, a tem mniéj do brutalstwa.

Zanim wiodące spór ze sobą strony uspokoić się zdołały,

on niepostrzeżony się wymknął, wrócił do siebie i siły swe wątłe, zupełnie wyczerpawszy, bezwładny na łóżko się rzucił.

Nieprzytomnego prawie i niezdolnego słowa przemówić, znalazł tutaj wieczorem przyjaciel jego, Grzymała.

Nie mogąc od chorego ani słowa wyciągnąć, schwycił kapelusz, wybiegł i niedługo z doktorem Molin, do którego Chopin wyjątkowe posiadał zaufanie, powrócił.

Długo koło chorego chodzono, długo go w rozmaity trzeźwiono sposób, zanim zdołano słówko z niego wydobyć. Kiedy się trochę rozgadał i kiedy był w stanie na pytanie lekarza odpowiadać, w pokoju sąsiednim dał się słyszeć chód kobiecy.

Chopin, jakby sprężyną jakąś pchnięty, z niesłychaną siłą i szybkością się podniósł, usiadł na łóżku i błagalnym wzrokiem spojrzawszy na Grzymałę, prosił go, aby uczynił wszystko, byleby go tylko od wszelkich wizyt uchronić.

Grzymała domyślał się snać czegoś, bo oporu nie robił, ale uprzedził wejście pani Dudevant, gdyż to była ona, i zapewniwszy ją, że Chopin ma się dobrze, od potrzeby składania wizyt ją uwolnił.

W wątłem ciele artysty silna snać była dusza, bo boleść swą wewnętrzną zupełnie zataił, z przyjaciołmi swobodnie rozmawiał, a nawet śmiał się i żartował i jakby mimochodem lekarzowi powiedział:

— Czy wiesz, kochany panie Molin, że na seryo teraz myślę odbyć podróż do Anglii i Szkocyi?

— A niechże cię Bóg broni! — zawołał przestraszony doktor, — podróż i pobyt w Anglii dla ciebie w téj porze z twojemi piersiami, tożby to było prawdziwe samobójstwo.

— Czyż doprawdy, doktorze, śmierć by mi to zadać mogło?

— Ależ najniezawodniéj, jak Pan Bóg na niebie.

— A no to żeby was nie martwić projektu tego zaniecham.

* * *

Czyż dalsze dzieje smutnego tego stosunku opowiadać? Czyż nie praktyczniej odesłać czytelnika do cennych biografii Chopina, do których tak nasi, jak i obcy pracownicy, cegiełka po cegiełce obfite materyały znieśli?

Chopin przyrzeczeń danych przyjaciołom nie dotrzymał, ale chcąc jak najprędzej mękę życiową zakończyć, do Anglii i do Szkocyi pobieżył.

Tu, lubo chodzić już nie mógł, na krześle do salonów wnosić się kazał, byle tylko bezsenne spędzać noce, byle skuteczniej się dobijać.

Obie panny Stirling pokazywały go jako osobliwość w swym kraju ojczystym, a on rad był z ich uwielbienia i hołdu, bo wiedział, że poza nim oswobodzenie z męki i cierpienia, sen wieczny nastąpi.

Wszyscy stopniowy upadek sił jego widzieli, a nie widziały tego jedynie dumne z mistrza swego Szkotki. Dziwna jest miłość niewieścia, jak z jednej strony siłą poświęcenia swego do życia wraca tych, co już jedną nogą do grobu zstąpili, tak również dla tryumfu i sławy i nędznych błyskotek na śmierć pewną kochanków swoich popchnąć jest zdolna.

Jeśli towarzysze Chopina nie wiedzieli, to on wiedział dokładnie, że do Paryża wraca już po to tylko, żeby na pięknym cmentarzu Père-la Chaise, który go zawsze zachwycał, na francuskiej ziemi gościnnej, kiedy na swojéj nie można, się położyć.

W niedzielę, 15 października roku 1849 w ostatniem ziemskiem Chopina mieszkaniu, na Place Vendôme, leżał artysta nasz z licem wybladłem i znękanem, na którem już śmierć nieubłagane cienie swe rozpościerać poczęła.

U stóp łoża klęczała jego siostra w łkaniach i szlochaniach się zanosząc, głowę chorego napoły bezwładną ramieniem swem podtrzymywał najwierniejszy z uczniów, Gutman, pokój obszerny zapełniali liczni przyjaciele, rodacy i obcy, mężczyzni i kobiety.

Przy drzwiach samych, z twarzą boleścią wykrzywioną siedział Albert Grzymała.

Dla czego dostało mu się to stanowisko? — On, który był świadkiem zawiązania się pierwszéj znajomości między Chopinem a panią Dudevant, w udziale otrzymał czuwanie, aby bolesne to wspomnienie, wizytą jakąś, lub jéj saméj przyjściem nie zamąciło ostatnich chwil umierającego.

Kiedy Chopin z Anglii powrócił, polecił przyjaciołom swoim, a głównie Grzymale, aby stanowczo na próg jego mieszkania nie dopuszczali téj, którą teraz Lukrecyą Floriani nazywał. Przypuszczać jednak można, że nie był to rozkaz zupełnie szczery, póki bowiem mógł się trzymać na nogach, skoro dzwonek usłyszał, ani służącemu, ani przyjaciołom drzwi nie pozwalał otwierać, tylko sam do nich bieżał. Czy pragnął na téj

piersi, gdzie tak często głowę swą składał, jeszcze raz się wypłakać? . . .

Nam się to prawdopodobniejszem wydaje, aniżeli owe słowa włożone w jego usta: *je déteste Lucrezia Floriani*. Z pełnym przebaczenia duchem chopinowskim pogodzić się to nie da.

Że jednak nie zeszli się już oni ze sobą, nie tyle w nich, nie tyle w ludziach szukać trzeba powodu, ile w niezłomnych prawach rządzących światem. Kontrasty łączą się ze sobą często, jak magnes z żelazem, ale niech raz tylko zajdzie okoliczność, która je rozdzieli, a drogi ich nie spotkają się już nigdy.

Gdy jednak wszyscy wierni przy konającego łożu się zgromadzili, gdy zewsząd zapytania o zdrowie jego przysyłano, jéj tylko jednej nie było.

Później tłomaczyła się ona, że pomiędzy nią a Chopinem ludzie zawistni stanęli i spotkać im się nie dozwolili, aby czyż są ludzie na świecie tak silni, aby prawdziwie kochającą kobietę w drodze do łoża śmierci tego, którego sobie wybrała, wstrzymać zdołali?

Kiedy cisza panowała uroczysta, tak, że wśród niéj każde odetchnienie piersi chorego słyszeć się dawało, we drzwiach nagle ukazała się piękna Delfina Potocka, która na wieść o niebezpiecznym stanie artysty, z dalekich Włoch, aż tutaj przybyła.

Chopin poznał ją, skinął przyjaźnie głową i giestem do siebie zawezwał.

Nie mógł mówić, ale na migi tak dokładnie życzenia swe wyrażał, że obecni zrozumieli o co mu chodzi, i do drzwi sypialnego pokoju fortepian wciągnęli.

Potocka łzami się zalała, ale żądaniom chorego nie była w stanie odmawiać i stłumiwszy łkania, do fortepianu usiadła, a z piersi jéj dobyła się cudna melodya *Beatrice di Tenda* Belliniego, którą mistrz nadwiślański niezmiernie miłował.

I był to widok wspaniały, uroczysty i . . . . tragiczną grozą przejmujący. Śpiew brzmiał, łamiąc się w artystycznych kaskadach, po licu artystki łzy jak groch spadały, wszyscy obecni chustkami pozakrywali usta, aby łkania stłumić, a twarz umierającego rozjaśniła się niebiańską pogodą, wskazując, jak duszy jego błogo w tych tonach cudownéj melodyi.

Uroczystszą jeszcze stokroć była chwila, kiedy ks. Aleksan-

der Jełowicki, poprzedzony przez małe chłopię, w maleńki brzękające dzwonek, wszedł z Ciałem i Krwią Tego, co złamanego życiem wędrowca, niedługo przyjąć miał na swoje łono.

Duchowny ten, co takie piękne wspomnienie po sobie na emigracyi zostawił, drżał cały, gdy ostatnią tę posługę, wielkiemu ziomkowi czynił, a łzami już zalał się kiedy na zapytanie:

— Czy wierzysz synu?

— Wierzę jako mnie matka nauczyła, — odpowiedział mu Chopin.

Kiedy Bóg duszę jego do siebie powołał, a ciało jego osypane zostało mnóstwem kwiatów, które tak lubił za życia, twarz jego pogodna była i piękna, ze strapień, mąk, chorób, cierpień, oczyszczona i wygładzona, a rysy odznaczały się taką regularnością i delikatnością, jakby pięknem koniecznie już musiało być wszystko w tym, który do najgorliwszych wyznawców piękna należał.

Z dwóch stron twarzy jego, postawiono dwa wazony parmeńskich fijołków, ale próżna obawa, — woń ich, duszy, co już uleciała gdzieindziéj, nie zaniepokoi niejasnem jakiemś przeczuciem.

Pogrzeb przedwcześnie zmarłego Chopina był jedną z największych uroczystości, jakie Paryż widział pod owe czasy, a coraz więcéj uznania zyskująca jego muzyka, cześć dla artysty i ojczyzny jego powiększa. W chwili właśnie bieżącéj, komitet z samych Francuzek złożony, zbiera składki, aby godniejszym niż ten, który się na cmentarzu znajduje, uczcić go pomnikiem.

Jesteśmy pewni, że niebawem zamiary te się urzeczywistnią, i my, nie mogąc z datkiem wielkiéj wagi na poparcie przedsięwzięcia tego pospieszyć, poprzestajemy chociaż na tem, że małem wspomnieniem o jednéj z największych sław naszych, z czytelnikiem się dzielimy.

MICKIEWICZ W ODESSIE

I TWÓRCZOŚĆ JEGO Z TEGO CZASU.

(Wyjątek z obszerniejszej pracy: „Adam Mickiewicz, jego życie i pisma“.)

Przez zbieg okoliczności i wypadków znalazłszy się w Paryżu, mimowoli pomyśleć tu musiałem o tych naszych wielkich ludziach, którzy na bruku tutejszym tyle lat przepędzili, a już koniecznie do największych, między wielkiemi należał nieśmiertelny wieszcz nasz Adam, którego wspomnienia pozostały tu, nie tylko w rodzinie i w małym już dzisiaj, przy życiu znajdującem się kółku jego znajomych i przyjaciół ale także i wśród Francuzów.

Naród dzisiaj, wdowi swój grosz składając, ma dźwignąć mu pomnik, godny mistrzów nad mistrze, popioły jego chce przewieść na ziemię ojczystą, czyż więc do wszystkich tych dowodów czci i uwielbienia nie należałoby dołączyć wyczerpującéj biografii jego, czyż nie należałoby się na nowo rozpatrzeć w pozostałéj po nim spuściźnie i odkryć warunki, w jakich utwory jego powstawały?

Zadanie to niezawodnie wielkie i trudne, ale okoliczności dla nas przynajmniéj zdawały się bardzo sprzyjające, gdyż najstarszy syn wieszcza p. Władysław Mickiewicz w podobnéj pracy całkowitą pomoc nam przyrzekł, a znający poetę, chętnie opowiadaniami swemi zamiar nasz poprzeć obiecali. W długiéj téj mozolnéj pracy dochodzimy do końca.

A jednak nie mamy przekonania żeby wykonanie, odpowiedziało chęciom. Danych pewnych okazało się mniéj, aniżeli ich spodziewać się było można, a ci którzy Mickiewicza znali, w pa-

mięci swéj przez wiek złamanéj, zachowali szczegóły, które może do najmniéj interesujących należą.

Bez względu na zawady, w pracy zamierzonéj nie ustawaliśmy, ale owszem pchaliśmy ją daléj, a wczytywanie się w utwory wieszcza, wyjaśniało wiele rzeczy tych, których dopowiedzieć nie byli w możności ludzie.

Zamierzona praca miała być rodzajem Mickiewiczowskiéj encyklopedyi, miała pomieścić w sobie wszystko, bodajby najdrobniejsze szczegóły, do życia poety się odnoszące, a wykazanie o ile istniejące dotychczas o nim podania są słuszne lub mylne, miało krytycznie przygotować materyał dla przyszłego biografa. Do tego uważaliśmy za stósowne dodać jak najszczegółowszą bibliografią, do Mickiewicza się odnoszącą, tudzież zastanowić się nad pojedyńczemi jego utworami, w miarę tego, jak one w genialnym tym umyśle powstawały.

Myliłby się, ktoby tę część ostatnią brał za krytykę — nie; były to tylko usiłowania wynalezienia nici przewodniéj, którąby jak snujące się pasma z kłębka Aryadny, przeprowadziła czytelnika przez labirynt myśli, z których część znaczna w życie dzisiaj już przeszła, ale pozostały także tam i takie, które dopiero w szeregu wieków spełniać się będą. U artystów życie i ich utwory łączą się tak ścisłym węzłem, że ich rozłączyć od siebie nie można i, chcąc mieć bodajby względną całość, trzeba od razu i współcześnie oba przedmioty traktować. Metody téj się trzymając, po kilku leciech przyszedłem do zamknięcia swéj pracy. Wadliwość jéj i braki czuję bardzo dobrze, jednak pod korzec chować jéj nie myślę, bodajby z tego względu że krytycznie oceniwszy wszystkie dotąd o Mickiewiczu prace, wygotowałem materyał, który przyszłym przewodnikom posłużyć może.

Praca w ten sposób powstała, zrobiła się w rozmiarach swych bardzo obszerną, a warunki, w jakich dziś wydawcy nasi pozostają, może nie prędko na światło wyjść jéj pozwolą. Zanim więc to nastąpi, jeden rozdział ośmielam się zakomunikować Szanownym Czytelnikom.

W styczniu 1825 roku wskutek podań zrobionych do ministra Szyszkowa, tudzież przyjaznych z domem jego stósunków, dzięki interwencyi Przecławskiego (*Cyprynusa*), Jeżewski i Mickiewicz mianowani zostali profesorami liceum Ryszeliego w Ode-

ssie, z pensyą od sześciuset do siedmiuset pięćdziesięciu rubli rocznie i z jednorazowym funduszem trzystu rubli dla każdego na koszta podróży.

Ponieważ Franciszek Malewski dostał także nominacyą do bióra generał-gubernatora kraju nowo-rosyjskiego, hr. Worancowa, przeto na niego, jako w rzeczach życiowych najpraktyczniejszego, zdano kłopoty podróży długiéj, bo około 1500 wiorst wynoszącéj, która tem trudniejszą się stawała, że zima, od nowego roku począwszy, zbyt stałą nie była i na sanną drogę liczyć nie było można. Ponieważ wszyscy trzej wygodę pocztowych kibitek aż nadto dobrze znali i puszczać się niemi nie mieli odwagi, przeto zrobiono składkę i Malewski wydelegowany został na tak zwaną *tołkuczą* dla kupna *tarantasa*, powozu krytego, do którego by tylko pocztowe wynajmowano konie. O szczególe tym donosi on rodzinie, w słowach: „Dziś tylko co wróciłem ze sklepów pojazdowych, gdzie szukałem bryczki krytéj. Musimy się tak wybierać, bo od Witebska sannéj drogi nie ma.“

W tarantasie owym, posiadającym tę zaletę, że w nim nie tylko siedzieć, ale i leżeć wygodnie można, wraz ze wszystkiemi tobołami, które cały ich stanowiły majątek, podług wyrażenia filozofa: omnia mea mecum porto, ruszyli trzej znajomi w dobrym humorze, gdyż kieszeń ich o tyle o ile zabezpieczona była, zdrowie służyło, a nadzieja ujrzenia nowych miejsc i nowych ludzi, dodawała im wiele otuchy. Data wyjazdu tego o ile da się to ustanowić z dokumentów urzędowych oraz korespondencyi, przypadła 7 albo 8 stycznia, starego stylu.

Z dziejów téj długiéj podróży, trwającéj z góry miesiąc, jeden tylko da się zanotować szczegół. German Hołowiński, marszałek powiatu bohusławskiego i zamożny właściciel ziemski w gubernii Kijowskiéj, zatrzymał ich przez dni parę w majątku Steblowie. Malewski, jeśli nie sam, to przez ojca był rodzinie téj znajomy, a jeśli dla niego podwoje gościnnego domu otwierały się szczerze, autor Ballad i Dziadów mógł liczyć tu na wyjątkowo serdeczne przyjęcie. Ugaszczano ich też, jak tylko szlachcic polski umie; zaprzysiężano sobie wzajemnie przyjaźń wieczną, dano słowo pisywania wzajemnego, a Hołowińscy przyrzekli, że z nastaniem pory wiosennéj do Odessy zjadą.

Za gościnność tę, nie licząc kilku wymienionych listów, poeta

wypłacił się rymami i w imionniku pani Hołowińskiéj zapisał znany wiersz:

Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza,
Życie jest wązką ścieżką, łączącą dwa morza:
Wszyscy z przeszłości mglistéj w przyszłość lecim mroczną,
Jedni najprościej dążą i najrychlej spoczną;
Drugich na stronę wiodą łudzące widoki;
Plany, ogrójce wdzięków i sławy opoki.
Szczęśliwi, jeśli goniąc mary wyobraźni,
Przed końcem drogi znajdziem świątynię przyjaźni!

Wspomnienie serdecznéj téj gościny i miejsc tam poznanych odżyło po kilku leciech jeszcze w „Panu Tadeuszu“ we wspomnieniu o sławnéj lipie przed domem Hołowińskich nad Rosyą.

Na początku lutego przybyli podróżni nasi do Elizawetgradu, chociaż bowiem dla Malewskiego zatrzymywanie się w tem mieście nie stanowiło konieczności, Mickiewicz jednak i Jeżowski winni byli zameldować się kuratorowi odeskiemu, hr. Janowi Józefowiczowi Witte, który, jako jenerał dowodzący pułkiem, przebywał w mieście, gdzie pułk ten konsystował.

Przybyłych podwładnych swoich Jeżowskiego i Mickiewicza przyjął kurator bardzo dobrze i zatrzymał ich przez dni kilka wyczekując póki kuryer wysłany do Odessy, do dyrektora tamecznego liceum, nie przywiezie mu objaśnień, o ile dla nowych profesorów miejsce wolne się znajdzie. Niestety, miejsc wakujących nie było, hr. Witte atoli rozdził kandydatom jechać na miejsce, zapewnił, że będą tam mieli skarbowe mieszkanie, stół i pensyą, a wakans zapewne niebawem się otworzy.

Stósownie do polecenia tego przyjechali na miejsce i Mickiewicz z Jeżowskim zamieszkali na trzeciem piętrze lyceum, na prawo od schodów. Malewski, do innéj mając wstąpić dykasteryi, niemiał prawa z nimi razem tu się pomieścić, i mylą. się ci, którzy z niego towarzysza kwatery Mickiewicza robią. Sam on wyraźnie o tem oświadcza w liście do siostry, w następujących słowach: „Życie tu dość tanie dla brzucha, ale mieszkania, choć teraz tańsze, dość drogie. Za stancyą z przedpokojem płacę 25 r. sr. bez stołka, łóżka, ani żadnéj rzeczy, która jego jest.“

Do kilkomiesięcznego pobytu Mickiewicza tutaj nie brakuje

nam szczegółów, a to dzięki uprzejmości pani Lacroix.[1]) Ona, kiedy Mickiewicz do Odessy przybył, tam się już znajdowała, ona z poetą naszym wycieczkę do Krymu robiła i na krótko przed wyjazdem poety do Moskwy nadmorskie miasto opuściła. Że zaś Mickiewicz stałym, bo codziennym gościem w domu jéj bywał i że szczegóły przez nią udzielone dają się sprawdzić, tak korespondencyami poety, jak jego przyjaciół, oraz twórczością Mickiewicza z tego okresu, przeto zebraliśmy je chętnie i zupełne znaczenie autentyczności do nich przywiązujemy.

Odessa więc wszystkim podróżnikom naszym podobała się bardzo. Mile na nich podziałał charakter czysto europejskiego i kosmopolitycznego miasta, a przy łagodnéj zimie ówczesnéj i przy morskiem powietrzu, po klimacie petersburskim, znaleźli się oni tutaj jakby w raju. Na domiar szczęścia trafili jeszcze na porę południowych owoców, których poeta nasz był wielkim amatorem i używał ich aż do przesytu. To też w obfitości téj rozkoszował się. Malewski, w liście swym do rodziny pisze: „Mickiewicz mówi, że płacą tu za to, żeby jeść apelsyny, a orzechami włoskiemi trotuary wykładają.“

Nie na samych przyjemnościach czas im atoli schodził i Mickiewicz który nawykły był do pracy, rozpoczął na dobre naukę języka włoskiego. Że zaś łacinę i francuzki posiadał gruntownie, przychodziło mu to łatwo i zaraz zaczął czytać Petrarkę, a jednocześnie po knajpach wyszukiwać Włochów, z którymi mógłby w rozmowie, w język się wprawiać. Że była to metoda dobra, oraz, że szczerze nauką tą zająć się musiał, wnosić można ztąd, że Odyniec świadczy, iż kiedy razem do Włoch zajechali, Mickiewicz bardzo biegle językiem włoskim władał.

---

[1]) Pani Lacroix, z domu hr. Karolina Rzewuska, siostra powieściopisarza Henryka, była podówczas za pierwszym swym mężem Hieronimem Sobańskim i podług świadectwa licznych do dzisiejszego dnia żyjących ludzi, między mieszkającymi podówczas w Odessie Polkami, należała do najpiękniejszych. Oprócz tego, niezmiernie wesoła, żywa, wszechstronnie wykształcona, wielbicielka sztuk pięknych i wyborna pianistka, była niejako duszą towarzystwa. Po śmierci męża wyszła za jenerała Witta, a po rozwodzie z nim, za jenerała Czyrkowicza. Ostatecznie w Paryżu poślubiła znanego francuzkiego pisarza p. Lacroix i mimo zbliżającéj się dziewięćdziesiątki, cieszy się zdrowiem i zupełną świeżością umysłu. Chcąc od niéj dowiedzieć się szczegółów, do Mickiewicza się odnoszących, poznaliśmy ją właśnie w epoce, kiedy srodze śmiercią siostry swéj Balzacowéj przygnębiona była. Mimo to wszystko, na co pamięć jéj pozwoliła, opowiedziała i miło tutaj nam wyrazić za tę jéj gotowość serdeczne podziękowanie.

Ani w Moskwie, ani w Petersburgu przykładać się do niego nie mógł, zapasy te więc musiał wynieść z Odessy, a przejęcie się piewcą Wokluzy sprawiło, że szczerze w nim zasmakował.

Do owych ćwiczeń językowych należało także uczęszczanie na operę włoską. Mickiewicz muzykę bardzo lubił, gruntownym jednak znawcą jéj nie był, a jedynie oceniał ją ze względu na wrażenia, jakie na nim robiła. Z tąd kiedy w smutku a goryczy chwytał się chciwie motywów rzewnych i chętnie się w nie wsłuchiwał; więcéj jeszcze miłował muzykę, kiedy był w usposobieniu wesołem i przy dobrym humorze.

Humor ten od czasu przyjazdu do Odessy nie odstępował go wcale i bez względu na uwagi towarzyszów, którzy oszczędność zalecali, przedstawień opery włoskiéj nie chybiał.

Ów jego ustawiczny dobry humor, jak różnież zamiłowanie dla opery, dobrze maluje list na imieniny panny Zofii Malewskiéj napisany. Żeby go jednak dobrze zrozumieć, należy opowiedzieć okoliczność, tłómaczącą czas powstania drobnego jego wierszyka, zatytułowanego Chór Strzelców.

Mickiewicz, wraz z dwoma swymi towarzyszami, znajdował się na przedstawieniu opery Webera: *Freischütz*. Uderzył go tu przedewszystkiem chór strzelców, boć i wyznać potrzeba, że z całéj opery miejsce to najwydatniejsze i zaraz na drugi dzień napisał poeta wierszyk: „Wśród opok i jarów,“ który nie jest wcale żadnem tłómaczeniem, jak chcą niektórzy wydawcy i krytycy. Rano, przed udaniem się do bióra, nawiedził Jeżewskiego i Mickiewicza Malewski i poeta jako zabawkę, stworzoną bądź rankiem, bądź wieczorem po powrocie z teatru, wierszyk ten mu ofiarował. Ponieważ obie siostry Malewskie, a szczególniéj Zofia, były bardzo muzykalne, przeto Franciszek posłał jéj wierszyk z prośbą, żeby go pod muzykę Webera podłożyła. Panna Zofia z polecenia wywiązała się prędko a Mickiewicz dowiedziawszy się o tem, miał pretensyą do Malewskiego, że wiersz ten, potrzebujący jeszcze poprawek, bez jego wiedzy odesłał, ale ponieważ to się już stało, więc do poprawek więcéj się nie zabrał.

Mimowoli przychodzi na myśl pytanie, jakie wady w wierszu tym widział Mickiewicz, i nie omylimy się chyba twierdząc, że głównie gniewać go musiał ogólny wiersza tego charakter. Rzeczywiście w żadnym utworze Mickiewicza nie można spotkać takiego braku barwy narodowéj jak tutaj. Strzelec „król lasów i gór“ nie ma nic w sobie z natury myśliwego Litwina, a przyśpiewka:

Dalejże, dalejże z tropu w trop
Z tropu w trop
Hop, Hop!

jest tylko hołdem oddanym muzyce, ale nie zgadza się zupełnie z obyczajami zławiania się strzelców na Litwie, obyczajami, które przecież Mickiewicz znać musiał dobrze, kiedy je po dłuższym daleko z krajem rozdziale tak świetnie malował w „Panu Tadeuszu.“ Tam myśliwi nie zwołują się nigdy krzykami na stanowiskach, a tem bardziéj na tropach.

Druga okoliczność, która tu Mickiewicza jako artystę razić musiała, były to zbyt śmiałe i zbyt [przesadzone przenośnie. Poeta, który tak znakomicie umiar artystyczny zachowywać potrafił, niewątpimy, że po głębszym namyśle przekreśliłby taką naprzykład strofę:

Czy palnie na smugi,
Czy w górę do chmur,
Tam krwi płyną strugi,
Ztąd leci grad piór.

Jeszcze więcéj zaś może rażącem jest nazywanie ptaków *latawcami:*

Czyj dowcip gnał bojem
Latawców do sideł...

Złe jednak z winy gorliwości Malewskiego się stało i panna Zofia pięknie wypisane nuty, wraz z kaligraficznie skopiowanym wierszem przysłała poecie, on więc nie mogąc już na to, co się stało, poradzić, odpisuje jéj z podziękowaniem, a ustęp z jego listu jako próbkę wybornego humoru i jako rzecz wielce charakterystyczną przytaczamy tutaj:

„Wielki ciężar czuję na sumieniu, pisze Mickiewicz, że za łaskawą pamięć pani dotąd nie miałem śmiałości podziękować. Piosenkę i nuty, własną jéj ręką pisane, zachowałem jako drogą pamiątkę. Nie dziwi mnie tak piękny charakter i rysunek, bo jeśli idzie o malowanie pieśni i głosu, komuż to łatwiéj udać się może, jeśli nie królowéj śpiewu. Chciałem wówczas w kilku wyrazach przesłać moje podziękowanie, uprosiłem kartkę papieru u Franusia (Malewskiego), aż oto naprzeciwko mnie zasiada pan Józef Jeżowski, z całym przyborem korespondencyi. Z najpiękniejszych arkuszy welinowych wybiera najpiękniejszą

ćwiartkę, temperuje najpiękniéj najpiękniejsze pióro, widzę z uśmiechającej się twarzy jak mu płyną dowcipne komplimenta, rzuciłem oko na sztychowane, że tak powiem litery... pióro wypadło mi z ręki. Teraz znowu straszniejsze jeszcze aparaty: cyrkle, globusy, pędzelki, farby... Miał być zdjęty plan królestwa Czarnomorskiego i przesłany pani, jako monarchini. Cóż za ofiarę mógłbym obok takich podarunków przesłać? Ale zacząłem myśleć filozoficznie i deklamować w duchu: „o panie Józefie, dumny ze swoich talentów stolarskich, malarskich i pisarskich, oto, rozpocząwszy zbyt wielkie dzieło, nie skończyłeś na termin. Po cóż takie natężenie? Alboż nie wiesz, że królowie są tak bogaci, że w ich oczach całe fortepiano jest równą drobnostką, jak niestrojne, o kilku strunach skrzypce poetyczne, że morze ze wszystkiemi brzegami, ma tyle u nich wartości, co dobra koncha... itd.“

Bez względu atoli na swobodę życia i miłe z kolegami stosunki, Mickiewicz, bodajby ze względu na sławę, jaka już do jego imienia przywiązaną była, nie mógł długo pozostać nieznanym. Pierwszy odszukał go Bonawentura Zaleski, szlachcic serdeczny, gościnny i wszystkich do stołu swojego ciągnący i póty wizytami, zaproszeniami na obiady i herbaty, tudzież naprowadzaniem coraz świeżych gości, poetę bombardował, póki ten, nie spostrzegłszy się nawet jak i kiedy, wciągnięty został w koło wielkoświatowego życia.

Dla Mickiewicza sposób życia i sfera, w jaką go wciągnięto, była nowością. Przestając dotychczas głównie z kolegami, lub rodzinami profesorów, o świat wyższy arystokratyczny ocierał się tylko przelotnie i przypadkowo, jak na przykład w czasie krótkiego pobytu w Szczorsach u Chreptowiczów. Rodzina Wereszczaków, szlachty zamożniejszéj również jak i Puttkamer, wydawali mu się już panami; ale tu dopiero poznał panów prawdziwych, bądź potomków starych rodów, bądź bogaczów, którzy obyczajem polskim, rzucali obficie złotem, aby się przed obcymi pokazać, bądź wreszcie arystokracyą rosyjską. Polaków w tem niedawno założonem, a prawdziwie już kosmopolitycznem mieście było bardzo wielu: naprzód więc Bonawentura Zaleski, możny obywatel ukraiński, z Pustowar w skmirskim powiecie, Hieronim Sobański, z młodą swą żoną i bratem jéj hr. Henrykiem Rzewuskim, Sobańscy: Gotard, Izydor i Aleksander, Nowomiejski Mikołaj z Humiennik, Kajetan i Aleksander Podhorodeńscy, Szemiotowie, Zagórscy, Ignacy Miączyński, dwaj Zalescy

i wielu innych. Wszystko szlachta można, wychowana przeważnie na uniwersytecie wileńskim, lub w liceum krzemienieckiem, wypolerowana za granicą i ogładzona na prawdziwie pańskich salonach. Z młodzieży tu także w téj epoce był młody Stanisław Moniuszko, ten, który późniéj tak chętnie talent swój oddał na usługi poezyi Mickiewicza. Większa część zebranych bawiła tu z żonami i córkami i prowadziła otwarte domy, ale nie brakło też i młodzieży figlarnéj, swawolnej, hulaszczéj, która idąc za tradycyami tężyzny, z głębi Ukrainy przywiozła tu z sobą bałogulskie nawyknienia.

Z towarzystwem tem chętnie łączyła się arystokracya i wysocy urzędnicy rosyjscy, a więc: generał-gubernator hr. Woroncow, późniéj mianowany księciem, hr. Guryew, gubernator Odessy z młodą swą a piękną żoną i hr. Witte, kurator, który z Elisawetgradu często tu przyjeżdżał i miał w Odessie zbytkownie urządzony pałac. Młodzieży dostarczali wyżsi oficerowie armii, a wśród nich do prawdziwych Lowelasów, nie tyle z wdzięków, ile z fortuny należał jenerał Witt.

Przez całe to towarzystwo Mickiewicz przyjęty był, co się zowie z otwartemi ramiony, słowa jego bowiem, jako autora Dziadów, okoliczność, że był politycznym wygnańcem, niemal więźniem i wiek jego młody, który każdemu prawie zawsze wiele wdzięku dodaje, z góry jednały dlań serca wszystkich. Wieść o mającym nastąpić jego przyjeździe tutaj wcześnie w towarzystwie polskiem się pojawiła i zrozumieć łatwo, że skoro tylko w liceum, wraz z Jeżowskim się zainstalował, w spokoju go tu nie zostawiono długo. Najpierwszy zjawił się do niego Bonawentura Zaleski i póty przybyszów z protekcyi swéj i zaopiekowania się nimi nie wypuścił, póki ich nie zapoznał ze wszystkimi, mieszkającymi w Odessie Polakami. Na salonach polskich wiązały się znajomości międzynarodowe i rozpoczynała się owa towarzyska pańszczyzna, która dla ludzi miłujących samotność, jest klęską, nie mającą porównania z żadną z plag egipskich.

Mickiewicz z początku przykrego owego wrażenia doznał, późniéj jednak w to życie próżniacze wciągnął się mimo woli i coraz w niem więcéj smakować poczynał.

Pierwsze wrażenie ze wzajemnego zetknięcia się tak dla ówczesnego, modnego, odeskiego świata, jak i dla poety nie było zbyt korzystne. Mickiewicz na owych Polakach, posługujących się prawie wyłącznie francuzkim językiem, w ich wielkoświatowych manierach i w ich chętnem wiązaniu się z cudzoziem-

cami, dojrzał barwy kosmopolitycznéj, i smutno mu się zrobiło na ich woskowanych posadzkach. Modny świat znowu, a szczególniéj nadobna jego połowa zawyrokowała wprawdzie, że młody poeta jest bardzo pięknym mężczyzną, jednak znalazła w nim niezbyt wielką łatwość w salonowem życiu, pewną posępność i nazbyt duży litewskiéj niezręczności zapas.

Pierwsze to wrażenie atoli rozchwiało się prędko. Mickiewiczowi wiek jego młody, oraz serdeczność, z jaką go w tych kółkach przyjęto, kazały być pobłażliwym na dostrzeżone wady: w towarzystwie zaś postawiono twierdzenie, że rzekomy brak w młodzieńcu światowéj łatwości i ogłady jest oryginalnością, bez któréj nie wyobrażano sobie wielkiego poety. Il est original, powtarzano, mais tout de même, bon enfant. Mniéj pobłażliwie sądzono Jeżewskiego i Malewskiego, gdyż wyrażano się o nich: Ce sont des savants mais ennuyants, à faire mourir. Ci ostatni, a zwłaszcza Jeżowski, w towarzystwie tem nie bardzo smakowali i tylko w razie ostatniéj konieczności, kiedy nie było żadnego sposobu wymówienia się, udział w niem brali.

Najpierwéj co do pań na rzecz Mickiewicza korzystny przełom się zrobił i wszystkie one na wyścigi poetę ku sobie ściągnęły, a każda z nich najszczęśliwszą się czuła, kiedy właśnie w jéj domu Mickiewicz jakąś oryginalność popełnił. O fakcie podobnym opowiadano sobie natychmiast, na wizytach udzielano wszystkie najdrobniejsze szczegóły i zazdroszczono sobie wzajemnie.

Najszczęśliwszą pod tym względem była p. Hieronimowa Sobańska, Mickiewicz bowiem dom ten bardzo ukochał, raz, z powodu uprzejmości, wykształcenia i wdzięków gospodyni, a powtóre, że brat jej Henryk Rzewuski opowiadaniami swemi przykuwał go tutaj po całych godzinach. Był to podówczas człowiek jeszcze młody, prawdziwie pańskiéj dystynkcyi i wyszukanych manier pełen, obdarzony siłą i ogniem, bystry w postrzeżeniach, a przytem niezmiernie dowcipny. Konserwatyzm jego, który się późniéj do krańcowości rozwinął, podówczas nosił na sobie jedynie barwę patryotyczną, nie kaleczył i nie ranił jadowicie, jak to działo się późniéj.

Mickiewicz mówił bardzo biegle po francuzku, niezręcznym w życiu światowém nie był wcale, niechciał tylko poddawać się biernie pod jarzmo czczych i pustych form, a wolał zawsze samym sobą zostawać. Naturalność taka i pewność siebie, nie-

tylko dają swobodę ruchów jednostce, ale imponują jeszcze pospolitym niewolnikom salonu. Jak zaś w tym względzie zwykł bywać swobodnym, świadczy pomiędzy innemi następujący szczegół. Poeta nasz był wielkim amatorem kawy, a w prawdę zasady, żeby jéj należało używać tylko w pewnych porach dnia, stanowczo nie wierzył i rządził się w tym względzie swojemi upodobaniami, tak jak niegdyś w Wilnie po kilka dni z rzędu nie żył niczém więcéj jak owocami, narażając przez to poczciwego Maryana Piaseckiego na liczne obawy. Otóż do Sobańskich, dokąd miał stałe zaproszenia, wpadał w najrozmaitszych godzinach i powitawszy prędko gospodarzy, a nierzadko i zebranych gości, formułował zaraz kategorycznie swoje żądanie w tych słowach: „Ja chcę kawy, niech tylko będzie z tłustą śmietanką i grubym kożuszkiem.“ Pijąc ją, zajęty rozmową lub słuchaniem, późniéj wypróżnioną filiżankę wręczał gospodarzowi, gospodyni, lub któremu z gości, biorąc ich w roztargnieniu za służących. Pomyłka podobna, jak to opowiada Fantille i Wojcicki, a jak również stwierdza to p. Lacroix, zdarzyła mu się także na salonach kuratora Witta. Tym razem upoważnionym do odniesienia filiżanki był jenerał Witt, figura w stosunkach urzędowych bardzo wysoko położona, tak że inni goście, przeważnie urzędnicy, lub niżsi oficerowie, ścierpli ze zgrozy na widok podobnego przekroczenia etykiety. Jenerał tylko, który podówczas zaliczał się już do wielbicieli p. Sobańskiéj, a wiedział, że w jéj domu Mickiewicz był e n f a n t g a t é, nie tylko podaną filiżankę odniósł, ale się zaraz z tém przed p. Karoliną pochwalił.

Drugim domem, w którym Mickiewicz bardzo rad przebywał i najczęściéj na obiady się dostawiał, był dom pp. Bonawenturów Zaleskich. Tu wszystko, począwszy od kuchni, było szczerze polskie, a lubo towarzystwo cudzoziemskie zbierało się także w tym gościnnym domu, wszyscy jednak poddawali się niejako obyczajowi polskiemu. Kierunek i ton taki przyjęciom nadawała głównie pani Zaleska, kobieta pod każdym względem wyższa, wysoko wykształcona i wszystko co polskie swém sercem kochająca. W stósunku do Mickiewicza postawiła się ona od razu jakoby matka i nieraz za jego lekkość, któréj dowody, jak to zaraz zobaczym, dość często się zdarzały, surowo go gromiła. Przyjaźń dla niéj i dla całego domu Mickiewicz na zawsze zachował i z rozmaitych miejscowości swego pobytu listy, tak do niéj, jak i do jéj męża pisywał.

W podobnych stosunkach towarzyskich przedewszystkiem rozwinął się tu w wysokim stopniu improwizatorski talent Mickiewicza, który już w Wilnie zdradzał się z taką potęgą. Towarzystwo tutejsze nadużywało tego boskiego daru i tak u Sobańskich jak u Zaleskich zasadzano go do fortepianu, poddając mu coraz rozmaitsze a nieraz wcale oryginalne temata a nie ograniczano się do improwizacyi polskich, ale także żądano i francuzkich. Co do tych ostatnich, poeta nie był bardzo chętny i kiedy pierwsze wypowiadał w rymach, po francuzku odzywał się jedynie prozą. Był to jednak język tak malowniczy, tak podniosły, tak pełen prawdziwie poetycznych obrazów a przytém tak stosujący się do jakiegoś wewnętrznego, rytmicznego tempa, że żadną miarą za prozę brać tego nie można było.

Nie na żądanie już ale z własnego popędu popadał poeta w extazę i usposobienie improwizatorskie w czasie pogodnych letnich wieczorów, kiedy z Sobańskiemi i Henrykiem Rzuwuskim przechadzał się na wybrzeżu morskiém. Zdejmowała go wtedy szczególna jakaś tęsknota i zaduma, duchem przenosił się na Litwę, nad brzegi Wilii, do puszcz tamtejszych i do rodzinnego Nowogródka i snuł szereg strof wiązanych, w których żal i smutek wygnańca ponad innemi uczuciami przeważały.

Pani Lacroix opowiadała nam, że jedynie kobiecą powodowana ciekawością, raz kiedy poeta przeniósł się w tę czarowną krainę wspomnień napomknęła mu pierwszą jego miłość i zaczęła wybadywać w sposób delikatny o uczucia, które niegdyś w sposób tak gwałtowny wstrząsały łonem Gustawa. Poeta na pierwsze słowa w tym kierunku zmięszał się, sposępniał, a twarz jego uczucie nietajonéj przykrości wyrażała. Wreszcie, nie mówiąc słowa i nie żegnając się z nikim, szybko się zawrócił i prędko bulwarem ku miastu popędził i przez dwa dni całe nietylko u Sobańskich, ale w żadném nie pokazywał się towarzystwie. Przestraszona pani Karolina co prędzéj posłała do niego brata, a kiedy zbiega sprowadzono wreszcie nazad i kiedy p. Sobańska zaczęła zapewniać, że już nigdy przedmiotu tego nie poruszy, on zmarszczył się srogo i szorstkim tonem rozkazującym zawołał: „Ani słowa o tem.“

Zgadza się to najzupełniéj ze wszystkiem co o Mickiewiczu w tym względzie opowiada Odyniec i inni blizcy jego przyjaciele. Wyjątek tu jedynie stanowi Niewiarowicz, zapewniając, że z nim jednym poeta nasz często o Maryli rozmawiał. O prawdzie słów jego powątpiewamy atoli, raz dla tego, że wiele on innych

mylnych faktów podaje. a powtóre że syn poety, p. Władysław Mickiewicz, wspominając o stosunku łączącym jego ojca z Niewiarowiczem, wyjaśnił w jakich okolicznościach się poznali, jakie interesa ich łączyły, i zapewnił, że Niewiarowicz nigdy do poufałych a serdecznych przyjaciół Adama nie należał.

A jednak, lubo nikomu z odeskich znajomych poeta by najmniejszego szczegółu o Maryli udzielić nie chciał, sam o niéj myśleć musiał, gdyż zaledwie studya swe nad włoskim językiem naprzód popchnął i zaledwie z Petrarką się zbratał, kilka pięknych sonetów napisanych na wzór włoskiego poety wspomnieniom pierwszéj swéj miłości poświęcił.

W usposobieniu wszakże takiem długo wytrwać nie mógł. Otaczający go rój towarzyski od wspomnień odrywał, zagłębiać się w sobie nie dozwalał, do teraźniejszości ustawicznie zwracał i przed umysłem jego a wrażliwością mnóstwo pokus rozkładał. Piękne oczy jak w tęczę patrzyły w niego, piękne usta obiecująco mu się uśmiechały, a białe ramiona niemal otwarcie wyciągały się ku niemu i miał zupełną racyą pisać późniéj w liście do Tomasza Zana, że „żył w Odessie jak pasza.“

Odnośnie do urzędowych i służbowych poety naszego stosunków, to również on jak Jeżowski i Malewski zajęcia żadnego nie mieli, a pobieranie darmo pensyi nie zgadzało się z zasadami filaretów a nadto nie przedstawiało wielkiéj trwałości i widoków na przyszłość. Dla tego wszyscy trzej zrobili podanie do cesarza, bawiącego podówczas w Taganrogu, prosząc o inne przeznaczenie. Niebawem przyszła odpowiedź na ręce jenerał-gubernatora noworosyjskiego a w niej powiedzianem było: nie zostawiać Mickiewicza i Jeżowskiego w służbie liceum Ryszeliego ani też w ogóle w południowych prowincyach, lecz umieścić ich w innych guberniach rosyjskich, według własnego ich wyboru i w takich rodzajach służby, jakich zażądają sami. Ze względu zaś na ich stan ubogi, udzielić każdemu potrzebny zasiłek.“

Zaczęły się więc między towarzyszami narady, coby wybrać i gdzieby się udać, i o decyzyi zawiadamia nas Malewski w liście pisanym do Hołowińskich, do Steblowa:

„Długo trzymani w niepewności, powiada tam, kiedyśmy mieli zostać dopuszczeni do obowiązków, odebraliśmy rozkaz najwyższy, zabraniający pobytu w Odessie i w ogóle w południowych guberniach. Znowu pozwolono nam wyboru, znowu wzięliśmy mapę i po krótkim namyśle ja przedsięwziąłem udać się do Moskwy, do kancelaryi wojennego gubernatora, Mickiewicz

tamże, do archiwum kolegium interesów zewnętrznych.“ (Malewski nie dodaje, że Jeżowski prosił o umieszczenie go także w Moskwie przy uniwersytecie w takim charakterze, w jakim tam już znajdowali się Budrewicz i Pietraszkiewicz). Daléj Malewski pisze: „Dotąd nie mamy odpowiedzi i jak się zdaje, nie będziemy jéj mieli przed powrotem monarchy do stolicy.“

Była to uwaga ze wszech miar słuszna i ponieważ w administracyi krajowéj nie przechodziły odpowiedzi zbyt szybko, trzeba więc było uzbroić się w cierpliwość, a tymczasem zająć się czém innem. Mickiewicz zabrał się wtedy do przekładów z włoskiego i przetłómaczył dwa sonety z Petrarki „Senuccio i vóche sappi: Błogosławieństwo, tudzież dwa ustępy z Boskiéj komedyi Dantego. Również na wzór Petrarki układał oryginalne sonety, które przeważnie dawnym poświęcał wspomnieniom, a także napisał parę innych drobnych wierszy, z których zdamy sprawę niżéj, mówiąc ogólne o całéj twórczości naszego poety z tego okresu.

Praca ta była atoli dorywcza, gdyż cały prawie czas Mickiewicza pochłaniały spacery, gra w szachy ze znajomymi którzy go na jego kwaterze nawiedzai proszone obiady i herbaty, na których go grono niewiast otaczało.

Mickiewicz na wdzięki niewieście bardzo był wrażliwy, z natury więc niebawem między niemi a poetą przyjść musiało do serdeczniejszych aniżeli zwykle, towarzyskie — stosunków. Głównie trzy były kobiety których wspomnienie silniéj z pobytem Mickiewicza tutaj się splotło. Do tych zaliczamy panią Hieronimową Sobańską, hrabinę Gurjew i panią, która dwoma cyframi D. D. się oznacza.

Że poeta nasz gotów byby zostać wielbicielem p. Sobańskiéj, do tego przyczyny rzeczywiste istniały i że oboje na drodze téj się znajdowali świadczy pomiędzy innemi, jak mi się zdaje, wiersz zapisany w imienniku téj pani:

Różnym losem rzuceni na świata powodzie
Spotykamy się z sobą, jak dwie różne łodzie! itd.

Stosunek jednak ich został jedynie przyjacielskim i prawie siostrzanym a jako pierwsza naturalnie racya ku temu nastręczyć by się powinna okoliczność, że pani Sobańska jako żona nie mogła obcemu mężczyźnie okazywać zbyt wielkiego afektu. Niezawodnie, że i ta przyczyna istniała, ale obok niéj była jeszcze i inna. Pani Sobańska przed poznaniem Mickiewicza po-

znała jeszcze jenerała Witta i od razu dla niego wielką sympatyą poczuła a usposobienie to jéj zupełną cieszyło się wzajemnością, czego najlepiéj dowiodło zaślubienie jego po śmierci pierwszego męża. Gdyby nawet znęcona urokiem jaki roztaczał poeta, zezwoliła na wciągnięcie w jego koło oprócz prawowitego małżonka musiał jéj także wzbraniać tego wielbiciel, który, jeźli rzeczywiście żadnych praw nad nią nie miał, to przynajmniéj pilnie strzegł, aby w nabyciu ich go nie uprzedzono.

Stosunek znowu z hrabiną Gurejew był więcéj przelotnym i znaczenie jego wyjaśnia się najlepiéj z trzeciego i najsilniejszego, jaki istniał odnośnie do pani D. D.

Kto była ta pani D. D.? Nazwisko jéj wymieniła nam p. Lacroix i zdawałoby się, że ponieważ już pani ta nie żyje, nie ma zdrowéj racyi do zachowywania jéj incognito. A jednak cóż począć w obec kategorycznie postawionego żądania dyskrecyi i odkrycia tajemnicy jedynie pod warunkiem danego słowa, że nazwiska jéj wymieniać nie będziem. Powiemy więc tylko, że była to Polka, młoda mężatka, że cyfry jéj D. D. przez poetę podawane, zupełnie są zmienione, że wdziękami, co u nas nie rzadko, odznaczała się wśród innych naszych rodaczek i że jakoby do poety mimo rozmaitych plotek szczerze przywiązaną była. Sądzę, że szczegóły te wystarczyć powinny i nazwisko samo podrzędnego jest już znaczenia.

Pani Lacroix utrzymuje, że był to stósunek zupełnie idealny i że nic w nim grzesznego nie było, a lubo nam wydaje się to trochę inaczéj, ostateczny jednak wyrok w téj sprawie czytelnikowi zostawiamy, poprzestając jedynie na objektywnem jéj przedstawieniu.

Jak się ta miłość poczęła, z czyjéj strony było pierwsze do niéj ośmielenie i jaki bezpośredni objawienia się jéj powód, tego nie wiemy. Pierwszy ślad uczucia ze strony poety spotykamy w wierszu: Do D. D. *Elegia*. Poeta tu cierpi już z miłości i tak do przedmiotu uczuć swoich przemawia:

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojéj duszy . . .
Na dzień cały? . . . Nie, takiéj nie pragnę katuszy!
Gdyby godzinę tylko . . . Szczęśliwe stworzenie,
Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie,
Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza:
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,

To mnie smutek w ponure zadumania wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca . . .

Na cierpienie to jakaż rada? — Oto:

Gdybym zyskał pewność, że jestem kochany,
Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
Którą mnie straszy nieraz doświadczona zdrada,
O niech będę szczęśliwym, będziesz ze mnie rada!..
Jak duch, przez dzielnéj wróżki zaklęte wyrazy,
Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać rozkazy;
A jeżeliby czasem duma rozdąsana
Kazała poddanemu udać humor pana:
Śmiéj się, luba, choć duma przyznać się zabrania —
Sługą będę — cóż miałbym do rozkazywania?

Gdyby to stać się mogło, poeta przyrzeka:

Pamiątki nawet serca głęboko zagrzebię,
Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie,
Wtenczas by dziki zapęd, co mną dotąd miota,
Wypadł z duszy, jak z łodzi miotany niecnota,
Który burze sprowadza i bałwany pieni.
Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni;
Chociażby los groźnemi falami powiewał,
Jak syrena bym nad nią wzbijał się i śpiewał.

Ofiara więc ze strony poety była wielka, boć dla nowego uczucia z dawnemi świętościami jeśli niezupełnie się rozstać, to przynajmniéj na dnie serca pochować je przyrzekał a niepodobieństwo *przyjęcia* ofiary zdaje się nie istniało, gdyż się kochanek w coraz śmielsze zapuszcza nadzieje i stawia żądania coraz bardziéj wygórowane. Więc pragnie naprzykład zamienić się we wstęgę złocistą, co połyska na czole lubéj, w wietrzyk, co może ją tylko pieścić i różę, w szatę mglistą wreszcie, co uciska jéj łono (D o...[1])

---

[1]) W tém miejscu redakcya Ateneum, w którem to piśmie praca niniejsza drukowaną była, zrobiła taki dopisek! „Wiersz ten bardzo wątpliwej jest autentyczności. Zob. Ateneum 1879, r. T. I str. 398—400 (P. R) Rzeczywiście we wskazanem miejscu jeden z Litwinów zawiadamia, że wiersz ten napisał niejaki Mikołaj Wąż dla córki sąsiada swojego jenerała Kołyszki. Nadto p. Chmielowski, który przysłany mu list przytacza, powołuje się znowu na kronikarza paryskiego Biblioteki Warszawskiéj, (Bibl. Warsz. 1881 T. I str. 459) który dowiedział się z ust hr. Kuszkowskiéj, dawniej-

Później rozmowę uważa już za środek niewystarczający, bo:

Kocham! ach kocham po sto razy wołam,
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania swojego nie zdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać;
I jak w letargu nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.
Strudziłem usta daremnem użyciem,
Teraz je z twemi chcę spoić ustami,
I chcę rozmawiać tylko serca biciem,
I westchnieniami i całowaniami,
I tak rozmawiać godziny, dni, lata.
Do końca świata i po końcu świata.

(*Rozmowa*).

Pokazuje się więc ztąd, że na słowa o miłości od drugiéj strony formalne pozwolenie wydanem było, gdyż żądanie w końcu tego wiersza zamieszczone, powtórzyło się raz drugi. U mojéj pieszczotki:

... mowy żywość, gdy usta zapali,
I pocznie mocniéj jagody różować,
Perłowe ząbki błysną wśród korali:
Ach wtenczas śmielej w oczęta poglądam,

---

széj Ewuni Ankwicz, że wiersz ten Mickiewicz dla niéj we Włoszech napisał.

W pierwszym więc razie zakwestyonowana jest autentyczność i Mickiewicza autorstwo; w drugim czas powstania wiersza, gdyż nie byłby on, jeśli pamięci p. Kuszkowskiéj wierzyć można, dla p. D. D. pisany.

Co do tego, żeby autorem jego miał być p. Wąż wystarczyłoby samo rozpatrzenie się w wewnętrznych cechach wiersza i jego języku, gdyby nawet innych dowodów nie było, że również i p. Kuszkowska się myliła, dowód ważny stanowi w tym względzie p. Lacroix, która pamięta, że kwestyonowany wiersz napisany był w Odessie dla p. D. D. i krążąc w odpisach, ze strony nawet p. Bonawenturowéj Zaleskiéj ściągnął zarzut niemoralności. Gdybyśmy znowu z powodu późnego wieku pamięci p. Lacroix nie dowierzali, to, zwróciwszy uwagę na idealizm w uczuciu, jaki Mickiewicza w miłości dla Ewuni cechował, tudzież rozpatrzywszy się w wierszach, jakie do niéj lub o niéj napisał, stanowczo przyjść musimy do przekonania, że wiersz ów nie mógł odnosić się do niéj i nie mamy żadnéj wątpliwości, że był w Odessie i to dla p. D. D. napisany.

Nie ten jeden zresztą Mickiewicza utwór został zakwestyonowany i sprawę tę rozbieramy szczegółowo w bibliograficznéj części naszéj pracy. Że zaś jest to rozdział stósunkowo bardzo duży, tu więc nie uważamy go za stósowne przytaczać. (Przyp. autora).

Usta zamykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować . . .

Ponieważ przypuszczamy, że i na to żądanie zgoda musiała nastąpić, rozpoczęły się więc dla obojga rozkoszne chwile, których ślad swawolny trochę, ale niemniéj przeto nie wykraczający z granic prawdziwego piękna, odbił się w sonetach: Dzień dobry, Dobranoc i Dobry wieczór.

Ponieważ jednak na ziemi téj nie masz szczęścia bez bólu, tak jak róż bez cierni, przeto i tu były liczne przykrości, a do największych z nich niezawodnie należały pierwsze pojawiające się wyrzuty sumienia. Oto jak pod wpływem ich poeta stan duszy swojéj przedstawia:

Luba! ja wzdycham; pamięć niebieskiéj pieszczoty
Trują mi okropnego rozmyślania chwile,
Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle,
Może — boję się wyrzec — pustoszą zgryzoty?

Luba, i cóżeś winna, że twych ocząt groty
Tak palące, że usta śmieją się tak mile?
Zbyt ufałaś swéj cnocie, zbyt swéj własnéj sile,
I nazbyt ognia Stwórca wlał w nasze istoty!

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz, ach! pójdę łzami oblewać ołtarze,
Nie będę mojéj żebrać przebaczenia zbrodni;
Tylko niech mnie Bóg twoją zgryzotą nie karze!

Gdybyśmy w obec tego obrazu uczucia postawili utwory innych najznakomitszych liryków erotycznych, jakżeby oni nisko w porównaniu z Mickiewiczem stali? — Kiedy Alfred de Musset posiadanie kobiety za najwyższy szczyt szczęścia uważa, kiedy Heine w nabrzmiałym namiętnością rymie szelest pocałunków naśladuje, kiedy nawet tak często w niebie przebywający Lamartine rozkosz jako kwiat życia ludzkiego uważa, Mickiewicz wśród szału zmysłów zapytuje sumienia swojego, czy to było uczciwe? A kiedy religijna i narodowa moralność, kiedy rodzinne zasady wyniesione z domu wskazują mu, że grzech to i grzech wielki; wtedy z rozkoszy do rozpaczy przechodzi, korzy się, u stopni oł-

tarza przebaczenia szuka, bo tam według jego przekonania, istnieje niewyczerpane źródło łaski i mosierdzia.

W obec tych bardzo wyraźnych zeznań poety, zeznań które, jak to zobaczym później, jeszcze bardziéj jasnemi będą, opinia naocznego świadka chwil tamtych, p. Lacraix na dziwne trudności biografa naraża. Czyżby Mickiewicz miał w tym względzie nieprawdę powiedzieć? Kto wtajemniczył się dobrze, kto nawet zna powierzchownie jego prawego i wznosłego ducha, ten nigdy na przypuszczenie podobne się nie zgodzi, a lubo, w stósunku jego do Maryli, zauważyć można, że na wzór innych poetów, na skrzydłach wyobraźni żeglował w światy, które nigdy jako rzeczywistość w życiu jego się nie pojawały, że sny brał za prawdę i w te po spadnięciu nawet do życia codziennego, wierzył; to, jeśli złudzenia podobne możliwe były w idealnych sferach, w chwili kiedy miłość idealna na zmysową rozkosz się za mienia wtedy umysł trzeźwieje i jeśli poezya suży jako środek zyskania wzajemności, lub opowiada dzieje miłości, nie tworzy snów wymarzonych, obrazuje owszem to, co w życiu się zdarzało i poczem silne zostało wspomnienie, złączone z całym zapasem refleksyi, jakie duch ludzki następnie w rozwadze przebywa. Rozpowiadanie o tryumfach odniesionych nad płcią słabą w ustach mężczyzny, mającego prawdziwe pojęcie o honorze nie zjawia się nigdy, ale wyjątek stanowią tu zawsze poeci, u których gadulstwo i potrzeba wylania na papier tego, co przez umysł ich przechodzi, jest nieuniknionym już organizacyi ich skutkiem. I Mickiewicz ogólnemu temu prawu ulegał, w poetycznem swem atoli wywnętrzaniu się, cyfry imienia i nazwiska ulubionéj swéj zmienił. Rozumiemy także ostrożność p. Lacroix w tym względzie i za złe jéj nie bierzemy, że z powodu osób, które z panią D. D. spokrewnione były, starała się ona stósunkowi temu nadać inne pozory aniżeli to w istocie miao miejsce. Bez względu więc na to, że prawdę tutaj widzimy, przeciwko twierdzeniom opowiadającéj, nie występujemy napastniczo.

Mickiewicz, pomijając już ostrożność w denominowaniu ukochanego swego przedmiotu zaznaczoną, dyskrecyą swą posunął tak daleko, że żadnemu, z najbliższych swoich nawet przyjaciół, nigdy o stosunku tym nic nie opowiada że jednak z zasadami jego bardzo sprzeczne to nie było, wnosimy także z ustępu, jaki Odyniec w liście do Korsaka (z Wejmaru 28 sierpnia 1829 r.) przytacza. Adam, powiada tam on odnośnie do miłości, śmiejąc się wykazywał różnicę między zakochaniem się zwy-

czajnem a zakochaniem się poetyckiem. Pierwsze, jako dążące do zdobycia przedmiotu, wystawia się na pośmiewisko, jeśli nie ma siły i warunków po temu, drugie, poprzestające tylko na odźwierciadlaniu przedmiotu w sobie, tak jest zawsze pewne swojego jak morze, kiedy gwiazdy odbija. Owóż drugiem w życiu naszego poety był stósunek do Maryli, pierwszem zaś pomiędzy innemi i to uczucie, o którem tutaj mówimy. Adam wiedział że się na pośmiewisko nie wystawi, bo czuł, że posiada siły i warunki potrzebne do zdobycia pożądanego przedmiotu.

Mimo uczucia żalu i zgryzoty, z jakich się poeta wyspowiadał przed nami, pierwsze wrażenie przykre pod czarem rozkoszy zatarło się prędko i chwile szczęścia wróciły niebawem. Jak kiedyś, dla odmalowania nieszczęsnego losu dwojga kochanków wybrał on do przekładu *Sen* Byrona, tak teraz znowu tenże sam tytuł dał oryginalnemu swemu wierszowi, który dokładnie ówczesny stan duszy jego maluje. Sen to już wcale nie przykry i ciężkiemi widzeniami nie przerywany, ale owszem rozkoszny, gdzie dusza kołysze się na wrażeniach uroczych, a marzenia owe w połowie pokazują się we śnie, w połowie odbywają się na jawie. Punktem wyjścia jest jak tam tak i tutaj możliwość rozstania, ale tu poeta nie lęka się téj konieczności, bo ma na nią gotową już radę:

Przed smutnem jutrem (powiada) niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wówczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę, powieki
Zamykać nie chcę; gdy śmierć zamroczy,
Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
I zstąpisz z nieba, aby go ocucić.

Znowu mnie złożysz na twém łonie białem,
Znowu mnie ramię kochane otoczy;
Zbudzę się myśląc że chwilę drzemałem,
Całując usta, patrząc w twoje oczy...

Żeby nie wracać już później do tego wiersza, zwracamy uwagę czytelnika na dwie jego cechy, które przedewszystkiem w oczy się rzucają. Naprzód jest tu widoczna dbałość wyłączona o siebie, bo jeślić poeta przypuszcza, że rozstanie to ma jego kochankę poprowadzić do nieba, i on tam iść powinien, bo wszak równe były ich winy i równa miłość. Dla tego przypuszczać należy, że jakkolwiek zstępować ma ona z nieba, żeby go obudzić, jednak powodem ich rozstania się nie ma być widocznie śmierć, ale niezawisłe od nich okoliczności życiowe. Co w warunkach podobnych z nią się stanie i dla czego ona nie ma snem podobnym się ratować, o tem poeta nie wspomina. Takie uczucie miłości w mężczyźnie, do egoizmu prawie się posuwające, na pozór wydaje się pozbawionem szlachetności, ale tylko na pozór. W rzeczywistości dzieje się inaczéj. Ta cecha pierwiastku czynnego, jaki złożyła w mężczyźnie natura, ta zdolność do inicyatywy i naginanie wszystkiego do swojéj woli, stanowi właśnie największy czar, jakim mężczyzna w oczach kobiety może zabłysnąć, a snać nie musi on być zdrożnym, kiedy niewiasty, idąc za prawami natury, same usposobienia podobne wielbią. Drugiem, nie mniéj ważnem spostrzeżeniem, jakie nasunąć się tu musi, jest to tak realne a przytem tak piękne malowanie rozkoszy. Rzekłbyś, iż to grecki Anakreon, podniesiony i zdobny nowemi pojęciami o życiu pozagrobowem, jakie przyniósł chrystyanizm.

W stósunku tym, który tak piękne marzenia rodził w mózgu poety i taką piękną schedę pozostawił potomnym, jedyną przykrość dla kochanka stanowiły zwyczaje i wymagania światowe. On ze swą lubą sam chciałby pozostawać na wieki, tymczasem trzeba było przyjmować i oddawać wizyty, słuchać opowiadań światowych i, kiedy niecierpliwość piekła duszę, ubierać twarz w chłodnej grzeczności szatę dla natrętnych nudziarzy:

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą:
Jużeć dzwonek przeraża, wpada galowany,
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy:
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jamą,
Stawiałbym lisie pastki, kolczaste okowy.
A jeśli nie dość bronią, uciecbym gotowy
Na tamten świat, stygową zasłonić się tamą...
(Do D. D. — Wizyta.)

Po raz drugi zaś taką samą mniéj więcéj gorycz powtórzył w sonecie X. X. do wizytujących.

Oprócz chwil pięknych i uroczystych jakie w stosunku ze strapieniami i żalami mięszać się musiały, spotykamy tu także w naszym poecie uczucia, jakie są bardzo zwykłe w młodzieńczéj, świeżéj i poetycznéj duszy. Młodzieniec tak jak Mickiewicz zorganizowany, zestawiając siebie samego z uwielbianą kobietą, robi się od niéj niższym, namiętnościami wypalonym, wychłodłym — straszy niemal swoją osobą:

Patrzysz mi w oczy (powiada do niéj) wzdychasz, zgubna twa pro-
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie; [stota.
Uciekaj, nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

I daléj:

Lubię rozkosz, lecz zwodzić nadto jestem dumny,
Tyś dziecko, mnie namiętnie przepaliły bole
Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole:

Moje, gdzie są przeszłości cmentarze i trumny . . . . .
Młody bluszczu, zielone obwijaj topole,
Zostaw cieniom grobowe otaczać kolumny.

(Sonet XI).

Faktem jest, że im mężczyzna jest świeższy, im w miłości bardziéj niewinny, tém w czarniejszych barwach przed swoją kochanką przedstawić się usiłuje. Sama obserwacya życiowa a u niejednego i własne wspomnienia młodości prawdę spostrzeżenia takiego potwierdzą. Dziwna rzecz: tem prędzéj młodzieniec serce lubéj zdobyć zamierza, im więcéj na czarnego jakiegoś zbrodniarza pozuje. Kto o bajronowskich wpływach w okresie owym wspomni, gotówby utrzymywać, że to Lara poety tego podobne przykłady ludziom téj epoki dawał; a jednak nie jest to broń Boże naśladownictwo, ale psychologiczna prawda, w którą Byron pierwszy ugodził i na światło dzienne ją wyprowadził. Może zakorzenienie się prawdziwéj miłości w takiem zepsutem rzekomo sercu, ma dowodzić uczucia tego potęgi; może ukochana na wyższy piedestał ma się podnieść przez to, że upadłego znowu niejako na podniosłą wyżynę podnosi; bądź co

bądź faktem jest, że wynurzenia podobne zawsze brać należy w odwrotnym sensie i im one silniejsze, tem lepsze świadectwo wystawiają mężczyznie. Z tych względów przytoczony dopiero co sonet ma dla nas tem większą wartość, że dowodzi jak w onéj epoce poeta nasz musiał być niewinnym.

Stosunek jego z panią D, D, pod rozkosznem południowem niebem, przy nieobecności trosk życia, bez codziennego a koniecznego zajęcia, byłby może utrzymał się bardzo długo, gdyby nie intryżki i ploteczki kobiece, z prostéj wynikające zazdrości. W małem towarzyskiem kółku nie można uniknąć kontroli zwłaszcza, że pilnie Mickiewicza obserwowano i spostrzegaczami temi były kobiety. Stosunek więc ten dopatrzyła najpierwéj p. B. Zaleska i występując w charakterze iście macierzyńskim, zaczęła go strofować. Tęż samą względem niego rolę, jako przyjaciółki zajęła p. Sobańska, a uczucie goryczy jakiéjś, nie chcemy bowiem powiedzieć zazdrości, do jéj przełożeń się mięszało. Mickiewicz atoli wszelkich perswazyi, a tém więcéj nagan, bodajby one najłagodniejsze były, z natury swojéj nie znosił, znał bowiem swój kodeks moralny, dla siebie samego wyrozumowany i chciał sam za wszystko przyjmować na siebie odpowiedzialność. Zaczęły się więc kwasy, nieporozumienia, komeraże i możeby silna wola poety i stanowczość jego w takich razach przemogły, gdyby nie przybył do tego nowy pierwiastek, najniebezpieczniejszy, bo czerpiący swe źródło w zazdrości i zawiści niewieściéj.

W gronie arystokracyi rosyjskiéj naprzedniejsze miejsce ze względu na prawdziwą piękność zajmowała wspomniana już przez nas hrabina Gurjew. Zrodzona z francuzkich rodziców i może we krwi już nasiona lekkości nosząca, zepsuta już ona była stołecznem życiem petersburgskiém a mając starego męża, tém więcéj swobodną się czuła. Mickiewicz od razu silne na nią wrażenie zrobił i od pierwszéj znajomości czyniła mu ona bardzo wyraźne awanse. Ponieważ poeta nasz w téj porze swojego życia wielkim był komplimencistą i szarmantem, zapewne więc niejednę grzeczność szepnął do maleńkiego jéj uszka, a kobieta tryumfami stołecznemi popsuta, była już pewna, że go trzyma jak niewolnika w swych więzach. W przypuszczeniach swych idziemy nawet daléj i nie wydaje nam się niepodobnem utrzymywać, że poeta nasz w ówczesnym swoim motylkowatym żywocie, może nawet na kokieteryą jéj obojętnym nie był, może na wyraźne wezwanie poddaniem się odpowiadał, a

do przypuszczenia podobnego skłania nas jego własne wyznanie zawarte w tych słowach:

Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
Nosiłem przez te ludne place i ulice,
I roje pięknych niewiast spotykałem codzień

(W dzień odjazdu.)

Ponieważ z wyjątkiem hr. Gurjew, nie wiemy stanowczo o żadnej cudzoziemce, którąby na Mickiewicza silniejsze wpływy wywarła, przypuszczamy więc, że domysł nasz nie jest bez podstawy i że kobieta ta w zarozumieniu swém miała podstawę do roszczenia pewnych praw do serca poety.

Skoro więc zasłyszała, że on już gdzieindziéj zagrzązł i skoro za pomocą wywiadywań się żadnéj trudności nie przedstawiających, sprawdziła zasadniczość pogłosek, postanowiła przeciw stosunkowi owemu przeciwdziałać bronią niekoniecznie uczciwą, ale w pięknych niewieścich główkach pojawiającą się dość często, to jest intrygą i plotkami. Panią D. D. więc obrzuciła najstraszniejszemi podejrzeniami, robiąc z niéj istną kurtyzankę, a nie dosyć, że wiadomość tego rodzaju Mickiewiczowi podsuwała, ale rywalkę swą wszelkiemi możliwemi sposoby starała się kompromitować, bądź wyszukując mężczyzn, którzy tryumfami nad nią się przechwalali, bądź nawet uciekając się do takich środków jak bezimienne listy.

Czy pani D. D. była rzeczywiście niewinną i czy wszystkie rozpowszechniane o niej wieści były prostym wymysłem i fałszem, w to już wchodzić nie chcemy, a winniśmy jedynie skonstatować, że oszczerstwa owe, czernienia i złośliwe przeciwdziałania na golębiej naturze poety wywarły pożądany skutek. Zwątpił on o uczciwości kobiecéj i na papier rzucił kilka strasznych, boleśnych wyrzutów:

Odpychasz mnie?... Czym twoje serce już postradał?
Lecz jam go nigdy niemiał!... Czyli broni cnota?
Lecz ty pieścisz innego! Czy że nie dam złota?
Lecz jam go wprzódy nie dał a ciebie posiadał.

Następnie robi wniosek, że wszystkie względy, jakiemi się cieszył, w próżności jedynie źródło swe miały:

I nie darmo! Choć skarbów przed tobą nie składał;
Ale mi drogo każda kupiona pieszczota —
Na wagę duszy mojéj, pokojem żywota....
Dla czegoż mnie odpychasz? Nadaremniem badał.
Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojem,
Pochwalnych wierszy chciałaś?... (20. Pożegnanie).

Pod wpływem takiego usposobienia z pogardą odzywa się o całéj płci niewieściéj:

Płeć piękna! gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy lubéj gołębia posyłano w swaty!

Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty.
Ta, któréj złoto daję, prosi o piosenki.
Ta, któréj serce daję, żądała mej ręki,
Ta, którą opiewałem, pyta czym bogaty....

Wymienionych tu tych żądań wszystkich nie trzeba brać zbyt literalnie, gdyż naprzód owych żądających tak wiele nie było, a powtóre że Mickiewicz złotem szafować nie mógł dla téj prostéj przyczyny, że go nie miał. Jedynie poetycka ta ekspektoracya ma za zadanie malować nienasyconą chciwość kobiecą. Oburzony nią poeta woła:

Lecz dawniéj wszystko dałbym, dziś wszystko prócz serca.

(21. Danaidy.)

Rozumie się, łatwo bardzo pojąć, że skoro poeta w ten sposób podburzony, z chmurą Jowiszową na czole, stawił się przed kochanką swoją i skoro wyrzuty czynić jéj począł, bez względu czy była ona winna czy nie, godność jéj niewieścia się oburzyła, na szyderstwo odpowiedziała szyderstwem, na wyrzut wyrzutem, na zniewagę, bo i tego w onym przystępie żalu nie brakło, zniewagą i stanowczo przestąpienia swoich progów mu wzbroniła. Ploteczki więc kumoszek wydały pożądany owoc i znalazły się dwa serca rozdarte, nawzajem unikające siebie,

choć ich ku sobie ciągnęło wzajemne uczucie i w zmartwieniu a goryczy, złorzeczące losom; połykające łzy gorzkie.

Aby poetę z tego moralnego pognębienia, z tej sercowéj goryczy i z tego ciosu, zadanego wrażliwéj naturze jego podźwignąć, tudzież położyć tamę plotkom, które już zanadto, z krzywdą kilku osób, szerzyć się poczęły, p. p. Sobańscy, wraz z Henrykiem Rzewuskim, zaproponowali mu wspólną przejażdżkę po Krymie. Wycieczka w kraj Chanów, w kraj piękną naturą zdobny, a oryentalnemi, pełnemi poezyi, wspomnieniami opromieniony, przedstawiała wiele uroku, a przeszkód zewnętrznych żadnych nie było, gdyż jenerał-gubernator uroczyście zapewnił że póki cesarz Aleksander do Petersburga nie powróci, rezolucyi na zrobione podanie, o którem wyżéj wspominaliśmy, z pewnością nie będzie.

Mickiewicz więc chciwie chwycił się tej myśli; Jeżowski, który od towarzyszów swych był szczęśliwszy, gdyż od zarządu uniwersyteckiego w Moskwie odebrał zawiadomienie, że lubo miejsca uzyskać nie może, gdyż żadnéj posady wakującéj nie ma, będzie zapisany na listę kandydatów, nie chciał także sam w Odessie pozostawać, ale z początkiem sierpnia (ciągle podajemy datę podług starego kalendarza) wybrał się do Moskwy. Postanowił mu także towarzyszyć Malewski, przypuszczał bowiem, że będąc na miejscu prędzéj interesu swego dopilnuje.

Tak więc Mickiewicz sam już w Odessie pozostał, a samotność ta, przy rozgoryczeniu wewnętrznem, tém prędzéj zdecydowała go do zgodzenia się na zamierzoną podróż.

Dzień wyjazdu naznaczony był pierwotnie na 13 (25) sierpnia, z powodu jednak srogiéj podówczas na morzu burzy i z powodu kataru Mickiewicza, który go ciężkiéj nabawił chrypki, datę wyjazdu odwleczono jeszcze na cztery dni.

Towarzystwo podróżników składało się z następujących osób: p. p. Hieronimowie Sobańscy, Henryk hr. Rzewuski, jenerał Witt, poeta nasz, jeden sługa, kozak, posiadający zalety wybornego masztalerza i młoda ukrainka, kamerystka, wzięta dla wygody pani Hieronimowéj.

Podróż każda, szczególniéj w młodym wieku ma nieskończone ponęty, a cóż dopiero dla umysłu poety, który głowę sobie nabił cudownemi o Krymie marzeniami. Dla tego Mickiewicz nietylko p. Sobańskiéj, głównéj promotorce wyprawy, stał się posłuszny jak dziecko, nietylko w wigilią wyjazdu, mimo szczeréj chęci, nie poszedł z pożegnaniem do pani D. D., ale

jeszcze wraz z jutrzenką d. 17 sierpnia obudził się w najlepszym humorze. Skoro po rannéj kawie wszyscy do portu w powozach ruszyli, dobry ten humor zamanifestował się jednym z tych figlów, których Mickiewicz nie raz sobie pozwalał.

Znajomi pożegnali podróżnych w wilią ich wyjazdu, zapowiedzianem bowiem było, że jeśli odpowiednia pogoda sprzyjać będzie, ruszyć mają o świcie. Z zamiarem jednak odprowadzenia ich zjawił się wczesnym rankiem niejaki p. Kałusowski, zadomowiony szlachcic ukraiński i jeden z dzierżawców p. p. Sobańskich, który za interesami handlowemi do Odessy przyjechał, a posiadał taki zapał tężyzny i obrazowości szlacheckiéj w wyrażeniach, że Mickiewicz od pierwszéj chwili poznania, bardzo do niego przylgnął i podstępem postanowił jego towarzystwo dla siebie zdobyć.

Wszyscy biografowie Mickiewicza opowiadają prawie jednomyślnie, że wycieczka ta odbywała się lądem. Jest to pomyłka, gdybyśmy bowiem nawet nie chcieli opierać się na saméj pamięci p. Lacroix, szczęśliwym zbiegiem okoliczności dochowała ona z tych czasów maleńki karnecik, w którym oprócz rysunków, ręką Mickiewicza robionych, zapisywane są daty wyjazdu i przybycia do ważniejszych miejscowości.

P. Kułusowski, o którym tylko co wspomnieliśmy, posiadał jedną szczególniejszą wadę, że morza bał się jak djabła i nieraz się wyrażał, że wolałby umrzeć, aniżeli kiedykolwiek w życiu swojem żeglować.

Na pokładzie okrętu a właściwie w kapitańskiéj kajucie przed odbiciem od lądu czekało podróżnych skromne śniadanie i Mickiewicz p. Kułusowskiego uprosił, żeby przed tą, niebezpieczeństw pełną, morską podróżą, śniadanie to, mogące mieć znaczenie stypy pogrzebowéj z nimi podzielił. Szlachcic Bogu ducha winien, nie przypuszczając podstępu, na propozycyą się zgodził, a tymczasem w czasie śniadania na prośby poety podniesiono kotwicę, okręt na pełne morze wypłynął i zyskano wcale niechętnego i wcale mimowoli na niebezpieczeństwo puszczającego się towarzysza. W pierwszéj chwili, kiedy o sztuce, jaką mu wyprawiono się dowiedział, popadł w gniew straszny i najwięcéj go to trapiło, że bez żadnych tłómoków, w stroju jak stoi, na koniec świata jedzie. Poeta przekomarzał mu się i tęsknotą do ukraińskich basztanów rozbudzał i szlachcic rozczulony może na dobre by się rozbeczał, gdyby nie przyszła choroba morska i na łoże obezwładnionego go nie powaliła.

Z pomiędzy jadących, jeden tylko poeta nasz i jenerał Witt chorobie téj nie podlegli, to też Mickiewicz naprzemiany, to z nim to z kapitanem okrętu którego nazwiska nie udało się nam wyśledzić, zabawiał się grą w szachy, lub obserwował morze. Morze to nie na żarty znać zwane Gościnném, od razu pokazało mu wszystkie skarby swoje, gdyż drugiego dnia podróży dało mu obraz ciszy morskiéj, który tak wspaniale nakreślony jest w jednym z sonetów krymskich, a niedługo potém jedną z najpiękniejszych próbek burzy, jakie się na Euxynie spotykają.

W czasie burzy téj poeta wytrwał na pokładzie, a kiedy fala po kilkakrotnie uderzając z gwałtownością, o mało go z ławki nie zmyła, kazał się do niéj majtkom przywiązać i walkę żywiołów, tudzież wszelkie wysiłki, czynione ku obronie pilném okiém śledził.

Jeśli jednak burza nowe motywa dla jego bogatéj wyobraźni podała, nie oddziałała w ten sposób na innych towarzyszów podróży. Biedny Kałusowski był już ledwie żywy, a nerwy p. Sobańskiéj tak się rozigrały, że od cierpień migrenowych, do okropnych spazmów przeszła i ustawicznie tylko powtarzała, że dosyć już ma tego morza. W skutek tego projekt podróży zmieniono i zamiast wylądować na południowym cyplu półwyspu jak to było w pierwotnym planie, przybito do lądu w Sebastopolu i ztąd, po krótkim odpoczynku, udano się traktem pocztoprowadzącym z Sebastopola do Symferopola i biegnącym przy stepie Bajdarskim.

P. Sobańska, mąż jéj i jenerał Witt zatrzymali się w Eupatoryi, gdzie jako w zakładzie kąpielowym, były siakie takie wygody dla przejezdnych, a Mickiewicz, bądź w towarzystwie Henryka Rzewuskiego, bądź pana Kałusowskiego, który mu już jego figla wybaczył, bądź wreszcie z kozakiem Sobańskich lub najętym tatarem puszczał się w step lub do sąsiednich miast i miasteczek, najczęściéj konno, czasami na ośle, a nie rzadko i w najprozaiczniejszy sposób furmanką.

Skoro weźmiemy przed się dwa cenne opisy Krymu, jeden dokonany przez Edmunda Chojeckiego, a drugi przez dra Kaczkowskiego, przekonamy się łatwo, że ponieważ pobyt kolonii polskiéj w Eupatoryi, dokąd Mickiewicz, jak do stałego punktu ze wszystkich wycieczek wracał, trwał aż do 15 października Krym więc cały można było poznać dokładnie, zwłaszcza że do siedzenia w głównéj kwaterze wiele nie było ponęty. P. Sobań-

ska bowiem ciągle była, czy też udawała może cierpiącą, a w staraniach koło niéj tak się rozpadali mąż i jenerał Witt, że dla trzeciego jeszcze opiekuna wiele tam miejsca już nie pozostawało.

Ilekroć jednak poeta z wycieczek swoich powrócił p. Sobańska pilnie o wrażenia z podróży go się rozpytywała, a gdy opowiadając je, w zachwyt popadał, wszelkiemi siłami starała go się nakłaniać, żeby wrażenia swe pismem utrwalał i w tym celu nawet karnecik swój własny mu ofiarowała. Mickiewicz karnecik pokrył niezdarnemi rysunkami, ale p. Sobańska w żądaniach swych stała się mniéj natarczywą, kiedy od Kałusowskiego dowiedziała się że poeta w podróżach swych nie poprzestaje na samych rysunkach, ale często samotności szuka, wyciąga z kieszeni małe kartki i na nich nie rysuje już, ale drobnem pismem często coś pisze, oczy swe przytém zwracając ku północy-zachodowi, a kiedy zajęcie podobne skończy, tak bywa milczący i ponury, że słowa z niego dobyć nie można.

W podobnych chwilach powstać musiały wszystkie Sonety Krymskie, a że pisane one były pod pierwszém wrażeniem, dowodzi chyba najlepiéj świeżość i dokładność pejzażu, jaka główną ich cechę stanowi.

Oprócz wrażeń z zetknięcia się z naturą pochodzących, trapiła jeszcze poetę tęsknota za krajem rodzinnym i piękny jéj wyraz dał nam on w następującym sonecie:

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice;
Dla czegóż ztąd ucieka serce w okolice
Dalekie — i niestety! jeszcze dalsze czasy?

Litwo! Piały mi wdzięczniéj twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice;
I weselsze deptałem twoje trząsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki, tak różna wabi mnie ponęta!...
Dla czegóż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,

Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?
(Pielgrzym).

Ani więc natura, ani „piękne lica“ nie zdołały wypędzić z serca starych pamiątek i poeta, który tak wesołym bywał w Odessie, stał się tu mrukiem zamkniętym w sobie. P. Sobańska przypuszczała, że to go pamięć D. D. tak truje, a on był ztąd o wielkie i odległe przestrzenie.

Podróż ta innych ciekawych zjawisk nie przedstawia, do znaczących bowiem nie zaliczamy wypadków, jakie Mickiewicz opowiadał Odyńcowi w Niemczech, jak z Rzewuskim sprzączki do mantelsaków przyszywał. Okoliczność odpowiednia wywołała jedynie takie wspomnienia, ale jak opowiadacz ich, tak słusznie i ich słuchacz zbytniéj wagi do tego nie przywiązywali.

Powrót do Odessy nastąpił dnia 15 października. Dnia tego wyruszono w całem towarzystwie z Eupatoryi, a dnia następnego po południu ulokowano się na okręcie płynącym do Odessy i podróż, nie stepem już, jak chcą niektórzy żywoto-pisarze, ale morzem i to zupełnie spokojnie i bez żadnych wypadków się odbyła.

Odessa, kiedy do niéj zawitano, była już zupełnie z dawnych znajomych osieroconą, większość bowiem Wołyniaków, Ukraińców i Podolan pojechała do rodzinnych wiosek, aby cieszyć się resztkami pięknéj jesieni. Pani D. D. także już nie było, a złe ludzkie języki twierdziły, że nie sama i po poecie polskim pocieszona, wybrała się do Petersburga. Hr. Gurjew także do stolicy wyjechała, zostawiając list zapraszający Mickiewicza serdecznie do Petersburga, gdzie gościć przez całą zimę miała.

U generała gubernatora czekała już odpowiedź pod datą 12 października, którą nie wiem dla czego żywoto-pisarze zamienili na 12 listopada. Lubo odpowiedź ta zajęcia w Moskwie nie przyrzekała, podług polecenia atoli, należało południowe gubernie opuścić, a na koszta podróży dołączona była „podorożna,“ z pokwitowaniem ze 161 r. s., koszta dwóch koni i kibitki do Moskwy, tudzież 100 r. s. gotówką na wydatki podróżne.

Ponieważ i Sobańscy także po tygodniowym w Odesie odpoczynku na Ukrainę wyjechali wraz z Rzewuskim i ponieważ Mickiewicz zupełnie sam w mieście tem pozostał, przeto nie zabawił w niem długo i 10 listopada, podług staréj daty, w drogę się wybrał wczesnym rankiem, na bryczkę pocztową wprost prze-

chodząc od stolika w liceum, gdzie napisał wiersz *W dzień odjazdu*, pod którym datę 29 października położył. W wierszu tym skreślił pobieżnie dzieje pobytu swego w nadmorskiem mieście, a na końcu jego skarżąc się z goryczą na opuszczenie, w jakiém, w chwili wyjazdu się znajdował, zdobywając się na odwagę i męztwo, zabolał sam w sobie:

Jedźmy! Jak niewitane przestąpiłem progi,
Tak odjeżdżam i nikt dobréj nie życzy mi drogi.

* * *

Lubo Sonety napisane w Odessie i Krymie, wydane dopiero zostały w Moskwie; tu atoli, żeby nie odrywać się od podanych dotychczas szczegółów biograficznych, pomówimy zarówno o nich, jak i o innych drobnych utworach, które z druku wyszły, jeszcze w późniejszych wydaniach.

* * *

W Sonetach Mickiewicza dają się wyraźnie odróżnić dwie części. Jedną z nich, pierwszą nazwalibyśmy *Sonetami erotycznemi*, drugą stanowią *Sonety krymskie*. Zacznijmy od pierwszych.

W poprzednim rozdziale wspominaliśmy o tem, jak Mickiewicz w wolnych chwilach swojego pobytu w Odessie zajął się studyami nad językiem włoskim, jak prędkie w nim zrobił postępy i jak po nad innych autorów umiłował Petrarkę. Zdaje się, że się nie omylimy wcale, jeśli utrzymywać będziem, że bezpośrednim skutkiem owego wczytania się w mistrza włoskiego było napisanie sporéj wiązki sonetów. Zrobiliśmy również uwagę, że umysł, równie twórczy jak jego, niechętnie naginał się do przekładów, a jeśli do nich się zabrał, stawał na równi z oryginalnym twórcą i dzięki własnemu już talentowi, tego, którego tłómaczył, nierzadko przewyższał. Prawdę tę staraliśmy się wykazać na porównaniu przekładów Mickiewicza z oryginałem, a teraz pozostaje nam zastanowić się w jakim stosunku stoi nasz poeta do piewcy z Wokluzy, którego przez zbieg wypadków za przewodnika sobie na chwilę wybrał.

Petrarka w Sonetach doszedł rzeczywiście do niedoścignionéj niemal doskonałości, zwłaszcza, jeżeli ich stronę techniczną

pod uwagę weźmiemy. W mnóstwie Sonetów, jakie napisano po nim, celuje nieraz myśl wznioślejsza i koncepcya potęgą swą wznosi się wyżéj, forma również pierwowzorowi dorównywa czasem, ale są to jedynie próbki pojedyńcze, a całości równie obszernéj i równie skończonéj jak u włoskiego poety, nie spotykamy nigdzie. Jeśli jednak rozważymy treść Petrarkowskiéj spuścizny, przekonamy się, że kręci się ona ciągle w jednem i tem samem zaklętem kole i że z wyjątkiem kilku *Canzon* i Sonetów do przyjaciół napisanych, reszta zwraca się wyłącznie do Laury, a za przedmiot ma miłość. Zdawałoby się, że poeta obracając się ciągle koło jednego przedmiotu, powtarzać się musi i na końcu znudzi. Tak jednak nie jest, jego *rime* od początku do końca czytają się wprawdzie nie z zachwytem, ale pod wrażeniem wysokiego artystycznego zadowolenia, a pochodzi to ztąd, że uczucie ciągle na pięknéj i idealnéj utrzymuje się wyżynie, że cieniowanie prowadzone jest z niezmierną precyzyą i trudną do opisania drobiazgowością, że powtarzana ciągle rzecz ta sama, pojawia się w coraz nowéj formie i z innego punktu widzenia. Miłość ta jego składa się ze wspomnień, bo skrupulatnie notując lata, jakie od poznania Laury upłynęły, zaczyna od rocznicy jedenastéj[1]), a kończy na dwudziestéj[2]). Bez względu więc na wyjątkową nawet stałość, sądząc już z saméj natury ludzkiéj, przypuścić koniecznie trzeba, że uczucie to u niego przestało być świeżą i silną namiętnością a stało się rozpamiętywaniem. Dla tego naprożno byśmy tu szukali uniesienia i rzeczywiście na miejscu jego mamy tylko sztukę. Artysta nie działa pod wpływem gwałtownéj inspiracyi, nie pcha go do twórczości potrzeba wylania się na zewnątrz, ale owszem więcéj już z rozwagą pisząc, nie pomija żadnego z technicznych środków sztuki, do zrozumienia i umiejętności użycia których tak wielkim talentem obdarzyła go natura. Na takiem stanowisku się umieściwszy, w pięknym swym rodzinnym języku rzeźbi jak w kararyjskim marmurze, cudownie dobranemi przymiotnikami po Tycyanowsku cieniuje pojęcia, nad oczyma Laury, nad jéj ustami, nad zasłoną, nad trawką, przez jéj stopę zdeptaną całe sonety pisze, a czytając je, wydziwić się nie możem zkąd ten barwny koloryt zawsze świeży i nowy, zkąd światłocień, zawsze uroczy, choć coraz z innéj strony rzucany? Większość poetów,

[1]) Sonet 48 „*Padre del Ciel dopo i perduti giorni.*“
[2]) Sonet 177 „*Beato in sogno a di languiz cantanto.*“

znajdując się w warunkach podobnych, łatwo do ckliwości i sentymentalizmu by przyszła; Petrarka zawsze pozory prawdy i rzeczywistość zachować potrafi. Wykończenie to jego filigranowe i miniaturowe wywiera wpływ taki, jak piękne rodzajowe malarstwo. Rozważając je, duch nasz nie odrywa się od ziemi i w nieskończoność nie bieży, ale uczuwa rodzaj przyjemności i słodyczy, które pragnęłoby się jak najdłużéj zrobić swoim udziałem. Jeśli zaś sonety Petrarki wywierają takie wrażenie na każdym przeciętnym śmiertelniku, to niezawodnie trudniéj rozstać się z niemi prawdziwemu artyście.

Nie dziwimy się więc, że poznawszy je, Mickiewicz musiał się długo z niemi pieścić, rozkoszować, nad ich techniką się zastanawiać i wreszcie pod ich wpływem tworzyć w tymże samym kierunku. Tu jednak, gdzie u mniéj potężnego talentu wyrodzić by się musiało koniecznie naśladownictwo, Mickiewicz poszedł oryginalną drogą. Rzeczywiście, z wrażliwością poetów dzieją się czasami dziwne rzeczy. Są tacy, którzy pod wpływem odebranego wrażenia stają się przez czas pewien jakby odbiciem tego, który na nich wpływ ten wywarł; są znowu inni, którzy również wrażliwymi będąc, wszystko na swą wyłączną przerabiają własność. Nikt zapewne Słowackiemu olbrzymiego talentu poetycznego nie zaprzeczy, a jednak wziąwszy jego książki do ręki, z całą dokładnością wykazać można, co i kiedy on czytał i pod jakiemi wpływami zostawał. Byron, Szekspir, Mickiewicz, Kalderon, Homer nawet, choć z drugiéj ręki odbijają się tu, jakby w zwierciadle jeden po drugim. Z Mickiewiczem jest zupełnie przeciwnie. Pojedyńcze, od obcych pobrane myśli, idee i obrazy widne i u niego, ale wszystko to tak do jego własnych zastosowane celów i tak na właściwy jemu przerobione sposób, że olbrzymia jego oryginalność nie szwankuje ani na chwilę.

Toż samo stało się z nim także w stosunku do Petrarki. Forma, wykończenie i wspaniały artyzm podziałały nań silnie, ale tylko w wyborze środków technicznych; mimo doznanego jednak wrażenia pozostał sobą i w tłómaczeniach już zbytnią gadatliwość Włocha poskramiał i na gubienie się w drobiazgach nie dozwalał. Jeśli zaś naśladowanie co do formy było możliwe, to za to we względzie treści Mickiewicz o całe niebo od Petrarki się różnił. Wprawdzie sam, tak jak włoski poeta, miłosne swe cierpienia do przeszłości zaliczając, chciał tak jak tamten wspomnienia swe rozpamiętywać i nawet Marylę swą Laurą nazywał; ale kiedy Petrarka w stosunku do swojéj *donny* był

zupełnie biernym, plakał tylko i bolał, spokoju od Boga, albo śmierci pożądał i współcześnie Amorowi błogosławił: Mickiewicz był siłą potężną, czynną. On kochał nie dla tego, że bogdankę swą ubóstwiał, ale dla tego, że zdawało mu się, iż przez nią będzie pojęty. Z tego powodu, kochania bez wzajemności nie pojmował, ale raczéj wyobraźnią swą wybiegając po za granice rzeczywistości, marami temi złudzony, uwierzył sam w prawdę tego, co prawdą nie było.

Wśród tego wymarzonego, bo w rzeczywistości nieistniejącego uczucia wzajemności, w sercu trwożliwej niewiasty powstają obawy, ale kochanek, rozumiejąc stanowisko swe opiekuna i przewodnika, uspokaja je snadnie, bo wie, jakiego to rodzaju jest uczucie (*Widzenie się w gaju*).

Nie jest to zaś owo ultra-romantyczne poddanie, jakie Petrarkę w stosunku do Laury, unicestwia prawie; owszem Mickiewicz wie dla czego stosunek swój do swojéj Laury, tak a nie inaczéj stawia, bo tłómaczy to jéj jasno:

O luba! (mówi) niech twe oczy przyznać się nie boją!
Jeśli cię mem spojrzeniem, jeśli głosem wzruszę:
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekać i kochać bez nadziei muszę:
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę!

(*II. Do Laury*)

Z tego pokazuje się wyraźnie, że poeta nasz, przejęty potęgą własnéj twórczości, nie zważa na warunki, tak jak one regulują się tutaj na ziemi, ale stosunek swój do bogdanki podług własnéj woli ustala.

Ten wynik, do jakiego doszły poetyczne jego rozmyślania nad wspomnieniami, w których pod wpływem Petrarki się pogrążył zdają się na pozór zatapiać go w tym oderwanym idealizmie, jakim odznaczyły się w poezyi całe wieki średnie, a jaki we wspaniały pomnik odlał Petrarka. Ale usposobienie podobne, z racyi już jego geniuszu, trwa u Mickiewicza krótką tylko chwilkę. Nie zapomina on, że jest jednostką, osobnikiem, w którym natura ludzka istnieć musi, bo inaczej wszystko to, co mówi, niebyłoby prawdą, ale czczym wymysłem. Dla tego, kiedy Petrarka, opowiadając o pocałunku, jakim w jego oczach, podług panującego obyczaju, na dworze francuzkim przyjął Laurę wielki dostojnik, nie gniewa się za to i lubo o zazdrości lekko natrąca,

nie czuje jéj jednak[1]), Mickiewicz z całą otwartością wyznaje, że popychany zazdrością, gotów byłby posunąć się aż do zbrodni:

Chcę ją widzieć (powiada), nim kraj ten opuszczę na wieki;

Chcę widzieć niewidzialny. W tem leci z za rzeki
Konno łowczyni, strojna Dyjany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem;
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec (a ma być to sam poeta) cofnął się, zadrżał, a oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma,

Odszedł nieco, jakoby swéj myśli zaniechał.
W tem dojrzał mgłę kurzawy, wzniesioną broń trzyma
Bierze na cel, mgła bliżéj — lecz, nikt nie nadjechał.

(*VIII Strzelec*).

Na podstawie tych ziemskich, a właściwie czysto ludzkich uczuć, Mickiewicz nie myśli wyłącznie o przyszłem szczęściu niebieskiem jak Petrarka, ale rozumie także co to jest rozkosz.

Gdy czuję ściśnienia
Twych dłoni, kiedy ustek zachwycę płomienia:
Luba! Czyż mogę temu dać nazwę cierpienia?

Ale kiedy się łzami nasze lica zrosą,
Gdy się ostatki życia w westchnieniach unoszą.
Luba! Czyliż to mogę nazwać rozkoszą? (VI).

Takie są kardynalne różnice, jakie Mickiewicza na odmiennym aniżeli Petrarkę stawiają gruncie. Obok nich jednak zachodzą i inne, więcéj już z formalną graniczące stroną. U Petrarki wszędzie pomiędzy nim a Laurą występuje Amor, a lubo jest to niezawodnie uosobienie uczucia, atoli u włoskiego poety ma on znaczenie osoby trzeciéj. W konkretną indywidualność

[1]) Sonet 200 „Real natura, angelico intelletto.“

przybrany, pojawia się on jako potężny działacz, który losami dwojga istot podług kaprysu swojego miata. Mickiewicz na dopuszczenie podobnego czynniku nie mógł zgodzić się, raz dla tego, że wszystko co mitologią trąciło, za czczy konwencyonalizm uważał, a powtóre, że nie potrzebował pośrednika, bo sam rządził się swem sercem, swą wolą, swą potęgą i podług nich w stronę, w jaką chciał się zwracał.

Pomimo więc silnego wrażenia, jakie na naszego poetę wywarł Petrarka, naśladowcą jego Mickiewicz nie został, a hołd oddany włoskiemu mistrzowi tonów i blasków, widny jest tylko w kilku zewnętrznych szczegółach. Tak wzgórek, na którym Petrarka po raz pierwszy ujrzał Laurę i o którym ustawicznie powtarza, u Mickiewicza zamienił się na „chłodnik, co się zielonym jaśminem wyplata;“ Petrarki fontana w Vaucluse (Vochiusa), zastąpiona u Mickiewicza Niemnem, a Sonet III:

„Mówię z sobą, z drugimi płączę się w rozmowie,“ jest już wyraźnem naśladowaniem trzynastu, takiejże samej treści, sonetów Petrarki. Nieustanna płaczliwość, jaka w sonetach tych od początku do końca się powtarza, a jaka stanowi główny charakter Petrarki, naśladowana tu jest z całą dokładnością i z całem przejęciem się oryginałem i dla tego, ktoby nie chciał sam Petrarki studyować, a o prawdzie uwag naszych życzył się przekonać, aby Mickiewicza, jako autora sonetów, z mistrzem włoskim porównać, wystarczy, kiedy zastanowi się nad tym sonetem III, kiedy porówna go z innemi, a różnicę tę dostrzeże od razu.

Z pomiędzy 22 Sonetów erotycznych Mickiewicza, zebranych w jednę wiązkę i ugrupowanych pod godłem z Petrarki: *Quand cio in parte, alti nam du quel chio sano* jedenaście, to jest pierwszych z kolei dziesięć i dwunasty, poświęcone są rozpamiętywaniu miłości dla Maryli, a w trzynastym jeszcze do niéj się odnosi ta krótka wzmianka:

Nawet ową, gdy ową kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapał, jaka niegdyś trwoga!
I żal teraz na samą imienia jéj wzmiankę. . . . .

Pozostałe mają także za przedmiot miłość, ale już inną i do innych osób.

Nawet Petrarka, w idealizmie swym, świętobliwym niemal, wyznaje, że po śmierci Laury w *innej* zakochał się niewieście,

ale i ta także umarła[1]). Że to jednak włoskiemu poecie tylko mimochodem się zdarzyło i że później Laurze swéj wiernym być nie przestawał, nie dziwimy się wcale. Kiedy bowiem kochankę jego śmierć zabrała, był on już siwowłosym starcem, wytrwać więc w wierności dla swojego ideału nie było mu żadną trudnością. Inaczéj działo się z Mickiewiczem. W epoce jego życia, o któréj teraz opowiadamy, znajdował się on w całéj pełni młodzieńczego swego rozkwitu, a natura obdarzyła go piękną postacią, sympatyczną a wyrazistą twarzą. Oprócz tego czoło jego opromieniał laur wieszcza, cała młodzież rwała się doń, jak do swego duchowego przewodnika, a jako politycznie prześladowany i z ojczystych swych okolic przemocą wyrwany, obudzać musiał współczucie. Nic więc dziwnego, że piękne panie, których podówczas, jak to w poprzednim wspomnieliśmy rozdziale, było w Odessie wiele, że te piękne panie cisnęły się na spotkanie jego, że serduszka dziewicze pod promieniem jego oczu biły trwożliwie, że spojrzenia mężatek i niektórych dam wielkoświatowych z góry mu sukces zapewniały. Mickiewicz na wdzięki niewieście był bardzo wrażliwy, a nie stanowi to wcale jego wady, ale owszem zaletę, bo gwoli temu w sztuce swéj z nieporównanem mistrzostwem wzniosły idealizm szlachetnym, acz prawdziwym realizmem zabarwił. Czyż więc dziwno, że pokusom takim opierać się nie umiał, a może i nie chciał i doznane wrażenia złożył w prześlicznéj wiązance sonetów, o których właśnie mówimy?

Pierwsza szczególniéj połowa sonetów wywołała u współczesnych jak najrozmaitsze sądy. Dawny wieszcza profesor, Borowski, choć obyczajem starych gderać lubił, jednak nowy kierunek poezyi w duszy odczuwał. Ten, w liście pisanym do poety, tak się o sonetach wyraża:

„Pan Franciszek Malewski, będąc teraz w Wilnie, raczył mnie odwiedzić i oświadczył mi w nader pochlebnych wyrazach swoję pamięć o tutejszych stronach i ludziach. Wymieniony w tych liczbie, dziękuję ci serdecznie, kochany Adamie, dziękuję wprawdzie prozą, lecz ta, co o tobie myślę, a wyrazić nie zdołam, jest najpiękniejszą poezyą méj myśli. Jako poeta i młody i dobrze niegdyś z myślą moją oswojony, łatwo ją sobie dopełnisz. Twoje słowa, posłańcy natchnień twoich są prawdziwe,

[1]) Sonet 230 „*L'ardente nodo orio fui d'ora inora*“ . . .

ja moich marzeń upierzyć niezdolny, dość kiedy się liczę do tych, o których Byron mówi; *„They felt, and loved and died.“* Sonety, które mi dawniéj *wdzięczny uczeń* przysłał, są bardzo pięknym wiankiem jego poetyckiego czoła. Jaka natura uczuć, jaka świeżość kolorów, jak miły niekiedy zapach kwiatów wschodnich raczéj, niż południowych.“

Trochę inaczéj atoli rzeczy się miały w Warszawie. Tu rozdział na dwa obozy: klasyczny i romantyczny, trwał jeszcze w całéj potędze, to też i sądy zastósowały się do tych dwóch stronnictw. Najlepiéj je charakteryzuje sam Mickiewicz, w kilku słowach, umieszczonych w liście do Kowalewskiego:

„Wszystkie warszawskie gazety, powiada, były długo nadziane krytykami ostremi i pochwałami przesadzonemi. Jedni mówią, że ja niepowinienem płodów niedowarzonych drukować, inni znowu, że sonety lepsze od Petrarkowych, i że jeśli ma być literatura oryginalna u nas, to ja będę jéj ojcem. *Risum teneatis!* Wszystkie pochwały i krytyki jedna w drugą głupie!“

Krytycy tacy, jak Dmochowski lub Sierociński, nie zdolni do objęcia przedmiotu się podnieść, nie znajdując punktu oparcia dla swoich sądów, czepiali się jedynie formy i wytykali błędy językowe. Spostrzeżenie ich pod tym względem słuszne, bo Mickiewicz rzeczywiście zgrzeszył tem po kilkakroć przeciw mowie ojczystéj, a lubo się późniéj w odpowiedzi swéj recenzentom przy dowolności tej upierał, jednak nie poważył się nigdy więcéj używać, na przykład formy *kołycha*, zamiast *kołysze*.

Z koryfeuszów wiedzy warszawskiéj, Lelewel, stosunkowo najmniejszy może znawca poezyi, nie chwali sonetów bezwzględnie, ale owszem w liście pisanym do Mickiewicza tak się wyraża: „Wszakże to wyznać trzeba, że nie są tak łatwego przystępu, jak inne, dotąd ogłoszone poezye twoje. Bardzo wielu, co się wczytali w Ballady i takich, co się w Dziadach rozmiłowali, opuszczają przy sonetach ręce, nie mając siły w sobie, aby je zgłębić. Ztąd nie będą mogły mieć tak potrzebnego odbytu, jakby zasługiwały.“

Charakterystyczną jest niezmiernie ostrożność zdania o sonetach, wyrażona przez Niemcewicza. Człowiek ten, obyczajami i nałogiem ze starą szkołą związany, a w duszy przystępny prądom nowym, na razie przestraszył się wulkanem, jaki ztąd nie rzadko bucha i zachwiany w epikurejskiéj trochę swéj równowadze, radby może ganić, ale ugrzecznienie wdrożone przez cały bieg życia na to mu nie dozwala. Dyplomatycznie się więc

wykręca i w komplimentach zręcznych pogląd swój na sztukę, zupełnie sprzeczny z rodzajem twórczości autora sonetów, wyłuszcza.“ „Ubolewam z serca, powiada, że tak piękny talent, tak szlachetną zapalający duszę, tułać się musi w obcéj ziemi, i zamiast poddawania się silnym obywatelskim natchnieniom, w ulotnych gubi się pieniach. Tak jednak chciały niezgłębione, a zażarte na nas wyroki; ufajmy, że kiedyś zmiękczyć się dadzą. Niech młodzież w czasie słoty przygotowuje sobie ziarna do zasiewów pod pogodniejszem niebem, czerpmy w czystych źródłach, *vos exemplaria graeca diurna versate manu, versate nocturna.* Jeśli siedmdziesięcioletniemu starcowi wolno jest swoje zdanie otworzyć, powiem, iż uważam w wielu płodach dzisiejszych jakąś skłonność i upodobanie do niemieckich, metafizycznych, romantycznych uniesień i wyrazów. Nie jestem ja niewolniczo klasycznym, wiem, ile zbyt surowe Arystota przepisy ujarzmiają geniusz, pozbawiają nas nieraz osobliwie w dramatycznéj sztuce wielkich, uderzających piękności i sytuacyi; nie potrzeba atoli, uwolniwszy się od wszelkich prawideł, zarzucać cugli na kark Pegazowi i w cwał z wiatrami latać po obłokach. Można i potrzeba nawet prawdę zdrowéj filozofii (jak czynił Voltaire) rymami ogłaszać. Nabierają one przez wdzięk poezyi nowéj mocy i silniéj wrażają się w umysły, lecz broń Boże zapędzać się w głębokości metafizyczne, w jéj z ciężkością doścignie pomysły; to, co nie jest jasnem, naturalnem, z łatwością zrozumianem, ciężkoby było pięknem i podobającem się. Nie piękne zapewne płody zacnego Mickiewicza, ale dorywcze pisma niektórych niedojrzałych wierszopisów naszych, dały mi powód do uwag tych. . . . Nierozważnie czytani u nas pisarze niemieccy, nieraz złego gustu stali się przyczyną. Naśladujmy rzadkie piękności Szyllerów, Götów, Wilandów. Niech Homer, Eurypides, Sofokles, Horacy, Virgili będą wzorami naszemi. Tymi to wzorami szedł i poszedłby daléj nasz Mickiewicz, gdyby geniuszowi jego wolno było swobodnie skrzydła rozwijać. Miejmy nadzieję w dobrym monarsze, że skruszy niepotrzebne dzisiejsze zapory i dla własnéj swéj i poddanych sławy, da się talentom rozwijać.“

Wyznając więc sędziwy Ursyn, że Mickiewicz w ulotnych gubi się pieśniach, że się w metafizykę niemiecką zapuszcza i wskazując wzory do naśladowania, twierdzi jakoby poeta nasz w początku szedł drogą, przez starożytnych wskazaną. Żeby Niemcewicz różnicy między Mickiewiczem a Horacym lub Wir-

giliuszem nie widział i sądził, że Ballady lub Dziady z poezyą starożytnych są spokrewnione, tego przypuszczać nie można, za nadto bowiem on znał się na tem i za nadto różnica była uderzającą. Chciał więc jedynie w delikatny sposób wskazać mu właściwą drogę. Nie zrozumiał zacny i pełen talentu staruszek, że silne i potężne prądy własne koryto dla siebie żłobią, i że geniusz nie naśladuje, tylko naśladowców rodzi.

Gniewy rzeczywiste, gromy i nieutulone złości wrzały w prawdziwym obozie klasycznym. Widoczna klasyków głowa, stary Koźmian, tak do Fran. Morawskiego pisze: „Czegoż też już nie dokazują romantycy, czego nie piszą! Utworzyli sobie teraz jakiś młyn wietrzny, iż jak Don Kiszoty wszędzie ogłaszają, że ich zazdrość napastuje. Godziłoby się wydrukować i przypomnieć im bajkę Niemcewicza: *Niedźwiedź, małpa i świnia.* Dmochowski zrobił na nich bajkę pod tytułem *Stary* i *młody* [1]),

---

[1]) Ponieważ do utworów klasycznych nie bardzo już dzisiaj kto zagląda, wypisujemy więc tutaj oba zacytowane wiersze, z których bajka Niemcewicza nie jest wcale oryginalna, lecz naśladowana, a właściwie aż do samego morału tłómaczona z hiszpańskiego dra. Thomas de Iriarte.

Wychowaniec sławnéj szkoły,
Co w Smorgońskiéj leży ziemi,
Wspiąwszy się łapy tylnemi,
Tańcował niedźwiedź wesoły;
Pełen o sobie mniemania.
Sądził, że wdzięczny, powabny;
I że w sztuce tańcowania,
Dupont był przy nim niezgrabny;
Lecz próżność nigdy nie syta,
Chce jeszcze obcéj pochwały,
Więc niedźwiedź małpy zapyta:
Jak jéj się kroki jego podobały?
Czy tańczy lekko, czy ładnie?
Małpa uczona w łamańcach
I znająca się na tańcach,
Krótko mu rzecze: szkaradnie!
To czysta zawiść, niedźwiedź odpowiada,
Wtem świnia z boku wypada,
Do tancmistrza leci żwawo,
Wrzeszczy strasznie: brawo, brawo!
Na ten kwik niedźwiedź zmięszany,
Spuścił swe łapy na ziemię,
A że go nie bito w ciemię
I był dość rozerwany
Tak myśli: kiedy małpa mię zganiła,

wystawiając, że mimo przeszkód starego, młody, widząc jak osioł pędzony przez muchy przesadzał rowy, rozumiał, że to arabski rumak i t. d. Sonety Mickiewicza najlepiéj oznaczył Mostowski jednem słowem p a s k u d z t w o. Nie wiem, co w nich można znaleść dobrego, wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne;

Powątpiewać zaczynałem,
Lecz gdy świnia pochwaliła,
Już się całkiem przekonałem,
Że tańcuję nie do rzeczy.

Tu przychodzi morał zupełnie już oryginalnie przez Niemcewicza pomyślany:

Zdanie niedźwiedzia miejcie w czułéj pieczy
O wy! pisarze wybrani:
Źle już gdy styl wasz, wyrazy,
Ważąc na rozsądku szali,
Uczony człowiek nagani;
Ale gorzéj tysiąc razy,
Kiedy je głupi pochwali.

Bajka Dmochowskiego M ł o d y i s t a r y jest następująca:

Podczas letniego upału
Osioł zazwyczaj chodzący po mału,
Niespodzianie dostał gzika,
Wraz nasz jegomość rzuca się i bryka
Opadłe uszy podnosi do góry,
W tę i ową stronę pędzi,
I nowéj jakiéjś nabrawszy natury,
Rozdrażnionych sił nie szczędzi.
Gdy coraz bardziéj owad mu dojadał
Już się nasz osioł z bólu nie posiadał,
Stracił zwyczajnej cierpliwości narów,
Dobył sił wszystkich i w pędzie przeskoczył
Szeroki parów.
Gdy to jakiś młodzik zoczył:
— Ach patrzcie, patrzcie zawoła,
Jaka siła, dzielność taka
Są arabskiego udziałem rumaka,
On jest ozdobą tutejszego sioła.
Wdziawszy na nos okulary,
Na to mu odpowie stary!
— Gdzież to rumak mój kochanku?
Poznaj z nogi, z uszów, grzywy,
To osioł co od poranku
Jadł tu oset i pokrzywy.
— Zdrętwiały wickiem człowiecze,
Ty chcesz sądzić? młodzik rzecze,

wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze, jak wszystkie Marcinkowskiego płody. Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek wypuszczony ze szpitala szalonych, który, na przekor dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaninę słów niepojętego języka, niepojęte i dzikie pomysły baje. Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisać nie powinien, Mickiewicz myśleć nie umie; Marcinkowski w miłostkach swoich jest płaski i ckliwy prostak; Mickiewicz brudny, karczemny; Marcinkowskiego imaginacyą ciężką i tępą rozkołysały w niesforność Dziedzilije lubelskie; Mickiewicza niesforny zapał rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki; Marcinkowski nie wie, że jest prostakiem i nieukiem; Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezyą, brudy farbami, ciemność światłem, niezrozumiałość doskonałością. Czekam cię, żebyś mi choć jeden jego pomysł, jeden obraz usprawiedliwił, e r i s m i h i m a g n u s A p o l l o. . . . Wyłączam z tego wiersz, pod tytułem W i e c z ó r, w którym może się rozum czegoś domagać. Litwini tak są przejęci sławą swego smorgońskiego poety, że zarzucili wszystkie domy temi sonetami. Waleryan Krasiński pędem roznosi je wszędzie."

Morawski pomiędzy zaciętymi klasykami posiadał najwięcéj zmysłu dla prawdziwéj poezyi, na list więc powyższy odpisuje już nie do ojca, ale do syna, do Andrzeja Koźmiana i, broniąc Mickiewicza jako poety, zupełnie inne w sonetach jego rzeczy wykrywa; zawsze jednak smak popsuty w nich widzi i wszystko kończy utyskiwaniem: „Szkoda że Mickiewicz nie żyje w stolicy."

Głowa twoja nie do rady,
Choć już włosy ci zbielały,
Odmienne gustów zasady
Za naszych czasów powstały.
Nie patrzy na głowy, nogi, grzywy, ucha,
Lecz gardząc kształtem, sądzim tylko z ducha
Co zrobił stary, o to się nie pytam.
Może wniosek z téj bajeczki
Literackie skończy sprzeczki
I rozkaże naszéj młodzieży,
Że mimo uczuć i myśli gwałtowność
Mało cenić nie należy
Wypracowania zalety,
Czem dla konia powierzchowność
Tem jest poprawność i styl dla poety.

Sądy te szczęściem, tak dla Mickiewicza, który pomimo podniosłego swego stanowiska i pomimo głębokiego przekonania o płytkości klasyków, mógłby na takie obelgi gniewem wybuchnąć, a jeszcze więcéj szczęściem dla niefortunnych sędziów, pozostały w tajemnicy korespondencyi prywatnéj, dopóki ich na podziw dzisiejszego pokolenia na jaw nie wydobył Siemieński. (Obóz klasyków).

Przypuszczamy, że dla poety ponad opinie koryfeuszów warszawskich cenniejszemi musiały być zdania jego przyjaciół i kolegów, co razem z nim na ławie szkólnéj wzrastając, z serc swoich dobywali promienie nowego słońca, mającego zejść nad Polską. Choć rozrzuceni teraz po przestrzeniach niezmiernego państwa, nie zapomnieli oni wspólnego swego ogniska, a geniusz naszéj poezyi polskiéj, jaki wionął na nich z ciemnych lasów Litwy, stanowił to wewnętrzne między nimi wiązadło, którego ogniwa ze śmiercią dopiero pękają.

W znanéj dotychczas korespondencyi przyjaciół poety, spotykamy gdzie niegdzie dorywcze i krótkie opinie Tomasza Zana, tudzież z odpowiedzi Mickiewicza domyślamy się niesłuszych, niesprawiedliwych a boleśnych inwektyw Czeczota.

Zan unosi się nad sonetami, ale z charakteru już a w części z nałogu pozowania na surowego Spartanina, nie chce ich zbytnio chwalić, żeby czasem nie został posądzony o przyjacielską stronność i woli raczéj wytykać wady ich i usterki. Czepi się więc do słów pojedyńczych, obrazów i zwrotów, ale wyznać musimy, że spostrzeżenia jego nie należą do bardzo udatnych. Oto zdanie jego całe:

„W końcu zimy odebrałem słodkie, piękne, górne sonety (słodkiemi lub pięknemi nazywa erotyczne, górnemi zaś krymskie). Są tu wierne pięknych położeń obrazy, prawdziwa historya serca poety, po mistrzowsku wykończona, klasycznie. Z sonetów pięknych najbardziéj mi się podobały trzy pierwsze, szósty, jedenasty, dwudziesty pierwszy; z górnych wszystkie, a mianowicie: Stepy, Burza, Widok gór, Bajdary, Czatyrdah i Droga nad przepaścią. Wiele pisać nie mogę, choć wiele skupiło się do pochwały. Boję się interesu, jakiego udział znajduję w twojem powodzeniu i chwale, niech raczéj wyszukam co do zganienia. Forma zewnętrzna musiała trzymać w obrębach przedmiotu imaginacyą, zdolną do najwyższego ulatywania. Ztąd wierność i wybitność malowideł, która tworzy rozkosz skończoną, jeżeli nie dotyka chłodu. To nieskończenie

się zbudzonéj rozkoszy jest głównym rysem Byrona Childa i Giaura. Odtworzenie zaś jest więcéj skutkiem geniuszu, przytworzenie zaś woli. Tamto w sonetach jest doskonałe, to niewyraźnie ukrywane, unikane. I wyrażać się i wrażać, poeta niech stara się zarówno. Każda kropeczka na czystych widna obrazach: szpony niegustownie, wiem co to być nie okrągle, u rąk pieczęć śmiałość przyciemna, muzyka kwiatów zawcześnie, depcząc za szorstko. Droga nad przepaścią obudza myśl nieskończoności więcéj i szczególniéj niż inne; pokazuje z gruntwagą po jakiéj stoi i wznosić się może człowieka myśl. Chociaż głębokość Tartaru spodkiem kowadła wymierzona, większą jest, bardziéj określoną. Przepaść Mirzy chwyta za serce człowieka, robi zawrót — upadniesz. Przecież znajomość świata fizycznego teraźniejsza, osłabia skutek wrażenia, jakieby Grek mógł odebrać, gdyby zdolny był pojąć naszego świata nieskończoność. Wystawiłeś ją ograniczoną, mogącą się mieścić całkowicie w swojem pojęciu. Idea nieskończoności utrudza z pewną rozkoszą, pochlebia człowieka wielkości; idea niepojętości morduje boleśnie, poniża go nieskończenie. Duch, wodzący Kaina po nieskończonych przepaściach czasu i przestrzeni, nie pokazał mu szczelin świata, zdaje się nie miał potrzeby, a rzeczywiście nie mógł. Jestem więc bardziéj za wyrażeniem *granice świata* jak *szczeliny świata*, za wyrazem *harmonia kwiatów* jak *muzyka kwiatów*.“

Drugi uniwersytecki Mickiewicza kolega, Jan Czeczot, dawno już przeciw poecie zbierał rozmaite zażalenia, a wybuchły one dopiero po przesłaniu mu sonetów. Jakie zaś były wszystkie punkta tych obwinień, czy krytyka sonetów obszerne śród nich zajmowała miejsce i czy napisał on sam do Mickiewicza, czy też zażalenia jego doszły przez osoby trzecie, trudno wiedzieć na pewno; list bowiem jego nie znajduje się w zbiorze korespondencyi Mickiewicza, a tylko odpowiedź poety na zarzuty.

Dziwny to rzeczywiście charakter, biorąc zwłaszcza pod uwagę wiek jego młody, był ten Czeczot. Z tego, co o nim w „Listach swych z podróży“ opowiada Odyniec, z przytoczonego tam jednego jego zgryźliwego i gderliwego listu (List do Jul. Korsaka z Rzymu d. 6 lutego 1830 r. Listy z podróży T. III) wygląda on inaczéj, aniżeli wszyscy jego koledzy, filareci, którzy z taką rezygnacyą, z takiem poddaniem się znosili swą biedę i tułaczkę, nie tracili nigdy nadziei, wierzyli w lepszą przyszłość i ubóstwiali swoją pierwszą kochankę (ojczyznę), „która,

jak się wyraża Mickiewicz, ma w nas wszystkich gorących i stałych kochanków i biada nam, jeśli na chwilę jeden o stałości drugiego wątpić będzie.“ Najdokładniéj może odmalował go Odyniec, bo go też znał najlepiéj; młodszy bowiem znacznie od Czeczota, wstępując na uniwersytet był opiece jego powierzony i odtąd też wzajemnie Telemakiem i Mentorem siebie nazywali. Czeczot już w uniwersytecie zdradzał usposobienie żółciowe i hipochondryczne i kiedy Zan do moralności, surowości, powagi i czystości obyczajów łączył idealną i młodzieńczą „teoryą promionków“, aby poetycznie wznosić młode umysły po nad ziemskie błoto, Czeczot gderał tylko ustawicznie i za najmniejszym pozorem zaraz winnych od zasad honoru i uczucia polskości odsądzał. Uwięziony w Bazyaliańskim klasztorze, zmienił nagle humor i składał wesołe piosneczki, żeby zaś w śledztwach był mniéj stały jak jego koledzy, i żeby w sasadach swych zmiękniał, o to niesłusznie już posądza go Klaczko (korespondencya Mickiewicza), z listu bowiem Mickiewicza to się nie pokazuje. [1])

Naturalna rzecz bardzo, że z wysyłką na wygnanie humor Czeczota zgorzkniał jeszcze bardziéj i że wszędzie widział złe, i niewłaściwość bądź pracy, bądź postępowania wytykał kolegom swoim. Zan nawet, którego wszyscy koledzy uważali za rodzaj świętości, przed zarzutami także się nie ostał, a na Mickiewicza spadło ich najwięcéj, zapewne dla tego, że był on ze wszystkich

---

[1]) Odnośne miejsce listu Mickiewicza do Czeczota jest takie: Mam ci przypomnieć dwie rzeczy: 1, Jakim byłeś w pierwszych dniach nowicyatu u ks. Franciszkanów? — czy Aleksander nie mógł na ciebie wtenczas piorunować z pieca — chociaż pewny jestom, że tego nie uczynił? Jeżeliś potem nabrał serca i sypał z rękawa piękne piosenki, zapytaj sumienia czy to twoja zasługa, a raczéj nie łaska niebios, które ci zesłały anioła pociechy? Uważaj tedy, jak człowiek sam jest słaby! 2) Przypomnij jakim był Tomasz w Zamku zaczarowanym, zaprawdę, powiadam ci, że kilkomiesięczne życie Tomasza więcéj warto niż dziesięć lat naszéj teraźniejszéj stałości. Dał on próbę kochania. Pewny jestem, że w podobnych okolicznościach i teraz by podobnie postąpił. Twój stoicyzm teraźniejszy w porównaniu do jego owej przytomności umysłu i cierpliwości tyle ma zasługi, ile niewinne życie anachorety w porównaniu do męztwa bohatera...“ Dodać potrzeba, że koledzy, pisząc do siebie, wyrażali się figurycznie, aby się na nowo w obec rządu nie kompromitować, co i z tego ustępu widać dokładnie. Ztąd wszystkiego dzisiaj zrozumieć nie można, jak naprzykład owego ustępu o niebiosach, co zesłały anioła pociechy. Mimo to z niejasnych tych wyrażeń nie da się jeszcze przeciw Czeczotowi sformułować zarzut, jaki Klaczko stawia w tych słowach: „Dawny współwięzień w Wilnie nie okazał on nam tego nadzwyczajnego hartu, jakiego potém żądał po swoich.“

najwybitniejszy. Gniewało Czeczota, że w Odessie Mickiewicz wszedł w wyższe towarzystwo, że się tam bawił, kochał i o miłości zamiast o ojczyźnie śpiewał. Nie pomagało to, że jeśli Mickiewicz zkądkolwiek grosz jakiś dostał, zaraz się nim z kolegami dzielił, a dobry Janek (Czeczot) nie bywał nigdy zapomniany. Ta strona charakteru naszego wieszcza stanowi bardzo piękną między licznemi jego zaletami, to też ma on zupełne prawo, nie w celu jakiejś przechwałki, ale z całą sumiennością i dumą tak mówić o sobie: „Prawda, że czasami źle marnują pieniądze, ale kiedy mam grosz, każdy przyjaciel może z niego wziąść trzy czwarte.“

Czeczota ta pomoc pieniężna i te przesyłki niepokoiły i bez wahania też postawił takie obwinienie: „Adam przysyła czasem jemu i Zanowi trochę pieniędzy — zkąd je bierze?“ Za tem szedł zarzut drugi: „Adam widuje często wielkie panie i panny tego świata — w jakim celu?“ Do tego przybyła pretensya, że Adam napisał sonety, w których o miłości tylko mowa, że sonety te wyszły w Moskwie, a więc Adam godności swojéj niepomny, zasiada przy stole Moabitów. Słowem, ni mniéj ni więcéj, tylko obwiniano Adama, że polskości swojéj się zaparł, że za pięknem liczkiem i sutą ucztą gotów pójść nawet wbrew swoim przekonaniom. Zarzut to ciężki i straszny, a spotkanie się z nim tutaj tém przykrzejsze robi wrażenie, że ten, który po nad wszystko umiłował ojczyznę, jeszcze nieraz w życiu swojem, jak to zobaczymy późniéj, boleśnie pod nim jęknie. Teraz nawet boleśniejszy on może był jak późniejsze, bo pochodził z ust tego, który go znać powinien, gdyż go widział w natchnieniu, w nieszczęściu i w czynie.

Odpowiedź Mickiewicza na te zarzuty, datowana z Moskwy 3 stycznia 1827 r., jest niezmiernie ważna, bo maluje nam dokładnie poetę, „dozwala nam — jak mówi słusznie Klaczko (korespondencya M.) — bardzo głęboko zajrzeć w zewnętrzny i wewnętrzny stan poety i daje nam jeden z tych rzadkiéj wierności portretów, jakich dla siebie od Piotra Lely wymagał Cromwell: *with sears and wrinkles.*“ Uderza przedewszystkiem w liście tym praktyczny i zdrowy pogląd na świat rzeczy, pogląd, który poeta nasz w tak wysokim posiadał stopniu i który go chronił od zabłąkania się w uroczych, ale zbyt idealnych krainach poezyi. Obok niego zaś wzniosłe poczucie obowiązku narodowego odpowiadają poetycznemu umiarowi. Charakterystyczną także jest wzmianka o Machiavellim i Fiescu Szyllera, z któréj

jasno widać, że poeta wśród uczt przetrawiał już swojego Wallenroda, i że towarzyska wesołość nie zdołała z łona jego wypędzić harpii bólu narodowego. Do téj kwestyi przy Wallenrodzie wrócić jeszcze będziemy musieli.

Druga okoliczność, jaka się nastręcza przy czytaniu téj prawdziwie krwią serdeczną pisanéj odpowiedzi Mickiewicza, jest spostrzeżenie, z jaką to szczerotą, miłością, uległością niemal i pokorą Mickiewicz z robionych mu zarzutów się tłómaczy. „Do pedanta — jak słusznie mówi Klaczko (l. c.) do gderacza, co prawie zakrawa na tyrana i co od lat tylu dręczy najlepszych przyjaciół, do człowieka wreszcie bez żadnéj wyższości i bez żadnéj chwały, pisze gieniusz, którego sława zapełnia ojczyznę, w całéj nawet Europie nabiera rozgłosu, ciemięzców samych, bojarów do hołdu skłania; pisze ulubieniec muz i mody, któremu zewsząd potęga i piękność sypią kadzidła i wieńce; pisze w końcu ten Adam, w którym najczystszy z czystych i najwierniejszy z wiernych, w którym Tomasz Zan nie tylko żadnéj nie znajduje winy, ale dla niego same ma wciąż słowa szacunku, uznania i uwielbienia.“ Zapewne nie jeden na miejscu Mickiewicza pogardą by na takie zarzuty odpowiedział, stosunek dawny by przerwał i w milczeniu niesłuszne posądzenie przebolał. Mickiewicz tego nie uczynił. Dla czego? — Bo cenił świętość związków, w jutrzence życia na ławach litewskiego grodu zawiązanych, bo rozumiał jaką jest wzniosłą i wielką rzeczą przyjaźń, bo pragnął, aby węzły zaciśnięte młodzieńczém marzeniem, wspólnemi nadziejami, wspólnemi smutkami, nieszczęściami i próbami, wraz z przyjaciołmi do mogiły poszły, żeby trwały według jego wyrażenia „do końca świata i po końcu świata.“ Niech więc i ten drobny szczegół posłuży do odmalowania wielkości jego serca.

Ciekawéj tej ze wszech miar odpowiedzi Mickiewicza nie przytaczamy tutaj całkowicie, zda się nam bowiem że jest ona wszystkim znana dokładnie; w zamian zaś za to zwracamy uwagę na szczegół, który w tłómaczeniu się Mickiewicza z zarzutów pominięty, sam już od zarzutów Czeczota by wstrzymał, gdyby uważniéj był przeczytał przesłane mu sonety. Zanim bowiem Czeczot zwrócił uwagę, że Mickiewicz nie wznosi się na stanowisko narodowego poety, a o miłostkach tylko grucha, już sam wieszcz nad tém zabolał i bądź z powodu zarzutów, dochodzących z zewnątrz, bądź z własnego swojego niezadowolenia

tłómaczył się w sonecie *Ekskuza*, kończącym się słowami „Taki wieszcz jaki słuchacz.“

Z tego sonetu widać dokładne, że Mickiewicz czuł sam niewłaściwość swéj twórczości, ale zdawało mu się zarazem, że gdyby lutnię na inne nastroił tony, nie pojęli by go jeszcze słuchacze, zimni, obojętni, a nawet głupi, co w pełnem szyderczości wyrażeniu o ich z d z i w i o n y c h s ł u c h a c h z taką dobitnością wypowiada. Jednak właściwie powiedziawszy nie zupełnie winno było temu otoczenie, ale raczéj wewnętrzne usposobienie samego poety. Zawody akich doznał w swych miłostkach, a właściwie, jakie weń wmówiono, wyrobiły w nim niezadowolenie, gorycz, których ślady tak są wyraźne w sonetach: *Danaidy* i *Pożegnanie* i skutkiem takiego usposobienia, obyczajem już wszystkich ludzi, a zwłaszcza artystów, wszystko widział w czarnych kolorach. Po chwlowéj przykrości nastąpił rodzaj przesytu, niesmak i zniechęcenie i nie potrzeba było uwag pochodzących z zewnątrz, aby potężny umysł jego nie miał dostrzedz, że obracanie się w ciasném kółku dorywczych miłostek i rozkoszy nie dla niego — bo go wyższe i świętsze powołanie czeka.

Uczucia te i ta wskazana tutaj, przez pojedyńcze stopnie przechodząca ich geneza dokładnie zarysowały się w wierszu zatytułowanym W d z i e ń w y j a z d u, napisanym 25 października 1825 r. Wprawdzie i on przepełniony jeszcze tąż samą goryczą, wprawdzie poeta wmawia w siebie, że Odessy żałować nie powinien, a jednak wspomnienia doznanych tu rozkoszy wiążą jego kroki do pustych komnat, dla odpędzenia więc od siebie tych smutnych myśli, wmawia on w siebie, że są to wspomnienia z czasów, kiedy był młodym, namiętnym i kochanym. W życiu praktycznem nie tylko dni i godziny ale nawet pojedyńcze lata nie zamieniają młodzieńca na starca i my wiemy, że Mickiewicz wyjeżdżał z Odessy młodzieńcem w najobszerniejszem pojmowaniu tego wyrazu; w bujnéj atoli jego wyobraźni zdaje mu się, że on już starzec wychudły.

Stokroć boleśniéj (powiada) płacze starzec obojętny!
Młodemu lekko umrzeć. On nie znając świata,
Myśli żyć w sercu żony, przyjaciela, brata:
Ale starzec, co z życia zdjął szatę obłudy,
Nie wierzący w nadludzkie, ani w ludzkie cudy,
Zna, że całkiem na wieki zamyka się w grobie.....

Bądź co bądź, rozważywszy ten stan swój szczególny, spostrzega błąd, widzi fałszywość drogi i na takie zdobywa się postanowienie;

Lećmy! Szczęściem zostały pióra do powrotu;
Lećmy, i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!...

Ponieważ wiersz ten w 1825 napisany jest roku, a list Czeczota nastąpić musiał znacznie później, kiedy odpowiedź nań w 1827 r. dawano, przeto ono zestawienie dat świadczy, że Mickiewicz sam najlepiéj rozumiał, dokąd powinno się kierować jego natchnienie i, acz uwagi i rady przyjaciół z właściwą mu miłością i serdecznością przyjmował, przychodziły one jednak zapóźno.

Zwróćmy się jednak do owéj pierwszéj części sonetów, o których nasłuchaliśmy się zdań najrozmaitszych, i zastanówmy się, czy treścią swą ubliżały one godności poety, czy rzeczywiście były tak zdrożne i czy rzeczywiście miał racyą Mostowski nazywać je paskudztwem?

Po głębszém wczytaniu się w nie, nietylko że na zarzuty te będziemy musieli odpowiedzieć przecząco, ale owszém sonety te jako dzieło sztuki postawmy bardzo wysoko.

Znana jest powszechnie opinia teoretyków francuzkich, że jakkolwiek forma sonetu u ludów romańskich obficie się spotyka, techniczna jednak trudność tego rodzaju poezyi ma być tak wielką, że przyjmuje się, iż na sto sonetów jeden tylko może odpowiadać wszystkim wymaganiom formy i treści. Gdyby teoretycy ci do Mickiewicza zajrzeć byli w stanie, przekonali by się, że pojedyńcze poetyczne formy kuje nietylko geniusz narodu ale i geniusz artysty.

Sonety te, o których wspomnieliśmy, że się odnoszą do Maryli i za przykładem Petrarki poświęcone są dawnym wspomnieniom, odznaczają się barwą zupełnie różną od pozostałych. Uczucie tęsknéj melancholii, w któréj utrata kochanki zlewa się z żalem za krajem, za Niemnem i dolinami Kowna, smutne są, ale dziwnie poetyczne i słodkim a łagodnym smutkiem napełniają duszę czytelnika. W początku poeta nasz z naśladownictwa Petrarki wychodzi, ale powoli, w miarę tworzenia, konwencyonalizm niknie a miejce jego zastępuje prawdziwe uczucie. Miłość jego uroczysta i wzniosła, ale nie pozbawiona prawdziwéj, z natury człowieka wynikającéj ziemskości. Od wewnętrznego,

idealnego dusz zlania przechodzi on całą gamę uczuć aż do pożądliwości, aż do tego, że poeta szatana zazdrości do serca swego raz przypuściwszy, wyznaje, że pod wpływem namiętności, ważył by się nawet na zbrodnię. Widzimy tu człowieka, który kochał silnie i namiętnie, ale po ludzku, uczucie to zaś realizmu i prawdy silniéj naturalnie występować musi, skoro stosunek idealny zmienia się na rzeczywisty, skoro młody a namiętny poeta spragnione usta przytyka do kielicha rozkoszy. Mówimy tu o sonetach, w których pani D D. główną gra rolę.

Stosunek ten, sądząc go według zwykłych pojęć moralnych, zapewne był zdrożny, ale gdzie dwie istoty wyższym obdarzone duchem, a przytém młode i namiętne ku sobie się chylą, rozwiązanie podobne staje się nieuniknioną koniecznością. Swoboda wyższego świata, nałóg dogadzania pragnieniom, nieprzezwyciężona sympatya wzajemnie rzucić muszą w ramiona jedno drugiemu, mimo najsurowszych przestróg moralisty. Ze strony kobiety piękność zewnętrzna i zdolność do wyższych porywów; ze strony mężczyzny gwiazda gieniuszu świecąca na jego czole, przed którą oprzeć się nie są w stanie szczególniéj kobiece, więcéj uczuciowe serca — są to pierwiastki wyższe, które w stosunku podobnym idealizują, podnoszą i opromieniają zwykłą i pospolitą krewkość. Że i tu tak było, najlepiéj po rozpatrzeniu się w rzeczywistych wypadkach wspomnione sonety dowodzą.

Czyż zaś są one tak bardzo zdrożne, tak nieprzyzwoite? — Nigdy. Dziwna rzecz, klasycy, nieograniczeni wielbiciele francuzkiéj literatury, która właśnie najswawolniejszą była w końcu XVIII w., ludzie którzy już z powodu swéj nazwy literaturę grecką za wzór uznawać byli obowiązani, ludzie ci krzyknęli gwałtu i jak jeden mąż powstali przeciwko poecie, który tu właśnie miłość opiewał tak, jak ją pojmował świat klasyczny.

Z saméj natury człowieka wynika już, że nietylko idealne jego dążności, ale życie jego całe, jego namiętności, są wybornym dla sztuki przedmiotem. Rozpływanie się wyłączne i ciągłe w sferach nadziemskich musi w końcu wyrodzić się w ckliwość i znużenie, przez to samo już, że zaneguje cząstkę składową istoty człowieka. Wszystkie nadto uczucia i wrażenia wypływające z naszéj natury zmysłowéj nie są całkowicie pozbawione strony pięknej, estetycznéj i idealizowanie ich stanowi zadanie sztuki, która nie zrywając z naturą ludzką podnosi to, co umysłom pospolitym zwierzęcością się tylko wydaje. Negując ten pierwiastek, zanegowalibyśmy całą sztukę plastyczną, która

bądź co bądź w rozwoju ducha ludzkiego stanowi jedno z bardzo ważnych stanowisk; zanegowalibyśmy twórczość grecką, poezyą i romanso-pisarstwo francuzkie, które przecież w rozwoju sztuki ogólno ludzkiéj gra jakąś rolę. Wielka jest różnica między tym co w rozpuście a wyuzdaniu rozkosz widząc, zniża naturę ludzką do obrzydliwego zwierzęcego poziomu; a tym, które we wszystkiem co ludzkie, estetycznego piękna dopatrzyć się zdoła. Pierwszy stoczy się do znaczenia zwykłego bydlęcia; drugi żywotne przeznaczenia człowieka pod wyższe estetyczne, a nawet etyczne cele podporządkowuje. Natury ludzkiej i ciążących na człowieczeństwie obowiązków nikt się nie wyprze; ten zaś kto je milczeniem pokryje i w skrytości zachowa, odegra rolę faryzeusza. Przesada w kierunku zmysłowym wiedzie do rezultatów, do jakich doszedł dzisiejszy naturalizm francuzki; utajenie zaś i negowanie ich przeradza się w chorobliwy sentymentalizm, od jakiego ze wstrętem odwraca się zdrowa natura ludzka. Homo sum et nihil humani a me alienum, oto zasada, na jakiéj oprzeć się powinna prawdziwa sztuka i bez niéj wszelkie próby i usiłowania jałowemi pozostać muszą.

Że Mickiewicz w sonetach dotknął téj życiowo-zmysłowej strony, że wykazał, iż w życiu jest ona koniecznością a nie anomalią, wielka to jego zasługa. Szekspir, który w XIX w. doczekał się dopiero właściwego uznania, dowiódł przez odzywający się dziś za nim vox populi, gdzie leży prawdziwa gienialność poetycka. Malować człowieka takim, jakim jest i jakim być powinien — oto rezultaty, do jakich ludzkość po kilkowiekowych pracach dochodzi. Ci, którzy w ludzkich stósunkach widzą tylko brudną ich stronę, nie wzniosą się nigdy na prawdziwy szczyt poezyi — sądy ich będą fałszem wiecznym, i obłudą swą dowiodą oni tylko, że natura odmówiła im poczucia prawdziwego piękna, niech więc o ustalenie zasad jego daremnie się nie kuszą.

Mickiewicz jako autor sonetów erotycznych, w przekonaniu naszem podnosi się bardzo wysoko, słowo jego przystępnem się staje nawet dla tego prostaczka, co zostając pod wpływami natury, chroni zarazem w swém łonie boski pierwiastek wyższości, który go nad zwierzę, nad naturę wynosi. Tu, w tych sonetach szukać trzeba rozjaśnienia tajemnicy, dla czego, kiedy poeta nasz wznosił się w najwyższe sfery zagadnień ducha i nadziemskich natchnień, nie zbłąkał się nigdy w niepochwytnym eterze i przemawiał językiem, który na ziemi polskiéj był zawsze

zrozumiały i pojęty. Wynikało to ztąd, że stał na realnym i rzeczywistym gruncie i wszystko z ludzkiéj wyprowadzał natury.

Mała ta wiązanka erotycznych sonetów wynika ze stósunków życiowych poety i stanowi chwilę przejściową, w któréj wdziękiem swobodnego pociągnięty życia, podniósł na chwilę Horacyuszowską zasadę carpe diem. Gdyby nie stwierdzały nam tego biograficzne szczegóły, dowód na to wymowny i w samych znajdujemy sonetach, a szczególniéj w wyłącznem przywiązaniu, jakie objawiał poeta dla sonetu XII. Ofiarując egzemplarz sonetów ks. Wołkońskiéj, ten a nie inny ze wszystkich wybrał i w tłomaczeniu francuzkiém na czele książki go wypisał. Brzmi on w ten sposób:

Poezyo! gdzie cudny pędzel twojéj ręki? . . .
Gdy chce malować — za cóż myśli i natchnienia
Wyglądają z wyrazów, jak z zakrat więzienia,
Kryjących i szpecących tak ubogie wdzięki? . . .

Na cudzéj ziemi nie zna praw dawnego pana,
I zamiast pieśni znaki niepojęte kreśli:
Muzyczne znaki pieśni... Lecz ta pieśń niestety,
Nigdy jéj miłym głosem nie będzie śpiewana...

Sonet ten zbyt wyraźnie wypowiada, że poeta chciał pozostać wierny uczuciu, jakie we własnéj jego ziemi oczystéj, jak jasna gwiazdka na czoło jego zeszło, że chciał żywotne swe soki nie zkąd inąd lecz z rodzinnéj czerpać roli. Dzisiaj on wygnaniec, tułacz, więzień prawie. Zamiast sielanki marzonéj w młodości uśmiecha mu się wielko światowa rozkosz, on się jéj broni, radby pozostać na gruncie, który go wydał, ale fala przeznaczenia w nieznane światy go niesie. Gdzież środek oparcia się temu? Jakiż sposób wyprowadzenia poezyi z za kraty na wolność? Może dla rygorystów, którzy widzą winy tam, gdzie ich nie ma, ta maleńka spowiedź z wewnętrznéj walki poety jako usprawiedliwienie wystarczy.

* * *

Od sonetów erotycznych przechodząc do krymskich, stajemy zdumieni i przejęci podziwem i pytamy: co to? Czyż poezya, czyż słowo może wydrzeć w podobny sposób pędzel malarstwu,

czyż w kilku ulotnych znikomych wyrazach można tak odmalować cudowny, tajemniczy, obcy dla Europy mieszkańców świat, obraz Azyą nawskroś tchnący, gdzie wśród gruzów rozlicznych cywilizacyi leżą dotąd nie zatarte ślady boju między Europą a Azyą, gdzie na zielonym półwyspie, okrążonym szmaragdowém morzem, zamknął się wierzący w fatalizm Tatar i drwi z usiłowań, jakie ku ujarzmieniu jego przedsiębiorą Giaury? Po kilkakroć poezya wkraczała na opisowe pole, po kilkakroć pozazdrościła krajobrazowi i chciała z nim w szranki wystąpić, a jednak nie zamykając się nawet w ciasnéj formie sonetu, nie odkradła nigdy malarstwu barw i cieniów, nie umiała dać fantazyi ludzkiéj nawet równie słabego wyobrażenia, jakie daje najpospolitsza bodajby danéj miejscowości rycina. Znamy rozpowszechnione u Włochów sonety opisowe, zwane m a r i t i m i, p e s c a t o r i lub b o s c h e r e i, znamy usiłowania w tym kierunku takich poetów, jak T o l o w e i, V a r c h i i T a s s o, mamy zresztą w literaturze naszéj podobne usiłowania Konstantego Gaszyńskiego, a jednak... każdy z nich nuży wyobraźnię czytelnika, męczy go napróżno i celu nie osiąga. Dla czego? Bo każdéj sztuce wytknęła konieczność właściwe pole, bo przerzucanie się na szlaki nieodpowiednie musi niepowodzenie sprowadzić, bo słowo, dźwięk i ruch, życie i czyn malować muszą, a zlodowacieją i chłodem odstręczą, jeśli do opisu miejscowości się zabierają. Lud grecki, arcymistrz w poezyi i sztuce, wykazał tę wielką i niezaprzeczoną prawdę, że malowanie miejscowości nie jest właściwością słowa, jako siły; że władanie nad niemi należy boginiom i półbogom jako symbolom i przedstawicielom natury, a rozlawszy po niéj panteizm, działającemi istotami i żywemi siłami je uczynił. A jednak zasada ta, pokazuje się, jak i wszystkie inne, na wyjątki pozwala i Mickiewicz ze swemi Sonetami krymskiemi stanowczo dowodzi, że opisowość w poezyi możliwa i przez geniusz poparta cuda wytwarza. Jakim sposobem stać się to mogło, zagadka to, która na pierwszy rzut oka trudną do rozwiązania się nam wydaje. Rozwiązuje się atoli choć w części przynajmniéj skoro nad wewnętrznym stanem poety i nad środkami technicznemi, jakich użył, się zastanowimy.

Julian Klaczko w bardzo cennym i rzeczywiście głębokim artykule, poświęconym Sonetom krymskim (la Crimée poétique), powiada zupełnie słusznie, że wyższe istoty ludzkie, dla których piękność natury jest rzeczywiście przystępną, wtedy jéj wdzięki z całę siłą odczuwać zwykły, kiedy nieszczęścia i cierpienia

wewnętrzne z pośrodka ludzi je wypędzą. Czy zaś cierpienia te pochodzą z nieszczęść rzeczywistych, czy wynikają z mizantropii przesadnej jak u Rousseau, czy z szaleństwa dobrowolnych tułaczów jak u Byrona: wszystko to jedno; i gdybyśmy nie brali już pojedyńczych ludzi lecz epoki, to faktem jest, że poezya opisowa pojawiać się zwykła po wielkich nieszczęściach, lub wielkich wstrząśnieniach politycznych. Tak kwitnie ona w Hiszpanii po wojnie z Maurami, we Włoszech po wieku Sawanaroli, we Francyi i Anglii po krwawych wypadkach rewolucyi pojawia się w poematach Byrona, w prozie Chateaubriand'a, w luźnych marzeniach Lamartine'a i namiętnych opisach Wiktora Hugo.

Spostrzeżenie to, ze wszech miar słuszne, przenosi Klaczko i do naszego poety i twierdzi, że Mickiewicza podwakroć muza opisowa z rozpaczy ratowała: raz, kiedy wyrwany z łona Litwy na brzegi Euxynu został przerzucony; drugi raz kiedy po wypadkach 1831 r. rozpacz swą w opisach pana Tadeusza zatapiał. Do téj uwagi znakomitego krytyka dodajemy jeszcze szczegół, jaki wynikał ze swawolnie zawiązanego w Odessie stósunku, szczegół, który we wrażliwéj duszy poety wywołać musiał gorycz i pogardę dla tak łatwo łamanych przyrzeczeń, a tęsknotę za Litwą wzmagał tem więcéj, ile że ona oddalona i uroczemi opromieniona wspomnieniami wydawała się krajem błogosławionym, gdzie zbrodnie podobne nigdy miejsca nie mają.

Rzadko się zdarza spotkać usposobienie tak wrażliwe na wdzięki natury jak było u Mickiewicza; to też podróż do Krymu była dlań prawdziwym balsamem na wszystkie rany sercowe. Dla mieszkańca ponuréj i lesistéj Litwy, Krym ze swoją jaskrawością wschodnią, z zielonością stepów i koralem burzanów, z piętrzącemi się skalistemi górami i morzem rozpryskującem się przy brzegach półwyspu był zupełną a wielce ciekawą nowością. Dla tego też całą duszą do téj bogatéj natury przylgnął, utonął w niéj i zapomniawszy o towarzystwie w jakiem się znajdował, o powinnéj dla niego grzeczności, najczęściéj sam, albo z przewodnikiem języka którego nie rozumiał, w puste stepy i pomiędzy ponure skały się zapuszczał. Że natura ta na niego silnie oddziaływać musiała, wynika to równie i ztąd, że w Krymie po raz pierwszy objawiła się u niego mania, którą tak często Odyniec konstatował i zapisał, mania rysowania tego co oczyma swemi oglądał a w duszy odczuwał. Rysować wcale nie umiał, a jednak dobywał ołówka i na papier starał się przenosić to co widział, zdawało mu się bowiem, że tak dokładnie

oglądane piękności odczuwał, iż trudności techniczne nie powinny mu stawać na zawadzie. W małym konotatniku p. Lacroix, oglądaliśmy kilka takich rysunków i doprawdy oglądając je, śmiechem wesołym parsknąć potrzeba, bo jest to coś w guście fantastycznych figur, jakie dzieci kreślić zwykły na piasku a jednak w pragnieniu utrwalenia tego, co oczy czarowało, łatwo dostrzedz wpływy, jakie natura ta wywierać na niego musiała. P. Sobańska doradzała mu ciągle ołówek na pióro zamienić, ale poeta słuchać jéj nie chciał i dla tego wielka była radość otaczającyeh go osób, kiedy p. Kałusowski, który mu raz w konnej wycieczce towarzyszył, zakomunikował pod sekretem dziedziczce, że pan Adam konia mu powierzył, sam zaś na miękkim mchu, wśród gęstwy burzanów „jak pastuch“ na brzuchu się położył i na małych karteluszach drobnem pismem coś bez ustanku pisał.

Klaczko twierdzi, że jakkolwiek Sonety krymskie w literaturze europejskiéj nie mają nic równego, jednak utrzymuje, że forma sonetu, owo prawdziwe łoże Prokrusta nie jest wcale dla poezyi opisowéj odpowiednie. Nam się to nie zdaje. Każda inna forma w przesadę, w ckliwość, w monotonność popaść by musiała a sonet dla tego wdzięcznym jest bardzo, że w szczupłych ramach zamyka się nie tylko opis danéj miejscowości, ale i osobiste wrażenia poety, surowe zaś stósowanie się do ciasnych technicznych reguł sprawia, że owo osobiste uczucie, niby morał z bajki, z opisu wynikające, stósować się musi do ciasnych ram i na przesadę nie dozwala. Ztąd wynika, że po skończeniu sonetu, po zamknięciu obrazu, czytelnik kładzie na bok książkę i choćby wyobraźnia jego bardzo nawet ociężałą była, biegnie w światy nieznane, a miejscowość jest tu już rzeczą obojętną, bo nie ona właściwie lecz obraz jéj przez sztukę wywołany wrażenia te budzi.

Wpływ, jaki się rodzi pod wrażeniem rozpatrywania się w pięknéj naturze, zawsze posiada pewną ilość nieopisanéj jakiejś tęsknoty i rzewnego smutku. Może to uczucie nicości ludzkiéj w obec olbrzymich dzieł Stworzyciela, może ukolysanie żądz i pragnień, które robiąc z serca czystą falę jeziora, odbijają w niem jak w zwierciadle wszystkie drogie z przeszłości pamiątki. Urok Sonetów krymskich właśnie i na tem w znacznéj części polega, że uczucia te i wrażenia są zupełnie proste i naturalne i że nie inne a takie właśnie pod przytaczanemi opisami rodzić się muszą. Weźmy dla przykładu Sonet pierwszy: S t e p y

Akermańskie. Bezmiar bez granic, przestrzeń horyzontem nieba jedynie zamknięta, woń rozlana dokoła i cisza przenikająca jak wśród grobu, któryby ktoś błękitem nieba przykrył, zielenią roślinności udzierzgał, wonią kwiatów nasycił. Serce w zadumie i tęsknocie się rozlewa, myśl po za te błękitne granice płynie a ucho chwyta by najmniejszy szelest. Daléj więc, daléj posłać ją na zwiady. Ale zostawmy lepiéj słowo poecie:

Wpłynąłem na suchego przestwórz oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Wśród fali łąk szumiących, wśród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Czyż jest w jakiejbądź sztuce sposób, któryby z większą dokładnością postawić by nas był wstanie wśród téj dziewiczéj natury? Suchy ocean to owa niezmierzoność stepu, wóz brodzący w zieleni jakąż wspaniałą daje ideę tego żeglowania po bezmiarze; powódź zaś kwiatów, korale burzanu, fala łąk szumiących, przenoszą nas od razu w kraj, gdzie barwy oślepiają oczy, powonienie od zapachów omdlewa i rozkosz ciśnie się przez wszystkie pory ciała.

Już mrok zapada — nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi.
Tu błyszczy Dniestr, tu wzeszła lampa Akermanu!

Do pejsażu więc dołącza się pojęcia czasu a ucieczka do gwiazd jako kierowniczek w drodze, porównanie do oceanu silniéj jeszcze utrwala. Daléj zakreślają się granice cudownéj dekoracyi a odległość nadaje im tajemnicze i cudowne kształty.

Stójmy!... Jak cicho!... Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie doścignęły źrenice sokoła,
Słyszę kędy się motyl k o ł y s a we trawie,
Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.....,
W takiéj ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy,—nikt nie woła!

Jakież to cudowne, jakież wzniosłe, a zarazem prawdziwe. Niech czytelnik postawi się myślą w takiéj uroczystéj ciszy,

niech wstrzyma swą stopę, aby jéj szelestem spokoju w naturze nie przerwać, niech wsłucha się w ten uchem nie ujęty koncert, który obok niego, nad nim i pod nim się wygrywa, niech wyobrazi sobie, że jest biednym wygnańcem, tułaczem, że żmija tęsknoty i jad nostalgii serce mu wygryza, a pytamy, czyż nie wytęży ucha ku stronie rodzinnéj? Jeżeliż słyszy wyraźnie w trawie trzepot motylich skrzydeł, który dotąd nigdy do ucha jego nie dolatywał, to czyż pieśń rodzinna, głos drogich mu osób nie jest silniejszy nad radość i uciechę tego znikomego owadu? Próżno — „Jedźmy, nikt nie woła!“ Ileż w tych kilku słowach strasznego bólu, ileż zawodu, jakież zimne i okropne dotknięcie rzeczywistości, która mrozi rozbujałe na falach marzenia serce?

Dwa są powody podobnie strasznéj odpowiedzi: albo na owéj Litwie nie masz nikogo, ktoby o nim myślał; albo surowa rzeczywistość uczy, że głos z tamtąd kilkasetmilowéj przestrzeni przedrzeć nie jest w stanie. I jedna i druga alternatywa straszna, ból więc serce wygnańca zalewa, rozpacz w kręgi je bierze, i spuściwszy smutnie głowę na piersi, szepce: idźmy, uciekajmy z tych miejsc, gdzie taka cisza, taki spokój i takie szczęście. I zamykamy książkę, i myśli swéj długo do równowagi doprowadzić nie możem, i cicho powtarzamy tylko: ach on mistrz nad mistrze!

Niech ktoś tenże sam obraz w długi poemat opisowy rozsnuje, niech uczucie poety na długie żale i treny rozwiedzie, to czyż wtedy wrażenie podobne będzie możliwe? — Nigdy. — Prawda ta dowodzenia wcale nie potrzebuje.

Pisząc o sonetach krymskich i chcąc wykazać wszystkie ich zalety i wdzięki, należałoby wszystkie je przejść pojedyńczo, na niezliczone ich piękności palcem wskazywać i tym, którzy piękna w nich nie widzą, każde słowo, każdy okres nowem a rzeczywistem światłem oblewać. Robota taka, acz bardzo ponętna, nie byłaby tutaj na miejscu i jesteśmy zresztą pewni, że ci co się w nie wczytali, dalecy są od tego, żeby je nazywać, jak to czynili niektórzy niejasnemi, niezrozumiałemi. Nie znamy poezyi, którąby mniéj nieprzystępną była.

Weźmy jeszcze dla przykładu sonet Burza, który wraz z kilku innymi na zupełnie nowy żywioł, bo na morze nas przenosi.

Oprócz strasznego obrazu burzy, jaki za pomocą kilku pojedyńczych szczegółów odrazu krew uczuciem przerażenia ścina,

przybywa tu jeszcze onomato poetyczna melodya językowa, dobór wyrazów twardych, zgrzytających, szorstkich, które bez względu na ich wewnętrzne znaczenie, przez brzmienie już swoje dokładnie malują nam świst wichrów, szum fali, gwizd huraganu, skrzypienie masztów a obraz zniszczenia wyłania się jako rezultat téj demonicznéj i niczem nieokiełznanéj potęgi. Jesteśmy pewni, że żadne tłómaczenie, a wszystkie je dotychczas istniejące przeglądaliśmy, ponurego tego uroku oddać nie są w stanie, gdyż sama już językowa harmonia maluje nam niebezpieczeństwo położenia, zanim się jeszcze w treści pojedyńczych wyrażeń zagłębim.

Do złowieszczego tego koncertu łączą się jeszcze inne przerażające znaki zewnętrzne. Słońce przybrało barwę krwawą i chowając się w głębi morskiéj zabiera resztki nadziei, na miejsce jéj pozostawiając noc, w któréj mglistéj ciemni tkwi przepowiednia zguby. Następny obraz geniusza śmierci, który powoli, nieubłaganie i bez litości, jakby ciesząc się, kroczy po swoje ofiary, jakiż okropny i jakiż niezrównany. Wyrażenie m o k r e g ó r y, jakże w jednem słowie maluje szaleństwo fal rozhukanych i olbrzymie te niebezpieczeństwa, jakie piętrzy ruchoma fala morza.

W strofie téj, w wielu wydaniach znajduje się: w s t ą p i ł g e n i u s z ś m i e r c i i s z e d ł d o o k r ę t u. Ze względu na ilość głosek może tu być zarówno w s t ą p i ł jak i w s t ę p o w a ł, gdyż wyraz g e n i u s z w poezyi może być zarazem dwuzgłoskowym jak i trzyzgłoskowym. Co do nas jednak stanowczo wolelibyśmy wyrażenie w s t ę p o w a ł, do okropności bowiem obrazu przyczynia się to, że on powoli systematycznie i z umyślną zwłoką do pochłonięcia ofiar swych się zabiera i słowo częstotliwe byłoby tu daleko więcéj na miejscu, zwłaszcza że w dalszym ciągu znajduje się wyrażenie s z e d ł, co dowodzi, że pomyślana przez poetę czynność musiała się wyrażać w formie niedokonanéj.

Jakże wobec tego strasznego obrazu burzy zachowuje się załoga okrętowa?

> Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
> Ten w objęcia przyjaciół żegnając się, pada,
> Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Wygnaniec nasz i tułacz nie ceni życia, gdyż ono dlań nie

rozkoszą lecz ciężarem się stało. To też obawa śmierci nie wprawia go w osłupienie, na myśl o zbliżającym się końcu rąk on nie łamie, z przyjaciołmi się nie żegna, bo prawdziwych ich nie ma, a do nieba modłów nie zanosi, bo w niem zaufanie stracił, bo mu ono nie udzieliło łaski, jakiéj użycza najdrobniejszemu robaczkowi, nie pozwoliło mu pozostać w miejscu, gdzie się zrodził i gdzieby chciał całe swe życie przepędzić, jego położenie jest takie:

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie,
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada.
Albo modlić się umie i ma się z kim żegnać....

Nie zawsze atoli, podług wymagań tego rodzaju poezyi, jakiego Mickiewicz użył do opisywania Krymu i jaki do usposobień jego w zupełności przypadał, nie każdy sonet kończy się refleksyą, spostrzeżeniem, sentencyą, odmalowaniem jak na niego samego wrażenie działało. Sonet Bagczesaraj w nocy, nie posiada takiego zamknięcia. Rozpoczyna się on opisem kończącego się dnia, w guście czysto wschodnim, trochę hyperbolicznym przypominającym Hafiza i Firduziego:

Rozchodzą się z dżamijów pobożni mieszkańce
Odgłos isamu w cichym gubi się wieczorze,
Zawstydziło się licem rubinowem zorze
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce
Śród nich po szafirowym żegluje przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze.
Pierś ma białą, a złotem malowane krańce.

Opisowość ta, z pominięciem wschodniéj jéj szaty, przypomina już owo mistrzostwo, jakie za lat kilka z takiem bogactwem rozwinie się w Panu Tadeuszu.

Daléj, zamiast refleksyi, jakąśmy już w Sonetach krymskich przywykli widzieć, ciągnie się tu opis spokojnéj nocy, zaludnione pojęciami wyznawców Islamu o świecie nadziemskim.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysu,

Daléj czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa.

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica, i pędem Farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

Czy sonet ów traci na wartości przez ten niedostatek refleksyi i przez różnicę swą od innych? Sądzimy, że nie, a powodem tego właśnie jest, że poeta po nad usypiającą ziemią rozciągnął świat tajemniczy, nieznany, świat duchów i tym sposobem zamiast własnego, egoistycznego uczucia rzucił w umysł czytelnika mozolenie się nad tą wiecznie niepokojącą wszystkie ludy zagadką. We wszystkich wiekach, w każdéj religiii i w różnoczasowych pojęciach tajemnica świata nadziemskiego stanowiła wieczny szkopuł, o który rozbijały się nietylko dociekania mędrców, ale i prostaczek w obawie przed niemi się kłonił. Noc roztacza nad ziemią cienie i spoczynek ów natury był zawsze uważany za porę, w któréj złe i dobre duchy zdwajały swą pracę i staczały nieraz z sobą walki o przeznaczenie i duszę ludzką. I tu więc olbrzymy, powstałe z granitów, przybierają kształty rajców Eblisu a duchy szatańskie krążą, aby korzyść i pastwę dla siebie wypatrzyć. Nad ziemią rozpoczyna się nigdy stanowczo nie odgadnięta i nigdy nie ustająca walka, a kto wie jakie znaczenie przypisują Muzułmanie do pojęcia Eblisa, kto pojęcia te do naszych ludowych wierzeń zbliży, zrozumie dokładnie, że w obec nie rozwikłanéj téj zagadki wszelka uwaga byłaby zbyteczna, bo umysł ludzki, raz zwrócony przez artystę do tych spraw tajemniczych, ma już gotową treść do długich i bardzo niepokojących rozmyślań.

Sumą niejako tęsknoty tułaczéj, zebraniem wyrzutów i żalów na opatrzność jest sonet, noszący tytuł Grób Potockiéj. Tęsknota wylewa się tu z serca z bólem gryzącym i każdy rodak poety, czytając ten drobny wierszyk, zaboli tak samo, spojrzawszy „na gwiazdy ku północy wiodące“, tak samo jak boleć musiał Mickiewicz. Cybulski w swoich odczytach o literaturze polskiéj o wierszu tym wyraża się w ten sposób: „Sonet, Grób Potockiéj, jest takiéj wartości, że dla niego samego warto pójść do Krymu, aby wśród panoramy pojedyczych obrazów natury i ten grób także zwiedzić.“ Cenne spostrzeżenia Cybulskiego nad poezyami Mickiewicza tu szwankują cokolwiek, gdyż choć

zasadnicza myśl wiele wartości przedstawić może dla Polaka, jednak *panoramy Krymu* znaleźć tu nie można, gdyż właśnie ten sonet pozbawiony jest całkowicie strony opisowéj. Grób Potockiéj, jedyny w tej sonetów wiązance uderza wyłącznie w strunę krzywd, jakich naród doznawał, i na dziejowe wkraczając pole, maluje przejścia, jakich doznaliśmy a jakich może doznać nie powinniśmy. Uderzającém także w nim miejscem jest następujący ustęp:

Polko! i ja dni skończę w samotnéj żałobie:
Tu niech mi garstkę ziemi przyjazna dłoń rzuci!

Czyżby poeta wtedy już przejrzał pełne swe cierpień życie i czyżby wiedział, że wschodnia i muzułmańska tak jak tu ziemia przykryje martwe jego zwłoki? Może to były przeczucia, wśród uroczéj natury uzyskane, a dar taki proroczy i wieszczy nie jest wcale u Mickiewicza rzadkością, a maleńka jego próbka i tu się odzwierciedla.

Jednym z niezmiernie umiejętnie użytych środków technicznych w Sonetach krymskich jest wprowadzenie do sześciu z nich dyalogu. Poeta, czyli jak tutaj nazywa się on *Pielgrzym*, bierze sobie za przewodnika *Mirzę*. Europejczyk, dziecię północy i wychowaniec cywilizacyi zachodniéj brata się z Muzułmaninem, Azyatą, przedstawicielem wschodnich pojęć, wschodniéj poezyi i wschodniego wzorzystego języka. Ta okoliczność pozwala opowiadaczowi do poezyi swéj z całą swobodą wprowadzić pojęcia wschodnie, a utrzymując ciągły kontrast dozwala pod względem artystycznym stworzyć jak można najwięcéj zalet. Pielgrzym, mimo tęsknoty trawiącéj jego serce, mówi językiem trzeźwym, chłodnym, rozważnym; Mirza gubi się w hyperbolach wschodnich. Raz jedyny tylko Pielgrzym, dostrzegając coraz nowe cuda, daje się porwać ciągnącemu go urokowi, występuje z nawyknień swych i manier i niby drugi Hafiz patrząc ze szczytów gór Kozłowa, wpada w uniesienie.

Charakterystyczną jeszcze cechą sonetów, nadającą im wyrazistą i opisową postać, jest ta okoliczność, że Pielgrzym nigdy się nie cofa do przeszłości, choć po gruzach dawnej sławy stąpa, nigdzie nie zagłębia się w historyą tych okolic, które przebiega, a patrzy oczyma swemi i duszą zarazem używa tego tylko, co widzi przed sobą. Jedyny wyjątek od téj reguły stanowi sonet: Ruiny zamku w Bałakławie, gdzie rozmaite koleje, przez

jakie Krym przechodził, przypominają się i odwzorowują w pamięci poety ale tylko po to, żeby wykazać jasno znikomość rzeczy ludzkich.

Krytyka warszawska zarzucała pomiędzy innemi Sonetom krymskim zbyt przesadne użycie tureckich wyrazów. Jakkolwiek dają one poezyi charakterystykę odrębną, jakiéj właśnie opisywana miejscowość wymagała, jednak rzeczywiście mogłoby ich być trochę mniéj i poezya byłaby więcéj naturalną a nie miałaby cechy pretensyonalności, jaka się gdzieniegdzie spotyka jak naprzykład w wierszu:

Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury...

Jakkolwiek bądź, z powodu tych kilku wyrazów nie można było sonetów niezrozumiałemi nazywać, bo poeta nawet każde słowo obce w przypiskach wytłómaczył, znaczenie jego określił, objaśnienia dodał i na język polski przełożył. Z Sonetami wszelako krymskiemi dzieje się to, co się dziać zwykło w ogóle z widokami natury. Są ludzie, którzy bez względu na wysokie swe nieraz estetyczne wykształcenie, piękna w naturze nie dostrzegają, nie rozumieją go, nie czują, a tylko, jeźli za mało są sumienni, żeby szczerą prawdę wyznać, powtarzają za panią matką pacierz i zachwycają się na zimno tem, co za piękne uznali inni.

Piękno natury, przeniesione do poezyi, jeszcze mniéj dla pospolitych umysłów jest przystępne i różne téż na rozmaitych ludzi wywierać musi wrażenie, a skutkiem już ułomnéj natury ludzkiéj dzieje się, że gdy autorem podobnéj poezyi jest śpiewak powszechnie znany i za geniusz już ogłoszony, ci którzy w poezyi jego rzeczywistego piękna nie dostrzegą, zachwycać się przecież będą z obowiązku i *jurabunt in verba magistri*. Niech jednak coś podobnego napisze człowiek młody, uznania się dobijający a zwłaszcza taki, który zdeklarowanych ma przeciwników, kamieniem potępienia na niego rzucą, jak na Mickiewicza za Sonety krymskie rzucili klasycy. Oprócz zawziętości osobistéj i szkolnéj, był w nich właśnie ów niedostatek, o którym dopierośmy mówili, to jest że naturą zachwycali się oni podług recept i przepisów szkoły. W kim atoli żywsze uczucie istniało, czyja dusza na wdzięki natury była otwarta, ten w Sonetach Krymskich, bez względu na to, że był klasykiem, piękna dopatrzył.

Za dowód posłużyć może Morawski, który na inwektywy rzucane na Mickiewicza przez Koźmiana ojca, z powodu Sonetów Krymskich, tak pisze do Koźmiana syna:

„Jeżeli głębokie czucia i wielkie obrazy stanowią poetę, styl zewnętrzną jest tylko poezyi ozdobą, to są pewne zalety, których odmówić nie można Mickiewiczowi, pomimo największych, co do języka i gustu, niedorzeczności. Otóż, powie twój ojciec, Morawski chwali! Otóż nie chwalę, bom się biedził, nimem zrozumiał, bom stokroć splunął, gniewał się i do djabła całe pismo rzucał, nakoniec zawsze mówię, że głupcy tylko takie poezye mogą na wzór młodym wystawiać; przecież wyznaję, że mam Mickiewicza za poetę; są nawet wiersze godne największych poetów, lecz naturalnie te perły tak są obryzgane błotem, iż ledwie ich dostrzedz można. Niech jednak twój ojciec nie żąda odemnie, abym mu tłómaczył, rozkładał piękności sonetów; nigdy tego nie uczynię, bo poezya nie jest stworzona do operacyi anatomicznych. Chce ona, jak religia i miłość, sądzona być samém uczuciem. Zresztą nie wszyscy jedną piękność kochają, nie wszyscy w jedno wierzą; może to przyczyną, że zakochaniec Tyburu zimny jest na dzikie Krymu piękności,“

Morawski więc w słowach tych, nie wyraźnie wprawdzie, ale dość szczerze i jasno dotknął punktu, który zdaje się mamy racyą uzasadniać tutaj. Tak jest, jak nie każdy ma jednaki zmysł dla piękności natury, tak nie każdy jednako pojmie opisującą ją poezyą. Powód ten sprawia, że i dzisiaj, lubo nie znajdzie się niezawodnie nikt, ktoby przeciwko sonetom Krymskim powstał, wiele jest jednak takich, którzy im należnéj nie przyznają wartości, bo wpatrzyć się w nie i pojąć ich nie umieją. To jest niezawodnie głównym powodem, że sonety te mniéj są u nas popularne, aniżeli być powinny.

Do téj przyczyny łączy się niezawodnie i druga. W dalszéj poetycznéj swéj twórczości Mickiewicz dowiódł, że jest par Excellence narodowym poetą. Że zaś nuta ta najsilniéj wówczas do serca się wdzierała i jeśli ona była, mniéj zważało się na względy artystyczne, do sonetów więc zbyt wielkiéj nie przywiązano wartości. Dopiero pierwszy Siemieński w pośmiertném swém wspomnieniu, tylko co zmarłemu wieszczowi poświęconem, tak się o utworze tym wyraził: „Śmiało powiedzieć można, że Krym, znany dotąd z kilku opisów, mających może zasługę u geografów, odkrył dopiero Mickiewicz a to, skrapiając go różanym olejkiem poezyi tak mocno, że turyści z ciekawości

dostali zawrotu głowy. Nie dziwiłbym się, gdyby jaki Sainte-Beuve, zastanawiając się za lat dwieście nad sonetami, podniósł ich wpływ jeszcze wyżéj i wykazał, że poeta umyślnie tak wyegzaltował te cuda południowego wybrzeża, aby sprzymierzonych w lat trzydzieści zlakomić na Sewastopol.“

W zdaniu tém zapewne dużo przesady i podsuwanych intencyi, jakich poezya ta mieć nie mogła, zwłaszcza, jeśli zważymy na język w którym sonety były pisane i który zalety powszechności nie zawierał, a przeto też i w sposób podobny działać nie mógł. Nie mniéj przeto oddany tu hołd, jaki najtwardsze pod tym względem natury, bo klasyczne, mimowoli przeczuwały. Wspomnieliśmy już, co mówił Morawski, jednak przytoczona wyżéj jego opinia była jedynie wyrazem pierwszego wrażenia. Kiedy głębiéj w utworze tym rozpatrywać się począł, dopatrzył w nim nowych zalet i nie mogąc wytrwać, schwycił za pióro i tak pisał do młodego Koźmiana:

„Ale co najgorzéj i co twego ojca i romantyków rozgniewa, to jest, iż znajduję, iż w tych właśnie sonetach Mickiewicz zwrócił się na drogę klasyczności. Chcecie bym tego dowiódł? Będę się starał. Naprzód zaczynam od tego, że styl i egzekucyą (które nie są poezyą lecz jéj szatą,) zupełnie wam daruję. Lecz gdy naprzód zwrócę uwagę na formę, widzę ją używaną przez klasycznego Włoch pisarza, i przepisaną przez Boala. Kiedy znowu zważę, co nazywamy romantycznym charakterem myśli i uczuć, nie widzę wcale, aby on miał się przebijać w Sonetach Mickiewicza. Gdy nam obraz gór wystawia, zadziwia go tylko niezmierzona ich wysokość i nasza przy niéj znikomość. Gdy występuje na stepy nieprzejrzane i ginie w tym cichym, pustym i bezludnym oceanie, przypomina mu się w téj rozległéj samotności jego własna ojczyzna; wszystko by dał, aby choć jednego głosu mógł z niéj dosłyszeć. Cóż tu jest w tém bardzéj romantycznego niż klasycznego? Gdy wreszcie z kochanką o swych czuciach mówi, częściéj idzie za zmysłowością starożytnych, niż marzącą nowożytnych miłością. Tysiąc mógłbym podać dowodów, że sonety Mickiewicza odznaczają jego przejście od romantyzmu do klasyczności; ale że to obraża dwie strony tak zaciekle, więc milczeć wolę.“

Kiedy więc tak ex re sonetów najbystrzejszy z klasyków poetę naszego dla klasycyzmu konfiskował, drugi bardziéj z nich jeszcze zatwardziały i mniéj posiadający uczucia poezyi, jenerał

Kropiński, tak z powodu sonetów, jak i z powodu Farysa między innemi pisał:

Ja Mickiewicza mój panie,
Często chwalę, czasem zganię,
Bom to wyssał z matki mlekiem
Być sprawiedliwym człowiekiem.
Prawda, że na tym świecie
Prawdy kosztują nas drogo.
Mówię ja przecie.
Lubię, kiedy on wsparty na Judahu skale,
Przyodziany w burkę tęgę, (sic)
Karcąc żywiołów potęgę,
Wzrokiem niebo przebija a nogami fale.
Ale niechaj mi wybaczy,
Nie lubię kiedy dziwaczy,
Lub w paroksyzmy szaleństwa wpada
I ja nie wiem co mi gada.
Wszak sam przyznaj pan dobrodziéj,
Że złe, równie jak dobre chwalić się nie godzi
Nie dałżebyś drała w nogi,
Odemnie, gdybym zza krzaku
Wyskoczywszy na rumaku
Dniem i nocą
Leciał wrzeszcząc Bóg wie po co
Lasy z drogi! . . . . góry z drogi! . . . (1)

Jeśli więc takiemu zakamieniałemu klasykowi, jakim był Kropiński, podobał się poeta, oparty na Judahu skale, dowodzi to, że najbardziéj nawet uprzedzeni do utworów tych powinni się do nich nawrócić. Mickiewicz zresztą przewidywał, że wszyscy w myśl jego wcielić się nie będą w stanie i dla tego na czele sonetów położył wiersz z Goetego:

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen . . .

(1) Kropiński. Rozmaite pisma. Lwów. 1844 Str. 141.

Mówiąc o sonetach w Odesie napisanych, dla porządku wspomnieć należy i o innych utworach, które tutaj powstały, a których spora jest wiązka. Należą do nich naprzód ballady: *Czaty* i *Renegat*, wiersze okolicznościowe i erotyczne, z których już przytaczaliśmy wyjątki jak: Rozmowa, Sen, Niepewność, Moja pieszczotka, Elegija, W dzień odjazdu, W imienniku (ku różnym stronom ściągnęliśmy dłonie) i do niéj także W imienniku K. Rzewuskiéj, Do Doktora S. (iemaszki), Popas w Upicie, oraz wspomniane już tłómaczenia z Dantego, z Petrarki i z Merimée — Morlach w Wenecyi.

Co do ballad — pierwsza z nich powstała pod wpływem opowiadania Henryka hr. Rzewuskiego o wypadku, jaki się zdarzył na Ukrainie, a który tam dotąd jeszcze jest pamiętny i nazwiska osób biorących w nim udział do dziś dnia powtarzają tam ludzie. Dla lepszego tylko utajenia ich Mickiewicz cofnął opowiadanie w przeszłość i tytuł nowożytny hrabiego na wojewodę zamienił.

W balladzie téj uderza naprzód krótka energiczna charakterystyka osób, a nadto widny w niéj wyraźnie dosyć przesadzony pierwiastek zmysłowy. Może nie mylim się, przypuszczając, że ponieważ Mickiewicz silnym podówczas wrażeniom zmysłowym podlegał, działaczom więc tym przyznawał zbyt ważną rolę w postępkach ludzkich, a z natury swéj ku realizmowi mając i silną skłonność, tu nim jako prawdą i rzeczywistém życiem się posługiwał. Tu jednak popadł w przesadę, a kierunek ten jeszcze pewien czas będzie w nim widzialny, dopóki go nie usuną wyższy nastrój i ważniejsze, obszerniejsze wpływy. Od czasu, kiedy balladę Czaty muzyką wyillustrował Moniuszko, od kiedy jako śpiew spospolitowała się ona i przeszła niemal do ust ludu, każdy ją pamięta dobrze. Dla potwierdzenia jednak tego, co tu utrzymujemy, przytaczamy parę wyjątków. Czyż zmysłowością przepełnione nie jest następujące miejsce:

Ten ściskając kolana, mówił do niéj: kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił.
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia
Wojewoda już z góry zapłacił.

Co opuszczony kochanek rozumie przez ten wyraz *wszystko*, dokładniéj jeszcze objaśnia jedna ze strof następujących:

Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie
Stary łeb na twém łonie kołysał,
I z twych ustek różanych, i z twych liców rumianych
Mnie wzbronione słodycze wysysał.

Lubo rozwiązanie ballady, polegające na niespodziewanym zwrocie, że kozak zamiast „w dziewkę“ wypalił „w sam łeb wojewody“ jest niezmiernie zręczne i odpowiada w zupełności artystycznym względom, przez ten rodzaj poezyi wymaganym, jednak całość nie robi na czytelniku zbyt korzystnego wrażenia. Nie masz już tutaj tajemniczości, właściwéj pojęciom ludu, jaka pierwszy cykl ballad oznaczała, nie masz tego uroku, wynikającego z wprowadzenia sił nadprzyrodzonych, nie masz przeczucia pozagrobowego świata. Natomiast są silne żądze ludzkie, gotowe do zbrodni się posunąć. Że jednak dramatyczność tu nad liryzmem przeważa, przeto utwór ten na usprawiedliwienie swoje nie ma racyi, jakieśmy przy sonetach erotycznych przytoczyli i wielkości Mickiewicza, gdybyśmy jéj zkądinąd nie znali, odwzorować nie byłby w stanie.

Mniéj jeszcze udatną zda się nam ballada Renegat.[1] Wschód muzułmański, w jakim Mickiewicz z wrażliwością naturze swojéj właściwą, za czasu pobytu w Krymie się rozmiłował, był napisania jéj powodem. Zmysłowość tego świata, który od naszego wielce jest różny, wystąpiła tu w całéj jaskrawości swojéj, a pojęcia wschodnie mnóstwem wyrazów tureckich illustrował poeta. Co nawet nigdy u Mickiewicza się nie zdarza, intryga tu jest tak zawikłana, że czytelnik mniéj lubiący się mozolić, często książkę rzuca bez rozwikłania zagadki. Rzeczywiście bej, który z branką ucieka, zjawia się tak znienacka i jako nowy czynnik występuje tak nagle, że osoba jego bardzo łatwo mięsza się z „trzytulnym Baszą“ i nie rozumie się intrygi, jak nie rozumie się dla czego „Basza renegat nie żywy“. Czy bej jak branka także z Lechistanu pochodził i czy tylko jako Giaur z chrześcianką się porozumiał? Także to nierozwiązanem pozostanie.

Klasycy, którym na obiadach u jenerała Krasińskiego obiedwie te ballady drukiem jeszcze nie ogłoszone deklamował Ody-

[1] Według Odyńca, ballada ta, a przynajmniéj pierwsza jéj część była improwizowana jeszcze w Wilnie.

niec, byli niemi oburzeni, a co dziwna, że nie napadli w nich na błędy przeciw artystycznemu smakowi, którycheśmy tu z lekka dotknęli, ale utrzymywali owszem, że narodową nie może być poezya, która o Turkach i Kozakach mówi. Już z tych zarzutów widać jasno słabość stronnictwa. Nie stało ono bowiem na gruncie poezyi, której obrońcami się deklarowało, ale biegnąc na wyprzodki z romantykami, ukazywało, że i oni nie idą ciągle za narodową sprawą, lubo wyznawcami jéj się głoszą. Ciekawy jest wielce odnośny do tego ustęp listu Koźmiana, pisanego do Morawskiego, pod d. 20 grudnia 1827 r.

„Śpiewał nam Odyńczyk, pisze Koźmian, litewskim tonem dwie nowe ballady Mickiewicza, obiedwie o Turkach, jedną o prawowiernym (dla czego pod tę nazwę podciągnięty wojewoda z Czatów, tego już trudno zrozumieć), drugą o Renegacie, które nawet mimo chęci draźnienia się ze mną, znalazł Krasiński niedorzecznemi. Brodziński ganił, lecz nie bez indygnacyi i zgorszenia Lelewela. Dotąd na zarzuty czynione bredniom naszych młodych wierszokletów, zawsze mówiłeś: pozwólcie krajowi mieć swą narodową poezyą. Chciej mi teraz odpowiedzieć, co mają z narodową poezyą wspólnego Czatyrdahy i Renegaty tureckie? Niemcy w swoich balladach przynajmniéj swoich baronów śpiewają, a my Turków, Tatarów, Kozaków i to jeszcze ich własnym nawet językiem.“

W Odessie także napisany został wiersz: Popas w Upicie. Nikt dotąd bliższéj uwagi na niego nie zwrócił i poprzestano jedynie na ogólniku, że Mickiewicz w wierszu tym położył początek dla późniejszych gawęd szlacheckich. Jest to zdanie najzupełniéj mylne. Prawda, że w wierszu tym poeta starał się staroszlachecką tężyznę naśladować, że język szpikował łacińskiemi makaronizmami, że do pojęć szlachcica, ekonoma i klerykała organisty stosować się starał; ale mimo to, za ojca szlacheckiéj gawędy uważać go nie można. Jest nim wprawdzie jako ojciec całéj literatury nowożytnéj, ale tylko pośrednio. Dla wyjaśnienia zaś tego zastanówmy się czém jest właściwie tak nazwana gawęda?

Najnowsza krytyka literacka, współczesna szerzeniu się mylnie pojętych zasad demokratycznych, kamieniem potępienia na ten rodzaj poezyi rzuciła, a jakkolwiek tysiące czytelników przyciąga jeszcze gawęda do siebie, kiedy inne płody narodowéj twórczości już się pyłem zapomnienia pokryły, mimo to nikt stanowczo w obronie jéj nie wystąpił. Dla rozjaśnienia pojęć

w tym względzie, należy naprzód rozróżnić rozmaite rodzaje tych gawęd.

Jedne z nich malują tylko przeszłość objektywnie, taką jaką ona była, posiłkując się mniejszym lub większym darem odtwarzania przeszłości; inne, jako ideał czasy minione sławiąc, w nich tylko dobre widzą i zdradnie w ułudnéj formie dążności reakcyjne czytelnikowi poddają. Pierwsze, będąc jedynie wynikiem miłości i epicznego daru, pozostaną na zawsze w miarę wewnętrznéj wartości, pięknym utworem sztuki, a razem hołdem dla przeszłości; drugie napróżno usiłując prąd postępu i konieczną zmianę wyobrażeń powstrzymać, są jedynie czczem usiłowaniem, i o ślepocie a zacofaniu autorów świadczą. Najskrajniejsze i najradykalniejsze nawet teorye tych pierwszych z ręki czytelnika polskiego nie usuną, jak nie zdołają usunąć zamiłowania narodowéj przeszłości, a znowu zacofani i obskuranci wstecz nie cofną społecznych pojęć, choćby Ossę na Pelian wsadzali. W pamięci narodu wiecznie żyć będą Pamiętniki Soplicy, większość Zygm. Kaczkowskiego powieści i Pieśni Janusza, ale jako oznaka reakcyjnych usiłowań zaginie w niéj działalność Jarosza Bejły, historyozoficzne usiłowania Koronowicza, Sejmiki, Senatorskie Zgody i Stryjanki Pola.

Co do popasu w Upicie, nie ma tu jeszcze właściwie charakteru rzeczywistéj gawędy szlacheckiéj. W dyalogu, jaki w karczmie prowadzą przedstawiciele niby dawnéj społecznéj sfery, nie ma nawet cech zewnętrznych, któreby archaizmem trąciły, a łacina tutaj użyta jest dowodem, że poeta sumiennie studyował autorów tym językiem piszących, ale nie miał jeszcze czasu zapoznać się z łaciną szlachecką. Zresztą wiersz ten cały pozbawiony jest cechy pretensyonalności i pozowania, i stanowi raczéj humorystyczną zabawkę, w guście ołówkowych szkiców, jakie robił przyjaciel naszego poety, malarz Orłowski, który w szlachcicu polskim dostrzegał jedynie brzuch żarłocznością wydęty, a bez kufla i kurzącéj się czupryny, wyobrazić go sobie nie mógł. Że jednak w ręku mistrza prosta nawet zabawka nie mogła się obejść bez wewnętrznéj, głębszéj myśli, to koniec tego wiersza dość wyraźnie dowodzi.

Jak często ludzie lekkomyślnie rzucają swe sądy i zdania, dowodzi, między innymi Cybulski, który twierdzi, że Mickiewicz w wierszu tym wypowiada trywialną myśl, jakoby historya cała była nicością. Jeśli pod wpływem wewnętrznéj tęsknoty i rozpaczy dochodził on czasem do podobnego zniechęcenia i z Ekle-

ziastą się spotykał, jak to zauważyliśmy przy sonecie Ruiny zamku w Bałakławie, to jednak usta jego nigdy nie były zdolne do wypowiedzenia takiego bluźnierstwa, jakie najniesłuszniej profesor mu zarzuca. Czemże bowiem jest ten wiersz, na którym takie potępienie oparte. Poeta opowiada poglądy trzech dyskutujących w karczmie osób, które się zastanawiają nad tém, jaka może być przyczyna, że trup Sicińskiego wala się nie pogrzebany, służąc za igraszkę gawiedzi. Kontuszowy szlachcic, wszelką krzywdę wyrządzoną klejnotnéj braci uważając za najcięższą zbrodnię, twierdzi że Siciński, zawiedzony na sejmiku, misy szlacheckie blekotem zaprawił i doprowadziwszy ją do szału, do wzajemnego wysieczenia się zmusił. Ekonom, ponieważ słyszał, że Siciński zawiązał ręce królowi, literalnie rzeczy biorąc, wznosi że musiał on króla wydać na morderstwo Turkom albo Szwedom. Sługa kościelny znowu utrzymuje, że Siciński tak srodze skarany został za kłótnie i spory z proboszczem i za nieposłuszeństwo Biskupowi. Do rozprawy téj mięsza się poeta i tak przyczynę kary Sicińskiego tłómaczy:

O towarzysze, rzekłem, pocóście niezgodni?
On był nie jednéj winien, ale wszystkich zbrodni,
Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On królom ręce związał, kraj klęskami zalał.

Następnie zaś dodaje:

A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych... Lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony: Czém są wszystkie dzieje?

Piękny więc ten, a przepysznych porównań pełen ustęp, nie jest wcale twierdzeniem, jakoby historya była nicością. Owszem, z potęgą filozoficznie rzecz każdą biorącego umysłu, zestawia tu poeta dzieje gminne, ludowe, z przybraną w mądre szaty, a tak często naciąganą, niestety, historyą uczonych. Myśl i podanie gminne mogą się mylić co do istoty samego faktu,

wiedzą jednak i wierzą niezłomnie, że kara niesprawiedliwie wymierzaną przez odwieczną sprawiedliwość nie jest, ale przychodzi jako następstwo mniejszéj lub większéj zbrodni. Próżno „o kłamstwa uczonych odgłos sławy się łamie“, lud wierzy w sprawiedliwość dziejową, a ten, kto w owe wierzenia wniknie, na stanowisku prawdziwego historyka stanie.

Co się tyczy wiersza: Do doktora S. nie mamy zupełnéj pewności, żeby on był dopiero w Odessie napisany, owszem, sądząc z zakroju jego wielce do wiersza Do Lelewela podobnego, chętniebyśmy go do epoki wileńskiej przenieśli. Za napisaniem go w Rossyi przemawia jedynie ten ustęp:

Mnie, poetę, już zamiar opanował nowy:
Ja o przyszłość z niebem wdałem się w rozmowy,
Astrologicznem okiem wyczytałem z gwiazdy,
I bliski, i radośny koniec naszéj jazdy,
Znowu czoło z podróżnych orzeźwiwszy znojów,
W stary tokaj niemeńskich przymięszamy zdrojów...

Ustęp ten atoli może znaczyć nie tylko podróż rzeczywistą, materyalną, ale podróż życia, skierowaną do danych zamiarów, celów, i tu, jak się zdaje, celów politycznéj natury. Że poeta nadto w owéj epoce, kiedy wiersz ten pisał, nie był jeszcze tułaczem, wnosić by można słusznie ztąd, że nie znać tutaj tęsknoty, jaka go ciągle od wyjazdu z Litwy trapiła, ale owszem myśl ma swobodną, a nie brak mu nawet i humoru. Że zresztą nie w Odessie, nie w Moskwie i nie w Petersburgu, ale prawdopodobnie w Wilnie żegnał Mickiewicz doktora, dowodzić tu zdaje się miejsce:

Porzucasz chorujące serduszka Litwinek . . .

Jednak są to przypuszczenia nasze, na które, wyznajemy, nie mamy stanowczych dowodów. Kwestyą tę mogłaby jedynie wyjaśnić rodzina doktora Siemaszki, która, o ile wiemy, istnieje dotąd na Litwie i którąby mogła podać rok, w którym doktór ów na naukowe eksploracye wyjeżdżał. W Paryżu mieszka jeden z członków téj rodziny, dat jednak, odnoszących się do wyjazdu doktora wskazać nam nie umiał. Zresztą wiersz ten nie należy do zbyt ważnych i jedynie dla ustanowienia daty jego powstania, należałoby, żeby ci, którzy mogą w tym kierunku

wyrzec ostatnie słowo, odpowiednie wyjaśnienia nadesłać raczyli.

Przy wierszu tym wszakże winniśmy zwrócić uwagę na wnioski, jakie wyciągnął z niego Siemieński, a jakie Wojcicki bez żadnéj krytyki powtórzył. Siemieński mianowicie na podstawie wiersza tego twierdzi, że nosi on na sobie wyraźne wspomnienie i dowód zamiłowania w doświadczeniach chemicznych, do których jakoby Mickiewicz miał wielki pociąg, będąc jeszcze w szkołach w Nowogrodku. Siemieński wyciągnął z tego powodu porównanie Mickiewicza z Goetem, a Wojcicki owe wspólne drogi geniuszow wytknął jako konieczność psychologiczną. Spostrzeżenia podobne są co najmniéj śmieszne, jeśli bowiem szkólni malcy z poświęceniem grosza na bułki przeznaczonego, otrzymują tlen lub wodór, nie dowodzi to jeszcze wcale, żeby geniuszami mieli być w drodze odkryć chemicznych. Wodór bawi ich, bo z butelki strzela, tlen jasném i błękitnem płomieniem zachwyca. Któż z nas doświadczeń podobnych nie robił, a jednak bardzo mała liczba z owych amatorów dosięgła odkryć w dziedzinie chemicznéj, a podobno nie wielu było takich, którzyby w studyowaniu naturaliów dosięgnęli do takiéj wyżyny, na jakiéj stanął Goete.

Zresztą, kto choćby abecadło w rzeczach naturalnych poznał, ten łatwo przekona się że w wierszu do Doktora S. o chemii nie mówi się wcale i lubo chemia należy do nauk przyrodniczych, jednak trzebaby chyba wiadomości tutaj zamieszczone prędzej do zoologii jak do chemii zaliczyć. Zresztą nie widać tu wcale nic nadzwyczajnego. Że Mickiewicz był wszechstronnie wykształconym, jest to prawdą niezaprzeczoną, ale żeby w wierszu tym wykazał zdumiewającą wiedzę nauk przyrodzonych, tego tu wcale nie widać. Wie on tylko to, co wiedział podówczas każdy człowiek czytający i encyklopedycznie wykształcony.

O wierszach erotycznych nie będziemy już powtarzać tego, cośmy mówili o tego rodzaju poezyi przy sonetach, a o wartości ich, lepiéj aniżeli każde, bodajby najsumienniejsze studyum, zaświadczy ta okoliczność, że między wykształceńszą młodzieżą polską, tak męzką jak żeńską, nie spotkaliśmy dotąd nikogo, któryby jednego bodajby z nich nie umiał na pamięć. Życzenie więc Mickiewicza się spełnia, gdyż utwory jego w usta całego narodu przechodzą.

Co do tłómaczeń pominąć ich bodajby z tego względu nie

można, że w dotychczasowych wydaniach Mickiewicza wprowadzono co do nich dwie nomenklatury: tłómaczenie i naśladowanie. O znaczeniu wyrażeń tych nie ma co rozprawiać, gdyż co do tego, zdaje się wątpliwości nie masz. Tłómaczenie powinno być o ile możności wierne i do oryginału zbliżone, naśladowanie zachowując tylko główną myśl oryginału, ma prawo zmieniać wyobrażenia i obrazy, używać dowolnych porównań, skracać się nawet lub przedłużać. Zastanowienie się nad tą sprawą jest głównie z tego względu potrzebne, że przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności, w wydaniach Mickiewicza dotychczas nazywano naśladowaniem to, co jest najdokładniejszem tłómaczeniem i odwrotnie. Ponieważ błąd ten powtarza się ciągle, sprostować go więc należy, a ponieważ na okoliczność tę zwracaliśmy już uwagę przy przekładach Byrona, tu więc notujemy tylko to, co się odnosi do tłómaczeń z włoskiego.

Tłómaczeniem w surowem pojmowaniu tego wyrazu są dwa ustępy z Dantego Boskiéj Komedyi, szczególnie zaś pierwszy, z T. III „Przezemnie droga w miasto utrapienia.“ Jest ono tak wierne, że prawie słowo po słowie z włoskiego języka na polskie się tu przekłada. Przy tem ustęp tam jest tak piękny, że skoro go się z oryginałem porówna, zda się jakby tłómacz tak we względzie poetycznego uroku, jak też i w grozie opisanych rzeczy oryginał przewyższał. Większą już swobodą odznacza się ustęp Ugolino, ale i tu jeszcze wierność potrzebna jest zachowana. Nie tłómaczeniami już wszakże, ale naśladowaniami są sonety z Petrarki. Tam gdzie włoski poeta zwraca się do przyjaciela Senucia, zatrzymane są jedynie główne motywa poddania się niewieściéj przemocy, któréj to władzy Mickiewicz z temperamentu już swojego nie mógł uznawać w takim stopniu jak Petrarka, co zaś do sonetu Błogosławieństwo, drobiazgowość, z jaką uczucia rozczłonkowuje Petrarka, nie mogła żadną miarą zgodzić się z naturą Mickiewicza i dla tego motyw zapożyczony od Włocha uogólnił. Mniéj jeszcze wierności zachowano w wierszu do ks. Zeneidy Wolkońskiéj „chiare, fresche e dalce aeque.“

Cybulski utrzymuje, że Mickiewicz w Odessie przetłómaczył jeszcze z arabskiego: Szanfary i Almotenatbi. Mickiewicz sam wyznaje, że je tłómaczył z francuzkiego przekładu p. de Sacy. Przekład ten, jak większa część tłómaczeń francuzkich, w których głównie o wierność chodzi, dokonany jest prozą i tłómaczenie Mickiewicza, w stosunku przynajmniéj do

owego przekładu, gdyż nie znając języków wschodnich, nie mogliśmy go z oryginałem porównać, jest bardzo wierny, a przynajmniéj pojęcia wschodnie dokładnie są tu zachowane. Nie zdaje nam się atoli prawdopodobnem, żeby praca ta podjętą była w Odessie. Mickiewicz we Wschodzie rozmiłował się głównie od czasu pobytu swojego w Krymie, a poklask, jaki wywołały Sonety Krymskie w Moskwie wydane, do kierunku tego jeszcze więcéj go zachęcił. W liście z Moskwy do Kowalewskiego znajduje się o tem kilka szczegółów.

„O twoim dykcyonarzu, pisze poeta, ciekawy jestem więcéj szczegółów. Czy znowu dawniejszy dykcyonarz tatarsko-ruski, podobno w Kazaniu wydany, który tu widziałem? Gramatykę S a c y możesz trzymać póki zechcesz; chociaż nie moja, ale się wytłómaczę przed właścicielem.“

Ten list więc nam dowodzi, że Mickiewicz z gramatyką de Sacy zapoznał się dopiero w Moskwie i tam ją wypożyczył dla siebie, oraz późniéj posłał swojemu przyjacielowi. Gramatyka ta składa się z dwóch części i druga stanowi rodzaj wypisów, gdzie się właśnie znajdują te ustępy, które tłómaczył Mickiewicz. Zachodziłoby więc tylko pytanie, czy Kowalewskiemu posłał części jéj obiedwie, czy też tylko jednę. W pierwszym razie już przed wysyłką jéj musiał mieć oba wzmiankowane ustępy w przekładzie; w drugim mógł to zrobić dopiero późniéj. Jakkolwiekbądź musiało to mieć miejsce w Moskwie, gdyż powiada daléj. „Późniéj miałem sobie udzielone od p. Sękowskiego tłómaczenie polskie dosłowne, z obszernym uczonym komentarzem. Korzystając z téj nowéj pomocy, starałem się tekst mego przekładu ile możności poprawić.“

Sękowskiego wprawdzie znał Mickiewicz jeszcze w Wilnie, ale jako ze słynnym już oryentalistą spotkał się z nim dopiero w Petersburgu, pokazuje się więc, że jakkolwiek tłómaczenia te dokonane w Moskwie, ostateczną jednak redakcyą uzyskały w Petersburgu, za drugą tutaj poety bytnością.

W cytowanym dopiero liście do Kowalewskiego powiada Mickiewicz daléj: „Masz wiedzieć, że się na pole oryentalne wybieram, historyą literatury wschodniéj czytam, i nawet sześć wierszy historyi Mirhandy z perskiego wytłómaczyłem nb. z oryginału. „Ten powód oprócz wspomnianych już przekładów, wywołał wiersz F a r y s, ale jest to już działalność poety, która się odnosi do jego okresu moskiewskiego.

Dla czego panna Teresa

nazywała się

PANIĄ PUŁKOWNIKOWĄ.

Z opowiadania majora.

W roku 18... mniejsza o datę zbyt dokładną, zajęcia moje pozwoliły mi nareszcie urzeczywistnić długo upragniony zamiar szczegółowego zwiedzenia Tatr i Karpat. Ponieważ, aby dotrzeć do tych górskich okolic. przebieżeć było potrzeba znaczną przestrzeń kraju, gdyż na drugim, przeciwnym jego końcu mieszkałem, rozglądałem się więc długo za towarzyszem podróży, byłem bowiem w wieku, kiedy towarzystwo a możność dzielenia się wrażeniami jest równie nieodbitą jak pokarm i sen, potrzebą. Pomiędzy sąsiadami moimi. osiadłą ziemiańską szlachtą, było dosyć młodzieży, która bodajby tylko gwoli samemu przewietrzeniu się i włóczędze chętnieby mi towarzyszyła; jednemu atoli przeszkadzał sianokos i zbliżające się żniwa, inny doznając ciągłych nierówności w budżecie, nie mógł na stronę debet nowego dorzucać ciężaru, a byli i tacy, którzy, marząc o Paryżu, Szwajcaryi, wybrzeżach Renu i zachodnio-europejskich stacyach kąpielowych, pogardliwie odymali usta na samą myśl wędrówki po kraju.

Dopiero więc w Warszawie znalazłem towarzysza w koledze uniwersyteckim, Stanisławie P. O lat kilka starszy odemnie, był on, jak na młodego człowieka, dosyć oryginalną figurą. Kiedy w Warszawie nikomu o pozytywistach jeszcze się ani śniło, on już był ich jakoby Janem Chrzcicielem, a sumienne studya nad przyrodzonemi naukami, nad materyalistami niemie-

ckimi i Augustem Comte'm kazały mu uwierzyć, że niema na świecie nic więcéj nad materyę, a najlepszą metodą badania jest eksperyment. Teorye jednak wyrozumowane z pociągami serca i nałogami zdrowéj, kochającéj, serdecznéj polskiéj natury ani raz nie kwadrowały mu w życiu, i Stanisław szedł zwykle wbrew wyrozumowanym zasadom, starając się tylko wszelkie odstępstwo od regul jak największą pokrywać tajemnicą. Za codzienne przykazanie najzimniejszy egoizm i wytrwałość w walce o byt głosząc, ostatni grosz chętnie potrzebującemu oddawał, poświęcenie rozumiał w czynie i to w najszlachetniejszem tego słowa pojęciu, uczuciowy był i wrażliwy, jak pensyonarka, a kiedy po kilku szklankach wina na zdarzających się czasami koleżeńskich hulankach o przybranéj swéj roli zapomniał, godzinami całemi deklamował ustępy z najcelniejszych naszych poetów. Jeśli w tym zapale ktoś o rzekomym jego pozytywizmie wspomniał, wpadał w gniew sam na siebie, chłódł, a przynajmniéj spokój udawał i nierzadko przeciwko rozigranemu uczuciu, ideałom i uniesieniu brzydkiem jakiemś bryznął bluźnierstwem.

Kiedym mu projekt wspólnéj zaproponował wycieczki i rojenia swoje na temat téj tak wiele obiecującéj podróży rozwijał, on słuchał cierpliwie, leżąc na sofie z cygarem w ustach, a nareszcie się zerwał i prędko zawołał:

— Dobrze, pojedziemy i to pojedziemy zaraz jutro, lubo nie dla tych mazgajowatych, — przepraszam za wyrażenie, — jakie ty przytaczasz, powodów. Wschód słońca na Łomnicy nie rozczula mnie wcale, w opowiadaniach gazdów i patryarchalizmie baców nie widzę żadnéj poezyi, ale raczéj przeczuwam gruby stan społeczny nomadów, domyślam się brudnych twarzy osmolonych barbarzyńców, i aż tu zalatuje mnie fatalna woń skwaśniałej żętycy i zgniłych serów. Góry jednak nasze zajmą mnie pod względem czysto orograficznym, poznam jurajską ich formacyę, ich bogatą florę i faunę, a oprócz tego dla względów prostéj hygieny po wysiedzeniu się długiem w niearomatycznéj wcale Warszawie sądzę, że posłużą mi piesze wycieczki i górskie powietrze. Płuca się odświeżą, a żołądek odzyska osłabiającą się siłę trawienia. Ponieważ zaś trawienie dobre jest jednym z najgłówniejszych naszych obowiązków, przeto zgoda, pojedziemy, ale jeden warunek.

— Jakiż? — z uśmiechem zapytałem.

— W Krakowie zatrzymamy się tylko tyle, ile nam będzie potrzeba czasu na wynajęcie furmanki do Zakopanego. Za-

mawiam sobie, żebyś się nie włóczył po kościołach, gdzie oprócz odoru pleśni nic więcéj nie spotkasz, żebyś się nie gapił na stare obdarte z tynku mury, żebyś nie podnosił oczu na wieże, którym dachówek brakuje, a przedewszystkiem żebyś nie odwiedzał rozlatujących się w proch grobowców i nie wyświadczał czci wielkim może, ale dawno już zgniłym bohaterom i królom. Zostawmy umarłych w spokoju. To, co przeszło, już przeszło, i naród nasz powinien zerwać raz już z przeszłością, zgnilizną i prochem, a rozpocząć życie w imię potrzeb bieżących, wychodząc z teraźniejszości i dążąc do przyszłości.

Nie odrzekłem nic na to, bo w programie moim nawet układałem, że po odświeżeniu się wśród górskiéj natury, po pokrzepieniu sił powietrzem polskich rubieży, w Krakowie czas jakiś odpocznę i na gruzach wielkiéj przeszłości naszej rozpamiętywaniom czas jakiś poświęcę, aby duchem z temi ubiegłemi wiekami się zbratać, aby u mogił zaczerpnąć wytrwania w ciężkiéj naszéj drodze krzyżowéj. Nie wątpiłem, że i Stanisław przed temi świętemi dla nas szczątkami czołem w pokorze uderzy i, klęcząc przy sarkofagach, duchem będzie się bratał z tymi których żywot marnym dla Polski nie pozostał. Przedwcześnie jednak w tym względzie sporu nie warto było toczyć, i, na wszystkie warunki podpisawszy się zgóry, na drugi dzień o szóstej rano wraz z moim towarzyszem ku chrobackiéj kolebce, unoszony siłą pary, ruszyłem.

Przespawszy się w hotelu Pollera, wybiegliśmy rano: ja, aby na targu furkę jaką do Zakopanego znaleźć, on, jako znawca tych rzeczy, aby podróżne prowizye, wybierając się w kraj, podług jego przekonania dziki, przygotować.

Kiedy ja jednak układ już potrzebny zawarłem, jemu nastręczyła się niespodziewana przeszkoda. U Wenzla spotkał się z Krakowianinem, a dawnym naszym uniwersyteckim profesorem. Ten zawstydził go, że obaj ani geografii, ani topografii kraju nie znamy, i przekonał, że ten, kto nigdy Tatrów nie widział a chce je poznać dokładnie, wycieczki niepowinien rozpoczynać od Zakopanego, ale, wybrawszy się od strony Pienin, dotrzeć do granicy węgierskiéj i, górami już wędrując, na Zakopanem skończyć.

W skutku téj zmiany podziękowaliśmy za ofiarowane już usługi krakowskiego chłopka i wieczorem cesarsko-królewskim na żółto pomalowanym e i l w a g e n e m ruszyliśmy do Szczawnicy.

Od czasu owego w Galicyi także wiele zmienić się musiało,

ale pamięć tortury, jaką nam ówczesnéj letniéj nocy sprawił ów c e i l w a g e n, pozostanie na wieki. Wojskowo-narodowe tradycye nasze opowiadają, że znakomity e x e r z i e r u n g m e i s t e r, w. ks. Konstanty, dla aresztowanych żołnierzy miał z żelaznych prętów zbudowaną klatkę, odznaczającą się tym przymiotem, że w niéj ani leżeć, ani stać, ani siedzieć nie było można. Czy w. książę Konstanty do słynnéj swojej klatki brał wzór z austryackiego eilwagenu, czy też odwrotnie, trudno to już wiedzieć, dość, że układanie ciała w niewłaściwe jemu pozycye, zapach nieustający knastru, jaki przez wybitą szybę dostawał się do środka z niewygasającéj fajki konduktora, wspinanie się ciągłe pod górę lub zygzakowate spuszczanie się z pochyłości, kawa w Wadowicach, przypominająca gorzelniany wywar, i łykowata podeszwa, pompatycznie polędwicą w Nowym-Targu nazwana, była przyczyną, żeśmy owéj Szczawnicy, do któréj dążyliśmy, wyglądali z większą niecierpliwością, niż żydowie obiecanéj ziemi chananejskiéj. Atoli snać pod nieszczęsną już wybraliśmy się gwiazdą, bo w Szczawnicy także czekała nas największa nieprzyjemność, jaka tu nie rzadko zebranych gości bywa udziałem. Za rozpoczęciem się dnia, który nas do téj pożądanéj przystani miał doprowadzić, ciężkie, siwe, ołowiane chmury dokoła horyzont pokryły, natura przybrała tęskną, żałobną jakąś postać, i rozpoczął się deszczyk drobny, przenikliwy i jakby cedzony przez sito, u nas na równinach zwykle k a p u ś n i a c z k i e m zwany.

Kiedyśmy powożącego eilwagen górala pytali, jak długo tu deszcze takie trwać zwykły, odpowiedział nam tonem zupełnéj pewności w głosie:

— B e z jednę albo i dwie l u n a c y e, a że na pełni p l u c h a się rozpoczyna, to nieinak, jak na m ł o d z i k u się skończy.

Piękna więc perspektywa. Ja z góralem spór o l u n a c y e wieść zacząłem, a Stanisław pod wąsem siarczyście zaklął.

W południe stanęliśmy przed c. k. szczawnickiem biórem pocztowem, i, choć eilwagenowska tortura nasza się kończyła, natomiast jednak powstawała inna obawa, mianowicie traciliśmy ten kawałek dachu skórzanego, jakiśmy mieli nad głowami, a wysiadaliśmy w żółte, rozrobione błoto, niepewni, czy w tych stronach, które się nam tak niekorzystnie przedstawiały, znajdziemy jaki przychronek.

Wszakże pocztylion, komisyoner czy szwajcar hotelowy, w góralską przybrany gunię, zapewnił nas, żeśmy doskonale trafili, bo w wielkim a wspaniałym hotelu G a r a n a wakuje właśnie

prawdziwie książęcy salon z sypialnym pokojem. Chwyciliśmy się naturalnie téj ponęty i za przewodnikiem, który na barkach dźwigał nasze tłomoczki, brnąc po żółtem a lepkiem błocie, szliśmy do owego Garana, którego Stanisław w przystępie złego humoru po prostu b a r a n e m nazywał.

Hotel ów wspaniale rzeczywiście się przedstawiał, świecił bowiem całą pierwotnością jodłowych balów, świeżo w klamrę ciesielską związanych, balsamiczna woń żywicy napełniała wnętrze, a przez szczeliny między balami hulał sobie Eol, jakby podwładne mu wiatry do funkcyi wprawiając. Salon książęcy umeblowany był krzywym stołem, kilku trzciną wyplatanemi krzesłami i lustrem, które snać wyłącznie dla kuracyjnego sprawione było zakładu, bo, spłaszczając twarz i skracając figurę, przeglądającemu się, choćby był chudy, jak śmierć na chorągwi, wszystkie pozory otyłości nadawało. Sypialnia jeszcze pierwotniejszą była, między dwoma tapczanami bowiem na jodłowym stoliku stała wyszczerbiona miska z żółtym niepolewanym dzbankiem i zieloną butelką, a na tapczanie leżały dwa górskiemi ziołami wypchane sienniki. Wonne to było wprawdzie owo sianko i aromatyczne, ale przeważnie składało się z grubych łodyg, które kazały wróżyć, że spoczywający na nich musiał chyba tak samo zawinić jak Madej.

Wnętrze owych apartamentów książęcych otworzył nam wyrostek góralski i na Boga się zaklął, że to jeden z najbardziéj eleganckich n u m e r ó w.

Kiedy Stanisław zły i niekontent, nietyle bowiem z natury, ile z wmawianych teoryi był epikurejczykiem, milczał lub mruczał pod nosem, ja o przebranie go się nagliłem, spieszno mi bowiem było gwoli jakiemukolwiek posiłkowi zejść do wskazanéj nam na pierwszem piętrze sali restauracyjnéj.

Sala pokaźniéj trochę wyglądała, a przynajmniéj wdzięku pewnego dodawały jéj czyste obrusy, na stołach rozesłane.

Za prostokątem sali jadalnéj znajdował się niewielki pokój bez drzwi, na którego futrynie napisane było: „C z y t e l n i a.“ Wszedłem tam, a zaiste czytelnia owa nie była zbyt bogato uprowidowana. Na dużym stole, zielonem suknem przykrytym, leżał „Czas“ a obok niego wychodzący podówczas w Krakowie dziennik „Kraj.“ Dodatki od nich z inseratami, wyjęte ze środka, położone były oddzielnie i, rozesłane w całéj swéj obszerności, cały stół zakrywały. Na boku przy mniejszym stoliku, który zapewne za biuro korespondencyjne miał służyć, leżał obdarty,

zapewne w skutku częstego czytania, Lama „Koroniarz w Galicyi.“

Niezbyt więc przeciążający posiłek umysłowy, pomyślałem, ale zastanawiać się dłużéj nad tem spostrzeżeniem nie miałem czasu, bo oczy moje zwróciła ku sobie postać niewieścia, w kącie czytelni na niskim fotelu siedząca. Zajęta była jakąś włóczkową na drutach robotą, ubrana w skromną, merynosową czarną sukienkę, poważna jakaś i zarazem wielce sympatyczna. Wiek jéj musiał sięgać, jeśli nie przechodził pięćdziesiątki, a wskazywały to włosy, dobrze już posiwiałe, zaczesane gładko podług mody królestwa kongresowego, formujące na skroniach zakręcone filutki, szyldkretowemi przypięte szpilkami. Rysy twarzy jéj były bardzo regularne i śmiało pięknemi zwaćby się mogły, gdyby nie zbytnia chudość i zmarszczki, od oczu ku skroniom idące. Oczy czarne tymczasem świeciły blaskiem młodości, a pokryte były mgłą jakąś wilgotną, jaką się często spotyka u brunetek, ale brunetek osiemnastoletnich.

Wzrok jéj, badawczo we mnie utkwiony, szczególne jakieś na mnie wywarł wrażenie. Pokłoniłem się głęboko, ona lekkiem skinieniem głowy mi odpowiedziała, i zapewne rozmowa byłaby się zawiązała, gdyby nie nawoływania Stanisława, który, wyegzekwowawszy befsztyk, coprędzéj do stołu mnie zapraszał.

Śniadanie, obiad czy przekąskę skończyliśmy, a deszcz nie ustawał, ale brzęczał po szybach; wiatr mu wtórował w kominie i świeżo snać naklejone na ścianach sali jadalnéj obicie wydymał w kształcie fantastycznych jakichś, wulkanicznych pagórków. Stanisław spoczynku po bezsennéj nocy zapragnął, a nawet siennik, grubemi napchany łodygami, już go teraz nie zastraszał. Napróżno na Hufelandzie się opierając, tłómaczyłem mu, że spać w dzień jest niehygienicznie, że deszczyk drobny przestraszać nas nie powinien, że pod parasolem bodajby można zrobić ogólną inspekcyę okolicy, że, jeśli wilgoci się lęka, to przynajmniéj wolnego czasu użyć powinien na zapoznanie się z sąsiadami i gośćmi wielkiego *Garana*. Może być, że w pierwszym ich szeregu mieściłem ową niewiastę, w sąsiednim siędzącą pokoju, która mnie dziwnie jakoś zaciekawiła, ale Stanisław pozostał nieubłaganym i, na sienniku z ziół górskich niebawem leglszy, głośno zachrapał.

Ja, uzbroiwszy się w parasol i założywszy wysoko ubranie, najbliższy z ziemią mające stosunek, ruszyć na eksploracye postanowiłem i, zahaczywszy na kurytarzu małego góralika, a ho-

telowego kamerdynera, o rozmaite objaśnienia rozpytywać się go począłem. Z pozorów nigdy sądzić nie można, i acz nasz *maitre d'hotel* zbytnią inteligencyą nie zdawał się odznaczać, jednak oprócz potrzebnych objaśnień udzielił mi rady, prawdziwie zbawiennéj. Wytłómaczył mi mianowicie, że w stroju *ciarachowskim* nie ma co na deszcz w góry się puszczać, i w kilka minut przebrał mnie we własne flanelowe trykoty, na nogach uwiązał *kierpcie*, na barki zarzucił gunię, na głowę włożył kapelusz z szeroką kanią, muszelkami zdobny, a w rękę wetknął zakrzywiony kosztur. Niesłychanéj doznałem uciechy, poczuwszy na sobie ten malowniczy strój ludu polskiego, ale zazdrość ta była krótka, bo, skorom się spojrzał w znakomitem lustrze hotelowem, przekonałem się, że wyglądam, jak zmokła kokosz, która, dla kurcząt swoich innéj nie znajdując przychrony, pod rozłożone skrzydła swoje je przygarnia.

W korzystaniu także z widoków górskich, jak i w zapoznaniu się z miejscowością, niewielkie zrobiłem postępy, i w praktyce okazało się dowodnie, że strój góralski nie tworzy górala, tak samo jak habit mnicha. Pokilkakroć drogę w wąwozach traciłem, na gliniastym, rozmokłym gruncie niedołężnie się obślizgiwałem, dla utrzymania równowagi rękami nieraz musiałem się chwytać gałęzi, a deszczem i wilgocią nasiąkła gunia ciążyła mi, w dusznem powietrzu sprowadzając poty. W końcu wlazłem na jakiś strumyk górski, zapewne chwilowo przez deszcz zaimprowizowany, i widząc Szczawnicę po drugiéj jego stronie, napróżno przeprawy przezeń szukałem. Błądząc to w jedną to drugą stronę, dużo tak czasu na próżno straciłem: zacząłem uczuwać silne zmęczenie, głód dokuczać mi począł, a i mroczyło się powoli. Widząc, że sam sobie rady nie dam, zacząłem wołać o pomoc, ale na głos mój nikt nie odpowiadał, tylko pasące się na halach kozy, zdziwione, brodate głowy do góry podniosły. Raz wprawdzie z za strumyka pokazał się kapelusz góralski, zwrócił się w moją stronę, ale zaraz znikł za skałą. Podwoiłem wołania, i niebawem nietylko kapelusz, ale zarazem ukrywająca się pod nim głowa, otoczona siwemi lokami, się ukazała. Przybywający na mój ratunek była to także jedna ze znakomitości szczawnickich, stary *Salomon*.

— A dyć to *panoczek*, — zawołał, wpatrzywszy się we mnie, — a mnie się patrzyło, że to sobie ot nasz góralik, *Cosik;* choć z koszturem, nie dajeta sobie rady, ale nic to; kiej pano-

szek raz góralską nałożył gunię, to już góralikiem a naszym zostanie i niebawem, jak koza, po skałach drapać się *naumie*.

Na perorze jednak nie poprzestał, ale w wbrud strumyk przeszedł, wziął mnie na barana i zaczął nieść do wioski. Kiedyśmy ową przeszkodę przebyli, zeszkoczyłem z jego ramion, i, gawędząc, szliśmy obok siebie. Owa góralska śpiewność języka mnie czarowała, obrazowe wyrażenia w zachwyt wprawiały, a stare, prawdziwe piętno złotego wieku na sobie noszące wyrażenia i zwroty filologiczną ekscytowały żyłkę.

Na rozmowie tej w drodze do wioski nie mogło się skończyć, bo, kiedy Salomon za udzielenie mi ratunku nie chciał żadnego przyjmować wynagrodzenia, sama grzeczność już kazała zajść do karczmy dla ogrzania się. W karczmie przy stole z fajkami w zębach starzy siedzieli gazdowie, a gościnny ten lud od razu, jak swego mnie przyjął, zwłaszcza skoro przez taką powagę, jak przez Salomona, zostałem im zareprezentowany. Rozpoczęła się więc gawęda na nowo, a że jeszcze razy parę z nowymi znajomymi przepalanki wychylić było potrzeba, przeto, bardzo już późno przez Salomona do hotelu odprowadzony, wróciłem.

Wyznać tu muszę, że Stanisław, nie wiem już, z jakiéj racyi, za niedołęgę i mazgaja zawsze mnie uważał i z tego względu wyrobił sobie prawo do pewnego ojcowania nademną. Przeciwko pretensyom tym nigdy się nie rewoltowałem, boć widziałem, że to jeden z wyraźnych dowodów przyjaźni, a nawet czasami gderań jego się lękałem i przypuszczałem, że dziś, zwiększone niezadowoleniem ze Szczawnicy, srożéj, aniżeli kiedy indziej, wybuchną,

Jakież było zdziwienie moje, kiedy, wchodząc zabłocony do swego nibyto książęcego apartamentu, ujrzałem Stanisława uśmiechniętego, rozpromienionego, wystrojonego nawet, przechadzającego się z lekkiem pogwizdywaniem przy niepewnem świetle dwóch cieniutkich świeczek.

– No, trzeba być warjatem, — rzekł, zatrzymując się naprzeciw mnie, — żeby, niezważając na zakatarzenie się nieuniknione, włóczyć się po błocie, jak stworzenie, którego nazwy już wymieniać nie chcę.

— Laj, laj, — rzekłem mu z pokorą, — bo rzeczywiście dzisiaj wart jestem tego. Gdybyś jednak miał choć trochę serca, — dodałem, przemoknięty kapelusz na stół rzucając, — tobyś, widząc mój stan opłakany, pożałował mnie trochę.

— Wiesz, że pożałowanie — rzekł, — w zasadach moich nie leży. Jak sobie pościelesz, tak zawsze się wyśpisz„ i zresztą żałują cię już inni, — istoty, których to wyłącznym jest udziałem, — żałują cię kobiety.

— Kobiety? a zkądżeś u Pana Boga je wypytał? Nie sądzę bowiem, żebyś już z góralkami znajomości pozawierał.

— Właściwie źlem się wyraził, — poprawił się, — bo nie kobiety, ale kobieta, ale taka, która za tysiące starczy. Wyobraź sobie w tym zaczarowanym pana Barana pałacu stosunkowo bardzo wielu ludzi, gości, ale, kiedy kobiecy personał, składający się wyłącznie z bab kaszlących i stękających lub z epuzerek, które tu z wędkami na mężów przyjechały, nie jest wcale ciekawy, to natomiast dziwną jakąś sympatyą pociąga ku sobie wcale już niemłoda osoba, którą nie wiem już, dla czego, naprzemiany to panną Teresą, to panią pułkownikową zowią.

— Czy czasem nie nosząca się w czarnéj sukni i z zakręconemi, siwemi filutkami na twarzy?

— Taż sama; wiem, że ją widziałeś a ona także nietylko cię spostrzegła, ale już wie, coś wart, bo jéj wszystko o twojem sowizdrzalstwie opowiedziałem.

— Któż cię do tego upoważniał, i zkąd taka, z naturą nawet twoją niezgodna, obcesowa poufałość?

— Rzeczywiście, — namyślając się trochę, odpowiedział. — Wiązać zbyt serdecznych stosunków z ludźmi nie lubię, i zdarza się często, że niejednego przez lata znam całe, a jest mi on zupełnie obcym, jak znów czasami, ale to bardzo rzadko, spotykam ludzi, których od razu jestem przyjacielem. Do takich właśnie należy panna Teresa i jéj towarzysz, który nie wiem, czy jest jéj bratem starszym, czy stryjem może, ale dziwnie charakter otwarty i szczery i niezrównany przytem opowiadacz.

— No, no, — mówiłem, zrzucając przemoknięte szaty, — winszuję ci tak prędkiéj przyjaźni i zarazem przekonania się, żeś niesłusznie w sądach o mieszkańcach Galicyi był uprzedzony.

— Alboż myślisz, że to Galileusze? — zawołał, zatrzymując się Stanisław. — Nie, ja się do niczego, co nasze, nie zrażam i nie uprzedzam, ale słowo daję, wrażenia, jakie wyniosłem z kilkakrotnego zetknięcia się z tymi, którzy według własnego żargonu *tutejszokrajowcami* się zowią, do korzystnych nie należą. Dzisiejsze zaś towarzystwo, jakie poznałem, wcale mnie z tego, co uprzedzeniem nazywasz nie wyleczyło. Niema tutaj naszéj otwartości, wszystko trąci niemczyzną, niedowierzaniem *obcokra-*

jowcom, a przytem tony i fochy jakieś pańskie, francuzczyzna, gdzieś na Kleparzu wystudyowana, dęcie się i puszenie, tem śmieszniejsze, im niezręczniejsze.

— Więc któż oni ten szczególny wyjątek?

— Oni Małopolanie także, ale, z za kordonu, ze złotodajnych pszennych niw sandomierskich, z krajów, gdzie serce tak czyste, jak biała sandomierska mąka.

— Jakże się zowią?

— On major X., ona, jak ci mówiłem, panna Teresa i pani pułkownikowa zarazem.

— Więc to owo jéj pięćdziesięcioletnie dziewictwo z militarnem odcieniem tak cię zachwyca?

— Ani żaden militaryzm. — odpowiedział prędko, — ani lata, ani nawet nazwisko. Patrzę, jakim kto jest, a nie jak się zowie, bo cóż jest Romeo? — nie ręka, nie głowa....

— Cha, cha, cha, — zaśmiałem się głośno! Lecz już i ja przed ową panną Teresą na kolana upadnę, kiedy mój pozytywista posunął się do cytowania Szekspira i to cytowania fałszywego.

— Nie żartuj, — rzekł, biorąc za czapkę, a sam się o wszystkiem naocznie przekonaj. Oni naszym obyczajem wieczorem pić zwykli herbatę i na nią do mieszkania swego obu nas zaprosili. Czasby już tam iść było, a ty się, widzę, guzdrzesz, tak że zmiany twego stroju doczekać się trudno.

— Hola! panie bracie, — zaprotestowałem, — kto tak, jak ja, zmachał, się, a jeszcze z góralami dwa kieliszki wódki wypić musiał, ten czczemu żołądkowi czegoś treściwszego od herbaty dostarczyć musi.

— Prawda, tyś jeszcze nie obiadował. Więc ja na ciebie czekać nie będę; idę do nich, i pamiętaj, żebyś najpóźniej za pół godziny tam się stawił. Dobrze?

— Owszem, — ramionami wzruszając, odpowiedziałem, a on nie mówiąc już nic więcéj wyszedł pośpiesznie.

To zajęcie szczególniejsze tego, który zwykle dosyć był chłodny, zdziwiło mnie trochę, ale też zaraz powiedziałem do siebie;

— Zwyczajna reakcya po długich nudach.

Kiedym po jakiemtakiem pokrzepieniu sił swych i zaspokojeniu apetytu pod wskazany numer się stawił, zastałem całe towarzystwo przy herbacie, żywą zajęte rozmową, a Stanisława, co mu się rzadko zdarzało, rozpromienionego i ożywionego. Pre-

zentacya odbyła się prędko; widocznie mnie za swego już tu uważano, postawiono mi więc zaraz przed nosem filiżankę herbaty, i rozmowa swobodna, a o szczerości i zainteresowaniu się obecnych świadcząca, potoczyła się daléj. Mówiono o umysłowym stanie Polski, o wyjściu jéj z poetycznego okresu, w jakim do ostatnich lat przebywała, o wkroczeniu na nowe drogi, o korzyściach i zyskach, jakie z téj zmiany kierunku wyniknąć mogą, tudzież o konieczności żelaznéj pracy, jaka dziś na młodem zaciężyła pokoleniu.

Pan major X. z wojskowem trochę zacięciem, z dużemi, siwemi wąsami, rumianą twarzą, szczero polską zamaszystością, na pierwszy rzut oka wydał mi się typem wioskowego szlachcica, co to, na zmiany społeczne ostatnich czasów niepomny, ponad wszystko uprzewilejowane swoje mieściłby stanowisko, radby, aby spokojnie i bez pracy żył dorobkiem kilku pokoleń przodków swych i, powołanie do obywatalskiego życia warstw niższych za ciężki grzech uważając, prądy wieku i postępu za pomocą szlacheckiéj swéj tężyzny chciałby cofnąć w dawne i odwieczne koryto.

Jeśli atoli pierwsze wrażenie, wynikające z zewnętrznych pozorów, takiem było, miłego doznawało się rozczarowania, kiedy się posłuchało dłużéj. Pan major obeznany był z najnowszym ruchem naukowym wszechstronnie, zalety jego i wady widział jasno, a z polskiéj tradycyi i polskiego gruntu wyrosły, chciał słusznie, aby wszystko przyswajać, ale też zarazem na narodowym rozwijać gruncie. Kiedy się teoryom jego przysłuchało, zdawało się, iż się widzi jednego z prawodawców owego konstytucyjnego sejmu, co to, żadnéj rewolucyi niechcąc wprowadzać, grunt polski uważali za zdatny do przyjęcia wszelkiego postępu i sukcesu wszczepienia bodajby najskrajniejszych weń dążeń się nie lękali.

Jeśli zaś major po owsłuchaniu się w jego słowo mimowolnie ciągnął ku sobie, stokroć więcéj wpływu korzystnego wywierała panna Teresa. Teorye jéj i interesowanie się wszystkiem, co naród polski obchodzić mogło, nosiły na sobie stempel doświadczenia, przetrawienia i ewangielicznéj niemal prawdy, która, jako zasady życia, mogłaby głoskami złotemi wypisana być wszędzie dla nauki współczesnych, gdzie tylko oko polskie dobieżeć zdoła.

Rozmowa zaś nasza szła tak szybko, a zarazem tak organicznie przerzucała się z przedmiotu na przedmiot, że, zale-

dwiem posiedział tu chwilę, nie było prawie sprawy, którąby w téj swobodnéj a poważnéj gawędce nie była dotknięta. Rozwiedziono się więc nad stanowiskiem Galicyi i jéj stosunkiem do innych ziem polskich, później przeszkoczono na podnoszoną w Warszawie kwestyę emancypacyi kobiecéj, z kolei Stanisław dostał dobre *ad intende* za umiłowanie skrajnéj chorągwi pozytywizmu, acz metodzie saméj wysokie przyznawano stanowisko, a wreszcie rozmowa jakby przestraszona, że tak ważnych dotyka przedmiotów, przez pannę Teresę sprowadzona została na teren czysto towarzyski, ślizgając się po spostrzeżeniach nad naturą Szczawnicy, nad zebranem tutaj towarzystwem, nad moją wreszcie niefortunną w góry wycieczką. Ja przeważnie dotąd milczałem i obserwowałem, a coraz bardziéj poddawałem się czarowi, jaki już Stanisławem owładnął, i niezdając sobie sprawy z przyczyn, czułem, że należę już do bezwzględnych wielbicieli panny Teresy.

W rozmowie, zwłaszcza jeśli wkroczyła na przedmiot więcéj interesujący, ożywiała się ona prawdziwym zapałem, o głębokiéj miłości wszystkiego, co polskie, świadczącym, zwykle blada twarz jéj płonęła rumieńcem, regularne i klasycznie piękne rysy świadczyły o silnem wewnętrznem życiu téj istoty i oprócz tego, że, co się zowie, piękną w takich chwilach była, zdawało się także, że jéj młodość i wiosna życia powraca, i że włos siwy nad czołem ubarwiony jest jedynie pudrem przez kokieteryę, ubiegłemu wiekowi właściwą.

Wśród zastanawiania się nad rozmaitemi kwestyami polityczno-społecznemi nastrój panny Teresy był stosunkowo poważny choć nie można było w nim dostrzedz ani śladu pedantyzmu, a kiedy już rozmowa wkroczyła na rzeczy bieżące, wtedy w zręcznych jéj zapytaniach i szybkich replikach tyle było żywości i dowcipu, że i ja z dotychczasowéj mojéj rezerwy wyszedłem, i śmiech często rozmowę naszą przerywał. Znajdowaliśmy się wszyscy pod działaniem prawdziwie towarzyskiéj wesołości, lubo stosunek majora, całkiem koleżeński względem nas, względnie do panny Teresy miał charakter jakiegoś ojcowstwa i powagi. Ponieważ zgadzało się to bardzo z naszym i jéj wiekiem, przeto może w skutku naturalności czuliśmy się wszyscy zupełnie dobrze, i choć pora była już wielce spóźniona, rozstawać się z sobą było nam trudno.

— Młodzi moi towarzysze a szczawnickiéj pustki koledzy, — ozwał się major, — lubo gościnny gospodarz z gości, a

szczególniéj takich, jak wy, serdeczni chłopcy, rad i kontent jest zawsze, wszelako... nie zapominajcie, że pułkownikowa dla kuracyi tu bawi, i że wczas więcéj, aniżeli wszystkie *szprudle* i spacery na *Miodziusiu*, jest konieczny. Przeto... miłą sesyę solwować nam należy...

Pochwyciliśmy się z miejsc swoich, a pani pułkownikowa, śmiejąc się, zaprotestowała:

— Jak to wygodnie, majorze, że się ma przy sobie kuzynkę, na którą nałóg kładzenia się swojego z kurami bezpiecznie zwalić można. Choć korzystanie z tak miłéj znajomości będzie zapewne codziennym naszym udziałem, bo panowie niezawodnie przez cały sezon kąpielowy tu zabawicie, jednak swoboda twoja, panie majorze, przy pierwszem poznaniu idzie za daleko, kiedy już miłą naszą rozmowę poważasz się przerywać...

— O, przeciwnie, pani, — zaprotestowałem. — Gdybyśmy nawet nie w kuracyjnem znajdowali się miejscu, to i tak o spoczynku pomyśleć już pora, boć to już druga godzina się zbliża.

— Prawda, — odpowiedziała, — pan po niefortunnéj eksapadzie dzisiejszéj co najprędzéj chciałbyś już spocząć, ależ zapewne podobne do dzisiejszéj wycieczki codzień powtarzać się nie będą, zwłaszcza jeśli panowie w regularne kąpielowe życie się wciągniecie.

— Niestety, a raczéj szczęściem, nie dla kuracyi tutaj przybyliśmy i jesteśmy tylko przelotem, uważając Szczawnicę za punkt, z którego projektowaną wycieczkę w Tatry rozpocząć należy.

— Na Tatry, — wtrącił Stanisław, — czasu jeszcze mamy dosyć, a gdyby nawet nad Szczawnicą ciągle, jak dzisiaj, deszczowe chmury, wisiały, to i tak jeszcze nie rzucim jéj prędko, bo przykro rozstawać się z taką znajomością, jakąśmy najzupełniéj niespodziewanie zawarli.

Znając niewielki Stanisława do komplementów pośpiech, a nawet pewną w tym względzie niezdarność, zdziwiłem się tym jego postępem, ale nieczas było się zastanawiać, i już, jak najlepsi przyjaciele, żegnaliśmy się wszyscy, życząc sobie wzajemnie dobréj nocy i jaknajprędszego zobaczenia się i spotkania.

Przyjemnym przez swoje położenie a może więcéj z tego względu, że schodzą się tutaj wszyscy goście szczawniccy, jest tak nazwany *deptak*. Ogród, noszący tę nazwę, a w czasie na-

szego opowiadania koło źródeł mineralnych się rozciągając, był jeszcze bardzo młody, obiecywał jednak, że w przyszłości będzie wspaniałym. Czy się te wróżby spełniły, niestety, powiedzieć tego z powodu długiéj w tych miejscach nieobecności nie umiemy.

W owym czasie znalezienie chłodu i cienia do trudnych jeszcze należało tu rzeczy, i dla tego szczęśliwi byliśmy, kiedy po rannéj kawie z cygarami w ustach, znaleźliśmy wraz z majorem w kąciku ustronnym ławeczkę, do któréj przez gęstą leszczynę nie dochodziły słoneczne promienie.

Zaledwieśmy się w miejscowości téj umieścili, Stanisław, którego wiecznie niecierpliwość jakaś dręczyła, zapytał odrazu majora:

— Powiedz mi pan dobrodziéj, co za szczególna mistyfikacya względnie do panny Teresy istnieje, i dla czego ją raz panną, to znowu panią pułkownikową zowiecie?

Major figlarnie się jakoś uśmiechnął, ale tonem niezamąconéj uprzejmości zaraz dodał:

— Utrzymują powszechnie, że ciekawemi są tylko kobiety, ale i waszmość, acz broda dokładnie o płci jego świadczy, lepszy wcale od nich nie jesteś. Jak cała przeszłość panny Teresy, tak i okoliczność, która was zaciekawia, są natury że się pod korzec chować nie potrzebują. Dla tego ową intrygującą was różnicę w nazwie chętniebym wam wyłuszczył, ale to historya długa, i nie wiem, czy do wysłuchania jéj starczy wam cierpliwości.

— Ależ, panie majorze, — zawołaliśmy razem, — o cierpliwości naszéj masz złe bardzo wyobrażenie, i, jeśli wyjaśnienie téj zagadki na żadne nienarażone jest przeszkody, za opowiedzenie jéj w pańskim pięknym, obrazowym języku będziemy niesłychanie wdzięczni,

— Ha więc słuchajcie..,

Przy tych słowach major zapalił nowe cygaro, usunął się w kąt najbardziéj ocieniony, i tak opowiadać, począł:

„Nie potrzebuję przywoływać przed waszą pamięć, ile to zmian politycznych i społecznych przyniósł nam wiek ostatni. Każdy z was z opowiadań rodzinnych o wypadkach ostatnich wraz z mlekiem macierzyńskiem się dowiedział, a w razie potrzeby do historyi także zaglądać nie zaniedbywał. My niegdyś tak bardzo o wolność swoją dbali, ujrzeliśmy się na raz pod kilku panami, musieliśmy wejść w stosunki z ludźmi i wła-

dzami, z któremi, wprzód nie mieliśmy nic wspólnego. Oprócz tego w skutek ostatnich wysiłków i w skutek zmiany stosunków olbrzymie fortuny kruszyły się i padały, rody, dla których skrzętność i zasługi przodków nagromadziły oprócz moralnych tradycyi i materyalne mienie, ujrzały się, co się zowie, z próżnemi rękami, niewiedząc, czegoby się czepić, aby już, jeśli nie honor nazwiska, to przynajmniéj byt codzienny zabezpieczyć.

Do bardzo starych a zamożnych rodów w Sandomierskiem należała familia Jaksów. W swoim czasie piastowała buławy i senatorskie krzesła, a zamożnością i gościnnością na okolicę słynęła. Od czasu jednak konfederacyi barskiéj fortuna ich na ofiarach jak lód na lipcowem słońcu, stopniała, a kiedy pan Piotr Jaksa dla leczenia się z ran, pod Maciejowicami otrzymanych, do rodzinnych swych Chorzelisk przywieziony został, często już niestarczyło mu na leki, a po cyrulika lub doktora nie znalazłaby się furmanka, gdyby kochający go włościanie z całą gotowością dla dobrego dziedzica do usług nie stanęli.

Pan Piotr był wdowcem i miał syna jedynaka w sandomierskim konwikcie pijarskim. Młody Jakób pod wąsem już, pełnoletni, maturę zdawał, kiedy z części Polski utworzono wielkie księstwo warszawskie, i kiedy nadzieje narodu na nowo odżywiać się zdawały. Pan ojciec zapewneby go na wojaka kierował, boć już żołnierskie przeważnie były w téj rodzinie tradycye, ale śmierć przedwczesna nie dała mu tam jedynaka postanowić, a zaledwie ojca w rodzinnym grobie złożono, wierzyciele syna z rodzinnéj własności wyzuli i na bruk go rzucili.

Dla czego pan Jakób Jaksa w rozbiciu tem swojem do legii Zajączka lub pod bezpośrednie rozkazy ks. Poniatowskiego się nie zaciągnął, tego powiedzieć wam nie umiem, i zdaje się, że jeden z dyrektorów czyli ministrów ówczesnych, krewny młodzieniaszka po matce, na drogę urzędniczéj karyery go pociągnął.

Jeśli służący w wojsku polsko-francuzkiem młodzieńcy ze wszelkiemi całego świata nacyami tradycyjną naszą krzyżową sztuką wyrąbywać się musieli, to niemniéj niełatwa była przeprawa i w kadrach organizującéj się administracyi księztwa, tudzież jego sądowniczych przy nowym kodeksie instytucyi.

Pan Jakób Jaksa dzięki jednemu z Pijarów, który go w młodzieńczych latach francuzkiego szwargotu nauczył, jako miał głowę rozgarniętą, a umysł bystry, do najdzielniejszych pracow-

ników na tem nowem polu należał i stał się prawą ręką ministra Stanisława Potockiego.

Atoli przeznaczeniem naszem widocznem było ciągłym zmianom podlegać, i niedziwota: naród, co niepodległy byt swój utracił, ciągle wpada z deszczu pod rynnę i odwrotnie, a stałość instytucyi będzie już niezawodną oznaką zmiany na lepsze. I teraz więc zaledwie księztwo jakotako urządzać się poczęło; patron i protektor, a właściwie zwodziciel jego, cesarz Napoleon. rozbity z pod Moskwy bieżał, a skoalizowani coraz mu nowe zadawali ciosy.

Przyszła abdykacya, przyszedł kongres wiedeński, a chociaż później ów lew niespokojny z łańcucha, jakim go na Elbie przytwierdzono, zerwał się i szumem a hałasem świat cały po raz drugi napełnił; jednakże trwało to krótko, i królestwo, sztucznie na kongresie wytworzone, przeszło pod opiekę Rosyi, mając nibyto konstytucyą byt swój zabezpieczony.

Konstytucya ta zdawała się wszystkim rajem, i, wierząc w zupełny nasz samorząd, nuż wszyscy wzięliśmy się rączo do pracy, żeby szczerby, zadane długą wojną zagładzić, żeby wybudować państwową arkę potężną i silną, któraby wszystko, co polskie, na nowych połączyła podstawach. Rozumie się, ponieważ szablica na kołku zawisła, a do pokojowéj trzeba się było zabrać pracy, tym więc, którzy za księztwa około społecznéj porali się pracy, teraz najważniejsze przypadło zadanie.

Pan Jakób za poparciem mężów nauki, znaczenia i statystów gorliwość swą podwoił, i już we wszystkiém, co się tyczyło wewnętrznego urządzenia kraju, wszędzie go było pełno. Choć młodzian, zaledwie dwudziestoletni. choć z humoru, jako sangwinik, wielki towarzystwa i zabawy lubownik, bądź przy zakładaniu kursów prawnych, bądź przy puszczaniu w ruch machiny państwowéj, jako biegły znawca tych rzeczy, zjawiał się, a już młodzieży całéj, puszczającéj się na to pole, był prawdziwym opiekunem i ojcem.

Ludzie, co nietyle na pełnienie obowiązków, ile na wypływającą z nich karyerę zwracać zwykli uwagę, panu Jakóbowi przepowiadali najwyższe stanowiska i wcześnie za męża dla swych córek ułowić go pragnęli. Młodzież zaś nie dla widoków, nie dla protekcyi, nie dla możności wydostania się na wierzch za jego plecami, ale dla złotego jego serca kochała go i ubóstwiała, za przewodnika i instruktora swego go uważała.

W czasach, które przedtém wyłącznie wojskowemi były,

choć szczęk broni zamilkł już zupełnie, wszystko z wojskowego punktu widzenia oceniano, i, lubo jurydyczna lub administracyjna biegłość pana Jakóba z wojskowością nic wspólnego nie miała, z czysto militarną dyscypliną kierunkowi jego się poddawano. Że zaś w owym czasie z rygoru i biegłości w swéj sztuce słynął na Saskim placu instruktor stary, podpułkownik Turno, przeto młodzież cywilna, równą dzielność w swoim Jaksie widząc, przez podobieństwo niejakie w roli pułkownikiem zwać go także zaczęła.

On, usłyszawszy to po raz pierwszy, zżymał się i gniewał, a może być, że okoliczność, iż ani razu udziału w bojach nie brał i krwi swéj na tylolicznych polach walk nie przelewał, była tego jego gniewu przyczyną i w sumieniu jego rodziła, acz najniesłuszniejszy, zarzut.

Mimo to wrodzonem jest już naszéj polskiéj, a szczególniéj szlacheckiéj naturze, że do wszystkiego przyzwyczaja się łatwo, to też protestacye stawały się coraz rzadsze, nazywanie pana Jakóba pułkownikiem przechodziło w nałóg, on się z tem coraz bardziéj oswajał, i w końcu przyszło do tego, że się prędzéj obejrzał, kiedy go zawołano: „Panie pułkowniku“, — aniżeli kiedy po imieniu lub nazwisku go tytułowano. Nie rozumiejąc, co to jest wojskowość, nie wąchając prochu, uzyskał więc wysoki stopień, a zdarzenie to chyba nie pierwsze i nie jedyne w naszem społeczeństwie.

„Widzicie, co to jest zaczepić starego gadułę“, — ozwał się, zwracając do nas major. — „Miałem prawić o Pawle, a baję o Gawle, ale może się to późniéj jakoś jedno z drugiem zwiąże...“

— No, no, bez żadnych tłómaczeń, — rzekł Stanisław, — prowadź majorze, jeżeli łaska, daléj swoją naracyę. Jest ona dla mnie tem więcéj zajmującą, że przenosi mnie w czasy, o których tak wiele i tak często opowiadał mi śp. mój ojciec.

„Owóż“, — mówił daléj opowiadacz, — „wojskowi podówczas byli wielce o swoje stanowisko, o swój świecący mundur i oficerskie szlify dbali i niełatwo w kółko swoje dawali się wdzierać intruzom, i między nimi jednak dla Jakóba miłość była tak wielka, że tę ogólną nominacyę jego bez szemrania przyjęli i za kolegę prawie uważali.

Pan Jakób zwykł był wcześnie bardzo wstawać. Rano u siebie zwykle udzielał młodym swym towarzyszom rozmaite instrukcye, późniéj zaglądał do biór w namiestnikowskim pałacu,

a ztamtąd biegł do swojéj kancelaryi, która się znajdowała w ministeryum spraw wewnętrznych.

Ponieważ obyczajem polskim apetyt miał dobry, a ranne wstawanie jeszcze go zaostrzało, przeto, idąc do bióra swojego, wstępował zawsze na śniadanko do słynnego wówczas, który, nie wiem, czy dziś jeszcze się znajduje hotelu i traktyerni Gerlacha na ulicy Podwal. Przed śniadankiem z zasady kropiło się kieliszeczek wódki, a późniéj jedna, a czasami i więcéj butelczyn zieleniaczku pękało. Że zaś do wypitki najłatwiéj towarzysza znaleźć, przeto pan Jakób nigdy samotnie śniadania nie jadał.

Razu jednego, na początku września pono, jeśli się nie mylę, r. 1829, jeść mu się chciało więcéj, niż zwykle, dla tego też szybko biegł do faworytalnéj swéj garkuchni. Pod Zygmuntem spotkał się z wielkim swym przyjacielem, artyleryjskim oficerem, Nieszokociem, który, pierwociny wojskowéj swéj służby pod Napoleonem odbywszy, nietylko zaliczał się w Warszawie do najzdatniejszych oficerów, ale odznaczał się pociągiem do hulanki, błyszczał wesołością i dowcipem.

W owych czasach za wyrocznię braliśmy hygieniczne nauki Hufelanda, i powszechnem było przekonanie, że najlepszą przyprawą każdego posiłku jest miła pogawędka i wesołe towarzystwo. Pan Jakób więc ze spotkania tego był wielce szczęśliwy, i wraz z Nieszokociem pociągnęli do Gerlacha.

Tu, zaledwie palnęli po kieliszku żołądkówki i, przegryzając ją tłuczeńcem, z niecierpliwością oczekiwali na zadysponowane zrazy z kaszą, do sali wszedł jegomość z białym włosem, ale trzymający się sztywnie, jak struna, w surducie cywilnym, zapiętym z wojskowa pod szyję, zdobnym czerwoną wstążeczką. Pod rękę prowadził młodą blondynkę z czarnemi oczami, prześlicznéj urody dziewicę, rumianą, jak wisienka, delikatną, jak dojrzewająca brzoskwinia, a nieśmiałą, jak parafianka lub pensyonarka. Snać krótką sukienkę niedawno zastąpić musiała szatami dorosłej panny, bo stąpała nieśmiało, rozglądała się na wszystkie strony z pod oczka i do boku towarzysza swego trwożliwie się tuliła.

Nieszokoć, który do drzwi wchodowych siedział tyłem, na odgłos kroków wchodzących obrócił się i raptem, jakby go tarantula ugryzła, z krzesła swego się zerwał.

Ten jego pospiech wytłómaczył zaraz wykrzyknik przybyłego.

— Do milionset kroć sto tysięcy! — zawołał. — Jak mi Bóg miły, o Nieszokociu mowa, a Nieszokoć tu. Tęgiś, jak za-

wsze, kiedy się tak rączo na apel stawiasz sacré nom de nom, saperlipopote!

Nieszokoć tymczasem po wojskowemu przybyłego salutował i głosem podkomendnego się ozwał:

— Nietylko uczynkiem i słowem, ale i przeczuciem nawet, jak to i teraz się zdarzyło, miło mi oddać powinne służby j. w. jenerałowi.

Zbliżenie a zżycie między tymi dwoma ludźmi musiało być wielkie, bo jenerał na należnym dystansie niższego od siebie oficera długo nie trzymał, ale, puszczając rękę dzieweczki, wyciągnął oba ramiona i wzruszonym głosem zawołał:

— Jakże ci ładnie w tym mundurze, choć to nie dawny nasz mundur! Przed sztabowym swym jenerałem, który, ot widzisz, w jaką szatę zwyczajnéj hołoty przybrać się musiał, nie czyń próżnych ceregielów i chodź, niech cię jak najprędzéj do piersi mojéj przycisnę.

Nieszokoć prosić się długo nie kazał, i dwaj ci żołnierze, nie jak bracia, bo wiek ich był różny, ale jak ojciec z synem, wzajemnie sobie padli w uściski.

Jakób tymczasem, nie wiedząc, kto jest przybyły, podniósł się ze swego siedzenia, a widząc, że ów jegomość, jenerałem nazwany, cały towarzyszem jego jest zajęty, utkwił ciekawe spojrzenie w twarzyczce przybyłego dziewczęcia.

Że panna pod badawczem jego spojrzeniem pokraśniała, jak róża, nic to dziwnego, bo tak nie tylko każe skromność, ale i natura. Lecz że rumieniec jéj zaraził także Jakóba, bo i na jego twarzy barwy maku polnego zakwitły, to już dziwniejsze. Z młodemi panienkami spotykał się on często i nie zwykł się rumienić, choć mu się udało do małego uszka wdzięczny wsunąć komplement lub poczuć drżenie drobnych paluszków, w swojéj piastowanych dłoni. Któż zgadnie? — może przykro mu było, że, kiedy jego towarzysz tak serdecznie był witany, on czekać tymczasem musiał chłodnéj prezentacyi i długie może pracować czasy, żeby z sympatycznym mu na pierwszy rzut oka starcem stanąć na równéj stopie poufałości.

Lubo wojskowi ściskaliby się zapewne długo, jednak grzeczność sama kazała im przypomnieć, że nie są sami, i o innych obecnych pomyśleć. Pierwszy zwrócił na to uwagę jenerał, biorąc za rękę dzieweczkę:

— Prezentuję ci, mój zacny towarzyszu broni, — rzekł, — jedynaczkę moją, Teresę, tę samą, o któréj przyjściu na

świat tyś mi w śnieżystych zaspach Moskwy listy przynosił, tę samą, o której wyrzynaniu się ząbków i pierwszych szczebiotach dowiadywałem się wśród grzmotu dział pod Lützen, pod Lipskiem i pod Waterloo. Niestety ręka téj, co mi te listy pisała, zastygła i dawno już w grobie spoczęła, i, jako jedyna po niéj pamiątka, zostało mi to oto jedno ukochane dziecko.

Przy tych słowach głos mu zadrżał, a powieki jakby łzy z siebie niechcąc wypuścić, zacisnęły się mocno. Dziewica snać podzielała jego wzruszenie, bo koralowe usteczka jéj zbladły i nerwowo zadrgały, i byłaby może rozpłakała się głośno, gdyby nie obawa wstydu przed ludźmi nieznanymi.“

— Aha, przerwałem mimowoli, — więc jesteśmy u furty romansiku.

— Gdybyż romansiku, zmyślenia, — odparł, westchnąwszy opowiadacz, — nie byłoby smutków dla jednych, nieszczęść dla drugich, jakie ze spotkania tego wyniknęły.

— Proszę cię, nie przerywaj, zawołał, zwracając się do mnie z wyraźnem nieukontentowaniem Stanisław. Przez swoje romantyczne okulary na świat patrząc, wszędziebyś tylko upatrywał treść do romansu, i wiesz, panie majorze, tak mi to jego usposobienie się nie podoba, że często się lękam, aby szeregu i tak dość licznych a nieprodukcyjnych bajko-pisarzy naszych w przyszłości nie powiększył. Możeśmy źle uczynili, żeśmy go na świadka opowiadania pańskiego wzięli, jeśli bowiem obawy moje kiedy się sprawdzą, gotów rozpaplać to, co nam jako dowód przyjaźni i zaufania ze swéj strony, opowiadasz.

Ja się śmiałem, ale major nastroił minę i rzekł sentencyonalnie:

Żadna ze stron ludzkiego żywota i zdarzeń jego, bodajby najbardziéj pospolitych, nie ma prawa w wyłącznéj tajemnicy się chować, bo z każdéj artysta, jeśli nim jest opowiadacz, potrafi odpowiedni pożytek wyciągnąć. Bluźnisz, panie Stanisławie, twierdząc, że owi tak nazwani przez ciebie bajkopisarze nieprodukcyjni są dla kraju. Owszem, zasługa ich wielka, bo masom, tłumom całym prawdę i uczucie, na gorącym schwytane uczynku, podają. Gdybym opowiadać i pisać umiał, pierwszybym do ich szeregu się zaciągnął.

— Gdybyś majorze tak pisał, jak opowiadasz, z takąż samą chciwością czytano by cię, jak my ciebie dzisiaj słuchamy.

— Masz tobie komplimenta. I ja także opowiadawczy dar pana majora uwielbiam, ale uwielbienie i podziękowania swoje

na koniec odkładam, a ty, proszę cię, — rzekł, zwracając się do mnie, — nie przerywaj.

— Siedzę, jak niemy, — odrzekłem, a Stanisław mówił dalej do majora:

— No i cóż daléj, majorze?

„W obec tego smutnego o zmarłéj wspomnienia“, — prawił opowiadacz, — „Nieszokoć westchnął także na intencyą nieznanéj mu nieboszczki, ale, ponieważ smutek chwilowo tylko na jego duszy zwykł był osiadać, przeto coprędzéj chciał wyjść z jego sfery, i, spostrzegłszy stojącego opodal Jaksę, zawołał:

— Ach, przepraszam cię, pułkowniku... Pozwól, panie jenerale, — rzekł do starca, — że ci przedstawię najlepszego mego przyjaciela, pana Jakóba Jaksę. Pan jenerał O.

Pan Jakób głęboko się skłonił, a jenerał, wpatrując się w niego, zapytał:

— Jaksa i pułkownik?

Jakób na zapytanie to zaczerwienił się jak piwonia, a Nieszokoć lekko chrząknął i z dziwną czelnością czy też brawurą powtórzył:

— Tak jest, pułkownik i Jaksa...

— A z jakich to Jaksów, czy nie z sandomierskich przypadkiem? — egzaminował daléj jenerał.

— Rzeczywiście rodzina moja, — mówił nieśmiało Jakób, — z Sandomierskiego pochodzi i z dziada na Chorzeliskach była osiadła.

— Jaksy?... Chorzeliska?... — powtarzał jenerał, jakby szperając w pamięci, — a czy nie znałeś waćpan Piotra Jaksy?

— Znać go musiałem wybornie, — odpowiedział, uśmiechając się, zapytany, — gdyż to był własny mój rodzic.

— Rodzic waszmości? — *Ah! sacré tonnerre!* toż to widocznie dzisiaj dla mnie dzień szczęśliwy. Czy wiesz waćpan, żem ja pod Piotrem Jaksą, a szanownym, jak się dowiaduję ojcem waszmości, pierwszą służbę wojenną odbywał, pierwszą żelazną kościuszkowską uzyskał obrączkę. A setnyż to był szlachcic, *oh! Dieu nom de Dieu!* i, gdyby takich znalazło się więcéj, innyby obrót sprawy przybrały. No proszę, pana Piotra syn i jakże to czas leci prędko: ten, który wówczas takim dziarskim był młodzieńcem, już się takiego urodziwego doczekał syna.

Na ulubiony temat jenerał rozpamiętywałby zapewne dłużéj, ale już zadysponowane przyniesiono zrazy; aromat ich przy-

pomniał mu cel, dla którego z córką tu przyszedł; szczęśliwy więc, że z takimi miłymi sercu jego znajomymi będzie śniadanie podzielał, zaczął coprędzéj służbie wydawać dyspozycye i aż do gospodarza się udał, żeby za jego wdaniem się dobrą jaką uzyskać buteleczkę.

Humor wyborny zapanował zaraz, a pan Jakób tyle posiadał zalet towarzyskich, tak był przywykły do obcowania z niewiastami, że siedzącą obok niego Terenię ośmielił, rozruszał, rozgadał i panującą przy stole wesołością natchnął. Kiedy na pytania Nieszokocia odpowiadała krótko i z jakąś obawą, przed Jakóbem rozwodziła się w opisach Litwy, rodzinnéj swéj ziemi, przyznawała się do wrażenia, jakie na niej zrobiła Warszawa, nie taiła, że radaby w niéj dłużéj pozostać, żeby się lepiéj rozejrzeć, ale *ojczyk* zapewne naglić będzie, bo przed 8 września, uroczystością Narodzenia N. Maryi Panny stanąć zamierzają w Częstochowie.

Nieszokoć, dowiedziawszy się o téj pobożnéj jenerała pielgrzymce, trochę się nią zdziwił, bo wogóle napoleońscy żołnierze nie odznaczali się zbyt wielką dewocyą, ale tu istniały względy wspomnień, łączących się do śp. jenerałowéj. Matka Teresy była Koroniarką i, szczególne mając nabożeństwo do Częstochowskiéj Królowéj Polski, modłami do niéj krzepiła się w czasie długiego rozstania się z mężem, Jéj opiece przed śmiercią jedyne swe dziecię polecała.

Te zmarłéj uczucia i predylekcye wysoko cenił niepocieszony po stracie jéj wdowiec, a choć sam z urodzenia i miejsca pobytu Litwin, nienapróżno Europę zdeptał, żeby nie rozstać się z zaściankowym partykularyzmem, i, Matki Boskiéj Ostrobramskiéj wcale nad Częstochowską nieprzekładając, cieszył się owszem, że cały naród ma na Jasnéj-Górze wspólny symbol, miejscowość, tylu historycznemi wspomnieniami opromienioną, Patronkę, która królewskim swym płaszczem opieki wszystkie ziemie dawnéj Rzeczypospolitéj okrywa. Jak w żonie swéj tę skłonność szanował, tak chciał zarówno, aby córka w tym względzie podobną była do matki, i, skoro ją tylko od sióstr zakonnic, które ją wychowały, odebrał i w długą ubrał sukienkę, natychmiast sam razem z nią pielgrzymkę tę odbyć postanowił. Dziś dorosłe dziewczęta na znak ich dojrzałości na bal prowadzą, dawniéj, a był to zwyczaj prawie powszechny, od modlitwy i od uproszenia łaski Opiekunki szczególnéj rozpoczynano. Co chcecie, — *tempora mutantur*...

Jenerał O., rozpocząwszy służbę wojskową pod Kościuszką, wyszedł z Dąbrowskim za granicą i, w tysiącznych bitwach udział biorąc, podzielał wszystkie losy legii nadwiślańskiéj i w kraju z powrotem w stopniu pułkownika znalazł się dopiero z utworzeniem księztwa warszawskiego. Na Litwie posiadał obszerne włości, wrócić wszakże do nich nie mógł, cały bowiem swój wiek przesłużył pod chorągwią. nieprzyjazną Rosyi, a nawet majątki, stanowiące własność jego rodzinną, zapisane były na jednego z powinowatych i doświadczonych przyjaciół, aby tym sposobem uniknąć konfiskaty. Po odbyciu kampanii austryackiéj, kiedy się chwilowy wypoczynek żołnierzowi, ciągle zajętemu wojaczką zdarzył, poznał matkę Teresy, Maryę, i zakochał się w niéj z całą siłą pierwotnéj a świeżéj natury. Wzajemność pozyskał prędko, bo któraż z dziewic polskich oprze się bohaterowi, co blisko przez lat dwadzieścia oręża nie składał, a o chłodzie, głodzie i ranach dokupywał się lepszego dla wszystkich losu. Przeciw małżeństwu wszelako nastręczały się rozmaite przeszkody, a najważniejszą była ta, że pułkownik żadnéj klatki dla ptaszka swego nie miał. Wszakże przy dobrych obustronnych chęciach i to się ułożyło jakoś, i pani pułkownikowa niedługo na wojskowéj stała kwaterze, w 1812 bowiem roku mąż jéj w posiadanie majątki ojczyste objął i małżonkę swą w zameczku ojców i dziadów zainstalował. Cieszyć się jednak z sobą długo nie mogli, bo mały kapral wszystkie siły swe pchał w stronę nieznanego wschodniego świata. Nasz pułkownik dosłużył się w téj ciężkiéj potrzebie jeneralskiego stopnia, trzy rany pod Moskwą, pod Możajskiem i nad Berezyną otrzymał i o Maryi swojéj miewał tylko nader rzadkie przez kurjerów wieści.

Kiedy wojska skoalizowane do Paryża weszły, i kiedy uprzejmość cesarza Aleksandra zjednała serca polskich żołnierzy, nasz jenerał do wojska polskiego się zaliczył i wraz z serdecznym swym przyjacielem Dąbrowskim, w radzie wojennéj królestwa zasiadał. Radość atoli z téj narodowéj służby nie była długą: w. książe Konstanty objął nad wojskami polskiemi naczelne dowództwo, a nie oceniając uczuć honoru, jakie w téj całego świata armii się wyrobiło, nie rozumiejąc, że są to ludzie, którzy według słów Béranger'a „bohaterowi służyli," trapił ich drobiazgami; o mundur, niewłaściwie zapięty, i liczbę guzików spory wiódł długie i uwieńczonych laurami Europy na odwach pod Białego-Orła posyłał. Jenerał O., jak wielu jego kolegów, za-

nadto pamiętał o tem, że bohater świata. Napoleon, w czasach, kiedy przyszły na niego najcięższe nieszczęścia, do szefa sztabu, jen. Berthier, takie wydawał polecenia: „*Ne donnez pas les commandements supérieurs aux étrangers, sauf aux Polonais*“ i, nie mógł zrozumieć tego, żeby go, jak rekruta jakiego, drobiazgowéj poddawano kontroli, wszelkie zaufanie cofając.

Dlatego wraz z innymi podał się do dymisyi, a liczne rany i wiek spóźniony usprawiedliwały owo pragnienie spoczynku. W rzeczywistości ze strony starego żołnierza była to ciężka ofiara, od najmłodszych swych lat bowiem do obozu i służby wojskowéj przywykły, spoczynek i cichy na wsi pobyt za śmierć prawie uważał. Krzepiło go jednak właściwie pojęte poczucie honoru i obowiązki względem jedynaczki. jakie po śmierci matki wyłącznie na niego spadały. Z obowiązków tych wywiązał się tak, jak wywiązać się może człowiek, który całe swe życie nie rozumował i nie badał, ale szedł tam, gdzie cnota i powinność go wołały. Pracę wychowania z zakonnicami, nad któremi daleka jego krewna była ksienią, podzielił, i Teresa jego wyrosła pod względem fizycznym na kobietę, tak piękną, jak tylko Polki bywają, pod względem zaś moralnym Bóg, Polska i cnota to były dla niéj trzy kardynalne przykazania. Po ojcu zapewne odziedziczyła dosyć pokaźny zapas energii i woli, któryby ją, zostawioną saméj sobie, jak puklerz bezpieczny, przez błędne drogi życia przeprowadził, ale zarazem oprócz téj samodzielności istniało w niéj bezwarunkowe posłuszeństwo dla ojca, w nieograniczonéj miłości, a w poszanowaniu wielkich jego cnót źródło mające.

Jenerał, zaraz po przybyciu spotkawszy na śniadaniu Nieszokocia, którego najpierw zamiar miał wyszukać, i drugiego kolegę wojskowego, jak sądził, syna przewodnika pierwszego swego w marsowem rzemiośle, z towarzystwa ich nie ruszyłby się cały dzień, zwłaszcza że Imci pan Gerlach wcale znośne wino podawać kazał. Jaksa jednak pierwszy na zegarek począł spoglądać i zadając sobie gwałt wyraźny, całe towarzystwo żegnał.

— Gdzież się tak spieszysz, do stu tysięcy? — pytał jenerał, — przecież dobrym przyjaciołom gwoli, należy poświęcić najczulsze *rendez-vous*, jak to się mnie w Valladolid zdarzyło.

Tu spojrzał na swą córkę, która z naiwnością niewinnego dziecięcia w niego się wpatrywała, i urwał opowiadanie, — zapewne bardzo zajmującej żołnierskiéj awantury.

— Gdybyż o *rendez — vous* chodziło, — tłómaczył się Jakób, — nie byłoby takiego pod słońcem, któregobym dla równie serdecznéj znajomości nie zaniechał... ale... służba, obowiązki a co do tych, jenerał wie, że prawa ich są nieubłagane.

— Jakaż służba do stu kartaczy?; — wytrzeszczając oczy, zapytał jenerał. — Co prawda, dziwnie mi się, pułkowniku, wydajesz w tym twoim czarnym mieszczańskim *redengocie* i nie pojmuję, jakie to u was teraz prawa obowięzują, kiedy tak wysokiemu jak waćpan oficerowi wolno bezkarnie mundur na *cpisierską* szatę zamieniać.

— Bo ja też w wojsku nie służę, — odparł Jaksa, — ale w ministeryum spraw wewnętrznych pracuję, i ponieważ biurowa moja godzina wybiła, mimo więc wielkiéj przykrości, jaką uczuwam, spieszyć na służbę muszę.

— Tfu! do stokroć tysięcy lontów i bagnetów, — zawołał, w stół uderzając jenerał, — skoro służbę wojskową na lemiesz rolnika zamienić musiałem, zdawało mi się, że z tęsknoty żywcem w czarną glebę litewską się zagrzebię. Otóż na wsi jeszcze, wśród poczciwego ludu, z kilkoma wiarusami przy boku, ze słówkiem Bożem i swobodą ruchów, wytrzymać można; żeby zaś zagrzebywać się w *paperasach*, urzędowe raporta i protokuły gryzmolić i zamknąć się w czterech ścianiach wilgotnych murów, to mi wprost dla wojaka niemożliwem się wydaje. Bój się Boga, czyż ciebie stęchlizna bibuły nie zabija?

Jakób się uśmiechnął jakoś kwaskowato i nie wiedział, co mówić, ale Nieszokoć ze zwykłą sobie tężyzną i umiejętnością radzenia zainterweniował:

— Jenerale, — zawołał, — czyż nie pojmujesz, że nie ten tylko żołnierz, co placówki wojskowéj uparcie broni, ale i ten, co w czasie pokoju miecz od bioder odpasawszy, idzie organizować administracyę kraju, pilnuje, żeby intruzy tam się nie dostały, a narodowego pola nie zaplugawiły. Pułkownik nasz tak uczynił i niezawodnie takież same to bohaterstwo jak zdobywać wąwozy Somo-Sierry lub wśród pobojowiska do ostatniego oddechu *qui vive* krzyczeć. Za tę jego ofiarność dzięki mu się tylko należą, i zaiste nikt więcéj jak jenerał, który tak zaszczytnie obowiązek pojąłeś, niezdolny jest ocenić takiéj ofiary.

Jenerał siwemi brwiami poruszył, jakby wątpliwości w duchu jego się rodziły, niemiéj przeto prawicę do Jakóba wyciągnął i z całą żołnierską szczerością rzekł mu te słowa:

— Wiem zacny młodzieńcze, że wszystko, co czynisz, czynisz dobrze. Gwarantuje mi to najprzód okoliczność, iż jesteś synem Piotra, co wystrzelawszy kartacze, tak dzielnie kosynierów na działa nieprzyjacielskie prowadził, a jeszcze bardziéj to, że w tak młodym wieku, dosłużywszy się wysokiej rangi pułkownika, przeszedłeś szkołę wojskową, jedyną, która właściwego pojmowania obowiązków uczy. Idź więc, gdzie cię woła twoja powinność, ale zarazem daj mi słowo, że razem z nami zjesz obiadek, i że zawsze z nami się spotkasz, ilekroć obowiązki twoje na to pozwolą.

Jakób serdecznie ścisnął dłoń podaną, a gdyby co do zgody na to sumaryczne zaproszenie powstały jakie w umyśle jego wątpliwości, rozwiaćby się one musiały pod czarem dwóch czarnych oczu Teresy, które do słownéj prośby ojca, wymowniejszą jeszcze, choć niemą łączyły.

— Może wam jednak szczegółów oszczędzić, — rzekł major, — a po prostu o tém, co się stało, zawiadomić.

— Owszem, jaknajwięcéj szczegółów, — zawołaliśmy obaj.

Major wyjął zegarek i spojrzawszy na niego, rzekł:

— W pół do dziewiątéj, dwie i pół godziny, zanim nas na obiad, czy na śniadanie, bo nie wiem, jak to się tu nazywa, zawezwą. Jeżeli więc cierpliwość wasza nie wyczerpała się dotąd, słuchajcie:

Że się pułkownik punktualnie na obiad stawił, zapewniać was nie potrzebuję. Że obiad ten był jeszcze weselszy niż śniadanie, to także rzecz bardzo naturalna, że zaś Teresa głównie teraz bawienie gości na siebie przyjęła i że wyłączną uwagę zwracała na Jakóba, rzecz to trochę dziwniejsza, ależ sławiona po świecie cnota gościnności naszéj przeważnie od niewiast polskich pochodzi i w nich wyrabia się prawie instynktowo.

Objawienie to jednak w Teresie było trochę za nadto niespodziewane i gwałtowne. Nie widział tego Jakób, który szczególnéj téj pieczołowitości wyłącznym był celem, ale dostrzegał Nieszokoć, obserwował jenerał, który po klikakroć brwi marszczył, wśród gawędy z towarzyszem broni się zamyślał i czoło, jakby pod ciężarem jakiejś troski, pochylał. U rodziców, którzy w dzieciach swoich świat cały widzieć zwykli, pewnego rodzaju strapienie wywołuje pierwszy uczucia dla obcéj osoby objaw, boją się bowiem, że ten śliczny ptaszek, któremu takie cudne piórka nadali, gotów od nich odlecieć, gotów z zapomnieniem przeszłości zacząć nucić innemu. Że rodzicielskie serce w takich

razach przedsmak uczucia zazdrości doznaje, czyż dziwić się można?... A zresztą może jenerał miał już względem córki jakie projekta, boć to ci starzy ojcowie budują zamki na lodzie co do przyszłości swych dzieci, kiedy te jeszcze w pieluchach spowite leżą..

Jakób cały wieczór rozpromieniony był i szczęśliwy, i dopiero, kiedy po schodach hotelu późno w noc z Nieszokociem schodzili, zadumał się, stanął na ulicy i rzekł do przyjaciela:

— Mój kochany, czemużeś mnie w takiéj fałszywéj postawił pozycyi? Stary najzupełniéj wierzy, żem ja pułkownik, a czyż godzi się utrzymywać go w błędzie? Za kogóż on mnie uważać będzie, skoro się dowie, żem prochu wcale nie wąchał?

— Furda, mój bracie, — rzekł śmiejąc się Nieszokoć. — Znam starego. Sentymenta, jakie raz poweźmie, cofa niełatwo, i choć zapewne lepiéj by było, żebyś dla niego był pułkownikiem, ale niech o téj twojéj towarzyskiéj godności dowie się jaknajpóźniéj. Panna do ciebie od pierwszego spojrzenia jak kleszcz przylgnęła, jenerał przekona się, że nietylko między żołnierzami uczciwi są ludzie, i quis scit co za górą? Może kosmatą ręką cię powitamy w tym karnawale, a tobie, jako wielkiemu urzędnikowi, żony przecież potrzeba. Tu zaś nietylko piękne liczko, ale i krew szlachetna i fortunka co się zowie okrągła.

— Oj furfancie ty, furfancie, — odpowiedział Jakób z odcieniem pewnego zadowolenia w głosie. — Nie przeczę, że mi się ta prześliczna przylepka podobała, jak nigdy żadna niewiasta, ale przypuszczasz rzeczy, na które się jeszcze muchy nawet nie gonią. — Bądź, co bądź, trzeba sprawę na czystą wyprowadzić wodę, i wyjść z fałszywéj pozycyi, w któréj mnie szanowni moi koledzy a głównie ty postawiłeś.

— Gdzież idziesz? — zapytał Nieszokoć, — wszakżeż droga nasza na prawo.

— Zajdę jeszcze do pułkownika Prądzyńskiego, — odparł Jakób, — spać jeszcze nie powinien, a może i ty mi towarzyszyć zechcesz.

Nieszokoć pod latarnią, pod którą właśnie przechodzili, zatrzymał się i bystro w Jakóba się wpatrzył.

— Do Prądzyńskiego z tobą nie pójdę, — rzekł wolno, i badawczego wzroku z przyjaciela swego nie spuszczając. — Prądzyńskiego wielkie talenta oceniam, ale nie jest to człowiek mojego gatunku. Kto gospodaruje z książki, kto coś tam robi z apteki i wojuje z planów i dzieł uczonych, nie wielka to

z tego pociecha. Ale pocóż ty u stu tysięcy o tak późnéj porze do wielkiego stratega się wleczesz? Czyżbyś może na ochotnika do armii chciał się zaciągnąć? Cha, cha, cha, byłoby to wyborne, ale przyznam ci się, wolałbym cię widzieć ministrem, aniżeli jenerałem.

Jakób nic nie odpowiedział, zrobił tylko minę tajemniczą, i w milczeniu na pożegnanie rękę przyjacielowi podał.

Może Nieszokoć w domysłach swoich nie był zbyt daleki od prawdy, musiał istnieć bowiem jakiś cel ukryty w téj późnéj Jakóba u Prądzyńskiego wizycie.

Prądzyński, pracą naukową we wszystkich wolnych swych chwilach zajęty, nie miał czasu na hulanki i zabawy i dla tego w kołach koleżeńskich nie był popularnym, ale mimo to każdy głęboką wiedzę jego cenił, charakter wzniosły szanował, a długie więzienie w Petersburgu, do jakiego za należenie do spisków go wrzucono, i z jakiego niedawno powrócił, dodawało mu jeszcze uroku. Żołnierz ten, małomówny zawsze i poważny, z oczami wbitemi w ziemię, z cerą bladą i jakby nalaną, na któréj ślady długiego zamknięcia w lochu pozostały, wzbudzał w każdym szacunek, a Jakób, który między przyjaciół swoich go liczył, więcéj może, aniżeli inni znajomi, oceniał daleko sięgające jego plany.

Kiedy do kwatery podpułkownika się dostał, znalazł go bez munduru, z rozpiętą kamizelką, siedzącego wśród stosu ksiąg i różnokolorowemi szpilkami wytykającego na mapach jakieś ścieżki i szlaki. Pracownik tak tą robotą był zajęty, że nie słyszał, kiedy ordynans drzwi gościowi otworzył, i kiedy ten stanął przy jego stole.

Jakób musiał go lekko po ramieniu uderzyć.

Prądzyński drgnął, jakby z głębokiéj jakiéj zadumy zbudzony, i jasno-siwe duże swe oczy w przybyłego utkwiwszy, czas jakiś w niego patrzył, aż poznawszy, z przyjaznym uśmiechem rękę doń wyciągnął i serdecznym rzekł głosem:

— Jak się masz, mój Jakso? Cóż to ciebie tutaj do takiego jak ja samotnika o tak późnéj godzinie sprowadza?

Jakób z fotelu obok stołu stojącego leżące na nim książki usunął i usiadłszy, zapytał z kopyta:

— Powiedz mi, mój drogi, co pułkownik umieć i wiedzieć powinien?

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Prądzyński, — a toż pytanie! Gdybym nie wiedział, że mówi to mój Jakób, o którego

bystrości i rozumie zanadto dobre mam wyobrażenie, tobym gościa podobnego wziął za półgłówka. — Co pułkownik wiedzieć powinien? — Mój drogi, czyż nie wiesz, że *ars longa* a *vita brevis*. Patrz na te szafy, książkami napchane, patrz na te stosy map i planów, wszystko to przewertowałem, przetrawiłem, a czy myślisz, że o wojskowéj swéj wiedzy mam zbyt korzystne wyobrażenie? Jeszczeż mniejsza, kiedy wypada zaznajomić się jedynie z pracą wieków całych, rzecz to bowiem wytrwania i gorliwości. Ale, gdy przyjdzie nabytą tę teoryą w praktyce zastósować, z naśladowcy zrobić się twórcą, wtenczas zaufanie we własne siły upada, wtenczas wydaje się, że nabyta nauka była prostem zmarnowaniem czasu. Nawet ów geniusz, na którego wydanie pracowało ośmnaście wieków, ów prawdziwy bóg wojny, Napoleon, i on się mylił. Patrz, — i to mówiąc, do stołu, przy którym przedtém siedział, i do rozłożonych na nim planów przystąpił i na pozatykane kolorowe szpilki wskazywał.

— Napoleon twierdził, że kto jest panem owego trójkąta między trzema rzekami, między Warszawą, Modlinem i Serockiem zawartego, jest panem Polski. Nieprawda, błąd oczywisty, bo zważ jeno ruchy wojsk nieprzyjacielskich w takim kierunku, jaki tutaj poznaczyłem.

I, wpadłszy w zapał, jakby przed największym znawcą, perorował, szpilki z miejsca na miejsce przenosił, nowe szlaki ołówkiem kreślił, na marginesach map zapisywał cyfry, które dodawał, odejmował i mnożył. Przytem oko jego blaskiem twórczym świeciło, czoło pod natężeniem umysłowem sfałdowało się w bruzdy, ręce drżały, a twarz bladą lekki rumieniec zabarwił.

Jakób wiele z tych rzeczy nie rozumiał, ale w każdym razie dowiedział się, że, aby być wyższym oficerem, nie dosyć odwagi, tężyzny, brawury, trzeba jeszcze wiedzy specyalnéj, w któréj najrozmaitsze gałęzie umiejętności się kombinują. Zdziwiony, oszołomiony niemal, słuchał cierpliwie wykładu i długiéj krytyki napoleońskich strategicznych teoryi, aż, gdy Prądzyński zmęczony przestał na chwilę, przerwał mu spiesznie.

— Daj pokój, — rzekł. — Wszystkiego, co mi mówisz, zrozumieć nie jestem w stanie i widzę tylko, że mi odkrywasz nowe horyzonty, o których dotąd pojęcia nie miałem. Ale czyż wszyscy oficerowie, tak nasi, jak i obcy, podobny zapas wiedzy mogą posiadać?

Prądzyński się uśmiechnął.

— Wiesz o tem, — mówił, przechadzając się z rękami

w tył założonemi, — że wojsko, jako całość, jest przeważnie masą bierną na szachownicy działań wojennych, tam i owdzie posuwaną. Właściwe pojęcie o powinności i honorze, karność, odwaga i waleczność są to już przedmioty, które dobrego podkomendnego oficera wytwarzają. Ale jeśli w całéj pełni odpowiedzialność, jaka na armii spoczywa, zrozumiesz, jeśli nie kontentujesz się powolnem spełnianiem rozkazów, lecz chciałbyś z młodego mózgu wydobyć coś, coby się na pożytek ojczyzny obróciło, wtedy bez najobszerniejszéj wiedzy nie będziesz nietylko głównodowodzącym jenerałem, ale nawet najniższym oficerem sztabowym. Nieszczęśliwi są ci, co w tym kierunku przejrzeli, bo stają się wiecznie pragnącymi Tantalami...

— Jeśli jednak ktoś — wtrącił mimochodem Jakób, — na téj drugiéj, biernéj roli by poprzestał, niemniéj przeto obowiązek względem kraju godnieby spełnił.

— Zapewne... — rzekł głucho Prądzyński, — i w zamyśleniu, milcząc, po obszernéj komnacie się przechodził.

— Czy teraz, na ochotnika do armii wstąpiwszy, — pytał po pewnem wahaniu Jaksa, — możnaby mieć jaką nadzieję awansu i wydobycia się z szeregów prostego żołnierza?

Prądzyński zdziwiony stanął.

— Dla czegóż mnie o to pytasz? — rzekł.

— Bo . . . bo, — bąkał Jakób, — jabym się do służby wojskowéj zaciągnął.

— Ty? W imie Ojca i Syna, a cóż za dzika jakaś idea, i zkądże ci nagle to przyszło?

Sumienie mi wyrzuca, że kiedy cała młodzież polska wśród wrzawy wojennéj wyrosła i oręż przy boku nosiła, ja sam tylko prochu dotąd nie powąchałem.

Przy tych słowach zaczerwienił się mocno, snać kłamać rzadko mu się przytrafiło, i nie miał potrzebnéj w tem rzemiośle wprawy.

— Myśl najzupełniéj niepraktyczna, — mówił nie przyjacielskim już, ale raczéj profesorskim tonem Prądzyński. — Najprzód w armii dziś na ochotników nie ma miejsca, bo choć kadry nie są pełne, jednak wielki książe, na wprowadzenie nowych mundurów wielkie porobiwszy wydatki, chce wyrównać budżet przez angażowanie mniejszéj liczby żołnierzy. Zresztą, gdybyś nawet przy protekcyi do armii się dostał, to i jakież widoki? Wyuczysz się mustry, i na tem koniec. O awansie mowy być nie może, bo ten się zyskuje głównie w czasie wojennym, a oka-

zyi żadnéj na widoku nie ma. Ponad te wszystkie jednak względy istnieje jeden, który mi się najważniejszym wydaje. Pochlebiam sobie, że znam cię dobrze i wiem, iż umysł twój bystry, ruchliwy, do istoty rzeczy sięgający, złamie się, wypaczy i zniszczeje pod naciskiem drobiazgowości, jaka u nas panuje. Licząc codzień skrupulatnie guziki, czy przypadkiem nie zabrakło z nich którego, czyszcząc obuwie i przystrzygając wąsy do ustalonéj miary, zadrżysz ze zgrozy, przekonawszy się, że ludzie do takich głupstw znaczenie największe przywiązują, a pragnienia z uczynkami zmierzywszy, staniesz się właśnie jednym z owych nieszczęśliwych Tantalów.

Jaksa westchnął smutno, a Prądzyński tymże samym tonem mówił daléj:

— Twierdzenie, że nie służąc wojskowo, odpowiedniego krajowi nie przynosisz pożytku, jest absurdem, który się mógł wylądz tylko w chwili jakiegoś chorobliwego marzenia. Choć sam żołnierz, zbytniéj wagi stanowi temu nie nadaję i wiem, że ludzkość wtedy dopiero będzie szczęśliwa, kiedy pasożyta takiego, jak żołnierz, karmić, przyodziewać, ekwipować, odejmując sobie od ust kawałek codziennego chleba, nie będzie potrzebowała. Żołnierz tolerowanym jest dzisiaj tylko, jako *malum necessarium*, kiedy ty, rozumem swym i gorliwością wprowadzając w kraju ład i porządek, stokrotnie wywdzięczasz mu się za pożytki, jakie ci w zamian zapewnia.“

— Dziwny masz dar, majorze, — wtrącił Stanisław, — charakteryzowania osób i czasu. Prądzyński był dalekim moim krewnym, i choć go sam osobiście nie znałem, nasłuchałem się wiele o nim od ojca i wertowałem jego rękopisy, które nie wiem już dla czego, w nieosobliwéj fracuzczyźnie pozostawił. Dziwna to rzeczywiście figura. Zdolność, niezaprzeczenie pierwszorzędna ale przytem teoretyk, marzyciel niemal, tracący całą energią, kiedy przychodziło do czynu. Zastanawiająca w każdym razie ta niedawna przeszłość nasza. Jeden od drugiego zdolniejszy, jeden od drugiego szlachetniejszy, a nikt prawie nie jest na właściwem zdolnościom swym stanowisku . . .

Uwaga ta Stanisława i mnie rozmaite wspomnienia na myśl nasunęła, ale nie wytrzymałem, aby nie zemścić się, i wtrąciłem.

— No, teraz to już nie ja chyba opowiadanie przerwałem.

— A, pozwólcież mi przez Bóg żywy, — wtrącił rubasznie major, — na maleńką pauzę. Ponieważ słońce tu już zaglądać

poczyna, przenieśmy więc gdzieindziej nasze Penaty, a w czasie przenosin zajdźmy do restauracyi na kieliszek wódki.

Propozycyę przyjęto przez aklamacyę, i kiedyśmy nowe wyszukali ustronie, major tak daléj prawił:

„Czy duch pobożności stanowił jedną z cech charakteru Jaksy, powiedzieć nie umiem, wiem tylko, że kiedy jenerał do Częstochowy się wybierał, jemu także przyszły pewne skrupuły sumienia, pewne wota, dawno czynione, i utyskiwał, że zajęcia nie pozwalają mu wybrać się na Jasną-Górę.

— Czemużbyś z nami, mój pułkowniku, pielgrzymki téj nie odbył? — zapytał jenerał. — I nam w twojem towarzystwie byłoby weseléj, i tybyś dawnym swym ślubom zadość uczynił.

— Służba, obowiązki, — tłómaczył się Jakób, ale w duszy rad był z propozycyi, wiedział bowiem z góry, że uzyskanie bodajby kilkotygodniowego urlopu zbyt trudnem mu nie będzie.

Rzeczywiście jenerał póty nastawał, póty molestował, póty jałowości prac urzędniczych dowodził, aż Jaksa wreszcie oświadczył, że zapyta swojéj zwierzchności, czyby go na czas pewien od obowiązków uwolnić nie mogła. Kiedy zaś Teresa, przypuszczając możliwość wspólnéj podróży, radośnie w rączki klasnęła a w oczy Imci Pana Jaksy spojrzała głęboko, już tam wtenczas żadnéj wątpliwości o urlopie nie było, bo pan Jakób wziąłby dymisyę, ze wszystkimi zwierzchnikami się skłócił i służbę swą w jednéj chwili by skończył, gdyby mu w téj tak wiele obiecującéj podróży jakiekolwiek przeszkody stawiano. Przeszkód atoli żadnych nie było, i Jaksa, który z urlopów korzystał bardzo rzadko, z łatwością nietylko tygodniowe, ale nawet miesięczne zwolnienie od służby uzyskał.

Odbywali więc podróż razem w ciężkiéj sześciokonnéj jenerała karocy, a odbywali ją długo, bo para była jeszcze wówczas nieznana, a jenerał, szanujący konie, na często zatrzymywał się popasy i jeśli zdarzyła się jaka ciekawsza dla jedynaczki jego miejscowość, nie wahał się zrobić nawet dniówki.

Wiadomo, że w podróży szybko poufałość się wiąże, a między Jaksą i Teresą od pierwszéj chwili istniały już serdeczne nici, które w miarę okoliczności zewnętrznych ścieśniały się, na grubości i wytrzymałości zyskiwały, i coraz więcéj się skracając dwoje tych młodych ludzi zbliżały ku sobie. Pan Jakób znał wybornie Koronę, a historya kraju była mu nie obca, to też zadomowionéj Litwince wykazywał zalety Mazowsza, a w wspólnéj miłości kraju dusze ich zlewały się w melodyjny akord.

Stary jenerał, prawda, nieraz w ciężki ambaras go wprawiał, zwracając rozmowę do rzeczy wojskowych i do jego pułkownikostwa, ale wtenczas z interwencyą przychodziła Teresa, ojczyka pieściła, pocałunkami usta mu zamykała i rozmowę sprowadzała na przedmioty, i dla niéj przystępne. Czy instynktem swym kobiecym zgadywała, że z téj strony grożą jakieś niebezpieczeństwa, trudno przypuszczać, a raczéj należy myśleć, że szła w tym względzie za swojemi gustami i usposobieniami.

Tak węzeł ten coraz zacieśniał się i wzmacniał, a nawet jenerał, który na rzeczach miłości znał się mniéj, niż na militarnych sprawach, zaczął dostrzegać, że jego jedynaczka zanadto silnie jakoś lgnie do owego Koroniarza. Z takiego jéj usposobienia cieszyć się powinien, boć dla rodu Jaksów miał wyłączną konsyderacyę, a i pan Jakób był dla niego wielce sympatyczną osobistością. Jedyna myśl trapiła go tylko ustawicznie i na popasach sen mu odbierała. Owo pułkownikowstwo Jakóba wydawało mu się jakoś podejrzanem. Przecież on rok rocznie kalendarzyk wojskowy studyował w czasach, kiedy Jaksa mógł być w armii czynnym, o wyższym więc oficerze wiedzieć powinien, zkądże i jaką drogą spadło na niego owo pułkownikostwo? Czyżby jaka obca potencya stopnia mu tego udzieliła, i czyżby z nim miał się przenieść w szeregi wojsk polskich? — Ha, może być, zwłaszcza że, do służby cywilnéj czując wyjątkowe zdolności, zaledwie że zatwierdzenie uzyskał, podał się do retretu. W końcu, kiedy wątpliwości bardzo się już jedne na drugie napiętrzyły, przypomniał sobie jenerał Nieszokocia i wszystkie swoje obawy utłumił temi słowy;

— Pułkownikiem go nazywa on, który kłamać nigdy nie umiał i który wie, że kłamać przed zwierzchnikiem nie wolno, więc . . . *allons donc, pas de crainte* . . .

W takich usposobieniach dojechali do Częstochowy. Różnie to tam wy dzisiaj mówicie, czy kobieta powinna, czy nie, być pobożną, ale i dzisiaj nawet nikt z was nie zaprzeczy, że niewiasta, rozmodlona przed świętym ołtarzem i na skrzydłach uniesienia duchowego wzlatująca do nieba, do serca męzkiego uporczywie się wkrada, bo mężczyzna czuje, że obowiązkami swemi na całą pracę i surowość życia skazany, odświeży się odmłodzi i wzniesie, skoro go od czasu do czasu towarzyszka jego w idealne sfery pociągnie. Jeszczeż Jasna-Góra oprócz religijnego ma także dla nas wysokie narodowe znaczenie. Ztąd roty szwedzkie zawstydzone, pójść precz musiały; chroniący się tutaj Kazi-

mierz Pulaski trząsł potężnem państwem wschodniem, a zakopcone oblicze Świętéj Patronki nie ze sztuką, ale z uczuciem przez św. Łukasza narzucone na cyprysowéj desce, od tylu wieków patrzy z miłością na plemie polskie i zdaje się je pogodą lica swego zapewniać, że nieszczęścia jego są przejściowe.

Jakób, uczuciami temi przejęty, znajdował się w ciągłéj jakiéjś ekstazie, a jeśli wzruszeniem przejmowała go siwa głowa starego wojaka, tarzająca się w prochu na stopniach ołtarza Najświętszéj Panienki, już do aniołów się prawie podnosił, kiedy widział Teresę po odbytéj spowiedzi w białej szacie przystępującą do Stołu Pańskiego. Dla czystéj jéj duszy ta suknia śnieżysta zdawała się najwłaściwszym strojem, a oczy jéj z taką śmiałością wznosiły się w niebo, jakby tam nie protekcyi i opieki, ale właściwego sobie towarzystwa szukały.

Kiedy po Komunii dziewiczéj wysłuchano wspólnie uroczystéj Mszy Świętéj, za spokój dusz przodków zakupionéj, kiedy po skromnym hotelowym obiadku jenerał, licznemi wzruszeniami zmęczony, drzemać zaczął w głębokim fotelu, oboje młodzi, chcąc go w spokoju zostawić, wysunęli się na ulicę, a ztamtąd zaszli mimowoli na Jasną-Górę. Tam przechadzając się, okrążali klasztor pauliński. Po kilkakroć zatrzymywali się przy zjeżonych blankami murach. Ztąd ruiny Olsztyna, ozłocone słońcem, zębatemi szczerby do nich świeciły; ztamtąd siniejące w dali Karpaty tęsknotą jakąś i wybitnem ograniczeniem polskich rubieży do serca im się darły. Pomiędzy nimi a temi dalekiemi widokami rozesłała się cudowna szachownica świeżo zżętych różnokolorowych ściernisk; niesprzątnięta jeszcze gryka czerwienią karminu świeciła, a zielone łąki wśród téj gry kolorów przewijały się szmaragdowemi wstęgami. Obok nich na straży stanęły szare mury, naszpikowane szwedzkiemi i rosyjskiemi kulami, kościół olbrzymi podnosił niekształtną swoją i przez liczne pokolenia kleconą masę, a na szczycie głównego frontonu głowę węża ścierająca Niepokalana Panienka wyciągnęła ręce, pełne promieni łask, i zdawała się błogosławić uczuciom, jakie rozpierały ich serca.

Świerszcze polne świegotały gdzieś w trawkach; z murów klasztornych dobiegała ponura, chóralna pieśń mnichów, na horyzoncie barwą czerwoną i żółtą mieniły się lasy w najpiękniejszym swym stroju jesiennym, woń jakaś zalegała powietrze, i od chwili do chwili uroczysta cisza tłumiła wszystkie ziemskie szmery. Jakie w monetach podobnych uczucia rozpierają pierś

naszą, któż z was nie wie, moi chłopcy kochani? I wyście zapewne do Częstochowy, do téj naszéj Mekki, odbywali pielgrzymkę, a balsam, jaki się tam do serca polskiego leje, podziałał na was niezawodnie, mimo że pan Stanisław żartować sobie nieraz z tych rzeczy pozwala.“

Stanisław chrząknął niecierpliwie i rzekł:

— No, o tem byłoby bardzo wiele do powiedzenia, ale to do przedmiotu nie należy. I cóż więc się stało wśród téj polskiéj przyrody i wśród tego polskiego otoczenia?

„Ba! to się stało, co się stać musiało,“ — odpowiedział major, — „jeśli kość z kości i krew z krwi Polka opierała się na ramieniu sympatycznego sobie Polaka. Musieli sobie wkońcu wyznać, że przyjaźń ich to nie jest przyjaźn, ale kochanie, i powiedzieli zarazem, że kochanie to trwać będzie „do końca świata i po końcu świata.“ W jakich terminach to się odbyło, nie wiem dokładnie, bo Teresa, która przedemną żadnych skrytości nie ma, ilekroć mówiłem z nią o téj pierwszéj i jedynéj na Jasnéj-Górze rozmowie, w zadumę popada głęboką; oczy jéj łzami zachodzą, milknie, jak Niobe, a kiedy przyjdzie do siebie, twierdzi, że są chwile, które się w ludzkim języku opowiedzieć nie dadzą. Tego się jednak nie waha dodawać, że po wyznaniu i przyrzeczeniach bezwładnie na ramieniu jego zawisła, a on męzką dłonią ujął jéj kibić, i twarz swą nad jéj usty pochylając zbliżał się do nich coraz bardziéj i bardziéj. Ona była co tylko po spowiedzi, czysta, jak gołąbka niebieska, a z nauki klasztornéj tyle przecież wyniosła, że wiedziała, iż całować mężczyznę grzechem jest śmiertelnym, a jednak, widząc purpurowe jego wargi, poprzez ciemnokasztanowaty wąs przeświecające, tyle rozkoszy, tyle słodyczy w dotknięciu ich przewidywała, że pragnęła, aby one z ustami jéj skleiły się co najprędzéj, żeby spotkawszy się z niemi raz, pozostały tak złączone na wieki . . .

Ale na cmentarzu kościelnym ukazał się siwy mnich, w białe szaty ubrany, chrząknął silnie, jakby przed niebezpieczeństwem przestrzegał i kiedy oni oboje przestraszeni do domu pospiesznie wracali, zakreślił nad nimi krzyżyk w powietrzu, a Teresa, poznawszy, że to był zacny jéj spowiednik, nie poczuła w sumieniu żadnych wyrzutów, ale owszem cichą jakąś radość i ufność.

Kiedy wieczorem Jakób do swego poszedł mieszkania, i kiedy się umówiono, że na drugi dzień o piątéj rano wracać mają do Warszawy, Teresa, która przez cały wieczór dziwnie

radosna była i ożywiona, wskoczyła na kolana swego ojczyka, miękkie swe ramię na szyję jego zarzuciła, tuliła się do jego piersi i pomarszczoną twarz jego pocałunkami okrywała.

— Cóżeś dzisiaj taka wesoła, dziecię moje? — rzekł stary? — Dawno już mojéj szczebiotki w usposobieniu podobnem nie widziałem.

— Ojczyku drogi, — mówiła ona, — mama nieboszczka nie napróżno mnie do Częstochowy wyprawiła, bo wiedziała, że tu, a nie gdzieindziéj szczęście mnie czeka. Mówiłeś mi już parę razy ojczyku, że każda kobieta wyjść za mąż powinna. Otóż ja męża już znalazłam, ale jakiego! Widocznie tylko z ręki Najświętszéj Panienki podobny mógł mi być ofiarowany.

— A! przez Bóg żywy — zawołał, prostując się nagle i Teresę na brzeg kolan swoich spychając, jenerał, — a toż znowu co takiego? Męża masz bez wiedzy ojca, i gdzieżeś go znalazła?

— A toż dopiero ojczyk niedomyślny, — rzekła, przymilając się znowu, dzieweczka, — toż to nie kto inny, tylko pan Jakób, pan Jaksa, pan pułkownik, człowiek, którego i papa wielce szanuje i konsyderuje.

— Jakto? on już twój mąż? — zawołał, zrywając się z siedzenia, jenerał. — *Sacrebleu!* i kiedyż to się stało?

— No, nie jest jeszcze, ale nim będzie, — zawołała, śmiejąc się, dziewczyna, — jakiż to papa śmieszny, że się tak przestraszył. On mi tylko powiedział, że mnie bardzo miłuje, a ja, — och! ja — jego tak kocham, że chyba więcéj, niż tatkę. Ponieważ zaś ojczyk mówił, że każda kobieta za mąż wyjść powinna, ponieważ nam obojgu przyjemnie będzie bardzo się pożenić . . . więc myślałam, że najbardziéj radosną nowinę ojcu dobrodziejowi zwiastuję.

Jenerał tymczasem przechadzał się wzburzony i we wzruszeniu swem, nie bardzo rachując się ze słowami, mruczał pod wąsem:

— Zawcześnie, mościa panno, zawcześnie. Trzeba aśćce wiedzieć, że mężczyzna dopiero za wolą i zgodzeniem się rodziców o rękę panny prosić może. Aśćka, przyrzekając mu, że jego żoną zostaniesz, postąpiłaś nieprzyzwoicie, sama mu rzuciłaś się na szyję, a i to jejmościance nie robi zaszczytu, że nie wahasz się wyznać, iż gladysza, którego dopiero od kilku dni widzisz, kochasz więcéj, aniżeli ojca, który cię na rękach swoich

wyniańczył, wyhołubił, — jak pieszczotkę, przy sercu swojem nosił i resztki krótkiego żywota dla ciebie by oddał.

Teresie bardzo smutno się zrobiło; przestraszona załamała rączki i przez łzy rzewnym usprawiedliwiała się głosem.

— Jak mamę kocham, ja się na szyję jemu nie rzucałam, ja wiem jeszcze od siostry Jukundy, że całować mężczyzn grzech to jest wielki . . . Prawda, że ja jego kocham i bardzo kocham, ale ja przecież kocham i tatkę. On będzie wszak tylko moim mężem, a tatko zawsze najlepszym pozostanie ojczykiem. Będziemy żyli razem, będziemy się miłowali wzajemnie i będziemy szczęśliwi, jak w niebie . . .

— Dosyć tego turkawkowego gruchania! — zawołał nagle, przed nią się zatrzymując, jenerał. — To, coś aśćka uczyniła, źleś zrobiła, bo zaangażowałaś się przyrzeczeniami, nie wiedząc jeszcze o woli i planach rodzicielskich. A i on, poczekaj, kawalerze! jak lis, chyłkiem do cudzych kurników się wkrada. Dowiodę wam, że ze starym żołnierzem bezkarnie żartować nie można. *Sacré Dieu, nom de Dieu, mille tonneres de Brest et de Bourgogne!!!*

Dziewczyna w coraz większy przestrach wpadała i nie mogąc już panować nad sobą, rzewnym się płaczem zaniosła.

Jenerałowi czułe serce jego drgnęło, zatrzymał się w swéj po pokoju przechadzce, położył na piersi główkę Teresy i spokojniejszym już, ale surowym głosem jéj zapytał:

— Ty, dziecię, wszystkiego jeszcze nie rozumiesz, ale zapytuję ciebie, gdyby stary twój ojciec zadecydował, że Imć pan Jaksa mężem twoim być nie może, czyżbyś posłuszeństwa mu odmówiła, czyżbyś nie umiała zapanować nad swojem uczuciem?

Teresa wyprostowała się dumnie, oko jéj ogniem błysnęło, na gładkiem czole zarysowały się podłużne marszczki, i uroczystym głosem, jakby zupełnie świadoma siebie niewiasta, wyrzekła:

— Przysięgam ci, ojcze, na pamięć i cienie méj matki, że wola twoja będzie zawsze dla mnie stanowczym rozkazem, że przeciw niéj nigdzie i nigdy nie pójdę, choćby mi z bólu serce miało pęknąć. Znam jednak twoją dobroć i wiem, że szczęściu córki sprzeciwiać się nie będziesz, bo w niéj i dla niéj żyjesz.

Ta powaga, ten ton uroczysty zdumiły jenerała, gdyż dotąd w Tereni swéj dziecko tylko widział, żal mu się więc zrobiło, zaczął ją uspakajać, na piersi swéj tulić i do prędkiego pójścia na spoczynek zachęcać.

Powrót towarzystwa całego do Warszawy był już mniéj swobodny, niż droga do Częstochowy. Wszyscy troje mieli pomiędzy sobą sekret, który dla żadnego z nich tajemnicą nie był a który jawnym uczynić i poddać go dyskusyi należało. Przedewszystkiem był to obowiązek Jakóba, ale mu do tego brakło odwagi, przymiotu, który stanowi wyłączną właściwość żołnierską a on niestety żołnierzem nie był.

Kiedy do stolicy wrócono, i kiedy Jakób, z niewyekspirowanego swego urlopu korzystając, do biura jeszcze nie zajrzał, wpadł do niego gwałtownie Nieszokoć i z żołnierską otwartością wprost przystępując do rzeczy, zawołał:

— Cóżeś ty najlepszego zrobił, warjacie? Zapomniałeś chyba o starym, a zakorzenionym szczególnie na Litwie obyczaju naszych ojców, że źle jest uważany ten konkurent, który bez przyzwolenia rodziców najprzód o względy panny zabiega. Tyś się o rękę Teresy jéj saméj oświadczył, ojcu nic o tem nie wspominając; nie wiedziałeś chyba, że dziewczyna, w takich jak ona wychowana zasadach, wszystko przed ojcem wyśpiewa. Zresztą pocóż sekret tam, dokąd bez zezwolenia ojca nie dojdziesz?

Jakób poczerwieniał cały, jakby na rzeczywistem jakiemś przestępstwie schwytany, i usprawiedliwiać się począł.

— Ależ ja jéj wcale się nie oświadczałem, — mówił, — pod wpływem tylko silniejszego wzruszenia wyznałem, że ją kocham, a jak się miłość nasza ma zakończyć, o tem nie pomyślałem ani na chwilkę.

— Tere-fere-kuku! — zawołał, niecierpliwiąc się, Nieszokość. — Więc kochasz ją, powiadasz?

— Ach, mój drogi, mój jedyny, i jak, gdybyś wiedział. Oprócz niéj niemasz dla mnie nic pod słońcem, i bez niéj, anibym chwili wyżyć nie zdołał.

— No więc pewnie za przykładem owego Gustawa, którego to tak cudnie nasz Adam litewski opisał, nie będziesz nosił się z cyprysową gałęzią, nie będziesz sztyletem straszył jasnych panów, ale po bożemu i po szlachecku wszystko na kobiercu zakończysz. Żelazo zaś trzeba kuć, póki gorące, i z afektu panny korzystać. Stary dla ciebie jaknajlepiéj jest usposobiony, i jedna, jedyna tylko zachodzi przeszkoda . . .

— Wiem, — przerwał Jaksa, — przeszkoda fatalna, w któréj i tyś, wyznaj, zawinił niepomału, — owo wymyślone pułkownikostwo, które bodajby z piekła nie wyjrzało nigdy, zanim na moje barki spadło. Gdyby nie ono, dawnobym już u nóg

jenerała leżał, dawnobym na klęczkach o rękę córki jego żebrał. Ale zrobić z nim znajomość w charakterze cudzych piórek, kawki, za pawia przebranéj. w błędzie tym aż do ostatniéj utrzymywać go chwili, — och! to odbiera odwagę, — bo, daruj, ale . . . to nikczemne.

— Hola, hola, mój bracie, — mitygował go Nieszokoć, — nie tak gwałtownie. Że się z tem głupiem pułkownikostwem źle jakoś urządziło, więcéj to niż pewna, ale wyznaj, że ani ty, ani ja nie mieliśmy na myśli oszustwa, a tak, niewiadomo zkąd jakoś to się złożyło. Że zaś ja w tem jestem mocno winien, nie przeczę, a że do wszelkiéj ekspiacyi jestem zdecydowany, niech ci ta okoliczność służy za dowód: Jenerał dzisiaj mi wyznał, że jadąc do Warszawy, miał jedynie na myśli mnie, dawnego swego podkomendnego, odszukać i za mnie jedynaczkę swoją wyswatać. Co, oprócz kilkoletniéj wspólnéj służby i pochodzenia litewskiego mogło na moją stronę przemawiać, nie wiem, bo ani wdziękami natura mnie nie obdarzyła, ani wiek mój nie bardzo młodzieńczy, ani fortuny oprócz szpady i pewnéj ilości długów nie posiadam żadnéj. Jednak i dziś mnie jeszcze tentował posażkiem trzystu tysięcy złotych w dobrych, zapleśniałych tynfach i sześciu wioskami w tłustéj białoruskiéj glebie.

Jaksa na tę nową rywalizacyę zesztywniał cały, ale zebrał całą energię, oparł się na ramieniu Nieszokocia i głosem, boleści pełnym, ozwał się:

— A więc żeń się, mój bracie. Na stare lata zamożność i dostatek rzeczy to miłe, a w niéj znajdziesz anioła, nie kobietę, która ci dni twoje niebiańską napełni wonią.

— A cóż z tobą będzie?

— Ze mną?

Westchnął głęboko, rękę do piersi przyłożył i rzekł gasnącym jakimś głosem:

— Zaniechaj mnie, nademną spełni się wola przeznaczenia.

— Otóż widzisz, — mówił, śmiejąc się, Nieszokoć, — że nie wszyscy na ową, jak ją nazywasz, woń niebiańską wyrobione mają powonienie, a staremu żołdakowi nie uchodzi jakoś o aniołach myśleć. Przytem łakomić się na posażek żony i być tem co się u nas na Litwie po prostu nazywa *fartuszkiewiczem* wcale mnie nie nęci . . .

— Oceniam, bracie, twoją szlachetność, jednak ofiary takiéj od ciebie przyjmować mi nie wolno. Bądź szczęśliwy . . .

— E! mazgaj jesteś, przerwał zniecierpliwiony już Litwin, — ofiary żadnéj nie robi ten, kto cudzéj już bogdanki nie kocha.

— Więc jéj nie kochasz? — zawołał z resztką nadziei Jaksa i dodał: — a czyż to możliwe?

— Powiadam ci, że nie, więc niech ci to wystarczy.

Jaksa daléj badania posuwać nie chciał i, rzuciwszy się tylko na szyję przyjaciela, począł go z całych sił ściskać.

Kiedy się Nieszokoć z uścisków tych uwolnił, mówił znowu:

— Jeżeli jednak ja ją odstępuję, to pod tym warunkiem jedynie, abyś tylko ty, a nie kto inny z nią się ożenił. Dla tego trzeba naprawić głupstwo, jakieśmy zmalowali, i działać z niesłychaną ostrożnością. Jenerał, o ile widzę, krzyw dla ciebie nie jest, tylko mu owo pułkownikostwo furą siana zajechało do głowy. Dziś mnie skrupulatnie wybadywał o to, a ja, nie mogąc jeszcze prawdy na jaw wyciągać, łgałem przed nim, jak najęty.

— Jakto? — zawołał Jaksa z gwałtownością, — więc go dotąd utrzymujesz w błędzie?

— Inaczéj nie można, widzę bowiem, że staremu ubrdało się koniecznie, żeby mieć zięcia wojskowego. Do czasu więc wszystko trzeba trzymać w sekrecie, a na upartego nasadzimy jenerałów: Chłopickiego, Klickiego, Wojczyńskiego, dawnych jego kolegów, a twoich życzliwych, i niech oni, a nie my, mistyfikacyę tę odsłaniają, niech powoli łamią zaciętość i upór.

— O! nie, nie, nie, nigdy, przenigdy! — zawołał wzburzony Jaksa, kręcąc się po pokoju i szukając kapelusza. — Tak daléj być niemoże. Głupstwo się stało nieumyślnie, nie posuwajmyż go do występku i zbrodni. Nie, raz trzeba prawdę wyjaśnić, i niech, co chce, będzie, dłużéj w fałszywem położeniu pozostawać nie mogę i zaraz idę powiedzieć wszystko jenerałowi..

— Ależ, szaleńcze, zgubisz twą przyszłość, szczęście, zgubisz siebie i ją...

— A inaczéj zgubię honor, który dla mnie także coś znaczy. Gra to nierówna. Puszczaj! — krzyknął ze straszną złością na Nieszokocia, który go po znalezieniu kapelusza za poły zatrzymywał.

— Zastanów się.

— Nie, żadnych zastanawiań, żadnych perswazyi, dosyć tego!

I tak, certując się, zbiegli ze schodów, a kiedy Nieszokoć

myślał, że go jeszcze na ulicy zatrzymać zdoła, Jaksa z roztarganym włosem, z włożonym na bakier kapeluszem, z rozpiętym surdutem wyrwał się z rąk przyjaciela, wskoczył do dorożki i kazał jechać do hotelu Gerlacha.

To jego wzburzenie szczególne, nieład w ubraniu, uniesienie i namiętność, z jaką się tłómaczył, sprawiły, że twardy z natury jenerał, mimo uczuwanych dlań sympatyi i jego deklaracyę, i szczególniéj wyznanie, zkąd pochodziło owo pseudo-pułkownikostwo, przyjął jaknajgorzéj. Nie prosił go nawet siedzieć, ale, założywszy po napoleońsku ręce na piersi, stanął przed nim z miną, z jaką zapewne stawał przed frontem, i, trzęsąc siwemi, krzaczastemi brwiami, piorunującym rzekł głosem:

— Boli mnie niezmiernie, mój mości, że potomek zacnéj rodziny, a syn najszlachetniejszego ojca zniżył się aż do wydawania się za to, czem nie jest, i poważył się żartować ze starca, który nie na to przecie przez lat kilkadziesiąt krew po całym świecie przelewał, żeby się z niego lada smarkacz, gołowąs i warszawski furfant miał prawo natrząsać...

— Panie jenerale, — przerwał, krwią nabiegając, Jaksa.

— Milczeć! *parbleu! mordieu!* do krocset stu tysięcy! i uprzedzam, że zabawiać go długo nie myślę. Dziewka moja nie dla waćpana dla téj prostéj przyczyny, że podobało mi się dać sobie słowo, iż nigdy za nikogo tylko za żołnierza jéj nie wydam. Że zaś waszmości żołnierstwo jest jakąś słomianą „kuklą,“ w dymie kawiarnianym wysłużoną, — *ergo*...

Jaksa, który w pierwszéj chwili pod wpływem oburzenia i wewnętrznego gniewu zostawał, na myśl, że nigdy już więcéj nie ma widzieć Teresy, spokorniał i prożbą chciał trafić do twardego żołnierskiego serca.

— Racz zważyć, panie jenerale... — miękkim rozpoczął głosem.

— Żadnych przełożeń! — zawołał nieubłagany starzec. — Gdybyś był żołnierzem i rozumiał, co to karność żołnierska, zakomenderowałbym ci: lewo w tył! i sprawa byłaby skończona. Ponieważ jednak nie rozumiesz terminów najmędrszego na całéj kuli ziemskiéj języka, przeto ci mówię prostym sposobem mieszczańskim. Od chwili dzisiejszéj progu domu mego acanu przestąpić niewolno, i proszę zapomnieć łaskawie, żeśmy się znali kiedykolwiek. *Servus.*

Przy tych słowach skłonił się sztywnie i, obojętne udając

pozory, choć mu w piersi jak w wulkanie, wrzało, zwrócił się ku drzwiom sąsiedniego pokoju.

Jakób po obeldze téj chciał wyjść, ale zatoczył się z bólu, i w oczach mu pociemniało. W téj chwili zimnéj jego, jak lód, ręki, dotknęła dłoń mała, miękka i ciepła.

Jakóbie, jam twoja na wieki, — szeptał głos, znany mu dobrze. — Choć aktu nieposłuszeństwa względem ojca nie popełnię nigdy, przysięgam ci jednak, że ci wierną pozostanę na zawsze.

Jakób drobną tę rączkę ścisnął, a niemogąc zapanować nad sobą, z piersi wydał rozdzierające łkanie.

Na ten głos wrócił znowu jenerał, a ujrzawszy córkę przy Jaksie, zawrzał gniewem, jaki tylko u takich namiętnych natur spotykać się dawał. Ręce ścisnął w kułaki, tak aż wszystkie palce w stawach trzasnęły, poczerwieniał cały, jak szkarłat, i drżącym od wzruszenia zawołał głosem:

— Aśćka tu? Precz... O! kobiety, kobiety, kobiety!...

— Uchodź, mój miły, — szepnęła ona znowu Jaksie — bo będzie nieszczęście, a w Bogu nadzieja, że się nad nami zlituje.

Ponieważ Jaksa pozostawał bez ruchu, popchnęła go, jak automat, do drzwi, na korytarz wiodących, a sama do swojego schroniła się pokoiku.

Kiedy opowiadacz zamilkł na chwilę, zrobiłem uwagę:

— Lubo słuchalibyśmy chętnie dzień cały, jednak pan major zapewne znużony już opowiadaniem.

— O! nie, moi kochani, — odpowiedział po pewnym namyśle. — Choć to niewszystko są rzeczy zabawne i wesołe, jednak dla mnie mają one powab, jako *dulcis recordatio rerum.*

— Już w pół do jedenastéj, — rzekł spoglądając na zegarek. — Co do reszty, już więc sumarycznym będę, chociaż zbliżamy się do najważniejszéj epoki. Wam wszakże, dzieciom polskich ojców, którzy wtenczas działali, epoka ta dokładnie musi być znana.

„Stanowcza ta rekuza," — mówił w dalszym ciągu major, — „w straszny sposób odbiła się na umyśle Jaksy, i myślano w pierwszéj chwili, że pomieszania zmysłów dostanie. Pamięć atoli i rozumienie zachował zupełne, tylko rozpacz dzika, zapiwszy szpony w jego sercu, pogrążyła go w smutek, na który wprost ratunku niebyło. Ponieważ zaś pan Jakób był osobą, w Warszawie powszechnie lubianą i wszędzie znaną, wieść tedy

o nieszczęściu jego szybko rozeszła się po mieście, a liczni przyjaciele starali się nieść mu według sił swoich ratunek. Kiedy więc młodzież wszelkiemi siłami w strapieniu rozerwać go usiłowała, wspomnieni wyżéj jenerałowie i wielki osobisty Jaksy przyjaciel, senator Rembieliński, instancyonowali za nim u ojca Teresy, chcąc złamać opór starego. Były to jednak starania daremne. Jenerał należał do tych, na których, skoro się zatną, nie ma lekarstwa, i wszystkim też odpowiadał, że dał sobie słowo, iż córki inaczéj, niż za wojskowego, nie wyda, a słowa nie złamie na żadne perswazye i przedstawienia. Kiedy zaś odpowiedź ta nie pomogła, i oblegano go na nowo zewsząd, spakował rzeczy, płaczącą Teresę wsadził do powozu i rankiem, nie żegnając się z nikim, na Litwę powrócił.

I tu jednak rzeczy się nie poprawiły. Teresa wprawdzie nigdy się nie skarżyła, nie szemrała, zawsze dla ojca miała uśmiech uprzejmy, ale wesoła dawniéj jéj piosneczka wśród głuchych komnat nie zabrzmiała więcéj, kolory z twarzy zeszły, ciemne koła otoczyły oczy, bladość matowa powlekła twarzyczkę, która codzień więcéj mizerniała i chudła.

Przestraszony jenerał zawezwał przyjaciela swego, lekarza, a ten, obejrzawszy dzieweczkę, wypowiedział ojcu straszną prawdę, że nietylko za zdrowie jéj, ale i za życie nie ręczy, brak bowiem apetytu i ciągła bezsenność wyczerpują siły tak, że ogólne osłabienie organizmu postępuje naprzód krokiem, nader gwałtownym.

Jenerał do szaleństwa prawie jedynaczkę swoją kochał, ale również do bałwochwalstwa wierność danemu słowu posuwał; niewiedząc więc, co począć, i on także zachorzał, dawne rany dokuczać mu poczęły, i starość a nadmierne w życiu jego trudy często w niemej rozpaczy powalały go na łoże.

Tak trzy istoty, które, połączone razem, mogłyby prawdziwego używać szczęścia, w skutek samego tylko uporu wiły się w boleściach i przedwcześnie zbliżały do mogiły.

Może upór ten z czasem złamałby się nareszcie, gdyby nagle, jak piorun z pogodnego nieba, po całym kraju nie rozbiegły się wieści o wypadkach i hałasach pamiętnéj nocy 29 listopada.

Wobec ruchu, jaki cały naród ogarniał, wobec chwili, w któréj przyszłość kraju na szali się kładła, — naturalnie wszystkie strapienia rodzinne i osobiste musiały się stać wielce ma-

luczkiemi, musiały zniknąć, zestawione z jednym potężnym, uroczystym i wspólnym celem.

Jeśli jednak wszyscy znajomi nasi przedewszystkiem w narodową przyszłość utkwili oczy, z natury rzeczy już wynikało zarazem, że każdemu z nich zdawało się, iż owa noc i dla nich jest erą skończenia dotychczasowych cierpień i pierwszym krokiem do szczęśliwości.

Najpierwéj naturalnie skorzystał z tego Jaksa, gdyż był najbliższym teatru wypadków, a powtóre wierzył, iż mu Opatrzność sama ratunek ten zsyła. Teraz już nikt mu nie mógł powiedzieć, że w kadrach dla ochotnika nie ma miejsca, bo jaknajwiększa tylko ilość żołnierza ocalić mogła sprawę, a przyjmował go już nie wielki książe, ale naród. Wprawdzie dyktator niechętnie na tłumy garnących się ochotników patrzył, bo dobrego po nich żołnierza się nie spodziewał, ale zbroić naród o tyle przynajmniéj, o ile pozwalały środki, zawsze było potrzeba.

Zaraz więc po wybuchu zaciągnął się Jakób do nowoformujących się szwadronów ułanów, dlaczego zaś do kawaleryi się zapisał, tego już wam dokładnie powiedzieć nie umiem. Może wpłynęły na to rady przyjaciół, a może też wrodzona szlachcie naszéj żyłka do konia i we krwi przechowujące się tradycye husarskie.

Stary jenerał O. także nie zaniedbał się ruszyć i wraz z córką do Warszawy przybył. Acz schorzały, a szczególniéj w ostatnich miesiącach na zdrowiu podupadły, postanowił resztki swych sił na usługi sprawie narodowéj ofiarować i z nałogu ciągnął tam, gdzie surma bojowa grzmiała. Córkę swą wiózł tutaj, żeby ją przez czas wojny w opiekę powierzyć dalekiéj swéj krewnéj.

Jaksa od początku wejścia swego do służby dziwnym był żołnierzem. Różowemi nadziejami, tak jak reszta wiary, w daleką przyszłość nie wybiegał, piosnek wesołych nie nucił, do klubów i do Honoratki nie zaglądał i do tumultów ulicznych się nie mieszał. Zato przez dzień cały ćwiczeniom się oddawał i, jeśli pora musztry, która ze świeżym żołnierzem często się odbywała, dla wypoczynku ustała, on nie odpoczywał nigdy, nie jadł prawie i nie sypiał, a jeśli sam w koszarach został, nieustannie bądź w fechtunku, bądź w robieniu lancą się ćwiczył. Zdawało się, że dzień chciał podwoić, byle coprędzéj tylko na dobrego wyrobić się żołnierza.

Kiedy jenerał do Warszawy zjechał, sam pierwszy go szukał, sam na szyję mu się rzucił, ściskał i tłómaczył się, że danemu słowu musiał być wierny, oraz go coprędzéj do domu swego zapraszał. Nie mieszkał już teraz w hotelu, jak poprzednio, ale u swojéj kuzynki, i tu też niebawem z bijącem sercem, ze łzą, ukrytą pod powieką, stawił się Jakób, aby coprędzéj bogdankę i panią swych myśli powitać. Wymizerowanie jéj dostrzegł, ale się niem bardzo nie zmartwił, oboje bowiem byli tego przekonania, że, im więcéj im los cierpień kazał wytrzymać, tem szczęście ich bliższe i pewniejsze.

Kto jednak przypomni sobie owe czasy, zrozumie, że nie była to pora, w któréjby o miłości właściwem było rozprawiać. W narodzie całym był tak duch podniesiony, taki olbrzymi ogień ofiary płonął w duszy, że na osobiste uczucia bardzo tam mało pozostawało miejsca. Że zaś podobny zapał bywa głównie udziałem natur młodych a uczuciowych, przeto nic dziwnego, iż Teresa nim prawie wyłącznie żyła, a jeśli uczucie jéj dla Jakóba pozostało równie silnem jak było poprzednio, to cofnęło się do najciaśniejszego kącika serduszka jéj dziewiczego, które o bólach swych i trwogach zapomniało, pewnem bowiem było, że jeżeli szczęśliwość na kraj cały spłynie, to jużcić w liczbie ogólnéj i oni szczęśliwymi będą, i ich pragnienia, tak jak na to zasługiwały, wynagrodzone zostaną.

Mimo to, skoro Jakób, blady czy ze wzruszenia wewnętrznego, czy też w skutku długich, bezsennych nocy przed nią stanął, pokraśniała Teresa, jak wiśnia; oczy jéj zapałały blaskiem szczególnym, a wyciągnięta na powitanie gościa rączka drżała spazmatycznie.

On do rączki téj usta swe przycisnął i długo ich nie odejmował, a zebrani goście, dość liczni, wiedząc sekret dwojga młodych, usunęli się dyskretnie na stronę, żeby im tego po dłuższéj rozłące spotkania nie psować.

— Jak panu pięknie w tym mundurze, — ozwała się pierwsza, przychodząc do siebie Teresa. — Nie myślałam, żebym innym niż dawniéj znać pana pragnęła, a jednak... jednak kocham pana więcéj chyba, niż wprzódy.

— Dla czegoż pana? — zapytał, podnosząc głowę, ale nieopuszczając jéj ręki, Jakób. — W uszach moich brzmią dotąd słowa: „Jakóbie, jam twoja na wieki“, — niechże one dzisiaj poza światowe formy się nie kryją.

Teresa uśmiechnęła się figlarnie.

— Pan Jakób, — rzekła, — włożywszy na siebie mundur prostego żołnierza, radby widać o dawnych godnościach zapomniał. I słusznie, boć ten mundur i ta przywiązana do niego gotowość do ofiary, to największy zaszczyt, jaki ludzkim stać się może udziałem.

— Z pewnem zastrzeżeniem, — przerwał Jaksa. — Tutaj, — rzekł, wzrokiem na ramię wskazując, — spocząć muszą pułkownikowskie szlify.

— Ach, Jakóbie, mój Jakóbie, — zaśmiała się Teresa, — nagroda nasza nie osobista, ale narodowa, byle tylko cel osiągnąć, a o nas już mniejsza.

— Dla mnie cel tylko jeden, — rzekł ponuro, — zostać pułkownikiem. Dla niego zaciągnąłem się w szeregi, dla niego najstraszniejszych nie pożałuję trudów.

— Panie! — zawołała Teresa, wyciągając swą rączkę z jego dłoni, — czyż się godzi swoje własne stawiać na celu widoki? Byle ojczyzna była swobodna, a reszta, jak Pan Bóg zrządzi.

— Nie, Tereso droga, że kocham ojczyznę całem swem życiem dowiodłem, a jednak, kiedym ręki twojéj zapragnął, bo cię pokochałem, jak Boga na niebie, nietylko że mi jéj odmówiono, ale mi jeszcze w twarz rzucono obelgę. Gdybym był pułkownikiem, do ołtarza poprowadziłbym cię łatwo, będę więc nim, i o to mi jedynie chodzi!

— Jakóbie, — mówiła ona głosem rzewnym, — czynu w najszlachetniejszej podjętego myśli, nie godzi się sprowadzać na poziom zwyczajny, i wierzaj, smutkiem zalałoby się serce moje, i jako przesądna Litwinka, lękałabym się o ciebie, gdybym była w stanie przypuścić, że takie tylko tobą powodują pobudki. O! nie, mój drogi, wszystko dla ojczyzny, w niéj tylko i przez nią szczęśliwi być możemy.

Może ten zapał prawdziwie polskiéj dziewicy i prawda, ze słów jéj płynąca, nawróciły by wątpliwego i jeden wielki cel widzieć by mu dozwoliły, ale towarzystwo uważało snać, że dosyć już tego sam na sam, bo tłumnie do dwojga młodych powracać zaczęto, i wrzawa, wzajemne udzielanie sobie nowin, rachunki na pewność udania się śmiałych nadziei, do dalszych zwierzań i uwag zagrodziły kochankom drogę.

Od tego czasu po kilkakroć widywał Jakób Teresę, ale do dłuższych rozmów sposobność nigdy się nie nadarzyła, wieści bowiem o zbliżających się wojskach rossyjskich pochłaniały uwagę. Złożenie dyktatury przez Chłopickiego i zebranie się

sejmu budziły namiętności, a do trosk Teresy o dobro ogólne przybywało strapienie z powodu pogarszającego się coraz stanu zdrowia jéj ojca. Jenerał O. chciał stanąć w szeregach, a choroba złożyła go do łóżka. Zupełnie w tym względzie podzielał los swego kolegi i przyjaciela, jenerała Klickiego, który mikstury i proszki, jęcząc i stękając, łykał w czasie, kiedy tak sejm, jak i wyżsi oficerowie, po Chłopickim naczelne dowództwo powierzyć mu chcieli.

Ponieważ młodość zawsze ma swe prawa, innego przeto zupełnie losu doświadczył Jaksa. Pilnością swą, bystrością i służbistością zwrócił uwagę wszystkich, i w czasie, kiedy o starego żołnierza było trudno, z radością przekonano się, iż on, acz świeży rekrut, wybornym już może być instruktorem. Prędko więc dano mu galony i dla pożytku służby ze szwadronu do szwadronu go przenoszono. Tak musztrował on świeżo sformowany pułk kawaleryi, znany pod nazwiskiem „dzieci warszawskich“, a niebawem do nadwiślańskiéj przeniesiono go legii.

Zanim jeszcze do starcia orężnego przyszło, już Jaksa stopień porucznika piastował. Zawistnych nie braknie nigdzie, to też i tu nieświadomi powodów wyniesienia się jego, za jedyny powód tych szybkich awansów podawali przyjacielskie jego stosunki ze sztabem i wyższymi oficerami i we wszystkiem głównie protekcyą Prądzyńskiego widzieli. Zapewne, Prądzyński jak najlepiéj przyjacielowi swojemu życzył, wiedząc nawet może o jego pragnieniach, pragnął mu w nich szczerze dopomódz, ale najprzód wpływów on zbyt wielkich w téj porze nie posiadał jeszcze, a powtóre czyżby mu można się dziwić, że inteligencyę przedewszystkiem ceniąc, pragnął, aby oprócz męztwa i wykształcenia w oficerze szukano.

Jeżeli karyera świeżego żołnierza uśmiechającą się była w czasie pokoju, naturalnie szanse jéj zwiększyć się musiały za nadejściem wojny, za nastąpieniem tych prawdziwie bohaterskich bojów, gdy setki z nieznanem w dziejach powodzeniem walczyły przeciwko tysiącom.

Każdy młody a świeży żołnierz, z hukiem dział a dymem prochowym nieobeznany, zwykł niepewnie stawiać pierwsze swe kroki i mimo wrodzonéj waleczności a gotowości do ofiary podpadał wrażeniom wewnętrznym, silniejszym, aniżeli natura ludzka, aniżeli najbardziéj wytężony hart woli i charakteru. Z Jaksą atoli ten przypadek nie zachodził. Na kule, na ostrza dzid i szabel biegł, jak szalony, a śmierć się przed nim przestraszona

cofać zdawała, i imie jego, z ust żołnierskich nie schodząc, łączyło do brzmienia swego pojęcie jakiéjś waleczności nadludzkiéj.

Kiedy z pól Grochowskich jenerała Chłopickiego odnoszono rannego na płaszczach, Jaksa z szaloną iście zręcznością zwijał i rozwijał szwadron swój pod działami rosyjskiemi, tak że zdumiony stary napoleoński jenerał kazał niosącym go wstrzymać się, podparł się na łokciu i wskazując w stronę kawaleryi polskiéj zawołał:

— I któżby myślał, że oni tak bić się potrafią? Boże mój, Boże! a toż z takim żołnierzem o świat cały pokusić się można.

Pełen trudnych do uwierzenia cudów bój grochowski dziś już, po upływie pół wieku zaledwie, w jakąś mityczną legendę, w jakąś epopeję przechodzić się zdaje. Nic dziwnego, będzie to niezawodnie zawsze jedna z najpamiętniejszych dat w rocznikach wojskowych XIX-go wieku, a i na razie na masach rosyjskiego wojska, na osiwiałym w bojach wodzu ich, Dybiczu, zrobiła zdumiewające wrażenie, i ci, którzy tak łatwo ilością swą bohaterów zalać mogli, stanęli zdumieni i zamiast cios ostatni nierównemu nieprzyjacielowi zadawać, osłupiawszy na widok tego niepojętego męztwa, stanęli nad Wisłą i nie wiedzieli, co począć.

Przy nowym wodzu, Skrzyneckim, Jaksa był już starym, bo w kilku bataliach wypróbowanym oficerem. Do waleczności doświadczenie dołączył, i wszystkie starcia, jakie przy trakcie brzesko-litewskim się odbywały, codzień do jego zasług nowy liść dodawały.

Chrzest wojskowy także, chrzest krwi, pomimo dotychczasowego szczęścia go nie minął. Pod Dębem kula karabinowa rękę mu wyżéj łokcia przeszyła, a lubo oficer z konia nie zsiadał i rękę obandażowawszy, siłą woli utratę krwi i osłabienie zastępował, jednak kiedy do starcia na szable przyszło, nie mógł cięcia sparować i nową ranę w ramię odebrał, szczęściem że cios nie był zbyt gwałtowny i nie nadwerężając kości, po mięśniach się obsunął. Mimo wytrwania jednak w oczach mu się zaćmiło, lewica w kierowaniu koniem odmówiła posłuszeństwa, zamroczył się i z siodła zsunął. Możeby nieprzyjacielskie konie go zdeptały, gdyby za kawaleryą nie postępowały zaraz dzielne czwartaki. Ukochany ich dowódca, gruby Bogusławski, „smarkacza zadraśniętego,“ jak się wyrażał, z ziemi podniósł i do ambulansów na noszach odnieść polecił.

Rana nie przedstawiała niebezpieczeństwa, a nowe niosła korzyści. Sam wódz naczelny ze sztabem waleczności Jaksie powinszował i na kuracyę do Warszawy jechać mu polecił. Jaksa chciał się opierać, bo myślał, że tak skutecznie rozpoczęty bój długo jeszcze trwać będzie, ale Prądzyński podjechał do niego, nachylił się i szepnął mu do ucha:

— Oszczędzaj się bracie, bo to nie naraz sztuka; jedź do stolicy, a tam prędko przyjdziesz do zdrowia, bo jest tam ktoś który pielęgnować cię potrafi.

Jaksa z wdzięcznością spojrzał mu w oczy i w duszy rad był może, że się temi ranami przed swoją Teresą pochwali.

Prądzyński rozumiał go zupełnie, bo on sam przecież u stóp ukochanéj swéj żony pierwszy zawsze wiadomość o tryumfach składał. I byli to rzeczywiście rycerze prawdziwi, bo bili się jak lwy, a kochali, jak studenci.“

— Niezawodnie, inni oni byli, niż my, — wtrąciłem niechcący.

— Nie wszyscy, — dorzucił szyderczo Stanisław, — boć i w naszem pokoleniu romantycy się znajdą.

— No, teraz ja was proszę, żebyście mi nie przerywali, bo południe się zbliża, — rzekł major.

„Owóż Teresa bardzo się przeraziła ranami ukochanego, a położenie jéj było tem trudniejsze, że choroba jenerała się wzmagała i prawdziwie niebezpieczeństwem poczynała grozić. W czasie wojny niezawodnie najwłaściwszem powołaniem kobiety jest być siostrą miłosierdzia, ale szczęściem Jaksa długo pomocy jéj nie potrzebował, skoro bowiem rany jego porządnie opatrzono i zabandażowano, po przejściu lekkiéj gorączki prędko wstał z łoża, a skuteczniejszym może, aniżeli wszelkie leki, był przysłany mu dyplom na kapitana i krzyż zasługi wojskowéj.

Jenerał O., dowiedziawszy się o tem, także wielce się radował, a kiedy Jaksa blady jeszcze i z ręką na temblaku, w mundurze nowego swego stopnia przy łóżku chorego się stawił, stary długo się w niego wpatrywał, późniéj coś niby łza w oku jego się zakręciła, ale ją powiekami swemi przydusił i zawołał do wpatrującéj się w niego badawczo Teresy:

— Jak mi Bóg miły, dziewczyno, snać nieodrodna krew ojcowska w żyłach twoich płynie, kiedyś w nim wówczas, kiedy był prostym gryzipiórkiem, dzielnego żołnierza przeczuła i dla tego, a nie dla czego innego serce mu swoje oddała,

– Hm, – chrząknął, – *sacrébleu*, za sercem powinna iść zaraz ręka, i mam honor zapewnić cię, mości kapitanie, że kiedy los nie pozwala mi dotąd użyć cię za adjutanta, miło mi mieć przynajmniéj tę nadzieję, iż w przyszłości zięciem moim zostaniesz. Tak, po skończonéj wojnie każdy swoją pojmie, a teraz zbliżcie się, niech was pobłogosławię.

Kiedy stanęli oboje przy łóżku, połączył razem ich prawice i tak złączone, długo ściskał w swéj dłoni. Oni przy łożu poklękli i pod błogosławieństwem starego wiarusa pobożnie pochylili głowy. Dobrze, że tak zrobili, stary niekontent byłby bowiem, gdyby dojrzeli dwie grube łzy, jakie się toczyć zaczęły po zoranéj zmarszczkami twarzy, i jakie coprędzéj otarł rękawem koszuli.

„Nowy wódz“, — mówił daléj major, — „z tryumfów swych, przewag i korzyści, odniesionych w okolicach Warszawy, nie umiał czy nie chciał korzystać i zamiast na wszystkich punktach bić nieprzyjaciela, legł wygodnie obozem, na dobrowolną bezczynność się skazał, w dyplomatę się zabawiał.

Naprożno Prądzyński, teraz już jenerał-kwatermistrz, coraz nowe plany działania podsuwał, naprożno, aby robić już cokolwiek, rady nawet swego rywala, jenerała Chrzanowskiego, popierał; nie pomogła ani jego natarczywość, ani namowy i prożby księcia Czartoryskiego, ani krzyż, przez rząd wodzowi ofiarowany, aby pragnienie sławy w nim rozbudzić.

Żołnierz wszystek niecierpliwością gorzał, a Jaksa, który więcéj może, aniżeli każdy inny, marzonych szlif pułkownika i zawarcia ślubów z Teresą oczekiwał, w rozmowach swych przy spotkaniu z Prądzyńskim piorunował, a powstawał obyczajem żołnierskim na Skrzyneckiego.

Wreszcie i wódz, naleganiom opierać się dłużéj nie mogąc, zadecydował wyprawę na gwardye.

Wiara, jakby nie na bój, ale szła do tańca, ucieszyła się i rozradowała, a Jaksa w liście do Teresy, który zarazem był rodzajem biuletynu wojskowego dla jenerała, pisał pomiędzy innemi takie słowa: „W marszu zastępczo obowiązki podpułkownika spełniam, ale tylko zastępczo, i nie zapominam o tem, że mi do szczęścia jeszcze dwa stopnie wojskowe przebieżeć trzeba.“

Jak niefortunnie odbyła się wyprawa na gwardyą, jak nieumiejętnie po kilkakroć wroga wypuszczono, jak mu połączyć się dano i jak w najniekorzystniejszych warunkach bój pod Ostrołęką przyjęto, mógłbym wam o tem długo bajać, bo mi to wszy-

stko, jakby żywe, stoi w pamięci, ależ wy, jako miłujące ojców dzieci, wiecie dokładnie, co, gdzie i jak oni robili.“

— Przepraszam, majorze, — zapytałem. Więc tych wszystkich bojów byłeś sam uczestnikiem?

— A jakże! Czyż myślicie, że w naszéj Polsce podówczas dużo można było znaleźć młodzieży, któraby mogąc broń nosić, jéj nie nosiła? Ale prawda, winienem wam przecie objaśnić, w jakim stosunku znajduję się dziś do Teresy i w jakim byłem do Jaksy. Owóż żona jenerała przypadała mi ciotką, i, lubo po jéj wyjeździe na Litwę z powodu zbytniego oddalenia, stosunki familijne były dość rzadkie, jednak nie zrywały się zupełnie, a dopiero małośmy o jenerale słyszeć poczęli od chwili, skoro żona jego umarła. Kiedy rewolucya listopadowa się rozpoczęła, ja znajdowałem się w szkołach w Radomiu, a rodzic mój, bojąc się, żebym obyczajem szkólnéj młodzieży sam swoim rozumem na wojaczkę się nie wybrał, wziął mnie do domu, co nieznaczyło bynajmniéj, żeby mnie od wojska obronić, gdyż każdy młodzieniec na posługę kraju bieżeć powinien, ale tylko, jako jako gołowąsa, chciano mnie czyjejś opiece powierzyć. Dla tego to nie wszedłem do formacyi ziemi własnéj, ale odwieziono mnie do stolicy, i tu, jako ochotnik, do pułków liniowych się zaciągnąłem. Kampanię odbyłem aż do końca i ostatnich chwil Jaksy byłem świadkiem. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

„Na cztery dni może przed ostrołęcką bitwą przez kurjera, wiozącego depesze do sztabu, otrzymałem z Warszawy list, że jenerał O. Teresę osierocił i nie mając sposobności dosiąść konia, o czém ciągle marzył, poprzestał na tem, że przed śmiercią — ciepłą ręką — całą uciułaną gotowiznę na użytek publiczny członkowi rządu, Stanisławowi Barzykowskiemu, złożył. Tajemnicę o darze tym zastrzegł, a może nietylko skromność sama, ale nawet i przezorność, żeby w razie upadku naszéj sprawy rząd zwycięski Teresy nie karał za tę szczodrobliwość, ten warunek milczenia nakładała. O zwycięztwie atoli naszem wtenczas nikt nie wątpił, a dar był tak wspaniały, że grzechem zdawało się o hojności podobnéj zamilczeć, i zaraz dzienniki o niéj całemu światu roztrąbiły.

Wiadomości, odebranych z Warszawy, nie udzielałem Jaksie dla tego prostego powodu, że walnéj bitwy wtenczas wszyscy się spodziewali, a on szczególniéj niecierpliwością, męztwem i najlepszemi nadziejami, co do jéj skutku, promieniał, pocóż więc

usposobienie to psuć było wieścią o nieszczęściu, jakie ukochaną dotknęło?

Bitwa pod Ostrołęką w najgorszych dla nas zaszła warunkach, i, jako jedyna nagroda za nasze straty pozostało nam nowe a chlubne świadectwo o naszem męztwie. Wiadomo, że kawalerya ucierpiała tam najwięcéj, a Jaksa w ostatnich szarżach do prawdziwego niemal dochodził szaleństwa. Kartacz pod nim konia zabił, on się z pod niego wydobył, dragon nieprzyjacielski obciął mu szablą szlifę i ramię ciężko skaleczył; on opatrzeć się tylko w ambulansie kazał, i znowu, jak wściekły, do boju leciał.

Kiedy sił nieprzyjacielskich coraz więcéj przybywać poczęło, kiedy Skrzynecki, życie za swe pomyłki chcąc oddać, z szablą w ręku, w mundurze, podziurawionym kulami, na czele kolumn rzucał się na wroga jeszcze dzielniéj, niż pod Dobrem lub olszynką grochowską: zarazem opętanie jakieś na kawaleryi wszystko mu opierać kazało, uparcie ciągle stali ją do boju, jakby do szczętu chcąc ją wyniszczyć.

Jenerał Kicki, którego bezpośrednim podkomendnym był Jaksa, na czele swoich ułanów dostał rozkaz szarżowania na bateryę nieprzyjacielską, która się świeżo z poza ściśniętych szeregów piechoty wysunęła. Jenerał ten nigdy na powtórzenie rozkazów nie czekał, spiął więc tylko konia ostrogą, przeleciał wzdłuż swoich szeregów, wyniosła jego i piękna postać naprzód się trochę w pędzie podała, a z po za okularów, których nawet w rozgwarze bitwy nigdy nie zdejmował, świeciły oczy, jak karbunkuły.

— Nieprawdaż dzieci, że działa nam brać, to furda! — zawołał. — Za mną wiara!

Furknęły chorągiewki, jak skrzydła jaskółcze, ale ułani, którzy zwykli byli, jak grom spadać wszędzie i lancami swemi wszystko po drodze roztrącać, tu spotkali straszną przeszkodę. Łączka, którą przebyć należało, błotnista była i grząska, konie w galopie się wstrzymywały, tylne nogi zaczęły im w błoto zapadać, a ciężkie i gniewliwe chrapanie z nozdrzy im się dobywało.

Nieprzyjaciel to dostrzegł i w las furkających chorągiewek sypnął gradem kartaczy. Kolumna zwinęła się jak wąż, kiedy ciała jego ostrzem kto dotknie, a poza dymem, nad nim się wznoszącym, nie było nic widać, tylko słyszeć się dawały żałosne kwiki i jęczenia rannych koni. Padło ich kilka, a naj-

pierw te, które były na czele, jak rumak dzielnego jenerała. Poskoczyli doń adjutanci, a wśród nich, szwadron swój rrzucając znalazł się Jaksa. Jenerał Kicki w bagnie krwi już się broczył, bo mu kula działowa urwała obie nogi. Z krwią uchodziła przytomność i życie, a oczy się mroczyły. Pośpieszono do niego, aby go podnieść, on jednak podniósł zapadające powieki i głosem jeszcze grackiéj komendy, głosem, który żołnierz jego tak ukochał, zawołał:

— Niechajcie mnie. Jakso! Nie daj poznać, że mnie brakuje!

Jaksa szyk prędko sprawił, na prawo, gdzie grunt pewniejszy, kazał zboczyć i tamtędy popędził, a konie, litościwsze od ludzi, przeskakiwały przez zbroczone ciało dogorywającego jenerała, starając się kopytem go nie urazić.

Jeszcze chwila, a już wiara na działa wpada, wrzawa straszna koło nich się robi, kanonierowie rossyjscy jak lwy bronią się, i nie chcąc kroku ustąpić, na lawetach pod uderzeniami lanc padają, a na czele zwycięzkiego tego szeregu, bez kasku, z roztarganym włosem, z rabatami we krwi unurzanemi, z szablą, czerwoną jak miecz archanielski, na koniu rannym i spienionym zwija się jak szatan Jaksa, na prawo i na lewo rozdzielając razy. Baterya zamilkła, ale na odsiecz jéj biegną rossyjscy dragoni, a starłszy się z kawaleryą polską, zwijają się z nią w jeden kłębek, z którego kiedy niekiedy tylko błysk świecącéj szabli do góry wybiegnie, lub podniesie się parskająca końska głowa z zakrwawionemi zębami. Dragoni złamani, ale ostatnich sił dobywają, i kiedy Jaksa pałaszem na pułkownika ich godzi, ten dobywa z olster pistolet, nacierającego w klingę lufą uderza, a kiedy żelazo w osłabionéj prawicy na bok się cofnęło, naciska cyngiel, pada strzał, dym z rury poleciał, a Jaksa zachwiał się na koniu, szablę z ręki wypuścił i za pierś dłonią się schwycił. Towarzysze poskoczyli do niego, a pomoc nieść mu mogli, bo dragoni już w nieładzie pierzchali.

Ze zwycięztwa atoli korzystać nie było można, bo w obec zbliżających się nowych sił nieprzyjacielskich i ciemnéj już nocy wódz jak najnaglejsze polecenia do odwrotu przysłał.

Kawalerya nasza w tym dniu ciężkie poniosła straty, oprócz Kickiego bowiem za trupa już także miano walecznego a ukochanego Jaksę. Złożono go na płaszczach, wzięto między dwa konie i w zakrwawionym, jak wielkanocne jajko, naprózno ducha się dobadywano.

Nieprzyjaciel, acz odniósł zwycięztwo, nie korzystał z niego, i taki to już był szczególny los téj wojny, że starto się, wytrzepano siarczyście, i na tem bywał koniec. W armii nadto naszéj panował jak największy nieporządek, a każdy dowódzca korpusowy rządził się tylko własnym swoim rozumem. Wszelako do odwrotu uszykowano się, jak należy, a tylne szpice niepomału były zdziwione, że aż do miasteczka Rożan nikt ich nie ściga. W Rożanach zatrzymano się na chwilę, opatrzono rannych i ruszono do Pułtuska. Tu nieporządek wzrósł jeszcze więcéj, kiedy się po szeregach rozniosła wiadomość, że wódz naczelny armię opuszcza i do Warszawy dąży. Wiadomość ta rzeczywiście okazała się prawdziwą, bo, kiedy nasz pułk liniowy na drugi dzień po bitwie z niedobitkami kawaleryi się połączył, do mieszczańskiéj chaty, gdzie tymczasowo złożony był Jaksa, wszedł jenerał Prądzyński, i kiedyśmy go salutowali z należnym szacunkiem, on przystąpił do pułkowego lekarza, który się przy rannym znajdował, i pilnie o stan jego się wypytywał.

Lekarz zmarszczył czoło, głową pokiwał i na zapytanie, jak zwykle, wymijającą dał odpowiedź:

— Płuca, o ile ranę wysondować było można, nadwerężone, szczęście całe jednak, że kula w piersi nie ugrzęzła, ale na wylot przeszła. Jeżeli krwotoki, tak gwałtowne, jak były, nie powtórzą się, może... może błyśnie jaka nadzieja ocalenia. Niepewna ona jednak bardzo, a zwłaszcza to niezawodna, że żołnierza z niego więcéj mieć nie będziecie.

— Mniejsza o to, — mówił Prądzyński, — ale zmiłuj się, doktorze, wysil się, aby go przy życiu utrzymać. Ach, biedny, biedny mój Jaksa!

I przystąpił jenerał do tapczana i w blade lica rannego się wpatrywał z żalem i ze smutkiem.

— Czy śpi? — zapytał.

— Nie sądzę, — odpowiedział doktór, — ciężka tylko gorączka przytomność mu zupełnie odjęła.

Chory, jakby dla zaprzeczenia sztuce lekarskiéj, otworzył wcale przytomnie oczy, potoczył je po obecnych, zdając się wszystkich rozpoznawać, a skoro Prądzyńskiego dostrzegł, uśmiechnął się jakoś swobodnie i rzekł cicho:

— Ach! boli, boli, — ale wszak pułkownikiem będę?

Prądzyński zbliżył się doń, rękę mu z uczuciem ścisnął i rzekł:

— Jakóbie mój, dbaj o zdrowie, a o ocenienie waleczności

twojéj się nie lękaj. Niedługo z Warszawy będziesz miał odemnie wiadomości.

— Więc do Warszawy jenerał jedzie? — pytał lekarz.

— Wraz z wodzem — odpowiedział Prądzyński, ale obejrzał się po nas i więcéj już szczegółów nie udzielał.

Jaksa tymczasem, jakby ostatni wysiłek woli uczyniwszy, powieki zamknął, pierś podniosła mu się wysoko, a przez usta świszcząco oddech przechodził.

— Trzeba chyba zawiadomić o tem pannę Teresę, — mówił Prądzyński, zwracając się do mnie, wiedział bowiem o łączącem mnie z rodziną jenerała O. pokrewieństwie.

— Sądziłbym, panie jenerale, — odpowiedziałem, — że może byłby to dla niéj cios do przeniesienia zbyt ciężki, przed niedawnym bowiem czasem straciła ojca.

— Jakto? jenerał O. nie żyje? — pytał zdziwiony Prądzyński, a kiedym mu o odebranym liście powiedział, zadumał się i wychodząc, dodał:

— Więc ty, mój poruczniku, nie odstępuj przynajmniéj rannego.

— Nie wiem, czy wola mego komendanta będzie po temu?

— Nie lękaj się, już to rzecz moja.

Rzeczywiście urlop mi wkrótce udzielono, ale czwartego dnia po wyjeździe jenerała Prądzyńskiego do Pułtuska przybyła Teresa. Czy jenerał o grożącem nowem nieszczęściu ją zawiadomił, czy który z kolegów rannego o tem się wygadał, tego już nie wiem, dość że, kiedyśmy z doktorem, pochyleni nad łożem chorego, stali, niskie drzwi chaty otworzyły się cicho, i ona, blada, jak lilia, a jak cień powiewna, w czarnéj, żałobnéj szacie na progu stanęła.

Ze zmartwionych twarzy naszych, z kredowéj bladości narzeczonego zrozumiała, jakie jest położenie, zachwiała się na nogach, a przystąpiwszy do mnie, zarzuciła mi ręce na szyję, główkę swą ukryła na méj piersi i szlochać poczęła.

Chory na łóżku się poruszył, a doktór, zgadując, kto jest przybyła, zbliżył się do niego i szepnął cicho:

— Uspokój się pani, jeszcze wszystkie nadzieje nie stracone.

— Ach, nie łudź mnie pan, — przez łzy odpowiedziała. — Wiem, jakie nowe nieszczęście mnie czeka, ale nie poskarżę się, nie zaszemrzę przeciwko wyrokom Opatrzności ani na chwilę, byle tylko te ofiary, które tak obficie na ołtarz ojczyzny się składają nie były bez skutku...

Chory otworzył szeroko oczy i błędnie je po obecnych toczył. Był on od dwóch dni w silnym paroksyzmie gorączki i nikogo z obecnych nie poznawał, żadnego nie przyjmował posiłku. Teraz oczy przez dłuższy czas utkwił w przybyłéj, i zdawało się, że jakaś iskra przytomności do umysłu mu wraca.

Lekarz zląkł się, aby wrażenie zbyt silnem nie było, i wyprowadził Teresę do alkierza.

Jaksa mrugnął na mnie i, kiedym się nad nim pochylił, cichym, ale zupełnie przytomnym głosem szeptał:

— Stefanie, chyba mi się śnić musiało, lecz widziałem ją... widziałem moją Teresę, ale taką smutną, taką bolejącą, taką żałobną... Czy ona jest tutaj?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć: szczęściem lekarz powrócił i, przypuszczając widać, że widzenie się z narzeczoną może korzystnie na chorego podziałać, rzekł prędko:

— Panna Teresa jest tutaj i zaraz ją pan zobaczysz. Panie poruczniku, — mówił, zwracając się do mnie, — proszę przybyłéj powiedzieć, że chory ma się dobrze, i że można się z nim widzieć.

Poszedłem do alkierza i żądanie to oraz słowa Jaksy Teresie zakomunikowałem. Słuchała ich, a późniéj, jakby kobiecym instynktem wiedziona, uderzyła się dłoniami po czarnéj swéj spódniczce i rzekła:

— Nie, ja tak się jemu pokazać nie mogę, a na nieszczęście o wzięciu innych szat zapomniałam. Przepraszam cię, Stefanie.

I odeszła w kąt alkierza, zrzuciła czarną sukienkę, wzięła od gospodyni chustkę jakąś kolorową na ramiona, stanęła przed lusterkiem, poprawiła włosy i, aby na twarz sztuczny wywołać rumieniec, mocno po twarzy rączkami się tarła. Późniéj wzniosła oczy do nieba, westchnęła głęboko, jakby Boga o męztwo błagając, wzięła mnie za rękę, i do pierwszéj izby wyszliśmy.

Jaksa patrzył na nią długo, późniéj ruszył się, jakby wstać pragnął, ale Teresa doń poskoczyła, i pochyliwszy się, pocałunek na jego czole złożyła.

Jemu westchnieniem pierś się podniosła, oczy zaszły łzami, a na bladych ustach rodzaj różowej piany się pokazał. Lekarz zląkł się tego symptomatu i zaczął zupełny spokój choremu zalecać.

Jakób nic nie mówił, tylko rękę narzeczonéj ściskał, a późniéj, zwracając się do doktora wyszeptał:

— Nie lękaj się. Nie umrę, póki pułkownikiem nie zostanę.

— A zwracając się oczyma do Teresy, dodał:

— Dziękuję, dziękuję...

W sieni ruch jakiś się zrobił, a chory drgnął cały, i jakby pod wpływem jasnowidzenia, wyszeptał:

— Ach! wreszcie... wreszcie przybywa... jest... Och, bo tak strasznie cierpiałem.

Rzeczywiście drzwi się otworzyły, wszedł ordynans, a za nim kurjer ze skórzaną torbą na plecach.

Jaksy oczy nieziemskim jakimś zaigrały blaskiem: jedną ręką konwulsyjnie dłoń Teresy ściskał, drugą zaś szukał méj dłoni i, chwytając oddech, z trudnością powtarzał:

— Jest... jest... czytajcie, na miły Bóg czytajcie.

W torbie kurjera była rzeczywiście nominacya Jaksy na pułkownika tudzież kopia z raportu naczelnego wodza, niezmiernie pochlebnie o jego waleczności mówiąca.

Musiano mu to wszystko odczytać, a słuchał tego z taką uwagą i taką przytomnością, że nieznający się na rzeczy mogli o zdrowiu jego najlepsze powziąść nadzieje. Nadzieje te atoli były zwodnicze i krótkie, jakby po wytężeniu bowiem wielkiem chory zamknął powieki, pierś jego silnie robić poczęła, jakby jéj brakło powietrza, a na ustach coraz obficiéj krwawa pokazywała się piana.

Lekarz zrobił giest rozpaczliwy, nachylił mi się do ucha i szepnął.

— Konać zaczyna.

Osłupiałem cały a Teresa, czy dosłyszała tych słów strasznych, czy sama zbliżenie się rozwiązania odgadując, przy tapczanie osunęła się na kolana.

Jaksa po pewnéj chwili oczy otworzył i rzekł krótko:

— Księdza...

Kłopotu z tem wielkiego nie było, dom bowiem niebardzo był oddalony od probostwa, i ordynans z polecenia doktora kłusem na plebanię pobiegł.

Za chwilę odezwał się w uliczce dzwonek, i na progu chaty nie pułkowy nasz kapelan, ale siwiutki jak gołąb, z *Sanctissimum* w ręku proboszcz się ukazał. Poklękliśmy wszyscy, a chory przytomnym wzrokiem w przybyłego się wpatrywał.

Ponieważ umysłem w całéj pełni władał, przypuszczaliśmy więc, że spowiedź odbyć zamierza, i cofnąć się do alkierza uwa-

żaliśmy za stósowne. Chory ten zamiar nasz widać zrozumiał, podniesionym bowiem głosem się ozwał:

— Zostańcie... Księże, byłem zawsze uczciwym i prawym człowiekiem... ale... ale jeden grzech mam na sumieniu... wielki... ciężki... i śmiertelny... Nie dla ojczyzny, ale dla niéj biegłem na kule i groty... ją więcéj, niż ojczyznę... niż honor... niż powinność, miłowałem. Proś Boga, ojcze... żeby mi tę winę moją przebaczył.., żeby jéj sierotą długo pozostawać nie kazał... Bracia moi... módlcie się...

Dławienie jakieś w gardle i chrapanie w piersiach mowę mu przerwały, wszyscy przed majestatem śmierci z pokorą i ze zgrozą struchleli, ona twarz swą na dłoni narzeczonego ukryła, i w ciszy chaty nizkiéj poważnie rozległy się łacińskie słowa absolucyi.

Późniéj u chorego znowu chwila ożywienia i przytomności nastąpiła, a kiedy przyjął Komunię, oczy jego zajaśniały pogodnym blaskiem, zwrócił je ku Teresie, a ona, jakby pod ich magnetycznem działaniem, podniosła głowę i, wytężywszy wzrok, w twarz jego się wpatrywała.

— Tereso, — po pewnéj chwili wyszeptał, — żono moja... pułkowniko...

Ale nie skończył, kurcz straszny ciałem jego wstrząsnął, kaszel suchy większą ilość krwawéj piany na usta wypędził, a oczy białkiem odwracać się poczęły.

Przeraźliwe łkanie z piersi Teresy się wydarło, i po małéj chwili została jedna więcéj na ziemi polskiéj sierota, rozpływająca się we łzach nad trupem walecznego...“

Tu major chrząknął mocno, wąsa zakręcił i umilkł. Nas także dziwne opanowało wrażenie, i milczenie zaległo takie, że słychać było ćwierkanie konika polnego, ukrytego w trawie.

Stanisław pokilkakroć pocierał czoło, a chcąc zapewne z umysłu nie poddać się opanowującemu go rozrzewnieniu, jaknajprozaiczniejsze wysmażył zapytanie:

— I panna Teresa za mąż nie poszła? — rzekł.

— Panna Teresa, — mówił major, — nietylko została, jak widzisz, starą panną, ale, co się zowie, ubogą sierotą. Majątek jéj po wojnie cały skonfiskowano, a nie mając innych krewnych prócz moich rodziców, ojcowscy bowiem z dziwną obojętnością od niéj się usunęli, w pierwszych chwilach po wojnie w domu naszym osiadła. Tu jednak, delikatnością swoją idąc daléj, aniżeli było potrzeba, dopatrzyła smutnego stanu interesów, jaki

w skutek strat po podobnem przejściu krajowem był konieczność, i pomimo próżb najgorętszych poszła służyć, jako nauczycielka. Służyła dopóty, dopóki sobie zupełnie zdrowia nie stargała, i zaledwie w tym roku zdołałem, widząc wzmagający się coraz suchotniczy kaszel, na pobyt tutaj ją namówić.

I znowu wszyscy zamilkliśmy, a niezadługo z zakrętu uliczki wyszła jaśniejąca wspomnieniem dawnych wdzięków, blada i pochylona nieco bohaterka co dopiero usłyszanego opowiadania.

Szła do nas wolno, a uśmiech niewypowiedzianéj jakiejś dobroci rysował się na regularnych jéj ustach. Do nieszczęść usposobienia mojego należało to zawsze, że pod wrażeniem głębszem zostając, popełniałem często krzyczące niestósowności. Czy która z nich jednak większa była, niż teraźniejsza, doprawdy powiedzieć nie umiem. Naprzeciw panny Teresy poszedłem kroków parę, u nóg jéj przykląkłem i recytować zacząłem znany wiersz ulubionego poety:

Polskiego ludu, ty, żałobna wdowo...

Ona zmieszała się, z łagodnym wyrzutem popatrzała na majora, a do mnie tak rzekła *pro memoria:*

— Panie kochany, gdyby wdów podobnych było u nas więcéj, nie w żałobnych, ale w świetlanych i radosnych chodziłyby one szatach.

Kiedym się zaczął nad treścią, zawartą w tych słowach, zastanawiać, do panny Teresy przysunął się Stanisław, podał jéj rękę i poszedł z nią daléj zacienioną uliczką, żywo rozprawiając. Zapewne starał się moją niekonsekwencyę naprawić.

Pozostałą resztę dnia byliśmy wszyscy rozmarzeni jacyś i nieswoi, a kiedyśmy do siebie we dwóch wrócili, Stanisław milczący był i ponury i na łóżku, długo zasnąć nie mogąc, niespokojnie się przewracał.

Nazajutrz obudził mnie wcześnie i, zanim jeszcze roztrzeźwić się zdołałem, tak się do mnie odezwał:

— Czy wiesz, co dzisiejszéj nocy postanowiłem?

— Zapewne, żeby z przeklętéj Szczawnicy conajprędzéj do Warszawy uciekać.

— Przyjdzie i to niebawem, ale wprzódy co innego. Chcę pannę Teresę o rękę jéj prosić.

Zdumiałem się i, myśląc, że śpię jeszcze, szeroko oczy otworzyłem

— I cóżeś taką niemądrą zrobił minę? — zapytał.

— Ależ chyba żartujesz ze mnie, — odpowiedziałem.

— Wcale nie, wiesz o tem, że jestem zawsze człowiek seryo.

— Ależ zmiłuj się, — zawołałem, przestraszony już na dobre. — Wszakże ona matką twoją być może.

— A cóż mnie wiek obchodzi? Szanuję ją i wielką dla niéj czuję sympatyę, ona zaś potrzebuje opieki.

— A twojeż, co do małżeństwa, poglądy? — zapytałem.

— Właśnie, — rzekł, — najzupełniejsze tu znajdą zastósowanie. Nie myślałem się nigdy żenić, bom nie chciał zakładać familii i napróżno niewolników płodzić, tu jednak to niebezpieczeństwo nie istnieje, a miło mi, że skromnem mojem utrzymaniem nauczycielskiem zapewnię byt osobie, którą szanuję, a więc zarazem i kochać będę.

— Ależ zmiłuj się, — perswadowałem.

— Otóż to wasz idealizm, — zawołał. — Brudny egoizm, zarówno nikczemna spekulacya, czy się tyczy uczuć, czy pieniędzy.

Od słowa do słowa przyszło do żywéj sprzeczki, i Stanisław, który już był zupełnie ubrany, nacisnął na głowę kapelusz i zbiegł ze schodów.

Przez cały dzień tak z majorem, jak ze Stanisławem, nie widziałem się prawie, a kiedy wieczorem ostatni wrócił na kwaterę, odrzuciłem prędko trzymaną w ręku gazetę i niemogąc pohamować ciekawości, zapytałem:

— No cóż?

— Jakto cóż?

— No jakżeż z ową deklaracyą?

Przeszedł się razy kilka po pokoju, później niepewny siebie, stanął przedemną i rzekł szorstko:

— Proszę ciebie, jeżeli przyjaźń moja ma dla ciebie jaką wartość, nie mówmy nigdy o tem.

Zamilkłem, bo i cóż począć miałem?

* * *

Okoliczności tak się złożyły, że przez całe dwa lata nie mogłem widzieć Stanisława, że zaś, jeśli niebyło jakiego spe-

cyalnego interesu, z zasady na list nie odpisywał on nigdy, przeto literalnie nic wiedziałem, co się z nim dzieje. Zdziwiłem się też niepomału, kiedym po upływie tego czasu odebrał od niego list, zapraszający mnie na swoje wesele. List był, jak zwykle lakoniczny, a co najważniejsza, nie donosił mi wcale, z kim się żeni. Przypomniał mi się wtedy mimowoli ów niefortunny zamiar małżeństwa, powstały w Szczawnicy, a ponieważ wierzyłem w to, że nie doszedł on do skutku jedynie z powodu panny Teresy, jeszcze za to więcéj szacunku dla niéj powziąłem.

— Dzięki to jéj, — pomyślałem, — Stanisław dziwactw swoich się wyrzekł.

Ponieważ jednak na zaproszenie pomimo najszczerszéj chęci stawić się nie mogłem, wysłałem więc tylko list z najserdeczniejszemi życzeniami i załączyłem pokorną prośbę, żeby mi choć parę szczegółów o żonie swéj przesłać raczył. Gdzie tam, — milczenie jak zawsze.

W kilka miesięcy potem wpadłem do Warszawy, a zaledwiem tylko zdołał w hotelu się przebrać, pobiegłem do przyjaciela.

Na odgłos dzwonka otworzyła mi drzwi młoda, przystojna kucharecczka, schludnie bardzo ubrana.

— Czy pan Stanisław jest w domu? — zapytałem.

— Pan niedługo wróci, — była odpowiedź, — i, jeżeli pan dobrodziéj łaskaw pofatygować się w te drzwi na prawo, to zastanie tam panią.

Pokusie ciekawości oprzeć się nie mogłem i do wskazanego wkroczyłem pokoju.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy przy biórku zobaczyłem siwowłosą staruszkę, pochyloną nad poprawianiem ćwiczeń uczniowskich.

— Panna Teresa, — pani pułkownikowa! — zawołałem mimowolnie.

— Tak jest, ta sama, — odrzekła mi ze śmiechem, z krzesła się podnosząc, — tylko że teraz ani panna Teresa, ani pani pułkownikowa, ale... pani profesorowa...

— A pan major? — zawołałem, w coraz większe wpadając zdumienie.

— Śmierć pana majora, jedynego mojego opiekuna, — była odpowiedź, — na dwa miesiące ślub mój wyprzedziła.

To zdumienie, ten mój egzamin były znowu jedną niekonsekwencyą więcéj w mem życiu, szczęściem drzwi się otworzyły, i z tyłu mi się na szyję rzucił Stanisław.

Po obróceniu zaś do siebie i wycałowaniu w oba policzki szepnął mi do ucha:

— Ach, jakim ja szczęśliwy!

— Wierzę, — odparłem, wzruszając ramionami, — tak samo, jak wierzę, że szczególne dziwy miewają miejsce na ziemi naszéj.

KOCHANOWSKI W PARYŻU.

WSPOMNIENIE JEDNÉJ CHWILI Z ŻYCIA POETY.

Jedną z najwięcéj cenionych uroczystości publicznych, jakie przez cały wiek XIV, XV i XVI zachwycały próżniaczą i chciwą widowisk ludność miasta Paryża, było tak nazwane feu de Saint Jean, a w r. 1556 było ono może uroczystsze jak lat innych. Składało się zaś na to wiele

Uwaga. Do obrazka tego czuję się w obowiązku dodać pewne objaśnienie głównie z tego powodu, żeby on przypadkiem w poszukiwaniach, gdzie uzbrojonym latarnią krytycyzmu iść potrzeba, powodem zamięszania się nie stał.

Nie taję, że głównym powodem napisania jego był obchodzony w roku zeszłym jubileusz nieśmiertelnego naszego poety, do którego i ja skromnie cegiełkę przyłożyć zapragnąłem. Pobyt zaś w Paryżu łudził mnie nadzieją, że może gdziekolwiekbądź tutaj na ślady ojca naszej poezyi natrafię, przetrząsanie jednak archiwum i bibliotek pozostało bez skutku oprócz dość dokładnego zapoznania się z Ronsardem, z otaczającą go uczono-poetycką plejadą i oprócz siakiego takiego zapoznania się z epoką humanizmu nic więcéj użytku mi przyniosło. Żal mi jednak było zebrany ten materyał w fali zapomnienia utopić bezpowrotnie i postawiłem taką kombinacyą: ponieważ faktem jest że Kochanowski był w Paryżu, że kochał się tu w Lidyji, że się zapoznał z Ronsardem; ponieważ daléj życie owego Ronsarda w cennych pracach francuskich znane jest prawie odnośnie do dnia każdego; ponieważ owa Kasandra i Lidyja, właściwie margrabianki d'Aubusson nie są wcale istotami wymarzonemi a rzeczywistemi, czyż więc nie można było zrobić przypuszczenia, że Lidyją Kochanowskiego była młodsza z margrabianek, zwłaszcza że rozkochanie się w istocie podobnéj nie uwłaczało wcale pamięci naszego poety, ale owszem dawało pewne świadectwo o wyrafinowanych jego pod wpływem humanizmu gustach. Powtarzam wszakże, że rzeczywistéj i materyalnéj pewności co do prawdy przypuszczenia tego nie mam.

bardzo powodów. Bez względu, że każdy rok okrągły jedne i te same niósł zwykle fety, a na pozór zdawaćby się mogło, że czy uroczystość przypada w początku, czy w końcu lata, na jéj wartość wpływać to nie powinno; jednak taka już bywa natura ludzka, że pod koniec roku, jakby pod wpływem szczególniejszego zmęczenia, ustają siły ludzkie a skoro nowy rok wybije, bywa tak jakby się one odrodziły całkowicie.

We Francyi nowy rok podówczas zaczynał się na święta wielkanocne i dopiero Karol IX, królewskiem swem poleceniem, wydanem w 1564 r. przeniósł go na pierwszy stycznia, a obyczaj inowacyą tę zaledwie zatwierdził w dwa lata później.

Obrazek ten wysłany do Biblioteki Warszawskiéj uległ tam samowolnemu skróceniu bez zapytywania o to autora a nadto w dopiskach zrobiono mu kilka zarzutów, z których usprawiedliwić się winienem. Co do zarzutów sformułowanych w słowach: mogło być tak, a mogło być inaczéj, na to odpowiadać trudno, bo jak jedna tak druga strona na poparcie twierdzeń swych nie ma potrzebnych dokumentów. Że kult Matki Boskiéj Częstochowskiéj wyrósł u nas wyłącznie w XVII w. po cudownéj obronie twierdzy, nie ulega to najmniejszéj wątpliwości, wszakże zachodzi tu ta okoliczność, że jeśli kult ten stał się wtedy powszechnym w całych granicach dawnéj rzeczypospolitéj, wyjątkowa cześć dla niéj w prowincyach zachodnich bo nawet w nie należącym już do nas Szlązku wyznawaną była od chwili złożenia cudownego obrazu na Jasnéj Górze. Aby się o tem przekonać dość bodajby pobieżnie przerzucić tak nazwane „akta cudów“ i w miejscowych zapiskach przekonać się w jakich olbrzymich ilościach zarząd tutejszego kościoła sprzedawał wiernym obrazki małą stanowiące kopiją obrazu cudownego.

Redakcya nadto biblioteki, poufnie z postąpienia swego w liście mi się usprawiedliwiając, przyznała że opowiadanie to skróciła dla tego, że włóczenie się po szynkowniach i miłość dla jakiéjś kurtyzanki według jéj przekonania ubliżała pamięci poety. Jest to, zdaje mi się, za zbyt surowe zapatrywanie się na rzeczy i mimo milczenia w tym względzie nikt na podstawie pism Kochanowskiego nie będzie w możności utrzymywać, że miłość jego dla Lidyji była uczuciem czysto idealnéj natury i że człowiek ten z natury krewki a ognisty zboczeniom właściwym młodemu wiekowi nie ulegał. Przypuszczać tak byłoby to właśnie nie rozumieć istoty humanizmu, nie wiedzieć jakie zmiany pod względem obyczajów zwrot ku klasycyzmowi w ówczesnych społeczeństwach wywołał. Robić zaś z tego zarzut poecie, który za filozofem powiedział „nihil humani a me alienum, byłoby to wielce pamięć jego krzywdzić. Wszak fraszki Kochanowskiego są wielce swawolne, a czyż byłaby dzisiaj dość śmiała ręka, któraby je na zagładę i stos skazała?

Co do mnie, nie taję, że dla śpiewaka z Czarnolasu wyjątkowo miłość w sercu swem chowam i będąc pewny, że obrazek ów o tyle o ile charakteryzujący epokę w niczem mu nie ubliża, śmiało po przywróceniu go do rozmiarów i form pierwotnych, w ręce czytelnika go podaję.

Z tego powodu fête de Saint Jean należała jeszcze do początku roku i wielki zapał do zabawy, wynikający z szeregu uroczystości, niedawno rozpoczętych, wśród ludności budziła.

A był to rzeczywiście oryginalny obyczaj. Na placu de Grève, przed ratuszem stawiano naprzód maszt wyniosły, przynajmniéj sześćdziesiąt stóp wysokości mający i naokoło niego układano stos z rozmaitych gatunków drzewa zdobny wawrzynami, liściem złotym i mnóstwem kwiatów, w jakie pora czerwcowa obfitowała. Całość z daleka wyglądała jak różnobarwny bukiet a na szczycie masztu powiewała chorągiew Walezyuszów, trzy lilije na błękitném polu. Na wierzchu stosu drzewnego wśród wieńców róż i liliji świeżą żółtością trzciny świeciły trzy koszyki. W dwóch z nich było po tuzinie kotów, w trzecim lis, wszystko żywe i mające wraz ze stosem spłonąć, podług ówczesnych pojęć i wyrażenia pour faire plaisir à Sa Majesté. Stos otoczyli halabardnicy królewscy, za nimi szły szeregi łuczników miejskich, a daléj stanęła muzyka, złożona, z tak nazwanych przedstawicieli de la grande bande, stanowiących orkiestrę municypalną i z trębaczów królewskich.

O godzinie 2 po południu od strony Luwru pokazały się karoce królewskie, otoczone licznymi szeregami konnéj i pieszéj dragonii i poprzedzane przez laufrów, którzy przybrani w szaty jaskrawe, z chustkami w zębach biegli przed królewskim majestatem. Skoro herold z wieży o przybliżaniu monarchy się dowiedział, dał sygnał, z bram ratusza wysunął się prévôt w gronostajami podbitéj todze, za nim szli dostojnicy w szubach futrzanych mimo gorąca, a każdy z nich trzymał w ręku zapaloną gromnicę z żółtego wosku.

Kiedy orszak królewski na plac przybył prévôt do karety królewskiéj się zbliżył, oddał głęboki pokłon trzykrotny, za nim powitanie toż samo powtórzyli wszyscy jego towarzysze, a kiedy z karety wyniesiony został na rękach paziów i szambelanów król Henryk II, wojsko ustawione na parapecie dało po trzykroć ognia z muszkietów. Broń palna była podówczas wielką jeszcze nowością i ten trzask suchy, a jeszcze więcéj może błyski z żelaznych rur wychodzące, zrobiły wielkie wrażenie na tłumie, którzy tak na placu samym, jak i na wszystkich sąsiednich ulicach czernił się zbitą massą, nieruchomą, po wierzchu któréj tylko główki strojne w rozmaite przybrania się poruszały.

Henryk II był małego wzrostu, szczupły, wywiędły i mimo młodych lat zgarbiony, a twarz miał żółtą jak wosk i jakby

nalaną. Broda długa ale rzadka spadała mu na kryzę hiszpańską, ciężka złota korona zdawała mu się czoło przygniatać, a zwieszony na barkach gronostajowy, przykryty purpurą i zahaftowany lilijami płaszcz, mimo, że ogon jego podtrzymywało sześciu paziów, zdawał się przygniatać srodze wątłą postać królewską, gdyż ją jeszcze więcéj kulił i zginał a włoska, opięta szata zpod płaszcza wyglądająca, obejmowała ciało tak wątłe i nikłe, że rzekłbyś, iż ono po tym ciężarem się przełamie.

Król w jednem ręku piastował, złotolite berło, lilijami emaljowanemi u góry zakończone: w drugiéj jabłko szafirowe, rubinowym w górze zdobne krzyżem.

Prévôt z głębokim pokłonem podał królowi gromnicę z białego, jarzącego wosku, oblamowaną w miejscu, gdzie trzymać za nią należało, purpurowym aksamitem. Król emblemata owe, trzymane w ręku, podał mistrzowi ceremonii, a sam gromnicę ująwszy i od świecy prezydenta miasta ją zażegłszy, szedł prosto ku wznoszącemu się na placu stosowi drzewa. Liczne szeregi dworzan, wśród których i płci białéj nie brakło, tworzyły jego eskortę, muzyka wojskowa, dworska i miejska grzmiała a tysiące ust zgromadzonego tłumu bez ustanku vive le roi! krzyczały.

Stos otoczony był suchym chrustem, słomą, łodygami winnemi, napojonemi żywicą i innym materyałem szybko i prędko zapalnym. Skoro więc król pochodnią swą do bukietu z suchych papierowych lilij przytknął, płomień buchnął w jednym momencie i podniecany nagromadzoną w winnych wiciach żywicą, pełzł do góry na stos, błyskając czerwonymi i niebieskimi języki, które wspinając się coraz wyżéj, dosięgły koszów gdzie zamknięto żywe zwierzęta. Wydały one krzyk przedśmiertnego przestrachu, ale tryumfalne fanfary, a jeszcze bardziéj huk hakawnic i oktaw z przyległéj twierdzy Chatêlet je zagłuszył. Lud cieszył się tą wielką jasnością i z powodu, że płomień podłożony ręką królewską tak prędko stos zajął, najlepsze wróżby na rok cały robił. Muzyka brzmiała, tłum wiecznie lubiący głośno wyrażać swe uczucia śpiewał na całe gardło, na placu naokoło stosu odbywano uroczystą defiladę, a stos płonął, iskrami sypał, słońce jaskrawe blaskami swemi zawstydzał i była radość taka, jakby obrząd ten o szczęśliwości narodu miał stanowić.

Municypalność, zapewne żeby króla zbyt nie trudzić, stos z suchych i palnych materyałów przygotować musiała, bo zale-

dwie dwie godzin upłynęło, zamienił się on na kupę płonącego żaru, dymy pod pogodnem niebem się rozpłynęły i gorąco od placu biło, czerwieniąc twarze i narażając na poty dostojników pod ciężkiemi futrzanemi szubami.

— No, daruj Wasza Miłość — rzekł czystą polszczyzną wśród tłumu zacny jakiś młodzian do swego sąsiada — że cała ta, tak bardzo zachwalana uroczystość, wydaje mi się istnem błazeństwem.

— Jeślibyście mój Janie — odpowiedział zapytany — nie z samego przebiegu fety, ale z radości odmalowanéj na twarzach Paryżan, miarę brali, toć trudnoby przypuścić coś bardziéj interesującego.

Dwóch tych młodych ludzi, wśród nosowego i gardłowego żargonu Francuzów rozmawiający nadwiślańskim językiem, byli tu niezawodnie, wśród starożytnéj Lutecyi prawdziwą osobliwością, nie zawadzi więc rzucić na nich pobieżnie okiem.

Pierwszy, który zapytanie to zadał, był mężczyzną dwudziestokilkoletnim, wyrosłym, wysokim, o rysach wyrazistych, regularnych, pięknych, mimowoli przypominających twarze ze starych gem lub kamei rzymskich. Czoło wysokie i półkolisto a wypukło zaokrąglone, oczy czarne, świecące pod regularnemi brwiami ogniem jaskrawym jak ciarki, nos rzymski, zginający się w delikatnym i klasycznym załomie, usta ponsowe jak karmin, wydatne, grube dosyć i namiętne, na twarzy świeżość jakby dopiero rozkwitłéj róży, lub krwi z mlekiem zmięszanéj i fryzura czarna jak kruki, spadająca na ramiona w skręconych lokach, tworzyły całość tak sympatyczną, jeżeli nie skończenie piękną, że jeśli oko na młodzieńcu tym raz się zatrzymało, już się od niego z trudnością na inne przenosiło przedmioty. We Francyi, od czasu Franciszka I, który ton wszystkim nadawał i był wzorem galanteryji a właściwie tem, co późniéj żurnalem mody nazywano, weszło w obyczaj u mężczyzn, którym zarost dopisywał, noszenie długiéj brody. Król w młodości swéj rapirem w twarz cięty w czasie fechtungu z jednym z dworzan, brodę zapuścił dla ukrycia blizny, a świat cały go naśladował, nie wyłączając i duchowieństwa i późniéj dopiero sprawa bród owych aż o Sorbonę się oparła i kiedy ta zadecydowała, że broda jest przeciwną skromności, że ludzie uczciwi „Man deferant barbas et veniant tonsi“ dopiero zwyczaj ten ustawać począł i dopiero przy Ludwiku XIII, któremu natura zarostu odmówiła, zupełnie ustał. W chwili jednak, o któréj mówimy, była to moda po-

wszechna i właśnie dla tego w młodzieńcu wymienionym uderzało, że podbródek jego starannie był wygolony, a tylko na wargach górnych czerniał wąs kruczy, acz młody jeszcze i świeży jak puch dorastającego słowika, niemniéj jednak gęsty, suty, z kokieteryją podfryzowany i samą już starannością, z jaką był podkręcony, świadczący, że jego posiadacz musiał uważać go za jeden z najprzedniejszych wdzięków swojéj istoty.

Młodzieniec ów ubrany był w szatę włoską, w opięte czarne, jedwabne trykoty, w ciżmy orzechowego koloru z kończastymi nosami, z wierzchem wyciętym przy kostce w liść lotusu i w tunikę zieloną, bogato na mankietach i na wyłogach okładaną lyońskim aksamitem. W kołnierzu białym jak śnieg tkwiła gruba, karbunkułowa śpinka, długa szpada w również zielonéj aksamitnéj pochwie aż do kostek się zwieszała, a na ramionach zarzucony fantastycznie płaszcz włoski z powiewnéj czarnéj mantyny, barczystemu korpusowi dodawał jeszcze więcéj wyrazistości i rozrosłości, tak że postać ta niejako widza mile ciągnęła ku sobie nietylko pięknością wyrazistéj twarzy, ale i kształtnością budowy całego ciała.

Czasy owe we Francyji pozwalały na pierwszy rzut oka zgadnąć, do jakiéj klasy nieznajomy mógł należeć, gdyż zbytki w strojach tak się podówczas rozpowszechniły, że wydawano liczne leges sumptuariae a dekret Henryka II, ogłoszony 1549 r. surowo zabraniał nie szlachcie noszenia broni i bodajby kawałka aksamitu na szatach, i lubo w kolei czasu nadużycia tu się także wkradły, jednak w początku przestrzegano prawa tego surowo i zwłaszcza cudzoziemcy wykraczać przeciwko niemu by się nie poważyli.

Towarzysz młodziana owego, musiał być także szlachetnéj kondycyji, bo jego szaty nietylko w części jak u poprzedniego jedwabiem były zdobne, ale owszem całe z jedwabiów i złotogłowiu się składały. Miał on na sobie strój polski, żupan ze złotolitéj lamy, na drobne w złoto oprawne turkusy spięty i po wierzchu kontusz karmazynowy tem droższy, że cały był z lekkiego aksamitu, z guzami drogocennemi. Od pasa zwieszała mu się zakrzywiona damascenka w jaszczurowéj pochwie, z rękojeścią grubymi szmaragdami i rubinami sadzoną. Na głowie miał kolpaczek rysi z kitką piór kogucich, na nogach ciżmy takiego kształtu jak u towarzysza.

Był on prawdopodobnie od kolegi swego, strojnego we włoskie szaty młodszy, ale broda obyczajem dworskim na kolaretkę

jego spadająca, tudzież tusza jak na młodego mężczyznę dość poważna nadawały mu pewną powagę a większe znać oznajomienie się z miejscowymi obyczajami nad towarzyszem przewagę jego ustalało.

Pierwszym z owych dwóch ludzi był Jan Kochanowski, który do Paryża dla studyjów z Włoch przybył; drugim Hieronim Ossoliński, od dwóch lat już blizko na dworze Henryka bawiący.

Uroczystość stosu Ś. Jana widział on już nie po raz pierwszy, a i teraz nawet jak w roku poprzednim mógłby, należąc do królewskiego orszaku, wszystko z blizka oglądać, ale wyrzekł się dworskiéj pompy, byle tylko towarzyszowi, który niedawno tu przybył, za dokładnego służyć cicerona.

Obadwaj współziemianie prawie, gdyż obadwaj z Małopolski pochodzący, nie znali się przecież w latach swych pachołęcych i dopiero gdy Kochanovius do Luzacyji na studyja przyjechał, a sława wielkiego poety i rymopisa go poprzedziła, tam Ossoliński go szukał, a poznawszy go, tak się już w Muz i Apollina kochanku rozmiłował, że prawie ciągle z nim był razem, a skoro rozpamiętywać rodzinne relacye poczęto, przekonał się, że Toporczyki są w blizkiem z Korwinami pokrewieństwie i już jako powinowaty dwór nawet zaniedbywał, byle tylko współziemianinowi swemu a pokrewnemu być na ciągłych wysługach.

Kochanowski afekt ten cenić odpowiednio umiał, za przychylność równą przychylnością się odpłacał i byłby może gwoli koleżeństwa studyjów swych zaniedbał, gdyby nie okoliczność, że Ossoliński do paniąt należał, na grosz sowicie rozrzucany się nie oglądał, a kaleta poety dość chuda była i baczyć on musiał na szelągi, jakie z worka jego wybiegały. Ilekroć jednak nieznaną poecie jakąś uroczystość dworską zdarzyło się z łaski towarzysza swego oglądać, już ecrtamina podobne pozostawiał na stronie i gwoli wzbogacenia swojego umysłu z wysokiego stanowiska ziomka swojego korzystał.

Osławiony jednak obchód podpalania Święto-jańskiego stosu nie zachwycił go bardzo i dla tego na uwagę Ossolińskiego sucho odpowiedział:

— Z zachwytu miejskiéj gawiedzi żadnych wniosków wyciągać nie można, jéj bowiem nie obchodzi tyle rzecz sama, ani spectaculum, ile okoliczność, że w dane miejsce garnie się tłum wielce liczny.

— Jednak zgodzisz się, Wasza Miłość — odparł Ossoliński

— że obyczaju podobnego w naszych północnych krajach nie masz.

— Przeciwnie, azaż to nie jest to samo, co nasze Sobótki? Azaż festum w tymże samym nawet terminie się nie odbywa?

Różnica tylko w wykonaniu jego jest ogromna. Tu ogniem grzeją, kiedy Febus złote woźniki swoje na środek niebieskiego stropu wytoczył i żarem z niebios sieje; u nas, choć obchód ten święci się także, kiedy słońce Raka dogrzewa, ale wyczekuje się wieczornego wczasu i nocnego chłodu. Tu stos nakłada się wśród domostw, grożąc miastu pożarem i swędząc dymami; u nas tłem dla widowiska jest las z całą swą wieczorną świeżością, w obec której żar ognia nawet dokuczliwym nie jest. U nas zabawa za zasadę bierze, żeby żadnemu stworzeniu nie szkodzić, i skoro się plac na ogień wybiera, strzeże się, żeby nawet robaczek świętojański się tam nie zaplątał i spaleniu nie uległ; tu z umysłu na wolnym ogniu niewinne animalia skwarzą. U nas dziewki w białe szaty strojne, biorą się za ręce i cudne pieśni zawodzą; tu wrzaskliwe puzanny i trąby uszy rozdzierają, a szeregi drabów ciekawego naprzód nie puszczają. W naszym kraju w obec uroczych pieniów, wonności lasu, swobody zabawy serce rośnie a ramionom i piersi przestronno; tu łokciami przepychać się trzeba, a krwawy pot wśród ciżby na czoło występuje. Może być, że my jesteśmy narodem więcéj rólniczym, a więc otia rustica po nad wszystko przekładamy, ale z obyczajami takimi miło jest, słodko i rozkosznie.

— Poeta, odpowiedział mu Ossoliński — wszystko z poetycznego punctum widzenia oceniasz, a miasto ludzi, Fauny a Satyrowie leśni więcéj u Ciebie łaski znajdują. I nie dziwiłbym się też żebyś owym zwyczajom, o których powiadasz, z czasem pióra swego nie poświęcił.

— Nie mylisz się, Miłość Wasza — była odpowiedź — Beatus ille qui procul negotiis śpiewał wieszcz z Tyburu, a wasza wioska, czyż mniejsze zalety posiada? Wsi spokojna, wsi szczęśliwa — rzekł westchnąwszy, a myślą zapewne w téj chwili do ojczyzny pogonił.

Rozmowa atoli przerwać się musiała, stos bowiem przez ten czas spłonął, popioły siwe wielką gromadą na placu osiadać poczęły, a skoro igrający łagodnie wietrzyk, zdmuchujący lekkie pyłki, żarzących węgli już nie odkrywał, pochód naokoło ogniska ustawać począł, trąby zamilkły i król jegomość w towarzy-

stwie dostojników miasta wkroczył w bramy ratusza, gdzie go wspaniała uczta, złożona z zimnych dań mięsnych, z ciast i cukrów czekała.

Odejście jego było znakiem dla zebranych tłumów, żeby się na kupę popiołów, pozostałych po stosie drzewnym, rzuciły. Przesąd bowiem ogólny panował u ludności tutejszéj, że popiół z tego stosu, wygaszone głownie i węgle jego złożone w domach sprowadzają szczęście dla rodzin. Każdy więc po małą ich część się garnął, a bojąc się, żeby go nie uprzedzono, nie zważał na tlejący żar, na gorący popiół i cisnął się, śmiejąc i żartując, parząc palce i wodą z przyniesionych dzbanów zalewając i gasząc głownie, żeby je tem prędzéj zabrać było można.

Kiedy tłumy pchały się w stronę stosu, na brzegach placu, tudzież na przylegających ulicach zrobiło się swobodniéj i Ossoliński do Kochanowskiego się ozwał:

— Ponieważ dziś cały Paryż roboty się imać nie będzie a aż do północy ucztowaniu się odda, przeto i wy zapewne, mój Janie do studyów swych nie wrócicie, i jeśli zgadzacie się na to, żebym był i dłużéj waszym przewodnikiem, raczcie mi zaufać i na wybór mój się zdajcie.

— Może Miłość Wasza rozporządzać mną śmiele — była odpowiedź — a tuszę, że w towarzystwie tak zacnego kawalera i znającego Paryż jak nasze Sędomirskie, profit tylko odnieść mogę.

— Za zaufanie dziękuję Ci ziomku, a mam ten duszny prosentyment, że ludzie, z którymi cię teraz zapoznam, wielce ci do serca przypadną.

I idąc ciągle nad brzegiem Sekwany, zbliżyli się do twierdzy, która się zwała le petit Chatêlet i która była niejako kluczem, zamykającym otoczenie uczonéj, bo przeważnie przez studyujących zamieszkałéj części téj miasta, zwanéj już i podówczas Quartier latin. Kochanowski był od czasu przybycia swojego stałym jéj obywatelem i przypuszczał, że ją znał dokładnie, z niedowierzaniem więc spojrzał na swego przewodnika, uśmiechnął się pod wąsem, ale nic nie mówiąc, szedł gdzie on go prowadził, ciekawy, jakie to nieznane dotąd cuda mu pokaże.

Quartier latin ma i dziś w Paryżu swoją wyłączną fizyognomią i dzisiaj jeszcze student jest tu wszechwładnym panem i najważniejszym okolicy téj obywatelem, a ludność do potrzeb

i gustów jego dla swego własnego zysku naginać się i stósować pragnie.

Stokroć jednak więcéj wyjątkowy charakter nosiła ona w epoce, o któréj mówimy. Wskutek innowierczych sporów uniwersytet pragski świecił obecnie pustkami, z Krakowa młodzież odbyła gromadną na zachód wędrówkę i skoro Wittenberga i niemieckie uniwersytety przygarniały tych tylko, którzy za genewskiemi nowinkami otwarcie się oświadczyli, katolicy, lub ci, którzy między dwoma kierunkami się chwiali, znajdowali jedynie przytułek na uniwersytetach włoskich, a jeszcze pewniejszy w Paryżu.

Tu, dzięki opiece zmarłego króla Franciszka I Sorbona uzyskała nowe przywileje, oprócz niéj powstało Collegium trilinquae, dzisiejsze Collège de France tak zwane dla tego, że w niem nietylko łacinę i grecczyznę, ale i język hebrajski wykładano, a oprócz tego cała ta część miasta przepełniona była tak zwanemi kollegiami (collège), w których mieszkanie, wikt i opatrunek studyującym dawano i ujmowano ich w szkolną ferulę, jeśli to była młodzież dorastająca, lub w wyborze nauk i kursów zostawiano im zupełną swobodę, jeśli byli młodzieńcami, którzy już pierwociny swe odbyli pod skrzydłami innéj jakiéjś almae matris. Wielcy panowie i dostojnicy duchowni na wyścigi z fundacyjami tego rodzaju spieszyli, a obserwacye fundowały tu także zakłady wyłącznie dla swoich ziomków, lub tych, którzy się z niemi przez dłuższy czas zżyli.

Do takich zagranicznych kollegiów należało Collège des Lombards, założone wyłącznie dla Włochów na ulicy des Carmes a z powodu profesora hebrajszczyzny, Agathio Guidacerio i znakomitego hellenisty, Hieronima Alcandre wielkiéj używające sławy. Kochanowski, wraz z kilkoma ziomkami swymi po przyjeździe do Paryża w kollegium tem jakby Włoch został przyjęty, tu dostał mieszkanie, tu był wiktowany i mając zupełną swobodę ruchów co do studyów, do mistrzów kollegium miał możność zawsze się udawać, ilekroć bądź naukowe, bądź do osoby jego odnoszące się nastręczyły trudności.

Właściwie był to internat, ale zakonna jego cecha krępowała jedynie wyrostków, ludzie dojrzali ciągnęli z zakładu tego odpowiednie zyski, ale zarazem ferule jego się nie poddawali. Ze wspomnień średniowiecznych pozostało jeszcze to przekonanie, że studiosus nietylko posiadał wszystkie prawa, jakie każ-

demu obywatelowi przysługiwały, ale miał jeszcze do godności téj przywiązane pewne przywileje. W Paryżu na przykład wolno mu było wałęsać się przez całą noc po ulicach i winiarniach, kiedy inni mieszkańcy pod karę Carceres'a winni byli iść na spoczynek o jedenastéj. Wolno mu było broń nosić, bez względu, czy był czy nie był szlachcicem i lubo w więzieniu du petit Châtelet istniało dziesięć komnat przeznaczonych na więzienia dla studentów, kiedy atoli w innych celach dla wygody uwięzionych była tylko słoma na ceglanéj posadzce rozesłana, w studenckich komnatach poustawiano tapczany i wcale przyzwoitymi i czystymi pokryto je kilimkami.

Te względy, przy gorącéj krwi młodzieńczéj, licznych nadużyć bywały powodem i studenterya jako państwo w państwie się uważając, nietylko spokojnym mieszkańcom téj części miasta nakładała swoje prawa, ale nie rzadko występowała jak strona wojująca. Przez cały wiek XVI w Paryżu trwała walka między studenteryą a opactwem Saint Germain de près a królowie całą powagą swą zażegnać jéj nie byli w stanie.

Kochanowski przez kilkomiesięczny swój w Lutecyi pobyt nietylko poznał wyjątkowe przywileje studentów, ale także wszystkie ich sympatye i antypatye, i jako dobry towarzysz podzielał przyjaźnie ich i ambicye, we wszystkiem ze studentami, jako ciałem się solidaryzując. Ponieważ zaś wszelkie obrady studenckie odbywać się zwykły w winiarniach, a że sam z natury ochoczego był usposobienia, podobne więc zakłady nietylko znał na palcach, ale owszem wszędy kredyt i zaufanie posiadał.

Ówczesny quartier latin składał się wtedy jedynie ze studentów tudzież przemysłowców, którzy z ich skóry i kieszeni żyli; dziwić się więc nie można, że skoro Ossoliński nieznane tu jakieś dziwy miał poecie pokazać, on temu nie dowierzał, ale że układny a dworny był z natury, żadnéj więc opozycyi nie czynił, a owszem nic nie mówiąc szedł w ślady swego przewodnika.

Przekradli się przez twierdzę, minęli tak zwany petit pont, od którego wszyscy studenci zwali się ogólnie parki-pentani i zatrzymali się przed winiarnią, która przytykała do murów świeżo kreowanéj szkoły anatomicznéj, a znajdowała się na rogu do dzisiejszego dnia istniejącéj ulicy de la Boucherie.

Ossoliński wskazał na sosnową wiechę i gałąź winogron, jako signum wiszące nadedrzwiami i zapytał towarzysza:

— Czy znasz Janie, ów zakład, najsłynniejszy na całe quartier latin?

— Jakże bym znać nie miał, kiedy mi tu gospodarz poborgował już na dwadzieścia dukatów?

— A czy zbierające się tu towarzystwo wam znajome?

— Wszak to wszystko przeważnie wychowańcy Collegium Lombardorum.

— Nie koniecznie, bo są tu też wychowańcy i innych zakładów, ale wejdźmy na górę.

I kiwnąwszy uprzejmemu gospodarzowi głowami, wdrapywali się po wązkich schódkach, wychodzących na odsłoniętą, znajdującą się na pierwszem piętrze galeryą.

Z galeryi okrążonéj balustradą prowadziły drzwi do sal lub komórek pojedyńczych, numerami, wypisanymi białą kredą na czerwonych drzwiach poznaczone.

Na galeryi trzymał się służący w granatowéj kurcie i długim białym fartuchu, a gdy Ossoliński po cichu do niego słów parę przemówił, kiwnął potakująco głową i wskazał na drzwi, na których niezgrabna rzymska piątka narysowana była.

Z za drzwi tych dobiegały krzyki wesołe, często przeplatane pieśnią i Ossoliński po kilkakroć powtarzać musiał pukanie, zanim go dosłyszano i zanim z wewnątrz odezwał się głos śmiejący, wymawiając snać z przyjemnością i radośnie słowo:

— Entrez.

Ossoliński drzwi uchylił, wsunął naprzód głowę i jakby za śmiałość przepraszając, chciał się z natręctwa swego tłómaczyć.

Skoro go jednak zebrane tu towarzystwo ujrzało, podniósł się chorał wesoły, siedzący ze swych miejsc naprzeciw niego powstawać poczęli a z ogólnego hałasu słychać było słowa:

— Venez donc vite.

Ossoliński wtedy do Kochanowskiego się zwrócił, wziął go za rękę i obaj do środka wkroczyli.

Komnata to była obszerna, ponuro sklepiona, opatrzona dwoma tylko gotyckiemi oknami, przez kolorowe szyby których niepewne wchodziło światło. Na środku jéj stał stół biały nie pomalowany i nie przykryty, na nim butelki, szklanki i dzbany, a dokoła, na słomą wyplatanych stołkach siedziało liczne towarzystwo, złożone z mężczyzn i płci białéj.

Na końcu stołu przytykającym do okien i w promieniu światła jakie się tu krzyżowało, siedział mężczyzna mniéj więcéj trzydziesto lub trzydziestokilkoletni, o rysach wielce wyrazistych, oczach błyszczących i rozumnych.

Szata na nim skromna była i na sposób włoski skrajana przypominała faworytalny strój studencki, czupryna atoli zadarta w górę, mała trójkątna bródka z fantazyją na bok pokręcana, twarz owalna i regularna, oczy czarne, wypukłe, dokoła strzelające ognistymi blaski, zwracały na siebie uwagę.

Snać najważniejsza to była w zgromadzeniu figura, Ossoliński bowiem, wziąwszy Kochanowskiego pod ramię, prosto ku niemu kroczył i zgiąwszy się w ukłonie pokornym, odważnym językiem Cycerona, a wielce podniesionym głosem wyrecytował następujące słowa:

— Szanowny a szlachetnie urodzony Ronsardzie, przyprowadzam tobie, sławie francuzkiego Parnasu, przyszłą da Bóg sławę Sarmacką, nieocenionego naszego Kochanoviusa, którego poetycznemi utworami zachwycaliśmy się niejednokrotnie.

Kochanowski, słysząc nazwę tę siedzącemu między dwoma oknami mężczyźnie daną, ścierpł mimowolnie, o sławie bowiem młodego Ronsarda słyszał niejednokrotnie, tak łacińskie, greckie jak i francuzkie rymy jego czytywał i nabrał doń szacunku tak wysokiego, że go czemś podobnem do bóstwa w myśli swéj wyobraził. Spotkaniu więc temu rad był i zarazem nim się zakłopotał, ale jako był człowiekiem rezolutnym i takim który niełatwo daje się zjeść w kaszy, skłonił się głęboko i nie po łacinie już ale Homera językiem wypowiedział zręczny kompliment, w którym oprócz zapożyczenia się u Pindara znać było zarazem wprawne władanie językiem starożytnéj Hellady.

Ronsard nazwisko prezentowanego mu gościa usłyszał i widać musiał już o nim co wiedzieć, bo mu oczy radośnym zajaśniały blaskiem, ale komplimentu jego znać nie zrozumiał, srodze bowiem brwi zmarszczył, zmięszał się i nie wiedział, coby odpowiedzieć.

— Mów głośniéj, rzekł do niego po polsku Ossoliński, nie obawiając się, aby przez kogokolwiek z obecnych mógł być zrozumiany. — Wielki Ronsard jest głuchy i odzywając się do niego trzeba przynajmniéj tak głos podnosić, jak ja to czyniłem.

Kochanowski zapłonił się jak mak polny, w jego młodzieńczéj bowiem wyobraźni wieszcz każdy, a szczególniéj stojący na

téj wysokości, jak sobie Ronsarda wyobrażał, powinien być człowiekiem bez skazy i najmniejszego defektu cielesnego w nim nie przypuszczał. Ale podług zrobionéj przestrogi podniósł głos wyżéj i acz słowa powitania zmienił, co jeszcze więcéj perycyją jego w mowie Greków stwierdzało, niemniéj i wielkiéj uczoności swéj i szacunku dla francuzkiego mistrza w powitaniu tem nowem dał wielki dowód.

Ronsard w odpowiedzi uśmiechnął się wesoło, z siedzenia swego powstał, poetę znanego mu z twórczości do piersi przycisnął i na czole jego złożywszy nie koleżeńskie ale prawie ojcowskie już pocałowanie, wpatrzył się weń wzrokiem radości pełnym i nie siląc się na komplimenta w obcej starożytnych mowie, wyszeptał już po francuzku.

— Oh, jakżem szczęśliwy, — bardzo szczęśliwy.

I wyciągnął dłoń swą do Ossolińskiego, dodając serdecznym tonem:

— Wilija Ś. Jana podług narodowych przekonań naszych zwykła wierzącym w to, prawdziwe szczęście przynosić. Pokazuje się, że ja do wybranych należę, bo oto poznaję młodzieńca, który mi już od dawna Simonidesem, przeznaczonym dla stref północnych się wydawał. Dzięki ci, mości hrabio (tak już podówczas zwano Ossolińskich we Francyji) — szczere dzięki.

Ossoliński rękę podaną ściskał, Kochanowski się płonił, a Ronsard, nie przestając w swych pochwałach, mówił daléj:

— Tak, mój w pracy i zajęciach kolego — Cynthius wielkie dary w umyśle twym złożył, ale lubo mowa Rzymian piękna jest i do poezyi wszelkiego rodzaju przydatna, porzuć ją, składaj rymy w rodzinnéj swéj mowie, bo Rzymianie starzy wymarli, dziś na ich miejsce i stanowisko dźwigają się inne i mnogie narody, a właśnie mistrze słowa tobie podobni, na szczyt znaczenia i sławy prowadzić je powinni.

Kochanowski chciał na to coś odpowiedzieć, ale Ronsard, może w skutek kalectwa swego tego nie dosłyszawszy, mówił daléj:

— Poetą Bóg tego tylko tworzy, w sercu czyim nieprzebrany dar miłości złożył. Kochać zaś po Bogu najpierwéj kraj swój rodzinny potrzeba i nie wątpię, że w tobie młodzieńcze uczucie to ponad innem przeważa.

A gdy Kochanowski znowu do słowa dorwać się pragnął, dodał jeszcze.

— Ale pocóż nam dziś mówić o panienkach parnaskich, o muzach, których wyobraźnie siłą umysłu swego wytwarzać musimy, kiedy tu, przy tym stole mamy muzy żywe. Patrzaj tedy Wasza wasza miłość: oto niewiasta, ponad wszystkie współczesne wyższa, która się zowie Kasandra, oto nieodrodna jéj siostra, Lidyja imieniem, a to dobrzy moi towarzysze i przyjaciele.

I rekomendował daléj ludzi znanych w ówczesnej poezyi i nauce takich, jak de Baif, jak Dorat, jak de Bellay i inni mniéj sławni, wszyscy albo młodzi, albo w tymże samym wieku co i Ronsard.

Nazwiska ich po większéj części znane Kochanowskiemu były i, lubo cieszył się, że za jednym zamachem tylu tu ludzi sławnych poznaje, jednak, mimo powinnego im szacunku, zaledwie im się tylko pokłonił, wzrokiem wracał ciągle do owych niewiast, które mu Ronsard starożytnemi nazwał mianami, a które również zaciekawione i zainteresowane wpatrzyły się chciwie w poetę, który w kwiecie młodzieńczych swych wdzięków prawdziwie jak Apollo wyglądał, a którego z takiem odznaczeniem, lubo nieznajomego dotąd witał wyrocznią dla nich stanowiący Ronsard.

A obie one były rzeczywiście takie, że nie tylko z ciekawością, ale i z przyjemnością dłużéj wzrok na nich zatrzymać było można.

Ta którą Ronsard Kassandrą nazywał była blondynką, co we Francyi dość rzadko się zdarza. Jasne w rudy, ciemno złotawy kolor wpadające włosy podpięte miała szczerozłotą bandą, jakby pół księżycem Dyjany, a ponieważ na przybycie naszych gości wszyscy powstali, stała więc i ona i jéj towarzyszka i wzrost pierwszéj, znacznie przechodzący drugą, był wyniosły i gdy przewyższał nizkiego stosunkowo Ronsarda, najwyższemu z towarzystwa de Bellay prawie dorównywał. Cera jéj blado-różowa jak świeżo rozkwitły pączek kwiatu, oczy niebieskie duże, z oprawą w formę migdała wyciętą, usteczka purpurowe drobne, w kształcie serca i przy wiotkiéj tak żebyś je w palce objął kibici, gors bogaty, falujący, kolisty, tem więcéj wdzięków mieszczący w sobie, że dwie złotem na brzegach haftowane tiulowe hiszpańskie kryzy, idące od pasa ku górze przy toczonéj i miękkiéj szyi otwierały się nieznacznie i ukazywały łono mleczne, aksamitne, matową miękością przypominające wnętrze świeżo rozkwitłego lilii kielicha. Oczy jéj, może pod wpływem ognistego hiszpań-

skiego wina, którego do połowy wypróżniony kieliszek stał przed nią sypały tysiącem iskier, ale gdy Ronsard z pochwałami Kochanowskiego zaczął się rozwodzić, przykryły się one jedwabną rzęs firanką, mgła rozczulenia czy może zainteresowania blask ich przyćmiła a usteczka wązkie ściągnęły się w uśmiech, ale uśmiech pełen sympatyi i współczucia.

Druga, obok niéj stojąca towarzyszka była typem zupełnie innym, choć od pierwszéj nie dla jednego piękniejszą wydawać się mogła, a przypuszczać można, że tak sądzić musiał i Kochanowski, gdyż kiedy na blondynkę pokilkakroć przelotnem tylko rzucił spojrzeniem, do drugiéj mimowolnie a bez ustanku oczami powracał.

Należała ona do kobiet, jakie najszczęściéj we Francyi a głównie w Paryżu spotykało się i spotyka i których cechy charekterystyczne stanowią włosy i oczy czarne jak kruki, twarzyczka drobna i figlarnego pełna wyrazu, z ust malinowych ciekawie wyglądające ząbki białe, regularne jak sznurek pereł, wzrost stosunkowo nizki ale ciało całe złożone z klasyczną proporcyą, postać wiotka niby i delikatna, ale zwinna jakby u węża, podatna i wiecznie ruchoma.

Bywa często, że takie mignonnes przy śniadéj cerze i zbytniéj szczupłości pięknemi nie są, a tylko zręczność ich, spryt, umysłowa bystrość połączone z miękkiemi ruchami rozpieszczonéj kotki nadają im wdzięk szczególny i mężczyzna w sidła ich ułud jak ćmy nocne w płomień świecy ciągną.

Jeżeli jednak ich płeć alabastrowa jest biała, jak u téj, która się tu znajdowała, jeżeli duże oczy, rzucające iskier tysiące, głębokie są i tajemnicze jak przepaść i jak ona ciągną ku sobie, jeżeli na małéj główce w stos spiętrzone warkocze ponad gładkim jak marmur czołem przypominają ubranie głowy właściwe klasycznym posągom Junony, jeżeli zadarty nieco, zgrabny nosek, świadczy o temperamencie ognistym i namiętnéj naturze; to już wtedy bywa to zwykle piękność skończona, tem wybitniejsza i tem wyrazistsza, że kształty drobne zdają się jéj nadawać wybitny stempel kobiecości i mężczyzna przy wdziękach takich gotów oddech swój prawie tamować, byleby brutalniejszem jakiemś dotknięciem takiego pięknego cacka nie zepsuć.

Brunetka owa, nazwana przez Ronsarda Lidyją, była siostrą rodzoną stojącéj obok niéj Kassandry i rzeczywiście patrząc na nie obie zdumiewać się trzeba było nad twórczowością, a zara-

zem kapryśnością natury, która jednym i tymsamym rodzicom dała dwoje dzieci nietylko zupełnie jedno do drugiego niepodobnych, ale owszem takich, że po długiem zapatrywaniu się w nie nietylko blizkości pokrewnéj ale nawet i plemiennéj nie można w nich było odszukać.

Jeśli zaś dziwną była ona między niemi różnica, to stosunkowo dziwniejszem się jeszcze wydawało, że te niewiasty tak młode, tak piękne, znajdowały się w szynkowni, w towarzystwie saméj tylko młodzieży, bez opieki starszéj jakiéjś kobiety. Wprawdzie w onych czasach w Paryżu jako czynnik i składowa cząstka studenckiego żywota istniały już grzetki, ale tych dwóch kobiet strój bogaty a jednak nie rażący przesadą, ich układ szlachetny i nie pozbawiony dystynkcyi jak i pamiętania o godności niewieściéj nie pozwalały zaliczać ich do tego rodzaju dziewcząt. Dziwniejszą zaś jeszcze wydać się ich obecność tutaj musiała, skoro powiemy, że nazywały się one d'Aubusson, a więc były szlachcianki i należały we Francyi do rodu, który już w czasie wojen krzyżowych na wierzch wypłynął i do przedniejszych należał.

Żeby okoliczność tę wytłumaczyć, potrzeba nam powiedzieć słów parę, tak odnoszących się do ich przeszłości, jak też dotknąć zlekka ówczesnych obyczajów francuzkich.

Rodzina d'Aubusson stale zamieszkałą była w Normandyji i liczne tam posiadała włości. Ojciec sióstr obudwu, Gaston Maryja d'Aubusson otrzymał tytuł markiza i wojennem jak w ogóle cała szlachta francuzka zajmując się rzemiosłem, zginął pod Pawiją, osierocając dwie swoje córki Helenę i Klarę, których sieroctwo przez śmierć jego tem zupełniejsze się stało, że przed laty trzema przedtem straciły już matkę. Najbliższą krewną ich została ciotka hrabina de Montgomery, która ziemskie swe posiadłości podzieliwszy na pojedyńcze fermy, przeniosła się do Paryża i tu stała się integralną cząstką dworu Franciszka I. Kiedy dziewczyny jéj brata zostały same, zabrała je do siebie, a obyczajem ówczesnym na wychowanie nie oddała ich do klasztoru, ale trzymała przy sobie.

Hrabina de Montgomery była jedną ze słynnych gwiazd dworu Franciszka I. Obdarzona wielkiemi wdziękami, odznaczała się ona także wielce nieporządnem życiem, gdyż małżonka swego się wyrzekłszy, na dworze zawięzywała intryżki i miłostki, z których uczciwość jéj niewieścia bez skazy nie wychodziła.

Powiadano, że król sam zmienny i niestały jak motyl, uczuł do niéj strzeliste upady i wbrew obyczajom swoim pozostał jéj wiernym przez czas dość długi. Po królu, jak to już zwykle w takich razach się dzieje, względami cieszyli się rozmaici inni dostojnicy państwowi, a że amanci ze względu na ich znaczenie szli ciągle decrescendo i że w stosunku do liczby lat hrabinie przybywających, ludzie położeni społecznie coraz niżéj względy jéj uzyskiwali, było to już naturalnem następstwem kierunku życiowego, jaki ona sobie wybrała.

Miłostki atoli i zawieranie coraz nowych stosunków nie wyczerpnęły całéj działalności pani de Montgomery. Owszem szła ona współcześnie i pilnie z całym ruchem umysłowym swojéj epoki i w rozwoju jego a aplikowania dla Francyi nie pozostała ostatnią. Wspomnienia starożytnego świata, tak obficie w onych czasach odkopywane i odszukiwane, z Włoch przechodziły do Francyi a ponieważ król jako główny patron tego renesansu występował, przeto i naród coraz większy interes brać w nim poczynał. Na dworze francuzkim zjawili się włoscy mistrze pędzla, biblioteka w Fontainebleau wzbogacała się najsłynniejszemi klasycznemi rękopisami, nietylko łacina ale nawet i greczyzna stawać się zaczęła językiem modnym a sztukmistrze podobni jak Benvenuto Cellini, wytwarzając arcydzieła zwracali umysły do starożytności i mitologii greckiéj.

Wraz z tym przedświtem pojęć nowych, na podstawie którego niestargane jeszcze siły narodu bratały się z kulturą starożytną na podstawie piękna, wyrastać też poczęły obyczaje lekkie, swobodne, rozkoszne życie bogów Grecyi przypominające i nie krępowane inną regułą jak chwilowe zachcenia. Jako surowy sędzia wprawdzie na straży instynktów i serc stawał kalolicyzm, ale katolicyzmowi świeża reforma ciężki cios zadała, w podstawach swoich on się zachwiał i jak to zwykle w takich chwilach bywa, pozory za rzecz samą biorąc, popędom zmysłowéj natury ludzkiéj cugle popuścił, na przekroczenia ich oczy zamknął, a strzegł tylko, aby forma zachowaną była. Odpusty więc i znaczenie sakramentu pokuty do stanowczego podniósł znaczenia i zapewniwszy się o tem że przywiązanie do prawowiernego kościoła w danéj jednostce trwa niezłomne, z wszelkich innych grzechów rozwiązywał z łatwością i pobłażaniem. W miarę więc o ile więcéj ludzie w nieprawościach grzążli, o tyle dla odstępców od kościoła rzymskiego stawali się nielitościwi i współcześnie, kiedy stosy dla heretyków wszędzie zapanowały, życie wy-

znawców katolicyzmu przechodziło na coraz bardziéj wyuzdaną orgiją. Prostytucya istniała i przedtem we Francyi, gdyż plaga ta stanowi już charakterystyczną cechę narodu francuskiego, ale jeśli przedtem miano ją w pogardzie, a najniższe jedynie warstwy społeczne na nią się puszczały, Franciszek I ów wzór galanteryi i szewoleryzmu, szlachtę w ową brudną przepaść wciągnął a najbrzydszy z grzechów taką elegancyą i polorem dobrego smaku otoczył, że dawać na poteranie wdzięki niewieście a nawet niemi kupczyć, nietylko nie uważało się za upadek moralny, ale owszem za oznakę dobrego tonu.

Dwie dziewczynki wspomnione, wyrastające na dworze w Fontainebleau, wobec dążności podobnych wcześnie zatraciły wstydliwość kobiecą i zabawę a rozkosz współcześnie z przesadną dewocyą zrobiły swemi codziennemi przekonaniami. Chrzestne ich imiona Heleny i Klary zamieniano na klasyczne Kassandry i Lydyi i wyuczono je języka łacińskiego, którym władały tak biegle jak ojczystym. Grecki także nie był im obcy i pojedyńczymi frazesami jego, zaczerpniętymi w Homerze lub Pindarze lubiły się popisywać.

Hrabina de Montgomery była szczególniejszą opiekunką pierwotnego francuzkiego poety Clemensa Marot a oprócz niego na salonach swych ugaszczała wszystkich, którzy jeśli nie darem poezyi to znajomością i zamiłowaniem starożytnego świata się odznaczali. Ztąd w dzieweczkach wcześnie kult dla sztuki i nauki się rozwinął a poeci i wierszopisy zdawali im się wyższymi ponad wszystkich potentatów ziemskich.

Kierunek taki nie miałby nic zdrożnego, owszem o wykształceniu ich a wzniosłych popędach by świadczył, gdyby . . . gdyby nie przykłady nieporządnego życia, jakie codziennie dawała im ich ciotka. Że zaś niezrównanemi wdziękami obie obdarzone były, wcześnie więc rój lekkich a swawolnych motylów krążyć koło nich począł, niezbyt twarde i moralnością niezahartowane ich zasady, na szwank a pokusę narażając.

Zaszło jednak dziwne zjawisko, które chyba oddaniem się sztuce jako takiéj i wyższymi jéj wpływami wytłómaczyćby można. Były one gotowe do pójścia w ślady swej ciotki, a jednak, mimo że Kassandra dwadzieścia lat przeszła nikt się nie mógł pochwalić, że był jéj kochankiem, a Lydyja o dwa lata młodsza mimo, że z mężczyznami wyłącznie przestawać lubiła, wcale już była dla nich nieprzystępną.

W krótce po śmierci królewskiéj umarła hrabina Montgo-

mery i dwie siostry zostały zupełnie sierotami. O rękę starszéj starało się kilku przednich i wybitnych ludzi, a i młodsza miała konkurentów nie do pogardzenia. Ale swaty króla następnego, Henryka II w tym względzie nic nie sprawiły, obie siostry bowiem, zapatrzone na wzory, jakie im zostawiły hetery greckie, nie chciały małżeństwem swobody swoich wdzięków krępować.

Skoro starsza dosięgła lat dwudziestu czterech, terminu, który podług prawa francuzkiego, tak mężczyznę, jak niewiastę pełnoletnimi czynił, podziękowała królowi za łaskawie dotychczas okazywaną im gościnność i, sprzedawszy ziemskie swe, po rodzicach na nią przypadające posiadłości, zakupiła sobie dom w Paryżu a resztę gotowizny bądź zlokowała na procent na pewnych hipotekach, bądź zatrzymywała ją u siebie na bieżące tak swoje jak siostry swojéj potrzeby.

Dla czego zaś dom na mieszkanie dla siebie i siostry wybrała w sercu quartier latin, w miejscu, gdzie nie było nic więcéj nad kwatery studenckie, szkoły i winiarnie, to pochodziło już zapewne z gustów nabytych w dzieciństwie, z pragnienia wiedzy, gwoli któremu zadość uczynić tu mogła, ile że przez stosunki dworskie tak dla siebie jak i dla siostry swéj wyrobiła dozwolenie uczęszczania nie tylko na wykłady w Sorbonie świeżo założonem Collége de France ale także i w szkole anatomicznéj.

Do postanowienia podobnego przyczyniać się mogła inna jeszcze okoliczność. Na dwór Henryka II wprowadzony został nowy poeta, Piotr de Ronsard. Wprowadzony on wprawdzie być nie potrzebował, gdyż rodzina jego oddawna z rodem monarszym była zbratana, a ojciec jego, Ludwik de Ronsard był ochmistrzem młodych książąt Delfina, Franciszka i Henryka, księcia Orleańskiego, których Franciszek I dał jako zakładników na miejscze swoje do Hiszpanii, a syn jego Piotr w dziecinnych już latach dodany był na pazia księciu Henrykowi Orleańskiemu.

Życie dworskie atoli snać nie było dla poety przeznaczone, gdyż skoro dojrzewać począł a dla wprawienia się w pracę dyplomatyczną pod przewodem wypróbowanych wieszczów wędrówki po ówczesnym świecie odbywał, uległ przykremu kalectwu głuchoty, które do życia dworskiego stanowczo go zniechęciło, kazało owszem wejść w siebie, odbyć sumienne studya i naukom a wrodzonemu talentowi poetycznemu się poświęcić. Była to rzeczywiście, jak Francuzi utrzymują Sourdité bienherunse, gdyż zapisawszy się do Collège Coqueret przez lat kilka był

niewidzialny i dopiero ukazał się z powrotem na dworze, wtedy kiedy już jako składacz łacińskich a następnie i francuzkich rymów zasłynął.

W epoce tej hrabina Montgomery już dogorywała i Kassandra, zastępując w przyjęciach miejsce gospodyni, honor domu, dla poety, któremu wszystko się uśmiechało, czyniła. Mimo kalectwa głuchoty na głowie jego jaśniał promień wybranych, gdyż był on rymopisem i przednim znawcą klasycznego świata, i Kassandra, dotąd dla wszystkich surowa, w obec niego stała się drżącą przepiórką, co to przed strzałem myśliwca się nie cofnie, a jeśli on od niéj życia nie żąda, gotowa za jego skinieniem pójść do klatki, a nawet do ciemnicy.

Skoro młoda margrabianka d'Aubusson całkowicie się wyemancypowała i skoro sama własną swoją wolą rządzić się poczęła, Ronsard stał się już jedynym jéj wybranym i aby z nim być ciągle w quartier latin, gdzie on przebywał, się osiedliła.

Między parą kochanków były nieraz o małżeństwie mowy i Ronsard rad był niedostatki swe hymenem zakończyć, ale Kassandra, nieodrodna i rachująca przedewszystkiem Francuzka, na sprawy te zapatrywała się wyłącznie z praktycznego punktu widzenia. Główny opiekun młodego poety, książę Karol, za poparciem brata swojego Franciszka, kilka zyskownych beneficyów duchownych poecie przeznaczył, a cenił go również wysoko najmłodszy z książąt krwi Henryk, który do duchowieństwa i do Gwizyjuszów wielką miał inklinacyją. Ze względu więc na kresctywę nie należało ślubami ziemskiemi się krępować, żeby nie stracić sperandy, jaka bezżennemu i niby to aspirującemu do stanu duchownego się nastręczała.

Kassandra więc ulubionemu swemu tłómaczyła, iż nikt za złe mieć im nie może, że stosunki ich nie są przez kościół uświęcone, kiedy oni wierności swéj są nawzajem pewni. Jeśli zaś kobieta w tym względzie pobłażającą bywa, daleko to łatwiéj zwykło przychodzić mężczyźnie. Wprawdzie ówczesne towarzyskie obyczaje, za formami jedynie goniące i tu stawiały pewne zawady i kiedy stosunek łączący kobietę z mężczyzną był tej jak tutaj natury a należał do powszechnie znanych, lubo przed mężczyzną wszystkie drzwi stały otworem, przed kobietą jednakże się zamykały. W gruncie obyczaju podobnego jest wiele względów sprawiedliwych i słusznych, boć wymierzając karę za winę, ostrzegają niejako aby w nią nie popadano. Ale czemuż zasada

ta tak niesłusznie w życiu jest stósowana? Czemu mniejsza jest odpowiedzialność mężatki grzesznéj, która przecież srożéj aniżeli panna grzeszy, bo wiarę zaprzysiężoną łamie?

Bądź jak bądź ta proskrypcyja dla Kassandry dotkliwą zbyt nie była, owszem dawała jéj tem większą swobodę i pozwoliła zostawać jedynie z tym, którego ukochała, poświęcać się ulubionym studyjom i dla towarzyskich wymagań żadnych na siebie nie nakładać kajdanów. W gustach zaś tych tak się z nią godziła jéj siostra, że ani pomyślała, aby w innych warunkach życie mogło być milsze i przyjemniejsze.

— Szanowny a wielce miły nam gościu — ozwał się po chwili Ronsard, uczonym a gładkim komplimentem załatwiwszy się z Ossolińskim, jużeś cały oczy dla reszty towarzystwa zagubił, a zatonął jedynie w damach. Chwali się gorliwość taka i kult podobny w muz wychowańcu, ale przestrzegam cię, że nie wszystkie serca są tutaj do wzięcia.

— Ta oto bogini, ta nimfa i dryjada leśna — mówił daléj pochylając się ku Kasandrze i wpół wiotką jéj kibić ujmując — jest moim geniuszem, moją muzą, panią mego serca i z losów moich kolei byś mnie wytrącił, gdybyś w usługach jéj naprożno czas zamierzał tracić.

Kochanowski na słowa te zapłonił się rumieńcem, który tak z powodu wieku jego jak i sangwinicznego temperamentu był usprawiedliwionym, a i niewiasty zażenowane się uczuły, a Kassandra z ucisków poety się wydobywając, z nieukontentowaniem się ozwała:

— Ależ Piotrze, i o nas złe wydajesz świadectwo i zaszczytnie znanego ci już cudzoziemca naprożno zawstydzasz. Patrz oto jakie rumieńce na policzki jego wystąpiły.

Ronsard jednak na słowa te uwagi nie zwracał, a może ich nie dosłyszał, gdyż nie zmieniając tonu mówił daléj:

— Jeśli ci jednak tutaj przeszkody kładę, nie myśl, aby towarzyszka, stojąca po stronie Kassandry mojéj obojętną ci była. Serce jéj na wdzięki poezyji wrażliwe jako wosk na promienie słoneczne, a wolne dotąd, odbije na sobie obraz, jaki na nim wycisnąć będziesz usiłował.

Teraz więc znowu pora pokraśnieć przyszła na Lidyję, a z rumieńcem żywym przy kruczych warkoczach tak jéj było pięknie, że Kochanowski nie zważając na niestósowność zachowania się podobnego, oczyma modlił się do niéj, jak do cudownego obrazu. Położenie więc coraz stawało się drażliwsze,

zwłaszcza że wszyscy obecni stali i tym zamienianym „pierzastym“ jak je Homer nazywał słowom się przysłuchiwali. Szczęściem, Ossoliński w stosunkach towarzystkich wersat, umiejętnie rozmowę z drażliwego tego punktu sprowadził, mówiąc:

— Ależ my tu stoimy a w komplimentach się gubim. Orfeje a Amfiony gościnnością zawsze się odznaczali, a nie wątpię, że i Wasza Miłość, największy Francuzów poeto, idziesz w ich ślady. Kiedyśmy więc byli już tak niezręczni, żeśmy wam pogawędkę i ucztę przerwali, nie wątpim przeto, że nam uczestnikami jéj być pozwolicie. Ty przeto Janie, siadaj oto tam przy pannie Lidyji, gdyż widzę koło niéj stołek wolny, ja zaś umieszczę się już tu między moimi dobrymi przyjaciołmi Dorat i De Bellay.

I zaraz podług propozycyi téj miejsca zajęto, rozpoczął się gwar ogólnéj rozmowy, szklanki z winem przybyłym przysunięto, a kobiety pomne, że oprócz pragnienia ważniejszym może być głód, ile że po dalekiéj przechadzce apetyt mógł się ożywić, podsuwać zaczęły przybyłym, obficie na stole znajdujące się półmiski, napełnione mięsiwami zimnemi i przeważnie wędzonemi.

Do jadła i napoju wzięto się ochoczo i wśród zebranych zapanowała owa swoboda, jaką daje wiek młody, wyborny apetyt, tudzież niekrępowanie się żadnemi zbytniemi formami.

Na gości atoli słynne, normandzkie wędliny, mimo wypróbowanéj swojéj dobroci zbyt wielkiego wpływu nie wywierały. Dotknęli się do nich jak przez ceremoniją i stosy ich złożone, bądź na półmiskach, bądź w misternie plecionych koszykach pozostawili w spokoju.

Ronsard więc, aby gości do jadła zachęcić, podgarnął dłonią i tak już w górę sterczącéj czupryny i w przelocie rękę Kassandry uścisnąwszy, napoły deklamując, napoły nucąc, zawołał:

Mais aimons ces bouteilles,
Ces corbeilles,
Acharnons des jambons gras,
De pastez, de pains d'espices,
De saucisses
De boudins, des cervelar. [1])

[1]) Nieliczne wyjątki, jakie tu z Ronsarda przytaczam, podaję w staréj francuzkie) pisowni i przekładu do nich nie dołączam, dla powszechnéj zna-

Na ten wyskok dobrego humoru i rymy zręcznie a w taneczną nutę splecione, wszystkie dłonie do oklasków się złożyły, z podziękowaniem Ronsardowi się kłaniano, a Lidyja z zachęty owéj korzystając, sąsiadowi swemu przysunęła półmiski, zachęcając go, aby próbował darów na nich złożonych i dodała:

— Normandya z przygotowywania podobnych specyałów słynie, a wy zacny gościu, wyświadczycie jéj wielki honor, skoro spróbujecie specyałów, których zapewnę w waszym kraju nie przyrządzają.

— Mylisz się, Miłościwa pani — odparł zapytany — Nasz kraj w kontentacyi żołądka wiele swéj sławy zakłada i, lubo kawał świata widziałem, nabyłem niezłomnego przekonania, że nigdzie tak gościa nie żywią jak u nas. Nie przeczę, że wędliny owe są przednie, gdybyś jednak, Miłościwa Pani, naszych spróbować raczyła, bez względu na pokrzywdzoną miłość, jaką żywisz dla Normandyi, zasmakowałabyś w nich całym wykwintem podniebienia twojego.

I tu poeta, nie już jak poeta, ale jakby kucharz przedni zaczął rozpowiadać rozmaite sekreta kucharskie, o jakich od skrzętnéj gospodyni, matki swéj, Hanny Białaczewskiéj, się dowiedział. Przytaczał jakie to wyborowe części mięsa w Polsce do wędzenia się używają, jak na opał do sformowania dymu przeznacza się dla nich wonne gałązki jałowcu, jak wszystko późniéj, kiedy dla konserwacyi do śpiżarni idzie, aromatycznym skrapia się hyzopem. Że zaś mówił po francuzku wybornie, że do opowiadania swemi malowniczymi posługiwał się obrazami, przeto towarzyszka jego jak w tęczę się weń wpatrzyła i od czasu do czasu powtarzała tylko:

— Tiens, tiens, tiens — ja myślałam zawsze, że owe kraje północne zaludnione są dzikimi ludami, w barbarzyństwie jeszcze przebywającymi, tymczasem, jak się dowiaduję od Waszéj Miłości, kultura tam taka, żeby jéj śmiało pozazdrościć mogła nasza Francya.

Poetę owe wspomnienia rodzinne, owa urocza woń jałowcu, myśl o rodzinnym domu ożywiły, natchnęły, zmysły jego wzbudziły i jakby przeniosły go do owéj „wsi pełnéj wczasów,“ to też

jomości języka francuzkiego. Co do rytmów łacińskich Kochanowskiego, tę daję, bądź w przekładzie Brodzińskiego, bądź Syrokomli, wybierając zawsze pierwsze, jako wierniejsze.

z nietajonym zapałem schwycił w ręce ciepłą dłoń swéj interlokutorki zawołał:

— Oh pani, gdybyś tamte strony i tamtych ludzi raz poznała, jużby serce twe z nimi rostać się nie umiało, bo jeśli oni ukochają to już na całe życie, a z ziemi tamtéj takie wonie i aromaty do ciebie się sączą, że śmiertelnikowi głowę one zawracają na wieki i raz je w piersi swoje wciągnąwszy, zostaje jako on nałogowy pijak, któremu czy ambrozyi owéj, czy trunku, który mu niebieskie zwiastował rozkosze, koniecznie potrzeba do życia.

— Dobrze to Mości poeto — mówiła, figlarnie oczki przymrużając Lidya — dobrze, że tak ziemię waszą kochacie, ależ tam podobno niebo bywa zawsze ciężkie, ołowiane, chmurne, na duszy jak zmora ciężące, nie dopuszczające ani uśmiechów wesołych, ani swobody, do jakiéj myśmy tu przywykli. a rok cały na dwie rozkłada się tam podobno połowy, w jednéj z których ustawicznie śnieży, a w drugiéj deszcz bez przerwy leje. Toć czy można piersiom, które koniecznie powietrza potrzebują do życia w atmosferze takiéj przywyknąć?

— I któż to Miłościwa Pani moja — przerwał poeta — takich bredni o kraju naszym nakładł do pięknego uszka twojego? — Przeciwnie, uśmiechy waszego słońca niczem są w porównaniu z tymi, jakimi ono do nas wdzięczyć się zwykło. Kiedy u nas ono zagrzeje woń kwiecia odurza zmysły nasze, balsamy w powietrzu falują, łąka ubrana kwiatami jakby kolorami tęczy świeci, ptaszki chorał radośny nad głowami naszemi zawodzą, a skoro bystry wóz Fauna w morzu się pogrąży i skoro na stropy niebieskie wyjdzie wstydliwa Dyjana, wtedy już gwoli nocnemu chłodowi kwiaty boski aromat ronią i w strumieniach rosy na krańce świata go rozsyłają, wtedy uroczysta cisza naturę przepełnia, wtedy taka tęsknota sercem owłada, że nie przychodzą już inne słowa na usta, jak: kochać, kochać i wiecznie kochać.

Oczy poety przy słowach tych świeciły jak karbunkuły, tęsknota jakaś sercem jego owładła, a w mglistych spojrzeniach źrenic malowało się takie uczucie, że każde serce, dla którego miłowanie nie jest czczem pojęciem, mimowoli naprzeciw żądań jego biegło, do taktu uderzeń jego serca i pulsacyi krwi jego się stósowało.

Lidyja wrażeniom tym uległszy, dłoni też swéj nie cofnęła z uścisku poety, a w piękne oblicze jego się wpatrując, mimo-

woli poddawała się szczególniejszemu czarowi, jaki wiał od całéj istoty tego młodzieńca.

Tymczasem na drugim końcu stołu, gdzie samo męzkie towarzystwo zasiadło, gwar był i huczek niepomierny, puhary wychylano szybko, a Ossoliński, jako to nigdy za kolnierz nie wylewał, ochoty dodawał i wypróżniając kubki coraz trafnym jakimś konceptem wesołość i homeryczny śmiech wśród słuchaczów wywoływał.

Ronsard również jak i Kochanowski do gwarów tych się nie mięszał, ale pochyliwszy się nad ulubioną swą Kassandrą słowa pełne upału do drobnego uszka jéj szeptał.

Ona przyjmowała to wszystko z zachwytem i upodobaniem widocznem, ale pomna na innych i kobiecym rządząca się taktem, uwagę Amfitryjona na gości zwróciła.

On widać słuszność uwagi téj uznał, wszystkie bowiem puharki napełnił słodkim a cennym moszczem wina Claret'em zwanego i powstawszy, zawołał:

— Dzięki serdeczne składam łaskawéj na mnie fortunie, która mi w dniu dzisiejszym pięknego syna i ulubieńca muz ze stron północnych poznać dozwoliła. Dzięki niech będą jemu, że się do nas zbliżyć raczył, oraz dzięki temu szlachetnemu jego towarzyszowi, który go do nas przywiódł. Piję więc zdrowie wszystkich szlachetnéj Polski synów, zdrowie, do którego łączę szczere życzenie, aby te na krańcach Europy leżące kraje z naszą Francyą wspólną dolę i wspólne losy poślubiły sobie, aby jak dwie siostrzyce, jednakimi ożywione zamiarami i do jednakich dążące celów, ręka w rękę po przez ćmę wieków do szczęśliwości i przyszłości się przebierały. Niech żyją szlachetni nasi goście, dzieci narodu tego, który musi być wielki, kiedy takie syny chowa.

— Vive la Pologne! — przywtórowali jednym ogólnym chórem Francuzi.

— Vive la France! odpowiedzieli im Polacy, puharki metalowe brząknęły i każdy zawartość ich duszkiem wychylał.

Po krótkotrwałéj ciszy, w któréj tylko płyn ognisty połykano, pierwszy Ossoliński zadanie owo spełnił, próżnym kubkiem o stół brząknął, a pachołkowi dawszy nieme jakieś skinienie, otwierać począł smołą oblane flaszę, jakie przed nim na stole stawiano.

Korki z chałasem wyciągnięto i po komnacie rozeszła się aromatyczna woń wielce cennéj hiszpańskiéj małmazyi.

Kiedy puhary napełnione zostały, Ossoliński swoją czaszę podniósł do góry i mocnym głosem zawołał:

— Dzięki wam, szlachetni Francuzi, że dla północnéj krainy naszéj macie tyle słów prawdziwéj przyjaźni i uznania. Zaprawdę naród wasz naszemu jest bratni i Bóg to najwyższy wiedzieć raczy, czy kiedy ostatniemu przedstawicielowi naszego rodu Jagiellonów potomstwa Nieba odmówiły, czy powiadam, po królu tym, który jest istnym północnym Medyceuszem, do was o danie nam pana się nie zwrócimy. Niech więc on przyniesie ze sobą cześć dla wiedzy i sztuki, jaka tron wasz ożywia, ale niech strzeże się zabierać ze sobą owéj zaciętości religijnéj, gwoli któréj u was stosy na placach publicznych i po rogach ulic się rozpalają. Zapewne nietykalna to jest rzecz święty a prawowierny Zakon Boży, ale wolność sumienia i swoboda przekonań to ważniejsze jeszcze u nas sanctissimum. Kochamy więc Was cni Gallowie, żądamy wszelako, żebyście, gwoli nam, jednostronności swojéj się pozbyli . . . .

— Mais pas de politique, pas de politique, zaprotestował gorąco, oglądając się na wsze strony Du Bellay, i wskutek tego odezwania się jego huczek między mężczyznami coraz większy się wzmagał.

Kochanowski tymczasem stał z podniesionym do góry puharem, i jakby na podziękowanie Ossolińskiemu za te słowa pełne prawdy i rozumu, rozrzewnioną w stronę jego spoglądał źrenicą.

Sąsiadka bystrem spojrzeniem obrzuciła twarz jego rozpromienioną, pomysł jéj jakiś widać po główce przebieżał, gdyż po za siostrą pochyliła się ku Ronsardowi i z wyrazistą giestykulacyą z zarazem podnosząc nieco głos, na co hałas na drugim końcu stołu pozwalał, coś mu opowiadała.

Ronsard snać na argumenta jéj się zgodził, gdyż mocno cynowym kubkiem w stół uderzył i jakby jeszcze dobitniéj chcąc życzenie swe wyrazić, zawołał:

— Silence!

Gwary zamilkły a poeta, korzystając z chwilowéj ciszy taką wyraził propozycyą:

— Że naród francuzki z polskim zbratać się łatwo może świadczą wielce podobne do naszych sentymenta kawalerów polskich, jakich mieliśmy dotychczas przyjemność poznać. Atoli słuszną nam robi uwagę drogi nasz i wielce miły Du Bellay, politykę z programu naszéj uciechy wykreślając. Po co nam

ona? — A zaż nie ma na to wielkich i wybranych, którzyby się nią kłopotali? — Nam przystają jedynie pieśni na cześć Wenery, Kupidyna i Bachusa składane. Tych dawajcie nam co sporzéj, a już pierwszy w tym względzie obowiązek ciąży na miłym gościu naszym.

I przy tych słowach w stronę Kochanowskiego się pokłonił.

Poeta nasz stropił się trochę, nie dla tego, żeby mu słowo powolnem nie było i żeby rymy na poczekaniu w głowie jego się nie kleiły, ale skromność najwydatniejszą była cechą jego duszy, jakżeż więc on, młodzieniaszek jeszcze prawie i cudzoziemiec popisywać się ma i to w obec tych, którzy już po całym zasłynęli świecie. Gdybyż jeszcze w rodzinnéj kazano zażartować mu mowie, z serca by to uczynił, ale szorstkiéj, słowiańskiéj mowy nie rozumieli zebrani tu Francuzowie i dla nich już do klasycznéj chyba sięgać należało łaciny. Język klasyczny Rzymian, piękna to mowa, aleć zawsze martwa . . . .

Dla tego radby już był z tego zaszczytu się wyprosił i tysiączne ekskuzy, w stronę Ronsarda zwracając, żądał, aby go od obowiązku tego uwolniono.

Pominąwszy atoli żądania towarzyszów, obok niego znajdowało się chciwsze jeszcze wiązanéj mowy ucho, a właścicielką jego była piękna Lidyja.

— Nie godzi się próżbie ogólnéj odmawiać — szepnęła cicho — a jakkolwiek Bachus, na cześć którego poetowie najczęściéj piać lubią, nie jest bóstwem, któreby mnie bardzo zachwycało, gdyż trunek poświęcony jemu, często człowieka z nóg zwala . . . . wszelako, czyż w kołczanie waszym nie ma żadnéj strzały do wypuszczenia na cześć jego, czyż próżby nasze płonne pozostaną, zwłaszcza jeśli do nich i ja słaby swój głosik dołączę?

Francuzi mieli racyą sformować przysłowie C'est que veut la femme, Dieu le veut, gdyż w głosie proszącéj bywa zwykle tyle miękkiéj pieszczoty swawolnego kotka a zarazem tyle woli stanowczéj i taka zapowiedź gniewu, gdyby próżbie zadość nie uczyniono, że sztuki ten prawdziwéj by dokazał, kto mając zmysł na intencyą w próżbie takiéj zawartą potrafiłby się jéj oprzeć.

Kochanowski też wymownie spojrzał w oczy dzieweczki, a skłoniwszy się głęboko, rzekł:

— Waszmość pannie w potędze jéj majestatu nie prosić a rozkazywać należy, szczęśliwy zaś będzie ten niewolnik, któremu służby jéj ofiarować sądzono. Dla tego, lubo popisać się z niczem ważnem w obec mistrzów takich zdolen nie jestem, wszakże stoję wiernie na rozkazy twoje. Dla czegoż jednak mam Bachusowi palić kadzidła? — Czyżby nie stokroć stosowniéj było ofiarować je bogini Cyterejskiéj synowi? —

Figlarna Paryżanka taką obcesową alluzyą nie przestraszyła się wcale, ale zaśmiawszy się srebrnym głosikiem i szczerząc perłowe ząbki, odpowiedziała prędko:

— Oh, na niego kolej przyjdzie późniéj, hierarchiją atoli, jaka przyjęta jest w Olympie szanujmy i od Bachusa rozpoczynajmy.

— Czy szczerze Wasza Miłość to mówi? — indagował on daléj.

— Jak najszczerzéj. Nigdy na wiatr słów swych rzucać nie zwykłam.

Kochanowski westchnął lekko i zapewne przez umysł jego przeleciała maksyma, którą tak dobitnie wyraził w słowach,

A co ci kiedy rzeknie białogłowa,
To pisz na wietrze, na wodzie jéj słowa . . . .

Ale na rozpamiętywania długie czasu nie było, domagania bowiem zewsząd wzrastały, wszyscy w niego się wpatrywali, a Ossoliński robił taką minę, jakby był pewien z góry, że polski poeta w tym gronie sław francuskich zwycięstwo uzyska.

Poeta więc nasz chrząknął lekko, pokręcił miękkiego wąsa i z tą melodyjnością, jaką odwzorować są w stanie tylko artystyczne natury, wżyte w tajniki starożytnego świata, w mowie rzymskiéj, jako jedynie dla zebranych słuchaczów przystępnéj, wyskandował wiersz następujący:

Póki wesele,
Próżne przygody —
Tu przyjaciele,
Sprawujmy gody.
Ni się zieleni
W Orku winnica,
Ani się pieni

Pełna szklenica.
Siarką Styksowe
Trącą strumienie,
Drzewa cisowe
Rzucają cienie.
Tu, na tym świecie,
Drużbowie moi,
W młodości kwiecie
Kochać przystoi.
Bo gdy raz Klato
Nieubłagana
Przetnie nić złotą
Życia młodziana,
Przyjdzie dziewoje
Lube zostawić,
Przez czarne zdroje
Styksu się pławić,
Gdzie postać nasza
W mgłę się zamieni,
Jaką rozprasza
Bór po przestrzeni.

Skoro dźwięczne słowa, splątane w cudowną poezyą ucichły pierwszy Ronsard dał brawo, a że było ono serdecznem, znać to było po płonących jego oczach, po twarzy, na której zachwyt i uznanie się malowały. Rzeczywiście łacina Kochanowskiego była przednia, jakby dłutem greckiem wyciosana w kararyjskim marmurze a zarzucić jéj wcale nie można było tego błędu, w jaki popadali zwykle latynizujący nowi i co słusznie Ronsardowi współcześni zarzucali krytycy, że były u niego wyrazy długie sztucznie tworzone i niewłaściwie składane, tak zwane: ampullae et sesquipedalia verba. Za Ronsardem z powinszowaniami, podziękowaniami, pochwałami pospieszyli inni a uściskom i podziękowaniom końca nie było.

Pomiędzy temi oznakami uznania atoli, dwie były pochwały które Janowi prawdopodobnie najwięcéj serce rozradowały. Jedną z nich był serdeczny uścisk dłoni Ossolińskiego, poparty cicho po polsku wymówionemi słowy:

— Dzielnyś mój Janie!

Drugą i może jeszcze cenniejszą był niemy zachwyt Lydyji która dłoń poety w drobną swą rączkę ujęła i szepnęła jedynie te wyrazy:

— Oh, jakże to piękne, jak piękne! — Ale czemuż nieodłączne od tego uczucia smutku i przypominania o znikomości naszéj? —

Poeta nic na to nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się tęsknie a serce rzewnem jakiemś uczuciem zadrgało mu w piersi.

Ona atoli nie poprzestała na tem, tylko wielkie swe oczy czarne otwarłszy okrągło a podnosząc je w górę do oczu poety wyszeptała tonem rozpieszczonego dziecka:

— Jeszcze, jeszcze.

Któż żądaniu takiemu byłby w stanie się oprzeć, zwłaszcza że wypowiadały je w wdzięcznym szepcie usteczka jak koral czerwone, a postać niewieścia, wiotka jak liliji łodyga skłoniła się ku poecie, nie obawiając się na ramieniu jego oprzeć.

Odpowiedział więc krótko:

— Tobie pani rozkazywać, a mnie powolnie służby spełniać i deklamował wśród ogólnéj ciszy znowu:

Pijmy bracia co szczerzéj,
Piejmy w okrzyk jednaków,
Bacha, ojca tancerzy.
Przyjaciela skrzypaków, —
Z winnem liściem na czele,
On ma miłość pod wodzą,
Z niego słodkie podchmiele.
Z niego żarty się rodzą.
Jeno pijaj, a gładko,
Zginą wszystkie przykrości.
Hola! Żwawo czeladko.
Pełne kufle przynoście!
Gdy nieszczęścia bez miary
Biją szturmem w świat karli,
Więc podkrzepmy puhary,
Byśmy z troski nie zmarli.
Na co pytam łzy rzewne,
Na co zmarszczki u czoła,
Co nam jutro niepewne,
Gdy dziś chwila wesoła?

Raczéj w rzeźwéj podchmieli
Ujmą rączki dziewczęce,
W takt rzęsistéj kapeli
Kółkiem tanek zakręcę.
Kto chce stękać, niech stęka,
Nie przeuczyć dziwaków, —
Nam przy winie piosenka
W chór zachuczy jednaków.

— Racya — zawołał, porywając się z miejsca Ronsard. — Dosyć owego trąbienia na kuflach. Hej, muzyka! szałamaje i dudy!

W żadnéj z ówszesnych paryskich winiarni przedniejszych muzyki nie brakowało, a że Ronsard należał do klijenteli stałéj i do wielkich panów, za wszystko gotowym płacących groszem, woli więc jego natychmiast zadość się stało i wnet flecista a za nim obój i skrzypka na żądanie się zjawili.

On naprzeciw muzyki stanął, narodowego tańca nakazał im rozpocząć melodyją, a korzystając z przywileju jakim się cieszył język ojczysty, że przez wszystkich był rozumiany, zanucił najpiękniejszy może ze swoich wierszów, gdzie ustawicznie jeden i ten sam powtarza się refren, do przetłomaczenia prawie niepodobny:

O amourettes doucelettes,
O doucelettes amourettes . . . .

Uniesienie mistrza udzieliło się całemu towarzystwu i bez względu że kobiet dwie tylko znajdowało się, wszyscy puścili się w tany i zabawnie patrzeć było na to grono młodzieży, która w pary stanąwszy, towarzyszom swym robiła honory takie jak damom, gdyż dwóch było tylko takich szczęśliwych, którym los z rzeczywistemi damami tańczyć dozwolił, a do szczęśliwców tych należeli Ronsard i Kochanowski. Pierwszy naturalnie puścił się z Kasandrą, drugi dopilnował się, żeby mu nie zabrano Lidyji. A pilnowanie się tu było rzeczywiście potrzebne, bo wśród zebrania młodych Francuzów był brunet, z twarzą smagłą, nie więcéj jak na dwadzieścia lat wyglądający, który jedyny zapału ogólnego dla owych gości polskich nie dzielił, a szczególniéj produkcyami poetycznemi Kochanowskiego się nie zachwycał. Był nim de Baïf, szlachetny młodzieniec i świeży, tak na literackiem jak i poetycznem polu, przychodzień z Pro-

wancyi, ognisty jak owo południowe tamtych stron słońce, pełen zapału a zarazem zacietrzewienia, który już obyczajem tamtych krain mieszkańców w każdéj czynności, bodajby najmniejszego znaczenia się przejawia.

De Baïf wszedł niedawno w kółko gwiazdę téj miary co Ronsard otaczające, a złe ludzkie języki utrzymywały, że nie tyle go ciągnie tu sława wieszcza, ile wdzięki Lidyji, na któréj widok młodzieniec jako żagiew się zapalił.

Czy piękna Lidyja większą na niego uwagę jak na innych otaczających ją młodzieńców zwracała, trudno wiedzieć; dość że miała dla niego zawsze pogodny uśmiech, zawsze jakieś słowo, odnoszące się do wspólnych studyów, wspólny zachwyt nad utworem sztuki, ale ponad to nic więcéj. De Baïf z temperamentu swojego nie mógł długo w chłodnéj pozostać rezerwie, to też po razy kilka gorący swój afekt oświadczał, a Lidyja zawsze na owe ekspektoracye jedynie głośnym a swobodnym odpowiadała śmiechem. Młodzieniec zrywał się wtedy, do gniewu i pasyji przechodził i postanawiał nigdy już téj nielitościwéj piękności nie widzieć, ale zwykle postanowienie takie co najwyżéj jednę noc trwało. Na drugi dzień schodzili się z sobą bądź na wykładach, bądź w towarzystwie Ronsarda w winiarni, bądź wreszcie de Baïf sam do domu Kasandry zaglądał, a skoro tylko swobodną po temu chwilę upatrzył, zaraz na nowo wyznania swe czynił.

W miarę ciągłego ich odnawiania i powtarzania stawały się one coraz gwałtowniejsze a już młodzieniec od przytomności prawie odchodził dnia tego, w którym miało miejsce spotkanie z Kochanowskim.

Dnia tego odprowadzając przed południem dziewczynę do domu na nieczułość jéj i obojętność srogie skargi miotał, groził, że żelazo sztyletu w serce swe z żalu i rozpaczy wrazi, a gdy na to wszystko innéj odpowiedzi jak ów zwyczajny, srebrny a perlisty śmiech nie odbierał, płakać zaczął rzewnemi łzami.

Ten jego żal obudził pewną litość w sercu nieczułéj lwicy, jak ją w przystępach gniewu nazywał. Zatrzymała się ona, spojrzała na niego i bez śmiechu już zapytała:

— No, więc i czegoż chcesz kapryśny dzieciaku?

— Jakto więc pani jeszcze pytasz? Więc nie wiesz jaki ogień serce moje trawi? —

— Więc te łzy ronisz dla tego, żeby go zagasić? — I znowu pustym wybuchnęła śmiechem.

— Łzy te po jagodach moich póty płynąć nie przestaną — odpowiedział młodzian — i póty źródło ich nie wyschnie, póki albo owego nędznego żywota nie zakończę, albo miłości twojéj nie wyżebrzę.

— Zważ jednak, miłościwy panie, mówiła tedy ona już z pewną powagą — że na uciechy miłości jeszcze nam dużo czasu zostało, że oboje młodzi jeszcze jesteśmy i da Bóg Parka prędko nici naszego żywota nie przetnie. A ponieważ Waść rozpocząłeś studya, kontynuuj więc je, pracuj, stań się sławnym, bogatym... a późniéj... zobaczymy.

Młodzieńcowi jakby nowe światło nadziei przez duszę przebiegło, ale w ślad zatem i inne przykrzejsze jakieś uczucie się zjawiło.

— Więc to główna moja wada — rzekł — że jestem ubogim? Ażaż miłość nasza koniecznie szaty ze złotogłowia i świecących potrzebuje błyskotek?

— Ja tylko w takiém otoczeniu ją pojmuję.

— Lidyjo, Lidyjo, nie bluźnij. Los dał ci aż nadto wystarczającą zamożność, a jeśli ja stosów złota wysypać u stóp twoich nie jestem w możności, niemniéj przeto ród mój szlachetny i stary, a serce jak kryształ czyste. Czyż tego do wspólnego szczęścia byłoby nam nie dosyć?

Lidyja na zapytanie nie odpowiadała już wprost, ale utkwiwszy oczy w mówiącego, rzuciła mu twierdzenie w sposobie ogólnéj uwagi.

— Komu los pozwolił w szlachetnem, acz chwilowo ubogiém zrodzić się gnieździe, komu natura wielkie zdolności w udziale przyniosła, dla tego już dosięgnięcie bogactw, zaszczytów i sławy jest rzeczą do uzyskania łatwą. Potrzeba tylko chcieć, potrzeba mały zrobić wysiłek, a celu się dopnie. Jeśli miłość Waszmości równie jest silna, prawdziwa i gorąca, jak mi to ustawicznie w uszy kładziesz, jako dowodu jéj właśnie żądam takiego wysiłku.

Kiedy słów tych domawiała, zbliżali się już oboje do furty domu zajmowanego przez obie margrabianki.

— Tak! a kiedy ja — rzekł zatrzymując się młodzieniec — umysł swój i ramiona pracą będę wytężał, aby owo nieujęte mamidło bogactwa i znaczenia pochwycić, do ciebie, Lidyjo, przyjdzie pierwszy lepszy gładysz ze złotem piórem na kapeluszu i świecącą klamrą na trzewiku i mnie niepomna, za nim jak kruk łakomy na złotą blaszkę, pofruniesz.

— Nie bój się, ja umiem czekać — odpowiedziała, i przy tych słowach trzasnęła mu furtką przed nosem, samego na ulicy zostawiając.

On stał długo zamyślony, później dłonią uderzył się po czole i zawołał:

— A więc to tak? — Więc to tędy droga? Wiek złoty powiadają, że starożytną wiedzą spływa na nas. Och! zaiste on złoty, bo złota każdy teraz łaknie.

I w niewesołych pogrążony myślach, smutny skierował swe kroki na kwaterę.

Łatwo zrozumieć że wieczorem de Baïf podobnemi myślami przejęty i o Lidyę swą z obawy drżący, nie mógł być rad owemu serdecznemu przyjęciu Kochanowskiego, ile że ten przy jego pięknéj umiłowanéj się usadowił, talentami swymi widoczny zachwyt w niéj budził, a późniéj kiedy tany się rozpoczęły, ani na chwilę jéj nie odstępował.

Że Kochanowski pięknym był mężczyzną, to de Baïf aż nadto niestety widział, że rytmami jakby wprawny kuglarz kulami swobodnie miotał o tem znawstwo wrodzone do poezyji posiadając, aż zanadto się przekonał, a że twarda i nieubłagana Lidya topnieje dla niego i mięknie jak śnieg wiosenny pod promieniami słońca, o tém niestety coraz więcéj własnemi oczyma się przekonywał.

Niespokojność więc zdjęła go sroga, a jako to człowiek w najtrudniejszem będąc położeniu, podobny rozbitkowi, lada deski, lada drzazgi znikomej i wiotkiéj się chwyta, tak i on cieszył się jeszcze tą nadzieją, że może ten cudzoziemiec piękny, ten wybrany muz kochanek, równym jest jak i on hołyszem i oprócz szpady, tuniki i rytmami zapisanych skryptów nie posiadając nic więcéj, obojętnym będzie dla Lidyi, którą żądza złota oślepiła.

Niestety i w tym względzie rozczarowania doznał. Kiedy bowiem towarzystwo całe w tany się puściło, najpierwszy z niesfornéj krętaniny wyemigrował Ossoliński i z postanowieniem nie mięszania się do tańca usiadł na boku przy pełnym pucharku.

De Baïf przybliżył się wtedy do niego i w sposób delikatny a zręczny począł go o towarzyszu jego wybadywać, główny nacisk naturalnie kładąc na jego fortunę.

Polacy z natury swéj lubią się przed cudzoziemcami chwalić i na wielkich potentatów pozować. Ossoliński też z młodego polskiego wieszcza zrobił prawdziwego Krezusa, zdziwionemu

i przestraszonemu Francuzowi ze szczegółami opowiadał o włościach Kochanowskich, rozległych trzy razy tak jak cała Francya, o skarbach rodzinnych, o tém że zamożny poeta może tak jak ongi Midas w złoto wszystko na około przemieniać.

Biedny de Baïf słuchając tych cudów, którym naturalnie liczne szklanki wychylonego wina większéj jeszcze aniżeli opowiadacz zamierzał, dodawały prozopopei, cierpł za każdem wymówionem słowem, w rozpacz się pogrążał i nadzieje swe za niepowrotnie stracone coraz wyraźniéj uważał.

— Ale cóż Wasza miłość blady taki jak ściana? zapytał Ossoliński. — Czyś nie chory? Zaprawdę gorąco tu jakoby w państwie Prozerpiny a i winiska owego zanadto się nachlało.

— Nic to, nic — odpowiedział de Baïf i rękę do czoła przykładając, powstał z ławy, na któréj obok Ossolińskiego siedział.

Krok jego atoli był niepewny i chwiejny i Ossoliński go nie puszczał, ale idąc za nim powtarzał:

— Zaprawdę pomyśleć by nam o rozejściu się należało, bo kto wie czy przy pierwszéj znajomości naszéj, miarysmy nie przebrali.

Młodzieńcowi atoli, który dotychczas bezwładnością jakąś zdawał się dotknięty, przyszła nagła energia, rękę swą z pod ramienia Ossolińskiego prędko wysunął i wymijając zręcznie tłum najgęstszy, tudzież między Ossolińskim a sobą stół pozostawiając, stanął z nagła przy Kochanowskim, który po skończonym co tylko skocznym szocie, zmęczoną i dyszącą Lidyją na stołek opuszczał, sam pochylając się nad nią z tą poufałością, jaką zbliżenie w tańcu zawsze wyrabia.

Łono niewiasty, dysząc, wznosiło się i opadało jak łagodna fala, oczy jéj zwrócone na tancerza tysiącem iskier migotały a po karminowych usteczkach przebiegał uśmiech zadowolenia, rozkoszy i wielkich obietnic na przyszłość.

Poeta polski twarz miał rozpromienioną i szczęśliwą, jagody i zmęczeniem i powodzeniem u téj maleńkiéj Paryżanki okraszone tak, jak zapewne ich nigdy Cynthius nie zabarwił, a ręka jego ściskała frenetycznie białą i drobną rączkę tancerki.

Gotował się właśnie w drobne jéj uszko rzucić nowy komplement a może ogniste wyznanie, kiedy trupio blady de Baïf jak widmo stanął przed nimi.

Okrągło otworzone jego oczy, tudzież bladość w zielony prawie przechodząca kolor, stanowiły wielki kontrast z zarumie-

nionem obliczem tancerzy i Lidyja pierwsza, dostrzegłszy go zbliżającego się jakby jakieś widmo grobowe, przestraszyła się i idąc za instynktem niewieściéj natury pochyliła się ku Kochanowskiemu, jakby w jego ramieniu szukając obrony przeciwko grożącemu jéj niebezpieczeństwu.

De Baïf starał się spokojnego udawać i stanąwszy obok nich podparł się w boki i tonem pewnym, choć serce w piersiach na sztuki mu pękało do Kochanowskiego przez zęby wycedził:

— Wasza Miłość zazbyt skwapliwie korzystasz z praw gościnnych, jakie ci tutaj z taką serdecznością udzielono i, zapamiętale pląsom się oddawszy, na wyłączną swą własność zabierasz damę, do któréj by przecież i inni prawo mieć mogli.

Lidyja w zaczepce téj brutalnéj pierwsza poczuła niegrzeczność gościowi wyrządzoną, a więcéj może jeszcze oburzyła się natrętnością, z jaką ten ustawiczny jéj prześladowca, zdawał się być upoważnionym do rozciągania nad nią pewnéj opieki.

Zmarszczyła więc brwi groźnie i wybuchnęła śmiechem, w którym nie było już znać tak zwykłe właściwéj jéj pustoty ale raczéj gniew i szyderstwo.

— Prawa? — zawołała — a to mi się prawdziwie podoba.

Inaczéj inwektywę tę zrozumiał Kochanowski. On od kilku miesięcy już przebywając między Francuzami, miał sposobność poznać tak wady ich jak i zalety. Nie taił przed sobą, że naród ten za jego niczem niezaćmioną wesołość za jego serdeczność, gotowość z pomocą, łatwość wiązania stosunków i wzniosłość popędów, kochał szczerze a nawet uwielbiał; wiedział atoli także, że krewkiemu charakterowi temu właściwa jest popędliwość, że gniew w nim często nad szlachetnemi uczuciami górę bierze i że dla dojścia do konieczności starcia się i rozprawiania bronią jest tu tak łatwo, że często przy pierwszym kuflu uściski i pocałunki mają miejsce, przy drugim zaś już żelazem rozprawiać się trzeba. I z jego sangwinicznego charakteru wynikało, że nigdy, żadnéj obrazy nie zwykł był puszczać płazem, dla tego owa krewkość Francuzów, w umyśle jego nie szła im na rachunek wad ale raczéj zalet. W ojczyźnie swojéj, będąc jeszcze w sandomirskim konwikcie a późniéj na akademii krakowskiéj, palcatami znakomicie do krzyżowéj sztuki się wprawiał i był na szable graczem nie lada. Ale we Włoszech już z szablą rozstać się musiał i narzędzie siekające na kolące zamienić, a lubo ze

zmiany téj nie był rad bardzo atoli do obyczajów narodowych się stosując, i w téj broni doszedł do takiéj perycyi, że we Włoszech jednego a w Paryżu w czasie krótkiego swego pobytu dwóch natrętów naszpikował uczciwie. To też i teraz zrozumiał, że to nie tyle do niego, ile do wiszącego mu u boku rożenka piją i lewą swą ręką oparłszy ciężko na gardzie szpady, tak że koniec jéj naprzód wychodził i mimowoli wpadał w oczy, prawą pokręcił wąsa i lekceważącym tonem zapytał:

— Czy szkodzi?

Przypuszczać należało, że de Baïf, podrażniony tak wewnętrznem swém usposobieniem, jak i wyzywającą Polaka postawą, bryzgnął by jakąś obelgą i pojedynek byłby nieunikniony, ale Ossoliński, złe jakieś usposobienie młodzieńca wietrząc, pospieszył już tymczasem do Ronsarda i z nim przy młodéj parze stanął.

Zanim więc de Baïf na wyzywające słowa zdołał dać odpowiedź, Ronsard jak mu to ze stanowiska Amfitryjona wypadało, pierwszy się ozwał:

— No, szczęście nieprzywidywane i zapewne jedynie jako łaska z dzisiejszéj uroczystości, spływające dozwoliło mi zrobić znajomość, która ufam, że będzie wieczną. Wszakże pora to już znacznie spóźniona i lubo rozstawać nam się ciężko, wszakże druga już pobudka otrąbiana i musimy iść każdy w swoją stronę. Dla tego pozwól sarmacki poeto niech cię uścisnę i pamięci twojéj się polecę.

Przy tych słowach wziął Kochanowskiego w objęcia, a zły i niekontent de Baïf drgnął całem ciałem i, lubo panował nad sobą, wyrwały mu się z ust słowa:

— Rozkazom twym zawsze posłuszni jesteśmy, mistrzu, jednakże ja z tym panem miałem pewien rachunek do uregulowania.

— Cicho bądź dzieciuchu, krzyknął Ronsard, i jeśli na klęczkach nie chcesz uznać północnego geniusza, to mu, napiwszy się, drogi nie zawalaj.

— Do regulowania wszelkich rachunków wszędzie i zawsze na wezwanie jestem gotów — odpowiedział, zaperzony już także Kochanowski.

Ale na eksplikacye, ani dalsze tłomaczenie czasu już nie było, bo i Kasandra między zwaśnionymi stanęła i po wymienieniu pożegnań, zapewnieniach dozgonnéj przyjaźni i uściskach

serdecznych do odwrotu się miano, zwłaszcza że gospodarz winiarni pojawił się we drzwiach i do prędkiego odwrotu naglił.

— Czy się już więcéj nie spotkamy ze sobą? — zapytała Lidyja Kochanowskiego, miękką dłoń swoją na pożegnanie mu podając.

— Pani — zawołał tenże z emfazą, chcesz mi chyba słońce zagasić przed okiem, chcesz pragnącego życia, szczęścia i miłości zepchnąć do Erebu, jeśli przypuszczenia podobne robisz. Pani, jam twój sługa wieczysty, jam cień twojego ciała, jam słonecznik, który jedynie za promieniami oczu twoich obracać się od dzisiaj potrafię.

Ona na to nic mu nie rzekła, tylko długo, wyraziście i serdecznie dłoń mu ścisnęła.

Zaczem już na ulicy pożegnali się wszyscy i każdy w swoją stronę pospieszył. Ossolińskiego kwatera była w nieskończonych oficynach Luwru, Kochanowski wśród studenckiego zamieszkiwał miasta. Dla tego, chcąc jeszcze dłużéj być z przyjacielem, prowadził go do małego mostu, gdzie już z konieczności ówczesnych praw miejskich cofać się było potrzeba.

W drodze słów parę tylko zamienili ze sobą i Ossoliński, jako to zawsze był jocosus, do ucha przyjacielowi swemu szepnął.

— Ależ Waszmość djable przypiąłeś się do owéj drobnéj i kieszonkowéj Paryżanki. Gare à toi, powtarzam ci, bo to te maleńkie czarownice zdolne bywają i woli męzkiéj i kawalerskiéj swobody nas pozbawić.

Kochanowski westchnął z głębi piersi i jakby nie do towarzysza swojego, ale raczéj do siebie samego szepnął:

— Oh, byleż tylko pozbawić chciała.

— Co Waszmość pleciesz? — zawołał przerażony Ossoliński i z przestrachu zatrzymał się, nogi na ulicy szeroko rozkraczył i w stronę przyjaciela swojego wśród panującéj dokoła ciemności wzrok wytężył.

Że jednak szyldwach w twierdzy małego Chatelet jedyną furtkę, służącą dla spóźnionych przechodniów otworzył nie było więc czasu rozprawiać, ale owszem rozstawać się co prędzéj należało.

Ścisnęli więc tylko sobie ręce wzajemnie i każdy w swoją stronę się udał.

* * *

Kochanowski przez czas studyjów swoich paryzkich zamieszkiwał w tak zwanem Collegium Lombardorum, przy rue des Carmes, założonem jeszcze na początku XIV w. przez wspólne siły ludzi bogatych, pragnących przyjść z pomocą uczącéj się młodzieży. Do tego kolegium ciągnęły go dwa względy: naprzód, że wykładali tu słynni profesorowie, powtóre że tu osiedlili się towarzysze jego.

Andrzéj Patrycy Midecki, znakomity klasyk, późniejszy Biskup Wendeński, oraz za Polaka już całkowicie uznawany Andreas Dudicius.

Młodzież, studyjując naprzód we Włoszech, nabyła przez to samo prawa zapisywania się we włoskim konwikcie, a lubo nadsyłane naszemu Janowi środki przez brata Kacpra z kraju, pozwalały mu na wygodniejsze, aniżeli w kollegium życie, wszakże młódź ówczesna nie rozpieszczona wcale, wielkich nie miała wymagań, a w kollegium takiem był zawsze dach pewny nad głową, było łoże, acz nie puchami słane, ale dla młodego wieku aż nadto wygodne, były intra muros wykłady i siaka taka książnica, a przedewszystkiem mili towarzysze, — z którymi i nauka, i myśli jako orły lotne, i niedostatek, co także się zdarzało, i hulanka wspólnie się odbywały.

Zewnętrznie nie wyglądała taka kolonia studencka zbyt bogato. Mieszkanie na trzeciem pięterku, wysunięte na facyjatce, gdzie się nasi rodacy mieścili, składało się z dwóch nie równéj wielkości komnat, wyłożonych ceglaną posadzką. Pierwsza izba duża była i światła i w niéj w guście obozowych legowisk urządzili sobie łoża Patrycy i Dudycz, tudzież do wspólnych studyjów znajdował się tu stół wielki, koloru naturalnego dębu, żadną farbą niepomalowany, świecący z powodu długiego użycia, kilka krzeseł, wyplatanych słomą, szafa z półkami na skrypta i książki z biblioteki królewskiéj wypożyczane, tudzież toaletowe przybory, składające się z polewanego dzbanka i kilku z czerwonéj gliny wypalonych kubków, z wielkiéj misy do wspólnego umywania służącéj, rozwieszonych rzędem na ścianie, wrorzysto na brzegach tkanych ręczników z lnu domowego nadwiślańskiego, tudzież szczotek niezdarnych, które prędzéj do zgrzebeł końskich były podobne.

Kochanowski nie ze względu na elegancyą, gdyż téj wielkim zwolennikiem nie był, ale ze względu na samotność, jakiéj potrzebę często Apolinowe dzieci uczuwać zwykły, urządził sobie przytułek w ciasnéj, do owéj wielkiéj izby przytykającéj alkowie,

gdzie nieład prawdziwie poetyczny panował. Na maleńkim stoliku kartelusze papieru zapisane drobnem pismem pomięszane z woskiem do wąsów i czernidłem, oraz szczotkami do ciżmów, daléj na stołkach, lub na gwoździach wbitych w ścianę pozawieszane rozmaite szaty i bielizna. Tam kupiony u jakiegoś Włocha handlarza gipsowy medalion Apolina, owdzie zardzewiała szpada, księgi lub pargaminowe, wzorzysto malowane rękopisy, rozwarte bądź na stoliku, bądź na krzesłach i łożu, gdzieindziéj niedokończona wina marselskiego butelka i zielona przy niéj szklenica, owdzie pióro z nastroszonym puchem, jak gdyby było ze skrzydła orlego wydarte.

Cały ten kątek przypominał wyraźnie artystę i poetę, ale nie brak tu było także i czysto polskiego, narodowego piętna. Nad łożem mianowicie, w pozłacane ramki oprawny wisiał mały obrazek Częstochowskiéj panienki na drzewie klejowem i farbami malowany a pod konterfektem, na krzyż na dwóch gwoździach założona gałązka bilicy ze złocistą wierzbiną. Roślin tych również na obcéj jak i na naszéj ziemicy rosnących, nie dostrzega łatwo oko obojętne, ale ten, komu wspomnienie ojczystego kraju głęboko osiadło w sercu, potrafi dojrzeć o co wonią łąk ojczystych do serca jego przemawia.

Kochanowski jak z wierną szpadą, tak również nigdy nie rozstawał się z kluczem od swego mieszkania, a kiedy nim w zamku zazgrzytał, mieszkańcy pierwszéj izby a towarzysze jego rozbudzili się na pół, ale młodzieńczy sen niebawem zmorzył ich powieki, i zachrapali daléj. Kochanowski nie chcąc im snu przerywać, wymykał się do swojéj alkowy, gdzie zrzuciwszy ze stołka nagromadzone na nim szaty, siadł, zażegł kaganek i białe swe czoło podparłszy dłonią, w głęboką zapadł zadumę.

Czy myślą po wspomnieniach ubiegłego dnia krążył, czy ku hipokrońskim dobywał się źródłom, trudno to wiedzieć, gdyż chrapanie towarzyszów, dochodzące z sąsiedniéj komnaty uwagi jego nie zwracało ku sobie, jak również nie uważał i na to, że przez wązkie alkowy jego okienko świt wdzierać się począł i różanymi swymi błyski zdawał się szydzić z niepewnego światełka kagańca.

Wnet jednak mimowolnie przysunął do siebie leżącą na stoliku białą kartę papieru, pióro w inkauście zamoczył i pochyliwszy się nad stołem zaczął szybko coś pisać.

Sądząc z szybkości, z jaką ręka jego się poruszała i z konwulsyjnych drgań, jakim ulegał wierzch pióra, przypuszczać było

można, że to list do rodziny, gdzie myśl z formą, nie rachuje się wcale i płynie jak fala szybkiego potoku, na sterczące po drodze kamyki i nierówności gruntu nie zważając.

Jednakże nie był to list wcale, ale owszem utwór poetycznéj sztuki, o czem wiersze ustawione w szyku jakby niemieccy najęci żołnierze, najwymowniéj świadczyły.

Tak to był wiersz i to wiersz łaciński, jeden z najpiękniejszych pod względem formy. Jeśli rzymska mowa była do tego stopnia posłuszną woli poety, że żadnych poprawek ani przemazywań nie czynił, jakże pięknie zapewne grać potrafi, jeżeli w polski, rodzinny swój bardon uderzy?

Dwie ćwiartki papieru drobnem zapełniwszy pismem gdy już jutrzenka do komnaty zaglądać poczęła, przeczytał sobie półgłosem co był napisał.

Utwór ten przypadł mu snać do gustu, bo się czuł zadowolonym i rzekł cicho:

— To mu przecież podobać się powinno.

I głośno już odczytał po raz wtóry ustęp następujący:

„Tutaj dał mi się widzieć ów Ronsard wsławiony,
Co do mowy ojczystéj nawięzuje strony,
Słysząc go, ledwom nie rzekł, że to Orfej wtóry
Lub Amfion układa siedmiobrame mury,
Że rzeki zachwycone pęd swój zatrzymały,
I na głos niesłyszany ruszyły się skały . . . .

— Tak — wyszeptał, to mu przecież podobać się powinno boć talent każdy o tyle, o ile na nim współcześni poznać się umieją, dostaje nowych sił i nowych skrzydeł do lotu.

A jak pomyślał tak i uczynił.

Ronsard otrzymał około południa kopią epistoły do Sygonijusza, jednéj z najpiękniejszych co do języka i co do formy elegiji łacińskiej Kochanowskiego, która zachwyciła go do tego stopnia, że lubo wieszcza polskiego z próbek, jakie słyszał, cenił wysoko, to teraz wielki powziął dla jego talentu poetyckiego szacunek.

Zazaz więc po odebraniu listu nawiedził Jana w owéj szkólnéj kwaterze i nietylko na nim, ale i na towarzyszach jego wy-

mógł słowo, że po upływie tygodnia, wraz z Ossolińskim w jego zamku rodzinnym, zwanym Poissonière nawiedzić go raczą. Polacy dali słowo, boć zaproszenie było niezmiernie serdeczne, a ten który je czynił do pospolitych ludzi nie należał.

* * *

Do kraju zwanego Vendôme droga nie zbyt daleka z Paryża, a jeśli zważymy, że ścięte w porze téj na łąkach siano i zdobne purpurowym kwiatem koniczyny więdnąc na pokosach woń aromatyczną dokoła roniły, że dojrzałe a złotawe zboże, zżęte na spoczywających jedna przy drugiéj garściach promienie słońca w sobie odbijały, że skowronek, unosząc się nad polami, zmęczonym, ale wesołym tonem nucił swoją piosenkę, zrozumiemy łatwo, iż wyprawa podobna dla mieszkańców miasta, a synów kraju wyłącznie rólniczego, niewypowiedzianą stanowić musiała rozkosz.

W naszym zimnym i często przez sześć miesięcy mrożącym lub śnieżącym klimacie, lato, jakby chcąc kompensatę za chłody dać ludziskom, praży gorącemi słońca promieniami, dojrzewanie zbóż przyspiesza i wyschłą słomę prędko do brogów schronić dozwala. We Francyi zimy prawda są lekkie, ale też i lata nieraz wcale nieupalne i miesiąc lipiec, miłem ciepłem po żyłach krąży, ale ognistym żarem nie nuży, sił człowiekowi nie odbiera i w ożywionéj naturze rozkoszować się dozwala.

Wycieczka taka o tyle zresztą milszą bywa, o ile droga przez rozkoszniejsze miejsca prowadzi, a już dolina, nazwana Naux du Loir, ciągnąca się blizko na mil sześć jest nieustającym ogrodem, na przemiany z owocowych sadów, z sianożęci i małych pólek ziemi, zbożem obsianych, złożona. W dali widnieją murowane wieżyczki małomiasteczkowych kościołków, wioski białemi świecą ścianami, rzeka z zielonawą barwą płynie w pośrodku, a po nad tem wszystkiem niby namiot wspaniały zawisło niebo błękitne bez chmurki, które zachowuje tę uroczą wiosenną barwę, nie nabierając nigdy koloru opalowego, który suszą matce ziemi grozi.

W saméj głębi i w najbardziéj zacisznym kącie rozkosznej owéj doliny wznosiło się rodzinne gniazdo Ronsardów, zamek zwany la Poissonière.

Ponieważ poeta, Piotr Ronsard, najmłodszym był z sześciu braci, przeto posiadłość ziemska w działach mu się nie dostała,

a gdy dwóch braci zmarło jeszcze w niemowlęctwie, a dwóch służbę duchowną przyjęło, przeto zamek stał się własnością Klaudyusza, który się rycerskiém zatrudniał rzemiosłem.

Klaudyusz de Ronsard, w epoce o której mowa, miał już małżonkę ze szlachetnego domu de Tiercelin i doczekał się z nią potomstwa, ale że usługi przy Henryku II często obecności jego na dworze wymagały, przeto na miesiące całe z żoną, dziećmi i całym taborem gospodarskim przenosił się do Paryża lub Fontainebleau. Jeśli w chwilach takich młodszemu bratu, Piotrowi, przyszła ochota użyć wiejskiego wczasu, w zamku rozporządzał się już wtedy jak gospodarz, a pobożna i w obyczajach swych skromna żona Klaudyusza, Katarzyna, rada była jeśli honor podejmowania szwagra na nią nie spadał, gdyż szwagier słynął z dosyć swawolnego życia i przyjeżdżając w odwiedziny, przybywał w towarzystwie młodzieży i niewiast, które chociaż z zacnego pochodziły rodu, w poglądach swoich i w trybie życia towarzyskiego z próżności epokę Peryklesa przypominać się zdawały. Piotr Ronsard nie harmonizował też bardzo z bratową i najczęściéj rodzinne gniazdo nawiedzał, kiedy był pewny że tam nikogo nie zastanie.

Zamek Ronsardów nie przedstawiał obronnego kasztelu feodalnego, wszystkie pozory twierdzy mającego, ale był rozkoszną wiejską siedzibą, otoczoną zielenią i kwiatami, niepozbawioną atoli wieżyc kolczastych, mostu zwodzonego, i kaplicy z podziemiami, w których spoczywały prochy przodków, tudzież owéj majestatyczności poważnéj która świadczy nie tyle o zamożności ile o szlachetnéj i dawnéj prozapiji władzców.

Towarzystwo polskie, zdążające do zamku, składało się z czterech młodzieńców, mianowicie: Kochanowskiego, przyjaciela jego Ossolińskiego, Patrycego Nideckiego i Dudycza. Wszyscy obyczajem wieku młodego byli weseli i swobodni, w rozmowie ich krzyżowały się dowcipy jak race, a jeden tylko poeta wpadał od czasu do czasu w zadumę, wysokie czoło pod hiszpańskim ombrero dłonią sobie gładził i nie zważając na gorąco, jakby to było w jesienne chłody, włoski swój płaszcz na piersiach składał i połami jego się otulał.

— Ten, który za nas wszystkich czuć i płonąć powinien — ozwał się jowialnie Nidecki — podróż jakby ku biegunowi północnemu odbywa, bo lękając się przeziębienia lub kataru, milczy a tylko poły płaszcza ustawicznie na piersi swoje ciągnie.

— Nie znacie zagadki — zawołał śmiejąc się swobodnie

Dudycz. — Jan nasz nowe hiszpańskie szaty dzisiaj przywdział i kłopocze się by żaden pył na drogocenny jedwab nie upadł. A czy wiecie dla czego?

— No, dla czegoż? — pytał Ossoliński — który wbrew rozmownemu swemu humorowi był dzisiaj jakiś zamyślony i milczący.

— Jużcić — odpowiedział Dudycz — lubo znakomitego francuzkiego poetę wysoko ceni i szanuje, nie mniéj przeto nie sądzę, żeby do niego tak się wystroił. Liczy, że w zamku tym spotka kogoś, kto oczy ma czarne jak ciarki, margrabską pieczętuje się koroną a używa imienia starożytnego, z którem prawodawca nasz niedościgniony Horacy to igrał swawolnie, to czołem bił przed niém, wszystkie cechy niewolnika biorąc na siebie.

— Mój Andrzeju — ozwał się cierpko Kochanowski — proszę cię też abyś z imienia, czy ono starożytne jest czy współczesne, czy mu Horacy czy Tibultus hołdowali, igraszki sobie nie robił. Wiem, że masz na myśli Lidyją i mam honor ci oświadczyć, że jeżelim wdział strój nowy, nie stało się to dla niéj ale dla sławnego poety, który nas cudzoziemców i obcych w gnieździe swem łaskawie podejmować zapragnął.

— Azaż i Lidyja tam będzie? — spytał zdziwiony Ossoliński.

— Podług wszelkiego prawdopodobieństwa — odpowiedział sucho poeta, jegomość Ronsard bowiem oświadczył mi, że z damami na wiejski wypoczynek wyjeżdza.

Ossoliński uśmiechnął się jakoś cierpko i zapewne byłby nie zbyt pochlebną co do obyczajów francuzkiego wieszcza wzmiankę uczynił, ale na uwagi czasu już było mało, gdyż ze strażnicy wieżowéj zbliżających się gości dostrzegł herold czy odźwierny i w róg myśliwski czy wojskowy uderzył. Most zwodzony z trzaskiem i brzękiem łańcuchów spadł na fosę na poły wyschniętą i odkryta kolasa przybyszów zatoczyła się na wybrukowany zamkowy dziedziniec.

Front siedziby stanowiła czworokątna, małemi jak gniazda jaskółcze na rogach zdobna wieżyczkami czteropiętrowa baszta, któréj oddrzwia bogato marmurami i gipsową sztukateryą wykładane wznosiły się na wysokość dwunastu z ciosowego kamienia stopni i tworząc głęboką niszę formowały rodzaj ganku, na którym francuzki poeta z odkrytą głową przybycia przyjezdnych czekał.

Skoro ich zobaczył z niekłamaną zawołał radością:

— A bywajcie że mi, bywajcie, wy postokroć mili a po tysiąckroć oczekiwani. Dzięki wam, żeście danego słowa dotrzymali i że do owéj wiejskiéj głuszy przybywacie.

A zatem Ossoliński, jako to był już człek u dworu wypróbowany i w komplimentach biegły, pierwszy z kolasy wyskoczył i w grzeczności, nie dając się wyprzedzić, zaraz odpowiedział:

— Zaproszenie największego z Francuzów jest dla nas prawdziwym honorem, przypuszczać więc nawet nie można było, że my na téj ziemi obcy i cudzoziemcy zaproszenia jego nie chybimy.

Ronsard ściskając ręce przybyłych, w miarę ich dobywania się z kolasy mówił:

— Cudzoziemcami a obcymi przecież nie jesteście wy, którzy ze szlachetnego polskiego pochodzicie narodu. Przynajmniéj pod ten dach zajeżdżając, odwiedzacie brata swego jeśli nie po piórze, to przynajmniéj po krwi i pochodzeniu.

— A toż jakim sposobem? — zapytał rezolutny i zawsze do głębi rzeczy pragnący najpierwéj dotrzeć Patrycy Nidecki.

— A no, zuchu mój, w sposób bardzo prosty. Może bowiem nie wiecie o tem, że ród mój właściwie z krwi słowiańskiéj czerpie swój początek.

— W łaskawości swojéj wtrącił Kochanowski — Miłość Wasza schlebiać nam raczy, aby tem wygodniéj skłonność wspaniałego serca swojego ku nam wytłómaczyć.

— Ależ bynajmniéj — odpowiedział poeta — i ponieważ śniadanie zapewne nie zaraz nam podadzą, a damy prawdopodobnie zupełnie gotowe jeszcze nie są, przeto pokażę wam główne ciekawości siedziby téj, gdziem ujrzał światło dzienne, aby wam tem wymowniéj prawdę słów moich stwierdzić.

— O jakichże damach mówi Miłość Wasza? zapytał ciekawie Ossoliński, a Kochanowski żywym spłonął rumieńcem.

Ronsard spostrzegł ten szkarłat, wykwitający na policzkach poety i figlarnie odrzekł:

— Spojrz na ową barwę róż i na ów rumieniec wieszcza waszego, a dopytywać się szczegółowo nie będziesz!

I nie chcąc już w większe zapuszczać się szczegóły, daléj prowadził rzecz na początku rozpoczętą.

— Owóż, może wam drodzy moi goście nie wiadomo, że jeśli plemię wasze pokrewieństwo uczuwa z tymi ludami, które mieszkają nad Dunajem, na pograniczu między Węgrami a Bułgaryą, tam ojcowie i przodkowie moi mieli dawniéj swoje posia-

dłości i tam się rozradzali. W XIV wieku zwali się oni Kossart, czy jednak w papierach starych i w odczytywaniu tego nazwiska nie ma omyłki, utrzymywać nie śmiem. Wiadomo tylko, że w czasie wojen Filipa VI, króla francuzkiego z Edwardem III angielskim jeden z członków téj rodziny przyszedł tu z gronem dzielnych słowiańskich rycerzy i na usługi kraju wycieńczonego wojnami się zaciągnął.

Zagłębiwszy się w owe wspomnienia rodzinne, dał się już unieść zamiłowaniu swemu do rymów i językiem muz zakończył:

Il s'employa si bien au service de France,
Que le Roy lui donna des biens à suffisance
Sur les rives de Loir; puis de tout oubliant
Fréres, péres et pays, Français se mariant
Engendra les ayence dont est sorti le pére
Par qui je vy cette belle lumiére

Kochanowski, podszedł do niego i ścisnął mu rękę z uczuciem i serdecznością.

Ronsard, biorąc pod rękę Kochanowskiego prosił gości daléj za sobą, dla pokazania im swego rodzinnego gniazda. Postępując zatrzymał się przy bramie wjazdowéj, gdzie misternie w gipsie wyrobione były herby rodziny i objaśniał:

— Te trzy ryby, które rzędem jedna pod drugą na tle błękitnem widzicie, od niepamiętnych czasów herb rodziny naszéj stanowią, a poławiają się podobno jedynie w Dunaju i w języku tamtejszym ross się zowią.

— Płocice po polsku, zawołał z radością Kochanowski — i zaraz dodał daléj po francuzku:

— Znam je dobrze, gdyż nie raz za lat mych pacholęcych pełne ich zanadrza z rzeki do kuchni macierzyńskiéj nabrałem.

Napis na herbie w otoku, mówił Ronsard daléj: „Nun fallunt futura merentem, aby był dobrą wróżbą dla którego z potomków tego rodu i aby na nim przynajmniéj w dziesiątéj części gorliwe jego chęci sprawdzić się raczyły.

— Mistrzu, zawołał z zapałem Kochanowski — dziś cię współcześni zowią le roy des poetes, czyż więc może być cześć od narodu większa?

— Lubo dalekie wędrówki w młodych mych leciech robi-

łem — rzekł na to Ronsard — niestety jednak los mi nie pozwolił dotrzeć aż go kraju waszego. Słyszałem atoli, że wy wolność ponad wszystko ceniąc, do znaczenia majestatu królewskiego wielkiéj nie przywiązujecie wagi. Jeżeli więc znaczenie wyrazu książę, princeps, jako należące do najpierwszego i najprzedniejszego może być uważanem, ty więc mój Kochanowski księciem poetów winieneś być nazwany w swojéj ojczyźnie.

— Oby proroctwo wasze mistrzu, ozwali się na to Dudycz i Nidecki jak najprędzéj się spełniło.

A Ossoliński, nie dwornym już tonem, jak to u niego w częstym obyczaju bywało, ale z całą szczerością i zupełnym zapałem zawołał:

— Stanie się, boć nikt chyba w takim stopniu jak nasz Jan ukochany, ulubieńcem Pieryjskich panienek nie jest.

— Nie tylko Pieryjskich bo i ziemskich — wtrącił rubasznie Ronsard — i zaśmiał się głośno, a widząc, że Kochanowski jak dzieweczka się płoni, dodał w guście nauki i tonem starszego brata.

— I ja nie wątpię, że to, co nasz kochany hrabia powiada, niebawem się spełni, jedną tylko młodzieńcze, przyjm od starszego przestrogę. Przestrogę, którą już raz przy pierwszem poznaniu miałem odwagę ci zrobić. Ukochaj nadewszystko język swój rodzinny a o łacinie zapomnij.

— Och, drodzy moi, — rzekł Kochanowski rozczulony i na wsze strony przyjaciołom ręce ściskając — ażaż przed mową ojczystą jest co dla mnie droższego? Ależ trudno, będąc między ludźmi, którzy języka naszego nie rozumieją, trzeba się do powszechnéj uciekać łaciny.

- Ależ — kończmy te oględziny — tam bowiem na nas i towarzysze i damy czekają.

— Jacyż towarzysze? — zapytał Ossoliński.

W charakterze sąsiada jeden tylko du Bellay u mnie od kilku dni bawi — odpowiedział gospodarz.

— A ten że młodzian de Baïf? zapytał Kochanowski.

— Czy radbyś, Wasza Miłość — rzekł Ronsard, żeby spór między wami, dzięki niegrzecznéj jego inicyjatywie i tutaj jeszcze się odnowił.

I nie czekając już na odpowiedź dalsze osobliwości zamku pokazywał.

A było tam rzeczywiście wiele do widzenia, pomijając bowiem dwie czteropiętrowe baszty, herbami i sentencyjami łaciń-

skiemi ozdobione, zastanawiała kaplica, przybrana bogato w złocenia i płaskorzeźby, daléj napisy nad oknami, gdzie rozmaite się spotykały sentencyje, a najczęściéj powtarzała się Veritas filia temporis. Ponad oknami sali zabaw: Valuptati et gratiis, a nad kuchnią: Valcano et diligentiae. Obok kuchni szła zaraz spiżarnia, z napisem Custodia dapum, oraz dwie piwnice, jedna ze słowami: Vina barbara, druga zaopatrzona przestrogą dla amatorów win krajowych — sustine et abstine. Do głównego korpusu pałacowego dotykały prawie stajnie, składy paszy dla koni, bażantarnia, kurniki i wszystkie te machiny, które życie wiejskiego szlachcica w ruch wprawiać zwykły.

Kiedy minąwszy gospodarskie to obejście, do ogrodu wkroczyli i kiedy od starych buków świeżość i chłód parku na nich powiały, z ciemnego gaju wiązów z leszczyną splątanych, wyszła do nich postać niewieścia, któréj ani Ossoliński ani nawet Ronsard nie poznał, ale którą odgadł Kochanowski, rękę swą bowiem z pod ramienia gospodarza wysunął, mimowolnie zdjął z głowy hiszpański kapelusz i z fantazyą albo może niewytłomaczoném jakiemś nerwowem drżeniem czupryny swojéj poprawiał.

Była to Lidyja, a czy przez kokieteryą, wiedząc że jéj to do twarzy, czy też dla zastósowania się do miejscowości, w któréj gościnę chwilową przyjęła, ubrała się w strój wieśniaczek tutejszych. Bujna więc jéj kosa rozpleciona i składkami warkocza skarbowana spadała na plecy, spódniczka biała, kolorowemi wstęgami obszyta sięgała zaledwie niżéj kolan, odkrywając nóżki jak utoczone, ubrane w ponsowe pończoszki i w drewniane lekkie saboty, które po wyschniętéj uliczce ciągnąc, brząkała niemi jakby grzechotnik. Na rozpuszczonych jéj czarnych jak kruk włosach w olbrzymią kokardę uwiązana była purpurowa, świetnie odbijająca wstęga, a śnieżystéj białości koszulka, kłócąca się barwami z alabastrową matowością jéj szyjki gubiła naturalne swe draperye w przetykanym złotemi nitkami gorsecie.

— Witajcie zacni przedstawiciele szlachetnego narodu, wołała zdala i podawszy im wszystkim do uściśnienia po kolei drobną rączkę, sięgnęła po kwiaty do koszyczka, jaki zawieszony na lewéj ręce miała.

Ronsard tymczasem, obowiązki gospodarza pełniąc, Nideckiego i Dudycza margrabiance przedstawiał, a ona śmiejąc się i szczerząc drobne swe ząbki, mówiła.

— Nazwiska wasze dziwnie brzmią i do spamiętania są trudne, dla tego też o nie nie stoję i cieszę się tem, że wszyscy jesteście signori Polacchi i ziomkowe tego muz ulubieńca, który przy pierwszem poznaniu tak nas oczarował.

A gdy przedstawieni się kłaniali, ona tymczasem, przebierając w koszyczku szczebiotała daléj:

— Za łaskawe i posłuszne przybycie wasze do wiejskiéj pustelni na nagrodę zasługujecie, a cóż wam innego wieś jak kwiaty ofiarować może? Wam więc panowie, którzy mądrości żywot swój ślubowaliście, rzekła do Nideckiego i Dudycza najwłaściwéj purpurowa róża przystoi, boć kolor czerwony jest kolorem mądrości. Wam zasię słodki poeto, ofiarowałbym chyba jedynie bluszcz, dla czoła waszego najwłaściwszy, lub za to żeście tak pięknie na cześć Bacha nucili, winną latorośl. Gdy atoli w koszu moim roślin bez kwiecia nie ma, przyjmijcie więc tę oto liliję, któréj aromat jest równie silny i upajający jak wasze rytmy.

Obdarowani kłaniali się głęboko i każdy radby był otrzymany kwiat na najwidoczniejszem miejscu na piersi swéj umieścił, że jednak przy stroju włoskim i hispańskim nie było wielkich pętli do guzów, a tylko haftki i knafle, przeto Lidyja, aby kłopotowi temu zaradzić, wyjęła z gorsetu kilka szpilek i kiedy niemi róże Nideckiemu i Dudyczowi przypięła, zbliżyła się następnie do Kochanowskiego.

— Jeśli łaska Waszéj Miłości, szepnął Kochanowski przypinajcie ją Mościa Margrabianko, jak najbliżéj serca.

— I dla czegoż to? — zapytała z uśmieszkiem figlarnym, a kiedy Kochanowski zamiast odpowiedzi westchnął tylko z lekka ona w ciężką, grubą lamę z trudnością szpilkę wbijając, dodała:

— U nas powiadają, że ten kogo przy stroju ukolą, niezawodnie podobać się musi. Czy Waszmość tegoby pragnął?

— Z warunkiem atoli, żeby to odnosiło się do téj, która ranę ową zadała.

— Ale rana każda boli, a w serce zadana wcale już jest śmiertelną?

— Och serce to biedne nie lęka się dzisiaj delikatnéj szpilki, bo już je na wylot strzała synka Cyterejskiéj bogini przeszyła.

— No proszę, i od jakże to dawna?

— Czyż potrzebujesz pani pytać o to? Czyż nie wiesz

czyje to piękne oczy przed niedawnym czasem Amor za siedlisko wybrał, żeby na mnie biednego i obcego tutaj zasadzkę uczyniły?

Dziewczyna zapłoniła się nieco, ale nie tracąc zwykłéj takim czarnobrewym Paryżankom rezolutności, dodała:

— Czyż obcym zowiąc się między nami, nie wyświadczasz nam Waszmość krzywdy?

Kochanowski wstąpiwszy już raz na drogę wyznań, byłby niezawodnie daleko otwarciéj afekt swój wypowiedział, ale podszedł do nich Ronsard z Ossolińskim a ten ostatni widząc jak uprzejma Lidyja gości przybrała, nie chciał pozostać upośledzonym i zawołał:

— A mnież to z pięknych rączek żaden dar nie spotka? A zaż na nagrody zasługują ci tylko, którzy Minerwie a Apollinowi służby swoje oddają?

— Owszem i dla was, Mości Hrabio — odpowiedziała Lidyja, w koszyku swym przebierając, jest to także podarek odpowiedni. Oto ten, szkarłatem świecący irys — rzekła kwiat odpowiedni z koszyka dobywając — dla Was, jako dla tego, który zapewne na polu walki liczne tryumfy otrzymywać będzie i jako mąż stanu nawą państwową kierować, symbol to najodpowiedniejszy.

— Ależ łodyga jego szorstka, oścista i niemal raniąca. Dla czegoż raczéj równie miękki, delikatny a wonny dar nie spotkał mnie jako tego szczęśliwego poetę?

— Sunna cuique — odpowiedziała śmiejąc się dziewczyna i do przyszpilania Ossolińskiemu grubéj łodygi irysu się zabrała.

Ronsard tymczasem naglił, aby koniec zabawom tym sielskim położyć i przypominał, że goście zdrożeni więcéj jadła zapewne aniżeli kwiatów się domagają.

— Ach, mój Boże, zawołała zgorszona Lidyja — taki przedni poeta i tak ustawicznie ze słodkiego kastalskiego zdroju pojony, o marnych ziemskich potrzebach ustawicznie myśli. Fe, wstyd i zły przykład dla tego, kto w takim zachwycie liliją swą się pieści.

I przy tych słowach wskazała ręką na Kochanowskiego, który ginął w pewnéj zadumie i w nieokreślonym bliżéj zachwycie.

Ronsard się zaśmiał, a gdy ten śmiech poetę polskiego z zadumy rozbudził, figlarka z uciechą klasnęła w dłonie i poleci-

wszy mężczyznom aby szli do jadalnéj sali, sama w gęsto drzewami ocienioną uliczkę jak lekki ptaszek frunęła.

* * *

Gościna w zamku la Poissonière trwała całych dni cztery, a dzięki uprzejmości gospodarza, dzięki pięknym paniom, które do wysokości wykształcenia i pojęć zebranego towarzystwa się dostrajały, dzięki wybornym winom staréj piwnicy i umiejętności zamkowego kucharza, była ona jedną rozkoszną chwilką. Wdzięku przedewszystkiem dodawał jéj wiek młodzieńczy zebranych, ich skłonność do bujania w sferach prawdziwéj poezyi i sztuki i cudowna natura, jaka ich otaczała dokoła.

Do swobody studentów na wakacyach, łączyli oni swą poufałość z Pierydami i Apollinem, a dwie niewiasty, jakie w uciechach ich brały udział, zdawały się im ziemskiem Muz- ucieleśnieniem.

Jadalna sala, zdobna przepysznym kominem, jaki się jeszcze do dnia dzisiejszego w Poissonière jako jeden z najpiękniejszych zabytków renesansu dochował, słyszała nietylko wznoszone przez nich wiwaty, nietylko woń potraw korzennych, ale jeszcze wspaniałe wiersze Ronsarda, co przedniejsze łacińskie Kochanowskiego elegije oraz deklamacyą dwóch sióstr, które chętnie zamiłowaniem swém w starożytnych poetach z gośćmi się dzieliły i kiedy Kassandra szczególniejszą predylekcyą miała dla Homera i z pamięci po całych godzinach zdolna była groźbami imienniczki swéj miotać lub płakać z Andromachą. Lidyja natomiast wobec Kochanowskiego na Dydonę pozowała, lub ze swawolnym Horacym na cześć miłostek i wina słodkobrzmiące strofy nuciła.

Wieczorem następowała przechadzka do sąsiedniego lasu, obcowanie z naturą uroczą a wonną i zdobienie sobie świata wszystkiemi ułudami jakie dawały wspomnienia wieszczów staréj Hellady lub Rzymu i własny duch ustawicznie ku wyżynom sięgający.

Oprócz tego, jeśli inni goście w wiejskiéj téj zaciszy i w uprzywilejowanym muz przybytku, mimowoli nawet rozkoszować się musieli, dla Kochanowskiego istniał tu czar jeszcze większy. Czuł on bowiem coraz więcéj jak z każdym dniem miłość bierze go w swoje kręgi, a lubo uczucie to mieści w sobie także pe-

wne przykre strony, jednakże w boleściach nawet jest rozkosznem i zdaje się jakoby podlegając mu człowiek po raz drugi na świat się rodził i żywot jego nowymi barwił się wdziękami.

Tu zaś uczucie to tem przyjemniejsze wywoływać musiało sensacye, że od chwili wstąpienia w gościnne progi, zgadywał Kochanowski że przedmiot jego westchnień krzyw mu nie jest a z dniem każdym prawie odradzające się jego wdzięki, unosiły go w sfery rozkoszne, nadziemskie, gdzie tylko bezwzględna piękność i bezwzględna miłość panują. Lubo więc po ziemi stąpał, zdawało mu się że jest w niebie.

Zaraz, pierwszego dnia pobytu miłych owych gości, Dudycz a Nidecki wygadali się, że Jan często zwykł po nocach siadywać i że wtedy, kiedy inni śmiertelnicy snem błogosławionym chrapią, on zwykł kuć rytmy i niepomny na pokrzykiwania koguta, czuwa aż Faeton z wozem swym złocistym na stropy niebieskie wjedzie.

Opowiadania podobne, mające na celu przyjacielskie zadrwienie z poety, dały Lidyji myśl, za którą niezawodnie wieszcz nasz musiał być wdzięczny. Zastępując gospodynią domu, przeznaczyła dla poety pokoik oddzielny, w którym mógł tworzyć, mógł marzyć a nawet, skoro uczucie piersi mu nader podnosiło, mógł wyjść do ogrodu i tu w chłodzie nocnym a świeżości natury szukać uspokojenia i ochłody.

Za prawdziwie niewieścią tę jéj troskliwość, pieczołowitość i domyślność, nietylko Kochanowski ale i polska potomność wdzięczność wyznawać jéj musi, gdyż wśród tych samotnych a bezsennych nocy powstały najpiękniejsze jego łacińskie utwory, a mistrz nasz żył podówczas życiem przyspieszonem i niemal podwójnem. Źródło natchnienia choćby nawet mątne ono było, przez swą ekscytującą twórczą siłę na uznanie zasługuje i dla nas pamięć figlarnéj Paryżanki do przeklętych należeć nie powinna.

Kochanowski, acz młody i z silną, niewyczerpaną naturą, nie był już wielkim nowicyjuszem w miłości, bo pod palącem niebem Italii, topił spojrzenia swe w ognistych a niewolących oczach Włoszek i bądź w Padwie, bądź w Wenecyi na upały miłosne równymi odpowiadał upałami. Tu jednak dziecinna jakaś trwoga go zdjęła i był jako pacholę, które wobec mistrza swego trzech zliczyć nie umie. W niespanych swych nocach, cały żar wnętrze jego palący na papier wylewał, a jednak wyznań tych Lidyji ofiarować nie śmiał i albo je darł nielitości-

wie i po wandalsku, albo wrzucał w podróżną swą teczkę, aby choć we fragmentach do potomności doszły.

Wśród takiego nastroju umysłu wykończył utwór, zaczynający się od słów:

„Quid causa esse putem nullum quad lumina somuum admittunt“ i przypuszczając, że utwór ten męki jego zdolen jest odwzorować, postanowił go przedmiotowi uczuć swych do rozpatrzenia wręczyć.

Szczególniéj podobał mu się ten ustęp:

Skąd ta bezsenność nad memi oczyma?
Skąd te dni długie, nocy niespożyte?
Dla czego nigdy wypoczynku nie ma
Ciało znękane i serce rozbite?
Toć nie jest febra, ni insze niezdrowie,
Toć się nie dzieje ni skwarem, ni chłodem,
Cierpienie moje miłością się zowie,
Tyś krasawico tych bólów powodem,
O tobie mówię, ujęty tęsknotą,
O tobie marzę, dla ciebie to znoszę,
Przebacz mi, przebacz, zaklinam cię o to
Na łuk Kupidów, na serca rozkosze
Zżal się nademną a osłodź gorycze,
Nie daj mnie w pastwę dla marnych kłopotów
Może jak Orféj łacniéj leśnią dziczę,
Niż twoje serce ugłaskaćbym gotów . . . .

Po przeczytaniu wynurzenia te trafiły do przekonania poety, przepisał więc je charakterem czytelnym i na drugi dzień, kiedy się przy rannem spotkali śniadaniu, wręczył Lidyji skrypt w ćwiartkę złożony z prośbą, aby to przejrzeć raczyła i po przejrzeniu na podstawie wysokiego swego znawstwa poezyi powiedzieć zechciała, co o nieudatnéj próbce trzyma.

Figlarna i sprzeczna natura dziewczyny domyślić się musiała, że zapewne tam zupełne wyznanie, które jak deszcz w wezbranéj chmurze na ustach poety, od chwili przybycia jego tutaj zawisło, musi być zawarte i za swoją zdolnością do przekomarzania się idąc, chciała się jeszcze podroczyć i dla tego rzekła:

Miłościwy Panie mój, o talencie waszym tak wysokie mam rozumienie, że gdzież ja biedna i słaba białogłowa na sędziego

w takich sprawach podawaćbym się miała? Sądziłabym, że raczéj powierzyć to należy naszemu Ronsardowi, którego wyrok przecież stanowczy już będzie.

W sąsiedniéj komnacie słychać już było kroki gości schodzących się na śniadanie, Kochanowski więc drżał cały, a podając papier do rąk nielitościwéj piękności, szeptał:

— Nie przeczę, że Ronsard byłby tu sędzią cale kompetetnym a nawet może nie bardzo surowym, wszelako. . . . pragnąłbym aby twoje piękne oczy, Pani najpierwéj na tym karteluszu spoczęły.

Lidyja chciałaby może jeszcze się przekomarzać, ale papier w ręku Kochanowskiego drżał i trząsł się spazmatycznie, lica jego bladość pokryła, a że w sąsiedniéj sali wesołe rozmowy towarzystwa słychać już było, ulitowała się nad proszącym, wzięła kartelusz ów z rąk Kochanowskiego a ukrywając go na falującem swem łonie pod koronką obciśnięty stanik go włożyła, mówiąc:

— Nie wiem, czy zdanie moje Waszmości na co się przyda, wszakże z całą szczerością dzisiaj wieczorem je objawię.

Goście schodzić się i witać wzajemnie zaczęli, a lubo Kochanowski wszystkim dłoń do uścisku podawał, i na powitalne słowa gotową miał odpowiedź, atoli badawczy wzrok jego, często zwracał się do kryjówki, gdzie praca bezsennéj nocy jego się ukryła i myślą a wyobraźnią losy jego dopełniając, mówił sobie w duszy, dla czego on sam raczéj w ten papier zamienić się nie mógł.

Dzień przeszedł zwykłym trybem i lubo Lidyja jak zawsze grzeczną i uprzejmą dla niego była, rozmowy jednak z nim unikała, a natomiast chętniéj się do Ossolińskiego zwracała.

Poczciwy Hieronim zdziwił się nie pomału, że zapytania margrabianki są mniéj więcéj téj saméj natury, jakie do niego zwracał niedawno de Baïf a głównie odnoszące się do stosunków Kochanowskiego, do jego zamożności i majątkowych środków. Że Kochanowski dla pięknéj dzieweczki płonie strzelistym upałem to oczu Ossolińskiego nie uszło bynajmniéj, a ponieważ miłość tę uważał za fantazyę, nie obowiązującą do niczego, a mogącą umilić pobyt na obczyźnie, z wrodzonego nadto samochwalstwa Polaków, o przyjacielu swym wydał jak najlepsze świadectwo, zrobił go magnatem z dziada pradziada i napomknął o wielkich dostojeństwach i godnościach, jakie go za powrotem do kraju czekają.

Lidyja upajała się tym hymnem tryjumfalnym i od czasu do czasu z pod oka rzucała pełne zadowolenia spojrzenia na piękną a ożywioną twarz Jana, który tymczasem o czemś z Ronsardem z przejęciem rozprawiał. Czy wieści te jéj były potrzebne dla tego, że stosunek swój do wieszcza polskiego hymenem chciała uwieńczyć, czy już ogólnie bogactwo a zaszczyty młodą jéj główkę przewróciły i do ujęcia mar znikomych pchały, trudno wiedzieć. Dość, że po téj z Ossolińskim rozmowie, afekt który i tak już istniał w zarodku a na wzajemnéj sympatyi i uznaniu wielkiego poetycznego talentu, wyraźnego w młodzieńcu, polegał, teraz zaczął zamieniać się na silny, a istotę jéj trawiący płomień. Wśród innych towarzyszów jego tylko okiem ścigała, a kiedy zmierzch nocny w polnéj ich przechadzce zapadł i las cienisty jeszcze więcéj tajemniczości wyrazowi ich twarzy a nawet i postaciom nadał, niby nie chcący znalazła się obok Kochanowskiego i drobną swą rączkę pod jego ramię wsunęła.

Kochanowski drżał z rozkoszy i szczęścia a wzmagało się ono jeszcze tem bardziéj, skoro ręką swą dłoń Lidyji wyśledziwszy, ujął, skoro drżenie w niej lekkie uczuł i skoro na uścisk, w uścisku acz nieznacznym ale serdecznym uczuł odpowiedź.

Pochylił się do jéj ucha i słowy równie lekkiemi jak ów wonny zefirek, co wiał wśród dąbrowy, wyszeptał:

— A więc słowa me u Miłościwéj Pani łaskę znalazły, a więc śmiałości méj za złe nie bierzesz, a więc ukoić zechcesz te rany, które pod wpływem spojrzenia twego w sercu mojem się otworzyły i pozwolisz mieć nadzieję, że gojącego balsamu na nie się doczekam.

Ona nic nie odpowiedziała, tylko się do boku jego tuliła, a byli siebie tak blizko, że zdawało mu się, iż przyspieszone bicie jéj serca słyszy.

Nie pragnął więc już jéj słów, nie pragnął odpowiedzi, bo w samym magnetycznym i łączącym ich prądzie treść ich zgadywał — owszem wolałby może, żeby milczała, byle tylko tak złączeni ze sobą pozostać mogli na wieki.

Niestety gęsta puszcza już się rozrzedzała, od brzegu jéj jaśniejsze promienie światła księżycowego błyskały i przewidywać należało, że skoro tylko Lidyja z nich wyjdzie, gwoli przyzwoitości, któréj zawsze przestrzegała surowo, odsunie się od niego i znowu go na zwykłéj, składnéj stopie przyzwoitości postawi.

Nie chciał więc tracić téj sposobności, jaka mu się nastręczyła, nie chciał przerywać tego wzajemnego dusz ich koncertu, rękę jéj ścisnął silnie swem ramieniem i z naglącą prośbą szepnął:

— Czy więc mam między najszczęśliwszych się liczyć, czy też czarnéj rozpaczy a za nią i śmierci dostępu do duszy swojéj dozwolić?

Ona milczała, ale zdawało się, że ramię jéj drży a piersi szybszym oddechem się podnoszą.

— Lidyjo, powiedz przez bogi — naglił on daléj.

— Dziś, skoro towarzystwo całe na nocny wypoczynek się rozejdzie — szeptała nareszcie — czekam ciebie w ogrodzie pod wiązem, który od czasu pobytu Waszego tutaj, marzeń Waszych samotnych nieraz bywał świadkiem.

— Zkąd wiesz o tem Lidyjo?

— Postać Waszą na darniowéj u stóp drzewa ławeczce widywałam nieraz z ciemnego okna swojéj komnaty,

— A więc mnie miłowałaś? wykrzyknął Kochanowski głos wyżéj jak dotąd podnosząc — kiedyś kroki moje śledziła?

— Silence — odpowiedziała ona na to szeptem i rączką swą miękką, ciepłą i woniejącą jak owa lilija, którą mu niedawno w podarunku dała, na ustach mu położyła.

On nie chciał już nic więcéj tylko rączkę ową wolną swą prawą dłonią przy ustach przytrzymał, rozpalonemi wargami ją muskał, pieścił i całował. Jedwabisty jego, miękki młodzieńczy wąs dłoń tą delikatną drażnił, nic więc dziwnego, że drżeć ona poczęła, choć mimo to od ust lubego się nie cofnęła.

— Lidyjo! — zawołała Kassandra z drugiego końca szeregu spacerujących, a wezwana natychmiast rękę swą z pod ramienia polskiego poety cofnęła i do siostry pobiegła.

Dziwna rzecz, Kassandra, lubo starsza, na siostrę swą, podobnego macierzyńskiemu nie mogła wywierać wpływu, gdyż i wiek ją do tego nie upoważniał i życie jéj samo nie będąc bez zarzutu, do podjęcia roli moralizatorki nie bardzo ją usposabiało. A jednak Kassandra, widząc skłonność Lidyi do Kochanowskiego nie bardzo była z owego nawiązującego się stosunku rada i siostrze pokilkakroć konieczność ostrożności przypominała. Może uważała, że życie jéj własne niewłaściwą poszło koleją, może siostrę chciała przed równie nielegalną drogą ustrzedz. Kto wie, życie w rozkoszy a nawet otumanieniu owoc doświadczenia zbiera i samo na ułudy a pozory, jak rybka na wędkę się złapawszy,

żałuje, że przewodnika w chwilach słabości nie miało i doświadczeniem tem zbrojne, radeby rezultatem jego, ukochanych przed niebezpieczeństwem ostrzedz,

Co dziwniejsza atoli, że i Lidyja, mimo ciągnącego ją czaru, dla uwag siostry ucho miała otwarte i czuła wewnętrznym instyktem, że życie swe inaczéj jak siostra urządzić powinna. Czy jednak wiejące na młode jéj serce zepsucie i atmosfera, jaka ją otaczała, wywierała skutek taki, dość że przed siostrą z uczuć swych szczerze się nie spowiadała, a nietylko wobec niéj z afektem swym się taiła, ale nawet wyraźny dla siebie sentyment młodego Polaka na pośmiewisko a szyderstwo podawała.

Zbytecznem byłoby dodawać, że reszta wieczoru, wspólna z przyjaciółmi wieczerza, twórczość Ronsarda rozwinięta dziś wspanialéj aniżeli dni innych, deklamacya Kassandry, nie wywierały na Kochanowskiego owego błogiego zachwytu, jakim zawsze przy fetach podobnych zwykł się był przejmować. Milczał, myślą gdzieś indziéj gonił i gdy go towarzysze pytali co mu takiego, on całą istotą swą już pod wiązem się znajdował i wyczekiwał, rychło z tą, która naprzeciw niego przy stole teraz siedziała, sam na sam się znajdzie. I Lidyja pomięszanie to jego podzielała w pełni, i mimo gorących próźb ani jednéj ody Horacego wypowiedzieć nie chciała. To wspólne jéj z Kochanowskim usposobienie dawało rzeczywiście powód do rozmaitych domysłów i towarzystwo też na ich rachunek żartować sobie pozwoliło.

Lidyja, która żarty takie przyjmować zawsze zwykła z wesołością i swobodą, teraz nimi czuła się dotkniętą, grymasy i fochy stroić poczęła i w końcu skarżąc się na ból głowy, gości żegnała, potrzebą spoczynku się wymawiając.

Ponieważ Ossoliński do powrotu do stolicy nagiił, ułożono tedy, że nazajutrz o świcie goście w drogę ruszą, z damami przeto dzisiaj już należało się pożegnać, Ronsard bowiem sam postanowił odprowadzić gości do granicy posiadłości swoich.

Skoro więc Lidyja znak pożegnania dała i inni, acz z przykrością widoczną, bo im tak dobrze w tem towarzystwie było, żegnać się poczęli, aby na swoje ruszyć kwatery. Każdy w duszy na przedwczesne to rozstanie narzekał, jeden tylko Kochanowski kiedy szedł na górę po kamiennych schodach doświadczał uczucia, jakby mu kto raptem ciężar stufuntowy z bark usunął

i pełen niecierpliwości a zarazem zadowolenia, szeptał w rodzinnéj swéj mowie;

— Przecież, ach przecież!

Kiedy w izdebce swéj się znalazł, zażegł mały nocny kaganek i w tafli polerowanéj stali, która mu za zwierciadło służyła, począł się przeglądać.

Inspekcya ta cale zbyteczną była, bo gdyby był najskromniejszym względem zewnętrznéj swéj postawy, z zadowoleniem by powinien na odbicie swych kształtów się uśmiechnąć. Owa pierś szeroka jak ława, wypukła jak ze stali kuty husarski pancerz, twarz wszystkiemi kolorami wiosny i młodości grająca, nos o rzymskich kształtach z lekka złamany i na wzór orlego dziobu z nienacka ku dołowi zakrzywiony, oczy pałające tysiącami iskier, czarne jak przepaść i lekko wypukłe, czoło olimpijskie, ramiona jak u Atlasa a przedewszystkiem ten wąsik jedwabisty na wargach, który go największą dumą napawał i do którego, aby go pogładzić, często dłoń swą wyciągał, mogły go prawdziwie napełnić rozkoszą i dumą. Azaż może być w świecie niewiasta któraby tylu wdziękom nagromadzonym oprzeć się zdołała, szeptał mu szatan dumy, kiedy współcześnie wrodzona skromność liczne niedostatki wykrywała.

Czupryna zdawało mu się że dawno nie trefiona, niedbale zwita i czoła jak należy nie odkrywa, a lubo przypomniał sobie, że kapelusz na głowę włoży i że w nocnych cieniach z łatwością drobne niedostatki toalety się ukryją, wszakże wziął grzebień i szczotki i nie tylko niemi włosy swe i wąs gładził, ale staranie swe przeniósł do szat, do skórzniów i na najdrobniejszy szczegół dawał baczenie.

Wreszcie niecierpliwość kazała mu o tych drobiazgach zapomnieć, zdmuchnął więc kaganek, krzesiwo z hubką do kieszeni włożył i na ramiona wdział ulubiony płaszcz swój włoski.

Skoro szatą tą się przykrywał, rozliczne wspomnienia na myśl mu przyszły, a było to słusznie, zakasawszy ją bowiem podług italskiéj mody, zaraz po swoim do Włoch przyjeździe mimowoli ją świadkiem rozlicznych wypadków życiowych uczynił.

Tak więc ów płaszcz okrywał go kiedy w Padwie pod balkonem Grety rozpoczynał serenadę, czekając rychło mu się okno otworzy a z balkonu z jedwabistych sznurów upleciona spuści się dlań drabinka; owym płaszczem od nocnych chłodów osłaniał Luciolę, kiedy hałasy rzymskiego Corso z dala po za sobą

zostawiwszy, zbłądzili nocą w ciasne transtewerańskie uliczki: na zwojach tego płaszcza także opierała śliczną swą główkę rozkoszna Veta, w morskim Wenecyan grodzie.

Owe wszystkie wspomnienia były już bardzo dalekie, mgłą przeszłości pokryte i zatracone na wieki; a jednak przeszłość po za niemi nie musiała przemknąć zbyt wielka, kiedy owa znikoma szata, z natury przeznaczenia swojego na najprędsze zniszczenie i poteranie skazana, jeszcze zniszczeniu się opiera, jeszcze trwa i jeszcze może długo panu swemu służyć będzie.

Wspomnienia, owym płaszczem wywołane, dziwne w poecie zrodziły uczucia. Wszak ilekroć owinięty nim, drżąc z niecierpliwości, na schadzkę miłosną spieszył, zdawało mu się że owa wyczekiwana miłość do sfer go seraficznych podniesie, że mu da szczęście na całe życie i na wieki wewnętrzne jego upały ochłodzi.

A jednak wszystko to przeszło, i on, który dotąd córom skwarnego południa ofiary miłości palił, jest oto u wstępu zawarcia serdecznych stosunków z mieszkanką innych sfer i niewiastą innego narodu. Czyżby i ten związek miał być jedynie przejściowym, czyżby i ona w cień zagładzonych przez czas wspomnień zepchniętą być miała i czyżby pamięć o niéj miała się jedynie odnawiać wtedy, kiedy szata owa na ramionach spocznie?

Spostrzeżenie to dało wiele do myślenia poecie i dosyć przykre myśli napędziło mu do głowy.

— Azaż miałbym być tak zmiennym i lekkim? powtarzał sobie?

Że jednak w każdym człowieku z natury już dubeltowy zwykł siedzieć djabełek, przeto i on skrupuły te prędko wyperswadował sobie.

— Nie — rzekł — tam krewkość jedynie a rozigrane zmysły, nie do zbratania dusz a do uspokojenia strzelistych upałów mnie ciągnęły. Tu jest co innego. Tu znalazłem istotę, która wraz ze mną na lotnych skrzydłach poezyi na szczyty Olympu wzlatuje, tu mam wspólność poglądów, wspólność pojęć, jednaki umysłowy poziom i ten czar, co życie umili a ziemską pielgrzymkę zamieni na prawdziwą przechadzkę po polach elizejskich, zanim zawistna Atrofo przędzy dni naszych nie przetnie i zanim Charon na wiecznie zielone i wiecznie uśmiechnięte brzegi nas razem nie przeprawi. Nie, tu znalazłem duszę siostrzaną i dla niéj wiecznie tworzyć, wiecznie zachwycać się i miłować będzie odtąd moim obowiązkiem i udziałem. Dzięki ci

Panie, żeś kroki moje w te strony kierował, żeś z wrzącą myślą moją do swobodnego przybić dozwolił portu i racz sprawić, aby stosunek ten, jeśli szczęśliwie się zaplącze, wieczystym już pozostał...

Nie masz podobno istot na świecie, któreby więcéj w stanie były łudzić się jak śmiertelne Jafeta plemię, a podobno dar ten wyżéj od nich posiadają wieszcze, którzy bezpośrednio z bóstwem się bratają i z helikońskich zdrojów ożywczą rosą karmieni, myślą iż wolno im wyzwolić się z powszednich praw życia, natury, obowiązków narodowych i plemiennych.

Kochanowski spokojny już był i pewny siebie, aliści skoro zwoje płaszcza naokoło drapował, uczuł pod dłonią w jednéj z kieszonek coś, jakby chrzęst starego pergaminu, lub zwitek grubego papieru.

Mimowoli pewna drażliwość sumienia go zdjęła, co do trwałości bowiem związków, jakie miał zawrzeć taką miał wiarę, iż nie chciał, aby go jakiekolwiek wspomnienie dawnéj płochości prześladowało. Dla tego skrzesał ognia, zapalił na nowo kaganek i dobywszy z kieszeni kartelusz, coby on był zacz, chciał się dowiedzieć. Był to na grubym pergaminie jasnemi barwami namalowany konterfekt patrona jego Jana Chrzciciela z barankiem na ręku, ze zwierzęcą skórą na grzbiecie, a po drugiéj stronie niewprawnem i rozsadnem pismem zanotowanych było kilka słów, napisanych ręką matki jego, Hanny z Białaczewskich.

Słowa te wielce proste były, a brzmiały w ten sposób:

„Niech cię twój patron, mój Jasiu, na prostych zawsze utrzymuje drogach. Módl się do niego, pracuj i pamiętaj, że wszystko, cokolwiek uczynisz, ma służyć ku pożytkowi imienia Boskiego, ku pomyślności kraju twojego i związanych z Tobą pokrewieństwem i rodzinnym klejnotem Korwinów.“

Słowa te dziwne wrażenie na poetę wywarły. Odczytał je po kilkakroć i on, który dla matki w sercu swem wyjątkową cześć chował, zawahał się, wątpiąc, czy schadzka owa będzie w sensie wyrażonych jéj tutaj myśli. Czegoż jednak sofistyczny umysł człowieka nie dokaże? I jemu się więc zdało, że znalazłszy istotę, która go w zupełności pojmuje i tymi samymi co on oddycha sentymentami, czyni zadość tym wszystkim przez matkę wymienionym celom, boć zawsze praca we dwoje skuteczniejszą jest, aniżeli pojedyńcza.

Przy tych słowach obrazek on święty, oraz pismo matczyne ucałował, wszelako nie wziął go razem ze sobą, ale zostawił na

małym stoliczku przy łożu. Dla czego? on sam sobie z tego sprawy nie zdawał, składał tylko uczynkiem swym świadectwo, że w głębi serca ludzkiego znajdują się takie instynkta, które żadnéj ze świętości prawdziwie wzniosłych na poteranie podać nie dozwalają.

W ogrodzie cisza panowała zupełna i tylko polne koniki, w które kraj francuzki tak bardzo obfituje ćwierkały w trawie i szelest wiotkich swych nóżek ofiarowały na chwałę wyiskrzonemu symbolowi Dyany, który w półkolu srebrzystém zawisł na pogodnem, gwiazdami wyiskrzonem niebie.

Pod wiązem nie było nikogo a darniowa kanapka rosą się perliła, co najlepszy znak stanowiło, że na niéj nikt jeszcze nie siedział.

Poeta zaledwie minutkę tu postał a zdała mu się ona wiekiem całym i z niecierpliwością rzucił okiem po komnatach zamkowych, których przeznaczenie jako gość kilkodniowy wiedział już dokładnie.

W dwóch komnatach towarzyszów jego zupełna już zalegała ciemność, ale za to jasne światło błyszczało w narożném oknie, gdzie się mieściła Lidyi sypialnia. Apartamenta Ronsarda i Kassandry znajdowały się po drugiéj stronie muru i Kochanowski niemi zresztą nie bardzo się troszczył, wiedział bowiem, że Lidyja, aby wyjść na schadzkę, zaśnięcia siostry wyczekiwać nie będzie.

W okno to wpatrywał się chciwie, dzienne jego upały przez nocny chłód cokolwiek zmniejszone, zawrzały z całą siłą i niecierpliwością dręczony zaczął się po ogrodzie przechadzać, oczu z szyb świecących nie zdejmując.

W przechadzce takiéj potknął się razy kilka o grządki kwiatów, zaklął z niecierpliwości siarczyście, a światło jak nie gasło tak nie gasło. Wewnętrznym ogniem trapiony, rad był znaleźć jakiekolwiek zajęcie, a kiedy oko jego padło na kwiaty, przyszło mu na myśl, iż może by to nie źle było z nich dla ulubionéj uwić koronę. Zaczął więc je zrywać pospiesznie, a kiedy uważał że dla zamierzonego celu będzie już ich miał dosyć, zabrał je w połę swego płaszcza i na darniową kanapkę pospieszył.

Robota nie szła mu bardzo prędko i zręcznie, raz dla tego że w czynności takiéj nie miał potrzebnéj wprawy, a powtóre, że wzrok jego ustawicznie przeciwko temu tak przeklęcie i bez przerwy świecącemu oknu się podnosił. Wszakże i wieniec już

był gotów i na zakończenie jego i związanie długiéj jakiejś i mocnéj trawy wyszukał i dziełem swem się ucieszył, a Lidyja nie przybywała.

Niecierpliwość w rodzaj gorączki przechodziła, wytężone nerwy słabły i drżenie w całem ciele sprowadzały, z kolei rzeczy przyszło zwątpienie, złość i gniew — i zwojami płaszcza się okrywając, wyszeptał tonem żałości pełnym:

— Ach Lidyjo — czyż się tak godzi? Lidyjo!

W téj chwili wydało mu się, że w bocznej uliczce szelest jakiś słyszy, obrócił się, ale gdzież tam, nic wcale nie było a okno ustawicznie świeciło jak pochodnia i blaskowi księżyca przedrzeźniało.

Wsparł ciężkie czoło na dłoni i żałośnie westchnął, a w téjże chwili lekka rączka spoczęła na jego ramieniu.

— Ach — mimowoli wykrzyknął, wzdrygnął się cały i skoro oczy otworzył, ujrzał przed sobą tak niecierpliwie wyczekiwaną osobę, w długą białą szatę ubraną, na któréj zarzucony był lekki czarny płaszczyk.

Kochanowski wstał natychmiast i drobne jéj rączyny ujmując w swoje dłonie, namiętnym, przytłumionym i drżącym głosem szeptał:

— Lidyo, och Lidyo! — czyż się godziło tak długo, tak nielitościwie długo w tęskności i niepokoju mnie zostawiać?

Ona uśmiechnęła się lekko, na kanapce usiadła i miejsce mu obok siebie wskazała.

Oboje przez czas pewien milczeli, gdyż położenie ich było trochę niespodziewane i nienaturalne, a lubo w razach takich inicyatywa z konieczności należy do mężczyzny, kobiety jednakże zwykle prędzéj i łatwiéj się oryentują i wyjście najzręczniejsze przygotowują.

I Lidya też, chociaż głosik jéj przyciszony drżał lekko ze wzruszenia, zapanowała nad sobą i spokojny ton przybierając, rzekła:

— Mówisz mi, Wasza miłość o tęskności i niepokoju. Wszakże, jeślim czekać trochę na siebie kazała, wynikło to ztąd, żem wyczekiwała, aby wszyscy na spoczynek poszli i aby nikt rozmowie naszéj, mającéj być długim a uczonym traktatem de arte poëtica nie przeszkadzał.

— Oh, gdybyż tylko dysputa była naszym celem, wtrącił w formie wymówki poeta — na chłodno bym się do niéj przygotowywał i niecierpliwością wcale bym nie płonął.

— A wszak mi Waszmość — zareplikowała Lidya, piękny swój utwór dałeś do ocenienia i o zdanie, jakie mam o nim, zapytywał. Nie przeczę, że nie tylko Ronsard, nie tylko uczeni Waszéj Miłości towarzysze, ale nawet i siostra moja byliby kompetentniejszemi w téj sprawie sędziami, aniżeli ja biedna i nie wiele rozumiejąca dziewczyna, ale... ponieważ Waszmość całe konfidencyonalnie tę sprawę urządziłeś i ponieważ w moje ręce ferowanie wyroku oddałeś, przeto zaufaniu jego zadość uczynić musiałam.

Kochanowski w dotychczasowéj swej miłośnéj praktyce, nigdy z przedmiotem miłowania swojego w uczone nie zapuszczał się rozprawy a tylko pocałunkami i wyrażeniami ognistemi rzecz swą indukował; tu jednak uderzył go ton nowy, który tem więcéj nęcącym się wydawał, że do uczucia miłości łączyło się uwielbienie dla sztuki i, ponieważ Lidyja na tem polu go utrzymywała i on też do myśli jéj chciał się zastósować, nie tracąc naturalnie z oczu głównego celu, dla jakiego się tutaj dostawił.

— Rozprawy o poezyi jako sztuce — rzekł więc — dla tych wyjątkowo, którzy pierwsze kroki na tém polu stawiają, są i powinny być zaiste największego znaczenia, ależ akademiją moją, do któréj po zdanie obecnie się udaje, jest istota nie tylko rozumująca ale i czująca. Jakiż więc wyrok uzyska u niéj ów wiersz, który nie inkaustem, ale krwią serca mojego pisałem.

— Prześliczny jest — odpowiedziała Lidyja i, lubo pochlebiam sobie, że utwory w tym kierunku są mi dość znajome, jednak nigdzie czegoś podobnego nie spotkałam, a Tibullus ze wstydu w grób by się położył, gdyby z niego powstał, skoroby się przekonał, że następcy na wiele poza sobą go zostawili.

Dla każdego artysty pochwała jest droga, Kochanowskiemu wszakże nie o to chodziło, żachnął się więc niecierpliwie i natychmiast przeciw wyrokowi owemu protestując, mówił:

— Łaskawy zapewne jest sąd Miłościwéj Pani mojéj, która w rzeczach tych wyjątkowem znawstwem się odznacza, wszakże nie o to tu chodzi. Wiersze moje wyciosane mogą być wzorowo, można im pod względem zewnętrznym żadnego nie zrobić zarzutu, ale. . . . . nie o formę, lecz o wewnętrzną treść ich pytałem.

— Co do treści — była odpowiedź — właśnie ona mnie tu, na tę tajemniczą schadzkę sprowadza. Nie wiem, czy Waszmość uwierzy w to, że od chwili pierwszego poznania szczerą

i prawdziwą przyjaciółką jego jestem i właśnie z powodu charakteru tego pragnęłabym mu nie tylko wszelkiéj dolegliwości i wszelkiéj męki oszczędzić, ale wszelkie zbierające się nad czołem jego burze, z przyjemnością bym na barki swoje przyjęła, byle za niego wymęczyć się, wycierpieć a jemu czas do tworzenia zostawić.

— Lidyjo — szeptał Kochanowski — daruj, że poważnie rozprawiającego sędziego równie poufale śmiem nazywać, — ale właśnie nie w czyjéj innéj a w twojéj mocy jest owe cierpienie zażegnać.

I przy tych słowach przysunął się do niéj, ręce ich się splotły, ramiona dotknęły wzajemnie i udzielający się ze zbliżenia takiego prąd magnetyczny na przemiany to upałem, to zimnym dreszczem żyły ich przepełniał.

Lidyja atoli umiała panować nad sobą i daléj profesorskim tonem prawiła.

— Wasza Miłość na cierpienia i wewnętrzną mękę w utworze tym przepięknym się skarżysz. — Powiedz więc, czy są sposoby, aby bólom tym ulżyć?

— Czyż potrzebujesz zapytywać o to? — Widzisz sama aż nadto dobrze, że od chwili, kiedy cię pierwszy raz na drodze swéj spotkałem, dla ciebie tylko i przez ciebie żyję. Czy zaś na uczucia moje wzajemnością odpłacić zechcesz — nie wiem i dusza moja w ustawicznéj wątpliwości zostaje, siły się wyczerpują, sen od powiek moich odbiega, po ziemi téj jako mara znikoma, jako cień chodzę i dar przywrócenia mnie do życia jedynie w twojem ręku i twojem sercu polega. Żżal się więc mnie Lidyjo, nie podawaj mnie na poteranie i rozpacz, nie dozwól zginąć przedwcześnie jakby kwiatu kosą podciętemu, na umiłowanie moje odpowiedz bodajby jakimkolwiek względem, pozwól gorące me służby ofiarować tobie i przyjm mnie, bodajby na parobka w liczbie sług twoich.

Przy tych słowach na kolana się osunął, ręce Lidyji pocałunkami okrywał, twarz pałała mu ogniem a ręce drżały.

Lidyja, słuchając tych słów gorących była pod wpływem silnego wzruszenia, ale ciągle jeszcze panowała nad sobą i uczuciu porywać się nie dała. Zachowywała ustawicznie zimną krew i wzburzonego poetę dalszemu, chłodnemu egzaminowi poddawała.

— O ile wiem, mówiła, w kraju naszym Waszą Miłość, lubo obcego i cudzoziemca, serdecznie i gościnnie przyjęto, a i dziwić się temu nie można, boć zawsze wielki talent i genijusz

prawdziwy, rum przed sobą czynić zwykły i zmuszać zwyczajnych śmiertelników do padania na twarze. Przecież Waszmość w żałości i tęsknocie toniesz? skargi gorżkie wylewasz? Życie wydaje ci się cierpieniem, kiedy rozkoszą być powinno?

— Oh, pani — przerwał niecierpliwie Kochanowski — czy nie rozumiesz mnie, czy też umyślnie rozumieć nie chcesz? Cóż dla mnie jest sława, cóż hołdy bodajby najwybitniejszych jednostek? — Serce moje głęboko zranione i póty spokoju a szczęśliwości nie odzyskam, póki ty mi pani, balsamu na ową ranę nie podasz, póki do żądań moich się nie przychylisz.

— Jakież są owe żądania?

— Oh Lidyjo, Lidyjo, czyż godzi mnie się tak dręczyć? — Azaż nie pojmujesz, że ciebie miłuję, że bez ciebie i miłości twéj nie ma dla mnie istnienia, przyszłości, nie ma spokoju, który jest najpierwszym każdéj twórczości warunkiem?

Ona przez pewien czas milczała, a wreszcie, jakby na stanowczą zdobywając się energiją, odrzekła.

— Nie wiem czy miłowania każdego konieczny jest to warunek, aby z obu stron jednakie były uczucia, wszakże nie wolno mi tego zataić, że ja której serce wolne dotąd i swobodne było, swobodę tę straciłam od chwili, kiedym Waszmość Pana ujrzała. Tak, nie ma co ukrywać, wyznanie, jakie mi Wasza Miłość czynisz obecnie, szczęściem mnie napełnia, gdyż ja Waszmości także szczerze miłuję i życie moje wielce biednem i wielce smutnem dla mnie by było, gdybyś ty, stanowiący świat cały dla mnie, uczucia twe w inną stronę zwrócił, gdybyś za chwilową tylko uważając mnie na twéj drodze zabawkę, zaniedbał jéj i zaniechał, jak prędzéj lub późniéj zaniechasz ten kraj i to miasto, gdzie przelotnym tylko jesteś gościem.

— Niezawodnie że co do kraju coś podobnego nastąpić musi, ale czyż to przestraszać powinno? — Czyż, miłując mnie prawdziwie, nie poszłabyś za mną wszędy, a szczególniéj do kraju, u którego kochanie jest już stałą potrzebą, jak gdyby w sobie nie miał innego oprócz serca organu.

— Przy fortunie, jaką ciebie Waszmość obdarzyła, zapewne łatwo tę trudność zwyciężyć można, dzieląc w równéj mierze czas swój między dwa kraje, między dwa klimaty.

Słowa te zastanowiły Kochanowskiego. Przed nikim i nigdy w fałszywem nie chciał przedstawiać się świetle, a tem-

bardziéj w chwili, kiedy uczuciem uniesiony sądził, że buduje plany na całą przyszłość.

Dla tego też rzekł:

— Fortuna moja wcale nie jest taką, aby była godna podolnéj jak ty królowéj, a jeśli ci ktokolwiek o niéj dał przesadne pojęcie zrobił to może w niewinnym celu wywyższenia mojéj mizernéj persony.

— I skromność jest także wielką cnotą, odparła sentencyjonalnie Lidyja, sądząc zapewne, że poeta w prozopopei swéj królową ją zowiąc, królewskie też radby mieć dla niéj dostatki.

Poety wszakże owo dotknięcie spraw nic wspólnego z miłością nie mających, wielce zraziło, dla tego też, oparłszy się na jéj kolanach, ogniste spojrzenie w twarzy jéj utkwił i rzekł.

— Czyż fortuna obchodzić cię może Lidyjo? — Czy największą fortuną, największym skarbem dla nas nie jest nasza miłość? Czyż deklamując tak pięknie wieszcza Horacego, nie powtarzasz z wdziękiem niezrównanym słów jego carpe horam i czyż jeśli kiedy to teraz chwytać nam i zrywać niby kwiaty na łące chwil tych nie należy?

Krótka noc letnia ku końcowi dobiegała, księżyc dawno już zaszedł i przed mlecznym świtem, zapanowała chwilowa ciemność, która już teraz powoli pierzchać poczęła. W przejściowym tym przed świtem momencie światło niepewne było i niewyraźne a wśród niego oczy zakochanego wieszcza jak dwa karbunkuły świeciły i profil jego twarzy zarysował się na tle szarawego horyzontu z niezmierną czystością.

Lidyja w tę jego sylwetkę wpatrywała się z nietajoną rozkoszą, następnie z głębi piersi westchnęła i niby nie mogąc zapanować nad sobą, pod wpływem wzruszenia i czaru się znalazłszy, białe swe, miękkie, żadną szatą nie przykryte ramiona na szyję jego zarzuciła i tę głowę, którąby wybornie z powodu regularności swych rysów służyć mogła na wzór do klasycznéj kamei, do gorącego swego i falującego łona cisnęła.

On, wśród tego rannego świtu wśród głosów budzącego się ptastwa, wśród aromatu jakie owo alabastrowe łono ze siebie wydawało, popadł również w zachwyt nieopisany, a zmysły jego uspokoiły się i do równowagi ułożyły jakoby zwierciadlana nieruchoma tafla jeziora, a natowiast do duszy zstępował mu błogi jakiś spokój, który niebiańskich tylko rozkoszy może być przedwstępem.

Że jednak na świecie owym ułomnym nie masz żadnéj rozkoszy bez przykrości, więc i tu przychodzić poczęła niepewność, niewytłomaczona jakaś tęsknota, obawy oraz żal na przypuszczenie, że uczucie podobne nigdy nieprzerwanym udziałem śmiertelnika nie bywa.

Podniósł głowę wysoko, wzrokiem w oczach Lidyji utonął i chcąc ekstazę rzewlec jak najdłużéj, spowiadał się z niepokojów, jakie go dręczyły, w ten sposób:

— Mówiłaś mi, piękna pani moja, że przestraszasz się na samą myśl, żebyś kiedykolwiek opuszczoną być miała. Azaż niebezpieczeństwo podobne, i to w daleko wyższym stopniu nie grozi mnie, biednemu? Czyż myślisz że żywot mój bez ciebie miałby jakikolwiek powab? Dziś miłość mi swą przyrzekasz, ale czy jesteś pewna, że przyrzeczenia swego na wieki dotrzymasz? Pamiętaj na jednę tylko chwilę. Kiedy stosunki nasze się zawięzują, uszczęśliwiony niemi i przejęty na wiernego twego zapisuję się sługę. Żywot mój atoli z twoim afektem ściśle jest związany, i pamiętaj, że póty tylko życia mojego, póki kochać mnie będziesz, gdy zaś mnie przeżyjesz:

o biada ci, biada!
Będę cię dręczyć z najmilszą rozkoszą,
Gdy zechcesz spocząć, moja mara blada
I dzikie widma ze snu cię wypłoszą;
Gdy będziesz czuwać, tuż przy tobie stanę
Szkielet kościsty, otoczony w ciemno,
Będę cię wzywać przez głośne wołanie,
I zaklnę ciebie, byś cierpiała zemną.
Będziesz złorzeczyć, żem umarł przez ciebie,
Przeklniesz twe wdzięki, twą duszę skalaną,
Zadymisz piekłom ofiarę siarczaną,
By mego ducha przebłagać w grobie . . .

Zaklęcia te roztropnéj a rachującéj Lidyji wydały się może przesadzone, my jednak najpierwszego wieszcza naszego potomkowie przekonywamy się naocznie, że poeci nasi w jednakich formach i w jednakich pojęciach uczucia swoje wypowiadali, gdyż w trzysta lat późniéj wieszcz litewski tak samo straszył kochankę swą szelestem suchéj gruszy w ogrodzie, tak samo groził duszą swą, w puszczyka zamienioną.

Lidyja pieściła się łacińską melodyą wiersza niby jakaś cudowna muzyka wpadającego jéj do ucha, ale zarazem przestraszyła się potwornością przypuszczeń i obrazów i nie chcąc do szczęścia swojego smutnych sprowadzać przypuszczeń, pochyliwszy się nad klęczącym u stóp jéj mężczyzną szeptała:

— O jakaż szczęśliwa ziemia, która męże o takiem uroczystem słowie i o takich spojrzeniach rodzi! Jaż to miałabym ci, drogi mój Janie, wiary nie dotrzymać, jaż miałabym zapomnieniem duszę twą na samotność skazywać? O nie, mój miły, źle nasz stosunek pojmujesz. Wstań, tyś pan a ja powolna służebnica, ja szczęśliwą czuć się będę, jeśli mi rozkazy twoje spełniać będzie dozwolonem.

I przy tych słowach drobne swe rączki pod ramiona poety podłożywszy, starała się go dźwigać do góry, a Kochanowski nie był temu sprzeczny bo usty swojemi do jéj koralowych zbliżał się usteczek. Ciągnęło go zaś ku nim takie pragnienie, że aby się do nich dostać i talent swój poetyczny i swoje wzniosłe na ludzkość poglądy oddałby chętnie, byleby jak pszczółka na tym kielichu rozkoszy zawisnąć.

Podniósł się więc z klęczków a twarz Lidyji tak się wydawała natchnioną i taką uroczystą, że nie śmiał usty swemi na niéj spocząć, ale o splecionym przez siebie wieńcu przypominając, włożył go na jéj rozpuszczone włosy i widokiem który mu przypominał mitologiczną Dyjanę a może nawet Ceres, się lubował.

Ona, pod władzą rozkosznych a słodkich znajdując się wrażeń, nie rządziła już sobą, ale ciągle jako kwiat za słońcem za nim się zwracała.

I w takiem rozmarzeniu a zachwycie nadziemskim upojeni, pozostali nie mówiąc ni słowa przez czas dosyć długi i tylko splecione ich ręce świadczyły, że oprócz dusz i ciała ich są do siebie zbliżone.

— Lidyo, – ty kochasz mnie, nieprawdaż? — wyszeptał nareszcie Kochanowski.

— Janie — odpowiedziała ona szeptem — główkę swą małą na piersiach jego kładąc. — Wszak prawda, ty kochać mnie będziesz wiecznie? Och szczęśliwa ziemia, która podobne tobie syny rodzi.

On ramieniem swem objął wiotką jéj kibić, więcéj jeszcze

zbliżył ją ku sobie i nad twarzą jéj się pochylając, naprzód na czole a następnie na ustach złożył długi pocałunek.

Ona poddawała mu się całkowicie i bezwładnie a taka ociężałość ciało jéj zdjęła, że kiedy usta jego na jéj wargach spoczęły, straciła świadomość otaczającego ją świata i pod tem tchnieniem gorącem i dotknięciem, które ją paliło a zarazem nowe życie w istotę jéj wlewało, rada by była pozostać na wieki.

Tymczasem cienie nocy pierzchały jak złodzieje przed przezornem okiem gospodarza. Na wschodzie niebo świeciło brylantami i opalami, snopy światła jarzącego wybiegały od spodu, jakby zwiastując mający niebawem nadjechać wóz Faetona, ptastwo pojedyńcze ćwierkania na chorał uroczysty zamieniło, a oni tak siedzieli blizko siebie na otaczającą ich naturę i na konieczność rozstania się niepomni.

Kochanowskiego wzrok padł na wieniec tak pracowicie i z takim trudem wśród cieniów nocnych spleciony. Kwiaty wypadkowym sposobem i wśród ciemności nocy zebrane, przeważnie były białe, a przy wschodzącéj jutrzence i niepewnych blaskach mającego wzejść niebawem słońca tak pięknie odbijały od kruczych fal włosów dziewczyny na ramiona spadających, że formowały coś podobnego do złotéj korony na świętym obrazku i poeta kibić niewieścią z uścisków swych wypuścił, a złożywszy ręce pobożnie modlił się do owego zjawiska, jak gdyby ono było ucieleśnieniem jednéj z owych muz starożytnych, które strojne w chwałę i blaski królować miały na niedostępnym dla śmiertelników Olympie.

Tymczasem w podwórzu, przytykającem do ogrodu, słychać już było pewne nawoływania i krzyki, a gdyby poeta czulsze miał obecnie ucho na ziemskie głosy, byłby dostrzegł łatwo, że najsilniéj wśród nich wyróżniał się Auvergniat, który ich tu przywiózł i który o wschodzie słońca miał z nimi ruszyć do Paryża.

Kobiecie w takich razach pierwéj zimna krew i rozwaga wracać zwykły, to też Lidyja z kanapki wstała, po białem swem czole przeciągnęła dłonią, jakby chciała ztamtąd mary jakieś i sny spędzić i jeszcze raz obydwoma rączkami na ramionach poety się opierając, starała się przywołać go do rzeczywistości i życia, powtarzając mu cicho:

Trzeba nam rozstać się, Janie. Dzień biały ogród ten dla wszystkich widzialnym uczynił, podwoda wasza rychło czekać

przed peronem będzie, a towarzysze twoi jak również znający obowiązki gospodarz ze spoczynku powstać już musieli.

— Och nie, Lidyjo, wołał on, ręce jéj w dłonie swoje ujmując. — Ja z tobą się nie rozstanę, ja ciebie tutaj saméj nie rzucę. Tyś moja a jam twój! —

— Żebyśmy byli ze sobą razem — szeptała ona tonem już nie pozbawionym ziemskiéj praktyczności i obrachowywania tego co ma nastąpić — nic nam nie przeszkadza. Może być że Kassandra dłużéj tu jeszcze zabawić zechce, ale ja . . . ja natychmiast wracam do Paryża. Jestem pełnoletnia, nikt woli mojéj krępować nie może i tam, Janie mój, znajdziemy się razem, przez nikogo i pod żadnym względem nie krępowani.

— Nie — ja ciebie nie rzucę — była odpowiedź na poły tęskna, na poły rozmarzona. — Ja tutaj pozostanę, bo szczęśliwości podobnéj nigdy chyba i nigdzie nie zaznam.

I do wysmukłéj jéj kibici chciwemi niby powój plątał się rękami a lica jego pałały, oko ogniem siało do koła a krzyki stajennéj gromady, oraz śpiew ptastwa w ogrodzie były dla niego echem, które do ogłuszonego jego ucha nie dolatywało.

Okno wychodzące z komnaty, przeznaczonéj dla gości Polaków otwarło się z trzaskiem. Lidyja w objęciach poety drgnęła i prędko się z nich wydobyła, odskakując na kilka kroków. On, nie wiedząc w jaki sposób tę tak drogą istotę utracił, w ramiona swe chwytał próżne powietrze, a w miarę tego jak nic nie znajdował, rysy jego wyrażały żal i rozpacz.

Lidyja ulitowała się nad tym jego stanem, jeszcze raz do niego się zbliżyła a zdejmując z głowy swéj uwity przez Kochanowskiego wieniec, rzekła:

— Te kwiaty, ręką twą w koronę wiązane, zachowam jako wieczną pamiątkę nocy dzisiejszéj. Oby afekt Waszmości nie uległ tak prędkiemu jak one zwiędnięciu.

I przy tych słowach pochyliła się nad nim, do czoła jego gorące swe przyłożyła usta i uściskom jego się broniąc, znikła równie niepostrzeżenie jak tu była przyszła.

Z bocznéj, gęstymi krzewy zaciemnionéj uliczki doleciały jedynie jego uszu słowa:

— Do widzenia — za dwa dni — w Paryżu . . . .

Kochanowski może jeszcze pod wpływem tego wrażenia długo by oszołomiony przebywał, ale okno kwatery jego się otwarło i z niego ukazała się hiszpańska bródka Ronsarda a za nią oczy w gęstwach ogrodu szukające gdzie by był polski poe-

ta, który przecież na łożu wygodnem wczasu o téj porze zażywać powinien.

Trzeba więc było pod dach powrócić, trzeba było zawierzyć danéj obietnicy i dalsze szczęście poza przeciąg naznaczonych dwóch dni odłożyć.

Kochanowski pod dach gościnny wrócił, potrzebą użycia wiejskiego powietrza i nacieszenia się po raz ostatni pięknym rankiem na wsi się usprawiedliwił, a skoro najęta ich podwoda pod ganek zajechała, trzeba było z gościnnym gospodarzem się żegnać. —

Ronsard wyniósł na balkon flaszę zapleśniałą starego Burgunda i lubo popijanie wina naczczo, kiedy nic jeszcze w ustach nie postało, nie należało wcale do obyczajów polskich a tem więcéj francuzkich, jednakże gwoli przyjaźni, która wedle słów gospodarza i gości zawiązywała się na wieki i która z pojedyńczych indywiduów na całe przejść miała narody, należało ofiarę tę uczynić. Wypito więc po kwartowym pucharku, uściskano się po kilkakroć, o dozgonnéj zapewniano przyjaźni i goście wsiedli na telęgę, która sporym kłusem ruszyła i po zwodzonym zadudniła moście.

Kochanowski obejrzał się jeszcze na obejście zamkowe i kiedy wóz ich obiegłszy stworzone przez dziedziniec półkole, do bramy miał się zwrócić, na drugiem piętrze zameczka otworzyło się okno i biała chusteczka zeń powiała. Kochanowski wzrok swój w tę stronę wytężył i poza chustką dojrzał zwoje kruczych włosów Lidyji. Chciał ręką od ust przesłać pocałunek, ale przeszkodził mu w tem Dudycz, który ująwszy jego ramię, do towarzysza swego zawołał:

— Ale owoż ten nasz Jan doprawdy niebezpieczne signa o zdrowiu swojem a umyśle podaje. Włóczył się całą noc jak opętany po ogrodzie i spoczynku nie zażywał, teraz zaś ramionami wyrywa się ku zameczkowi, jakby tu połowę duszy swéj zostawiał.

— Zgadłeś wasze, a raczéj zgadłeś tylko w małéj części, — odpowiedział Jan ponuro. — Bo nie połowę duszy, ale raczéj całą.

— Cha, cha cha — zaśmiał się wesoło i szydersko Nidecki, a śmiech jego zagłuszył turkot kół wozowych, wartko po krzemistéj drodze się toczących.

* * *

Lidyja dotrzymała obietnicy i sama jedna, pozostawiając siostrę swą na wsi do mieszkania swego miejskiego się stawiła. Siostra na oświadczenie téj chęci jéj objawiła pewne niezadowolenie i z powagi starszeństwa swojego chciała robić uwagi, ale że sama przeciw porządkowi społecznemu a obyczajom światomym wykraczała, utrzymanie się więc w roli surowego cenzora było dla niéj wprost niepodobnem. Zgadywała powody, jakie młodszą jéj siostrę do Paryża ciągną i wobec nich jeszcze więcéj skrępowaną się czuła. Wiedziała jednak z góry, że przedstawienia w takich razach skutku nie odniosą i lubo Ronsard także swoje uwagi chciał czynić, zostawiła już młodszéj siostrze zupełną swobodę.

Kiedy naznaczony dzień jéj przyjazdu się zbliżał, Kochanowski już nie odbywał studyów, ale pilnie pod domostwem margrabianek d'Aubusson straż trzymał. Gorliwość jego odpowiednio wynagrodzoną została, pierwszy bowiem Lidyją powitał, pierwszy przez nią zaproszony i upoważniony do wnętrza nieznanego mu dotąd domostwa ją wprowadził.

Jak odtąd czas im płynął, czyż tłómaczyć potrzeba? Kochanowski zapał północnego człowieka, który mu niewolił i pod jarzmo jego poddawał serca Włoszek spotęgował i w płomień rzeczywisty rozdmuchał; Lidyja, która wobec zachowania się swéj siostry i obyczajów innych dam szlachetnych, greckie hetery naśladujących, na strzały Kupidyna nieczułą dotąd była; teraz jakby wynagradzając dotychczasowe zapomnienie i obojętność, cała w rozkoszy miłosnéj utonęła.

O studyach, które obecnie jako przy kończącym się roku spotęgowane były i zajmujących się niemi egzaminom i publicznym dysputom poddawano, dla poety znaczenia nie miały, gdyż kochankowie cali utonęli w sobie.

On dla niéj i najczęściéj pod jéj dachem najpiękniejsze swe łacińskie tworzył elegije i w nich całą gamę młodzieńczych uczuć przebiegał; ona występowała czasami jako surowy krytyk, ale częściéj niekłamanym przejmowała się zapałem i w pamięci swéj cały zapas starożytnéj przebiegając sztuki, nigdzie nic równie pięknego nie spotykała.

Czas płynął im miłe, słodko i uroczo a na pogodnym szczęścia ich horyzoncie żadna nie zawisła by chmurka, gdyby nie zapowiadany za nadejściem jesieni przyjazd Kassandry i Ronsarda, gdyby nie zaprawne szyderstwem uwagi rodaków i przyjaciół Kochanowskiego, którzy wiedząc o tym stosunku szczerze

lękać się o poetę poczęli, chociaż on bowiem i wprzódy serca swego przed strzałami Kupidyna nie opancerzał, wszelako Amor nigdy nad nim nie panował tak wszechwładnie jak teraz, i nigdy go tak jak dziś od pracy i studyów nie odrywał.

Obawy te o polskiego muz ulubieńca więcéj jeszcze wzrosły, skoro Kochanowski morałami a remonstrancyami przyjaciół do muru przyciśnięty, nie zawahał się oświadczyć, że miłostek tych nie traktuje cale jako rzeczy przelotnéj, ale owszem że za afekt stały je uważając, myśli hymenem je ukoronować.

Jeśli dzisiaj małżeństwa między ludźmi różnych narodowości niechętnie są widziane i rzadko szczęście przynoszą, stokroć rzecz ta niebezpieczniejszą wydawała się podówczas, kiedy kraj swój rzadko kto opuszczał, a jeśli na obczyznę wybrał się niekiedy, to natychmiast do swego powracał gniazda.

Towarzysze Kochanowskiego dumni jego talentem byli i synowskie ich dla ojczyzny usposobienia dążyły do tego, aby sława, jaka z pióra jego spłynie, wyłącznym była Polski udziałem. Poślubienie przeto Francuzki i to Francuzki takiéj, która stosunkowo zamożna, nie chciałaby podzielać skromnego szlacheckiego stanu, jaki był udziałem Jana, ale owszem prędzéj by jego do ekspatryjowania się skłoniła, ustraszało ich nie na żarty, a ponieważ sami na to skutecznéj rady znaleść nie mogli, udawali się przeto do Ossolińskiego, jako starszego wiekiem i jako w rzeczach światowych tem samem już doświadczeńszego.

Ossoliński obawy ich podzielał, ale jakby się wziąść do zażegnania niebezpieczeństwa sam dobrze nie wiedział, przypuszczał tylko, że położenie dosyć może być groźne, zwłaszcza że Kochanowski, który dawniéj na oscież serce przed nim otwierał, zrobił się teraz tajemniczy i milczący, a ilekroć przyjaciel o Lidyji poważył mu się wspomnieć, wpadał w gniew jakiś, odpowiedzi nie dawał i przyjaciela unikał.

Ossolińskiego zastanawiała jeszcze druga okoliczność. Kochanowski, acz szlachcic średniéj zamożności, wszelako na niedostatek nigdy nie cierpiał, gdyż brat Kacper odpowiednich funduszów mu dostarczał, a przyznać potrzeba, że i życie ówczesne zwłaszcza dla studyujących, przy konwiktach, bursach, wikcie szkólnym i bezpłatności nauki lada czem opędzić się dawało. Kochanowski i dla siebie i dla towarzyszów w worku swym miał zawsze grosza do woli, a lubo zwykł był ubierać się starannie i niemal wyszukanie, niedostatku nigdy nie zaznał.

Teraz zaś u niego grosz zawsze gonił za groszem i nie rzadko już a stosunkowo na dość znaczne sumy u Ossolińskiego się zapożyczał.

Skoro na koleżeńskiem zebraniu Ossoliński obawy swe pod tym względem towarzyszom wykrył, wszyscy jednogłośnie uznali, że musi go tak Lidyja ciągnąć. Ossoliński wszakże temu przeczył, bo acz prawdą było, że ówczesne paryzkie kurtyzanki, miłującym je nie afektem a groszem szczodrze opłacać się kazały, wszakże do téj miary nie mogła być sprowadzona margrabianka d'Aubusson, która i własną fortunę całe pokaźną posiadała i do rzędu pospolitych kurtyzanek zaliczaną być nie mogła.

Podejrzenie jednakże szkólnych Kochanowskiego towarzyszów, któremu głównie poddawał się Nidecki uzyskało pewną podstawę, skoro w komnacie Jana znaleziono wiersz łaciński, niecierpliwą nakreślony ręką, gdzie pomiędzy innemi taka znajdowała się strofa:

Co ją zmieniło? — Czy pieniądz czy czary?
Czy lepsze złoto, czy wiersze, czy zielsko?
O kto masz złoto szczęśliwszyś bez miary,
Bo przyjmą cię przyjacielsko . . . . . .

Na świecie rzeczywiście nic się bez przyczyny nie dzieje, a już pierzaste słowa poetów mają zwykle jakąś podstawę, wynikają z okoliczności życiowych, które często biografom nieznane, nikną w niepamięci i utwor poetów jako nierozwikłany się przedstawia, ale które nie mniéj przeto bez racyi bytu nie powstały.

Kochanowskiemu w stosunku z Lidyją zaszkodziło niezawodnie przesadne pojęcie, jakie o fortunie jego dał Ossoliński. Lidyja, uważając go za bogacza, kieszeni jego nie szczędziła, a że pozostając sami w Paryżu, tem więcéj mieli sposobności do używania uciech, które bądź sama stolica, bądź okolice jéj ofiarować mogły, przeto pieniądze płynęły jak woda i płynęły tak, że zwykła substancya szlachecka sprostać wydatkom nie była w możności. Kochanowski więc u przyjaciół się zadłużał i liczył na to, że skoro przyjdzie jesień i zima, skoro Kassandra i Ronsard na pobyt do Paryża przybędą, skoro wycieczek robić nie będzie potrzeba, wydatki się zmniejszą i ekonomija co do ekspensów osobistych zagładzi letnie niedobory, po-

zwoli budżet wyrównać. Nadzieje te atoli były płonne, wielkie miasto bowiem w każdéj porze roku interesujących i kosztownych przyjemności dostarczyć umie, a kto raz na téj drodze dał okazyą kobiecie używania przyjemności, ten już z trudnością na niéj ją zatrzyma.

Oprócz tych przyjemności wspólnych, były jeszcze wydatki spowodowywane gustami Lidyji, która jako nieodrodna córa Ewy strojnisią wielką była. Tu więc podobała się jéj w wystawie sklepowéj oryginalnie pomyślana bransoletka, tam kolczyki lub binda, owdzie kosztowna suknia, a że każdy kto kocha radby ukochanemu przedmiotowi sprawić przyjemność, cóż więc dziwnego że Kochanowski na każde jéj żądanie otwarte miał ucho i kaletę aż do głębi wytrząsał.

Każdy wydatek atoli ma swoje granice, a Lidyja właśnie istnienia tych granic nie zdawała się przypuszczać i kiedy raz oboje przed wystawą słynnego jubilera się zatrzymali, w oko jéj wpadło brylantowe kolje i koniecznie naparła się, żeby się ono mogło stać jéj własnością. Poeta, życzeniu jéj gwoli wszedł do sklepu i o cenę zapytał, ale ponieważ ta wynosiła dwadzieścia tysięcy liwrów, nabycie więc téj kosztowności wprost niemożliwem się stawało.

Przykro mu się zrobiło, że kaprysu tego zadowolnić nie mógł, stanowczo jednak oświadczył, że to przechodzi jego możność.

Lidyja zrobiła grymasik pełen niezadowolenia i w milczeniu rączkę swą pod jego ramię wsunąwszy, szła daléj ani słowa się nie odzywając.

— Czemuż tak milczysz, skarbie mój — pytał po pewnéj chwili poeta. A żaż niemożność posiadania tego cacka tak mocno cię udręcza? —

— Cacka wszelkie nigdy dla mnie rzeczywistéj wartości nie przedstawiały — odpowiedziała sucho — i jeśli cokolwiek przykrem mi być może, to chyba ta okoliczność, że ten który deklarował że życie i serce swe u stóp mych kładzie, wyjątek robi jedynie dla swéj fortuny.

— Ależ, najdroższa moja — zawołał, usprawiedliwiając się kochanek — fortuna moja na podobne wydatki nie starczy, a krwi mojéj niestety, którąbym wszystką na usługi twe ofiarował, chciwi przekupnie za gotowy grosz nie przyjmą.

— Jakkolwiekbądź — odpowiedziała ona zgryźliwie — skąpstwo brzydką jest wadą, zwłaszcza w poecie i kochanku.

Kochanowskiemu na słowa te niezmiernie przykro się zrobiło. Jakto? — O skąpstwo miano go posądzać, jego, który każdy fawor nietylko wierszami z serca wyjętymi płacił, ale owszem dla zadosyćuczynienia żądaniom wyzuł się ze wszystkich swych ekonomii, zapożyczył u przyjaciół i z wytrwałością, godną lepszéj sprawy, głowę swą najszaleńszym nadstawiał wydatkom?

— Nie po raz to pierwszy widzę — rzekł więc — że o fortunie mojéj w głowę twą, najdroższa, włożono mylne pojęcia. Tyś margrabianka i margrafskie posiadasz dostatki; jam pomierny szlachcic i może grzechem jest moim, żem na ciebie oczy śmiał podnieść i żem przestąpił progi dla nóg moich nieodpowiednie.

W słowach tych były wiele udanéj a prawdopodobnie szczeréj nawet goryczy, margrabianka jednak ich nie zrozumiała, czy też zrozumieć nie chciała, gdyż z humorem w złość już prawie przechodzącym, odparła.

— Będziesz Wasza Miłość znakomitym ojcem rodziny i piękną fortunę sukcesorom swym zostawisz, należy tylko umiejętnie dobierać towarzyszkę życia, któraby oszczędnościowe jego pomysły w zupełności podzielała.

Dla Kochanowskiego, któremu nigdy rachunek zimny w głowie nie postał, była to obraza ciężka. Wszelako zniósł ją jeszcze cierpliwie i na zarzut ten odpowiedział rozważnemi słowy:

— Nie przeczę że zasada przodków naszych wyrażona w słowach: „pamiętaj rozchodzie, żyć z przychodem w zgodzie“ tudzież druga równie złota maksyma „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swojem“ powinny być regułą codzienną każdego śmiertelnika, jeżeli chce, żeby żywot znośnie mu spływał. Co zaś do towarzyszki życia, tę dawno już wybrałem i ta, zdaje mi się poglądy owe na życie wraz zemną podzieli.

— I któż to jest owa wybrana? — zapytała margrabianka z nietajonem w głosie szyderstwem.

— Lidyjo — czyż pytać się godzi? — rzekł poeta, a w oczach jego taki wyraz rezygnacyi i szczeréj miłości błyskał, że zdołałby skruszyć najobojętniejsze nawet serce.

Lidyja jednak w tym względzie współczucia dla niego nie miała, gdyż udając, że nie zgaduje słów jego aż nazbyt wyraźnych, z umyślną niedbałością i lekkomyślnością wyrzekła:

— Nie zazdroszczę téj wybranéj, ja wszakże, gdyby do mnie wybierać należało, losu jéj podzielićbym nie chciała.

Poecie na te słowa niezmiernie przykro się zrobiło, ale nic nie odrzekł, westchnął tylko głęboko i w oczy ukochanéj swéj starał się wpatrzyć.

Ona atoli spojrzenie swe od niego odwracała i milcząc już zupełnie, drogę swą odbywali daléj, kierując się do furty domostwa margrabianek.

Kiedy ją tu Kochanowski odprowadził, myślał że jak zwykle do komnat swych go zaprosi, że jak zwykle wieczór z nim aż do północnéj przepędzi godziny. Lidyja jednak dziwnie była chłodna i sztywna i przy bramie podała mu rękę, za odprowadzenie dziękując i perspektywy prędkiego zobaczenia się nie ukazując mu wcale.

Żałość serce jego zdjęła. Drobną rączkę jéj cisnął spazmatycznie w swéj dłoni, pod powieki łzy mu nabiegały, a kiedy ona milczała ciągle, sam zapominając o godności, właściwéj mężczyźnie, wybąknął:

— Lidyjo, nie rozstawaliśmy się ze sobą nigdy tak jak obecnie. Azaż na pożegnanie me nie masz żadnego uczciwszego słówka i azaż nie naznaczysz mi chwili, kiedy będę w możności cię nawiedzić i piękne twe rączki ucałować?

Ona, będąc ciągle pod wpływem złego humoru odpowiedziała mu szorstko:

— Poglądy nasze na życie zbyt się nie zgadzają, może więc będzie praktyczniéj i dla obu stron korzystniéj, jeśli wzajemnie męczyć siebie a mortyfikować nie będziem.

— Lidyjo! — zawołał pełnym rozpaczy głosem. — Co tobie się stało? —

Ale ona słów jego już nie słuchała, tylko rączkę swą nielitościwie z dłoni jego wyrwawszy, zniknęła za furtką, trzasnęła nią silnie, poetę samego, oszołomionego i zdziwionego zostawiając.

W głowie mu zakołowało, czerwone i zielone plamy przed oczyma mu przebiegły i uczuł się tak nieszczęśliwym, jakoby za życia na męki piekielne go skazano. Dłoń swą przyłożył do czoła, krew cała do serca mu zbiegła, na twarzy trupią rozpościerając bladość i nie chciał wierzyć, żeby to co go spotkało, prawdziwą rzeczywistością było.

Naprzeciw niego, pobrzękując o kamienie okutą w żelazo laską, szedł młody jakiś mężczyzna, plik książek i papierów trzymając pod pachą. Kochanowski go nie widział, ale poznał pol-

skiego poetę przechodzień, zatrzymał się przy nim i rzekł szyderskim głosem:

— A cóż, nieprawda, Panie Polak, że miłość pięknéj margrabianki nie w same tylko obfita słodycze? Parę miesięcy przepędziło się w rozkoszy i szczęściu i dopiero tak późno róża pokazuje, że kolce także do jéj przymiotów należą.

Kochanowski niechętnie spojrzał na natręta, który nieproszony na ranę jego jad sączył i poznał w nim owego Francuzika de Baïf, z którym już raz o mało do awantury nie przyszedł.

Ponieważ gorycz nagromadziła mu się w sercu i gniew, jaki go toczył, radby był na kogo bądź wylać, rozprostował się przeto butnie i wyzywającym rzekł tonem.

— A, zaprawdę mocno powinienem podziękować fortunie, że mi z Waszmością spotykać się dozwala. Przy pierwszem poznaniu niekoniecznie wpadliśmy sobie w oko i powinniśmy zaraz wtedy odbyć ze sobą porachunek, któremu jedynie nieproszona interwencyja przyjaciół tamę położyła. Służę więc Waszéj Miłości i wszelką satysfakcyą dać mu jestem gotów, jak nie taję, że zrobi mi to osobistą przyjemność, gdyż jestem w takim stanie umysłu, że własne ciało rwałbym i szarpał na sztuki.

De Baïf spojrzał na niego przeciągle od stóp do głowy a sprawdziwszy zapewne, że pierwsze wrażenie go nie omyliło, wyrzekł już całe miękkim głosem:

— O satysfakcyi powiadasz Waszmość? Azaliż jestem w prawie jéj żądać i ażaliż Miłość Wasza w czemkolwiek mi zawiniła. Nie taję, że w obec Waszmości przy pierwszem poznaniu postąpiłem niedyskretnie, prowokując go i koniecznie na rękę chcąc wyzwać. Atoli w części temu był winien trunek, którym się zalałem nad miarę, w części ów głęboki afekt w sercu, który ze wszystkich uczuć najłatwiéj zazdrość i zapamiętałość rodzi. Że jednak po chłodniejszem rozważeniu sprawy uznałem powodującą mną niesłuszność, najlepszy dowód masz Waszmość chyba w tem, że lubo widziałem cię od kilku miesięcy miłością Lidyji szczęśliwego, lubo nie tajnem mi było, że w jéj mieszkaniu nie tylko dni ale i noce przepędzasz, wszakże kłótni z téj racyi nigdy z tobą nie szukałem, a owszem, ustępowałem ci zawsze z drogi jako szczęśliwszemu. Co chcesz mój bracie a zarazem cudzoziemcze, wyuzdanych tutejszych obyczajów nie świadom? Serca kobiety szturmem się nie bierze i jeśli ono w inną skłoniło się stronę, napróżno byś szpadą swą szczę-

śliwych jéj kochanków szpikował, napróżno byś ich jednego po drugim do Erebu wyprawiał; ona niemniéj przeto serca swojego ku tobie nie skłoni. W takich razach nie ma inszego sposobu jak ustąpić z drogi szczęśliwszym a własną gorycz, żal i boleść w głębi serca swego ukryć, aby nie pokazywać ich téj, która zamiast litować się, owszem natrząsać się nad nimi będzie. Jak Lidyją kochałem i jak ją jeszcze mimo że w twoje ramiona upadła, kocham, Bogu to tylko jednemu wiadomo... A jednak miłość swą w głębi serca ukryłem, bo przekonałem się że innych a nawet obcych przekłada nademnie. Ileż ja razy przedtem jak nędzny niewolnik u stóp jéj się czołgałem, ileż razy nietylko serce swe ale i całą istotę w ofierze jéj przynosiłem. Wszystko było napróżno, przez szatana próżności, pychy i zbytku opanowana, pragnęła ona by jéj ulubiony jak Midas żółtością złotego kruszcu świecił, by jak wąż w zwojach swych brylantową łuską błyszczał. Przy tych zaletach przyjmie ona każdego, chociażby serce jéj żadnéj do niego nie uczuwało skłonności. Tyś ją ujarzmił, a niewątpliwie fortuna do tryumfu tego usłała ci drogę. W moich oczach masz ty zalety większe, boś jest ulubionem muz pacholęciem, ale wierzaj mi, że ona póty tylko na piękny rym czułą będzie, póki jéj zaraz za nim kiesą pełną złota brzękniesz. Możesz to uczynić a więc szczęśliwyś i ja biedak w drogą wchodzić ci nie myślę.

Po tych słowach, jakby wysilony niemi podniósł wysoko kapelusz i dłonią na czole swem perlący się pot obtarł.

Kochanowski nic nie odpowiadał, ale mu dziwnie ciężko zrobiło się na sercu.

— Mimo znajomości téj gorączki złota jaka ją opanowała — mówił daléj de Baïf — przyszedłbym do niéj, gdybym był bogaczem i mimo pogardy, jaką dla niéj wyznaję, uczestniczką swego żywota bym ją uczynił. Co chcesz, na świecie są czary silniejsze aniżeli natura, aniżeli charakter i wola męzka. Niestety marzenia podobne są marzeniami. Bogatą była rodzina de Baïf, licznemi i wielkiemi włościami władała, ale odkąd na dwie rozszczepiła się linie, ta, do któréj ja mam honor należeć, do zupełnego zeszła ubóstwa. Druga linia do najzamożniejszych panów Francyi należy, a lubo stryj mój stryjeczny wielkim jest magnatem, i jest podobno bezdzietny, jednak do bogactw jego przypytywać mi się nie wolno, bo między dwiema liniami rodu dawna panuje nienawiść, a ja zanadto jestem dumny, żebym przy-

czyny jéj badał, lub w celu jéj zażegnania jakieś usiłowania czynił...

Kochanowskiemu ów młodzieniec z otwartością swą, szczerością i dumą podobał się wielce i niewypowiedziana sympatya ciągnęła go ku niemu. Za jedno miał żal szczery ku niemu, że ukochaną jego Lidyją zazbyt obmawiał i szargał i mimo uczucia, jakie powziął dla niego nierzadko sięgał do lewego boku, aby się przekonać czy jest tam szpada, którąby skarcił śmiałka, gdyby inwektywy jego nie ustawały.

De Baïf atoli, któremu jak to w pierwszem spotkaniu z Kochanowskim dowiódł, na odwadze nie zbywało, nie zważał na to, ale idąc za potrzebą wywnętrzeń, jaka go nagle opanowała, prawił daléj:

— Wasza miłość szczęśliwym jéj kochankiem zostałeś — Wiem o tem aż nadto dobrze, a jednak w drogę ci nie wchodziłem, bo i cóż odpowiedniego dla jéj wymagań bym przyniósł? Wiązkę rymów niezdarnie skleconych, bukiet wonnych kwiatów z odjęciem codziennych potrzeb od ust własnych, dla zadowolenia jéj, kupiony? Na cóż to jéj, która tylko złota, złota i złota łaknie? Ależ i Waść zda mi się w tryumfie swym bez trosk nie jesteś i owo sfałdowane czoło, owa bladość na twarzy każą mi wnosić, że na pogodnem niebie twojego szczęścia chmurki znajdują się także. Ten wzgląd skłonił mnie, żem się przy tobie zatrzymał, żem ci tyle słów gorżkich wypowiedział. Bo jeśliś nieszczęśliwy, chciałbym abyś mi dłoń bratnią podał, żeby ten dla którego talentu mam kult prawie boski, bratem mi chciał być, zwłaszcza jeśli wspólne nieszczęście miałoby być naszym udziałem.

I rękę do Kochanowskiego wyciągał, ten zaś radby prawicę mu swą podał, resztki jednak fałszywéj dumy, oraz to przekonanie, że przyjaciołmi oni być nie mogą skoro są rywalami, głuszyły w sercu jego te poczciwe instynkta i zamiast na serdeczność równą serdecznością odpowiedzieć, rzekł owszem opryskliwie:

— Za wszystko to, coś mi tu z gadatliwością właściwą waszemu narodowi wypowiedział, winienem, idąc znowu za naszym narodowym obyczajem, uszy ci obciąć. Ktokolwiek bowiem i jakakolwiek Lidyja jest, jeżeli tylko przypuszczasz, że mnie z nią serdeczniejszy łączy stosunek, nie wolno ci jéj ubliżać...

— A więc dobrze, — odpowiedział żywo Francuz — zmie-

rzmy długość szpad naszych — i na gardzie swéj broni z wyzywającą miną dłoń oparł.

— Nie myśl jednak — prawił daléj Kochanowski wzburzony, żebym do rozbójniczego jakiegoś a zwadliwego należał szczepu i żeby wytaczanie krwi cudzéj największą dla mnie rozkosz stanowiło. Owszem, ponieważ w głosie twym brzmiała szczerość i ja szczerością odpłacić się winienem. Czy duszę mą troski i zmartwienia jakie przyciskają, o tem wiedzieć ci wara! Wszak jeśli mi jasno i bez ogródki wypowiadasz, że Lidyą mimo wad, jakie w niéj zdało ci się upatrzeć, kochasz, wiedz o tem, że i ja ją miłuję a będąc rywalami otwartymi, nie potrzebujemy ze sobą przyjacielskiego zawierać aliansu, ale owszem z przyłbicą podniesioną idąc naprzód, jéj pozostawmy wybór i sami do siebie żadnéj nie miejmy pretensyi.

Przy tych słowach lekko kapelusza poruszył i w swoją drogę chciał się skierować, ale de Baïf na chwilę go jeszcze wstrzymał i rzekł:

— Dumnyś panie Polaku, bo przypuszczasz, żeś ją stanowczo ku sobie skłonił i że tryumfem nad rywalem swym się cieszysz. Ostrzegam cię wszelako, że jeśli stosy złota, jakie ci przodkowie twoi przez długie nagromadzili wieki, kiedykolwiek się wyczerpią, przy zapartéj tej furcie stać będziesz samotny i niewysłuchany tak jako stoisz już dzisiaj, a skarb twój posiędzie kto inny. To oświadczywszy mam honor polecić mu powolne służby moje.

I tym razem skłoniwszy się już na dobre, odszedł w swoją stronę.

Kochanowskiego słowa te zabolały srodze, sądząc bowiem z zajścia, jakie dopiero miał z Lidyją, przypuszczał, że przesadna może charakterystyka, jaką dał ukochanéj jego de Baïf podstawy zupełnie pozbawiona nie jest i kiedy pomyślał, że mógłby być opuszczonym i zapomnianym, w głowie mu się zakręciło.

W pierwszéj chwili chciał wrócić, chciał do furty kołatać, chciał do nóg jéj upaść i przepraszać ją za winy, jakich nie popełnił, ale wrodzona jego duma na pomysł podobny się wzburzyła i innéj rady nie widząc, jak wszyscy w podobnem położeniu, postanowił całą sprawę czasowi zostawić. Smutna to niezawodnie ucieczka do tego wszechpotężnego czasu, ale tłumaczy się ona tem, że bywa zwykle środkiem jedynym, kiedy wszystkie inne są wyczerpane.

Idąc na kwaterę swoją, dumał głęboko, często się zatrzymywał, często rękoma rozkładał i mózg swój mozolił, ale żadne inne wyjście z trudności mu się nie nastręczało.

— Ha — czemuż nie jestem magnatem? — rzekł, zatrzymawszy się przed jakąś bogatą wystawą sklepową, to znowu uśmiechnął się gorzko i pogardliwie i mówił do siebie idąc wolno:

— Nie, ona mnie nie zapomni, ona mnie napowrót przyzwie ku sobie, gdyż duchy nasze zanadto się już zbratały, żebyśmy bez siebie żyć nadal mogli. W cóż obróciłby się mój dar rymotwórczy którym się tak pysznilem? Źródła natchnienia mojego bezpowrotnie by wyschły i byłbym jako wiotka trawa, albo liście zwiędłe. Nie, to gniewy i kaprysy chwilowe, zgoda tém piękniejsza nastąpi, im milsza bywa pogoda następująca po ulewnéj burzy.

I do myśli téj uśmiechnął się radośnie jak dziecko. Jednakowoż los już widać tak przeznaczył, czy też ludzie tak się uwzięli, żeby mu mówić prawdę, moralizować i praktycznemi swemi racyjami wzburzony jego umysł drażnić i niepokoić. Zaledwo bowiem chcąc co prędzéj na kwaterę podążyć na ulicę des Carmes zawrócił, napotkał Ossolińskiego, który zadumany wielce, ze spuszczoną głową wolnym krokiem postępował.

— Jesteś — zawołał, głowę podnosząc do góry — zaprawdę, do rzadkości należy ciebie spotykać, bo ile razy do mieszkania twego zajdę, zawsze w niém ciebie nie masz. I teraz właśnie od was wychodzę a z poczciwymi towarzyszami twoimi, mocno utyskiwaliśmy nad zmianą, jaka w obyczajach waszych zaszła.

— Jakaż zmiana? — zapytał, rumieniąc się Kochanowski.

— Czyż pytać jeszcze Wasza Miłość o to może? rzekł z gorzkim uśmiechem Ossoliński.

Kochanowski przywykły był, że z prawdziwym przyjacielem swym, za jakiego Ossolińskiego mienił, nigdy na zbytniéj etykiecie nie zostawał, więc już go owa Miłość ubodła, a że sumienie jego przytem czyste nie było, przeto nie tykając już głównego przedmiotu, rzekł mimojazdem:

— Azaliż już tak nisko upadłem, że mi Wasza Miłość przyjaźń swoję i poufałość cofa i pełnemi etykiety deminomicyjami mnie tytułuje?

Ossoliński w drodze swéj się wstrzymał, podniósł do góry ramiona i jakby do uścisku gotowy, rzewnym głosem się ozwał:

— Janie mój drogi, nie myliłem zda mi się wcale, jeżelim ciebie za illustracyą a chwałę kraju naszego uważał. Tyś winien mu nadać europejski polor, tyś winien zwrócić nań oczy współczesnych, tyś winien go postawić na świeczniku, który, jeśli nie przewyższy, to dorówna światłem, cudzoziemskim. Bracie mój, dla celu takiego potrzeba swobody myśli, potrzeba umiłowania tego co swoje i polskie i jeżeli chwilowo bałamuciłeś się we Włoszech, ani ja, ani towarzysze twoi nie mieli nic przeciwko temu, gdyż krewkość a temperament winny mieć swoje ujścia. Tu wszelako rzecz niebezpieczniejszą się staje. Zadurzyłeś się w lafiryndzie Francuzce, która do poziomu twojego nie dorosła i dla niéj wszystkie swoje wolne chwile marnujesz . . . .

Chciał jeszcze daléj na ten temat prawić, ale Kochanowski podniesieniem ręki go wstrzymał i z siłą zawołał:

— Proszę cię, mój drogi, jeżeli masz dla mnie choćby cokolwiek przyjaźni, rzeczy téj nie tykaj. Nie przeczę, że miłostki moje we Włoszech były przelotne i temperamentem a krewkością usprawiedliwiać się dają; tu jednak jest sprawa inna. Francuzkę tę, która ciebie tak gniewa ja poślubić zamierzam, a jeślim jéj uczucie swe ofiarował, nikt mi za złe wziąść tego nie może.

— Janie, człowieku, co ty gadasz? — zawołał Ossoliński na ulicy się zatrzymując. Czy żeś do tego stopnia stracił samowiedzę i właściwe zapatrywanie się na rzeczy, że nie pojmujesz bluźnierstwa, jakie się w słowach tych zawiera? — Poeta polski i to poeta taki, który sztukę rymotwórstwa dla kraju ma stworzyć, winien za połowicę mieć Polkę, krew z krwi i kość z kości naszéj. Inaczéj w jakichś powszechnodziejowych i powszechnoludzkich dążnościach się rozpłynie, inaczéj podniesie sławę odrodzonych Rzymian i Greków, ale nic nie uczyni dla sławy polskiéj. A zresztą owa przemądrzała, a na swawolnych poetach wykwalifikowana sawantka, azaż jest żoną, którąby właściwa była polskiemu obywatelowi a ziemianimowi? Soki natchnienia z duszy twéj ona wyssie, na jakieś międzynarodowe i bękarcie pole cię wprowadzi, zgubi cię dla nas, którzy takie wysokie nadzieje pokładaliśmy w tobie.

— Hieronimie wszystko wolno ci powiedzieć, ale przeciwko niéj głosu nie podnoś — zawołał z gwałtownością poeta. —

Racye bowiem, jakie przytaczasz, znikome są a do sztuki prawdziwéj zbliżyć się nie ma prawa ten, kto jéj granice kra-

jów a narodowości zakreśla. Ona kocha sztukę jako sztukę, żadnemi miejscowemi względami nie krępowaną a ja chcę, aby patronką moją a przewodniczką w przyszłéj pracy mi była.

— Och, mylisz się bardzo mój Janie, rzekł z głębokiem westchnieniem Ossoliński — i obyś później uprzedzeń swych nie żałował.

On wszelako już go nie słuchał, a do umysłu zawitała mu myśl nowa, niezgodna może z uczuciem szlachetnéj dumy, jaka nim dotychczas władała, trafiająca jednak do chwilowych gustów i upodobania,

— Ty, który z Sandomirską ziemią i z wartością jéj tak jesteś obeznany, rzekł do Ossolińskiego, — powiedz mi czy ojcowizna moja może wynosić wartość pięciu tysięcy dukatów? —

— Sądzę, że znacznie więcéj — odparł sucho Ossoliński.

— Jeżeli więc tak jest — mówił Kochanowski. — Czy w łaskawości swéj nie mógłbyś mi jeszcze zaofiarować dwóch tysięcy czątych?

Ossoliński dla rozmówienia się szczegółowego z poetą chciał wejść do winiarni i tu, w cichym a ciemnym kącie racye mu wszystkie wyłożyć. Kiedy jednak dłoń swą na klamce już trzymał, owo zapytanie poety zastanowiło go mocno, a chcąc się gwoli jemu sroższym wydać aniżeli był w rzeczywistości, rękę swą opuścił i zapytał:

— I pocóż ci owa taka wielka suma?

Kochanowski zmilczał chwilowo, a późniéj rzekł cierpko.

— Jeżeliż ewikcyą wystarczającą daję, dla czego o przeznaczenie pożyczki, jakiej w imię przyjacielskich naszych stosunków się domagam, koniecznie chcesz się dopytywać? Potrzebuję i kwita.

Ossolińskiemu z wewnętrznego wzburzenia twarz krwią nabiegła i porzucając już ton łagodnéj perswazyji, z oburzeniem pewnem zawołał:

— Na co byś owe wypożyczone sumy chciał sakryfikować, nie potrzebuję się dopytywać. Myślisz je poświęcić dla owéj Francuzicy, która jak krwi niesyta pijawka do skóry twojéj się przypiła. Na potrzeby a wymagania takie marnować ojcowiznę, poczciwym trudem i pracą przodków zdobytą, jest nieuczciwością, a ja nie jestem lichwiarzem, któryby na brudne instynkta niedoświadczonego młodzieńca spekulował.

Kochanowskiemu krew uderzyła do głowy, a ponieważ zu-

pełnie czystym się nie czuł, nie wybuchnął więc oburzeniem, ale urazę tając, rzekł zjadliwie:

— Gdybym odpowiedzialnym się nie czuł, pożyczkibym nie żądał, że zaś Waszmość sam utrzymujesz iż ewikcyją daję, mógłem więc, zda mi się, propozycyją pożyczki uczynić.

— Pożyczki udzielić nie mogę — odpowiedział Ossoliński krótko — bo sam przy pieniędzach nie jestem.

— A więc za śmiałość moją przepraszam — odpowiedział Kochanowski — szyderczo kapelusza uchylając.

— Nie ma za co — odpowiedział Ossoliński i bez pożegnania się oddalał.

Poeta go nie zatrzymywał, ani mu się nie usprawiedliwiał, ale zły więcéj może na siebie, aniżeli na wypróbowanego przyjaciela, ku kwaterze swojéj podążał.

— Ale, ale, — rzekł, nagle zatrzymując się Ossoliński Wraz z Waszmościnymi towarzyszami uznawszy, że w niebezpieczne Miłość Wasza popadła sidła, napisaliśmy wspólny list do Jejmość matki zacnéj jego, aby go z tych pokus nakazem powrotu do domu ratowała. Może to było wdzieraniem się w cudze interesa, nam się to atoli koniecznem być wydawało i proszę o to żalu do nas nie mieć.

— Interesowanie się zbyteczne — odparł Kochanowski — boć przecie majoritatem już osiągnąłem.

— Zważ Wasza Miłość atoli na intencyją, i podług téj sądź nasz uczynek.

— Czołem — odrzekł na to hardo Kochanowski i w swoją odwrócił się stronę.

— Czołem — odpowiedział Ossoliński i zmierzając ku rzece, aby przekroczywszy most, Luwru dosięgnąć, uczuwał wielką przykrość w duszy. Że jednak obdarzony był umysłem, co do wszystkiego i wszędzie zwykł przyczyn szukać, przeto poprawił ze złością kapelusza i szepnął do siebie:

— Nie darmo to lud nasz powtarza, że gdzie djabeł nie może tam babę poszle, tak i tutaj czyż ja spodziewać się mogłem, abym z tym prawdziwie kochanym Kochanowskim rozstawał się tak jak teraz? — Ale. . . wszystko to przejdzie, boć i to jeszcze młodzieńczego wieku ospa.

* * *

Kochanowski dnia tego wielce smutne odniósł wrażenia, bo jeśli najsrożéj dotknęło go żądanie Lidyji i surowe wyrzuty, na

które przecież nie zasługiwał, to niemniéj bolały go słowa de Baïf, którym pewną część racyi przyznawał, a zwada z wiernym druhem Ossolińskim była dlań o tyle boleśniejszą, że czuł jak w przekonaniu jego nizko upadł, że ten miał go za hulakę i marnotrawcę najnikczemniejszego, wtedy kiedy on prawdziwym i rzeczywistym gorzał afektem.

Swoją drogą uwagi i remonstracyje robić mu chcieli towarzysze, których na kwaterze zastał, on jednak wszystkiem tem podrażniony, odpowiadać nie chciał i zwykłe słodki i wyrozumiały, teraz zadąsał się srodze, do alkowy swéj się schronił i ostentacyjnie a z hałasem drzwi jéj za sobą zatrzasnął.

— Ho, ho, ho — zawołał Nidecki — coś nasz pan brat bardzo na kieł bierze i coś zanadto swoim dworem żyć myśli, na uwagi szczerych przyjaciół ucha nie zwracając.

— Nic to — odrzekł sentencyjonalnie Dudycz — snać już w miodach jego wynajdują się piołuny. Znam ja to i wierzaj, że taka gorączka najprędzéj zmysły trzeźwi i najłatwiéj do równowagi doprowadza.

Ponieważ Nidecki spostrzeżenie to za słuszne uważał, przeto poecie się nie naprzykrzano i pozostawiono go w spokoju, ale spokój nie był wcale jego udziałem. Po nocach nie sypiał, apetyt utracił, ludzi unikał a ustawicznie od Lidyji jakiéjś wiadomości, jakiegoś dowodu ułaskawienia oczekiwał.

Dzień za dniem płynął a nic podobnego się nie pojawiało i jego niecierpliwość całkowicie się już wyczerpała. Stokroćby już sam tam poszedł, ale właściwie pojęta duma go powstrzymywała. Chciał pisać do niéj i pokilkakroć brał za pióro, ale pióro wypadało mu z ręki, bo i cóż jéj napisze? Przebaczenia prosić będzie? ale czyż zawinił? Czy z żądanym podarkiem w ręku przed nią się stawi? Ależ nie ma środków do nabycia jego, bo wszak Ossoliński w sposób szorstki kredytu mu odmówił, a jego zapasy tak wyczerpane, że przyszłość nawet srogo mu się przedstawia. W podobnem położeniu więc uciekał się do jedynéj skutecznéj pocieszycielki, do obdarowującéj go swemi łaskami muzy poezyi i ją wybrał za powierniczkę skarg swoich.

Wiersz jego w żałości i tęsknocie się rozpływał, a kiedy go odczytywał, znalazł, że dokładnie maluje teraźniejsze uczucia jego. Szczególniéj przypadało mu do gustu miejsce następujące

Nie tak się smuci żeglarz wśród neptunskiéj toni,
Gdy noc zazdrośna gwiazdy do jednéj zasłoni,

Nie tak tęskni wędrowiec, kiedy niespodzianie,
Błądzącego noc w puszczach hercyńskich zastanie;
Jako mnie niepozbędna boleść serce tłoczy,
Kiedy, Lidyjo, moje nie widzą cię oczy. . . . .

Miejsce to jak również i cały wiersz odczytywał pokilkakroć, a w końcu przepisał go starannie, opieczętował i aby tem skuteczniéj do ręki jéj doszedł, sam go poniósł i wręczył oddźwiernemu margrabianki.

Od niego dowiedział się, że Kassandra jest już z powrotem a kiedy zdziwiony sługa zapytywał go dla czego na górę do pani nie zajdzie, brakiem czasu się wytłomaczył i jeszcze raz wręczenie listu Lidyji zalecił.

Odpowiedzi, ułaskawienia, wezwania napowrót spodziewał się lada moment, ale nadzieje jego były płonne i żadna wieść ztamtąd nie przybywała. Czyżby owo nieporozumienie chwilowe, miało już całkowitem grozić zerwaniem, czyżby opuszczenie i zapomnienie, przed którem tak wyraźnie zastrzegali się przy pierwszem wyznaniu, miało już naprawdę nastąpić?

W coraz większy nie tylko smutek ale rozpacz popadał, twarz jego zwykłe młodzieńcze straciła kolory, oko siną podkrążyło się obrączką a słowa, jeśli chciał je zwrócić do swoich towarzyszów, na ustach mu konały.

— Biedny nasz Jan — cierpi okrutnie, mawiał do Dudycza Nidecki.

— Nic to, odpowiadał tamten — choroba się przesila — tylko czekać rychło zupełnie do zdrowia powróci.

Ossoliński na oczy Kochanowskiemu się nie pokazywał, ale codziennie u towarzyszy jego wieści o nim zasięgał i opinije pod tym względem Dudycza podzielał.

Z krótkiéj reprymandy, jaką poecie naszemu Ossoliński udzielił, pomijając wyrzuty, które honor jego mogły zadrasnąć, najsilniéj w umyśle Kochanowskiego utkwiła wzmianka o liście wysłanym do jego matki. Wcześnie pozbawiony ojca, całe pierwotne swe wychowanie winien on był matce, a że była to poważna, wzorowa i zarazem dla wszystkich litościwa, dla wszystkich uczynna i dobrocią swą wszystkich jednająca matrona, przeto wspomnienie jéj w sercu młodzieńca głęboko utkwiło a zwłaszcza wskutek długiego oddalenia i wspomnień rzadko tylko odżywianych listami, gdyż o pocztach wówczas nie miano pojęcia i dla przesłania wiadomości okazyi i sposobności wycze-

kiwano, wyobrażenie to matki w sercu jego zamieniło się na obraz jakiejś świętéj, dla któréj cześć wyłączną wyznawał.

Wiedział Kochanowski, że gdyby życie swe na obczyźnie spędzić postanowił i cudzoziemkę za żonę pojął, matce by tem ciężkie zgotował zmartwienie i jeżeli prawdą było, że list jéj udało się doręczyć, na pewno mógł się spodziewać perswazyi i przełożeń. Matkę zmartwić byłoby dlań wielce ciężką i bolesną rzeczą, ale z drugiéj strony jakże rozstać się z myślą nawet o téj, która niewolniczo go do siebie przykuła, a dawszy zakosztować szczęścia prawdziwego na niepewność i samotność go skazała.

Nie odbierając żadnéj na pierwsze swoje pisanie odpowiedzi, dręczony bólem wyśpiewywał go w strofach łacińskich i elegią jednę za drugą słał do upartéj. Prawda że ona na żadną z nich nie odpowiadała, ale natomiast łacińska nasza literatura wzbogaciła się przepięknemi utworami, gdzie boleść, osamotnienie, oczekiwanie mieniające się to z nadzieją, to z rozpaczą przechodzi całą gamę uczuć ludzkich. Są tu zapewne wywnętrzania zupełnie w guście klasycznym, gdzie zmysły przeważają, nie masz w nich ani śladu owego idealizmu, który późniéj tak łzawo na lirach poetów się rozpłynął, a który nie był w tym czasie obcy gdyż pierwszy początek dał mu niezrównany mistrz z Wakluzy; wszakże nikt Kochanowskiemu zarzucać nie może, że nie poszedł on tą drogą, gdyż na sztukę jako taką z innego zapatrywał się stanowiska, a krewkość i temperament jemu właściwy trzymały go na innem stanowisku, niepozbawionem wszakże wysoce estetycznego znaczenia.

Elegia po elegii doręczane były Lidyji, a odpowiedzi jak nie było tak nie było. Poeta nasz zaczął schnąć jak trzaska a przyjaciele jego pod przewodem Dudycza zgadzali się na to, że jest to znak dobry.

— Młoda natura wszystko wytrzyma, — powtarzano — nie lękajcie się, skoro do Polski zawita na Sandomirskich łanach się wypasie i prędko rany serdecznéj, tutaj mu zadanéj, zapomni.

Wierzono temu, ale żal serce przyjaciół ściskał na widok jak ten Jan, zawsze świeży i rumiany jak panienka, teraz wychudł i poczerniał, on dawniéj humorem swym rozweselający wszystkich, zamknął się w sobie, na kolegia nie uczęszczał, i zbywając towarzyszów słówkami zdawkowéj monety, zamykał się w swoim pokoiku i w nim najczęściéj spoczywał na łożu,

wpatrując się w jasny nad nim namiot i w twarzy swéj wyrażając szczególne stępienie.

Ten stan bezwładności i bierności nie godził się żadną miarą z jego usposobieniem, dla tego też, kiedy milczenie miesiąc już prawie trwało, postanowił się upokorzyć, postanowił pójść i u ukochanéj swéj laski żebrać.

Do tego celu przygotował się należycie, tak jakoby po raz pierwszy szedł na zdobycie serca niewieściego. Włosy swe dotąd w bogatych spadające kędziorach podług ostatniéj mody wystrzygł, wąsy wyszwarcował i po muszkietersku je zakręcił, a wdziawszy na się najbogatszą tunikę, w porze poobiedniéj zabrał się do domku margrabianek, pychę z serca zrzuciwszy.

Zaledwie z rue de Carmes w ten sposób przygotowany wyszedł na rue des Geoles spotkał Ronsarda, który pod rękę prowadził Kassandrę, a za nim postępował de Baïf, Lidyi za kawalera służąc.

Kochanowski na widok towarzystwa tego zmięszał się i pokraśniał i wolałby w innem miejscu z Lidyą się spotkać, ale trzeba już było podług wyrażenia Francuzów: faire une bonne mine à manvais jeu i do towarzystwa się dołączyć.

— A, signore Polacco — pierwsza na widok jego zawołała Lidya — czy chorował, czy zmartwienie jakie przechodził, że tak mizernie wygląda?

Zainteresowanie się to, zamiast pocieszyć poetę, jeszcze go sroższą napełniło troską. Naprzód raziło go owo traktowanie przez osobę trzecią, a powtóre owa naiwność, skonstatowana dość wybitnie przy uwadze, jakoby tajnem dla niéj było, zkąd bóle jego, jeśli rzeczywiście istnieją, pochodzą.

W tymże czasie Ronsard dłoń przyjazną ku niemu wyciągał, a słów Lidyi z powodu głuchoty swéj nie słysząc, i nie rozumiejąc jadu, jakim one serce polskiego poety mogły napełnić, z całą szczerością duszy czynił mu wyrzuty.

— Czyż się godziło — mówił — przez cały miesiąc odkąd przybyliśmy tutaj, zaniedbywać nas i na węzły zawiązanéj przyjaźni niepomnąc, traktować tak, jako zupełnie obcych. Fe! — panie Polaku — jeden z pochlebców moich mówił mi, że ja okres poezyi francuzkiéj rozpocznę i na niebie tutejszem pierwszą gwiazdą będę. Jeżelić to prawda, toć Waszmość tem samem dla swojego kraju stać się powinieneś. — Gwiazdy takie

powinny się przecież spotykać i kiedy losy je na jednym umieściły firmamencie, dążyć ku sobie.

Kochanowski dla Ronsarda cześć miał wielką, więc na replikę jego pochlebnie a dowcipnie starał się odpowiedzieć, ale najpospolitszy spostrzegacz by zauważył, że robi to jak za pańszczyznę, okiem do następującéj pary, idącéj z tylu, ustawicznie zerkając.

Jeśli chęci tych nie widział Ronsard, zrozumiała je niezawodnie Kassandra, to też przypadkowo spotkanego znajomego kilku towarzyskiemi słowami zbywszy, pozostawiła mu zupełną swobodę ruchów.

On skorzystał z tego szybko i parę kroków w tyle pozostawszy, do de Baïfa i Lidjyi się przybliżył.

Rozmowy rozpoczynać ani nie umiał, ani nie miał ochoty, i sądził ze Lidyja, która wyglądała jak róża i pełnością wdzięków jaśniała, obowiązek ten weźmie na siebie. Ona jednak milczała, a nawet co dziwniejsza, oczy od spojrzeń jego odwracała, wodząc je to po wystawach sklepowych, to zatrzymując na mijających ich przechodniach.

Kiedy jednak milczenie zbyt już krępującém się stało i same formy towarzyskie z zanadto trudnego kazały im wyjść położenia, przecedziła przez zęby afektowanym tonem, w którym przymus był widoczny, następujące słowa:

— Pan Kochanowski musiał być pracą zapewne wielce zajęty, kiedy na odwiedzenie dobrych znajomych swoich nie znalazł ani chwilki czasu.

Ten ton chłodny i napoły szyderski jak lód zmroził serce poety, resztek jednak energii swéj dobywając, na podjazd ten z całą szczerością odpowiedział:

— Rzeczywiście przez cały ten czas pracowałem twardo, a owoce pracy méj, lubom się sam usunął, znajomym swym komunikowałem. Od nich zależy ocenić, czy była ona produkcyjną i na uwagę zasługującą, czy też wszelkiéj pozbawiona jest wartości.

— C'est selon — odpowiedziała Lidyja tonem takim szyderskim i takim chłodnym, że poecie naszemu krew w żyłach krążyć przestała, a przytem rękę swą z pod ramienia de Baïfa wyrwała i niby wystawą kwiatową zaciekawiona, do szyby ogrodnika podbiegła.

De Baïf tymczasem serdecznie i konwulsyjnie rękę Kocha-

wskiego ścisnął i tonem, w którym grała sympatya, jakiejby po nim nie każdy się spodziewał, szepnął:

— Na miłość boską zważ Waszmość, jak ona od ciebie oddalić się pragnie. Ja sam jestem tem zrażony i zgorszony, ale panować nad sobą nie umiem i ponieważ fortuna mi się uśmiechnęła, przeto bodajbym w tym ogniu miał się spalić i zmarnować, Waszą Miłość tam zastąpić będę usiłował. Wiem, że niebezpieczeństwo niemałe z tego względu mi grozi, ale może w ten sposób ludzkości wyświadczę przysługę, że od zaguby ocalę najpiękniejszą ozdobę współczesnego Parnasu i wrócę go jego krajowi.

Kochanowski nie wiedział czy cudzoziemiec ten drwi z niego czy rzeczywiście dowody serca mu okazuje, ale to wiedział napewno, że w głowie jego panuje zamęt straszny, że życie z serca jego ucieka i że wśród cudzoziemców tych nie masz dla niego zmiłowania.

Na zwrócone do niego słowa chciał odpowiedzieć ostro, wyzywająco, i zapewne niesprawiedliwość by popełnił, szczęściem Ronsard do niego się zwrócił i wskazując ręką na szyld kupiecki, wyrzekł:

— Czy pamiętasz Wasza Miłość że w téj oto winiarni miało miejsce spotkanie nasze i tuśmy zawarli poraz pierwszy przyjaźń, która wieczystą być powinna. Ponieważ długim spacerem utrudziliśmy się uczciwie, może więc wstąpimy, aby wytchnąć na minutę.

— Pokornie o przebaczenie upraszam — rzekł na to Kochanowski nagle trzeźwiąc się i resztki swéj dumy salwując, ale oczekują mnie w tym momencie ludzie, którym przyrzeczenie dałem, mimo więc przynęty, jakaby mnie tu wiodła, słowu danemu wierny być muszę.

— Szkoda to prawdziwa — wyrzekł z całą szczerością Ronsard, — bobyśmy tak mile jak ongi przepędzili wieczór. Wszakże dajże nam Waszmość przynajmniéj słowo, że tę dzisiejszą niemożność kiedy indziej odszkodujesz i że razem znowu na godzin kilka się spotkamy.

— Homo proponit, Deus disponit, była odpowiedź, wszakże wszelkiemi siłami starać się będę, aby to jak najprędzéj nastąpić mogło.

— Przedewszystkiem, jeśli o uciechę chodzi — odpowiedział sentencyonalnie Ronsard — nigdy zamiarów takich w zbytnią odwłokę puszczać nie należy.

Ale Kochanowski już nie słuchał, tylko poecie francuskiemu serdecznie rękę uścisnąwszy, chłodno skłonił się damom i kawalerowi de Baïf i znikł w pierwszéj pobocznéj uliczce, jaka mu się nastręczyła.

* * *

Jaka była noc, która po spotkaniu tem nastąpiła, zrozumie nietylko ten, dla którego tajniki ducha poety są widzialne, ale i ten także kto kochał, kto przedmiot miłości swéj na własność prawie posiadał i raptem dostrzega, że on mu się z objęć wyślizguje.

Kochanowski przez cały czas oka do snu nie złożył, a ustawicznie rozmyślał nietylko nad słowami Lidyji, ale nad intonacyą jéj głosu, nad owem szczególnem i niegrzeczności prawie sięgającem przerwaniem rozmowy, nad tryumfującemi a zarazem tajemniczemi słowami de Baïfa. Dla każdego śmiertelnika wszelka nadzieja potem spotkaniu znikła by już stanowczo, on jednak jeszcze się łudził, jeszcze do nic nie znaczących drobiazgów do ukłonu, do spojrzenia nawiązywał nadzieje i między rozpaczą a perswazyą przez własne pragnienia wytworzoną się wahając, tracił świadomość, zwykły swój umiar, zmysł i krytyczność i złorzeczył losowi, że taką straszną igraszkę z niego czyni.

Kiedy świtać poczęło a sen zmordowanego jego umysłu nie przyszedł jeszcze posilić, zdobył się na rezolutne i jak mu się zdawało jedyne w takiem położeniu postanowienie. Zamierzył wybrać się do Ronsarda, jemu wszystkie strapienia swe i troski odkryć i od niego, który jakkolwiekbądź do obudwu siostr był wielce zbliżony, zażądać objawienia, czy jest jeszcze jaki grunt stały, na którym by kotwicę nadziei wolno mu było zarzucić.

Ponieważ Ronsard pod tę porę przemieszkiwał w niezbyt odległéj od Paryża wioseczce, Meudon zwanéj, gdzie wiejski posiadał domek, ze względu więc na utrudnione w czasach owych komunikacye, nie było zbytecznem wybrać się do niego o świcie i Kochanowski też nie spodziewając się już posiłku od snu dobroczynnego, prędko ubierać się począł i niespostrzeżony od nikogo, gdyż towarzysze jego w pierwszéj komnacie smacznym i troski pozbawionym snem zasypiali, wybiegł na ulicę, poszukując wieśniaka, któryby ogrodowiny swe na targu wiejskim sprze-

dawszy, jego, wracając do domu, na próżny wóz swój zabrać zechciał.

Zanim to mu się udało i zanim w Meudon stanął, było już około godziny dziesiątéj i Ronsard, jak mu powiedział jedyny, stary sługa poety, przy pracy się znajdował.

Kochanowski nie lękał się aby być natrętem, gdyż czuł że wspólność ducha mimo różnéj narodowości ich łączy i prosto szedł do gabinetu, który znajdował się na nizkiem pięterku, okno swe zwracającem do jasnego, wiejskiego słońca.

Nie zawiódł się wcale, Ronsard bowiem, który w téj ciszy swéj wiejskiéj nie bardzo był gościnny dla miejskich natrętów, jego skoro zoczył i rozpoznał, pospieszył naprzeciw i z uczuciem szczerem a nieudanem do piersi go swéj w uścisku przytulił.

— A witaj że mi witaj — mówił — gościu mój miły, który na całą serdeczność, jaką ci ofiarowałem, zważać się nie zdawałeś, a jeszcze nie późniéj jak wczoraj surowo i szorstko na propozycye moje mi odpowiadałeś. Cóż za szczęśliwa gwiazda sprowadza cię do téj pustelni i czemuż zawdzięczyć mogę twoją tutaj obecność?

Kochanowski za uścisk odpłacił uściskiem, na zapytanie jednak uśmiechnął się boleśnie i odpowiedział lakonicznie:

— Co mnie sprowadza? — Smutki a właściwie powiedziawszy, rozpacz.

— Przez Boga żywego — zawołał przestraszony Ronsard. — Nie darmo ja w twarzy twéj, bracie, wielką dostrzegłem zmianę, ale powiedzże mi co za przyczyna tego wszystkiego? —

Kochanowskiego siły równie tak długo trwająca męka jak i bezsenność nocy ostatniéj wyczerpały, zachwiał się więc na nogach, zatoczył prawie i raczéj upadł, aniżeli usiadł w poręczowem krześle.

Przesunął dłonią po czole i głosem złamanym wyrzekł. — Miłościwy Panie, nazwałeś mnie bratem. Nie przeczę że wielki to zaszczyt dla mnie biedaka, bo i gdzieżbym się z Waszą Miłością śmiał mierzyć, ale jak na dzisiaj wcale to nie jest zbyteczna, boć mi iście braterskiego serca potrzeba.

— Ale o cóż chodzi, mów Waszmość? — Jeszcze raz Ronsard przestraszony zapytywał.

— Musiałeś Wasza Miłość zaobserwować — rzekł — że Jejmość pannę Margrabiankę d'Aubusson, tak zwaną Lidyją, szczerze, co mówię, srodze pokochałem. Srodze powtarzam, bo bez niéj nie masz już dla mnie życia, nie masz talentu, nie

masz sławy, nie masz przyszłości. Miałem pewne dowody sądzić, że afekt ten mój wzajemność jéj uzyskał, ale teraz, powiedz sam mój bracie, kiedyś już tak w łaskawości swéj nazywać się pozwolił, azaż nie objawia mi ona dyffidencyi, azaż się na mnie nie boczy, azaż miłości méj mimo nie puszcza i pokornym nie gardzi sługą? —

Ronsard na słowa te, wyrzeczone z wielką mocą i z rozpaczliwym giestem, zmięszał się wielce, ręce naprzód podniósł do góry, później je w tył założył i szybkiemi krokami począł się przechadzać po wielkiéj komnacie.

Te jego ruchy nie zwiastowały już nic dobrego i Kochanowski, nie śmiąc już żadnych robić zapytań, badawczem śledził je spojrzeniem.

Zatrzymał się wreszcie przechadzający przed siedzącym gościem i usiłując jak najobojętniejszą przybrać minę, wyrzekł tonem perswazyji:

— Chcesz i żądasz prawdy, a więc ci ją, nie obwijając jéj wcale w bawełnę, powiem. Kobiety tego rzędu jak Lidyja, jak nawet Kassandra nie są wcale dla nas. My w dani niesiemy im całe serce, one zaś uciechy tylko, znikomej rozrywki, albo, — oby słowo z gardła mi nie wyszło, korzyści pragną.

Kochanowski z krzesła, na którym bezwładnie był dotąd oparty, podniósł się i utkwiwszy wzrok w mówiącego patrzył się nań tak jako jastrząb mający się rzucić na wystraszonego gołębia.

Ronsard rozpacz odmalowaną w oku jego widział, ale rządząc się metodą hipokratesową, że każdy ból gwałtownymi leczyć należy środkami, nie zawahał się i tak daléj mówił:

— Zdziwi cię zapewne, że ja nie tylko o Lidyji tak się wyrażam, ale i o Kassandrze, z którą mnie jeszcze wczoraj w najlepszéj komitywie widziałeś. Tak, zapewne stosunek mój z nią trwa od lat czterech ale z każdym dniem coraz więcéj wad w niéj odkrywam. Kiedym myślał, że miłowała mnie szczerze, ona w promieniach zdobywanéj przezemnie sławy świecić chciała, kiedym myślał, że przez miłość dla mnie świetnych i towarzyskich względów się wyrzekła, ona na korzyści zważała, ona pchała mnie do łowienia coraz nowych beneficyjów, do zdobywania jak największéj ilości złota. Zrozumiałem ją, a jednak taką przewagę ma ona nademną, że dla niéj stałem się pochlebcą i dworakiem, dla niéj i przez nią umizgałem się nikczemnie do wielkich panów i zamiast śpiewać gwoli mym gustom, na lirze

swéj pochwalne tylko musiałem nawiązywać struny. Wczoraj zdawało mi się, żem z nią zerwał stanowczo, a jednak patrz jaka jéj władza. Ponieważ powiedziano jéj, że od księcia Henryka ułowić teraz wiele można, przeto, lubo o umyśle tego książęcia i przyrodzonych jego talentach słabe mam bardzo wyobrażenie, jednak dałem jéj słowo, że mu panegiryk napiszę i patrz jak ten, którego księciem poetów zowią ranek swój przepędził.

Tu wziął ze stołu małą kartkę, drobnem pismem zapełnioną i z deklamacyją, w któréj atoli było trochę odcienia goryczy, następujący wiersz czytał:

L'Europe est trop petite, et l'Asie, et l'Afrique
Pour Toy, qui te verra de tout le monde Roy.
Aussi le Ciel naguère a fait naistre pour Toy
Du milieu de la mer la nauvelle Amerique;
Afin que ce gran tout soit l'empire Galique,
Et que le monde entier obeisse à ta loy . . . .
. . . . . .
Les Parques dans le ciel t'ont filé cet honneur:
Quand tu sera seul de ce monde seigneur,
Tu fermera par tout le Temple de la guerre;
La paix et les vertus au monde fleuriront,
Jupiter et Henry l'univers partiront,
L'un empereur du ciel, l'autre de la terre.

Kochanowski, gdyby był wiedział, że ten, w sposób podobny opisany Henryk ma kiedyś zasiąść na tronie polskim, może by pochwale téj przysłuchiwał się pilniéj, ale w skutek majątkowego jego położenia, nie obchodziła go wcale polityka, nie obchodził wychwalony książę, a nawet sztuka rymotwórcza.

Ronsard po przeczytaniu tego utworu spojrzał nań badawczo, a widząc że przybity i znękany, bez ruchu siedzi, myślał że dotknęła go tak ta przesadna nuta panegiryczna i sam za własnemi myślami idąc, jeszcze wyraźniéj wykazywać począł, jakiém to jest dla poety nieszczęściem, skoro dumna kobieta umysł jego opanuje i pcha go na szlaki na których nie tylko szczęśliwości się nie uczuwa, ale nawet własnéj ubliża się godności.

— To też — mówił daléj — zaledwiem skończył ten utwór, taka gorycz i taki smutek mnie opanowały, żem zaraz, o konieczności śmierci myśląc, takie oto dla siebie ułożył epitaphium. Czy raczysz łaskawie go posłuchać.

Kochanowski, nie wiedząc właściwie o co chodzi, gdyż cały we własnych zatopiony był myślach, skinął potakująco głową i Ronsard zaczął czytać następującą zawartość drugiéj kartki:

Ronsard repose icy, qui hardy dès enfance
Destourna d'Helicon les Muses en la France,
Suivant le son du luth et les traicts d' Apollon;
Mais peu valut sa Muse encontre l'eguillon
De la mort, qui cruelle en ce tombeau l'enterre.
Son ame soit à Dieu, son corps soit à la terre.

Umysł poetów tak już jest zbudowany, że przy największem strapieniu brzęk rymów lub melodyja rytmu działa na nich tak jak lutnia Amfiona na morskie potwory. Harmonija ta ich czaruje, od trosk ziemskich odrywa i na piękności sztuki uwagę ich zwraca. To też i Kochanowski wdzięcznym tym rymem się zajął, nie widział tylko w nim owego wyparcia się nałożonych kajdan i owéj dążności do ideału.

Dla tego też, mimo uwielbienia, jakie miał dla Ronsarda, zająwszy się pilnie treścią czytanego mu utworu, nie dostrzegł wcale owéj męki, na jaką poeta przed nim w opowiadaniu swem się skarżył. Rzekł więc mimochodem, do własnych swych potrzeb nawracając.

— Ależ skargi tu najmniejszéj na Kassandrę nie ma, i słusznie, bo często winy niewiast nam oddanych, podnosimy do przesady. Zresztą, jeśli w Kassandrze winy, o jakich mi Wasza Miłość otwarcie powiedzieć raczyłeś, istnieją, to zda mi się, cale nie podlega im Lidyja.

— Cha, cha, cha, — Lidyja — zaśmiał się gorżko Ronsard. Wiedz Wasza Miłość — rzekł — że istnieje szczególne jakieś prawo natury, czy rozrządzenia Boskiego, że jeśli w danéj rodzinie wada jakaś zapanuje silnie, rodzeństwo młodsze silniéj jéj daleko podlega, aniżeli starsze. Lidyja, mój drogi — cha cha, to istota wielce zagadkowa i wielce dziwna. Był czas, że na dworze królewskim ludzie najpierwszych imion o względy jéj się ubiegali. Ona wszystkich mroziła chłodem swego serca i obojętnością, która w dojrzałéj niewieście prawdziwie jest nie do pojęcia. Kiedy, unikając świetności i etykiety dworskich salonów wraz z siostrą do studenckiego i cygańskiego potrosze życia się przeniosła, młodzi ludzie głowy dla niéj tracili, a ona na wszystko obojętną i nieczułą była. Pierwszy Waszmość wy-

warleś na nią silniejsze wrażenie i, lubo siostra jéj mocno się z tego cieszyła, ja który z pierwszą chwilą poznania dla Miłości Waszéj głęboki uczułem afekt, przestraszyłem się, bo nie masz nic nieznośniejszego jak dostać się pod przewagę kobiety bez serca. Dla tego, kiedyście w mojéj wiejskiéj pustelni nawiedzić nas raczyli, z boleścią obserwowałem zbliżenie się Waszéj Miłości do Lidyji, a już całe zrozpaczyłem o Was, kiedy ona porzucając siostrę i wiejskie wczasy, do Paryża spieszyła. Wiedziałem że dąży tam, gwoli temu, żeby być z Wami, a znając jéj usposobienie, przypuszczałem, że skończy się na tem, iż wielką przykrość Wam wyrządzi i że koniec stosunku waszego będzie żałosny.

Zamilkł. Kochanowski, oddychając ciężko, mocno piersiami poruszał, że jednak zdecydowany był o wszystkiem się dowiedzieć, przeto zebrał swe męztwo i daléj pytał:

— No, ale przecież stosunek tu nie zerwany stanowczo, tylko przez niewieści kaprys, dla wzmożenia się jeszcze małą przerwą przegrodzony. Wszak Lidyja powrócić mi do siebie dozwoli i powrócić na zawsze?

Ronsard na słowa te gorzko się uśmiechnął i zamilkł, nie chcąc zapewne przyjaciela swego złemi wieściami ranić. Kochanowski wszakże chciał o wszystkiem wiedzieć, chciał czarę goryczy, jeśliby ona miała być przeznaczeniem jego, wyczerpać do dna i z siedzenia swego wstawszy, podszedł do francuzkiego poety, za obie ręce go ujął i wzrokiem błagalnym słowa swe popierając, mówił:

— Cokolwiekby było i jakkolwiek staćby się miało, w imię przyjaźni, jaką objawiłeś Wasza Miłość dla mnie, powiedz mi całą prawdę, nic nie ukrywaj, niech już wszystko wiem od razu i niech jad, jeśli on ma być przeznaczeniem mojem, nie sączy się na serce me po kropelce, ale niech całym spłynie strumieniem.

Ronsard musiał także znajdować, że taka metoda jest rzeczywiście najlepsza i najskuteczniejsza, gdyż, nie namyślając się zbyt długo, głosem wolnym i patrząc gościowi swemu w oczy powiedział;

— Żeby stosunek wasz dawny mógł być nawiązany na nowo, w to daruj mi, nie wierzę. Nie wiem co była za przyczyna, która was od siebie na chwilę odstrychnęła, ale to wiem, że de Baïf, który do niéj oddawna prawdziwy żywił afekt, teraz zupełną jéj wzajemnością się cieszy.

— De Baïf? — zawołał ze zdziwieniem i zgrozą Kochanowski.

— Tak jest, on, a sądzę, że afekt jéj dla niego na dosyć pozytywnéj opiera się podstawie. De Baïf bowiem przed trzema może tygodniami odebrał wiadomość, że bezżenny i bezdzietny stryj jego zmarł bezpotomnie i bez testamentu, olbrzymia więc jego fortuna, z jaką zmierzyć się mogą najwyżéj dwa domy szlacheckie we Francyi, staje się cała młodzieniaszka własnością i od chwili téj wraz z fortuną miłość Lidyji nań także spłynęła, a zdaje się, że będzie ona stała, a przynajmniéj potrwa póty, póki owe olbrzymie, bajeczne dostatki się nie wyczerpią.

— Więc to tak? rzekł Kochanowski głosem rozpaczy pełnym, ręce Ronsarda opuścił, dłonią zakrył oczy i chwiejnym krokiem podszedłszy pod okno, głowę swą oparł o ramę szyby i drżał całem ciałem, jakby go płacz rzewny zdejmował.

Ronsard zostawił go czas jakiś w spokoju, wiedział bowiem z doświadczenia, że w takich razach natrętna perswazyja jątrzy jeszcze ranę zamiast ją goić; dziwił się jednak nie pomału, że to uczucie w polskim poecie, które brał dotąd za upodobanie przelotne i raczéj swawolne, jest tak głębokiem. On przywiązał się także szczerze do Kassandry, ale w kajdanach jéj zaczął już sobie przykrzyć i przypuszczając, że chwila zerwania niebawem nadejdzie, nietylko na mysl tę nie bolał zbytnio, ale owszem za innem pięknem liczkiem wcześnie się już rozglądał.

Kiedy jednak Kochanowski długo pozycyi swojéj nie zmieniał, a mimo tłumienia, z piersi jego wychodziły łkania, które całem ciałem jego wstrząsały, Ronsard podszedł ku niemu, obie dłonie przyjaźnie na ramionach mu położył i rzekł z serca płynącym głosem:

— Bracie mój drogi, ja wiem, ja widzę, że boleść twa głęboka i wielka, ale bądź łaskaw usiądź chwilkę koło mnie i pozwól, że pogadamy z sobą spokojnie a rozważnie.

Ponieważ Kochanowski nie wzbraniał mu ręki, za którą ujął i bezwładnie dał się prowadzić, posadził go więc na sztucznie rzezanéj ławie dębowéj, która stała pod oknem i sam zająwszy przy nim miejsce a dłoni jego z rąk swych nie wypuszczając, mówił doń łagodnym i z serca płynącym głosem:

— Ludzie zwykli pod ciosami takimi upadać mogą, ale tym, na których głowie zaświeciła gwiazda geniuszu i których bogowie wybrali na to, aby światło wiedzy a sztuki między współobywatelami swymi roznosili — tych siły talentom od-

powiednie być winny, organizacya ich ma być z granitu lub stali, co to pod naciskiem przeciwieństw ugiąć się może, ale nie pęknie. . . .

Kiedy zaś Kochanowski milczał a tylko powoli przeciągnął dłonią po czole, jakby tam ból srogi uczuwał, on mówił daléj:

— Czy myślisz że opatrzność dar boski w serce ci wkładając, uczyniła to sobie tak, niechcący, z przypadku, z kaprysu? — Nie ona musiała wypatrzeć odpowiedniéj mocy naczynie i faktem musi być iż posiada ono taką wytrzymałość, że od bólu podobnego nie pęknie, a tylko jak przez ogień wypalona glina dźwięczności i wytrzymałości nabędzie. Trochę więc siły tylko, trochę energii, a o prawdzie słów moich się przekonasz . . . . . Następnie, czyś ty myślał może, mój drogi, że dary te bezkarnie zmarnować i zaprzepaścić można? . . . O nie, bracie, znasz przecie słowa pisma, że od tych którym wiele dano, wiele wymagać się będzie. Wyjątkowe uposażenie umysłowéj i uczuciowéj natury twojéj, włożyło na cię wielkie także obowiązki. Ty, w mowie starożytnych Rzymian tak biegły, wiesz przecie jaka to treść obszerna w tym jednem słowie p a t r i a się mieści. Ja mam za zasługę, żem go pierwszy w mowie swojéj użył, a lubo l a p a t r i e w pojęciu, duchu i sercu każdego Francuza niezawodnie leżała; uznano to jednak za wielką pomysłowość i wielkie odkrycie z méj strony i tam, gdzie treść oddawna była już w instynkcie gotowa, skwapliwie chwycono formę zewnętrzną.

Wy, jako naród, możeście od nas szczęśliwsi, może dojrzalsi, może dawno słowem tem władacie, zastanów się więc dobrze nad treścią, jaka w jego brzmieniu się kryje i ona cię nauczy, że znaczeniem jéj się przejąwszy, można sił nie tracić pod daleko sroższym nawet jeszcze ciosem . . . .

Owe myśli rozpędziły chwilowo Kochanowskiego smutek i rzeczywiście wyobraźnią po języku swym przebieżał a nie przypomniał sobie, aby w liczbie zewnętrznego jego, formalnego zakresu, brzmienie podobne, w zmysłową formę zaklęte, zaznał, lub zasłyszał. Objęła go więc dążność i pragnienie twórcze i po namyśle pewnym na wzór Archimedesowy, zawołał:

— O j c z y z n a!

— C'est ca — przywtórzył Ronsard, silniéj prawicę jego ściskając, a lubo brzmienie wyrazu, któreś w téj chwili wymienił, szorstkiem mi się wydaje i niezawodnie powtórzyć go nie byłbym w możności, jednak, zda mi się z brzmienia samego

że jest to właśnie to, czego od ciebie żądałem i na co uwagę twoją zwrócić pragnąłem.

Milczenie trwało czas jakiś, aż Kochanowski, który dotąd był milczący, głosem cichym i jakby złamanym, wyszeptał.

— Prawda to jest, że owa matka od dzieci swych wszelkich służb domagać się ma prawo, ale na usługi jéj stawać powinni ludzie o ramionach krzepkich, o siłach niestarganych, gotowi i zdolni dusić hydrę lerneńską, lub ze smokiem bajecznym wystąpić do walki, starganych zasię, zawodami i zmartwieniami wyczerpanych nie potrzebuje ona wcale i raczéj jako Spartanka dziecię niedołężne, do przepaści rzucić ich powinna.

— Polaku szanowny nie przesadzaj, zawołał Ronsard z pewnym już humorem, bo przypuszczał, że ta przyprawa rozmowy nie będzie już teraz zbyteczną. —

Złamanyś powiadasz? — a toż z jakiej racyi? — Gdybyś na obczyźnie dla przepędzenia czasu i zabicia tęsknoty z niewiastą kraju tutejszego chciał się pobawić i pożartować, za złe bym ci tego nie brał, boć to przywiléj, płci naszéj przyrodzony. Że atoli stosunek ten się zerwał, czyż już okoliczność ta cię ma złamać jak wiotką trzcinę? Owszem, powinieneś na wyjezdnem z Paryża Mszą świętą zakupić i na niéj szczerze podziękować Panu Bogu, że cię od podzielenia życia z zimną a rachującą kokietką uwolnił. Polotów twoich narodowych nie skrępuje ona bowiem, a gdy za powrotem do kraju znajdziesz godną siebie towarzyszkę, jeślić już stan małżeński ci się uśmiecha i pracować z nią będziesz w winnicy nietylko pańskiéj ale polskiéj, wierzaj mi, nie raz rozpamiętując przeszłość twoję, cieszyć się będziesz z tego, żeś się tu ułudom skrępować i związać nie dał.

Kochanowski milczał.

— Janie — rzekł rękę jego puszczając, a na ramieniu opierając mu się Ronsard — przy pierwszem spotkaniu się i poznaniu naszem, wspominałem ci już, że aczkolwiek świetnie i znakomicie władasz mową starożytnych, należy abyś porzucił owe zabawki, bo lubo byś nawet przeszedł mistrzów rzymskich, narody nad kunsztem twym i zręcznością zastanawiać się będą mogły tak jak się w szkole anatomicznéj zastanawiają badający anatomią uczniowie, trupa na kawałki krając. Ów trup to martwe ciało, to organizm, który dla nauki pewne wskazówki dostarczyć może, ale który jest już prochem i zgnilizną, o któréj za chwilę ani mowy nawet nie będzie. Tymczasem narody, przetworzone w potężne państwa własnego domagają się żywota,

chcą w powszechnoludzkiéj cywilizacyi własne zasługi zaznaczyć i nie kocha ich chyba ten, ktoby sił własnych nowym tym usiłowaniom nie dał na wysługi. Wrócisz między swoich zbrojny wiedzą całego świata, zasiądziesz na własnéj niwie, otoczy cię lud polski, i pieśni dla niego składając, staniesz się jego prorokiem i poprowadzisz go na Parnas, aby tam wraz z nim zająć zaszczytne miejsce.

— Ba — ależ na to wszystko, rzekł smutno Kochanowski — świeżéj a niezłamanéj trzeba myśli.

— Dziecko niepoprawne jesteś — rzekł już gniewnym nieco tonem Ronsard. — Towarzyszem twoim jestem i prawie rówieśnikiem, a jeśli chcesz prawdy szczeréj, powiem ci że w mistrzostwie władania rymami tyś potężniejszy odemnie. A cóż dopiero będzie, kiedy staniesz na gruncie własnym, który sądząc tak z opowiadania twojego jak i twoich ziomków, daleko więcéj sprzyja rozwojowi sztuki prawdziwéj, niepodległéj, aniżeli warunki, w których my tutaj wzrastamy. U was podobno zawsze i każdemu wolno jest wypowiedzieć prawdę, wolno żyć obywatelskim i niepodległym żywotem, któremu nic na przeszkodzie nie staje; nas koło tronu i dworu wciągnęło w swoje sprychy i niewolnikami uczyniło. Kiedy więc wy obywatelami być możecie, my dworakami jedynie się stajemy. Wasze utwory powtarzać będzie wdzięczny naród po wieki wieków i w każdą rocznicę imię wasze przypominającą, będzie obchodził narodowe święto; o nas mówić i zawiadamiać będzie tylko jakiś szperacz a cała masa narodu za zwykłych i pospolitych pochlebców nas uzna.

Kochanowski powstał z siedzenia, a ręki Ronsarda z dłoni swéj nie wypuszczając, z uniesieniem mówił:

— Mistrzu, dla czegoż dobrowolnie się poniżasz? Dla czego mnie zalety przyznajesz, kiedy ja w porównaniu do ciebie nędznym a początkującym żaczkiem jestem? Wracać do kraju i tam podług siły wedle programu przez ciebie nakreślonego, pracować byłoby może pożądanem i wytrwania w zawodzie by dodało, ale trudnoż ten zawód rozpoczynać, w stanie w jakim mnie widzisz?

— Wstydź się, powtarzam ci, — o jednem i tem samem jak mazgaj ustawicznie nie mów.

Kochanowski z oczyma uspokojonemi cokolwiek, ale które jeszcze dziko a nieprzytomnie krążyły, począł oglądać się na-

około, żeby kapelusz swój odszukać, a kiedy go znalazł, wyciągnął dłoń, jakby żegnać się pragnął.

— Jakto? — chcesz odjeżdżać? — zapytał Ronsard. — Śniadanie niebawem podadzą.

— Dziękuję i po stokroć dziękuję. Jedzenia przełknąć nie byłbym w możności i może być, że prędko za radą twą pójdę a los gotów tak zrządzić, że się już nigdy i nigdzie nie spotkamy z sobą. W takim razie pobłogosław mi wieszczu na drogę ciężkiego obowiązku, jaki mi jako konieczność wskazujesz.

I przy tych słowach pochylił głowę swą do jego piersi, a lubo rozrzewnienie ustępować się zdawało, jednak jeszcze załkał boleśnie.

— Krew twa ochłodnie — odrzekł Ronsard — ramiona mu swoje do uścisku otwierając. Widzieć się, da Bóg, będziemy jeszcze nie raz, ale razy kilka, a ponieważ samotność będzie dla ciebie teraz najlepszem lekarstwem, przeto nie zatrzymuję cię dłużéj u siebie. Wracaj więc na swą kwaterę, o niegodnéj zapomnij, a rozważ dobrze wszystko, o czém mówiliśmy tutaj. Kochanowski uparcie do piersi jego się cisnął, bo wiedział, że tu prawdziwą a szczerą spotyka przyjaźń i w ramię go całował.

— Błogosławić cię zaś, mój drogi, mówił daléj Ronsard, nie mogę, boć rówiennikiem twoim prawie jestem, co do talentu zaś, tyś bracie wyższy nademnie. Mogę ci więc tylko życzyć z całego serca, abyś dla Polski swéj zrobił tyle przynajmniéj, ile ja dla Francyi zrobić pragnąłem.

Przy tych słowach uściskali się jak bracia, Ronsard aż do furmanki czekającéj pod bramą gościa swego odprowadził i tam go otuliwszy płaszczem, jeszcze raz pożegnał.

* * *

Kiedy Kochanowski od Ronsarda ku Paryżowi podążał na kwaterę, którą zajmował nasz poeta, wpadł Ossoliński, wielce zakłopotany i poruszony.

Zastał tu Nideckiego i Dudycza, a z nieobecności Jana może rad był, gdyż wśród największego wzruszenia zapytał:

— No i jakże Jan się miewa?

— Źle, bardzo źle, odpowiedział ramiona podnosząc, Nidecki, wychudł jak szczupak a melancholik stał się już taki, że ani słowa z niego nie wydusić.

— Nie lękajcie się — wtrącił zawsze pewny swego Du-

dycz — kryzys przechodzi, gorączka minęła i ospa zda się przejdzie niebawem.

— Och, bo mu też siły dziś więcéj, aniżeli kiedyindziéj potrzeba — szepnął tajemniczym jakimś głosem Ossoliński.

— I dla czegoż to? — Czyżby mu jakie groziło nieszczęście? — zapytali obadwaj przerażeni.

— Nieszczęście i wielkie — była odpowiedź — matka jego rozstała się z tym światem.

— Nie może być? zawołał przestraszony Nidecki.

— Tak jest — odpowiedział Ossoliński. Dziś z dworu polskiego przybył kuryer, przywiózł mi listy i tam wiadomość ta właśnie jest wypisana.

— Biedny Jan — rzekł głową potrząsając Nidecki — a on właśnie tak macierz swą umiłował jakby jaką świętą, jakżeż mu to będzie do zniesienia trudnem.

— Hm, klin klinem — szepnął na wszystko z praktycznéj strony zapatrujący się Dudycz — najlepsza to pono lekarska metoda.

— Ale przez Bóg żywy — mówił Ossoliński — luboby mu teraz do kraju coprędzéj pospieszyć należało, boć to i w działach rodzinnych dopilnować się trzeba, wszelako należy ciężką tę wieść przez pewien czas w tajemnicy zatrzymać i powoli do smutnéj nowiny go przygotować.

Kiedy tak rozmawiali ze sobą, nadszedł Kochanowski, blady jak ściana, a z pod hiszpańskiego kapelusza oczy świeciły mu jak karbunkuły gorączkowym jakimś blaskiem. Na widok wynędzniałéj jego twarzy wszystkich zimny dreszcz przeszedł i nikt nie ośmielił się pierwszego słowa doń wymówić.

— A i Wasza Miłość przecie tu zajrzeć raczyłeś? — przemówił szyderczym tonem do Ossolińskiego. — Przypuszczać muszę że to zapewne wyłącznie tylko dla towarzyszów moich; ja bowiem rozpustnik, marnotrawnik, kostera, dawno miłość jego straciłem.

— Mylisz się, mój Janie — przemówił postępując krok ku niemu Ossoliński i rękę jego ujmując. — Jeżelim był kiedykolwiek dla ciebie surowy, to wierzaj mi, było to dla własnego twojego dobra. Gniewało mnie, że bawiąca się tobą swawolna dama humanistka ze szkodą naszą wyłącznie cię zajęła i chciałem wszelkiemi siłami przed tem niebezpieczeństwem, przed tą przepaścią cię ostrzedz.

— Nie mówmy o tem — rzekł na to, machnąwszy ręką

Kochanowski — pogardzono czystym moim i szczerym sentymentem, na złoto, na nędzny kruszec go wymieniono. Och! teraz co prędzéj tylko do siebie, do kraju, do Polski!...

— Jakiż zacny duch przez ciebie, Janie mój, przemówił — zawołał uszczęśliwiony Ossoliński — a więc pakuj manatki, ja także wydania swoich credentiales zażądam i za kilka dni najdaléj będziemy obaj w drodze ku naszym granicom.

— Tak, łatwo to powiedzieć, rzekł poeta tonem gorzkim — wracać, ale jak?

— Jak to jak?

— Tutaj na uwięzi długi mnie trzymają i choćbym nawet nie liczył tego co tobie winienem przypuszczam bowiem, że co do tego za powrotem z ojcowizny swojéj się uiszczę, ale tu mam długów kilka tysięcy liwrów i póki ich nie wypłacę, ruszyć mi się z miejsca nie wolno, Kiedy to zaś nastąpi — ja nie wiem, a takbym prędko chciał uciec z miejsc tych przeklętych.

— Wszakżeż nie wątpisz o tem, mój Janie, że fortuna Ossolińskich starczy, aby należności podobne pospłacać. Daj więc rachunki a wszystko ureguluje się uczciwie i po Bożemu,..

— Jakto? — Wszakżeście mi mówili, że bez grosza jesteście?

— Bez grosza zapewne, jeżeliby on miał iść na fatałaszki dla francuzkiéj jakiejś damy; jeżeli zaś chodzi o to, żeby poetę polskiego Polsce powrócić, na to jeszcze dostatku do woli się znajdzie.

Kochanowski spojrzał na niego dziwnie, gdyż we wzroku jego był wyrzut i żal. Wszakże umitygował się prędko a w oku jego łza rozrzewnienia się zakręciła i ścisnąwszy mocno Ossolińskiego prawicę, wyszeptał tylko:

— Dzięki ci, dzięki — tyś praw...

— A więc pozwól, mówił Ossoliński rozrzewniony również, że dzisiaj z wami przez resztę wieczora pozostanę, aby zaś odegnać smutne myśli, niebawem kilka flasz przyniosę.

I szukając kapelusza, miał się już ku wyjściu.

Kochanowski atoli zatrzymał go i mówił:

— Pozostać możesz i owszem będę ci za to nieskończenie obowiązany. Co zaś do rozrywki towarzyskiéj, w tej ja wam dzisiaj służyć nie mogę, ja tak się czuję z nóg ściętym i niezdrowym, że na chwilę na łożu mem spocznę i wczasu, którego dawno nie zażywałem, poszukam.

Że ta żelazna i młodzieńcza organizacya pod wpływem jakiéjś niemocy się uginała, to było widocznem. To też koledzy odprowadzili go do łoża, drzwi od alkowy przymknęli, polecając aby wołał jeśli czegoś potrzebować będzie i sami postanawiając czuwać przy nim choć w drugiej izbie, za stósowne uznali projekt Ossolińskiego w wykonanie wprowadzić i kilka flasz z zaklejonemi smołą główkami na stole stanęło, a misternie rzezane w drogich metalach puhary, do których każdy w Polsce był przywykły, tu zastępowały cynowe kubki lub szklenice z pospolitego szkła zielonego.

Kochanowski zaledwie do wezgłowia się przyłożył, zaraz snem twardym i ciężkim zasnął. Jak długo w nim przebywał, sprawy sobie z tego zdać nie umiał, kiedy się jednak obudził, ciasną komnatkę jego zupełna zalegała ciemność, przez drzwi tylko przymknięte wpadała struga światła jasnego, oraz dolatywały głosy towarzyszów, które jakkolwiek przyciszane ze względu na jego chorobę i spoczynek, czasami jednak, strzelały w głośniejszym jakimś wykrzykniku, którego w wieku młodzieńczym, jest tak trudno uniknąć.

Gwary te jednak poety nie raziły wcale, bodajby z tego względu, że w polskiéj odzywały się mowie, a ta mowa tak cudnie łączyła się z widzeniem, jakie co tylko nawiedziło go we śnie głębokim.

Śniło mu się bowiem, że jako duch lekki, unosi się nad krajem, w którym nie widzisz murów, nie widzisz olbrzymich budowli z kunsztownie ciosanych kamieni nakładanych, ale pszenica na bujnym łanie się złoci, z łąki jak kobierzec wzorzysto tkanéj ulatuje woń odurzająca a nad kielichami kwiatów zwieszają się brzęczące pszczółki miodnéj słodyczy chciwe. W dali ciemny bór sosnowy poważnemi konary się kołysze i w szmerze gałęzi śle jakieś przejmujące do głębi żywiczne wonie, a z dala z horyzontu wystrzela kopułka drewnianego kościoła i sygnaturka z niéj również jakby pszczółka brzęczy. Ponad tem zawisło niebo lazurowe lekkiemi siwemi przetykane chmurkami i zdala dolatuje napoły tęskna, na poły skoczna nuta małopolska. W atmosferze téj piersiom swobodno, ramionom lekko, duchowi błogo, i radby był tak jak skowronek w powietrzu, w jednym punkcie zawisnąć i niwom polskim kwilić wdzięczną ucztę.

Niewidzialna jednak siła ciągnie go ku dołowi. Zbliżą się doń, zbliża i kiedy stopami téj błogosławionéj ziemi miał dotykać dłoń jego ujęła ręka ciepła i miękka. Obejrzał się, i oto

widzi niewiastę w czarnéj powłoczystéj szacie, czepiec wdowi zpod robrona jéj wygląda, w ręce wolnéj z czarnych paciorek różaniec trzyma a na twarzy jéj powaga i świętość. Spojrzał w te dobrocią nacechowane lica i duch jego się upokorzył, kolana do pokłonu ugięły, bo ta niewiasta to zacna macierz jego. Głowę synowską z utęsknieniem a uczuciem przycisnęła do łona, długo ją na niem piastowała, aż jakby zmuszając się oderwała ją od swych piersi, na czole jego pocałunek złożyła i wziąwszy go za rękę po owych wzorzysto dzianych łąki kobiercach po owych żytem wysrebrzanych i bławatkami przetykanych niwach go wiodła. On milczał, bo uroczyste jakieś uczucie serce jego przepełniało i tylko w oblicze matki od chwili do chwili się wpatrywał. Ona miękką i białą dłonią od czasu do czasu przecierała mu oczy, jakby chcąc mu dokładniejsze przyjrzenie się tym wszystkim wdziękom ułatwić i ręką wolną wskazywała na wszystkie strony horyzontu. Później poprowadziła go do owego zdala widzianego kościołka i naprzód szereg zagród kmiecych mu wskazawszy, palcem ukazała wieżyczkę, zkąd sygnaturka brzęczała. Dla czego te wszystkie ukazywała mu widoki i dla czego tu się zatrzymała, chciał pytać, ale widzenie jako mgła się rozpłynęło, obudził się i usłyszał dźwięk polskiéj mowy w sąsiedniéj komnacie prowadzony.

Był jeszcze pod wrażeniem tego snu szczególnego, kiedy towarzysze jego, również wspomnieniami ku dalekiemu krajowi uniesieni, zgodnym chórem, lubo przyciszonym głosem zanucili hymn:

Bogarodzico, dziewico,
Bogiem sławiona Maryo . . . .

Pieśń ta wywołała takie rozrzewnienie w naszym poecie, że gorącemi łzami się zalał, ale te łzy jako balsam łagodząco na niego działały i uspokojenie mu niosły. Później wstał, a czując się zdrowszym, podszedł do stołu, woskowy stoczek zażegł i do pisania zasiadł.

Pisał długo, i kiedy skończywszy pisać złożone wiersze oczyma przebiegał, lice jego rozjaśniło się i rozpogodziło, a ponieważ żar go jakiś wewnętrzny palił, rozpiął tedy tunikę, drżącą ręką rozerwał koszulę w haftowane szlaki zdobną i z obnażoną piersią, zaiskrzonem okiem i zapisanym papierem w ręku wszedłszy do swych towarzyszów czytać to co napisał, począł.

Głos jego był drżący, ale zarazem metaliczny i silny, a cudne polskie rymy, jakie się z ust jego wyrywały obijały się jak czarodziejskie zaklęcia o uszy słuchaczów, Był to wiersz zaczynający się od uroczystéj strofy:

Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i w niebie.

W utworze tym był wdzięk taki, do jakiego ludzie ówcześni prawie jeszcze niedorośli, a już ostatnia strofa przechodziła chyba wszystko, co mógł stworzyć tamtoczasowy sztukmistrz. Wznosząc głos coraz silniéj a piersiami robiąc jakby mu powietrza brakowało, czytał natchnionym głosem:

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie:
Twoja łaska, twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas póki raczysz na téj niskiéj ziemi,
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami twemi. —

Zaledwie skończył, aliści oni do stóp jego przyklękli i pobożnemi usty do krajów szat jego się zbliżali. On atoli uznania tego nie widział, w oczach mu się bowiem zamroczyło, zachwiał się i na ręce przyjaciół upadł zemdlony z okrzykiem:

— Do domu, na miłość Boską do domu!

* * *

Do domu na szczęście kraju i własne powrócił, ale jeszcze nie prędko, ciężka bowiem niemoc na łoże go powaliła i miesięcy całych było potrzeba, aby chorobę przemógł, aby z niéj z nowemi siłami i ze wspomnieniem tylko o przebytych tutaj cierpieniach powstał. Wierny Ossoliński jak obiecywał do domu go odwiózł, a on w łacińskim jeszcze wierszu, któremi czasami z dawnego nałogu się zabawiał, tak wdzięczność swą wyraził:

Jakiem ci, Ossoliński, winien jest podzięki,
To wszystko z serca wydać nie mojéj jest ręki,

To jednak będą moje kameny świadczyły,
Póki krew nie ustanie okrążać me żyły.
Ty też Muzo, gdy w smutne popłynę otchłanie,
Zdarz niech ta pieśń na czasy dalekie zostanie,
Niech pozna wiek potomny ku mnie jego chęci,
Niech sława starożytna imię jego święci.
Bo kiedy na mnie nieszczęść zmówiło się mnóstwo,
I miłość niepozbędna, i twarde ubóstwo,
On mnie jeden od czarnej rozpaczy wybawił,
I w nieszczęśliwem dla mnie miejscu nie zostawił,
Wszelkich dróg próbował, by mnie z ran uleczył;
Któremi do szaleństwa bożek mnie skaleczył.
Lecz wtedy taki ogień gorzał w mojem łonie,
Jakim Etna wybucha, lub Apońskie tonie
I jakobym w cudownym zakosztował Locie,
Anim myślał o miłym do kraju powrocie.

UJK
Biblioteka
Uniwersytecka
w Kielcach

TREŚĆ.

Pułkownik Wilk, obrazek z niedawno upłynionéj przeszłości 1
Wieczerza, ustęp z życia Mickiewicza 31
Kontrasty, ustęp z życia Chopina. 63
Mickiewicz w Odessie i twórczość jego z tego czasu . . 123
Dla czego panna Teresa zwała się panią pułkownikową, obrazek z pierwszéj połowy bieżącego wieku 199
Kochanowski w Paryżu, jedna chwila z życia poety. . . 263

90.—
45059/28486

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0460227
25154
834